

I. J. Singer

RODZINA KARNOWSKICH



I. J. SINGER

Rodzina Karnowskich

Przełożyła
Maria Krych

Karnowskich z Wielkopolski wiadomo było, że są uparci i przekorni, a jednocześnie to mędrycy, uczeni, bardzo zdolni ludzie.

Wiedzę wyrażały ich wysokie czoła i czame jak węgiel oczy, głębokie, niespokojne; upór i krnąbrność — wydatne, zbyt duże nosy, znamionujące na ich szczupłych twarzach ironię i zuchwałość. Z powodu tego uporu nikt z tej rodziny nie został rabinem, mimo że łatwo to mogli osiągnąć. Trudnili się handlem, najczęściej byli brakarzami pracującymi przy wyrębie lasów lub pływali tratwami Wisłą do Gdańska. W małych domkach

budach, które postawili dla nich na pływających klocach chrześcijańscy przewoźnicy, wozili wiele ksiąg Gemmy, studiując je z zamiłowaniem. Z powodu swego uporu nie chcieli jeździć do żadnego rabina. Poza księgami religijnymi interesowali się również naukami świeckimi — matematyką, filozofią, czytali nawet księgi niemieckie, drukowane ostrymi gotyckimi literami. Nie byli bogaczami, zarabiali tylko na swoje utrzymanie. Mimo to kojarzyli swych synów z najznacześniejszymi domami w Wielkopolsce. Najbogatsze panny chętnie wychodziły za wysokich, wykształconych, śniadych, przesiąkniętych przyjemnym zapachem lasu i wody młodzieńców z rozgałęzionej rodziny Karnowskich. Dawid Karnowski został zięciem

Lejba Milnera, najbogatszego kupca drzewnego w Mielnicy.

Od razu w pierwszą sobotę po ślubie, przy odczytywaniu Tory, zięć bogacza zadarł z rabinem i najznakomitszymi obywatelami.

Dawid Karnowski, znawca języka hebrajskiego i pedant na punkcie jego gramatyki, mimo że Wielkopolanin, czytał rozdział Jezajasza z Księgi Proroków akcentem I litwackim, nadmiernie poprawnie i w zbyt oświeceniowym wymiarze stylu, co nie bardzo odpowiadało zgromadzonym w synagodze chasydom. Po nabożeństwie rabin delikat-

nie dał do zrozumienia obcemu młodemu człowiekowi, że ludziom w Mielnicy obca jest ta litwacka, tradycjonalistyczna hebrajszczyzna.

— Rozumiesz, młody człowieku — mówił rabin żartobliwie — nie sądzimy, że prorok był litwakiem, a na pewno nie był przeciwnikiem chasydyzmu.

— Wręcz przeciwnie, rabinie — odpowiedział Dawid Karnowski. — Udowodnię, że prorok Jezajasz był litwakiem i przeciwnikiem chasydyzmu.

— Jakież to dowód? — zapytał rabin, otoczony najznacześniejszymi obywatelami, którzy z zainteresowaniem przysłuchiwali się starciu między nim a obcym erudytą.

— Po prostu, rabinie — odpowiedział Dawid Karnowski. — Gdyby prorok Jezajasz był polskim Żydem i chasydem, nie znałby gramatyki i pisałby błędnie po hebrajsku, jak wszyscy bogobojni Żydzi i chasydzcy rabini.

Takiego afrontu ze strony młodego człowieka, w dodatku w

obecności wszystkich Żydów, rabin się nie spodziewał. Zmieszany, że obcy wystawił go na pośmiewisko za to, że wyraził swoje zdanie, zaczął się jąkać i trochę wycofywać, lecz mówił bez związku, co go jeszcze bardziej zmieszało. Dawid Karnowski ironicznie spoglądał na zawstydzonego rabina. Upór i przekora, charakterystyczne dla Karnowskich, wyzierały z jego wydatnego nosa, nieproporcjonalnie dużego na tle jego młodej, szczupłej, śniadej twarzy.

Od tego czasu rabin odczuwał lęk wobec obcego. Obywatele, którzy stali obok niego i jego teścia przy wschodniej ścianie, wazyli każde słowo, które z nim zamieniali. Lecz kiedy pewnej soboty obcy wniósł herezję do synagogi, rabin i ogół modlących się przestali się go obawiać i rozpoczęli z nim otwartą walkę.

Zdarzyło się to podczas odczytywania Tory, gdy Żydzi zwrócili głowy w stronę wschodnią, ku ambonie, i cicho powtarzali za lektorem tekst ze swych PięcioI ksiąg. Dawid Karnowski w nowym tałasie, którego nie założył na głowę, również zaglądał do swego Pięcio- I księgu. Nagle księga wypadła mu z rąk. Karnowski powoli schylił się, aby ją podnieść, lecz sąsiad ze wschód- I niej ściany, który wydawał się składać wyłącznie z tałesu i brody, uprzedził go. Podniósłszy szybko otwarty Pięcioksiąg, ucałował go, aby przeprosić świętą księgę za upuszczenie jej. Chciał ją zwrócić zięciowi bogacza, lecz nagle połapał się, że pocałował litery, jakich nigdy jeszcze w żadnym Pięcioksięgu nie widział. Ani to był hebrajski, ani żydowski. Dawid Karnowski wyciągnął rękę po swój Pięcioksiąg. Lecz Żyd, który zdawał składać się wyłącznie z tałesu i

brody, nie kwapił się, by mu go zwrócić. Zamiast oddać zięciowi bogacza, pokazał Pięcioksiąg rabinowi. Rabin szybko rzucił okiem, odwrócił kartę tytułową i poczerwieniał ze strachu i zaskoczenia. — Pięcioksiąg Mojżesza Mendelssohna — krzyczał i spluwał. — Biur. Błźnierstwo przeciw Bogu! W synagodze wszczął się tumult, hałas. Lektor stukał pięścią w stół, aby pozwolono mu do- \ kończyć czytania, sam rabin uderzał w pulpit, by zebrani wysłuchali go do końca, lecz wzburzony tłum wrzał i go- j rączkował się. Walenie w stół, okrzyki “sza” wzmagały I jeszcze tumult. Lektor widząc, że nikt go nie słucha, pośpiesznie, niemal bez przestanku doczytał fragment Pięcioksięgu. Kantor odmówił bez przyśpiewu Musaf. I Gdy tylko wypowiedziano ostatnie “Alejnu” przeciwko i obcym bożkom, a właściwie zanim zakończono modły, w synagodze zaroilo się jak w ulu.

• j

— Trefne błźnierstwo Mojżesza z Dessau pieniał I się rabin, wskazując palcem na Pięcioksiąg Dawida Kar- j nowskiego. — O tym jeszcze nie słyszano w Mielnicy. Nie wpuszczę do naszego miasta berlińskiego wychrzyty. I

- Mojżesz żarłok, przeklęte niech będzie imię jego H i pamięć o nim — wtórowali mu chasydzi i spluwali z odrazą.

Prości Żydzi nadstawiali uszu, chcąc coś zrozumieć I z tego, o czym mówią ludzie wykształceni. Żyd, który I

sprawiał wrażenie jakby składał się wyłącznie z tałesu i brody, krążył po synagodze jak wichur.

— Jak tylko to spostrzegłem, zrozumiałem, że nie jest to prosta sprawa — opowiadał któryś raz z rzędu.

— Poczuję to od razu.

— Ładnego zięcia zahandlowaliście sobie, reb Lejb — robili wyrzuty miejscowemu bogaczowi członkowie kongregacji — nie ma o czym mówić.

Lejb Milner był zmieszany. Spokojny Żyd, o dostojnym wyglądzie, z piękną białą brodą, z tałesem obramowanym srebrną koroną, w okularach w złotej oprawie, nie miał pojęcia, dlaczego rabin tak się pieni na jego zięcia i czego chcą od niego rozgorączkowani Żydzi. Syn arendarza, nowobogacki, poza umiejętnością modlenia się nie posiadał religijnej wiedzy. Do #uszu jego dotarło słowo Biur, lecz o jakie piwo chodzi, co to ma wspólnego z nim i z jego zięciem, nie miał pojęcia.

— Rabi, co się tu dzieje — dopytywał się.

Rabin palcem wskazywał na Pięcioksiąg i wytykał z gniewem.

—Widzicie, reb Lejb, ten Mosze Mendelssohn z Dessau, niech imię jego będzie przeklęte, odstąpił od Izraela!

— krzyczał. — Swą heretycką nauką prowadził Żydów do przyjmowania chrztu.

Choć Lejb Milner wciąż nie rozumiał, kim jest Mosze z Dessau i co on zdziałał, z krzyku rabina uświadomił sobie, że jest to jakiś Żyd-misjonarz, który jego zięciowi perfidnie wcisnął zakazaną książkę hebrajską, jak to się nieraz zdarza. Chciał uciszyć hałas, zaprowadzić spokój w synagodze.

— Żydzi, mój zięć, oby żył, zapewne nie wiedział, kim jest ten Mojżesz — usprawiedliwiał zięcia. — Nie przystają Żydom kłótnie w synagodze. Chodźmy raczej do domu na kidusz.

gra słów: bir po żydowsku znaczy piwo (przyp. tłumaczki)

Lecz jego zięć nie chciał iść do domu odprawiać kiduszu. Przez otaczających rabina ludzi próbował się przecisnąć do niego.

— Zwróćcie mi mój Pięcioksiąg — wołał z gniewem. — Chcę otrzymać mój Pięcioksiąg.

Rabin nie chciał wypuścić Pięcioksięgu z rąk. Nie wiedział, co z nim zrobić. Gdyby to był zwykły zakazany druk i gdyby to nie była sobota, poleciłby szamesowi napalić w piecu i spalić bezceństwo na oczach wszy-J stkich, jak nakazuje Prawo. Lecz była sobota, przy tym i dessauerowska herezja wydrukowana była łącznie z To-f rą, stronica za stronicą plugastwo obok Pisma Świętego. Paliły go ręce, gdy trzymał zbezczeszczoną świętość, lecz • nie chciał jej zwrócić właścicielowi.

— Nie, młody człowieku, to już nie ujrzy światła dziennego! — krzychał groźnie.

Znów Lejb Milner zaangażował się do przywrócenia spokoju.

— Dawidzie, zięciu mój — prosił. — Ile kosztuje Pięcioksiąg? Kupię ci najdroższe Pięcioksięgi. Zostaw to i chodź do domu. Dawid Karnowski nie chciał go słuchać.

— Nie — irytował się. — Nie zostawię mu Pięcioksięgu za skarby świata.

Lejb Milner próbował inaczej.

— Dawidzie, Lea czeka w domu na kidusz — powiedział. —
Zasłabnie z głodu.

Dawid Karnowski tak był pochłonięty kłótnią, że nawet nie pamiętał o swojej Lei. Jego oczy, mimo soboty, miały płomień, ostry nos przypominał dziób krogulca. Był gotów na wojnę ze wszystkimi. Przede wszystkim domagał się, by mu rabin dowiódł, czy jest choćby jedno heretyckie słowo w Biurze Mendelssohna, następnie sypał cytatami z Tory i innych ksiąg, aby wykazać, że zarówno rabin, jak i zgromadzeni członkowie kongregacji, słowa nie znają z ksiąg Mojżesza Mendelssohna i nie są nawet w stanie ich zrozumieć. W końcu wpadł w taką złość, że krzyczał, iż o znajomości Tory, jaką błogo sławionej pamięci rabi Mojżesz Mendelssohn miał tylko w pięcie, o jego mądrości i bogoboju, rabin i wszyscy bogobojni Żydzi razem wzięci nie mają żadnego pojęcia.

Tego było już za wiele. Obraził rabina i bogobojujących Żydów, mówiąc w świętym miejscu o heretyku "rabi" i "błogosławionej pamięci". Wyprowadzeni z równowagi chasydzi po prostu wzięli zięcia bogacza pod rękę i wyprowadzili z synagogi.

— Idź do wszystkich diabłów razem z twoim rabinem, przekłute jego imię! — krzyczeli za nim. — Idź do berlińskiego wychrzty, mędrze z dziobem.

Dawid Karnowski ich posłuchał.

Choć długo jeszcze mógł pozostać w bogatym domu na utrzymaniu teścia, nie chciał żyć w mieście, gdzie go tak publicznie

znieważono. Teść przekonywał go, obiecywał, że progu synagogi więcej nie przestąpi, że będzie się modlił w bożnicy, gdzie bywają ludzie świeccy i rozumni. Może też zorganizować minjan u siebie w domu, jeżeli zięć sobie życzy. Lea, jego żona, prosiła, aby jej nie zabierał z rodzinnego domu. Dawid Karnowski nie ustępował.

— Ani dnia dłużej nie pozostanę wśród tych ignorantów i dzikusów — mówił. — Choćby mi ofiarowano pokój pełen złota.

W złości obrzucał mieszkańców Mielnicy najgorszymi obelgami, zaczerpniętymi z naukowych ksiąg, które czytał. Nazywał ich ciemniakami, niszczycielami światła, poganami, osłami.

Nie tylko chciał opuścić miasto, które mu przyczyniło takiej hańby, lecz nawet kraj, który tkwi w ciemności — Polskę. Dawno już marzył o Berlinie, gdzie jego rabi, mędrzec Mojżesz Mendelssohn, niegdyś mieszkał, pisał i rozprzestrzeniał światło na cały świat. Już w latach chłopięcych, gdy z przekładu Pięcioksięgu Mendelssohna uczył się języka niemieckiego, pociągał go kraj za granicą, z którego promieniuje wszystko, co dobre, światłe i rozumne. Gdy dorósł i pomagał ojcu w handlu drzewnym, często musiał czytać pisane po niemiecku listy z Gdańska, Bremy, Hamburga i Berlina. Zawsze wiało od nich czarem zagranicy. Wyraz Hochwohlgeborn, umieszczony przy adresie, tchnął subtelnością i szlachetnością. Nawet kolorowe znaczki pocztowe z podobizną obcego cesarza budziły w nim tęsknotę do tego obcego, ale swojskiego kraju, którego języka wyuczył się z Pięcioksięgu. Berlin w jego oczach symbolizował zawsze oświecenie, mądrość,

szlachetność, piękno i światło — o których można było tylko marzyć, lecz nigdy osiągnąć. Teraz zaistniała taka możliwość i Karnowski domagał się od teścia, aby mu wypłacił jego wielki posag i pozwolił przenieść się na drugą stronę granicy.

Początkowo Lejb Milner nie chciał o tym słyszeć. Chciał być razem z dziećmi i zięciami. Jego żona Nechama zatykała sobie uszy, aby czegoś podobnego nie słyszeć. Nie wypuści swojej Lei do obcego państwa. Za żadne skarby świata tego nie zrobi. Tak zawzięcie kiwała przecząco głową, że jej długie kolczyki uderzały o policzki.

Dawid Karnowski jednak dopiął swego. Wiele przekonując, opierając się na Torze i swojej mądrości, przytaczając mnóstwo rozumnych racji, z właściwym Karnowskim uporem dowiódł, że teściowie powinni pozostawić mu wolną rękę, aby udał się tam, gdzie go ciągnie serce. Dzień za dniem mówił, tłumaczył, argumentował, aż teść się złamał. Lejb Milner nie mógł się oprzeć racjom i logice rozumowania zięcia. Ale Nechama, teściowa, nie chciała się ugiąć. Nie i nie — upierała się. Choćby nawet, broń Boże, miało dojść do rozwodu. Tu wtrąciła się sama Lea.

— Mamo — powiedziała — pójdę wszędzie, gdzie mój Dawid mi każe.

Nechama spuściła głowę i rozplakała się. Lea objęła ją za szyję i także zapłakała.

Dawid Karnowski postawił na swoim, jak zwykle. Lejb Milner wypłacił mu cały posag — dwadzieścia tysięcy w szeleszczących sturublowych banknotach. Dopiął

również tego, że teść nawiąże z nim współpracę i będzie mu wysyłał do Niemiec drewno tratwami albo pociągami. Teściowa napiekła mnóstwo ciast, ciasteczek, przygotowała wielką ilość soków, powideł, jakby córka wybierała się na pustynię i trzeba ją było na lata całe zao-
patrzyć. Dawid Karnowski przystrzygł czarną bródkę, założył twarde kapelusz, surdut do kolan, kupił cylinder na soboty i święta, ponadto sprawił sobie wełniany surdut z jedwabnymi klapami.

W obcej stolicy, gdzie się osiedlił, w ciągu zaledwie paru lat Dawid Karnowski osiągnął kilka poważnych sukcesów. Po pierwsze, nauczył się mówić po niemiecku według wszelkich zasad gramatyki. Nie był to język z Pię- cioksięgu Mojżesza Mendelssohna, lecz język kupców drzewnych, bankierów i urzędników. Po drugie, poszczyściło mu się w handlu drewnem i wybił się w tej branży. Po trzecie, w wolnym czasie przerobił sam z podręczników kurs gimnazjum, czego pragnął od lat młodzieńczych i nigdy nie mógł osiągnąć. Po czwarte, dzięki swej wiedzy i inteligencji udało mu się nawiązać kontakty z najwybitniejszymi osobistościami z nowej synagogi, gdzie się modlił, nie z Żydami przybyłymi ze wschodu, lecz z rdzennymi poważnymi obywatelami, od pokoleń zakorzenionymi w tym kraju.

Eleganckie mieszkanie Dawida Karnowskiego, mieszczące się w domu, którego front wychodził na ul. Ora- nienburską, niedaleko Wielkiej Hamburskiej ulicy, na której znajdował się pomnik Mojżesza Mendelssohna, stało się miejscem zebrań uczonych. W obszernym gabinecie wzdłuż ścian, od podłogi aż do rzeźbionego

sufitu, stały półki z książkami. Były to przeważnie stare księgi i bibliofilskie okazy nabywane u księgarza Efraima Waldera w żydowskiej dzielnicy przy ul. Dragoilskiej. Często wieczorami u Dawida Karnowskiego w głębokich skderzanych fotelach siedział nie tylko rabin z jego synagogi - dr Szpajer, lecz również uczeni i intelektualiści, bibliotekarze, nauczyciele z seminarium, a nawet stary profesor Breslauer, najstarszy członek kolegium seminarium rabinackiego. Wszyscy oni schodzili się u Dawida Karnowskiego, by dyskutować o Torze, mądrości Izraela.

Po trzech latach Lea urodziła pierwszego syna. Karnowski nadał mu dwa imiona — Mojżesz, ku czci Mojżesza Mendelssohna, imię żydowskie, którym będzie wywoływany do Tory, gdy dorośnie i drugie imię niemieckie Georg — zmienzone imię ojca Dawida Karnowskiego, Gerszona. Imienia tego miał używać w kontaktach z ludźmi poza domem, w trakcie działalności handlowej.

— Bądź Żydem w domu, a Niemcem poza nim — powiedział gospodarz ceremonii obrzezania Dawid Karnowski swemu synowi po hebrajsku i po niemiecku, jakby dzięki temu niemowlę miało lepiej zrozumieć wypowiedziane zalecenie.

Zaproszeni intelektualiści oraz rabin, dr Szpajer, wszyscy w czarnych surdutach i cylindrach, przytakiwali z zadowoleniem gospodarzowi ceremonii obrzezania.

— Tak, tak, czcigodny panie Karnowski — powiedział dr Szpajer, głaszcząc swą spiczastą brodę, cienką i ostrą jak zatemperowany ołówek — zawsze ten złoty środek: Żyd między Żydami i Niemiec

wśród Niemców.

— Tylko stary złoty środek jest dobry — dodali goście i założyli śnieżnobiałe serwetki na wysokie, sztywne kołnierze, gotowi do wystawnej, uroczystej uczyty.

Największym szczęściem dla Lei Karnowskiej jest pochwała jej dziecka, zwłaszcza stwierdzenie, że wdało się w ojca.

Chociaż w ciągu pięciu lat, jakie upłynęły od chwili, gdy urodził się jej jedynak, mnóstwo razy słyszała od kobiet komplementy, że dziecko jest piękne, udane i podobne do ojca jak dwie krople wody, chce to wciąż słyszeć na nowo.

— Spójrz, Emmo — odrywa służącą od pracy, aby popatrzyła na jej chłopca tak, jakby ta go nie знаła

— powiedz, czy nie jest słodki, Emmo?

— Oczywiście, łaskawa pani.

— Wykapany ojciec, nieprawdaż, Emmo?

— Zupełnie wykapany, łaskawa pani.

Emma wie, jak wszystkie kobiety, że matki lubią słuchać, iż ich dzieci podobne są do ojca, nawet gdy tak nie jest. Lecz w tym wypadku nie musi kłamać — mały Georg jest odbiciem Dawida Karnowskiego. Ma płomienne czarne oczy, bardzo wczesnie ocienione czarnymi brwiami, za gęstymi i zbyt ostro zarysowanymi jak na dziecko. Ma ciemne, śniade policzki i pełne, pulchne rączki. Nos, typowy dla Karnowskich, na dziecięcej twarzyczce zawczasu wyraża upór i krnąbrność. Czerń włosów, których matka nie chce obcinać, przechodzi w błękit. Emma chce w chłopcu odnaleźć

podobieństwo do matki, lecz jest to bardzo trudne. Lea Karnowska jest szatynką, ma jasną cerę, szarozielone oczy, jej pełna twarz i postać wyraża wiele kobiecej dobroci.

— Usta ma zupełnie podobne do łaskawej pani

— mówi w końcu Emma, aby jakąkolwiek częśćkę swej chlebowczyni odnaleźć w jej dziecku.

Ale Lea nie chce tego przyznać.

— Nie, to są usta ojca — mówi. — Spójrz, Emmo.

Obie kobiety oglądają chłopca, dziko rozbawionego drewnianym koniem, na którym się buja. Mały odczuwa zainteresowanie kobiet, swoją ważność i pokazuje język. Emma jest obrażona.

— Mały, brzydki diabeł — karci go.

Czerń włosów chłopca i jego śniada cera przywodzi jej zawsze na myśl diabła. Lea Karnowska wpada w taki macierzyński zachwyty, gdy mały pokazuje jej język, że gwałtownie bierze go na kolana i obsypuje gorącymi pocałunkami.

— Szczęście, pociecho, skarbie, królu mój, oby najmniejszy twój ból przeszedł na mamę, mój słodki Mo- szele « szepcze żarliwie, przyciskając główkę chłopca do swej obfitej piersi.

Mały Georg wyrywa się z objęć matki, kopie pulchf nymi nóżkami jej kolana.

— Puść mnie, mutti, muszę do mego konia i — krzyczy rozgniewany.

Nie lubi, gdy matka gorąco go całuje i szczypie w policzki.

Bardziej jeszcze złości się, gdy matka mówi do niego obco, niezrozumiale i nazywa obcym imieniem. Nikt, ani ojciec, ani służąca Emma, ani dzieci w ogrodzie nie rozmawiają z nim takim obcym językiem, wszyscy nazywają go jego imieniem Georg albo zdrobniale Orię. Tylko matka rozmawia z nim inaczej i inaczej go nazywa. Dziecko tego nie lubi.

— Nie jestem Moszele, jestem Georg — rozgniewany poucza matkę.

Lea całuje jego czarne oczy.

— Złośnik, uparciuch, Karnowski, Moszele, Moszele, Moszele — szepcze w gwałtownym uniesieniu.

Aby go udobruchać, daje mu duży kawałek czekolady, choć jej Dawid nie pozwala dziecku dawać za dużo słodczy, aby go nie rozwydrzać. Mały gryzie białymi ząbkami brązową czekoladę i zadowolony zapomina o ob- cym imieniu, nawet pozwala się matce całować, ile tylko ona chce.

Gdy duży ścienny zegar w jadalni wybija godzinę ós- [mą, Lea kładzie swe dziecko do łóżeczka. Chce to robie i Emma, lecz Lea nie pozwala. Lubi sama układać Georga do snu. Myje mu buzię i zabrudzone czekoladą rączki, zdejmuje niebieskie marynarskie ubranko przybrane złotymi guzikami, białymi tasiemkami i kotwicą. Zakłada mu szeroką, długą do stóp koszulę, wsadza na ramiona i zanosz od jednej mezuzy do drugiej, aby je ucałował przed snem. Mały całuje mezuzy, jak mu matka każe. Nie wie, co to jest, ale wie, że kiedy je całuje, przychodzą do jego

łóżeczka dobrzy aniołowie i całą noc go strzegą. Mezuzy tkwią w małych rzeźbionych pudełeczkach błyszczących jak złoto, co małemu się podoba. Gdy matka odmawia z nim Krias Szma — chłopczyk wybucha śmiechem. Obce hebrajskie słowa bardzo śmiesznie brzmią w jego uszach, jeszcze śmieszniej niż żydowskie. Wierzga nogami, śmieje się niepohamowanie, gdy matka wnosi oczy do rzeźbionego sufitu i długo przeciąga "Jedyny" w Szma-Israel. Przypomina mu ptaka pijącego wodę i mały Georg gdacze jak kura. Święte słowo "Jedyny" wymawia jak ko-ko-ko...

Lea Karnowska blednie ze strachu. Obawia się, by dobrzy aniołowie, których przywołuje do czuwania nad łóżeczkiem dziecka — Michał z prawej, Gabriel z lewej strony, Ariel u wezgłowia, a Rafael z tyłu — nie uczynili czegoś złego chłopcu, który przedrzeźnia święte wyrazy.

— Dziecko moje — prosi go gorąco — nie rób tego, powtarzaj, skarbie, "Całym naszym sercem i duszą"...

— Bełebeche, chełeszeche — mówi malec i śmieje się głośno dźwięcznym śmiechem, rozbrzmiewającym po wszystkich pokojach obszernego mieszkania.

Mimo lęku, że święte słowa zostają ośmieszone, Lea wybucha śmiechem, śmieje się z komicznej wymowy chłopca i jego dzikich błazeństw. Wie, że grzeszy, ale nigdy nie może powstrzymać się od śmiechu, gdy ktoś się śmieje. Śmieje się głośno, do łez. Naraz uprzytamnia sobie, że Dawid w gabinecie może to usłyszeć. Wie, że nie lubi on śmiechu, przy tym są u niego goście, poważni ludzie, więc

Lea kryje usta w dziecięcej poduszce.

— Spać, spać! — udaje, że się gniewa na rozbawione dziecko, całuje je od główki do nóżek, każdy paluszek u rączek, potem każdy paluszek u nóżek, odwraca chłopca i znów całuje.

— Słodki jak miód — szepcze.

Okrywając go i przepraszając Boga za dziecięce igraszki, przechodzi do jadalni, znużona śmiechem i gorącym macierzyńskim przeżyciem.

— Emma, herbata dla panów! — woła w stronę kuchni.

Poprawia ubiór i włosy, które dziecko jej potargało, a wchodzi do gabinetu męża, aby poczęstować gości. Są to wyłącznie mężczyźni, wszyscy znacznie starsi od jej męża. Noszą ciemne, długie do kolan surduty i śniegobiałe koszule. Większość z nich nosi okulary. Wśród nich jest starzec o długich śniegobiałych włosach, które Jemu opadają na ramiona, i równie białej brodzie, wąsach i brwiach. Z tej oślepiającej bieli wygląda rumiana, wesoła twarz w okularach w złotej oprawie tkwiących na krótkim, mięsistym nosie. Nosi jarmułkę, pali długą porcelanową fajkę, która przydaje mu wygląd swojskiego rabina, czy też zgoła cadyka. Mówi wytwornym niemieckim językiem, jest profesorem.

Dobry wieczór, panie profesorze! ; mówi Lea rumieniąc się.

— Dobry wieczór, córeczko, dobry wieczór — mówi M profesor Breslauer. Jego dziecięco zarumieniona twarz jaśnieje w gęstwinie śniegobiałych włosów i brody.

Lea wita się z pozostałymi panami, na których, choć są ubrani po europejsku i mówią po niemiecku, młodość w jeszybotach pozostawiła wyraźne ślady, ich maniery są przesadnie świeckie i ceremonialne. Rozmawiają z panią Karnowską z nadmierną uprzejmością.

— Dobry wieczór, łaskawa pani — mówią, kłaniając się niezręcznie — jak szacowne zdrowie?

Wyjmują z kieszeni małe jarmużki, by odmówić błogosławieństwo nad poczęstunkiem, po czym szybko je zdejmują.

Błogosławieństwo odmawiają bardzo cicho, ledwie poruszając wargami. Profesor Breslauer odmawia błogosławieństwo głośno, równie donośnym głosem

— Wi komplementy pani Karnowskiej, chwalać domową struclę, którą podaje ona do herbaty.

— Hm... jest pani mistrzynią — chwali ją — tak prawdziwie żydowskiej strucli nie jadłem od sześćdziesięciu lat. Ma pan bardzo zdolną żonę, panie Karnowski.

Panowie w okularach, zażenowani, potakująco kiwają głowami. Jedynie dr Szpajer góruje nad profesorem Breslauerem w prawieniu komplementów pani Karnowskiej. Głaszcząc spiczastą bródkę, przystrzyżoną ostro jak ołówek, wychwala nie tylko jej struclę, ale również urodę.

— Czcigodna pani Karnowska — mówi rabin Szpajer — przewyższa alegoryczne dzielne kobiety z Przypowieści, albowiem napisano o nich, że wdzięk ich jest złudą, uroda głupotą,

jedynie cnoty ich są chwalone. Lecz łaskawa pani Karnowska posiada wszystkie przymioty. To jedyna dzielna kobieta, której wdzięk i uroda nie są oszustwem ani grzechem próżności, lecz idą ręką w rękę z jej moralnymi cnotami, szanowni panowie.

Profesor Breslauer jest niezmiernie uradowany.

— Jest pan istnym łowcą kobiet, drogi rabinie Szpajer

— grozi mu palcem, -^r- Opowiem o tym rabinowej.

Śmieją się wszyscy, zadowoleni z tej chwili lekkiej rozmowy, stanowiącej moment odprężenia w dyskusji o Torze i jej mądrości. Nie śmieje się tylko gospodarz domu, Dawid Karnowski. Jest młodszy od innych, najmłodszy w tym gronie, tryska energią i żywotnością, nie lubi próżnej gadaniny, jest bardzo zaangażowany w rozważanie problemów oświecenia i nauk. Chce właśnie opowiedzieć swoim gościom o zabytkowej księdze, którą znalazł wśród makulatury w księgarni rabi Efraima Waldera na ulicy Dragoiiskiej. Dawid Karnowski nie znosi paplaniny z kobietami.

— Czy wiecie, panowie H przerywa — znalazłem niezwykle stary Midrasz Tanchuma, wydany w roku...

Lea wychodzi z gabinetu męża. O Midraszu Tanchuma nie ma nic do powiedzenia. Przy tym wie, że jej Dawid nie bardzo jest rad, gdy ona przebywa w gabinecie, kiedy są jego szanowni goście. Lea dotychczas nie nauczyła się jsczycz dobrze niemieckiego, mówi błędnie, wtrącając zwroty w narzeczu miclnickini, co wprawia jej męża w zakłopotanie i Lca, zawstydzona, wychodzi z pokoju. Mimo wszystkich przesadnych

komplementów ze strony gości czuje się nagle jak służąca, która wy?j
konała swą pracę i może odejść. Wisząca w pokoju lampa rzuca
długie cienie. Leę ogarnia ciężki smutek, siada sama w dużym pokoju
i ceruje skarpetki męża.

Wprawdzie mieszka już kilka lat w obcym dużym mieście, lecz
jest ciągle samotna, jak w pierwszym okre- j sic po przybyciu do
niego. Wciąż tęskni za rodzicami, y przyjaciółkami, za każdym
zakątkiem w miasteczku po drugiej stronie granicy, gdzie się urodziła
i wychowała. Mąż traktuje ją dość dobrze, jest wierny, zapewnia jej;
wszystko, lecz mało z nią przebywa. W ciągu dnia jest I zajęty
handlem drzewnym, wieczorami studiuje swe księgi lub przyjmuje
gości, z którymi dyskutuje o Torze i jej mądrości. Lca nic rozumie
jego handlowych spraw, nic rozumie też Tory. Sąsiedzi również są
obcy. Pozdrawiają się tylko podczas przypadkowych spotkań na
schodach, j Lca nie ma się gdzie podziąć w swej obcości i osamot-
nieniu. Rzadko wychodzi z mężem. Jedyne w święta idą i razem do
synagogi, Dawid w cylindrze, ona w święte- j cznym stroju. Zakłada
biżuterię. Idą powoli, trzymając się pod rękę. Po drodze spotykają
inne pary, lak samo jak Lca z mężem trzymające się pod ramię i
spacerujące powoli w atmosferze świątecznego odpoczynku i odprę- |
żenia. Mężczyźni zdejmują cylindry, kobiety kłaniają się, czasem
znajomi pytają o szacowne zdrowie. to wszy- - stko.

Lca jest przyjazna, pogodna, wesoła, lecz nic umie zbliżyć się do
szanownych part w synagodze. Nic jest] pewna swej znajomości
języka niemieckiego, ani swego i wykształcenia. Czuje się obca,

załęczniona. Obce są jej również modły kantora w synagodze. Są wprawdzie odprawiane w języku hebrajskim, lecz brzmią tak, jakby je wypowiadał ksiądz. Równie obcy jest jej chór i kazania dr. Szpajera. Sztywny jest ten rabin, twarz ma chłodną, i natomiast przemawia sztucznie, uroczyście, szeroko gestykulując, co się klóci z całą jego postacią i wyrazem twarzy. Jego język jest wytworny, upiększony retorycznymi obrazami, przeplatany cytatami z dzieł niemieckich poetów i filozofów, fragmentami i szkicami ze świętych ksiąg. Kobiety w synagodze zachwycają się kazaniem dr. Szpajera.

— Jest boski — mówią w euforii — czy nie sądzi pani, pani Karnowska?

— Tak, naturalnie, naturalnie — dodaje Lea.

Lea jednak nic nie rozumie z tego, co słyszy. Niewiele też orientuje się w dwujęzycznym hebrajsko-niemieckim modlitewniku.

Hebrajszczyzna kantora nie podoba się Lei. Synagoga, Arka Przymierza i Tora nie wydają jej się żydowskie, nawet Bóg jest dla niej obcy w tej lśniącej nieżydowskiej świątyni. Rada byłaby jak jej matka w domu rozmówić się ze Stwórcą za pomocą kobiecego westchnienia, nazywać go Ojcem. Lecz nic śmie tego czynić w tym rzeźbionym pałacu, który raczej przypomina bank niż Dom Boży.

Dawid Kaniowski jest bardzo dumny ze swej synagogi oraz ludzi, którzy się w niej modlą. Nie tylko szanują go jak kogoś ze swego środowiska, ale też przyjęli do zarządu świątyni. Od czasu do czasu dostępuje zaszczytu asystowania kantorowi przy wyjmowaniu Tory z

Arki Przymierza i umieszczaniu jej tam z powrotem po odczytywaniu. Srebrną rączką wskazuje lektorowi odpowiednie fragmenty do odczytywania. Odczytujący Torę ściskają mu potem rękę, jak nakazuje zwyczaj. Pozdrawiany jest też pierwszy po sobotnim nabożeństwie. Wszystkie te zaszczyty bardzo podnoszą na duchu Dawida Karnowskiego. Po mielnickiej synagodze, gdzie dzikusy tak go obrazili, podobne honory ze strony starych, zasiedziałych berlińskich obywateli, bogatych, uczonych, intelektualistów były wielkim sukcesem. Pragnie, aby Lea również umiała to docenić i szczylić się tym. Lecz ona nic rozumie, że należy to doceniać, ani się tym nie szcyci. Czuje się wobec przyjaciół męża obca i zagubiona. Jeszcze bar-

dziej zagubiona jest w czasie wizyt u dr. Szpajera, gdziej czasem bywa zaproszona. Żona rabina jest bardzo pobożni na, choć jej mąż jest rabinem reformowanym. Modli się? ona trzy razy dziennie, wciąż myje ręce, odmawia bło- f gosławieństwa nad każdą szklanką kawy, nad słodyczami^ i owocami. Jest jednocześnie wybitną znawczynią litera"! tury, podobnie jak jej mąż, cytuje poetów, recytuje na: pamięć poematy. Pochodzi z Frankfurtu — to córka ra-| binów od pokoleń, jest naszpikowana wiedzą i mówi jak| uczony mężczyzna. Ponieważ jest bezdzietna, nigdy nie| mówi o dzieciach, lecz opowiada o swych mądrych?! uczonych, błogosławionej pamięci dziadach i pradziada dach rabinach. Zna rodowód wszystkich znaczniejszych żydowskich rodzin, nie tylko we Frankfurcie i Berlinie, lecz w całym kraju. Zna pochodzenie wszystkich, wie, kto z kim zawarł małżeństwo i ile kto

jest wart. Jej goście są równie szacowni i wysoko urodzeni jak ona. Prze-i ważnie są to starsze kobiety, nie zainteresowane już strojami, czy rozmowami o ciąży i rodzeniu. Rozprawiają i dużo o ślubach, posagach, prezentach, wysokim pocho-|j dzeniu. Pani rabinowa dominuje nad wszystkimi. Nie mówi, lecz wygłasza kazania, często przytaczając, co powiedział jej ojciec lub dziadek.

—Mój błogosławionej pamięci dziadek, znakomity rabin we Frankfurcie, powiedział kiedyś w genialnym kazaniu w pokutną sobotę... — opowiada z wielką dumą.

Lea Karnowska nie ma nic do opowiedzenia o swych j dziadach, żydowskich arendarzach w polskich wsiach, j Aby coś mówić, próbuje przytoczyć jakąś mądrość swe- jI go jedynaka, w tej dziedzinie jednak nic nie ma do;; powiedzenia pani rabinowa, która woli podzielić się I wspomnieniem o mądrości któregoś ze swych przodków. Lea Karnowska oddycha z ulgą, gdy wychodzi od pani j rabinowej. |"

—Dawidzie — prosi męża, który ją prowadzi pod■ ramię do domu — nie zabieraj mnie więcej na wizyty. J

Dawid Karnowski niecierpliwi się.

!| Na litość boską, rozmawiaj po niemiecku.

Niemiecki — to dla niego oświecenie, światło, Mojżesz Mendelssohn, mądrość Izraela. Język Lei to dla niego mielnicki rabin, chasydzi, głupota i prostactwo. Szczególnie obawia się, by ktoś na ulicy nie usłyszał tego obcego języka i nie wziął go za mieszkańca ulicy Dragońskiej.

Po powrocie do domu Karnowski ma pretensje do Lei. Po raz któryś z kolei upomina ją, by pamiętała, kim jest. Już nie jest kobiecina z Mielnicy, jest panią Karnowską, żoną Dawida Karnowskiego, który przyjaźni się z godnymi, zasiedziałyymi mieszkańcami Berlina. Dawid Karnowski nie może jak jakiś stary kawaler czy szarlatan, który nie żyje zgodnie ze swą żoną, chodzić sam na wizyty. Lea powinna mu towarzyszyć, jak to ma miejsce w małżeństwach ze wszystkich znaczniejszych domów. Lea powinna się przyzwyczaić rozmawiać z ludźmi, przebywać ze znamienitymi damami, musi pracować nad sobą, czytać — on też to robi — aby mężowi nie przynosić wstydu. Przede wszystkim musi pracować nad językiem niemieckim i nad jego gramatyką, mówić nim stale, a nie trzymać się uporczywie mielnickiego żargonu, który psuje wymowę. Powinna zżyć się z nowym światem podobnie jak on, Dawid Karnowski. Nikt już w nim nie rozpozna obcego. Lea wysłuchuje karcących słów męża, wszystkich jego wyrzutów i nie wie, co mu odpowiedzieć. Czuje się osamotniona.

Jak zawsze w takich razach pisze listy do domu, do rodziców, do siostry, do brata w Ameryce, do rodziny, do przyjaciółek. Całe swe serce, całą tęsknotę wkłada w te żydowskie listy.

Dawid nie rozumie, jak wiele ma jego żona do pisania. On również pisze dużo, ale ma ważne sprawy, pisze listy poświęcone rozliczeniom w handlu drewnem albo pisma hebrajskie dotyczące oświecenia lub problemów naukowych. O czym zaś może tyle pisać kobiecina, w dodatku w żargonie i to do Mielnicy — nie może

zrozumieć. Jednak nie mówi tego Lei. Przez ciekawość rzuca jedynie okiem na jedną z jej kartek, uśmiecha się z powodu błędów w wyrazach hebrajskich, wodzi swymi ciepłymi, brązowymi palcami po jej miękkich włosach, czuje ich jedwabistą gładkość. Lea przypada do niego swym kobiecym ciałem, tuli się.

— Dawidzie, kochaj mnie — prosi. — Kogo mam poza tobą i dzieckiem?

W miłości Karnowski zapomina o swej godności o mądrości Izraela, o jednej rzeczy jednak pamięta — o języku niemieckim, którym nawet w najwyższej ekstazie przemawia serdecznie do żony. Lea jest urażona.!, Nie cieszą jej czułe słowa wypowiedane w obcym języku. Nie może się w nich doszukać smaku prawdziwej miłości. W sklepie sprzedaży okazji Salomona Buraka przy alei Landsberskiej, niedaleko starej galicyjsko-polskiej dzielnicy żydowskiej, jest rojno i gwarno. Kobiety wszelkiego wieku i wyglądu, starsze, tęgie Niemki w ciężkich, ciemnych, przybranych kwiatami i wstęgami kapeluszach na wysokich fryzurach; wychudłe, blade żony robotników z dziećmi na rękach, młode jasnowłose dziewczęta w jaskrawych długich sukniach i z wysokimi parasolkami w rękach zapełniają obszerny sklep, załadowany od sufitu do podłogi najróżniejszymi towarami, od białej bielizny, płócien, sukna, jedwabi, pończoch, fartuchów do atlasowych sukien ślubnych i welonów, od wypraw dla położnic i niemowląt do całunów i ubiorów dla zmarłych do ich wiecznego spoczynku. Sprzedawcy i sprzedawczynie — elegancy, czarnowłosi i czarnoocy — pracują niezwykle zwinnie,

szybko i sprawnie obsługują masy klientów. Przymierzają, dopasowują, wygładzają, uśmiechają się, gorączkowo liczą i pakują.

— Blżej, proszę pań, blżej — zapraszają stojące w kolejce kobiety do robienia zakupów.

Przy kasie siedzi pani Burak, przyjmuje pieniądze i wydaje resztę. Jej miękkie, przyozdobione pierścionkami palce pracują bardzo szybko.

— Dziękuję bardzo — mówi, uśmiechając się zawsze do ludzi i pieniędzy.

Zręczniejszy, ruchliwszy i bardziej od innych wylegantowany jest właściciel sklepu, Salomon Burak. Szczupły jasny blondyn, w bardzo jasnym angielskim ubraniu w kratkę, z czerwonym krawatem i jedwabną chusteczką w górnej kieszeni marynarki, z dużym sygnetem na wskazującym palcu prawej ręki, przypomina raczej niemieckiego komedianta lub cyrkowca niż właściciela sklepu konfekcyjnego w pobliżu żydowskiej dzielnicy. Jego niemiecki jest bardzo berliński, z akcentem i soczystością miejskiej, ulicznej gwary. Ruchliwość i nerwowość

zdradza w nim jednak Żyda, i to nie niemieckiego, lecz przybyłego ze wschodu. Jak wicher krąży po obszernym sklepie, zręcznie przesuwając się w gąszczu kobiet. Wszędzie go pełno.

— Markę więcej, markę mniej — mówi do sprzedawców i sprzedawczyń. — Byle dalej, lubię ruch w interesie.

To była jego zasada od pierwszego dnia, gdy jako młody chłopiec przybył tu z Mielnicy i z workiem na plecach wyruszył jako

domokrążca po niemieckich j wsiach. Reguły tej przestrzegał także później, gdy przy i ulicy Linien w dzielnicy żydowskiej założył mały sklepik z konfekcją na raty. Hołduje jej nawet obecnie, gdy już i od dawna wydzwignął się z polsko-galicyjskiej dzielnicy j i prowadzi handel na dużą skalę przy alei Landsberskiej. Lubi handlować — kupować, sprzedawać i znów kupować. Obraca dużymi partiami towarów, im większymi, tym lepiej. Kupuje resztki materiałów, artykuły już nie- J modne, towary wybrakowane, pozostałości po bankru- tach, pożarach — słowem wszystko, co jest tanie. Naby- | wa po niskich cenach i po takich sprzedaje — za go- tówkę, na raty, przyjmuje weksle. Nie ma już sklepu na I ulicy Linien, a i klientelę ma chrześcijańską. Nie ukrywa I jednak, jak większość kupców w tej okolicy, swego ży- | dostwa. Swoje żydowskie nazwisko, Salomon Burak, wy- pisał na szyldzie dużymi literami. Nie stara się upiększać i swego sklepu jasnowłosymi sprzedawcami i sprzedaw- czyniami wyznania chrześcijańskiego, jak inni żydowscy j kupcy, chcący w ten sposób ukryć wobec klientów swoja I żydowskość. Zatrudnia raczej krewnych swoich i żony, których sprowadza z Mielnicy. Daje im możliwość zarób- ■ kowania i — jako swoim — może im zaufać. Młodszy, ■ którzy już obeznali się z handlem i językiem, pracują w sklepie. Starsi pobierają od klientów należności za J raty.

Sąsiedzi, żydowscy kupcy, zasiedzieli i zniemczali, ■ żywią urazę do Salomona Buraka. Nie tyle o to, że ob- I niża ceny i sprzedaje tanio, ile o to, że przeplancowa' I

« _____ Jlj

rosyjską żydowskość na niemiecką aleję Landsberską. Nie znoszą imienia Salomon, którym się afiszuje wyzywającymi wielkimi literami na szyldzie. Uważają to za żydowską zuchwałość, która drażni chrześcijan.

— Po co "Salomon"? — pytają Salomona Buraka. — Wystarczy samo nazwisko. A jeżeli już konieczne jest imię, wystarczy początkowa litera "S".

Salomon Burak śmieje się szczerze ze swych pobratymców. Nie sądzi, by było coś złego w imieniu Salomon. Nie rozumie też, co sąsiedzi mają przeciwko sprzedawcom sprowadzonym z drugiej strony granicy. Swą prostacką niemczyzną, której się wyuczył, gdy był domokrażcą, ze wszystkimi charakterystycznymi powiedzonkami, ordynarnymi wyrazami i błędami, wplatając słowa hebrajskie i to pochodzące z mielnickiego żydowskiego narzecza, wykazuje obrażonym sąsiadom, że lepiej wychodzi na swoim "Salomonie" niż oni na swych chrześcijańskich sprzedawcach, którymi się popisują wobec nie-Żydów. Mimo że imię jego brzmi Salomon, chrześcijańskie kobiety i dziewczęta przychodzą do jego sklepu, gdzie można zakupić towar o kilka fenigów taniej.

— Jak to się mówi, Żyd jest trefny, ale jego fenig jest koszerny.

Nie ceni swoich współwyznawców ani sąsiadów kupców, ani fabrykantów, u których kupuje duże ilości towarów, ani nawet dyrektorów banków, od których dostaje poważne kredyty. Udowadnia im, że choć są zasiedziały od pokoleń jękami, chrześcijanie nienawidzą ich tak samo jak jego, obcego, jak wszystkich Żydów i

dlatego jego pobratymcy nie powinni się wynosić nad niego,
Salomona Buraka.

— Jak to się mówi: Fritz, czy jak on się inaczej nazywa, nienawidzi Żydów, lubi jednak ich kiesę — kończy Salomon Burak, zacierając dłonie na dowód, że wszystko jest załatwione i nie ma o czym więcej mówić.

Poważni czarnoocy berlińczycy, zazdroszcząc obcemu jego nieżydowskiego wyglądu, niespokojnie kiwają głó-

wami. Wiedzą, że ma słuszność, fakty to potwierdzają, niemniej jednak nic chcą tego słyszeć od byłego domokrażcy, który tak szybko wdarł się na aleję Landsberską. Niepokoją ich ci ludzie, którzy swymi imionami, manierami, językiem i metodami handlu hańbią ich— starych ; zasiedziały i zniemczały eh. Boją się nowo przybyłych, spod ziemi wyciągających żydowskość, którą oni, starzy mieszkańcy, przed laty tak skrętnie ukryli i zamaskowali.

— Zostawmy to — mówią, chcąc zakończyć rozmowę o sprawach bolesnych.

Salomon Burak chce zaś o tych sprawach mówić właśnie dlatego, że sąsiedzi nie lubią o nich słuchać i powraca do tego tematu przy każdej sposobności. Wtrąca też żydowskie powiedzonka do rozmów z fabrykantami i dyrektorami banków, których to bardzo upokarza. Lecz nie tylko w stosunkach z Żydami Salomon Burak używa swego mieszanego języka. Stosuje go też w sklepie, gdy klientka zbyt zaudza.

— To jest najnowsza moda k la Kołomyja — żartuje z udaną

powagą. — Święta Pamięci, model nr , czyż nie, Maks?

Podobnie jak w sklepie, rojno jest zawsze w jego obszernym mieszkaniu. Pełno tam zawsze krewnych, przyjaciół, znajomych, a przede wszystkim ziomków z Mielnicy. Gdy jakaś Żydówka przyjeżdża do sławnego niemieckiego profesora, albo gdy jakieś małżeństwo wybiera się do Ameryki, zajeżdżają zawsze do Szlomele Buraka, który zmienił tu imię na Salomon. Pozostają u niego kilka dni, nawet tygodni. Jada się przy dużym stole, sypia na miękkich kanapach. Salomon Burak żartuje ze swego gwarnego mieszkania, nazywa je hotel du wanc. Lecz to dla żartu, a nie dlatego, że nie chce tych ludzi przyjmować.

— Życ i pozwalać żyć — mówi do żony, którą nieraz nużą goście.

Czasami do "hotelu" wpada Lea Karnowska, która pochodzi z tego samego miasta co Salomon i Ita Bura- kowie.

Lea Karnowska nie zachodzi do Buraków, gdy jej mąż jest w domu. Dawid Karnowski nie chce mieć nic do czynienia z mielnickimi krajanami. Właśnie dlatego, że sam jest "obcym", chce jak najmniej się z podobnymi sobie spotykać. Pragnie zapomnieć o latach spędzonych po tamtej stronie granicy, wymazać je z pamięci. Ponadto Bura- kowie w Mielnicy również stali niżej od niego w hierarchii społecznej. Nie znał ich, słyszał, że byli biedakami i prostakami. Karnowski — wykształcony, pochodzący z wyższej sfery — nie cierpiał ludzi prymitywnych, ignorantów. Już pierwszego dnia, gdy Burakowie bez zaproszenia złożyli wizytę Lei Karnowskiej, a Salomon, z cygarem w ustach, spoufalał się z Dawidem i klepał go po

plecach, Karnowski odepchnął go od siebie tak brutalnie, że Burak zrozumiał, że więcej tu nie należy przychodzić.

—Nic z tą hołotą nie mam wspólnego — powiedział potem Lei — i ty powinnaś ich unikać. To nie jest towarzystwo dla żony Dawida Karnowskiego.

Więc Lea unika spotkań z ludźmi ze swego miasta. Lecz gdy Dawid wyjeżdża do Bremy i Hamburga w sprawach swego drewna i spędza tam kilka dni, czy nawet tydzień, Lea czuje się tak osamotniona w swym dużym mieszkaniu, że nie wie, co ze sobą począć. Ukradkiem wychodzi do Buraków, aby zobaczyć bliskich sobie ludzi, porozmawiać swojskim językiem. Zarówno Ita Burak, jak i jej mąż Salomon, przyjmują ją bardzo przyjaźnie.

—Och, Lea, córka rabi Lejba Milnera! — cieszy się Ita i klaszcze w ręce. — Salomon, Szlomele, przyjdź i zobacz, jakiego mamy gościa!

Salomon-Szlomele śmieje się rozradowany.

—Tisza b'Aw musiało w tym roku wypaść na początku miesiąca, skoro pani Karnowska była łaskawa odwiedzić Salomona Buraka — mówi śmiejąc się.

Chodzi wokół niej z przesadną elegancją, tak jak uczono go chodzić wokół dam w kawalerskich czasach w taniej sali tańca. Pomaga jej zdjąć długi płaszcz i odbiera parasolkę.

—Mąż wyjechał? — pyta Ita i całuje się z Leą, która zdjęła duży kapelusz z piórami i woalką.

—Tak, Itele — mówi zażenowana Lea i mruczy coś; zakłopotana,

aby usprawiedliwić się przed ludźmi, że musi do nich przychodzić ukradkiem.

Salomon Burak żartuje. Podbiega do pieca, sprawdza, czy ruszt się nie zapada. Daje w ten swojski sposób do zrozumienia, że gdy dostojny gość nieoczekiwanie przychodzi, istnieje obawa, że tak się stanie. Ita, która odkąd wyszła za mąż za Salomona, poucza go i hamuje jego wybryki, powstrzymuje prostackie, szczeniackie kawały męża.

— Szlomele — czyni mu wyrzut. — Salomon, zostaw piec.

Lea Karnowska śmieje się z mielnickiego dowcipu. Czuje tchnienie swojskości, przytulności. Jest jej dobrze w tym domu, ma ochotę się śmiać, śmiać głośno. Ita tylko czeka na okazję i też wybucha śmiechem. Zawsze lubiła się śmiać, śmiała się najbardziej ze wszystkich kobiet i dziewcząt. Salomon zadowolony, że dowcipy jego przyjęto z uznaniem, ciągnie je dalej.

— Co porabia wielkanocny indyk? — pyta.

— Wielkanocny indyk? — Lea nie rozumie.

— Mam na myśli pana Karnowskiego — wyjaśnia Salomon — Czy nadyma się?

To już jest zbyt wiele i dostaje mu się od Ity.

— Szlomele — mówi — nie zapominaj się. Idź, powiedz raczej służącej, aby coś podała do stołu.

Lea zajada makowiec, rogaliki, obwarzanki, zupełnie takie same, jakie pieczono u niej w domu na sobotę. Kosztuje miodowniki, powidła i jest jej bardzo przyjemnie.

— Zupełnie jak w Mielnicy, jak u nas w domu — mówi. — Jak rozkosznie.

Pokój zapełnia się ludźmi. Dom państwa Buraków jest otwarty. Służące o nic nie pytają przy drzwiach, wszystkich wpuszczają. Przychodzą tu często nie tylko krewni, czy ludzie prowadzący jakieś interesy z gospodarzeni, lecz również pośrednicy i agenci, drobni kupcy ze starej żydowskiej dzielnicy po datki na cele dobroczynne. Składają wizyty różni działacze religijni z Galicji, wnuki pisarzy, umysłowo niedorozwinięci Żydzi potrzebujący ciepłych kąpeli, zbierający na posagi ojcowie starych panien, podupadli poważni obywatele, zwykli żebracy, pogorzelnicy, chorzy, którzy chcieliby się dostać do zagranicznego profesora. Salomon Burak nikogo nie wypuszcza z pustymi rękoma.

s- ■Raz pod wozem, raz na wozie. Żyć i pozwalać żyć — mówi, szybko wyliczając pieniądze.

Liczne pokoje, zastawione najnowszymi meblami, ozdobione różnorakimi bibelotami, figurkami, obwieszane jaskrawymi oleodrukami, są zatłoczone gośćmi. W kuchni zawsze się gotuje. Chrześcijańskie dziewczęta, które Ita nauczyła gotować różnego rodzaju żydowskie potrawy, sporządzają kugel i smakołyki z marchwi, nadziewają ryby, krają makaron, pieką makowce, miodowniki, bez przerwy podają do stołu. W pokoju unoszą się kłęby dymu papierosowego, rozlega się zgiełk rozmów, śmiech. Wyelegantowani sprzedawcy rozprawiają o handlu, o

doświadczeniach z dziewczętami, o starciach z wrogami Izraela. Dziewczęta rozmawiają o modzie, oszczędnościach, posagach i ślubach. Poborcy rat opowiadają o dobrych i złych płatnikach, o przyzwoitych i złych chrześcijanach. Przede wszystkim rozmawia się o Mielnicy. O wszystkim, co się tam wydarzy, tu się wie. Wiadomo, kto się wzbogacił, kto zubożał, kto umarł, czyje dziecko zawarło małżeństwo i kto z kim się pokłócił, kto padł ofiarą pożaru, kto już wyjechał do Ameryki, a kto dopiero zamierza się tam udać. Lea Karnowska chłonie te wiadomości, jej twarz płonie | ciekawości i szczęścia. Znow jest w domu. Przed jej oczyma przewija się całe miasto ze wszystkimi mieszkańcami. Od czasu do czasu uprzytamnia sobie, że siedzi zbyt długo i próbuje wstać z miejsca. Lecz ani Ita, ani Salomon, ani pozostali obecni nie pozwalają jej wyjść.

— Nie pozwolę ci odejść, Leo — mówi Ita i trzym ją za rękę.

Lea nie daje się długo prosić, chce sobie wynagrodzićH męczące wizyty u pani rabinowej, urozmaicić swe smutne, monotonne życie. Tu nie musi się liczyć z każdym i słowem, tu może rozmawiać swobodnie, poruszać się jak w domu, opowiadać o sukniach, gotowaniu, o mądrości swego dziecka i wysłuchiwać od Ity cudów o jej dzie- j ciach. A najważniejsze — tu może się śmiać, śmiać z każdego drobiazgu, jak wtedy, gdy była panną w rodzinnym domu. A gdy nakrywa się stół i podaje swojskie potrawy, kluseczki z rybem bulionem, Lea jest niezmiernie szczęśliwa.

— Kluseczki z bulionem — cieszy się. — Mielnickie kluseczki.

Zebrani zajadają ze smakiem domową kolację i słuchają

soczystych historyjek pana domu, o przygodach i kłopotach, których musiał doświadczyć od chrześcijan i ich psów w czasach, gdy po przybyciu do tego kraju włóczył się jako domokrażca z walizką, aż z Bożą pomocą wydzwignął się i może śmiać się z głupich jęków. Od jęków chrześcijańskich przechodzi do jęków żydów- : skich, którzy podobnie jak rodowici Niemcy nie cierpią obcych i utopiliby polskiego Żyda w łyżce wody.

— Czyż trzeba więcej, nawet poznańscy Żydzi, którzy przecież byli dawniej polskimi, wynoszą się nad polskich j Żydów — żali się ktoś.

— Czy nasi są lepsi? — pyta Salomon. — Gdy tylko dobijają się do “wysokich okien”, nie chcą spojrzeć na kogokolwiek z nas.

Ita słysząc, że mąż jej wygaduje głupstwa w obec- ; ności Lei, strofuje go.

— Szlomele, nie mów tyle, połkniesz jeszcze ość w bulionie, Salomoneczku.

Zawsze zwraca się do niego dwojgiem jego imion ; — Szlomele, Salomon.

Szlomele-Salomon popija trochę domowej pesachowej śliwownicy, którą pije przez okrągły rok i macha obiema I rękoma na wszystkich jęków — chrześcijańskich, żydowskich, poznańskich...

— Niech ich piekło pochłonie — mówi. — Jeszcze będą musieli cylindry zdejmować przed Salomonem Burakiem, albo imię moje nie jest Szlome.

Doznaje wielkiej przyjemności na myśl o tym, że tak kiedyś się stanie, nakręca zielony gramofon z dużą tubą. Z nowej płyty, zakupionej w księgarni Efraima Waldera przy ulicy Dragońskiej, płynie swojska pieśń kantora *Za nasze grzechy*. Gramofon rozczula się przed Stwórcą świata, jęczy, pławi w rozkoszy, wdzięczy, prosi jak dziecko ojca. Leę ogarnia fala religijnej ekstazy, jak za czasów panieńskich, gdy matka zabierała ją w Straszne Dni do kobiecej synagogi. Choć nie rozumie znaczenia hebrajskich słów, odczuwa ich rodzimy sens, jęk i błaganie. Blaszany mówiący instrument przybliżają bardziej do Boga niż kantor w synagodze i chóralne w niej śpiewy.

—Boże! — wzywa swojsko Stwórcę. — Ojczye słodki...

Dawid Karnowski, wierny maksymie swych nauczycieli, zwracał baczną uwagę na to, aby jego jedyny syn wyrósł na Żyda w domu i nie-Żyda poza domem. Mimo to chrześcijańscy mieszkańcy uważali małego Georga nie za Niemca, lecz za Żyda.

Podwórze dużego domu przy ulicy Oranienburskiej nie jest zbyt duże, lecz tętni życiem. Mieszkania z frontu, gdzie mieszkają również Karnowscy, są obszerne. Frontowych mieszkań jest niewiele. Schody są tu szerokie, pomalowane. Nad wysokimi podwójnymi drzwiami świecą lampki gazowe. Okna tych mieszkań wychodzą na ulicę. Dzieci w nich jest niewiele. Pozostałe mieszkania, od strony podwórza, są małe, ciasne i pełne dzieci. Śmietnik na podwórzu jest duży. Mnóstwo tam psów i kotów. Z otwartych okien dochodzą kobiece krzyki i śpiewy dziewcząt. Tu i ówdzie stuka maszyna do

szycia, szczeka pies. Dość często pojawia się kataryniarz z katarynką i śpiewa żołnierskie albo miłosne piosenki. Ze wszystkich okien wytykają głowy kobiety. Na podwórzu wszędzie jest pełno dzieci, a najwięcej ich przy śmietniku.

Wśród tych jasnowłosych, błękitnookich, krótkonosych o jasnej cerze niemieckich chłopców i dziewcząt jedynie Georg jest czarnowłosy, czarnooki, śniadoskóry. Mimo że mieszkanie jego rodziców znajduje się od frontu, przebywa stale z dziećmi na podwórzu. Wśród tych jasnoskórych dzieci jego śniadość uwydatnia się szczególnie. Podobnie wyróżnia się jego impulsywność i zapalczywość. Czy to przy grze w żołnierzy, zbójców, czy też podczas zabawy w zające i myśliwego, jest pełen zapału. Jest prowodyrem, wydaje polecenia, kieruje grą. Dzieci go słuchają, tak jak zwykle słucha się wydającego rozkazy. Georg nie tylko je wydaje, lecz również karze tych, którzy ich nie wykonują. Z roziskrzonymi czarnymi oczyma, które miotają płomienie, zarumienionymi śniadymi policzkami, nieco zbyt dużymi i nierównymi, lecz bardzo białymi i mocnymi zębami, wylaniającymi się zza czerwonych i pełnych warg, z uporem właściwym Karnowskiemu, pełni rolę przywódcy wśród chłopców z jasnymi, przystrzyżonymi szczoteczkami włosów na długich głowach i wśród dziewcząt o ciasno splecionych warkoczykach i piegowatych, miękkich szyjkach. Jego pełne brązowe rączki wyciągają z kółka tych, którzy psują grę, nie biegają dość szybko.

— Och, te dziewczyny psują całą zabawę — gorączkuje się jako

mężczyzna.

Początkowo obrażone dziewczęta przezywały go, podkreślając śniadość jego skóry, która przede wszystkim rzucała się w oczy, wyróżniała go od innych.

— Czarny kruk — krzyczały — czarna małpa.

Georg nie milczał, udzielał im od razu nauczki.

Dziewczęta wybuchały płaczem i wołały matki na pomoc.

Rozzłoszczona mama wybiegała i wygrażała małemu Georgowi drutem od swej ręcznej robótki.

— Wstrętny, mały Żydziaku — krzyczały — nie podnoś swoich żydowskich łap na moją małą dziewczynkę.

Georg, zaskoczony, otworzył szeroko oczy, gdy po raz pierwszy go tak nazwano. Mimo że matka co dzień podnosiła go do mezuz, aby je całował przed snem, choć ojciec uczył go już alfabetu żydowskiego, nie wiedział, że oznacza to, iż jest Żydem. Był pewien, że wszystkie dzieci muszą wymawiać te śmieszne wyrazy przed snem i uczyć się obcych, trudnych liter. Bardzo zagniewany przybiegł do swej matki.

— Mutti — opowiadał ze złością — dzieci na podwórzu wołają na mnie Żyd.

Lea Karnowska głaskała jego miękkie, czarne włosy.

— Niech cię to nie obchodzi, moje dziecko — powiedziała. To nie są dobre dzieci, nie baw się z nimi. Chodź lepiej ze mną do parku, będziesz się bawił z dobrymi dziećmi.

Georga nie zadowoliła rada matki.

— Co znaczy Żyd, Muttil — spytał.

— Żyd to taki człowiek, który wierzy w jednego Boga w niebie —
wyjaśniła matka.

^ — Czy jestem Żydem, Muttil

■ — Oczywiście, moje dziecko.

— A kim są dzieci na podwórzu? — Georg nie rozumiał.

. — | Są chrześcijanami. fe^TT Co to znaczy?

Lea zastanowiła się.

— Chrześcijanie to tacy ludzie, którzy nie modlą się w synagodze,
lecz w kościele — wyjaśniła mu w końcu różnicę między Żydami a
chrześcijanami. — Nasza służąca Emma jest chrześcijanką,
rozumiesz, dziecko?

Georg zrozumiał, lecz dlaczego trzeba na podwórzu krzyknąć za
nim "Żyd" i w dodatku "wstrętny Żyd", tego absolutnie nie pojmował.
Rozumiał to jeszcze mniej, gdy podrósł i chłopcy w szkole mu
powiedzieli, że to on ukrzyżował Chrystusa. W czasie lekcji religii
kazano Georgowi i jeszcze kilku czarnowłosym jak on chłopcom
wychodzić z klasy. Zadowolony, że jest zwalniany z lekcji na jakiś
czas, wstydził się jednak, jak zwykle dzieci, gdy się je odseparowuje
od innych. Nie wiedział, dlacze- go tak się dzieje, ale chłopcy
chrześcijańscy mu to wyjaśnili.

— Żyd nie powinien się uczyć o Panu Jezusie Chry-i stusie —
tłumaczyli — gdyż Żydzi Pana Jezusa ukrzy- ! zowali. Jesteś
przeklętym zabójcą Chrystusa.

Znów pobiegł do matki.

— Mutti, co to znaczy zabójca Chrystusa? — pytał. I

Lea Karnowska z macierzyńską troską i niezbyt jasno opowiedziała dziecku, że chrześcijanie służą Bogu, który jest wykonany z drzewa i wisi na krzyżu z gwoździami wbitymi do rąk i nóg. Chrześcijanie mówią, że to Żydzi ukrzyżowali ich Boga.

— Czy to prawda, Muttil

— Niemądre dziecko — odpowiedziała Lea. — Bóg jest jeden, przebywa w niebie, nikt nie może go zobaczyć. Jakżeż więc ludzie mogą powiesić Boga?

Georg wyśmiewał się więc z dzieci, które w takie bzdury wierzą. Lecz to, że również dorośli, którzy wiedzą wszystko, a nawet nauczyciel religii, pan Schultze, wierzy w to, tego już absolutnie nie mógł zrozumieć. Ponieważ matka unikała rozmów na ten temat, Georg wszedł do kuchni, by porozmawiać ze służącą.

— Emmo, ty przecież jesteś chrześcijanką, prawda? — zapytał służącą, która prasowała sztywne mankiety koszul pana.

— Naturalnie — powiedziała Emma — jestem katoliczką.

— Kto to jest katoliczka?

— Katoliczka to znaczy nieprotestantka.

Georg tego nie pojął. Aby mu to wyjaśnić, Emma zdjęła różaniec, który wisiał na gwoździu nad jej łóżkiem obok fotografii żołnierza, pokazała mu, że katolicy mają takie różańce, a protestanci nie mają. Wśród paciorków zwisał mały mosiężny krucyfiks.

— Kto to jest? — zapytał Georg.

— Nasz Pan Jezus Chrystus — nabożnie odpowiedziała Emma.

— Czy to jest twój Bóg, Emmo? — zapytał Georg.

— Tak — odpowiedziała Emma. — To jest On na krzyżu, przybity gwoździami.

Georg próbował przeciwstawić wyjaśnienia matki temu, co mówiła Emma. Bóg jest silniejszy od ludzi i nie pozwoliłby się powiesić. Emma nie potrafiła na to odpowiedzieć i skarciła go.

— Nie wolno tak mówić o Panu Jezusie Chrystusie, ty mały diable.

Georg zrozumiał, że wiele się od Emmy nie dowie, chciał wiedzieć tylko jedno, czy Emma również uważa, że on, Georg, jest zabójcą Chrystusa.

— Naturalnie, wszyscy Żydzi są winni — odrzekła stanowczo Emma. — Sam ksiądz powiedział to w kościele.

Emma nawet widziała, jak Żydzi to zrobili. W święto Wielkanocy w kościele zobaczyła przebieg tego wydarzenia. Pan Jezus w białych szatach i cierniowej koronie na głowie szedł przodem, dźwigając krzyż na ramionach. Żydzi z długimi brodami, czarni tacy, bili go do krwi, inni pluli na niego. Jeżeli jej Georg nie wierzy, może go zabrać w niedzielę do kościoła i wszystko mu pokaże, i

Pewnej niedzieli, w tajemnicy przed panią, zabrała go do kościoła. Georg spoglądał wielkimi czarnymi oczyma na długie barwne okna, na wiele świec, na chór chłopięcy w białych koszulkach, a przede wszystkim na olbrzymią, jaskrawo pomalowaną kamienną figurę Jezusa. Rany w jego sercu broczyły krwią. Widział kobiety klęczące u jego stóp, dobrych brodatych mężczyzn, o głowach otoczonych aureolami, pokrytych włosami albo łysych i złych ludzi o oczach

morderców i krzywych nosach.

— Emmo — szeptał Georg, ciągnąc ją za suknię — kto to jest?

— To są mordercy Chrystusa, Żydzi — powiedziała Emma.

Georg poczuł nienawiść do tych ludzi, zwłaszcza do jednego, który jak kat w książeczkach dla dzieci nosił długą czerwoną szatę i kolczyk w jednym uchu. Lecz wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego chłopcy mówią, że on, Georg, zamordował Chrystusa. Wiedząc, że niczego się nie dowie od kobiet — ani od mamy, ani od Emmy — udał się do tego, który wszystko powinien wiedzieć, do ojca.

— Ojcie — zawołał ostro, wpadając wprost z kościoła do jego gabinetu — dlaczego Żydzi ukrzyżowali Pana Jezusa?

Dawid Karnowski był zaskoczony. Przede wszystkim chciał wiedzieć, kto mu to powiedział, potem przestrzegał, że mały chłopiec nie powinien mówić o takich sprawach. Jednak Georg nie pozwolił się zbyć pod byle pretekstem. Od dzieciństwa lubił rozbierać lalki i inne zabawki, aby dowiedzieć się, skąd wyrastają nogi. Rozkładał gwizdki, by zobaczyć, skąd dochodzi głos, zegarki, by poznać, dlaczego tykają, lokomotywki — dlaczego jeżdżą, kiedy się je nakręca. Wciąż pytał “dlaczego”.

Dziesiątki razy powtarzał to samo pytanie, gdy nie rozumiał, co się wokół dzieje.

— Dlaczego? pytał ostro. — Ale dlaczego to tak jest?

Również teraz nie pozwolił się ojcu zagadać. Chciał wiedzieć, czy naprawdę Żydzi ukrzyżowali Pana Jezusa? Dlaczego to zrobili? I dlaczego dzieci mówią, że on, Georg, to zrobił, podczas gdy on tego

nie zrobił? Nawet dorośli, kobiety na podwórzu, to mówią i dlatego nazywają go wstrętnym Żydakiem.

Dawid Karnowski widział, że nie zbędzie małego byle czym i zaczął z nim rozmawiać jak z dorosłym. Opowiadał mu długo o żydostwie i chrześcijaństwie, o dobrych ludziach i o złych ludziach, o mądrych i wykształconych, którzy cenią pokój i przyjaźń oraz o złych i głupcach, którzy sieją wojnę i głoszą nienawiść między ludźmi. Zakończył zaś tym, że on, Georg, winien szukać kolegów wśród dobrych i mądrych oraz być dobrym człowiekiem i dobrym Niemcem.

Dzieci mówią, że jestem Żydem, ojczy — powiedział Georg.

Żydem jesteś w domu, dziecko p|§ odpowiedział Karnowski ale poza domem jesteś Niemcem, czy już to rozumiesz?

Georg nie rozumiał. Jak każde dziecko wiedział, że dobre jest dobre, a złe jest złe, białe jest białe, a czarne jest czarne. Karnowski nie miał innego wyjścia, jak tylko mu powiedzieć, że jest jeszcze za młody, aby takie rzeczy rozumieć i że, gdy dorośnie, pojmie je. Georg wyszedł niezadowolony z gabinetu ojca, wąpiąc we wszechwiedzę i mądrość dorosłych. Doszedł do przekonania, że nie tylko matka i Emma nie wiedzą wielu rzeczy, lecz nawet jego ojciec. Próbował sam myśleć o wyzwiskach, którymi obrzucały go dzieci na podwórzu. Ponieważ rozsądnymi argumentami nie umiał opędzić się od napastników, gdy krzyczano za nim "Żyd", posługiwał się rękami. Nie chciał chodzić z matką do parku, gdzie bawią się dobrze wychowane dzieci. Ciągnęło go na podwórze, gdyż tam, choć od czasu do czasu pokrzykiwano za nim "Żyd", I można było się

bawić swobodnie, biegać, stawać na gło- I wie, chować za pojemnikiem na śmieci, słuchać katarzyn- I ki. Odkąd Kurt, syn dozorczyń, zaprzyjaźnił się z nim, I pozycja Georga na podwórzu tak wzrosła, że nikt już nie j ośmielił się wołać na niego nie tylko "Żyd", ale nawet | "czarny kruk".

Kurt był najstarszy wśród podwórkowych dzieci i naj- i ważniejszy. Po pierwsze, jego matka, wdowa, była dozor- czynią. Miotłą mogła rozpędzić dzieci, a gdy chciała, -J mogła pozwolić im na zabawy. Po drugie, w ich suterenie | mieszkał portier hotelowy, który wracał do domu w mun- durze z guzikami i złotymi lampasami na spodniach. | Przyjaźń między Georgiem a Kurtem zaczęła się od cze- I kolady. Georg zawsze miał w kieszonce marynarskiego ubranka tabliczkę czekolady, którą dostawał od matki | w tajemnicy przed ojcem, i pozwalał ją Kurtowi odgry- | zać, ile tylko ten chciał. Ich przyjaźń zaszła tak daleko, że poprzysięgli sobie wieczne koleżeństwo i udokumen- J towali to braterstwem krwi, którą obaj po nakłuciu szpil- i ką, zaczerpnęli z małych palców.

Od tego czasu rozpoczęło się na podwórzu przyjemne J życie dla Georga. Kurt wpuszczał go do komórki, gdzie były króliki i świnki morskie. Zwierzątka skakały po | sianie, strzygąc uszami i piszcząc. Kurt pozwalał też i Georgowi karmić papugę o wielkim wykrzywionym -J dziobie, która straciła swe barwne pióra. Nikt już nie odważył się przezywać Georga. Tylko matka rozpiesz- czonej dziewczynki, z którą kiedyś pokłócił się Georg, I wołała na niego "paskudny Żydzia". Georg przyzwy- : czał się do tego, jak

przywyka się do każdego zła i prze- I stało go to obchodzić. Nie chodził więcej na skargę do ; rodziców. Nie zwrócił się też do nich później, gdy inna J nowa, trudna i niezwykła sprawa zaprzątęła jego dzie- cięcą głowę.

Przebywając z Kurtem w komórce wśród królików ; i świnek morskich widział często, że zwierzątka łączą I się w pary. Bardzo go to zainteresowało. Lecz zamiast j rodziców, zapytał Kurta. Kurt mu to bardzo prosto wyjaśni ł.

W pierwszej chwili Georg oniemiał. Gdy Kurt mu powiedział, że ludzie zachowują się podobnie i dzięki temu rodzą się dzieci, był zupełnie oszołomiony.

— Nie, kłamiesz — zezłościł się na przyjaciela. Nie mógł uwierzyć w coś takiego, w każdym razie, jeżeli chodzi o jego rodziców. Było to zbyt brzydkie, aby w to uwierzyć. Lecz Kurt śmiał się z niego i przysięgał, że to prawda. On sam to widzi po nocach. Jego matka i portier hotelowy, który u nich mieszka, robią to. Oni myślą, że Kurt śpi, lecz Kurt tylko udaje i wszystko widzi. Georg usilnie myślał o tym przez kilka dni i w końcu uwierzył Kurtowi. Wiele problemów, które go intrygowały dawniej, a których nie rozumiał i wypytywał o nie matkę, stało się teraz jasne. Matka, rozmawiając z nim na te tematy zawsze jedynie go zbywała. Georg się przekonał, że go oszukiwała. Tylko Kurt mówił mu prawdę. Jeszcze mniej ufał dorosłym, rodzicom. Ich autorytet w jego oczach bardzo się obniżył. Wkroczył na własną, chłopięcą drogę. Jak każdy uparty człowiek, Dawid Karnowski napotykał również na

opór wobec siebie. Ustawicznie przejawiał go wobec ojca Georg.

Dawid Karnowski kształcił swego syna w dwóch kierunkach — świeckim i żydowskim. Od rana do późnych godzin popołudniowych Georg uczęszczał do gimnazjum im. Księżnej Zofii, aby pobierać nauki świeckie. Na popołudnie Dawid Karnowski zaangażował kandydata na rabina, pana Tobiasa, aby uczył jego syna nauk żydowskich — hebrajskiego, historii Żydów i gramatyki. Georg nienawidził obu tych nauk — świeckiej i żydowskiej, Przynosił bardzo złe oceny.

Dawid Karnowski za każdym razem, gdy przeglądał oceny Georga, wpadał w gniew. Będąc samoukiem, ucząc się systematycznie i wytrwale niemieckiego na Pięcioksięgu Mendelssohna, uważał, że syn powinien być mu wdzięczny za dobre wykształcenie, które mu zapewnia. Powinien uczyć się chętnie i odpłacać ojcu każdego miesiąca dobrymi stopniami. Lecz Georg nie tylko nie był mu wdzięczny, lecz robił możliwie wszystko, aby się wykręcać od nauki. Dawid Karnowski nie mógł pojąć, aby jego dziecko, Karnowski, nie chciał się uczyć. Był przekonany, że syn tej niechęci nie mógł odziedziczyć po nim. Było dla niego jasne jak słońce, że tę złą cechę odziedziczył po matce.

— Spójrz, jakie piękne świadectwa twój syn przynosi

— mówił do swej żony, podkreślając za każdym razem, i że to jest jej syn.

Lca rumieniła się jak mała dziewczynka.

— Dlaczego mój syn? — pytała urażona. — Jest tak samo twój, jak mój.

— W mojej rodzinie wszyscy byli pilni i wykształceni

— odpowiadał na to Dawid.

Karnowski martwił się tym bardziej, że widział, iż jego jedynak jest zdolny jak wszyscy Karnowscy, ale nie

I

chce się przykładać do nauki. Początkowo usiłował przekonywać chłopca łagodnie, jak nakazują mędrcy — Ze należy dziecko wychowywać na swoje podobieństwo, i że człowiek gniewny nie może być wychowawcą. Argumentując rozsądnie, tłumaczył chłopcu, jakie korzyści niesie nauka. Nie mówiąc już o tym, że jest dobra, przyjemna, odróżnia człowieka od bydłęcia, to się ona opłaca. Niech Georg spojrzy na własne podwórko. Kto mieszka w pięknych, frontowych mieszkaniach? Kto jest dobrze ubrany i cieszy się powszechnym szacunkiem? Ludzie wykształceni. Kim są służący, robotnicy, tłoczący się w małych pokoikach, ciężko pracujący w trudnych warunkach i nie cieszący się szacunkiem? Ludzie prości, niewykształceni. Przeto jest jasne jak dwa i dwa to cztery, że Georg musi się starać należeć do świata ludzi szanowanych, zamożnych, znaczących. Powinien przykładać się do nauki, a nie kolegować się z jakimś synem dozorczyńi, który wyrośnie na prostaka, biedaka, pechowca.

— Czy rozumiesz, co mówię, Georg? — pytał Karnowski.

— Tak, ojcie — odpowiadał Georg.

Lecz Georg nie rozumiał.

Podobało mu się o wiele bardziej życie biednych ludzi na podwórzu. Na przykład pan Kasper mieszkający w rogu podwórza i rozwożący piwo na własnej platformie. Jest zawsze wesoły, silny. Za każdym razem, gdy jedzie swym wielkim wozem zaprzężonym w ciężkie konie, zabiera swoje dzieci, aby się trochę przejechały. Nad nim mieszka pan Reinke, urzędnik pracujący w policji. Czasem nosi mundur, czasem ubranie cywilne. W zielonym kapelusiku, który wkłada do cywilnego ubrania, tkwi zawsze pióro. Ma długie rude, podkreścone wąsy, ręce pokryte wytatuowanymi kotwicami i dziewczęcymi głowami. Grywa w domu na klawirze. Jego syn opowiada, że ojciec mu czasem daje do potrzymania rewolwer. Pan Jeger z poddasza wypycha zwierzęta i ptaki — różne sowy, jelenie, lisy, dzikie kaczki i pawie. Jego dzieci przynoszą zawsze piękne, barwne ptasie pióra. Nawet dozorczyń, która mieszka w suterenie, trzyma w komórce króliki i świnki morskie, ma papugę. W niedziele przychodzą do niej goście, tańczą i śpiewają.

Georg zazdrości tym ludziom, chciałby być jednym z nich. Bardziej jeszcze zazdrości ich dzieciom. Choć dostawały nieraz pasem od ojców, mogły się swobodnie bawić, biegać, na godziny odchodzić od domu, kąpać się latem, ślizgać zimą. Matki ich tak nie pilnują, nie drżą
nie jak o niego jego matka. Mogą w mieszkaniach trzy-, mać psy — każde z nich ma psa, tylko nie Georg.

Dlatego Georgowi chciało się śmiać z bezsensowności słów ojca.

Oddałby wszystkie przestronne pokoje, meble

całą resztę za jedną komórkę z królikami, taką jaką ma Kurt.

Dawid Karnowski często nakazywał swemu jedynakowi wchodzić do gabinetu, by przywitał jego szacownych gości. Chciał go od dzieciństwa wciągnąć w krąg Tory, mądrości, by tarzał się w prochu mędrców jak nakazują Księgi. Chciał mu też pokazać, jak wyglądają ludzie wykształceni, ludzie nauki. Są wybitnymi profesorami, rabinami, są szanowani. Goście okazywali dużo przyjaźni małemu Georgowi, w szczególności profesor Breslauer. Szczypiąc go w śniady policzek pytał, co ma zamiar robić w życiu.

— Kim zostaniesz, gdy dorośniesz, chłopcze, bankierem, kupcem lub może profesorem? Ucz się pilnie, a wszystko osiągniesz. Jak mawiał reb Elisza Abuja, kto uczy się w młodości, ten jakby pisał na czystym papierze. Kto zaczyna się uczyć na starość, ten jakby pisał na papierze brudnym i pomiętym. Rozumiesz, chłopcze?

Georg czuł wielką niechęć do nauki, przyglądając się tym brodatym ludziom w okularach, ich małym jarmużkom na czubkach głów, mówiącym językiem bardzo poprawnym, lecz pozbawionym smaku soczystego, podwórzowego języka. Mówiąc z domieszką hebrajskiego, wy-j dawali się bardzo śmieszni. Jeżeli takim się staje dzięki | pilnej nauce, to Georg za nią dziękuje. Stał w ojcowskim gabinecie jak na rozżarzonych węglach, wytężał słuch, aby usłyszeć gwizdek Kurta — sygnał wzywający go do komórki przy piwnicy.

Tam, wśród królików i świnek morskich, snuli z Kurtem zupełnie inne plany. Najpierw postanowili zostać berlińskimi policjantami, by

chodzić w hełmach, mundurach i ze szpadami. Następnie doszli do wniosku, że lepiej być marynarzami, nosić szerokie spodnie, marynarskie kurtki z dekoltem, pływać po wszystkich morzach świata. Potem stało się dla nich oczywiste, że najlepiej zostać porucznikiem, nosić srebrne epolety, lakierowane buty, szarą pelerynę i monokl w oku. Zawczasu ćwiczyli w komórcie wojskowy krok, zadzierając wysoko nogi i tym samym wzbudzając lęk królików i świnek morskich.

Dawid Karnowski widząc, że dobrocią nic u swego jedynaka nie wskóra, popróbował gniewu, uporą, rugał chłopca, odsyłał go od stołu, aby jadał w kuchni.

Georg tą karą mało się przejmował. Bardziej smakowało mu jedzenie w kuchni niż w trakcie siedzenia przy stole i słuchania ojcowskich napomnień. Przy tym Emma opowiadała o swej wsi, historie o żołnierzach i marynarzach, z którymi się spotykała. Gorzej było, gdy ojciec bił go za złe oceny w szkole. Ze strachu Lei krew uciekała z twarzy.

— Dawidzie, co robisz? — ostrzegała. — Zapominasz, że jest dla nas okiem w głowie.

— Kto żałuje swojej różgi, nienawidzi swego syna, lecz kto go kocha, karci go zawczasu — odpowiadał Karnowski, cytując fragment Przypowieści Salomona w niemieckim przekładzie, aby udowodnić żonie, że działa dla dobra ich chłopca. Chciał siłą zmusić jedynaka do polubienia nauki i nauczycieli. Georg nie chciał polubić nauki, a w jeszcze mniejszym stopniu nauczycieli. Najbardziej ze wszystkich przedmiotów nie znosił historii Niemiec, którą wykładał

profesor gimnazjalny Kneitel. Nie lubił też gramatyki i etyki, których uczył go w domu kandydat na rabina, pan Tobias.

Od pierwszego dnia, gdy Georg zetknął się z profesorem Kneitem, poczuli do siebie wzajemnie antypatią. Profesor wywoływał ucznia Karnowskiego nie jego niemieckim imieniem, które Dawid Karnowski nadał swemu synowi na użytek poza domem, lecz żydowskim, które mu nadano wyłącznie na użytek w synagodze.

— Georg Mozes Karnowski — wywoływał profesor Kneitel ceremonialnie, z naciskiem.

Bardzo się to imię podobało niemieckim chłopcom w klasie.

— Hej ty, Mozes — popędzali go, choć sam dobrze słyszał ostry głos pana Kneitla.

“Poeta” klasy, Petschke, który wypisywał rymy na ścianach i drzwiach toalety, szczególnie delektował się tym żydowskim imieniem.

— Mozes z Egiptu, ze starych manuskryptów — wołał do rymu.

Z powodu pana Kneitla znienawidził Georg historię Niemiec. Zamiast słuchać, co mówi nauczyciel, po kryjomu rysował jego karykatury.

Wygląd profesora Kneitla szczególnie się do tego nadawał. Łysy, z kilkoma zaledwie długimi włosami, które przerzucał przez głowę, i przyklepywał, aby się trzymały, szczupły, z ostrym jabłkiem Adama w chudej szyi, wyrywającej się z dwóch zagiętych klap sztywnego, wyso-i kiego kołnierza, z długimi chudymi rękami, z których często zsuwały się sztywne mankiety, w staromodnym czarnym surducie,

bardzo dopasowanym w talii i świecącym się od starości, pan Kneitel jakby dopraszał się ośmieszających go rysunków. Georg sporządzał bardzo komiczne karykatury. Powiększał łysinę, wyostrzał grdykę, pomniejszał oczy, z natury małe i ostre. Szczególnie znęcał się nad mankietami pana Kneitla, które bielą i sztywnością przypominały filiżanki do kawy z taniej porcelany.

Te zbyt luźne mankiety nie trzymały się na szczupłych rękach pana Kneitla. Czasem wyskakiwały hałaśliwie spod rękawów surduta i uczniowie musieli je podnosić i podawać nauczycielowi. Najczęściej przydarzało się to profesorowi Kneitlowi, kiedy przerabianą lekcję chciał ożywić bohaterskimi gestami.

Dla pana Kneitla wszystkie przedmioty — w porównaniu z wykładanymi przez niego językiem niemieckim i historią — były nieważne. Posiadał wiedzę o wszystkich bitwach, które Germanowie toczyli od czasów rzymskich do ostatniej wojny. Znał imiona wszystkich dowódców, daty urodzin i śmierci królów, książąt, księżnych, elektorów i generałów. Zawsze oschły, bez kropli krwi w bladej pergaminowej twarzy, która nabierała jedynie kolorów, gdy mówił o Pieśni o Nibelungach, choć nie umiał tego robić, deklamował uroczyście wiersze opiewające bohaterskie bitwy między olbrzymami, walki, w których ojcowie i synowie mordują się wzajemnie, boje między książętami a fantastycznymi herosami. Gdy dochodziło do heroicznego starcia między Zygfydem a Brunhildą, profesor Kneitel śpiewał chrypliwym głosem, który załamywał się

przy wyższych tonach, co zwykle kończyło się piskiem.

Georg Karnowski nigdy nie umiał dobrze odpowiedzieć, kiedy i gdzie walczyli ze sobą Fryderyk Barbarossa M wielki książę Szwabii — i Henryk Lew — wielki książę Bawarii. Przekręcał imiona i daty, mniej jeszcze miał do powiedzenia o miłościach i mordach między Zygfydami, Gunterami, Krymhildami i Brunhildami. Ignorancja chłopca denerwowała profesora Kneitla. Kilku żydowskich uczniów bardzo dobrze znało historię Niemiec, znacznie lepiej od niemieckich kolegów z klasy. Profesor Kneitel wiedział ze swej długiej praktyki pedagogicznej, że żydowscy uczniowie są zawsze najlepsi, uważał, że wypływa to z dociekliwości ich rasy. Był więc przekonany, że ignorancja Geoga Mozesza Karnowskiego nie jest powodowana jego tępota, lecz niechęcią do uczenia się jego, profesora Kneitla przedmiotu — przedmiotu najważniejszego. Traktował to jako osobistą obrazę. Wystawiał mu najgorsze oceny, wyrzucał z klasy, wyznaczał za karę pracę po lekcjach, kazał pisać wypracowania o dowódcach wojennych i bohaterach, motywować, dlaczego należy ich czcić. Raz wezwał Dawida Karnowskiego, aby posłuchał, jak niewykształconego ma syna

Miało to miejsce, gdy Georg narysował bardzo złośliwą karykaturę nauczyciela i puścił ją między chłop ; ców. Jeden z uczniów z pierwszej ławki nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem w chwili, gdy profesor Kneitel uroczystym tonem opisywał heroiczne walki swego najulubiejszego bohatera Hermana, wodza Che-, rusków. Pan Kneitel z miejsca przeprowadził badanie, mające

wyjaśnić powód zachowania się ucznia i złapał? podrzuconą kartkę. Gdy ją obejrzał przez okulary« nie tylko jego pergaminowe policzki, lecz nawet łysina, poczerwieniały ze złości. Widział postać o olbrzymiej nagiej czaszce, dokładnie z dwoma włosami, jabłko Adama było niezwykle duże, mankiety fruwały. Pan Kneitel nie mógł uwierzyć, że to właśnie jego wyobraża karykatura. Rycina była zbyt wstrętna, ale pod spodem był rymowany dopisek drwiący z jego nazwiska i fruwających mankietów. To już było więcej, niż pan Kneitel mógł się spodziewać. Drwiny z jego nazwiska, szacownego nazwiska człowieka, w którego rodzinie są sędziowie, pastorzy, a nawet generał!

Drżał z gniewu i obrazy.

— Kto to zrobił? — wykrzykiwał histerycznie.

Ja, panie profesorze — przyznał się Georg.

— Georg Mozes Karnowski — wymówił przeciągle profesor Kneitel — spodziewałem się tego.

Przede wszystkim wywołał Karnowskiego i uderzył go dwa razy linijką po palcach. Kazał go wsadzić do szkolnego karceru aż do wieczora. Na koniec zażądał, aby nazajutrz rano przyszedł do szkoły ojciec Georga. |

Dawid Karnowski założył sobotni surdut, jak zwykle, gdy udawał się do ważnej osobistości, uczesał spiczasta bródkę. Gdy profesor Kneitel pokazał mu karykaturę, którą jego syn narysował, zapalał gniewem. Solidny, poważny, zawsze pogardzał rysunkiem, malarstwem, uważając je za próżną, głupią zabawę. W mniejszym

jeszcze

stopniu rozumiał karykaturę. Oglądając w prasie karykatury ludzi poważanych, mężów stanu, traktował je jako zuchwałość i impertynencję. Widział w nich kłamstwo i przesadę, którymi się brzydził.

—Niesłychane, panie profesorze — tytułował nauczyciela “panem profesorem”, choć był on tylko profesorem gimnazjum. — Wstyd i hańba.

— Właśnie tak, wstyd i hańba, panie Karnowski — ucieszył się pan Kneitel.

Dawid Karnowski jeszcze bardziej rozwścieczył się, gdy pan Kneitel przeczytał mu rymy zamieszczone pod rysunkiem.

— Nie, panie profesorze, nie mogę tego więcej słuchać, to zbyt niskie, zbyt haniebne, aby to wypowiadać.

— Tak, właśnie tak, niskie, haniebne, panie Karnowski — profesor Kneitel uchwycił się słów rozgniewanego ojca.

W najwytworniejszej niemczyźnie, według wszelkich reguł gramatycznych rozmówił się Dawid Karnowski z profesorem Kneitlem, wyżalił się na młode pokolenie, które nie ma pojęcia o wdzięczności i szacunku. Ile tylko pamiętał fragmentów mądrych wypowiedzi i sentencji, z Przypowieści na temat nauki, wiedzy i dobrych obyczajów, tyle ich zacytował w pięknej niemczyźnie. Profesor Kneitel ozdobił zaś swoją wypowiedź taką samą ilością cytatów z dzieł niemieckich filozofów i poetów.

— Było mi bardzo miło poznać tak mądrego i subtelnego

człowieka — powiedział profesor Kneitel, ściskając swą spoconą ręką suchą, ciepłą rękę Dawida Karnowskiego. — Żałuję tylko, że syn nie idzie w ślady ojca. Jestem zaszczycony.

— Zaszczyt jest całkowicie po mojej stronie, panie profesorze — odpowiedział Dawid Karnowski, kłaniając się głęboko. — Proszę być pewnym, że mój syn zostanie należycie ukarany. Zapewniam pana.

Dawid Karnowski dotrzymał słowa. Tłukł swego syna, ile weszło.

— Ludzików będziesz rysował na lekcjach? — gorączkował się.
— Rymy będziesz układał na swego nauczyciela? Masz rymy, masz ludzików!

Przy każdym "ludziku" i "rymie" dokładał synowi.

Natomiast w oczach kolegów Georg wiele zyskał, zarówno dzięki swym karykaturom, jak i odwadze, jaką wykazał, przyznając się natychmiast Kneitlowi.

Jeszcze przez pewien czas "klasowy poeta", Petschke, próbował dokuczać Georgowi. Nie mógł ścierpieć, że nie on, lecz Karnowski został w klasie bohaterem. Gdy chłopcy na przerwie zamieniali się kanapkami z szynką i serem,; Petschke uprzedzał, aby z Georgiem się nie zamieniać. ; j^i Niech Mozes z Egiptu świniny nie zajada — żartował.

Georg nie pozostawał mu dłużny. Napisał o poecie klasowym bardzo komiczny wierszyk, z którego wszyscy zaśmiewali się do rozpuku. Petschke widział, że na słowa nie zwycięży, spróbował więc siły swych rąk, by udzielić Mozesowi lekcji, aby się zbytnio nie stawiał. Cała klasa ustawiła się wokół, by przyjrzeć się bójce. Georg

przyjął walkę, mimo że Petschke był wyższy i miał dłuższe ręce. Karnowski, bardziej barczysty i silniejszy, nie pozwolił się powalić na ziemię. Żaden nie mógł pokonać drugiego. Z szarpaniny pozostało tylko trochę czarnych włosów w rękach Petschkego i trochę jasnych włosów z krótkiej czupryny Petschkego w ciemnych rękach Georga. Potem złość u obu ustąpiła i chłopcy się pogodzili.

Tylko z profesorem Kneitlem Georg kontynuował wojnę i w żaden sposób nie chciał uważnie słuchać jego wykładów z historii. Na przekór profesorowi przykładał się do innych przedmiotów, zwłaszcza do matematyki, z której awansował do najlepszych w klasie. Bardzo to bolało pana Kneitla. Tracił całkowicie cierpliwość, gdy Georg ośmieszał go swymi pytaniami wobec klasy. Pan Kneitel strofował ucznia, dowodził, jak ważna jest znajomość wszystkich dat z życia królów i elektorów oraz życiorysy wszystkich dowódców wojennych i poetów narodowych.

—I Kto chce zrozumieć poetę, musi iść do kraju poety — zakończył.

—Dlaczego, panie profesorze? — zapytał Georg z udaną powagą, co rozśmieszyło klasę.

Pan Kneitel był przekonany, że zuchwałość młodego Karnowskiego wynika z charakteru jego rasy. Tacy są żydowscy chłopcy — albo bardziej ulegli od innych uczniów, albo zbyt zuchwali. Przy kolejnym starciu z Georgiem, profesor Kneitel próbował aluzyjnie do tego nawiązać. Opowiedział dowcip o pewnym kupcu z Alexan- derplatz, który na każde pytanie odpowiadał

pytaniem. Gdy pewnego razu zapytano go, dlaczego wciąż powtarza "dlaczego", odrzekł: "Dlaczego nie miałbym pytać: «dlaczego?»"

Pan Kneitel, który nigdy nie opowiadał dowcipów, śmiał się głośno ze swojej anegdoty. Uczniowie, którzy zrozumieli, kogo nauczyciel ma na myśli opowiadając o kupcu z Alexanderplatz, mimo że nie sprecyzował tego, zaczerwienili się. Georg jednak nic sobie z tego nie robił.

— Panie profesorze, ten żart był publikowany w ubiegłorocznym kalendarzu —• odpowiedział, wykazując znajomość rzeczy.

Chłopcy dławili się ze śmiechu.

Z nie większą ochotą uczył się Georg przedmiotów żydowskich u kandydata na rabina, pana Tobiasa. Pan Tobias przychodził do Georga każdego popołudnia, aby go uczyć gramatyki, Tanachu, a przede wszystkim Maksym Ojców, do których Dawid Karnowski przywiązywał największą wagę.

Georg nie był niechętny panu Tobiasowi — łagodnemu, mającemu poczucie własnej mniejszej wartości człowiekowi, wiedzącemu, że jego przedmioty przeważnie były narzucone i że dzieci nie chciały się ich uczyć. Cichy, o bardzo łagodnych, smutnych oczach, które jakby prosiły, aby mu nic złego nie czynić, pan Tobias wywoływał nawet współczucie. Lecz jego nauka była dla Georga obca, bezsensowna. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ma się uczyć na pamięć trudnej gramatyki jakiegoś obcego języka, dlaczego musi powtarzać etykę.

Nie lubił twardych, obcych języków, brzuchatych i czworokątnych

liter, gramatyki, która była bardziej przykra niż plusquamperfectum na lekcjach łaciny w szkole, Z tego powodu nie lubił nauczyciela, pana? Tobiasa, mimo że litował się nad nim.

— Słuchaj nauk swego ojca, moje dziecko, i nie odrzucaj pouczeń swojej matki — mruzczał łzawym głosem pan Tobias. — Za to piękny wieniec okoli twą głowę, a łańcuch szyję.

Georg ziewał mu prosto w nos.

Archaiczny język niemiecki, ciągle przypominanie o przydatności wiedzy i czynieniu dobrych uczynków oraz omijaniu zła i niegodziwości nudziły Georga. Nie lubił mentorów z Maksym Ojców, rabinów o takich imionach jak rabi Chalafta z miejscowości Chanina, Nitaj z Arbeli i innych. Nie słuchał ich nauk, lecz wyobrażał sobie ich postacie, o długich brodach, gniewnych, chcących, aby ich wiecznie studiowano i trudzono się nad nimi. Same ich imiona rozśmieszały go.

— Śmieszni ludzie — powiedział podczas lekcji.

— Kto, Georg?

— Ci, rabi Chalafta i rabi Nitaj z Arbeli — odparł Georg.

Łagodne, czarne oczy pana Tobiasa wyrażały większe przygnębienie niż zwykle.

— Na litość boską — strofował swego ucznia. — Nie wpłno mówić w ten sposób o tak wielkich ludziach.

— Dlaczego, panie Tobias? — Georg nie rozumiał.

Na to pan Tobias nie miał odpowiedzi. Wzdychał przygnębiony.

— Powtarzajmy — prosił, a z jego źrenic wyzierał jakby skondensowany smutek — zacznijmy od Przypowieści Salomona.

Georg spostrzegł, że minęła już godzina i jak z procy wybiegł na podwórze. Mimo że uczęszczał już do gimnazjum im. Księżny Zofii, wciąż przyjaźnił się z synem dozorczyńni, Kurtem. W ciemnej komórcie, gdzie unosił się zapach pleśni i kwasu, a przez zakratowane, wychodzące na podwórze okienko dochodziło przyćmione światło, chłopcy spędzali najprzyjemniejsze godziny. Strzelali z dziecinnych rewolwerów, które gdzieś zahandlowali, czytali kryminalne powieści, których Georg w domu nie mógł czytać, gdyż ojciec je spalił. Tam też młody Karnowski mógł rysować kreda na ścianach najdziwsze karykatury pana Kneitla, malować tłuste, nagie kobiety z dużymi piersiami. Kurt opowiadał ciekawie o tym, co nocami w ich jedynym pokoju zachodzi między matka i portierem hotelowym.

— Ci dorośli są bardzo głupi — śmieje się Kurt — myślą, że my, chłopcy, nic nie widzimy, nic nie rozumiemy.

Gdy Georg skończył trzynaście lat, ojciec posłał go do rabina Szpajera, aby się u niego przygotował do bar micwy. Dr Szpajer ze swym sztucznym kaznodziejskim zapalem, który nie licował z jego zimną twarzą, nauczał Georga Karnowskiego o odpowiedzialności, która na niego spada, gdy z młodzieńca staje się mężczyzną. Gdy tylko odmówi w sobotę w synagodze "Bądź błogosławiony, któryś mnie wybawił", ojciec zrzuci z siebie wszelkie obowiązki wobec niego, a on, Georg, staje się sam odpowiedzialny za swoje czyny.

— Dwie drogi otwierają się przed tobą — jak Bóg przez Mojżesza oznajmił Żydom — patrz, oto postawiłem cię wobec życia i śmierci, dobra i zła. Wybierz drogę życia.

Dr Szpajer wygłaszał ten wykład już setki razy przed inicjacją chłopców ze swojej synagogi, mógłby go recytować przez sen, toteż chciał go zakończyć jak najprędzej. Z Georgiem sprawa nie była tak łatwa. Gdy w pewnym momencie rabin nazwał go tylko jego drugim imieniem Mozes, którym będzie wywołany do Tory, przystępujący do inicjacji chłopiec poprawił go.

— Nazywam się Georg, panie doktorze.

Rabin wzniosł palec jak kaznodzieja.

p

— Georgiem jesteś dla świata, mój chłopcze — pouczał go — dla synagogi jesteś Mozes, Mosze.

— Jestem zawsze Georgiem —■ Georg upierał się przy swoim.

Dr Szpajer musiał chłopcu poświęcić parę minut więcej niż zazwyczaj w takich okolicznościach. Wielce podniosłym tonem opowiadał mu o męce, jaką przeszli Żydzi w obronie swej wiary i Toiy, kończąc swe wystąpienie tym, że Georg powinien być dumny ze swego imienia oraz przynależności do wyznania mozaistycznego. Georg jak zwykle zadawał pytania.

I— Dlaczego mam być dumny, panie doktorze?

Zimna twarz dr. Szpajera zapłonęła.

— Lęk przed Panem jest początkiem poznania. Nikczemnicy gardzą wiedzą i dyscypliną — dr Szpajer przytoczył fragment z

Przypowieści, aby dać do zrozumienia zuchwałemu chłopcu, o kogo w tym fragmencie chodzi. — Czy przypominasz sobie chłopcze, gdzie to zostało napisane?

Georg ostro odpowiedział, że nie pamięta takich rzeczy. W jego głosie brzmiał upór, a na twarzy malowała się drwina. Dr Szpajer przemyślał ten niezwykle przypadek. Zasiedziały w Niemczech od pokoleń, nie miał wątpliwości, że klucz do charakteru chłopca tkwi w jego pochodzeniu ze Wschodu, gdzie mają swą genezę wszystkie złe obyczaje. Lecz mu tego nie powiedział. Powstrzymał się też od okazania złości, choć wezbrała w nim, pamiętając, że gniew nie przystoi uczonemu mężowi.

— Do widzenia — powiedział, dając znać chłopcu, - by opuścił jego dom.

Gdy Dawid Karnowski dowiedział się o incydencie, wpadł w taką złość, że zapomniał na chwilę o języku niemieckim i zwymyślał swego syna po żydowsku, tymi samymi słowami, którymi jego ojciec wymyślał mu jako chłopcu. Przepowiadał żonie, że z tego chłopaka wyrośnie lump, wychrzta, przestępca — wszystko co najgorsze.

— Tylko szewca z niego zrobię! — krzyczał wiele razy. — Tak mi dopomóż Bóg.

Po piętnastu latach od urodzenia Georga, Lea Karnowska niespodziewanie zaszła w ciążę. Była niezmiernie szczęśliwa, jak bezdzietna kobieta, o której Bóg sobie przypomniął. Choć miała syna, wstydziła się przez te wszystkie lata wobec męża, że nie miała więcej dzieci, odczuwała to jako kalectwo. Jej matka, siostry i wszystkie

krewnie były bardzo płodne. Cierpiała zaś przede wszystkim dlatego, że nie miała co ze sobą począć. Wciąż nie mogła się przyzwycząić do obcego miasta. Im dłużej tu mieszkała, tym bardziej obco się czuła. Jej mąż z każdym dniem był coraz bardziej zajęty handlem i Oświeceniem. Lea swe macierzyństwo wyładowywała w uczuciu do jedyne go syna. Usiłowała go karmić i myć, układać do snu, a nawet kąpać, byle czuć ciało swego dziecka. Lecz Georg czuł się dotknięty w swej chłopięcej dumie i odpędzał matkę, gdy chciała okazać mu swą czułość. Od kiedy Kurt odkrył mu tajemnicę stosunków między kobietą a mężczyzną, zaczął się wstydzić swego chłopięcego ciała nawet przed matką. Im bardziej pod- rastał, tym bardziej oddalał ją od siebie.

— Łotrze, pozwól mamie raz się pocałować — prosiła — choć przed snem.

— Nie jestem dziewczyną — odpowiadał Georg i nie pozwalał matce na to.

Ukradkiem, gdy zasypiał, Lea podchodziła do jego łóżka i okrywała go pocałunkami. Tęskniła za pieścizotami, nie tyle, by ich doznawać, lecz by je dawać. Nie mogła przejść obojętnie obok dziecka na ulicy. Uśmiechała się do niemowląt w wózkach i wszelkimi siłami powstrzymywała się, aby ich nie całować i nie wywoływać gniewu obcych matek. Po kryjomu, bez wiedzy męża chodziła do berlińskich profesorów. Każdego lata, gdy wyjeżdżała do Mielnicy, wylewała swe żale przed matką. Matka, doświadczona w rodzeniu dzieci, udzielała jej różnych kobiecych rad. W tajemnicy

przed Dawidem

Karnowskim jeździła też do rabina w sąsiednim miasteczku, aby modlił się o łaskę dla niej.

Po piętnastu latach, gdy już straciła wszelką nadzieję, mimo że miała dopiero trzydzieści kilka lat, zaszła nagle w ciążę. Była szczęśliwa i oszołomiona. Gdy poczuła pierwsze ruchy, opuściła ją tęsknota, nie odczuwała już pustki. Zaabsorbowana była dzieckiem, które miało przyjść na świat. Szyła zawczasu koszulki i kaftaniki dla niemowlęcia, całowała maleńkie koszuleczki, przyciskała je do swych pełnych piersi jak żywe istoty. Gdy poczuła pierwsze pchnięcie, wraz z bólem doznała niezwyklej słodyczy i przymykała z rozkoszy oczy.

— Dawidzie, jestem taka szczęśliwa, boję się, aby, broń Boże, szczęście moje nie zostało zakłócone — mówiła z niepokojem — aby jakieś złe oko nie przyczyniło mi nieszczęścia.

Dawid Karnowski nie rozumiał ani jej kobiecego szczęścia, ani jej lęku.

— Pozostaniesz Żydówką do śmierci, Leo — szydził z niej.

Lea czuła się dotknięta oschłością męża i błagała Boga, aby nowo narodzone dziecko było tej płci co ona, czyli córką, która by rozumiała jej macierzyńskie serce i odpłacała miłością za miłość. Z góry już widziała sukieneczki, które sprawi, wstążki, które będzie wplatywała we włosy córki i przepelniona miłością do istoty w swym ciele odczuwała, że jej uczucie do jedynaka nie jest już tak żarliwe. Troszczyła się o niego jak dawniej, skarżyła się, że nie je, choć wcinał z dużym apetytem, lecz już nie odnosiła się do niego jak do małego

dziecka. Nagle zaczęła się go wstydzić jak obcego mężczyzny. Ze swym rosnącym brzuchem czuła się w jego obecności skrępowana, jakby w dojrzałym wieku popełniła coś nierozważnego.

— Dlaczego patrzysz na mnie, Moszele — pytała zarumieniona, zakrywając brzuch rękami.

— Och, zdaje ci się tylko — odpowiadał Georg zachmurzony, zły, że matka odgadła jego ukryte myśli.

Piętnastoletni Georg był bardzo niespokojny, zagubiony i napięty widząc, że matka ma dać życie nowej istocie. Nagle bardzo wyrósł, wyciągnął się jakby jednej nocy, zeszczipiał, pulchne ręce stały się męskie, kościste, w krągłej szyi pokazało się męskie jabłko Adama. Nad górną wargą i na policzkach zaczęły się wysypywać miękkie czarne włoski, zmienił mu się głos — to był głęboki, męski, a za chwilę chłopięco-piskliwy. Nieraz zdarzało mu się, gdy mówił, zagdakać jak młoda kurka, co bardzo go zawstydzalo. Zatracił poprzednią pewność siebie i bezpośredniość, w ich miejsce pojawiła się wsty- dliwość. Najgorszy był trądzik, który wystąpił mu na twarzy. Georg zdrapywał krosty, lecz im częściej to robił, tym bardziej się rozmnażały. Nocami miewał szalone sny.

Uczył się źle, z każdym dniem gorzej. Ojciec stale się z nim użerał, rugał go. Nie miał przyjaciół, którym mógłby się zwierzyć. Syn dozorczyńcy, Kurt, był na praktyce u rymarza i przychodził do domu tylko w niedziele. Georg witał się z nim po koleżeńsku, lecz Kurt zachowywał się zimno, jego wyciągnięta ręka była obca, twarda, szorstka od pracy, czuć ją było ostrym zapachem skóry, farby i kleju.

Równie obce było to, co mówił — poważnie, powściągliwie, jak ktoś, na kim ciąży obowiązek dorosłego mężczyzny, którego już nie interesują chłopięce igraszki. Poczucie jakiejś niższości, a jednocześnie ważności wyczuwało się w całym jego zachowaniu, co odgradzało go, rzemieślniczego praktykanta, od Georga, zamożnego gimnazjalisty. Przyjaźń między chłopcami skończyła się bez słowa. Chrześcijańscy chłopcy w gimnazjum byli kolegami, lecz nie przyjaciółmi. Z przyjemnością słuchali jego żartów z nauczycieli, chodzili z nim również na ulice, gdzie spacerują prostytutki, aby zobaczyć, jak polują one na klientów i czym prędzej uciekać, gdyby zechciały ich zaczepić, lecz rzadko który z tych kolegów zapraszał go do swego domu. Z czasem jeden z nich, Helmut Kolbach, zbliżył się do Georga i zaproponował, żeby zostali serdecznymi przyjaciółmi. Jednak przyjaźń ta nie zadowalała Georga.

Obaj byli rówieśnikami i chodzili do tej samej klasy, lecz Helmut Kolbach różnił się bardzo od młodego Karnowskiego. Sierota, wychowywany przez babkę wdowę, która żyła z emerytury, był cichy i sentymentalny. Miał jasne miękkie Włosy o złotawym odcieniu, układające się w loki jak u dziewczyny. Jego delikatne ręce pachniały zawsze z lekka mydłem. Chłopcy z tego powodu przezywali go panną Trudą. Georg od początku nie czuł się blisko związany z kolegą, który narzucał mu się z przyjaźnią. Nie interesowały go pluszowe albumy Helmuta, pełne fotografii jego zmarłych rodziców, z wpisanymi wierszami i zasuszonymi kwiatami polnymi i motylami. Raziło go też, gdy Helmut zasiadał w swym wypielęgnowanym pokoju przy

pianinie i swoimi jak u dziewczyny palcami wygrywał tęskne, rzewne melodie. Posługiwał się książkowym językiem, zgodnym z wszelkimi regułami gramatycznymi. Za każdym razem, gdy Georg używał ulicznych, ordynarnych słów, Helmut się rumienił, nie można było nawet nazwać go "idiotą", aby się nie obraził. Rozmowa z nim nie należała do przyjemności. Najgorsze było jego szaleńcze oddanie i niezwykła zazdrość o to, że Georg przyjaźnił się z innymi chłopcami w klasie. Gniewał się, wychodził smutny, czynił Georgowi wyrzuty, pisywał do niego liściki na różowym, perfumowanym papierze. Dla Georga te pretensje, dąsy i liściki były śmieszne, a przede wszystkim obce. Przez jakiś czas unikał Helmuta. Helmut go zawsze przeproszał, dawał mu prezenty i bardzo się cieszył, gdy Georg do niego wracał. To zaspokajało młodzieńczą próżność Georga, jego poczucie ważności, dominacji, pewności, że panuje nad czyimś szczęściem i nieszczęściem.

Po obrazach, jakich doznawał od ojca, po przygnębieniu spowodowanym dorastaniem, mutacją głosu i trądzikiem na twarzy, dobrze było być przez kogoś adorowanym, a nawet ubóstwianym. Przez jakiś czas ten nabożny stosunek Helmuta do niego bawił Georga, wkrótce jednak zaczęło go to nużyć. Po kilku dniach zbliżenia sprzykrzył mu się Helmut, jego subtelne maniery i dziewczęce ręce, jego miękkie ciało nie dostosowane do chłopięcej odzieży. Georg wolał być sam ze swym niepokojem i zagubieniem okresu przejściowego, jaki przeżywał. Jego wewnętrzne napięcia jeszcze wzrosły, gdy matka przygotowywała się do pójścia do kliniki

ginekologicznej profesora Halewiego, a ojciec miał jej towarzyszyć, by być blisko niej w czasie rozwiązania. Poród, szepty, przygotowania uwolniły wprawdzie Georga od dozoru rodziców, lecz również drażniły go i niepokoiły, rozpałały jego młodzieńczą krew. Do tego po mieszkaniu zaczęły się kręcić kobiety, najczęściej zachodziła Ita Burak, mimo że Dawid Karnowski sobie tego nie życzył. Krzątała się, po kobiecemu przekomarzając się z Georgiem, że przestaje być jedynakiem. Przyprowadziła swoją córkę Rut, dziewczynkę w wieku Georga, ale bardzo już rozwinięta, tęgawą, w wyniku czego jej przedwcześnie wyrosnięte piersi wyrywały się z dopasowanego dziewczęcego żakietu, od szyi aż do gęsto obszytego złotymi guziczkami paska przy talii. Jej biodra były okrągłe i dojrzałe. Gdy Ita Burak przedstawiła Georgowi swą córkę, zaczerwienił się, nie bardzo wiedząc dlaczego i był z tego powodu zły na siebie, jak i na dziewczynę, która zapewne to jego zmieszanie zauważyła.

— Georg Karnowski — zamruczał pod nosem, aby jego głos wypadł bardziej męsko, szybko wyciągnął rękę i jeszcze prędzej ją cofnął, aby wejść do swego pokoju i pozbyć się zakłopotania. Lecz matka mu na to nie pozwoliła.

— Taki z ciebie kawaler? — powiedziała śmiejąc się. — Poproś pannę Rut do swojego pokoju, zabaw ją, mam do pomówienia z panią Burak, o czymś, czego wy, dzieci, nie powinnyście słyszeć.

Georg z udaną uprzejmością mruknął coś do dziewczyny i poprosił ją do swego pokoju.

Gdy wychodzili, Ita Burak powiedziała do Lei Karnowskiej:

— Ładna parka...

P

Powiedziała to cicho, lecz Georg usłyszał, zażenowało go to jeszcze bardziej, a przez to i rozzłościło.

Georg był niespokojny, natomiast dziewczyna rozmawiała, śmiała się, mierzyła, o ile jest wyższy od niej. Spróbowała zatańczyć z nim walca. Czując jej ciepłą kobiecą miękkość i gorący oddech, Georg tańczył źle, jego ręka potniała w ręce dziewczyny, poczerwieniał i był niezgrabny. Im bardziej wzrastał jego niepokój, tym spokojniejsza była Rut.

Gdy wszyscy wraz z matką wyszli z domu, Georg odczuł ulgę, ale jego napięcie się zwiększyło. Poszedł do Helmuta, który się z tego ucieszył. Snuł fantazje na temat dziecka, które urodzi matka Georga.

— Co wolisz, Georg, braciszka czy siostrzyczkę? — pytał.

Georg nie chciał o tym mówić. Jeśli chodzi o niego, to nie chciałby żadnego dziecka. Małe dzieci są bardzo śmieszne. Płaczą i krzyczą. Helmut tego nie rozumiał. Oddałby wszystko, by mieć siostrzyczkę, taką delikatną, ze złotymi loczkami, aniołeczka, którą można by całować. Nie miał nigdy brata, ani siostry.

Nagle poczuł łzy w oczach, ujął rękę Georga i trzymał ją w swych białych dłoniach. Georg wyrwał rękę. Wzruszenie chłopca niemile go uderzyło. Helmut drżał.

— Przysięgnij, że zawsze będziesz moim przyjacielem, Georg — prosił.

— Przecież jestem — powiedział Georg.

—Lecz ciągle myślę, że odejdziesz ode mnie, Georg, poszukasz innych przyjaciół — mówił Helmut z drzeniem w głosie — a ja cię tak lubię.

— Jesteś idiotą — zrugął go Georg.

Helmut na to nie odpowiedział, zamiast również zwymyślać Georga, nachylił się i pocałował go w policzek. Georg poczuł wstręt i odepchnął go od siebie. Helmut upadł, puściła mu się z nosa krew. Georg się przestraszył, przez chwilę czekał, chciał, aby kolega go zrugął, pobił nawet, lecz Helmut się tylko rozplakał. Georg poczuł się bardzo upokorzony i gwałtownie uciekł z mieszkania kolegi pewny, że tu już nie powróci. Ogarnęło go uczucie poniżenia, wstydu, niezdatności, Wybiegł z domu, znalazł się na ulicy Linien, gdzie tanie knajpy i nocne lokale świeciły jaskrawymi lampami. Po trotuarach przechadzały się prostytutki.

—Bubi, chodź ze mną — wołały.

Zawstydził się, mimo to dalej łaził po ulicach. Gdy było już późnawo, wrócił do domu. Nie zastał w nim nikogo, wszedł do kuchni, do Emmy, ich wiecznej służącej. Siedziała i przyszywała koronki do szerokich damskich majtek. Do bluzki powtykała mnóstwo igieł i szpilek. Poczwała na sobie płomienne spojrzenie chłopca.

— Co jest -# zapytała, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby wraz z dziąsłami.

—Nic — odpowiedział Georg niespokojnie.

Emma potrząsała wysokim biustem. Wraz z nim podskakiwały wszystkie wetknięte igły.

—Chcesz jeść? — zapytała.

—Nie.

—Czego więc chcesz, chłopcze?

Georg milczał. Emma palcem przytknęła go w nos.

—Mama poszła do bociana po dziecko.

Georg się obraził.

— Uważasz mnie za takiego głupca, Emmo — zapytał dotknięty.

Emma śmiała się tak, aż trzęsły się jej piersi.

—Myślałam, że ty jeszcze wierzysz w bociany.

Georg czuł, że krew coraz bardziej się w nim burzy.

Śmiejąca się Emma, jej pełny biust, tęga szyja, okrągłe biodra, na których omal nie pękła puszysta suknia — wszystko go drażniło, jego oczy płonęły. Emma czuła na sobie ich gorąco.

— Ładny z ciebie chłopak, Georg — nagle powiedziała mu komplement. — Duży i brunet jak twój ojciec, ale te krostki na twarzy zeszpecają cię.

Georg nie wiedział, co odpowiedzieć. Emma śmiała się w głos.

Jesteś wstrętną świnią — łajiała go. — Już to dawno zauważyłam, ścieląc twoje łóżko...

— Jeżeli będziesz mnie nazywała w ten sposób, poobijam ci boki — powiedział ordynarnie, tak jak słyszał w suterenie Kurta, gdy tam zachodził.

Emma niewiele sobie robiła z jego grózb.

— Łobuzie — drwiła — spróbuj tylko.

Odłożyła szycie i wezwała go do bójki. Georg zaczął się z nią

mocować. Poczuł ciężar i ciepło jej pełnego, przerośniętego kobiecego ciała i wielką siłę w sobie. Zanim się obejrzała, powalił ją na ziemię.

Emma nieustannie się śmiała, walczyła z nim i besztła go.

— Wstrętna świnia...

Nagle Georg zobaczył udo, nad którym w czasie szamotaniny podwinęła się jej puszysta suknia. Było tęgie, białe, okrągłe. Georg po raz pierwszy widział odsłoniętą tę część kobiecego ciała. Poczuł zamęt w głowie.

— Kto jest silniejszy? ||| dyszał gorąco.

Emma nie próbowała się zakryć.

— Wstrętna świnia — besztła go. — Krewka świnia.

Nagle przycisnęła go do siebie tak mocno, że Georgowi zabrakło tchu. Jak niegdyś, gdy był dzieckiem, a ona go rozbierała, ściągnęła z niego ubranie.

— Ty niezdarny diable — ostrzegała — pokłujesz się igłami.

Najordynarniejszymi wyrazami, nazywając rzeczy po imieniu, pouczała go, jak ma się zachować w czasie pierwszego zbliżenia.

— Ty świnio — całowała go i gryzła. — Ty niezdarny koźle.

Gdy Emma ponownie powtykała igły do bluzki i nadal ją szyła, Georg stał zagubiony, milczący. Wstyd, szczęście, skrucha, upokorzenie i poczucie wyższości opanowały go jednocześnie. Czuł wielką miłość do tej kobiety i zarazem wielki za nią wstyd. Z książek, które czytał, wiedział, że kobiety płaczą po popełnieniu grzechu

— chciał ją pocieszyć, mówić do niej jak gwałciciel do swej ofiary.

— Emmo — jękał się — bardzo mi przykro, naprawdę.

Emma wzruszyła swymi tęgimi ramionami, jak gdyby słyszała głupstwa wypowiedane przez pomyłonego.

— Jaki prezent kupisz mi chłopcze, gdy twoja matka urodzi? ® zapytała trzeźwo, po kupiecku.

Georg nie wiedział, co odpowiedzieć. Nigdy jeszcze nie kupował prezentu żadnej kobiecie. Emma doradziła mu, aby dał jej pieniądze, które chciałby wydać, a ona sama już coś kupi. Georg opróżnił portmonetkę. Wszystko co miał, kilka marek i fenigów, wysypał Emmie na rękę. Służąca wsunęła pieniądze za stanik.

— Dziękuję Opowiedziała obojętnie jak dziękuje się za okazaną uprzejmość.

Jakby nic się nie wydarzyło, powróciła do swej ręcznej robótki. Twarz miała spokojną i tępą, jak spokojna i tępa jest krowa, która po spełnieniu swej dorocznej powinności zabiera się do żarcia trawy. Georg nie wiedział, co z sobą począć. Zachowanie kobiety było dla niego zagadką, obelgą. Emma go odesłała.

— Idź spać, Georg, ja mam jeszcze robotę.

Ścieląc łóżko, udzieliła mu kilku wskazówek. Po pierwsze, ma nie pisać słowa nikomu, nawet najbliższym kolegom, po drugie, aby nie chodził do prostytutek, jak robią głupi chłopcy, gdyż szkoda tracić pieniądze i zdrowie na te przeklęte dziwki, po trzecie, aby raczej jej oddawał kieszonkowe, które będzie otrzymywał, a ona będzie za to bardzo dobra dla niego.

— Zgadzasz się, chłopcze?

— Tak — mruknął zawstydzony Georg.

Gdy Lea Karnowska wróciła z kliniki profesora Halewiego z dziewczynką, jak tego pragnęła, nie poznała swego jedynaka. Twarz miał gładką i czystą, oczy straciły poprzedni dziki błysk, były łagodne i spokojne, równie łagodnie mówił, nawet ją pocałował. Pocałował także siostrzyczkę. Lea z macierzyńską intuicją wyczuła, że coś się z jej synem stało. Zaniepokoiło ją to, ale nic nie mówiła. Poza tym całkowicie była zaabsorbowana nowo narodzonym dzieckiem.

Dawid Karnowski również dostrzegł zmianę w zachowaniu syna. Georg spoważniał, przykładął się usilnie do nauki. Przynosił ze szkoły najlepsze oceny. Ojciec nie rozumiał nagłej pilności chłopca, podobnie jak poprzednio nie rozumiał jego niechęci do nauki.

— Dziwny chłopak — powiedział Lei. — Nieco zwariowany.

Chciałabym już go widzieć dorosłym — powiedziała matka, nabożnie wznosząc oczy ku rzeźbionemu sufitowi. Odrapane mury ulicy Dragońskiej w starej dzielnicy żydowskiej, którą chrześcijanie ironicznie nazywają żydowską Szwajcarią, kryją mnóstwo sklepów, sklepików, koszernych jatek, zajazdów i bożniczek.

Na poplamionych krwią pniach rzeźnicy rąbią mięso opatrzone hebrajskim stemplem, świadczącym, że ubój został dokonany zgodnie z rytualnymi nakazami i pod nadzorem kompetentnych rabinów. Starsze kobiety, których czarne i jasne peruki nie licują z ich steranymi twarzami, baczą pilnie, aby rzeźnik nie oszukał ich na wadze i nie sprzeniewierzył się zasadzie koszerności. Mimo że w tej

okolicy kobiety są biedne, płacą drożej za mięso niż w eleganckich sklepach mięsnych na głównych ulicach miasta. Nie ufają gminnym rzezakom nie noszącym bród, mówiącym po niemiecku i pozostającym pod nadzorem rabinów, którzy się gołą. Są gotowe płacić po parę fenigów drożej za funt mięsa, byle mieć pewność, że uboju dokonali rodzimi rzeźnicy z ulicy Dragońskiej, polscy albo galicyjscy Żydzi, którzy w nowym kraju nie zmienili ani ubiorów, ani obyczajów i pozostają pod nadzorem rabinów przybyłych z tamtej strony granicy. W zajazdach i restauracyjkach, gdzie wystawiono w oknach Gwiazdy Dawida obok zniemczonych żydowskich napisów, informujących, że serwuje się tu jedzenie smaczne i koszerne, a szanowni goście są elegancko obsługiwani, ogoleni kelnerzy w jedwabnych jarmulkach na czubkach głów serwują żydowskie potrawy przy obsadzonych ciasno stolikach — wątróbki, nadziewane szyjki, marynowane śledzie, smakołyki z marchwi, rosół z drobiu z makaronem. Goście, przeważnie w starych kapeluszach albo czapkach — to młodzieńcy handlujący starzyzną, skupowaną w zamożnych dzielnicach lub żonaci domokrażcy, którzy pozostawili na Wschodzie, po tamtej stronie granicy rodziny i muszą jadać w jadłodajniach. Starą odzież, którą zakupili, kładą obok swych krzesel na podłodze. Siedzą tu też robotnicy którzy w tej okolicy pieką chleb w żydowskich piekarniach, czeladnicy krawieccy, którzy utknęli po tej stronie, emigranci, którym zabrakło pieniędzy na koszty podróży do Ameryki, kobiety, które przyjechały do znakomitego profesora leczyć zadawnione choroby oraz szanowni zbieracze datków. Starsi

odmawiają błogosławieństwa i targują się z kelnerami w jarmułkach, młodzi się śmieją, rozmawiają o handlu, śpiewają, grają w kości lub karty.

W sklepach spożywczych i piekarniach wystawione są różne kołaczki, lwowskie jajeczne ciasteczka, domowy razowy chleb, różne placki z cebulą, makiem, kminkiem. Na pomalowanym na czerwono, odrapanym hotelu im. cesarza Franciszka Józefa wisi żydowski szyld informujący, że właściciel hotelu, reb Hercele Wiśniak z Brodów, obsługuje swych gości jak najlepiej i tanio liczy za pokój, jak również za łóżko. Przyjmuje też zamówienia na śluby, załatwiając udział w nich rabina, szamesa, muzykanta, badchena oraz zapewniając najlepsze potrawy i prawdziwie koszerne wino.

Z małych bożnic, bożniczek, szkół religijnych, chasydzkich domów modłów stłoczonych wśród sklepów i sklepików, wychodzą starsi Żydzi z tałasami i modlitewnymi torbami, Żydzi w aksamitnych galicyjskich kapeluszach, z długimi brodami, Żydzi z przystrzyżonymi bródkami i w sztywnych zsuniętych na kark kapeluszach, Żydzi z długimi pejsami, krótkimi pejsami i bez pejsów.

Z otwartego okna dochodzi śpiewny głos mełameda, który wtlacza Torę w głowy swych uczniów. Pod latarniami przy wozach i koniach stoją woźnice, próżniacy, ulicznicy. Palą i spluwają. Wysoki, brzuchaty policjant, w hełmie i z wąsami zakręconymi do góry | la cesarz Wilhelm, spaceruje paradnym krokiem po bruku zaśmieconym papierosami, końskim nawozem i zgniłymi jarzynami. Obiboki pozdrawiają go, honorując wyższym od posiadanego przez niego

stopniem.

— Dzień dobry, panie kapitanie.

— Dzień... — odpowiada półgębkiem policjant, strzegący domów i ludzi.

W księgarni reb Efraima Waldera, wciśniętej między sklepy ze starzyzną i krawieckie warsztaciki, jest pełno klientów i gwaro. Zielony gramofon z dużą tubą wydziera się chrypliwie przy Kol Nidrej, granej w dzień powszedni. To klienci wypróbują żydowskie płyty. Pobożni Żydzi kupują tałesy, rytualne kaftaniki, modlitewniki, tefilin i mezuzy. Starsze kobiety nabywają żydowskie opowiadki o zbójcach, księżniczkach i cudotwórcach, stare opowiadania o Drejfusie na Wyspie Diabelskiej, poezje i pieśni. Chłopcy w krótkich marynarkach wybierają podarte książeczki o Sherlocku Holmesie i wypożyczają je za kaucją. Obok jarmulek, szabasowych świeczników, mosiężnych menor, pesachowych naczyń, formularzy kontraktów zaręczynowych i ślubnych są również kitle i czarne pokrowce na platformy pogrzebowe.

Wśród ubogich klientów z dzielnicy żydowskiej stoi elegancki pan, ubrany "jak spod igły" według najnowszej mody. To Salomon Burak, właściciel sklepu sprzedaży okazji na alei Landsberskiej, wpadł na ulicę Dra- gońską po żydowskie płyty gramofonowe. Wypróbowuje je właśnie jedne po drugich i zachwyca się płynącymi z nich modlitwami i melodiami. Przechodzi od żałosnej Kol Nidrej do wesołej żydowskiej piosenki teatralnej o starym mężczyźnie i młodej kobiecie, następnie do pieśni z morałem o zburzeniu świątyni. Wznosi

pobożnie ręce przy Kol Nidrej, trzaska palcami przy wesołych piosenkach, kiwa smętnie głową przy pieśni o zburzeniu świątyni, ogarnia go tęsknota przy płycie o Israelikł, który wróci do swego pięknego kraju. Choć jemu nawet na chwilę nie przychodzi na myśl opuszczenie alei Landsberskiej, czuje słodycz słów piosenki. Z głębokim uczuciem wtóruje gramofonowi:

Israelikł, Sruliku, wracaj do domu,
Do twego pięknego kraju...

Gdy dochodzi do radosnego tańca weselnego, podryguje i kołysze się, ku uciesze chłopców wybierających książeczki o Sherlocku Holmesie.

— Panno Żaneto, czy mogę, że tak powiem, poprosić panią do tańca? — zaprasza sprzedawczynię.

Panna Żaneta, stara panna zatopiona po uszy we francuskiej powieści, od której wciąż musi się odrywać, aby sprzedać kobiecie modlitewnik albo cyces, podnosi kędzierzawą czarną głowę znad książki i spogląda wielkimi, zamyślonymi, krótkowzrocznymi, czarnymi oczami.

— Co, proszę, panie Burak? — | pyta zaskoczona.;»

Salomon Burak przechodzi od żartobliwej niemczyzny do rodzimego, żydowskiego języka:

— Chciałbym zatańczyć z panią weselnego tańca, panno Żaneto — mówi. — Sądzę, że pani powinna go znać, już najwyższy czas, czyż nie, droga pani?

Panna Żaneta krzywi się, jakby usłyszała coś obrzydliwego. Nie

lubi, gdy się z niej żartuje, zwłaszcza nie cierpi aluzji do swego staropanieństwa. Nie lubi też, gdy klienci wciąż wypróbują płyty, przeszkadza jej to w lekturze romantycznych książek, francuskich powieści o czasach, gdy ufryzowane damy w krynolinach grały na harfach, a rycerze w atlasowych strojach klęczeli przed nimi z rękami na sercu i prosili o ich miłość w pięknych, subtelnych słowach. Lecz nie gniewa się na Salomona Buraka za te żarty. Po pierwsze, jest dobrze wychowana, a złość takiej osobie nie przystoi. Po drugie, Salomon Burak to dobry klient, kupuje wszystkie nowe płyty i nie targuje się jak inni. Panna Żaneta znosi jego gadaninę, choć uważa, że jest grubiańska, nieprzyjemna, zupełnie odmienna od pięknych słów rycerzy z książek. Gdy tylko Burak wychodzi, wtyka znów swe krótkowzroczne oczy w gęsto zadrukowane strony powieści. Żyjąc na brzydkiej berlińskiej uliczce, tkwi po uszy w świecie zamków, rycerzy i wzniosłej miłości- Dlatego też nazywa się Żaneta, choć jej prawdziwe imię brzmi Jentł.

W pokoju na górze, do którego ze sklepu prowadzi kilka wąskich schodów, siedzi jej stary ojciec, reb Efraim. Jest formalnie właścicielem sklepu, lecz nie ma z nim nic wspólnego. Mnóstwem tych książek, tałasów, książeczek dla dzieci i płyt zawiaduje Żaneta, aby zarobić na utrzymanie. Reb Efraim zajmuje się swymi starymi księgami, okazami bibliofilskimi i rzadkimi rękopisami, które leżą w pokoju na drewnianych nie malowanych półkach, od dziurawej podłogi aż do sufitu.

Wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy, długiej siwej brodzie i długich siwych włosach, w wywatowanej jar- mułce na głowie, z długą fajką w ustach, siedzi zatopiony w księgach, wyrwanych z nich pojedynczych kartach, zakurzonych pergaminach, rękopisach, w które się wgłębia i czyta przez szkło powiększające. Na dużym drewnianym, założonym papierami stole stoi gliniany gamek i mnóstwem zatemperowanych gęsich piór i miseczka kleju ze zniszczonymi pędzelkami. Służą one reb Efraimowi do sklejanía podartych stron. Gęsimi piórami wpisuje uwagi na marginesach ksiąg albo uzupełnia drobnymi, kunsztownymi hebrajskimi literami fragmenty wydarte albo wypalone. Nie używa piór stalowych jak wszyscy, lecz gęsich, które dostaje od handlarza drobiem mieszkającego w sąsiednim domu. Ostrzy je bardzo cienko scyzorykiem. Jego pismo bardziej przypomina arabskie niż żydowskie. Każda litera jest wykaligrafowana, przyozdobiona różnymi koronami, kółeczkami, jak to czyni skryba przepisujący Torę.

Profesor Breslauer ze szkoły rabinackiej jest częstym gościem reb Efraima. Choć nie bardzo lubi, musi jednak zachodzić do żydowskiego getta, gdyż w całym mieście, wśród wszystkich rabinów i uczonych nie można znaleźć mędrca równego reb Efraimowi Walderowi. Przychodzą tu też inni uczeni, poważani rabini, historycy, badacze judaistyczni. Mieszkańcy ulicy Dragońskiej każdorazowo ze zdumieniem spoglądają, gdy zjawiają się tu wybitne osobistości ze starej, bogatej zachodniej dzielnicy. Ulica Dragońska wyłazi ze skóry, gdy przychodzą na nią nie

tylko Żydzi z tamtej dzielnicy, lecz również chrześcijańscy profesorowie i księża, którzy chcą się czegoś dowiedzieć z zakresu teologii żydowskiej. Nawet policjant w hełmie, o wąsach zakręconych & la cesarz Wilhelm, wykazuje wiele szacunku dla starego pana, salutuje, ilekroć go widzi.

Nieczęsto to się zdarza, gdyż reb Efraim Walder rzadko wychodzi z domu. Od świtu do późnej nocy siedzi nad księgami i rękopisami. Mała lampka naftowa oświetla jego stół dniem i nocą, gdyż zakurzone zakratowane okna wychodzące na ciemne podwórze, przepuszczają mało dziennego światła. Obok stołu stoi żelazny piecyk, do którego Żaneta ciągle dorzuca węgli, aby idące od nich ciepło rozgrzewało kości starego. Na tym piecyku gotuje posiłki dla siebie i ojca, chude rosółki, jakie zwykle gotują bezdzietne kobiety. Najczęściej zaparza dużo szklanek herbaty z małym kawałkiem twardej kostki cukru, gdyż starzec lubi dużo pić.

Profesor Breslauer i inne znakomite osobistości chcą koniecznie wyciągnąć reb Efraima Waldera z getta. Uważają, że jego córka może prowadzić księgarnię na ulicy Dragońskiej, lecz mieszkać mogą w mieście, w jasnym mieszkaniu, w którym reb Efraim nie będzie musiał palić naftowej lampki i psuć starych oczu. Przy tym niszczejają jego księgi i rękopisy, zżerane przez kurz, mole i myszy. Poza tym należy skatalogować księgozbiór, zaprowadzić w nim porządek. Reb Efraim Walder nie chce o tym słyszeć.

— Nie, rabi Breslauer — mówi. — Wolę przeżyć moje lata na ulicy Dragońskiej na stary sposób.

Księgi to treść jego życia, za żadne skarby nie chce sprzedać swych białych kruków bibliotekom i muzeom, które gotowe są za nie słono zapłacić. Przeciwnie, to co jego córka zarabia na książkach i płytach, reb Efraim wciąż inwestuje w nowe księgi. Księgarze we Lwowie, Warszawie, Wilnie, Berdyczowie i w innych miastach wiedzą, że reb Efraim Walder z Berlina jest amatorem rzadkich bibliofilskich pozycji i zawiadamiają go drogą korespondencyjną, ilekroć są w posiadaniu jakiegoś interesującego okazu. Nikomu nie pozwala on dotknąć swych ksiąg. W jego domu można obejrzeć wszystko, lecz nic z ręki nie wypuszcza. Nie chce też pozwolić, aby ktoś sporządził katalog. Po co? Reb Walder pamięta i zna •wszystkie księgi. Jest znawcą nie tylko Szas oraz tysięcy komentarzy do pytań i responsów, lecz również wszystkich dzieł filozoficznych i ksiąg naukowych, całej mądrości Izraela.

Jednym z częstych gości reb Efraima Waldera na ulicy Dragońskiej jest Dawid Karnowski, kupiec drzewny z ulicy Oranienburskiej.

Po pierwsze, Dawid Karnowski kupuje stare księgi, które reb Efraim Walder posiada w kilku egemplarzach i chętnie część z nich sprzedaje. Dawid Karnowski jest amatorem takich starych ksiąg, zwłaszcza mających związek z dociekaniem, z filozofią. Po drugie, lubi rozmawiać z reb Efraimem, właściwie nie rozmawiać, lecz go słuchać. Reb Efraimowi nie ma co objaśniać z dziedziny filozofii i mądrości Izraela. Wie wszystko, jakkolwiek temat by poruszyć.

— Wiem, rabi Karnowski — mówi (do wszystkich mędrców zwraca się "rabi") — mogę to pokazać w moich księgach.

Żwawo jak młodzieniec wchodzi na drabinę i na półce od razu wśród tysięcy ksiąg znajduje potrzebną pozycję. Odkurza ją szczoteczką z piór indyckich i kiwa głową ze złości na mole, które zżerają brzegi ksiąg.

— Okrutnicy, rabi Karnowski — mówi o małych niszczycielach nadżerających jego antyki — o nich to powiedział król Salomon: “Małe szatany mogą wyrządzić niezmierne szkody”.

Od razu zapomina o molach i patrząc na swe stare księgi promienieje jak dziecko. Lubi mówić o swych znakomitych okazach, opowiadać historię każdego z nich. Dorzuca przy tym tyle wiadomości, że Dawid Karnowski jest osłupiały oszałamiającą pamięcią starca. Milczy zatem, nie przerywa mu, tylko słucha. Gdy reb Efraimowi zasycha w gardle od kurzu i mówienia, wola córkę, aby podała mu szklankę herbaty. Karnowski wykorzystuje okazję, aby o coś zapytać.

^ Reb Efraim, a co z waszymi księgami, które piszecie?

Reb Efraim Walder szybko wypija herbatę z rozpuszczonym w niej maleńkim kawałeczkiem cukru. Lubi rozmawiać o swoich rękopisach, zwłaszcza gdy ktoś prosi, ■ aby odczytał jakiś ich fragment. Otwiera z wysiłkiem szufladę, która się zawsze zacina przy wysuwaniu i zasuwaniu, wyjmując dwa grube, gęsto zapisane rękopisy, zszyte na grzbietach dużymi, białymi ściegami.

Są to dzieła jego życia, których pisanie rozpoczął przed kilkoma dziesięcioleciami, gdy jako fenomenalnie zdolny chłopiec przybył z Tarnopola do rabinackiej; szkoły w Berlinie i pozostał w tym mieście

do późnej starości na ulicy Dragońskiej. Już wtedy zaczął pisać te dwa swoje dzieła, lecz ich jeszcze nie ukończył. Im więcej pisze, tym bardziej się rozrastają. Pisane są w dwóch językach — po hebrajsku, kaligrafowanymi literami, z ozdobną kartą tytułową, na której widnieje napis Chronologia wiedzy. Jest to dzieło, które wnosi porządek i chronologię niemal do całej wiedzy począwszy od Tanachu aż do Talmudu Babilońskiego i Jerozolimskiego. Bardzo mądrze i niezwykle logicznie wyjaśnia reb Efraim Walder wszystkie powikłania i błędy, które zostały poczynione w Torze w toku jej przepisywania na przestrzeni tysięcy lat. Mimo że setki mędrców robiły to przed nim, reb Efraim Walder utrzymuje, że on może jeszcze wiele nowego w tę dziedzinę wnieść, pracuje nad tym wielkim dziełem latami, nie widząc jego końca.

— Można pozazdrościć starożytnym mędrcom, rabi Karnowski — mówi reb Efraim Walder, wskazując na wiszący nad jego stołem na ścianie, przybity zardzewiałym gwoździem stary szkic wyobrażający Rambam — rabi Mosze ben Majmon, którego chrześcijanie nazywają Majmonidesem, miał czas na wszystko — na medycynę, na naukę, filozofię, działalność publiczną, a nawet na dysputy z arabskimi mędrkami i mężami stanu. My, dzisiejsi ludzie, niestety nie...

Drugie dzieło reb Efraima jest pisane po niemiecku, gotyckimi literami z uwydatnionymi kaligraficznym pismem najważniejszymi sformułowaniami na początku każdego rozdziału. Dzieło to

przeznaczone jest dla chrześcijan. Rabi Efraim Walder jest przekonany, że nienawiść chrześcijan do Żydów wynika przede wszystkim z tego, że nie rozumieją oni Tory, ani mędrców żydowskich. Dlatego należy oświecić narody świata, ukazać im skarby zawarte w Torze. Wtedy otworzą one oczy i dostrzegą prawdziwe światło, które rozjaśni im mózgi i serca. Tego właśnie dokonuje reb Efraim w swym wielkim dziele, nad którym pracuje od lat, aby doprowadzić do pokoju między Semem a Jafetem. Na tysiącach gęsto zapisanych, naszpikowanych gotyckimi literami stron, analizuje wszystkie filozoficzne systemy, począwszy od greckich I filozofów, mędrców jońskich aż po ostatnie wywody, wykazując, że wszystko, co zostało powiedziane w nauce I i w etyce przez Jafeta, wcześniej już głosił Sem. Profesor Breslauer nie ma zbytniego przekonania do dzieła reb I Efraima w języku niemieckim. Wysoko ocenia jego erudycję, znajomość hebrajskiego, znacznie niżej natomiast zakres wiedzy filozoficznej rabina i umiejętność posługiwania się przez niego językiem niemieckim.

— To apologetyka. Pisały już o tym setki autorów przed wami, rabi Walder — mówi. — I mimo że jest to dzieło bardzo erudycyjne, świata tym nie porwiecie, rabi Walder.

Rabi Efraim nie chce słuchać takich opinii o dziele swego życia.

— A jeżeli apologetyka, to co? — mówi urażony. — Rabi Jedidia z Aleksandrii, którego chrześcijanie zowią Filonem Judaeusem też pisał apologetykę, a mimo to wszedł do czołówki filozofów.

Profesor Breslauer nie chce ustąpić.

— Rabi Walder, to już nie czas na takie dzieła. To już, żeby tak rzec, nie moda na nie.

— Niemodne? — pyta ironicznie rabi Efraim. — Nie spodziewałem się takiej oceny, rabi Breslauer. Duch jest wieczny, podobnie jak boskość. Nie wiadomo, gdzie się zaczyna początek i gdzie kończy się koniec.

Profesor Breslauer widzi, że nic z tym upartym czło-, wiekiem nie wskóra i próbuje argumentów praktycznej natury.

— Nigdy nie znajdziecie wydawcy swego dzieła, rabi Walder — mówi.

— Skąd wiecie o tym, rabi Breslauer, z proroctwa? — pyta rabi Efraim.

— Powiedzmy, że z proroctwa, rabi Walder.

— Rabi Levi ben Gerszum, którego chrześcijanie zwa magister Leo Hebraeus, powiada, że po to, by zostać prorokiem, trzeba być mędrcem... — mówi reb Efraim złośliwie.

Nic tak nie wprawia w gniew reb Efraima, jak krytyka dzieła jego życia. Zmartwienie polega na tym, że im więcej pisze, tym więcej rodzi się w jego głowie nowych myśli i musi zaczynać pisać od początku, poprawiać, przepisywać, a czas nie stoi w miejscu. Dni upływają.

— Och, rabi Karnowski, obym tylko zdążył zakończyć — z drżeniem w sercu mówi reb Efraim. — Obym, broń Boże, nie musiał odejść w środku pracy.

— Zdążycie zebrać owoce swego trudu —- cytatem, jak to jest jego

zwyczajem, odpowiada Dawid Karnowski.

Reb Efraim mocno pociąga tabakę, aby mu się w głowie rozjaśniło, siada i zabiera się do czytania fragmentów dzieła swego życia — z hebrajskiego tomu przeznaczzonego dla Żydów i z niemieckiego dla chrześcijan. Dawid Karnowski wysila się, aby wychwycić krótkie oryginalne sformułowania w morzu cytatów, którymi naszpikowana jest każda strona. Kiwa głową z aprobatą, słuchając głębokich nowych myśli reb Efraima. Reb Efraim wzmacnia płomień lampki naftowej i na jego twarzy maluje się uśmiech starczego zadowolenia. Czerwone światło, odbijające się na jego pociągłej twarzy i na siwiznie brody, przypomina bladą świętość, okalającą starca oświetlonego blaskiem migotliwego Jom-Kipurowego światła w czasie neile.

Ten sam święty blask oświetla młoda i energiczną twarz Dawida Karnowskiego. Po handlowych i finansowych sprawach załatwianych w mieście, po użeraniu się, targowaniu, kupieckiej przebiegłości, po głupich śmiechach i ordynarnych rozmowach tragarzy pizy pociągach, jest bardzo zadowolony słuchając starego mędrca. Święty promień pada również na Metuzalema, kocura, który zwinięty w kłęb leży w kącie i z nastroszonymi uszami wsłuchuje się w każde słowo reb Efraima.

Kocur jest stary i ślepy. Dlatego właśnie reb Efraim nazwał go Metuzalemem. Mimo że nie widzi, wyczuwa węchem myszy i bezlitośnie je likwiduje. Reb Efraim jest bardzo wdzięczny kotu, trzyma go obok siebie, częstuje twardymi kawałkami mięsa, których

swymi dziąsłami nie może rozgryźć. Nie pozwala też córce go wyrzucić. Żaneta nie może ścierpieć ślepego, wyleniałego kocura i nie chce go trzymać w domu.

— Belzebub, wynoś się! — wygania go.

Reb Efraim broni Metuzalema.

— Nieładnie, Jentł, wypędzać starca — żartuje. — Opromieniał oblicze starca, napisano w Torze.

Jentł, która nazywa się Żaneta, nie rozumie tego.

— To się odnosi do ludzi H mówi poważnie — nie do kota.

— Cóż my wiemy o kocie, moje dziecko? — mówi reb Efraim. — Kohelet powiada, że człowiek nie stoi wyżej od bydłęcia.

Żaneta odstawia miotłę. Nie zgadza się z Koheletem, że człowiek stoi na równi z bydłciem. W jej francuskich powieściach ludzie są bardzo piękni, elegancy, subtelni i po rycersku odnoszą się do dam. Poczytuje za krzywdzące, że ojciec porównuje człowieka do ślepego kota. Wykonuje jednak polecenie reb Efraima i nie wypędza wstrętnego kocura. Nie ma nikogo na świecie, ani matki, ani siostry, ani brata. Wszyscy umarli. Tylko ona pozostała z ojcem. Przed laty, w młodości, kochała kogoś

poza nim. Był to młody chłopak, który przybył do Berlina kształcić się w szkole rabinackiej. Często zachodził do 'i jej ojca na dyskusje i naukę. Był piękny, miał niebieskie oczy i blond bródkę, którą strzygi krótko. Żaneta czę- J stowała go jedzeniem, reperowała mu bieliznę i wierzyła, że poprosi o jej rękę. Ale raz, gdy pozostała z nim sama,

zachował się wobec niej brutalnie, zupełnie nie tak, jak subtelni mężczyźni z powieści. Rzucił ją na podłogę, na rozrzucone książki. Żaneta się wyrwała i ze łzami w oczach poskarżyła się ojcu. Chłopak ze wstydu uciekł z miasta i został misjonarzem. Od tamtego czasu Żaneta nie chce już znać mężczyzn. Jedynym przedstawicielem I płci odmiennej w jej życiu jest ojciec. Żaneta, podobnie jak on, rzadko wychodzi z domu. Całymi dniami siedzi w sklepie, poza tym musi gotować, sprzątać, prać, cerować pończochy, szyć, reperować. Czytając powieści, zapomina o swym staropanieńskim życiu.

Źle jest w soboty i w święta, gdy sklep jest zamknięty. Reb Efraim, z wyjątkiem Strasznych Dni, nie chodzi na nabożeństwa do synagogi. Pobożni Żydzi mają mu to za złe. Miejscowi rabini mówią, że jest on zamaskowanym heretykiem bezczeszczącym soboty. W przeciwnym razie nie przychodziliby do niego ci wszyscy odstępcy od żydostwa z zachodniej dzielnicy. Reb Efraim wie, co o nim mówią, lecz nic sobie z tego nie robi. Wierny uczeń Majmonidesa uważa, że droga do Boga nie wiedzie poprzez modły tragarzy czy domokrażców w minjanie, lecz poprzez ogarnięcie boskości rozumem. Wręcz odwrotnie, motłoch, który krzyczy i lamentuje w czasie modłów, a Boga nazywa Ojcem, słodkim Ojcem, jak jakiegoś bożka, oddala istotę rozumną od czystej boskości. Nawet żydowscy rabini nie są lepsi od motłochu, i człowiek rozumny nie może mieć z nimi nic wspólnego. Żaneta, pobożna, bogobojna, przepełniona strachem przed piekłem, nie wykonuje żadnej pracy w soboty i święta. W te dni odpoczynku dotkliwie odczuwa swe osamotnienie. Mimo że upłynęło

już ponad dwadzieścia lat, żywi jeszcze uczucie miłości do tego niebieskookiego chłopca, który ją tak bru-

IL

talnie obraził. Próbuje go sobie wyobrazić w najgorszej postaci — dzikiego, rozwydrzonego, ordynarnego, jak to było wówczas, gdy tak ohydnie się z nią obszedł. Myśli też o tym, że odszedł od żydostwa i został misjonarzem, lecz im bardziej pragnie go sobie zęhydzić, tym wydaje jej się piękniejszym. Przyprawia to Żanetę o złość do samej siebie. Nagle wybucha płaczem, wylewa łzy nad swoim osamotnieniem, szłocha za swą matką, siostrami, braćmi, którzy wszyscy wymarli, a najbardziej ubolewa nad swym własnym życiem i swoim staropanieństwem. Najczęściej płacze po nocach, leżąc w łóżku zmarłej matki, które stoi naprzeciw łóżka ojca.

— Boże w niebiosach — woła w rozpacz.

Reb Efraim Walder czuje ból w sercu, słysząc płacz córki. Choć wie, że wszystko w życiu jest nonsensem, że ludzkie przyjemności, pasje, rozkosze to tylko próżność, głupota, a jedynie mądrość, podobnie jak boskość, jest wieczna, lituje się nad córką, która płacze po nocach. Nie może jej pocieszyć, gdyż wie, że go nie rozumie. Jest tylko niemądrą kobietą, przed którą zakryte są drogi mądrości i która żyje posługując się wyłącznie instynktem jak bydlę, niestety. Przez chwilę przemyślał o celach boskości, która często stwarza człowieka z rozumem bydlęcia i ludzką zdolnością do rozpacz. Siada więc na łóżku i mówi wśród ciemności zalegającej pokój:

— Nie płacz, Jentł, nie ma w tym żadnej logiki, córko.

Żaneta szłocha jeszcze gwałtowniej.

Reb Efraim czuje się źle, zakłada watowany szlafrok i domowe pantofle i wychodzi na podwórze. Z bramy wychodzi dziewczyna, chrześcijanka, z żołnierzem, którego prowadzi do sutereny. Żołnierz obserwuje starca z długą brodą, w ciepłej jarmułce na głowie i wybucha śmiechem.

— Żyd, mee — meczy jak kozioł, podkładając rękę pod podbródek, aby wyglądał on jak kozia broda.

Dawid Karnowski nie oddał swego jedyne go syna na naukę do szewca, jak często się odgrażał.

W dwudziestym roku życia Georg ukończył gimnazjum z dobrymi wynikami. Na uroczystość, jaka odbyła się z tej okazji w szkole, sprawił Karnowski swemu synowi frak, lakierowane obuwie, białą sztywną koszulę, kupił mu też cylinder. Biel sztywnego kołnierza lśniła szczególnie wyraźnie przy śniadej, męskiej twarzy Georga. Jego ojciec włożył na tę uroczystość świąteczny surdut i cylinder, tak jak się ubierał do synagogi. Lea Karnowska, jak zwykle w takich okolicznościach, została w domu, nie będąc pewna swej znajomości języka niemieckiego i swego zachowania. Wszyscy nauczyciele byli świątecznie ubrani. Wśród honorowych gości było kilku wyższych wojskowych, a nawet starsza, na wpół sparaliżowana, oparta o laskę księżna, wnuczka księżny Zofii, której imię nosiło gimnazjum. Profesor Kneitel wyglądał sztywno w swym staromodnym fraku i niezwykle wysokim kołnierzu. Długie końce jego fraka fruwały przy każdym schyleniu się i ukłonie przed dostojnymi gośćmi. Dyrektor

gimnazjum, radca dworu Briefe, postrach uczniów i nauczycieli, krążył jak lokaj wokół honorowych gości. Z jego okolonych grubymi wargami ust, które w ciągu roku bluzgały obelgami i krzykami, płynęła spływająca niczym miód kwiecista mowa. Georga niezmiernie śmieszyła uniżoność tych ludzi. Myśl, że za chwilę uwolni się od Kneitla, radcy dworu Briehego oraz wszystkich nauczycieli i inspektorów, że będzie wolny, pójdzie dokąd i kiedy zechce, a jeżeli spotka na ulicy pana Kneitla, będzie nawet mógł mu się w oczy roześmiać, napawała go radością i niecierpliwością.

— Radca dworu von Scheissenhof nie wie, kiedy skończyć — szepnął Georg do ucha koledze.

— Wybieramy się wieczorem do piwnicy cygańskiej trochę się zabawić — powiedział kolega. — Przyjdź, będą dziewczęta.

Gdy Georg wrócił do domu we fraku, cylindrze i ze świadectwem dojrzałości w ręku, Lea splunęła trzy razy pod rząd, aby uchronić syna przed złymi oczyma.

— I cóż, Dawidzie — zapytała promieniejąc — czyż nie mówiłam zawsze, że wszystko się dobrze zakończy. Będziesz miał teraz wiele pociechy z dziecka.

Dawid Karnowski jednak tej wielkiej pociechy nie miał.

Jako dobry kupiec pragnął, aby jego syn wstąpił na akademię handlową. Handel drzewny bardzo dobrze prosperował. Karnowski zakupił też korzystnie duży dom w północnej części miasta, w dzielnicy Neukölln, gęsto zamieszkaną przez robotników fabrycznych i rzemieślników. Chciał wykształcić syna, przysposobić

go do handlu, przygotować spadkobiercę, który potrafi zawiadywać zarówno materialną, jak i duchową spuścizną ojca. Georg nie chciał wstąpić na akademię handlową, myślał o politechnice, o architekturze, nawet o malarstwie, ale w żadnym wypadku nie o handlu. Dawid Karnowski nie posiadał się ze złości, że jego jedyny syn wybiera sobie obcy, nieżydowski zawód.

— Robi to mi na przekór — gorączkował się rozmawiając z żoną. — Właśnie dlatego, że ja sobie nie życzę, on tego chce — ten krnąbrny i niegodziwy syn. Nie będę na głupstwa wyrzucał pieniędzy. Chcę jakiejś perspektywy za moje pieniądze.

Po tygodniach tarć i gniewu doszło do kompromisu. Georg nie zapisał się na architekturę ani na malarstwo, jak pragnął, ale też nie na kierunek handlowy, jak sobie życzył ojciec, lecz na filozofię. Karnowski niezupełnie był z tego zadowolony.

— Rabi Cadok powiedział, nie przekształcaj Tory w żelastwo — mówił Karnowski. — Dobrze jest łączyć Torę z handlem.

Nie bardzo się już o to spierał. Jakby nie było, jego sercu bliska była filozofia. Poczyni! ustępstwo w jeszcze jednej sprawie. W jego domu potrzebny był administrator. Karnowski nie miał na to czasu i przekazał Georgowi pobieranie należności za czynsz i pieczę nad domem,, ..!

Z ojcowską powagą wyjął z kieszeni kilkaset marek, prostych, jakby wyprasowanych, gdyż zazwyczaj pienią, dze przetrzymywał w porządku, i wręczył je synowi, aby wpłacił chesne na uniwersytecie i sprawił sobie odpowiednie ubranie, jak przystoi studentowi.

— Mnie mój ojciec, niech spoczywa w spokoju, gdy byłem w twoim wieku, nie dawał pieniędzy — powiedział, jak zawsze, gdy sobie przypominał, że nie wiodło mu się tak dobrze jak jego synowi; rp Dlatego musisz pilnie się uczyć i pracować. Tora wespół z życiem materialnym.

Georg w żadnej z tych dziedzin nie wykazał się jednak pilnością.

Jak więzień, który nagle po latach odzyskuje wolność, tak Georg, poczuwszy swobodę, pragnął zadośćuczynienia za wszystkie lata zniewolenia w domu i w szkole.

Przede wszystkim napadła go gwałtowna chęć posiadania eleganckich ubrań. Kazał sobie uszyć ich kilka według najnowszej mody, zakupił krawaty, rękawiczki, srebrną papierośnicę ^ mógł teraz palić swobodnie. Nabył nawet laskę ze srebrnym monogramem. Beztróska roztrwonił piękne stumarkowe banknoty i nie miał na opłacenie czesnego.

Lea w tajemnicy przed mężem podsunęła synowi kilkaset marek, których potrzebował na czesne. Georg wpłacił, ale rzadko chodził na uniwersytet. Więcej wykładów opuścił, niż wysłuchał.

Po uprzednim pragnieniu bycia eleganckim ogarnęła go pasja do zabaw i przyjemnego spędzania czasu.

Jak wszyscy słuchacze pierwszego roku lgnął do starszych studentów, którzy przyjęli go do towarzystwa i zabierali na spotkania do piwiarni, w której mieli oddzielny pokój o fantastycznej łacińskiej nazwie. Studenci ci byli wyłącznie Żydami i z tego względu nie należeli do żadnej niemieckiej korporacji, zachowywali się jednak na

swych

spotkaniach prawdziwie po studencku. Wprawdzie się nie pojedynkowali, nie uprawiali szermierki, lecz śpiewali wesołe, często swawolne studenckie piosenki, zawsze o kobietach i winie. Pili piwo z dużych kufli, choć często im ono nie smakowało. Przestrzegali też korporanckich obyczajów przy przyjmowaniu "frajera" do swego grona. Jak wszystkim jego poprzednikom, tak i "frajerowi" Karnowskiemu dano do wiwatu przy przyjęciu go do swej społeczności na wieczornym spotkaniu w piwiarni. Po pierwsze, wysmarowano mu twarz mąką i zmuszono do zjedzenia — wyłącznie ustami, bez pomocy rąk — miski grochu rozsypanego na podłodze. Następnie, przy kielbaskach popijanych piwem, musiał wygłosić wykład z filozofii o Arystotelesie. Potem musiał wypić piwo z mosiężnego buta.

Nadano mu przezwisko Hipopotamus, co było aluzją do jego nie całkiem równych zębów. Bardzo mu to imię imponowało. Georg starał się na studenckich spotkaniach pić znacznie więcej niż mógł. Zawierał również jak najwięcej znajomości z kelnerkami i ekspedientkami, jak przystoi prawdziwemu studentowi. Wkrótce poznał wszystkie miejskie knajpy i kawiarnie wokół Unter den Linden, gdzie młodzi ludzie schodzą się na randki. Wraz z innymi miejskimi lekkoduchami udawał się wieczorami, gdy ekspedientki gromadnie wychodziły z pracy, na "polowanie" przed domy towarowe, aby zdobyć pierwszą lepszą amatorkę dobrej zabawy.

— Kochanie, jesteś dziś wolna, nieprawdaż? — pytał, ujmując dziewczynę pod ramię, zanim zdążyła mu odpowiedzieć.

Dziewczęta nie odmawiały. Był wysoki, dobrze ubrany, czarnowłosy i czarnooki — wyjątek wśród jasnowłosych chłopców. Jego bardzo białe, nierówne zęby śmiały się zza czerwonych pełnych warg. Dziewczyny skręcały się ze śmiechu z jego dowcipów. Były zaskoczone rozrzutnym wydawaniem na nie pieniędzy, zamawiał piwo, nawet wino. A jeżeli łakoma dziewczyna pytała go nieśmiało, czy może dostać drugi kawałek ja-

błecznika, nie odmawiał. Dziewczęta, nawykłe do skąp. stwa kawalerów-blondynów, którzy rzadko przystawali na taką rozrzutność, były zachwycone śniadoskórym młodzieńcem. Z wyglądu i zachowania rozpoznawały w nim obcego. Aby go nie urazić, mówiły, że jest Węgrem; Włochem, Hiszpanem, byle nie Żydem. Georg sam z siebie żartował.

— Jestem księciem Karno z Marokańskiej Persji nad oceanem Indyjskim, między północnym i południowym biegunem oraz nad Tygrysem i Eufratem. Czy wiesz kochanie, gdzie to się znajduje?

Nie wiedziały i wstydziły się do tego przyznać, ale tak czy owak były zachwycone. Można było uśmieć się na śmierć z dowcipów tego chłopaka. Jego brunatne, ciepłe ręce tchnęły życiem i radością, jakby były naładowane prądem elektrycznym. Rozpalały krew bardzo jasnych i anemicznych ekspedientek. Sukcesy w kontaktach z dziewczętami przyczyniły się do wzrostu pozycji Georga wśród starszych studentów. Chcieli, by był z nimi każdego wieczoru, gdy schodzili się na piwo. Lecz Georg równie prędko jak początkowo Ignął do spotkań studenckich, tak szybko stracił do nich ochotę. Mimo

iż w ciągu tych wieczorów śpiewano dużo wesołych piosenek o "Pani gospodyni", mimo że wypijano dużo piwa, nawet ponad możliwości pijących, radości w tym nie było. Jakiś tajemny lęk i ostrożność kryły się wśród ścian studenckiego pokoju w piwiarni, czaił się w nich jakiś nieprzyjemny strach przed samym sobą. Bano się wspomnieć słowem o własnej przynależności, wystrzegano się tego przed kelnerami i służącymi jak jakiejś skazy. Nawet między sobą wstydzono się tej hańby. Istniała jakby umowa, aby nie wspominać przykrego słowa "Żyd". Wystrzegano się bardzo źle odzianych, długowłosych współwyznawców z Rosji, którzy studiowali w Berlinie. Czarnowłosi i czarnoocy studenci z Zachodu unikali czarnowłosych i czarnookich studentów ze Wschodu bardziej, niż ich jasnowłosi koledzy stronili od nich. Nie chcieli mieć nic wspólnego z żebrakami i "nihilistami". Swą wschodnią żydowskością wyciągają oni bowiem na powierzchnię żydowskość zachodnią, którą oni, Niemcy wyznania mojżeszowego, starają się tak skrzętnie zamaskować.

Jak zwykle Georga Karnowskiego pociągało to, co zakazane. Starał się zbliżyć do tych obcych "Rosjan". Im bardziej koledzy robili mu wyrzuty, że on, urodzony na ziemi niemieckiej, nawiązuje kontakty z obcymi, tym bardziej ci ostatni go pociągali.

— Wilka ciągnie do lasu — mówili koledzy, dając do zrozumienia, że Georg nie jest zupełnie zasiedziały, lecz jest zapewne synem jakiegoś "polskiego żebraka".

Ci obcy, źle ubrani długowłosi młodzi ludzie nie byli tacy

zastraszeni i sztywni jak studenci z zachodniego Berlina. Przed nikim się nie ukrywali, nie stali wiecznie na straży swej godności. Jawnie, swobodnie ukazywali swe twarze i liche odzienie, wielu z nich było wesołymi chłopakami i żartownisiami. Dzień przeżywali o herbacie i chlebie ze śledziem, lecz się tym nie przejmowali. Georg Karnowski przylgnął do nich. Podobał mu się szczególnie student Juda Łazarowicz Kugel, którego koledzy przezywali Judeł Bardasz.

Intrygował on żydowskich studentów w Berlinie swym komicznym nazwiskiem i prowokującym imieniem. Imię to przywodziło na pamięć zdrajcę, który wydał Jezusa Chrystusa. Student ten był najbiedniejszym, najbardziej zarośniętym i najgorzej ubranym spośród wszystkich "Rosjan". Mimo to był wesołkiem, żartownisiem, uosobieniem radości. I

Rosły, z dziką kępką czesanych rzadko brązowych włosów, o zarośniętej zawsze twarzy, którą golił raz w tygodniu, z krótkim, kartoflanym, szerokim rosyjskim nosem, o potarganych brwiach nad brązowymi, cwaniackimi oczami, błędnie mówił po niemiecku, zwłaszcza chropowato wymawiał "r" — ale był zadowolony ze świata, z siebie, ze swej znoszonej odzieży, a nawet ze swego imienia.

— Bardasz, dzieci — mawiał zwykle, co oznaczało, że wszystko jest marne, znikome, więc nie należy się niczym przejmować, lecz żyć, jak się daje, cieszyć się światem.

Niezbyt już miody, nie myślał o przyszłości. Wieczny student, włóczył się po różnych zagranicznych miastach uniwersyteckich, wszędzie był wolnym słuchaczem różnych dyscyplin i nigdy żadnej

nie ukończył. Słuchał już wykładów z dziedziny przyrodoznawstwa w Bernie, prawa w Bazylei, literatury klasycznej na paryskiej Soi lii nie, socjologii w Liège, obecnie zaś studiował filozofię w Berlinie.

— Bardasz — odpowiadał kolegom, którzy drwili z jego ciągłych wędrówek i zmian kierunków studiów — tak jest weselej, dzieci.

Słowo to wypowiadał również pierwszego każdego miesiąca, gdy odbierał swą zapomogę w Związku Pomocy, a radca handlowy Kohn strofował go za ubiór, wygląd i zachowanie.

Podobnie jak studenci z zachodniego Berlina, filantrop, radca handlowy Kohn, czuł się poniżony, widząc współwyznawców ze Wschodu, którzy przychodzili do niego po zapomogi. Śnieżnobiały, ze srebrnymi bokobrodami po obu stronach ogolonego podbródka, zawsze z medalem w klapie, który otrzymał od Jego Wysokości cesarza za działalność filantropijną, dumny ze swego bogactwa i rzetelności, doznawał upokorzenia na widok ubogich studentów ze Wschodu. Mówili błędnie po niemiecku, wtrącając żydowskie wyrazy. Byli źle ubrani, nie ogoleni, zaniedbani, nie chcieli zaglądać do synagogi, nie obchodzili sobót ani świąt, nic sobie nie robili z zasad koszerności. Ponadto zajmowali się, jak słyszał radca handlowy Kohn, złą polityką. Albo snuli niemądre marzenia o powrocie do kraju Izraela i odbudowaniu żydowskiego państwa, albo toczyli wojnę z rosyjskim caratem, nawoływali do rewolucji, powstań, a nawet do terroru. Prasa nieraz pisała o tych ludziach.

— Bardzo źle, moi panowie — strofował ich radca handlowy Kohn. — Co wolno chrześcijanom, tego nie wolno Żydom. Musimy

być wzorem dla narodów. Świętobliwi mędracy-talmudyści mawiali, że jeden Żyd jest odpowiedzialny za drugiego Żyda, moi panowie.

Bardziej niż kogokolwiek radca handlowy Kohn strofował Jiu.de Kugla.

— Benedykt Spinoza również był filozofem, panie kandydacie na filozofa — tłumaczył. — Mimo to miał uczesane włosy, i choć był ubogo ubrany, to schludnie. Pański wygląd włóczęgi to istna obraza boska. Co na to powiedzą chrześcijanie?

— Bardasz! — odpowiadał Juda Kugel.

Wygolony podbródek pomiędzy śnieżnobiałymi bokobrodami radcy handlowego Kohna poczerwieniał od urazy i irytacji.

— Proszę nie mówić pańskim barbarzyńskim żargonem — powiedział rozgniewany. — Nic z tego nie rozumiem.

Do najwyższego stopnia irytował się, gdy Kugel zamiast tytułować go "panie radco handlowy", zwracał się do niego po prostu po nazwisku.

— Jestem panem radcą handlowym, proszę to zapamiętać ■ — oburzał się — nie chodzi mi o tytuł, chcę tylko pana pouczyć o regułach dobrego wychowania.

Juda Kugel brudnymi rękami odebrał kilka marek od rozgniewanego radcy handlowego Kohna i nawet nie podziękował.

Do tego rozczochranego i wesołego chłopca przypadł z zapalem młody Karnowski. Czy pociągało go to, że gardzili nim wszyscy przyzwoici ludzie i Georg, na przekór wszystkim, zbliżył się do

niego? Czy może sprawiła to żywiołowa wesołość tryskająca z Kugla, z jego zmiętoszonego ubrania — Georg nie wiedział. Czuł jednak, że lubi tego chłopca, jego hałaśliwość, śmiech, brązowe, cwaniackie oczy, a nawet słowo “bardasz”, którego wprawdzie nie rozumie, ale które przyjemnie dźwięczy mu w uszach.

Georg chodził nawet z Judą do kawiarni, gdzie “Rosjanie” prowadzili wieczne dyskusje, wypijając przy tym mnóstwo herbaty.

Nikt tam poważnie nie traktował tego, co Juda zawsze mówił, zabierając głos w dyskusji.

— Tępa głowo, gdzie tu logika? — gorączkowali się młodzi ludzie w okularach, wytrawni logicy.

— Bardasz! — odpowiadał Juda Kugel. — Niech będzie bez logiki, byle dobrze.

Choć Georg niewiele z tych dyskusji rozumiał, popierał Judę. Radowało go niezmiernie, gdy po zakończeniu słownych sporów Juda śpiewał pieśni — ukraińskie, rosyjskie i żydowskie. Głębokim, drżącym, dobiegającym z piersi basem wyciągał melodyjne pieśni — jednym razem smętne, sentymentalne, bądź to wesołe, dzikie.

Od czasu do czasu Georg zachodził w okolice dworca Szczecińskiego, najuboższej dzielnicy Berlina, gdzie mieszkał Juda w pokoiku wynajmowanym u szewca Martina Stulpe.

Izdebka ta, na pół piwnica, na pół nie, gdyż z podwórza prowadziło do niej tylko kilka schodów, była mała i ciasna, stąd przy wroście Judy wydawała się mniejsza, niż była w istocie. Nic prowadziło do niej oddzielne wejście, trzeba było przechodzić przez pierwszy pokój,

w którym pracował właściciel mieszkania — szewc. Szyldzik z dużym, wymalowanym żółtym butem jeździeckim kołysał się przy najmniejszym nawet wiatku. Powietrze było gęste od zapachu smażonych skwarek ze słoniny, skóry i szewskiego kleju. Para z gotującej się bielizny pani Stulpe pokrywała wycięte z gazet fotografie długowłosych i brodatych rosyjskich pisarzy i rewolucjonistów, które Juda Kugel nakleił na ścianie w swoim pokoiku. Jego gitara, wisząca na gwoździu nad żelaznym łóżkiem, nasiąkała wilgocią. Jak zwykle Juda krzątał się przy swym czajniku, jedynej rzeczy, jaką posiadał. Woził go z kraju do kraju i gotował w nim herbatę na maszynie naftowej.

Mimo że pokój jest ubogi i wilgotny, Georgowi jest tu wesoło. Juda zapoznaje go z szewcem Martinem Stulpe i jego rodziną. Są zdumieni eleganckim ubraniem Georga i jego wyglądem.

— Rosjanin? — pyta pan Stulpe.

— Nie, autentyczny berlińczyk, panie Stulpe — odpowiada Juda ze śmiechem. — Żaden Kozak.

Sąsiedzi uważają Judę za prawdziwego Kozaka z powodu jego rozczochrania, wzrostu i zaniedbanego ubioru. Chcą się od niego dowiedzieć o kozackich obyczajach związanych z końmi i pikami. Juda opowiada niestworzone historie, a mieszkańcy podwórza przyjmują je za dobrą monetę. Mieszkające tu szwaczki są nim zachwycone. Włazą z nim nocami w różne zakamarki, by zakosztować kozackiej miłości. Juda gra im na gitarze, śpiewa swym głębokim basem rosyjskie piosenki. Jak zwykle, gdy przychodzi do

niego Karnowski, grzeje wodę, aby gościa poczęstować herbatą. Georg nie chce mętnej herbaty Judy i raczej woli z nim iść do piwiarni Pupa, mieszczącej się na końcu ulicy.

— Nie mam ani feniga — mówi Juda — będziesz musiał zapłacić za mnie jęku.

— Zamknij swoją rosyjską gębę. Bardasz — odpowiada nonszalancko Georg, dumny, że jest aż tak blisko zaprzyjaźniony ze starym studentem Judą, iż może mu nawet nawymyślać.

Przy stolikach siedzą mieszkańcy dzielnicy, pijąc piwo i paląc papierosy i fajki. Ich uliczna mowa niemal nie przypomina języka, który Georg słyszy w domu czy na uniwersytecie. Obok niektórych siedzą ich żony. Nie piją, gdyż mężowie nic dla nich nie zamawiają, robią na drutach i z zazdrością — jak koty łakomie patrzące na mleko, gdy ludzie piją — patrzą mężom w oczy. Dopiero, gdy jedna z kobiet nie może się już powstrzymać i mlaska ustami zbyt głośno, jej mąż przypomina sobie o niej i pyta władczo:

— Pewnie chcesz łyknąć, stara, prawda?

— O tak, mój drogi — mówi kobieta i opróżnia chciwie resztę piwa, które mąż zostawił w kuflu. — Dobre piwo, dziękuję.

Szynkarz Pup, wysoki mężczyzna z okazałym brzuchem, zbyt wysoki i tęgi jak na swoją małą piwiarnię w ubogiej dzielnicy, sam obsługuje gości.

— Prosimy moi panowie, dobre piwo — mówi zachwalając swój towar.

Siedzący przy stolikach częstują go kuflem piwa, mimo że to on

jest tutaj gospodarzem. Pup wchłania je jednym łykiem i z kolei on częstuje klientów na swój rachunek. Mężczyźni odwzajemniają się i znów zamawiają piwo dla siebie i dla niego. Tak to się zawsze odbywa. Juda śmieje się szeroko.

—Komiczni ludzie, twoi jekowie — mówi wesoło. — Nigdy się nie myślą, nawet gdy są pijani. Każda kropla jest wyliczona.

Georg jest dotknięty. Choć nie czuje się zbyt bliski ludziom przy stolikach, nie jest mu miła opinia Judy

jękach, próbuje tych ludzi usprawiedliwić.

—Muszą być wyrachowani, są to bowiem biedni ludzie.

—Bardasz — odpowiada Juda. — W Rosji ludzie są biedniejsi, ale tak pieniędzy nie liczą. Tam, bracie, jak się pije, to do ostatniej koszuli.

Oczy jego płoną, jak zwykle, gdy opowiada o latach swej wędrówki. Ojciec Judy, szewc łatacz, chciał, aby

on został łataczem i włókł go ze sobą z workiem po wioskach, by zbierać chłopskie buty do naprawy. Lecz młody Kugel nie chciał zostać łataczem i bez grosza, mając na sobie jedynie za dużą ojcowską marynarkę i buty, puścił się pieszo w drogę do Odessy, by się uczyć i dojść do czegoś.

Wówczas robił wszystko, co się dało. Uczył się i na ulicach czyścił buty, był nauczycielem u bogatego wieśniaka, wypalał węgiel w lesie u węglarza, pomagał domokrażcy, Tatarowi, roznosić towar po wioskach, a tępych uczniom przygotowywać się do gimnazjum. Przez pewien czas pędził nawet bydło kupca handlującego wołami do

rzeźni, ciągnął wraz z różnymi włóczęgami ładunki do frachtowców na brzegu Morza Czarnego, zadał się z rewolucjonistami, siedział w więzieniu, uciekł za granicę i włóczył się po wszystkich europejskich uniwersytetach.

Z otwartymi ustami i uszami słucha Georg opowiadania rozczochranego chłopca, któremu zazdrościł jego swobody, a nawet biedy. Juda rozgląda się po piwiarni, patrzy na ludzi i śmieje się bez powodu.

— Chodź, bracie, razem na wędrowną — mówi nagle. — Wszystko mi obrzydło.

— A co z uniwersytetem? — chce dowiedzieć się Georg.

— Niech go piekło pochłonie — mówi Juda. — I ty dojdź do tego wniosku. Posłuchaj mnie, we dwójkę będzie weselej.

Georg nie przyjmuje propozycji kolegi, by wędrować po świecie. To, jak dla niego, zbyt wiele. Lecz podobnie jak Juda zaniedbuje studia. Codziennie na nowo przyrzeka sobie, że weźmie się w garść, będzie uczył się, pracował, lecz za każdym razem ma znów setki innych spraw na głowie. Po latach dyscypliny i przymusu wciąż nie może sobie dać rady ze swą swobodą. Nie wie, co ze sobą począć. Jest niespokojny, z zapałem chwytą się jakiegoś zajęcia i od razu je odrzuca, zmienia kolegów, dziewczyny, wciąż szuka czegoś nowego. Kiedy ma dość hulania i idzie na uniwersytet, porywa go wykład, przyrzeka sobie, że będzie pracował, poważnie podchodzi do studiów, jak powinien to czynić student filozofii, lecz równie szybko, jak podejmuje taką decyzję, tak mu ona brzydnie. I znów ucieka do

knajp, ekspedientek, próżnowania i hulania.

Unika domu i rodziców, podobnie jak zaniedbuje studia. Dawid Kaniowski nie wie dokładnie, jak studiuje jego syn, gdyż nie ma czasu go pilnować, ani też nie informuje go o tym uniwersytet. Zdaje sobie jednak sprawę, że syn nie zdobywa wiedzy adekwatnej do kosztów, które na to łoży ojciec. Sam, będąc człowiekiem światłym i dociekliwym, lubił podyskutować ze swym synem, studentem, o wyższych problemach, których się naucza na uniwersytecie, dowiedzieć się czegoś nowego o świecie myśli i badani naukowych. Chętnie by zajrzał do prac syna, do tematów, które przygotowuje. Georg jednak nie

ma nic do powiedzenia, ani do pokazania. Dawid Karnowski strofuje go, przytaczając jakiś werset w niemieckim przekładzie.

— Jest ci zbyt dobrze, dlatego grzeszysz, jak mówi Tora. Gdy Żydzi obrośli w tłuszcz, grzeszyli. Mnie nie powodziło się tak dobrze jak tobie, synu.

Dawid Karnowski żąda wyjaśnień, pragnie wiedzieć, jaka to perspektywa czeka młodego człowieka latającego po mieście, pijącego piwo, włączającego się z obdartymi typami, Pan Bóg wie z kim. Obok wytłumaczenia postępowania Georga, żąda też rozliczenia z administrowania domem, które powierzył synowi. Georg ma ciągle kłopoty z tymi rachunkami. Nie wystarcza mu skromna suma, którą otrzymuje na utrzymanie, dopożycza sobie z opłat za komorne, lecz i tak zawsze nie starcza mu pieniędzy. Każdej soboty, wieczorem, gdy ojciec dokonuje cotygodniowych obrachunków, szuka wykrętów,

usprawiedliwień. Dawid Karnowski patrzy na niego swymi wielkimi czarnymi, przenikliwymi oczami, a jego ostry nos jest pełen ironii.

— Najbardziej na świecie nienawidzę kłamstwa — mówi. — Żądam rachunku.

Georg nie może zdać rachunku ani ze swego postępowania, ani z wydanych pieniędzy. Unika więc rodzicielskiego domu.

Często zostaje na noc w swym kawalerskim pokoiku w domu ojca w północnej dzielnicy miasta. W kantorku, w którym prowadzi administrację domu, stoi skórzana kanapa, twarda i z uszkodzonymi sprężynami, na której Georg często sypia, mimo że jego łóżko w mieszkaniu rodziców jest szerokie i miękkie. Tu, będąc sam, jest sam dla siebie panem, nikt nie pilnuje, kiedy kładzie się spać i kiedy wstaje. Gdy zdarza mu się hulanka z kolegami albo nowa znajomość z dziewczyną z domu towarowego, może wrócić nawet o świcie.

Dozorczyńni, pani Krupa, wygraża mu palcem przed nosem za każdym razem, gdy I rana sprząta kantorek i znajduje damską szpilkę do włosów. Nie jest ona jeszcze stara i mężczyźni na podwórzu czasem się do niej zalecają. Irytuje ją, że młody student sprowadza kobiety, zapewne rozpustne, ladacznicę, jedną za drugą.

— Znów pan hulał — mówi i grozi mu palcem przed nosem. — Opowiem staremu panu.

Georg, jak zwykle po nocnym picciu i późnym zaśnięciu, budzi się z ciężkim bólem głowy i kacem. Siedząc w łóżku z łokciami opartymi o kolana, czuje dużą niechęć i awersję do swego, upływającego w próżniactwie życia, do kręctw, plątania się i oszukiwania rodziców,

do dziewczyn, a przede wszystkim do samego siebie. Zdaje sobie sprawę, że ojciec ma rację mówiąc, że on — jego syn — do niczego nie dojdzie.

W zawsze pełnym radości mieszkaniu Salomona Buraka przy alei Landsberskiej nie słyhać już tak często jak j dawniej pogodnych żydowskich piosenek teatralnych, odtwarzanych z płyt gramofonowych.

Dzieje się tak nie dlatego, że interesy Salomona Buraka nie rozwijają się pomyślnie. Przeciwnie, powiększył on i poszerzył swój sklep. Kazał też namalować ogrom- J nymi literami swe nazwisko na szyldzie — ku zazdrości | i zaniepokojeniu niemiecko-żydowskich sąsiadów, których kłuje w oczy imię “Salomon”. Na ulicy Dragońskiej powiadają, że Salomon Burak sam już nie wie, ile pieniędzy posiada. Lecz Salomon Burak nic jest szczęśliwy, ani on, ani jego żona Ita.

Cóż bowiem im z bogactw, skoro Rut, ich najstarsza córka, snuje się jak cień i usycha z miłości do Georga Karnowskiego, który nie chce jej nawet znać.

Odkąd Rut przyszła z matką do Karnowskich w okresie, gdy Lea spodziewała się dziecka i zetknęła się z Georgiem, od razu zapalała do niego miłością. Od tego czasu przy każdej sposobności towarzyszy matce w jej wizytach u Karnowskich, pod pretekstem, że przychodzi do Rebeki, dziecka Lei, gdyż bardzo je lubi. Lecz Lea widzi, że dziewczyna ma na myśli Georga. Poznaje to po jej oczach, które stają się niespokojne i płonące, gdy tylko widzi Georga oraz po

przesadnym uczuciu do jej córeczki. Namiętnie tuląc i całując małą Rebekeę, dziewczyna wyładowuje swą ciężką jej miłość, kryjącą się w sercu Rut do brata dziecka, Georga. Ita Burak nie krępuje się nawet wyznać to Lei.

— Jaka ładna parka — mówi za każdym razem, gdy jej Rut spotyka Georga. Przy tym dopada Lei i całuje się z nią, jak gdyby były już spowinowaczone.

Lea nie może pojąć, dlaczego jej syn unika spotkania z Rut, ilekroć ona przychodzi do ich domu.

— Nie rozumiem, czemu tak źle traktujesz tę dziewczynę, moje dziecko — ma żal do syna. — Dobra, ładna, wykształcona, co masz przeciwko niej?

Georg również nie wie, co ma przeciwko Rut. Wszystko, co matka o niej mówi, jest prawdą. Jej aksamitne czarne oczy są łagodne i pełne dobroci dla wszystkich, a zwłaszcza dla niego. Jest bardzo czytana, dobrze gra na pianinie, zna na pamięć wszystkie opery. Jednak nie pociąga ona Georga tak jak inne dziewczęta. Miękka krągłość jej ciała wyraża wiele macierzyństwa, lecz brak jej kobiecości. Macierzyństwo widoczne jest zawczasu w jej tęgości, ciężkim chodzie, wdzięku i łagodności twarzy, w gorącym uczuciu do dzieci. Wszystko to sprawia, że jest jakby niższa, bardziej ociążała i nad swój wiek dojrzała. Georg ją lubi, jak wszyscy, lecz jest mu obojętna jak beznamiętny jest widok nabrzmiałej piersi matki karmiącej dziecko. Nie jest w stanie wzbudzić w sobie pożądania do tej tęgawej, miłej, pełnej macierzyństwa dziewczyny, spoglądającej na niego błagalnymi oczami, z

których wyziera prośba, aby ją kochał, poślubił i dał jej dzieci, dużo dzieci. Swą łagodnością, słodyczą i dobrocią przypomina mu smaczne, słodkie strucle, które matka piecze na soboty. Mimo że wielka miłość dziewczyny zaspokaja jego męską dumę — jak każdego mężczyzny, którego kobieta kocha bez wzajemności — to zabija ona w nim pragnienie zdobycia jej. Poza oczami nazywa ją nawet żartobliwie “madame rabinowa”. Rut usilnie pragnie zbliżyć się do niego, jej serce rwie się do ukochanego. Czyta najnowsze książki, aby w rozmowie z Georgiem nie pozostawać za nim w tyle. Jego młodej siostrzyczce udziela bezpłatnych lekcji gry na pianinie. Siedząc przy tym instrumencie próbuje wyrazić grą swą dziewczęcą tęsknotę tak, aby dotarła ona do pokoju Georga. Poprzez nokturny Szopena ujawnia swą miłość do niego. Lei Karnowskiej aż łzy napływają do oczu, gdy słyszy dziewczęcą skargę płynącą z kościanych klawiszy. Przypomina jej to własne panięskie lata, które bezpowrotnie przeminęły.

Lea całuje Rut w głowę, dziewczyna nagle gwałtownie tuli się do jej piersi. Nawet Dawid Karnowski, siedząc nad księgami w swoim gabinecie, słyszy tę piękną grę i dziwi się, jak udaną córkę ma grubianin Salomon Burak. Jedyne Georg, do którego uczucie to jest skierowane, nie słyszy tej wygrywanej na pianinie tęsknoty. Gdy tylko dowiaduje się, że przyszła Rut Burak, natychmiast wybiega z domu.

— Dokąd ci tak śpieszno, synu? — pyta go matka^ — Czy nie widzisz, że mamy gościa, pannę Rut?

— Zapewne, zapewne — reflektuje się Georg — lecz jestem bardzo zajęty, nie mam sekundy czasu. Panna Rut mi to wybaczy, nieprawdaż?

Uśmiecha się jak najuprzejmiej, aby panna Rut wybaczyła mu jego odejście.

— Oczywiście, oczywiście, panie Georg — mówi Rut, czując, że za chwilę się rozplacze.

Wie, że ośmieszyła się przychodząc tu, upokorzona ucieczką Georga, litościwym spojrzeniem Lei Karnowskiej, śpieszy się, by wyjść jak najprędzej, gdyż nie jest pewna, czy uda jej się dłużej powstrzymać łzy, które wzbierają w jej oczach.

— Do widzenia — mówi nagle i prędko zbiega ze schodów, przyrzekając sobie, że już nigdy więcej tu nie zawita. Nawet nie będzie przechodzić ulicą, gdzie mieszka ten, który okazuje jej taką obojętność i wzgardę. Lecz gdy tylko upłynie kilka dni, znów pociąga ją dom, meble, pokój, każdy zakątek w domu Karnowskich, zazdrości ludziom mieszkającym w jego sąsiedztwie. Gardząc sobą za brak charakteru, dumy i godności, które przystoją dziewczynie, odczuwając wstyd i upokorzenie z powodu braku opanowania w miłości, mimo wszystko udaje się ponownie do domu przy ulicy Oranienburskiej, aby zobaczyć tego, do kogo wyrywa się jej serce. Niechby z nią nie rozmawiał, bodajby uciekał z domu, wymawiał się kłamliwie, że się śpieszy, ale by choć przez chwilę była blisko niego, słyszała jego głos, widziała młodzieńczy uśmiech na brązowej twarzy i blask płonących ciemnych oczu. '

Godzinami stroi się i przegląda w dużym lustrze, zanim się tam uda. Chce dociec, zerkając w lustro, gdzie ma braki, które odpychają od niej Georga. Szuka ich w swej postaci, twarzy, w każdej części ciała. Czasem uważa się za brzydką, niezgrabną, śmieszłą i przyznaje rację Georgowi, że nie chce jej znać. Sama siebie nie lubi. Za chwilę bada się od stóp do głów i podoba się sobie. Porównuje do siebie inne dziewczęta, swoje koleżanki i dochodzi do przekonania, że jest od nich ładniejsza i bardziej interesująca. Zaczyna się lubić, głaszcze swe włosy, podziwia swe miękkie i pulchne ręce, zachwyca się swymi nogami, nawet się pieści — głaszcze delikatnie swe ciało, zwłaszcza dziewczęce, białe piersi, nazywa siebie serdecznymi, miłosnymi imionami i absolutnie nie może zrozumieć, jak można jej nie kochać. Jest przekonana, że gdyby Georg lepiej jej się przyjrzał, to całowałby ją po rękach, do nóg by jej padał. Lecz cóż, kiedy on nawet na nią nie spojrzy, omija ją, a gdy przebywa z nią trochę dłużej, to ona jest tak zalękniona, zagubiona i poniżona, że więcej milczy niż mówi, płacze się i głupio zachowuje.

Zanim wybierze się do Karnowskich, starannie układa, o czym i jak będzie rozmawiać. Jest do tego jako wykształcona dziewczyna przygotowana, lecz gdy zaczyna z nim mówić, zapomina, co ma powiedzieć, język jej się płacze. Georgowi jej zagubienie sprawia przyjemność, przybiera ton żartobliwy, lekki, protekcyjny, jakiego w rozmowie z dzieckiem używają ludzie starsi, obcy, przebiegli i wszystkowiedzący. Rut wyczuwa w jego głosie lekceważenie i jej onieśmienie wzrasta jeszcze bardziej. Najgorzej męczy ją

idiotyczne, pojawiające się bez żadnego powodu roztargnienie. Aby się ratować, zaczyna poważną rozmowę o muzyce. Czuje się w tej dziedzinie mocniejsza od Georga, lecz on przechodzi do porządku nad jej uczonym wywodem i nadal podtrzymuje rozmowę w żartobliwym tonie.

Nocą, w łóżku, Rut nie może sobie darować, że się tak głupio zachowała. Przypomina sobie każde, słowo, wszystkie jego ironiczne pytania i poszczególne swoje niewłaściwe odpowiedzi. Teraz ma w głowie pełno błyskotliwych, ostrych, złośliwych powiedzonek, które, gdyby przysły jej na myśl wcześniej, we właściwym czasie, dowiodłyby mu, co ona — Rut — wie i potrafi, i zbiłyby go z pantałyku. Lecz co z tego, kiedy przedtem była roztargniona i otępiała. Prawdopodobnie on uważa ją więc za dziewczynę głupia, za żalosne stworzenie. Rut nie może sobie tego darować. Sama by się ukarała za swoją niemądrość i zagubienie. Nie ma pojęcia, co robić, aby mu się podobać. Czyta książki na temat kobiecej i męskiej psychiki. Ubiera się jak bohaterki z powieści, używa perfum, reklamowanych w kobiecych czasopismach jako ulubione przez mężczyzn. Nie dojada, aby trochę zeszczupleć, szczególnie w biuście. Myje się, kąpie. zmienia uczesanie, każdym razem na inne, a nocą, w łóżku, błaga Boga, aby użyczył jej wdzięku i na tyle rozumu, by wiedziała, co robić, aby zdobyć uznanie tego, dla kogo ginie z miłości.

—Cóż mam robić? — pyta Boga, gdy przed snem odmawia Krias-Szma.

Nic mniej myślą o tym po nocach jej rodzice, nie mogąc usnąć.

— Nic mam pojęcia, Szlomcle, co począć z dziewczyną — mówi Ita, leżąc w łóżku, które jest przysunięte do łóżka męża — snuje się jak cieii, Salomon.

— Takie zero, taki gbur — złorzeczy Szlome-Salomon i Izy syna Dawida Karnowskiego, który dręczy jego córkę.

Bardziej niż sama Rut dotknięty jest Salomon tym, że ktoś ośmiela się odrzucić jego córkę, jego dziecko. Nie ma bowiem na świecie, nawet na dworach królewskich, tak dobrych, pięknych, wspaniałych dzieci, jak jego. Najbardziej udana jest Rut. Aż strach pomyśleć, ile książek czyta, a i to bagatela wobec jej gry na pianinie. Pobiera lekcje muzyki u bardzo dobrych nauczycieli, długowłosych pianistów w pelerynach, jakich widzi się na obrazach. Kupił jej najlepsze pianino i nie może pojąć swym

rozumem, że ktoś może nie chcieć jego Rut — najlepszej, najmądrzejszej i najpiękniejszej na świecie.

Próbował już różnie.

Początkowo, gdy jego żona, Ita, opowiedziała mu kiedyś nocą o miłości dziewczyny do syna Karnowskich, Salomon Burak poczuł się dotknięty i jednocześnie podniesiony na duchu. Z jednej strony nie było mu po myśli, że jego córka musiała właśnie zwrócić swe serce ku synowi wyniosłego pyszałka — Dawida Karnowskiego. Z drugiej strony odczuł pewne zadowolenie, że życie znów go styka z zarozumiałym Karnowskim. Jako doświadczony kupiec wierzył w siłę pieniądza, któremu nic na świecie nie może się oprzeć. Był pewny, że

młodego Karnowskiego uda się przełamać przy pomocy posagu, niezależnie od tego, czy ojciec jego będzie tego chciał, czy nie. Gotów był narzeczonemu swej córki dać duży posag, nawet większy, niż go było na to stać, obsypać go podarunkami, urządzić mu dom, kupić najlepsze meble — tak, jak to tylko potrafi Salomon Burak. Będąc pewny swego zwycięstwa, popadł zawczasu w dumę, że zmusi zarozumiałego Dawida Karnowskiego do skoligacenia się z nim, Salomonem Burakiem. Aby zrealizować ten zamiar, urządził z okazji ukończenia liceum przez Rut uroczystość na wysokim poziomie. Zaprosił wszystkich kupców, z którymi utrzymywał stosunki handlowe, koleżanki i kolegów córki, wynajął kucharza z najlepszej żydowskiej restauracji, zamówił kelnerów i służących. Mieszkanie tonęło w kwiatkach. Nauczyciel muzyki Rut, pan o dostojnej twarzy, sztucznej brodzie i długich włosach, uświetnił uroczystość. Nowe pianino firmy Bechstein, które Burak kupił córce w prezencie, lśniło głęboką czernią w rzęsiście oświetlonym salonie. Do pierwszych zaproszonych gości należeli Lea Karnowska i jej syn Georg. Rut sama ich zaprosiła. Salomon Burak był pewny, że tego wieczoru, na którym Rut wspólnie ze swym nauczycielem grać będą na nowym pianinie dla gości, ujmie zręcznie i po koleżeńsku Georga Karnowskiego pod rękę i porozmawia i nim otwarcie.

—Marka mniej, marka więcej — powie — byle było wesoło i bardzo szczęśliwie.

Lecz Georg nie zjawił się na uroczystości. Przybyli wszyscy najbardziej szanowani i znani obywatele. Przyszła też Lea

Karnowska. Ale ten, z myślą o którym zorganizowano uroczystość, nie przyszedł. Nadesłał obszerną depezę z wielu życzeniami, przyjaznymi wyrazami, lecz sam nie przybył. Gdy goście się rozeszli Rut płakała.

— Niech go piekło pochłonie, moja córko — pocieszał ją Salomon Burak. — Znajdę ci tysiackroć lepszego, piękniejszego narzeczonego, polegaj na mnie.

Na przekór Karnowskim gotów był oddać wszystko, znaleźć dla Rut mężczyznę, którego by jej zazdrościł cały Berlin. Jeżeli chce kupca, może jej znaleźć największego, jeżeli koniecznie pragnie mieć wykształconego narzeczonego — adwokata, lekarza, czy nawet profesora - dostanie go dla niej.

— Nie płacz, niemądra — mówił, całując jej oczy pełne łez. — Córka Salomona Buraka nie powinna płakać.

Rut jednak płakała. Nie chciała bogatego posagu, pięknych prezentów, nie chciała nawet profesora, pragnęła wyłącznie jego, Georga Karnowskiego, który ją zawstydza, unika jej, nie przyszedł także na jej uroczystość.

— Co mam robić, aby mnie pokochał, mamó? — pytała. Ita Burak nie umiała na to odpowiedzieć.

Ojciec Rut próbował puścić sprawę własnym biegiem, wiedząc, że czas jest najlepszym lekarstwem. Był przekonany, że i w tym wypadku zadziała on skutecznie. Aby odciągnąć córkę od jej myśli, urządzał duże przyjęcia, zapraszał na nie wielu gości, przede wszystkim młodych, najsympatyczniejszych i najweselszych ludzi,

jakich tylko mógł wynaleźć.

Tańcząc ze swą Itą, doświadczonym okiem śledził każdy ruch córki tańczącej z młodymi ludźmi.

— Ita, co słyhać, czy się coś wykluwa? — szeptał jej do ucha.

— Nie, Szlome — odpowiadała zatroskana Ita, dotrzymując kroku w tańcu mężowi.

Gdy Rut zaczęła tracić apetyt i nie miała chęci wychodzić z domu, Salomon Burak podjął decyzję poniżej swojej godności i kupieckiej pozycji. Nie wspominając słowem córce, nie radząc się nawet żony, postanowił udać się do Dawida Karnowskiego i otwarcie z nim porozmawiać. Przekonany o przymiotach swej córki, jej piękności i dobroci, pewny, że jest wręcz niemożliwe, aby jakikolwiek młodzieniec nie pokochał tak złotego dziecka, doszedł do wniosku, że winę w tej całej sprawie ponosi nie syn Karnowskiego, lecz jego ojciec, zarozumiały pyszałek. To on, nadęty indyk, wdał się w to, bo nie odpowiada mu ten związek. Jako doświadczony kupiec Salomon Burak był przeświadczony, że najlepszym sposobem pokonania przeciwnika jest przekupienie go, zmuszenie, by został przyjacielem. W największej tajemnicy, aby nikt w domu się nie połapał, pewnego wieczoru założył ciemne ubranie i czarne buty, aby wyglądać solidniej i bardziej po mieszczańsku, i udał się do Dawida Karnowskiego na ulicę Oranienburską.

Niepewnym krokiem, z czołem spoconym ze zdenerwowania, zupełnie inny niż zwykle, wchodził Salomon Burak po wymalowanych schodach do mieszkania Karnowskiego. Stał nawet

parę sekund przy drzwiach, wahając się, czy powinien wejść, jak żebrak, który przychodzi do bogacza prosić o łaskę, lecz w końcu zadzwonił. Dla szczęścia swej córki gotów był na wszelkie upokorzenia. Czekał kilka minut w gabinecie Karnowskiego zapalił papierosa, lecz odrzucił go po kilku pociągnięciach i zapalił drugiego. Ze wszystkich ścian spoglądały na niego książki, święte księgi, bez liku. Salomon Burak nie mógł uwierzyć, że człowiek może w życiu przeczytać dziesiątą część tych ksiąg i był przekonany, że Karnowski kupuje je nie po to, by studiować ich zawartość, lecz ze zwykłej próżności, aby przechwalać się swą wiedzą. Jednak księgi te napawały go pewnym lękiem, jakimś przygnębieniem.

Dawid Karnowski, o twarzy intelektualisty, okolonej cienką bródką, wszedł szybkimi krokami. Salomon Burak zbyt nisko się uklonił, od razu się zorientował, że trochę z tą czołobitnością przesadził i ze zdenerwowania jeszcze raz niepotrzebnie się uklonił. Karnowski był uprzejmy, ale chłodny. Złość i pogardę dla ignoranta można było wyczytać z jego ostrego nosa. Choć dobrze pamiętał nazwisko Salomona Buraka, udał, że go dokładnie nie pamięta.

— Hm, zdaje się, że znajomy. Jak pana godność?

— Salomon Burak, swojsko Szlome Burak — wyjąkał właściciel sklepu okazyjnej sprzedaży przy alei Landsberskiej — ziomek pana, mam na myśli pańską Leę...

— Oczywiście, oczywiście, panie Burak — dodał Karnowski. — Czym mogę panu służyć? Proszę usiąść.

Salomon Burak był zbyt zdenerwowany, by usiąść.

— Wolałbym mocno stać, panie Karnowski — powiedział żartobliwie. — Jak to się mówi między kupcami, lepiej dobrze stać, niż źle siedzieć. He, he.

Karnowski się nie uśmiechnął. Głaszcząc swą bródkę, czekał milcząc, aby gość wyjawiał, o co mu chodzi. Salomon poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, gdy Karnowski nie zareagował uśmiechem na jego dowcip. Zawsze łatwiej przychodziła mu rozmowa, gdy wplatał do niej dowcipy i żartobliwe powiedzonka, niż gdy mówił poważnie. Zakaszał kilka razy, czując, że zaschło mu w gardle, przełknął ślinę i w końcu zaczął mówić.

Bezladnie, z wieloma zbędnymi szczegółami, niezupełnie związanymi z istotą rzeczy, powtarzając zbyt często to, co mówił swej żonie i co od niej usłyszał, płacząc się i często odbiegając od tematu, opowiedział Dawidowi Karnowskiemu, co go do niego sprowadziło i dlaczego postanowił tu przyjść.

Przez cały czas, gdy Salomon Burak mówił, Dawid Karnowski nie przerwał mu ani słowem, choć niecierpliwiło go częste powtarzanie "powiedziałem Icie", "Ita mi powiedziała" i miał wielką ochotę przerwać i powiedzieć: "Co mnie obchodzi, co powiedziała Ita i co pan jej powiedział, przejdźmy do istoty rzeczy". Powstrzymał się jednak i nic nie mówił, gdyż mędrcomi przystoi milczenie i do dobrych obyczajów należy nie przerywać rozmówcy.

Dopiero gdy Salomon Burak wygłosił wszystkie pochwały pod

adresem swej córki i stwierdził, że nie ma takiej drugiej na świecie, po czym, jakby wychodząc z bagna, z werwą uderzył ręką o rękę, Dawid Karnowski wygładził swą skąpą bródkę, obejrzał Salomona Buraka od stóp do głów, jak gdyby go po raz pierwszy widział. Choć od pierwszych słów zorientował się, do czego zmierza jego rozmówca, udał, że nie rozumie, gdyż rzekomo nie wypadało mu rozumieć podobnej propozycji.

— Właściwie o co panu chodzi, panie Burak? — zapytał.

— Pragnę, aby nie stał pan na przeszkodzie szczęściu mojej córeczki, panie Karnowski — powiedział Salomon Burak. — Marka więcej, marka mniej, o pieniądze nie chodzi. Gotów jestem na wszystko dla mojego dziecka.

Dawid Karnowski milczał przez chwilę, rozważał. Nie dopuszczał, uchowaj Boże, nawet przez sekundę myśli, że mógłby związać się powinowactwem z Salomonem Burakiem, mielnickim ignorantem, byłym domokrażcą. Tego by jeszcze brakowało! Zastanawiał się, jak Salomonowi Burakowi dać do zrozumienia, że jego propozycja jest nie do przyjęcia. Z początku wydawało mu się, że najlepiej byłoby odpowiedzieć, że Berlin to nie Mielnica, a berlińscy studenci to nie słuchacze jeszybotu i ich rodzice w tych sprawach nie mają nic do powiedzenia. Najlepszym kłamstwem jest prawda — myślał. Lecz natychmiast przemknęła mu myśl, że nie powinien zdradzać przed Salomonem Burakiem, że nie ma wpływu na decyzję syna.

— Nie, panie Burak — powiedział twardo — nie może dojść do tego.

—Dlaczego, panie Karnowski? — zapytał kupiec. — Dlaczego nie?

—Po pierwsze, mój syn studiuje. Musi najpierw osiągnąć pozycję w życiu i dopiero potem zawrzeć małżeństwo. Taki jest w świecie ustalony porządek.

Salomon Burak machnął ręką.

—Nie ma problemu, panie Karnowski — przerwał. — Gotów jestem utrzymywać pańskiego syna, zapewnić mu pieniądze na studia i zabezpieczyć we wszelkie dobra.

—Bogu dzięki, jestem w stanie sam zapewnić studia mojemu synowi, panie Burak — odpowiedział z dumą Karnowski.

Salomon Burak zrozumiał, że palnął głupstwo i chciał swój błąd naprawić.

—Panie Karnowski — powiedział — wiem, że pan, broń Boże, niczyjej pomocy nie potrzebuje. Lecz pana syn będzie dla mnie moim dzieckiem.

—Po drugie — ciągnął Karnowski — Georg jest jeszcze młody i nie ma się co spieszyć. Młodzieniec w jego wieku powinien się uczyć, tylko uczyć i niczym innym nie zaprzętać sobie głowy.

Salomon Burak spróbował więc swej kupieckiej drogi poprzez pieniądze.

—Panie Karnowski, uszczęśliwię pańskiego syna.

—Nie — odparł Karnowski.

— Umożliwię mu zdobycie wysokiej pozycji. Mam w mieście tysiące przyjaciół. Załatwię dla niego najlepszą posadę. Proszę na

mnie polegać. Salomon Burak, gdy chce coś osiągnąć, pokonuje wszelkie przeszkody.

r- Nie — odparł zimno Karnowski.

Salomon Burak wsunął kciuki do kieszeni kamizelki.

— Nie jestem dla pana odpowiednim partnerem? — zapytał z krzywym uśmiechem. — Czyż nie, panie Karnowski?

—Ma pan zamiar mnie ciągnąć za język, panie Burak?

Salomon Burak kilka razy zaciągnął się mocno papierosem i nerwowo wrzucił go do popielniczki. Podszedł blisko do Karnowskiego, który się cofnął. Mówił z przejęciem:

— Proszę posłuchać, panie Karnowski. Gdyby chodziło o mnie, nie zwróciłbym się do pana. Mam swoją godność. Własnymi rękami zdobyłem bogactwo i nie muszę, Bogu dzięki, nikogo się wstydzić. Lecz tu chodzi o szczęście mojej córeczki i w tej sytuacji moja godność nie ma dla mnie znaczenia.

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli — mruknął Karnowski.

Salomon Burak kontynuował żarliwie.

— Jestem ignorantem, bez wykształcenia i nie ukrywam tego, ale moje dziecko wykształciłem. Jest mądra, subtelna. Jeżeli ja przynoszę panu wstyd, to córki mojej nie ma się co wstydzić, jestem gotów dla niej na wszystko, nawet poniżyć się przed panem, panie Karnowski, błagać pana, gdyż jest to moje dziecko. Jest nieszczęśliwa, płacze. Karnowski był nadal uprzejmy, lecz zimny.

— Boleję z powodu pańskiej córki, panie Burak — powiedział spokojnie Sp lecz nie ma w tym mojej winy. Każdy ma swoje zasady.

Salomon Burak wypadł z gabinetu Karnowskiego bez pożegnania. Lea chciała zaprosić go do jadalni. Wprawdzie nie słyszała, co zaszło między Dawidem a jej przyjacielem, domyśliła się jednak, z jaką sprawą przyszedł Salomon Burak i z czym wyszedł. Bardzo wstydziła się z powodu tego człowieka, do którego domu często zachodziła. Lea nie miała nic przeciwko małżeństwu Georga i Rut. Przeciwnie, sprzyjała dziewczynie, nie dbając o żadne honory. Jej ojciec nie stał wyżej od Salomona Buraka pod względem wykształcenia i zaszczytnego pochodzenia.

— Szlomele, choć szklankę herbaty — prosiła zażenowana.

Salomon Burak nie chciał w tym domu pozostać ani chwili.

— Mogę jeszcze zakazić szklanki pana Karnowskiego, dziękuję.

Gdy Rut przypadkowo dowiedziała się o wizycie ojca u Karnowskiego, położyła się do łóżka, ukryła głowę w poduszce i nie chciała jej podnieść. Ojciec ją całował, błagał, aby choć spojrzała na niego.

— Dla ciebie to zrobiłem, dziecko, wybacz mi.

— Zostaw mnie, nie patrz na mnie — szlochała. — Nie chcę, aby mnie oglądano.

Dręczyły ją wstyd i obraza.

- Mieszkania w kamienicy Dawida Karnowskiego w robotniczej dzielnicy Neukölln, w północnej części miasta, są małe, zgiełkliwe. Przez bardzo gęsto rozmieszczone obok siebie okna zawsze słyszeć hałas. Albo stukot maszyny do szycia, albo płacz dziecka, albo kłótnie małżeńskie, albo szczekanie psów. W niedzielę można często usły-

szeć trąbę, na której wysłużony żołnierz z orkiestry wojskowej wygrywa wojskowe melodie.

Jedynie większe mieszkanie w domu, ciche, zakryte, z zawsze zasłoniętymi oknami, nawet w ciągu dnia, zajmuje dr Fritz Landau. Mieszkanie mieści się w bramie, na parterze, aby pacjenci nie musieli chodzić po schodach. Dzieci z podwórza wspinają się do okien gabinetu doktora, aby zobaczyć, co się dzieje wewnątrz. Po pierwsze, dr Landau jest jedynym Żydem w tym domu i jest to interesujące, jak zachowują się tacy ludzie. Po drugie, chorzy, nie tylko dzieci, lecz także dorośli, rozbierają się tam do naga, stąd zarówno rodzice, jak i ich potomkowie chcą widzieć, jak wyglądają goli surowi ojcowie i gniewne matki. Podglądanie, zwłaszcza kobiet, pociąga głównie chłopców. Pani Krupa, dozorczyńni, odpędza dzieci od okien miotłą.

Nie pochlebia jej, jak zwykle służbie, że jest dozorczynią w domu zamieszkanym przez biedaków. Napawa ją dumą, że wśród pospólstwa mieszka lekarz i nie pozwala rozwydrzonym dzieciom hałasować koło mieszkania doktora.

— Jezus Maria! — woła w gniewie. — Nie hałasujcie tak pod oknem pana doktora. Smarkacze, świntuchy, zawszona banda.

Jedyną rzeczą, która nie pozwala pani Krupie szanować doktora, to sprawa komornego. Doktor, jakby był kimś z pospólstwa, nie płaci punktualnie, jak to czynią zwykle ludzie z wyższych sfer. To przekracza jej wyobrażenie o tych osobach, zwłaszcza że chodzi o doktora.

Gdy zdarzyło się, że dr Landau do końca miesiąca nie wpłacił komornego, pani Krupa przekazała sprawę młodemu gospodarzowi, by zaszedł do doktora, jak postępuje w innych przypadkach zalegania z opłatami.

Pewnego wieczoru Georg Karnowski wszedł do dr. Landaua po raz pierwszy, odkąd prowadził administrację kamienicy ojca. Kartka na drzwiach informowała, że nie trzeba dzwonić, lecz można od razu wchodzić. W wąskim przedpokoju drzwi były otwarte. Przy czarnej żelaznej kuchni starsza kobieta mieszała coś w garnku, z którego unosiła się gęsta para. Wzdłuż długiego wąskiego przedpokoju stała ławka, prosta i twarda jak w wiejskiej karczmie. Wiele kartek wiszących na ścianie głosiło, że nie wolno palić, ani hałasować, i że należy zachować kolejność przy wchodzeniu do gabinetu. Obok napisu ostrzegającego, że plwocina i flegma są roznośicielami gruźlicy, drugi przypominał, że alkohol i tytoń zatruwają ludzki organizm.

Kobieta w kuchni burknęła znad garnka:

H- Gabinet pana doktora jest na prawo i trzeba zapukać.

Georg Karnowski zapukał. Mężczyzna w średnim wieku, z miedzianorudą brodą i w białym fartuchu, stał w kącie nad miednicą wody i mydlił ręce po badaniu ostatniego pacjenta. Nie odwracając głowy do wchodzącego, polecił niskim głosem:

— Rozebrać się, rozebrać się!

— Nazywam się Karnowski. Jestem synem właściciela domu —
odpowiedział Georg. — Jestem zdrowy, przyszedłem w sprawie

komornego.

Dr Landau wycierał ręce. Poprawił czerwoną brodę i obejrzał Karnowskiego od stóp do głów poprzez swe grube okulary.

— To ja powinienem stwierdzić, czy jest pan zdrowy, młodzieńcze. Tego pan sam nigdy nie może wiedzieć.

Georg poczuł się ośmieszony, opuściła go poprzednia odwaga, by zdecydowanie upomnieć się o należność za komorne. Dr Landau uśmiechał się jak dziecko.

— Hm, chce pan pieniędzy, młodzieńcze. To nic no- I wego. Wszyscy ich żądają. Problem polega tylko na tym, skąd je wziąć.

Żartobliwy ton doktora sprawił, że Georg poczuł się swobodniej.

— Sądzę, że ma pan dużą praktykę w ich zdobywaniu, panie doktorze — powiedział. — Widzę, że pacjenci często czekają w bramie.

— Pacjenci z Neukölln mają dużo chorób i mało marek — odrzekł prędko dr Landau. — Niektórym trzeba jeszcze dopłacać.

Georg patrzył zdumiony. Dr Landau ujął go za rękę, doprowadził do stolika, na którym stała taca z pieniędzmi, przeważnie były to papierowe marki, drobne srebrne monety, a nawet fenigi.

— Widzi pan, młodzieńcze, na tę tacę kładą pacjenci moje honoraria, każdy tyle, ile może. To moja zasada. Gdy ktoś potrzebuje, bierze stąd, che, che.

Dr Landau przybliżył grube szkła do tacy i niezręcznie liczył monety, jak ktoś mający mało do czynienia z pieniędzmi.

^•ttc Dostanie pan, młodzieńcze, tyle, ile tu jest -podpowiedział.

Georg poczuł się jeszcze śmieszniej w roli gospoda-, rza.

— Nie szkodzi, panie doktorze w usprawiedliwiał się. — Mogę, naturalnie, zaczekać.

Dr Landau nie przestawał niezręcznie liczyć drobnych monet. Robiąc to, wypytywał po ojcowsku Georga, kim jest, ile ma lat, czego się uczył.

— Nie jestem tylko administratorem domu — powiedział dumnie Georg. — Jestem studentem filozofii, panie doktorze.

Dr Landau uśmiechał się do samego siebie.

— Najgorszy zawód, jaki młody człowiek może wybrać — powiedział.

Georg był zaskoczony.

Ü -Dlaczego pan tak sądzi, panie doktorze?

Dr Landau ponownie ujął go za rękę i doprowadził do szafy z książkami.

— Widzi pan, młodzieńcze — wskazał mu książki. — Są tu dzieła od Platona i Arystotelesa do Kanta i Schopenhauera. W ciągu kilku tysięcy lat nic nie przybyło. Stoi się wciąż w tym samym miejscu lub porusza po omacku. Tu zaś są książki medyczne. Każda z nich wnosi coś nowego do naszej dziedziny.

Georg, mimo że słaby znawca filozofii, próbował jej bronić.

— Panie doktorze, mówi pan jako lekarz, nie jako filozof — powiedział.

— Zmarnowałem lata na bezsensowne książki — odpowiedział dr

Landau. — Szkoda było czasu, młodzieńcze.

Georg próbował coś jeszcze dodać. Dr Landau nie dopuścił go do głosu. Wyciągnął starą medyczną książkę z rycinami i wskazał brązowym od jodiny palcem:

— Widzi pan, przed kilkuset laty lekarze dworscy leczyli królów i książąt magicznymi miksturami i przy pomocy czarów. Obecnie posiadamy aparaty rentgenowskie i mikroskopy. Co działała filozofia od Aten do Królewca?

Zanim Georg zdążył odpowiedzieć, dr Landau wziął go za rękę i zaprowadził do sąsiedniego pokoju.

— i Elza, Elza! — zawołał. — Pokaż temu młodemu panu mikroskop, niech zobaczy, jak wygląda bakteria.

W małym pokoju, pełnym rozmaitych słoików i różnokolorowych butelek, stała młoda dziewczyna w białym fartuchu. Wlewając jakieś płyny z rurki do rurki, popatrzyła na Georga wielkimi, brązowymi, mądrymi oczami.

— Papo, nawet nie zapukałeś — zwróciła uwagę, śmiejąc się.

— Stokrotnie przepraszam — odparł Georg, kłaniając się. — Nazywam się Georg Karnowski.

— Elza Landau — powiedziała dziewczyna, odstawiając szkła i poprawiając włosy koloru miedzi, czerwone jak broda ojca.

Przykładając okular do jego oka pokazała mu bakterie. H— Czy widzi pan niebieskie laseczki? To są bakcyle I gruźlicy. Proszę zamknąć jedno oko, a zobaczy pan je lepiej.

Dr Landau nie przestawał mówić.

— Otóż, panie filozofie, to widać, imperatywu kategorycznego zaś nie można zobaczyć.

Elza mitygowała ojca.

— Papo, pozwól panu spokojnie obejrzeć. Dr Landau nie pozwolił się uspokoić.

— Młody człowiek może ludzkości przynieść korzyść, a zajmuje się głupstwami — irytował się. Neukölln nie potrzebuje imperatywu kategorycznego. Neukölln potrzebuje higieny i medycyny. Oto, czego potrzebuje. Czyż nie tak, Elzo?

Georg wpatrywał się ciekawie w mikroskop, z jeszcze większym zainteresowaniem spoglądał na córkę lekarza. Przy śnieżnej bieli fartucha jej włosy były jeszcze bardziej czerwone. Brązowe oczy tchnęły spokojem, mądrością i przenikliwością. Miedziany kolor włosów odbijał się ciepłym blaskiem na jakby rzeźbionych rysach twarzy Elzy, przydając im odcień bursztynu. W jej uśmiechu skierowanym do ojca, odczytać można było rozbawienie jego śmiesznym zachowaniem, wiele miłości i podziw córki.

Georg nie chciał przyjąć pieniędzy, które dr Landau niezręcznie parokrotnie liczył, gdyż w toku rozmowy wciąż zapominał o tej czynności i zaczynał ją na nowo.

— Ależ na litość boską, panie doktorze, nie ma się co śpieszyć — powiedział. — Zайдę innym razem, gdy będzie pan miał więcej pieniędzy.

Georg chciał mieć okazję wstąpienia raz jeszcze do tego domu, by zobaczyć córkę lekarza, której ogniste włosy płonęły w półmroku

zbliżającego się wieczoru.

— Rad byłem poznać pana i tak dalej, i tak dalej, młodzieńcze — mówił szybko dr Landau, podając mu ciepłą rękę — i jak mówiliśmy, niech pan rzuci bezużyteczną filozofię i zabierze się do pożytecznej pracy.

Elza nie mogła znieść zachowania ojca.

— Papo, co to za sposób mówienia o czyimś zawodzie? — spytała zawstydzona.

— Jaja nie powinny uczyć kur, głupia gęś — złościł się dr Landau w obecności obcego, żartobliwie poklepał córkę po policzkach, aby na przyszłość nie uczyła go dobrych manier.

— Głupia, a jednak ją Kocham — powiedział Karnowskiemu jak komuś bliskiemu.

— Na pana miejscu żywiłbym te same uczucia, panie doktorze — zażartował Georg.

Elza poprawiła włosy, jak zawsze gdy była zakłopotana, i wyciągnęła do Karnowskiego rękę — ciepłą, delikatną, lecz mocną.

— Bardzo byłam rada móc pana poznać. Do widzenia panie Karnowski — powiedziała i wróciła do swoich szkieł i rurek.

Mimo że były to zdawkowe słowa, używane zwykle w takich okolicznościach, Georg zapamiętał je jako dobry prognostyk. Pamiętał także ciepło i siłę jej rąk. Chociaż powinien iść na randkę z jedną z ekspedientek, to po raz pierwszy, odkąd był studentem, nie wyszedł wieczorem z domu i pozostał sam w swym kantorku.

Rano wstał wcześnie, długo się mył i z teczką pełną książek udał

się na uniwersytet.

Pani Krupa przerwała zmiatanie i stanęła zaskoczona z miotłą w ręku.

— Co się stało, panie Karnowski? — zapytała z kobiecą ciekawością. — Tak wcześnie na nogach?

W małej kawiarni na rogu ulicy Georg zamówił coś do jedzenia. Jedząc świeże pieczywo, nie spuszczał oka z okien wychodzących na ulicę.

Gdy zobaczył córkę lekarza, wychodzącą z bramy ze skrzyneczka w ręce, szybko zapłacił kelnerce, zostawiając większy napiwek niż zwykle, i dogonił tę, na którą czekał.

— Dzień dobry, panno Elzo! — przywitał ją z udanym spokojem, jakby spotkał ją przypadkiem. — Idziemy, zdaje się, w jednym kierunku, na uniwersytet.

— Ja idę do "zakładu dobroczynności" na sekcję zwłok, panie Karnowski — powiedziała Elza z uśmiechem. — Do Unter den Linden możemy jechać razem.

Od tego czasu Georg Karnowski prowadził inne życie, Zamiast tłuc się z kolegami po knajpach i szynkach, chodził codziennie rano na uniwersytet. Zamiast wieczorami "polować" przed domami towarowymi na ekspedientki, jeździł do swego kantorku, by móc zajść do mieszkania dr. Landaua. Następnie zaczął też krążyć wokół prosektorium, by oczekiwać na pannę Elzę i razem z nią wracać do domu.

Pewnego niepogodnego dnia, gdy zbyt długo przyszło mu czekać

na deszczu na jej wyjście z "zakładu dobroczynności", przyszło Georgowi na myśl, że powinien zmienić kierunek studiów z filozofii na medycynę, aby móc być razem z tą miedzianowłosą dziewczyną.

— Wie pani, panno Elzo — powiedział, gdy w końcu się jej doczekał myślę, że pani ojciec ma rację. Filozofia jest rzeczywiście śmiesznym zajęciem dla młodego człowieka, nie sądzi pani?

— Nic nie mogę na ten temat powiedzieć, gdyż nie rozumiem absolutnie filozofii — odpowiedziała panna Elza. -- Ja natomiast nie zamieniłabym medycyny na żaden inny kierunek.

Georg ujął ją pod ramię.

— Nie chciałaby pani wypić ze mną kieliszka wina?

— zapytał. — Pogoda okropna. Oblejemy mój nowy zawód, do którego postanowiłem się zabrać.

— Lecz nie będzie to mocne wino, panie Karnowski?

— odpowiedziała Elza. — Nie przywykłam do picia, mój ojciec jest przeciwny wszelkiemu alkoholowi.

W małej kawiarni, w ustronnym kąciku, przy przyćmionym czerwonym świetle i przy pochmurnym szarym dniu brązowe oczy panny Elzy lśniły szczególnym blaskiem. Po pierwszym kieliszku wina twarz jej się zarumieniła.

— Po raz pierwszy w życiu piję wino — powiedziała, uśmiechając się na myśl o swym śmiałym kroku.

— Czy mogę zdjąć pani kapelusz z głowy, panno Elzo? — zapytał Georg.

— Mój kapelusz? — spytała zaskoczona Elza.

— Chcę widzieć pani płomienne włosy — powiedział Georg półgłosem.

— Ma pan zabawne myśli, zupełnie nieodpowiednie dla filozofa — śmiała się Elza, zdejmując kapelusz.

— Wypijmy za moją medycynę — Georg wypił następny kieliszek wina.

Gdy wyszli, Georg chciał nieść czarną skrzyneczkę panny Elzy. Nie chciała mu jej oddać, lecz w końcu zgodziła się.

Gdy weszli do laboratorium, odebrała skrzyneczkę i otworzyła ją. Georgowi krew odpłynęła z twarzy. Martwa czaszka szczyrzyła na niego swe oczodoły, choć głowa była wygotowana, owionął go zapach zgnilizny i śmierci. Panna Elza włożyła czaszkę do miski.

— Czy czuje się pan niedobrze? H zapytała.

B To nic, panno Elzo — odpowiedział półgłosem Karnowski. — Po prostu zaskoczenie.

— Nie, zbladł pan — i powiedziała dziewczyna i przytknęła mu buteleczkę do nosa. — Proszę usiąść i to wachać, dobrze to panu zrobi.

Georg usiadł. Im bardziej usiłował zapanować nad sobą, tym bardziej ogarniał go wstręt, zapach zgnilizny i śmierci przyprawiał go o mdłości. Najbardziej wstydził się swej słabości wobec dziewczyny.

— Niedobry początek dla lekarza — powiedział zmieszany.

Nie szkodzi. Z początkującymi często tak bywa — pocieszała go. — Proszę wypić szklanekę wody.

Miękkimi, białymi rękami odwiązała mu kołnierz i wytarła

chusteczką wilgotne czoło. Gdy się schyliła, dotknęła jego twarzy swymi płomiennymi, miedzianymi włosami. Georg nie widział tego, ani nie czuł. Widział tylko świeżo wygotowaną czaszkę, która szczyrzyła na niego puste oczodoły.

W ciągu kilku dni nie miał odwagi pójść do dziewczyny, w obecności której zachował się tak niepoważnie.

Nic miał ani odwagi, ani chęci widzieć tej, która tak obojętnie nosi w skrzyneczce martwą głowę.

Po kilku dniach znikł wstręt i wstyd, a powróciła tęsknota. Wraz z Elza udał się na uniwersytet, by przepisać się na drugi wydział.

Gdy Dawid Karnowski dowiedział się od swej żony, że ich syn zrezygnował z filozofii i zapisał się na medycynę, zapłonął gniewem.

— Skończyłem z tym niegodziwcem! — krzyczał, bijąc pięścią o stół.

Nie chodziło o to, że Dawid Karnowski sprzeciwiał się studiowaniu medycyny przez syna. Jak ogół żydowskiego mieszczaństwa cenił tę gałąź wiedzy i zdawał sobie sprawę z perspektyw, jakie stwarza ona dla młodych ludzi. Wiedział też, że wielu wybitnych ludzi — od Mojżesza Majmonidesa po innych wielkich w Izraelu — posiadało wiedzę medyczną, działali oni na dworach królewskich i wielce pomagali Żydom. Lecz nie miał już przekonania do swego syna, nic od niego nie oczekiwał, gdyż marnotrawił czas i pieniądze.

— Jego zainteresowanie medycyną będzie trwać krótko — powiedział do żony. — Nie dam Georgowi więcej ani feniga.

Lea, jak zwykle, nie ustawała w przekonywaniu męża i usprawiedliwianiu "dziecka", aż zdołała wskórać u swego Dawida tyle, by dać synowi jeszcze jedną szansę. Krzycząc i pieniąc się ze złości Karnowski wyciągnął jednakże z portfela kilka nie zgniecionych, pięknych, dużych banknotów, gdyż zawsze w porządku i z szacunkiem przechowywał pieniądze, i wręczył je żonie dla chłopaka, ponieważ sam nie chciał go widzieć.

— Taki będzie z niego lekarz, jak ze mnie mamka — przepowiadał. — Wspomnisz moje słowa.

Georg bardzo pilnie przykładał się do nowych studiów. Dawid Karnowski czuł się niezręcznie. Z jednej strony był zadowolony, że w końcu syn doszedł do rozumu i myśli o przyszłości. Nie mógł mu jednak darować, że obrócił wniwecz jego przepowiednie.

— I cóż, Dawidzie, powiesz o dziecku? — Lea Karnowska triumfowała. — Oby tylko ominęło go złe oko. Zupełnie nie ten sam.

— Nie jestem jeszcze pewien — Dawid nie zezwalał żonie na pełną satysfakcję. — Nie wiadomo, ile jeszcze razy będzie zmieniał kierunek studiów.

— Ugryź się w język — rzekła Lea, lękając się, aby słowa te nie zostały wypowiedziane w złą godzinę.

Wczesnie z rana, jak wszyscy robotnicy w okolicy, wstaje dr Landau i budzi swą córkę.

— Elzo, wstawaj leniuchu — stuka pięścią do drzwi jej pokoju.

Pierwszą jego czynnością jest mycie się zimną wodą od stóp do głów. W jego staromodnym mieszkaniu nie ma wanny, dr Landau

myje się więc pod kranem w kuchni, co irytuje i razi starą służącą Johannę.

—Mógłby się pan doktor wstydzić — mruczy codziennie.

Dr Landau śmieje się, a od śmiechu trzęsie się jego mięsiste ciało, czerwone od mycia i wycierania się.

—Stara, głupia kobieto — mówi — ile razy tłumaczyłem, że nagości nie trzeba się wstydzić. Głupcy to wymyślili.

Stara Johanna macha ręką. g|||- Och, co pan plecie — mruczy i zakrywa oczy, aby nie widzieć nagiego, mokrego mężczyzny.

Dr Landau do zimnej kąpieli zapędza też córkę.

—Elzo, nie wykręcaj się — woła, rozczesując swą mokrą brodę — gdyż przyciągnę cię za włosy do kranu.

Elza myje się, choćby na dworze było bardzo zimno. Wie, że ojciec nie mówi na próżno i może zrealizować swą groźbę. Od dzieciństwa, od śmierci matki aż do jej dojrzałości, ojciec mył ją codziennie od stóp do głów. Robiłby to obecnie nadal, gdyż nie istnieje dla niego wstyd, ale Elza nie chce. Sama śpieszy do kuchni pod kran. Stara Johanna unika patrzenia na nagość dziewczyny. Jest niechętna wszelkiej nagości, nawet kobiecej.

—Jest pan szalony i dziewczynę doprowadza do obłędu — mruczy. — Czegoś takiego w życiu nie widziałam.

Dr Landau po wypiciu szklanki wody zakłada lnianą koszulę, aksamitne spodnie, luźne buty na grubych podszwach, szeroką aksamitną marynarkę i z gołą głową i grubą laską w ręce idzie przed śniadaniem na swój

poranny spacer. Musi mu towarzyszyć Elza — bez nakrycia głowy, w luźnej sukni i w pantoflach na grubych podszwach.

— Szybciej — popędza Elzę, która nie zawsze może za nim nadążyć — Poruszaj rękami, o, w ten sposób.

Okolica zna już tę osobliwą parę. Gospodynie domowe z koszykami w rękach pozdrawiają doktora i jego córkę. Robotnicy śpieszący do pracy zdejmują czapki. “Szczęść Boże, panie doktorze”. “Piękny dzień, panie doktorze”.

“Dzień dobry, panie Jerge”. “Dzień dobry, pani Beit-holz”. “Dzień dobry, panie Knaule” — odpowiada Landau, zwracając się do wszystkich po nazwisku.

Inni pozdrawiają go nie słowem “pan”, lecz “towarzysz”: “Piękny dzień dobry, towarzyszu doktorze”. “Czy dobrze spaliście, towarzyszu doktorze?” “Czy dobrze się czujecie, towarzyszu doktorze?”

“Dzień dobry, towarzyszu Albrecht”. “Co słyhać, towarzyszu Miler?” “Dzień dobry, dzień dobry” — powtarza wciąż dr Landau.

Mężczyźni uśmiechają się ze szczególnym zadowoleniem, gdy dr Landau pozdrawia ich słowem “towarzysz”. Są dumni, że ten doktor należy do robotniczej partii, przychodzi na ich spotkania do piwiarni Petersile'a.

— Świetny chłop — mówią o nim.

— A towarzyszka Elza jest wspaniałą dziewczyną — dodają inni. Dr Landau śpiesznie chodzi po ulicach.

— Nie ustawać, Elzo — upomina córkę — i nie oddychać ustami,

do diabła, tylko nosem, nosem, w ten sposób.

Ma zwyczaj powtarzania kilkakrotnie tego samego słowa, gdy chce, aby słuchający dobrze je sobie przyswoił.

Po godzinie śpieszy do domu wraz z Elzą. Teraz pozdrawiają go dzieci idące do szkoły z tornistrami na plecach: "Dzień dobry, panie doktorze". "Dzień dobry, panno Elzo!"

— Dzień dobry, szelmy, dzień dobry — odpowiada dr Landau, łaskocząc chłopców po brzuchach laską. — Czyj jesteś?

— Jestem Karl Wendemajer, mój ojciec jest szewcem.

— Och, gardło ci kroilem, gdy miałeś dyfteryt — przypomina sobie dr Landau. — Szelma z ciebie, mały.

— Mnie pan doktor wsadził łyżkę do gardła — mówi mała tłusta dziewczynka. — Diabelnie bolało.

— Pokaż język — poleca dr Landau. — Nie wstydź się, mała głupia gąsko.

Dzieci śmieją się z małej, która musi na ulicy pokazać język. Dr Landau również się śmieje.

— Nie bawić się przy śmietnikach ostrzega, grożąc laską — i nie oddychać ustami, pożeracze bakcyli, nosem oddychać... o, tak...

Na gładkim drewnianym nie malowanym stole, ale lśniącym białą, stara Johanna przygotowała już na śniadanie ciemny chleb, miód, mleko i różne jarzyny, marchew, kapustę — wszystko surowe. Dr Landau nie zezwala na szynkę, kawę, nie mówiąc już o piwie, które uważa za truciznę.

Doktor gryzie surową kapustę, zachęca Elzę do jedzenia surówek,

złości się na starą Johannę, aby zamykała drzwi od kuchni, przez które przedostaje się zapach smażonego wieprzowego tłuszczu. Jedyne Johanna w tym domu nie jada zieleniny, musi mieć szynkę, kotlety wieprzowe, kawę. Dr Landau nie znosi zapachu smażonego mięsa.

— Ile razy prosiłem, aby drzwi były zamknięte, gdy smaży pani wieprzowinę. Nie chcę wchłaniać tych wstrętnych zapachów. To jest trucizna, trucizna, trucizna.

— Jem to już sześćdziesiąt lat — mówi Johanna — i jestem zdrowa.

— To ja dopiero muszę stwierdzić — powiada dr Landau, zrzuca z siebie aksamitną marynarkę i zakłada biały fartuch lekarski. Elza pomaga mu go zawiązać i wytrząsa przy tym resztki chleba i jarzyn z brody doktora, który myje ręce nad kranem i przygotowuje narzędzia. Stara Johanna burczy, gdy dr Landau krząta się w kuchni. Uważa gotowanie narzędzi za jedno z jego wariactw. Dokładnie o ósmej, co rzadko się zdarza u lekarzy, dr Landau zaczyna przyjmować pacjentów.

Do poczekalni przychodzą ludzie z całej okolicy, matki z dziećmi na rękach, ciężarne kobiety, starsi, już nie pracujący mężczyźni — każdy ze swym nieszczęściem i chorobą. Naprzeciw poczekalni, w kuchni, krząta się Johanna ze swym praniem i gotowaniem. Nie pomaga wielokrotne upominanie przez dr. Landaua, aby drzwi od kuchni były zamknięte, ponieważ to niehigieniczne, gdy zapachy się rozchodzą. Johanna lubi oglądać przychodzące się leczyć kobiety,

plotkować z nimi o ich chorobach i o wariactwach doktora.

Dr Landau przyjmuje pacjenta za pacjentem.

— Nie wstydzić się — mówi, gdy kobiety krępują się przy nim rozbierać. — Nagość nie jest hańbiąca, nie jest hańbiąca, nie jest hańbiąca...

Denerwuje się, gdy pacjent w jego mieszkaniu zapala fajkę. Nie może zrozumieć, dlaczego mężczyźni palą, żłopią litrami piwo, zjadają tyle kiełbas i szynki. Widzi w tym źródło wszystkich chorób i nieszczęść. Zrozpaczony rozkłada ręce, gdy starszy mężczyzna skarży się na chorobę żołądkową.

— Człowieku — mówi w północnoberlińskim narzeczu — w jaki sposób żołądek ma pana nie uciskać? Na- pycha go pan różnego rodzaju mięsiwem, napompowuje wódką i piwem, zaczadza dymem, więc burczy, odbija, kwaśnieje i cuchnie jak śmietnik.

Tego samego języka używa wobec zwracających się do niego ze swymi strapieniami kobiet. Same są sobie winne, gdyż zawsze smażą, toną w tłuszczu, napychają się różnymi świństwami, skwarkami, smalcem, słodyczami, alkoholem, kofeiną. Kobiety wysłuchują wyrzutów doktora i proszą o leki. Dr Landau trzęsie przecząco brodą. O to właśnie chodzi, tego żądają głupie gęsi — najpierw się zatruwają wszelkim świństwem, a potem chcą truciznę zmyć zieloną lub czerwoną miksturą. Nie przepisze im kolorowych lekarstw, dzięki którym lekarze szarlatani zarabiają pieniądze, a złodziejscy aptekarze napychają kieszenie. Nie ma żadnych cudownych leków, pozostaje tylko higiena, właściwe

odżywianie, prawidłowe oddychanie, czystość, powietrze, woda.

— Używać wody, czystej wody z kranu, nie brudnych kolorowych miksturek z aptek! — krzyczy dr Landau.

— Zrozumiano?

Tylko w nadzwyczajnych przypadkach zaleca mikstury albo tabletki, proszki, lecz nie przepisuje ich na recepty, daje gotowe leki ze swej szklanej szafki, która stoi w jego gabinecie, lub każe je sporządzić Elzie w laboratorium.

— Nie płacić mi, położyć na tackę na stole — denerwuje się na pacjentów — i wyjść, wyjść! Ludzie czekają w przedpokoju.

Lekarze z okolicy są pełni złości na dr. Landaua, który demoralizuje pacjentów, każąc im kłaść na tackę tyle, ile mogą. Jego śmiertelnym wrogiem jest aptekarz z sąsiedztwa, magister Kurtius. Obmawia dr. Landaua wobec sąsiadów, że nie jest lekarzem, lecz oszustem, znachorem, szarlatanem, odstępcą od religii chrześcijańskiej, socjalistycznym podżegaczem przeciw cesarzowi, ojczyźnie i kościołowi. Dlatego należy go bojkotować. Lecz im więcej oskarżeń miota, tym bardziej ludzie zwracają się do dr. Landaua. Panna Elza pomaga ojcu. Jest studentką, lecz szczepi dzieci przeciw ospie, robi zastrzyki, lapisuje gardła, mierzy temperaturę, sprawdza ciśnienie krwi i wykonuje wiele innych prac. Dr Landau poleca jej też osłuchiwać płuca i serca pacjentów oraz opukiwać i obmacywać ich ciała.

— Odłóż przekłęty stetoskop! — denerwuje się — przyłóż raczej ucho. Najlepsze jest własne ucho.

Po kolacji dr Landau często zachodzi do piwiarni Petersile'a, gdzie zazwyczaj zbierają się jego towarzysze partyjni z okolicy. Pan Petersile podaje mu szklankę zimnego mleka. Napój ten rzadko jest w użyciu w jego lo-
kału. Pan Petersile podaje też doktorowi wszystkie dzienniki i czasopisma, jakie otrzymuje. Dr Landau pije mleko, po czym wyciera zmoczone w nim czerwone wąsy, czyta gazety, często złoścąc.

— Szubrawcy, lumpy, przekłeci cesarscy lokaje!

Goście przy stolikach kiwają potakująco głowami. Są dumni z dr. Landaua, który mieszka w ich dzielnicy, mówi ich narzeczem z Neukölln, wierzy w ich robotniczą sprawę i przychodzi do nich do piwiarni.

— Prosit, towarzyszu doktorze! — podnoszą kufle piwa. — Prosit.

— Prosit, żłopacze piwa i polykacze dymu! — mówi dr Landau i podnosi do ust szklankę mleka.

Zebrani śmieją się, ubawieni złością doktora na dym i piwo. Wstają od swoich stolików i przybliżają się, aby wysłuchać jego opinii na tematy polityczne. Dr Landau potrząsa brodą, wymachuje rękami, pieni się, wygraża i głośno peroruje. Nie zostawia suchej nitki na przeciwnikach, bogaczach, panach radcach tajnych, junkrach, cesarskich pochlebcach. Mężczyźni rżą ze śmiechu z jego dowcipów i soczystych wyrażen.

Przywódcy partyjni nie powierzają mu żadnej odpowiedzialnej pracy politycznej z powodu jego zapalczego charakteru, brutalnego języka, a przede wszystkim dlatego, że jest wyznawcą

niepraktycznych idei. Słuchają jednak chętnie tego, co mówi i śmieją się z dowcipów.

Przywódcy partyjni odpowiedzialne prace powierzają raczej córce doktora. Wygłasza ona odczyty dla żon robotników na temat higieny kobiecej i obchodzenia się z dziećmi. Dziewczyna, która jeszcze nie zaznała miłości, poucza doświadczone żony i matki o ich kobiecych i macierzyńskich obowiązkach. Kobiety wysłuchują ją uważnie, nieraz zasięgają jej rady w sprawach życia rodzinnego, powierzają tej dziewczynie swe kobiece tajemnice i troski. Elza prowadzi też kółka młodzieżowe, w których wyjaśnia problemy ekonomiczne i polityczne. Młode robotnice szczerzą się córką lekarza, która pracuje dla ich sprawy. Młodzi robotnicy po kryjomu się w niej kochają. Najbardziej zakochany jest w niej Georg Karnowski. | Opanowało go przemożne młodzieńcze uczucie, lecz zdobyć wzajemności Elzy nie może.

Jak tylne koło u wozu, które przy równoczesnym obracaniu się nigdy nie może dognać przedniego koła, tak Georg Karnowski nie może w żaden sposób dopędzić Elzy Landau. Zawsze go wyprzedza. Georg jako mężczyzna czuje się tym bardzo dotknięty, poniżony, mały.

Od pierwszego spotkania, gdy okazał się tak śmiesznym w oczach dziewczyny, słabnąc na widok martwej głowy, czuje się dotknięty w swej dumie. Nie może, mimo wszelkich wysiłków, uwolnić się od tego uczucia. Przy każdej okazji odczuwa swoją niższość wobec Elzy Landau — w jej laboratorium, dokąd zachodzi, w prosektorium, gdzie

razem pracują — na każdym kroku.

Jak wszyscy młodzi studenci medycyny usiłuje być cynicznym i nonszalanckim wobec śmierci, lecz nie może uwolnić się od zapachu zgnilizny, formaliny i śmierci, który uderza mu do głowy, przenika do szpiku kości. Nie przestaje palić papierosów, jednego za drugim, i wciągać głęboko dymu do gardła, aby zwalczyć przenikający go wstręt.

— Pani gospodyni pewnego majora — wtóruje studentom, pomrukującym sprośną piosenkę przy preparowaniu zwłok. Elza Landau nie pali, nie śpiewa i nie rozmawia w czasie pracy. Bardzo spokojnie, jakby przykrawała materiał do domowego, kobiecego szycia, stoi przy pokrytym blachą stole, obłożonym ludzkimi rękami i nogami, i pracuje, posługując się nożem i nożycami. Kraje ciało, oddziela mięśnie, naczynia krwionośne, nerwy. Pracuje niezwykle zręcznie. Profesorowie powierzyli jej demonstrowanie młodym studentom techniki preparowania zwłok. Studenci, którym uwłacza, że uczy ich dziewczyna, żartują, prawią komplementy, rzucają nawet dwuznaczne aluzje, zwłaszcza gdy podczas zajęć ma się do czynienia z dolnymi narządami męskich i kobiecych ciał. Elza ich nie ruga za obrażanie jej kobiecości, lecz spogląda mądrymi, brązowymi oczami jak dorosły, rozumny człowiek na głupich chłopców.

— Zostawcie to, koledzy — mówi spokojnie, ale stanowczo. — Nie widzę powodu do śmiechu.

Od jej osoby bije taki spokój, przekonanie, wyższość, że młodzi

chłopcy zatracają ochotę do swawoli, czują znikomość czynienia różnic między poszczególnymi częściami ciała. Białe ręce Elzy są bardzo kobiece w trakcie wprawnego operowania nożykami i nożyczkami. Jej gibkie ciało przebija przez biały fartuch i tchnie życiem wśród panującej dokoła śmierci. Nikt nie ma odwagi odezwać się do niej ironicznym, studenckim tonem, jakiego studenci używają wobec innych dziewcząt przy stole.

— Nie tak, koledzy, lecz tak — Elza demonstruje, jak należy preparować zwłoki. — I proszę nie dmuchać mi dymem w usta.

Studenci wydmuchują dym w inną stronę. Cała ich brawura i nonszalancja w obecności tej spokojnej i zręcznej dziewczyny ulatniają się wraz z dymem. Bardziej niezręczny od innych czuje się przy niej Georg Karnowski.

Właśnie dlatego, że chce się okazać wobec niej spokojnym, wykazać męską sprawność, wszystko wypada mu z rąk, popełnia błąd za błędem. Nie może przestać palić, jak życzy sobie Elza. Dymem chce zdławić narastające w nim uczucie wstrętu i poniżenia. Jej spokój i zręczność dobijają go. Lżej oddycha, gdy wychodzi z nią z piwnicy prosektoryjnej na świeże powietrze. Wśród ludzi i w ruchu czuje się znów mężczyzną — wyższym, silniejszym i większym. Elza sięga mu do ramienia, jest dziewczęco szczupła i prawie dziecięca w obcisłej sukni. Mówiąc, spogląda na niego w górę, jak ludzie niżsi na wyższych. Georg odbiera od niej skrzynkę, prowadzi ją pod ramię, gdy trzeba szybko przejść ulicę, okazuje jej serdeczność i opiekuje się nią, jak silniejszy istotą słabszą. Elza przyjmuje tę męską opiekę i

uśmiecha się do Georga tak, jak wszystkie dziewczęta uśmiechają się do swych opiekunów i towarzyszy. Śmieje się głośno z jego dowcipów, które on opowiada siedząc obok niej w czasie jazdy do domu.

Podobnie poniżony jak w prosektorium, czuje się Georg, gdy przychodzi do Elzy i siada z nią w ciemnym pokoiku, gdzie mieści się jej laboratorium, od którego ona nie może się oderwać. Nigdy nie ma czasu dla niego, nawet wieczorami. Gdy Georg mówi o swojej do niej miłości, tęsknocie, Elza wlewa do probówek mocz, robi analizę krwi, śliny, wydzielin. Przy całej żarliwości, z jaką Georg przygotowuje się do kariery w dziedzinie medycyny, jest dotknięty, że Elza zamiast wsłuchiwać się w to, co on mówi, zajmuje się wszelkiego rodzaju obrzydliwościami.

— Proszę odłożyć te świństwa, na litość boską — denerwuje się wzburzony Georg. — Przecież ja mówię.

— A cóż to szkodzi? — nie rozumie Elza, dla której w jej pracy nie ma różnicy między materią czystą i nieczystą. Interesuje ją jedynie strona chemiczna i bakteriologiczna. — Jako lekarz musi pan mieć inny punkt widzenia — poucza go — lekarski.

— Lekarz, lekarz — denerwuje się Georg. — Nie jestem teraz lekarzem, jestem mężczyzną, Elzo, mężczyzną. Czy nie może pani przez chwilę być kobietą?

Elza śmieje się z jego kawalerskiego zmartwienia i spogląda na niego mądrymi, brązowymi oczyma jak człowiek doświadczony na kapryśnego, niemądrego chłopca.

— Bardzo jesteście śmieszni, mężczyźni — mówi. — Zawsze pragniecie wykazać wasze męstwo, jak kogut wśród kur, lecz wcale nie jesteście takimi bohaterami, za jakich chcecie uchodzić. My, kobiety, nie wstydzimy się ludzkiej słabości.

— Nie wie pani, Elzo, czym jest życie, czym jest miłość — mówi Georg. — Jeżeli żywi pani jakąś miłość, to tylko do bakterii...

Po raz setny Georg postanawia zostawić ją, odejść do innych, prostych, kochających i uległych dziewcząt. Zwróci się nawet do Rut Burak, byle odejść od tej córki lekarza, która szydzi z niego, traktuje jak chłopca i znęca

się nad nim. Postanawia być silnym, dowieść jej, że ma charakter, jak przystoi mężczyźnie. Lecz nim nie jest. przeciwnie, im bardziej Elza go dręczy, tym bardziej jest dla niego pociągająca. Nie opuszcza ani jednego wieczoru, aby nie wejść do jej ciasnego, mrocznego laboratorium i wdychać ostre, nieprzyjemne zapachy.

Zadośćuczynieniem są dla niego niedziele i dni świąteczne, kiedy z Elzą i jej ojcem udaje się na wędrówki.

Wcześniej niż w dni powszednie, kiedy wszyscy mieszkańcy jeszcze śpią, odpoczywając po tygodniu pracy, do której muszą wcześnie wstawać, wypędza dr Landau w niedziele Elzę z łóżka, by się przygotowała do wycieczki. To dla doktora jedyny dzień odpoczynku po tygodniowej ciężkiej pracy i czym prędzej ucieka z domu w obawie, aby go nie wezwano do ciężko chorego, lub rodzącej kobiety.

Z grubymi laskami w rękach, z plecakami na plecach, do których

spakowali jedzenie na cały dzień, z przeciwdeszczowymi płaszczami na wypadek złej pogody i cynowymi garnuszkami do czerpania wody ze studni, rusza ojciec z córką za miasto. Wędrują po polach, łąkach i laskach. Towarzyszy im zawsze Georg Karnowski

— w szerokich pumpach, długich, wełnianych skarpetach, ciężkich wycieczkowych butach, ale bez nakrycia głowy, którą wystawia na działanie promieni słonecznych. Idzie z Elzą, wdychając pełną piersią zapachy trawy, wody i roślin. Jak zwykle dr Landau poucza ich, jak należy oddychać.

— Nie oddychać ustami — ostrzega — nosem, nosem, nosem.

Elza, rozbawiona, radosna, głośno się śmieje.

— Jeżeli nie pozwolisz nam oddychać tak jak chcemy, zostawimy cię i pobiegniemy naprzód, czyż nie tak, Georg.

— Możecie biegać, ile chcecie — mówi dr Landau.

— Mam dość siły, by samemu przebyć tę drogę.

Uderza mocno laską o miękką ziemię, by pokazać, że jest dość silny. Elza patrzy na niego pełnymi miłości i uwielbienia oczami.

— Dobry, kochany papachęn — szepce gorąco i całuje go w ukryte w gęstwinie czerwonej brody i wąsów usta.

— Tylko nie roztkliwiać się, głupia gąsko — mówi dr Landau z udanym gniewem, by ukryć własną senty- mentalność.

Krocząc przez łąki, schyla się często, by pieszczotliwie pogłaskać żółte i białe polne kwiatki, puszcza się w pogoń za motylkami, pasikonikami, świerszczami, młodymi żabkami, gąsienicami i innymi

żyjątkami, od których roi się w trawie. Często nadeptuje na kreta lub mysz polną.

— Co za zadziwiająca stworzonka — mówi, głaszcząc pieśczośliwie ich miękkie futerka. — Spójrzcie na ich mądre, piękne oczy.

Zna mnóstwo stworzeń, ich nazwy i zwyczaje. Umie opowiadać o właściwościach leczniczych rozmaitych ziół, których na ogół lekarze nie uznają. Wyciska sok z tłustych, czerwonych listków dębowych, które chłopci na wsi przykładają do okaleczeń. Rozrywa kwiat rumianku, który chłopki zaparzają i stosują jako lek na przeziębienie. Kładzie się na ziemi w pobliżu mrowiska, by obserwować krzątające się pilnie mrówki. Nozdrzami wdycha ostry zapach wydzielany przez mrówki i chwali chłopów, którzy moczą te żyjątki w wodzie i sporządzają z nich lek przeciw reumatyzmowi.

Z nastroszonymi uszami chwyta każdy pisk ptaka, każde brzęczenie muchy. Po głosie rozpoznaje każde żyjątko. Troskliwie podnosi z ziemi ropuchę i długo ją ogląda przez swe grube okulary. Ropucha jest utarzana w piasku, bardzo miękka i rozrośnięta. Georg niechętnie bierze ją do ręki od dr. Landaua.

— Zielone bagniste żaby są ładne — mówi — ale te ziemne ropuchy są miękkie i wstrętne.

Dr Landau jest urażony tym, że można coś złego powiedzieć o jego ropuchach.

— W ogóle nie istnieje wstrętne stworzenie — mówi. — Nieprawda, Elzo?

Elza bierze miękką ropuchę do ręki, obraca ją cętkowanym brzuszkiem do góry, bada jej poważne oczy, ruchliwy szeroki pyszczek, niezgrabne drżące nóżki i zgadza się z ojcem.

— Uważam, że jest bardzo piękna — powiada — zwłaszcza cętki na brzuchu.

Gdy podziwia ropuchę, przychodzi jej na myśl, że byłoby interesujące ją spreparować.

— To jest szczególnie interesująca ropucha, Karnowski — mówi Elza. — Proszę ją położyć na trawie i wspólnie przeprowadzimy wiwisekcję.

Georg wrywa jej z ręki ropuchę i odrzuca zwierzątko w trawę.

— Nie dzisiaj, Elzo — mówi — wystarczy, że kroimy cały tydzień.

Bardziej niż zwykle, na wolnej, otwartej przestrzeni czuje ciepło młodego, silnego ciała Elzy, blask jej brązowych, mądrych oczu i żar jej płonących na słońcu włosów.

, Jest zupełnie inna na świeżym powietrzu, nie do poznania, wesola, radosna. Wdycha powietrze nie tylko nosem, jak uczy ją ojciec, lecz również ustami, pełną piersią. Pieści wiejskie psy, które najpierw rzucają się na nią z ujadaniem, lecz od razu wywachuują jej miłość do nich i machają przyjaźnie ogonami. Głaszcz mokre noski młodych cieląt, meczących z tęsknie wyciągniętymi główkami i często głośno powtarza, jak dobry i piękny jest świat.

— Nie sądzi pan, Georg? — pyta, zwracając się do niego po imieniu.

Georg śpiewa wysokim, dźwięcznym głosem, który odbija się wielokrotnymi echemi w wiejskiej przestrzeni. Wiejskie dziewczęta patrzą przez otwarte okna na troje dziwnych wędrowców, jakich rzadko się tu widzi. Czerwona broda dr. Landaua, na wpół męski strój Elzy, czarna jak smoła głowa śpiewającego młodzieńca — to wszystko tchnie obcością, jest nowe i ciekawe. Dr Landau stąpa mocno, jakby do taktu śpiewu Georga, i wyrzuca ręce w przód i w tył. —Dzieii dobry, drodzy ludzie, dzieii dobry—pozdrawia chłopów i chłopki, którzy stoją w drzwiach swych domów.

Gdy stolice zaczyna bardzo dopiekać, dr Landau szuka rzeczki, aby się wykąpać. Pływając razem z Georgiem, krzyczy do Elzy, która siedzi wśród krzaków, aby zrzuciła ubranie i razem z nimi popływała.

—Głupia gęś — złości się — ile razy cię uczyłem, że nagość nie jest hańbiąca. Wejdz do wody.

—Później, kiedy wy wyjdziecie — odpowiada Elza z daleka. Georg pływa na plecach, na brzuchu, nurkuje, demonstruje skoki do wody i różne inne wyczyny.

Gdy mężczyźni są ubrani, Elza wchodzi do wody. Georg wsłuchuje się w każde pluśnięcie dochodzące z daleka. ■S Elzo — woła tylko po to, aby wymienić jej imię — Elzo!

Wielokrotne echo wykrzykuje wraz z nim imię dziewczyny. Z mokrą, parującą w gorącym słońcu głową, odświeżona i pachnąca wodą Elza rozkłada jedzenie, które przygotowała na drogę — jarzyny, ser, butelkę mleka, owoce. W jej krzątaniu jest wiele macierzyństwa, kobiecości gospodyni, która karmi męża i dzieci.

Georg zajada z wilczym apetytem. Elza oczyszcza brodę ojca z resztek jedzenia i rzuca je ptakom, które z piskiem tańczą dokoła. Po posiłku dr Landau wyciąga się na trawie, natychmiast zasypia i chrapie tak, że przy każdym oddechu trzęsą się jego wąsy i czerwona broda.

Przestwór nieba skrzy się słońcem, srebrem, błękitem. Na horyzoncie odcina się ciemnoniebieskie pasmo lasu. Nieprzerwanie brzęczą muchy i koniki polne. Na wzgórzu widać wierzchołek jakiegoś zrujnowanego zamku. Wieża wiejskiego kościółka płonie w słońcu. Bocian na starym nagim drzewie głośno bije wielkim dziobem i klekocze w przejmującej ciszy. Georga rozpiera szczęście. W napięciu wsłuchuje się w tysiączne dźwięki ciszy i pragnie wiedzieć, czy Elza je również słyszy.

— Elzo — mówi cicho, ujmując jej rękę. — Czy to nie cudowne?

— Tak, Georg — mówi Elza, kładzie jego głowę na swych kolanach, wodzi palcami po jego włosach. Jest dla niego ogromnie tkliwa. Nawet gdy ojciec budzi się na chwilę, nie przestaje pieścić Georga. Jego zaś po obudzeniu się dr. Landaua ogamia niepokój i próbuje odsunąć głowę z kolan dziewczyny, jakby przyłapano go na czymś nieprzyzwoitym. Dr Landau odwraca się w drugą stronę.

— Głupcze — mruczy i znów zasypia, i chrapie.

Elza spogląda dokoła rozmarzonymi oczami i śpiewa. Jej głos jest macierzyński, brzmi jak przy usypianiu dziecka. Brązowe oczy, zawsze mądre i bystre, teraz są dziecięce i zamglone.

— Śpij, chłopcze — mówi cicho do Georga.

Georg na chwilę przymyka oczy, poddaje się słodczy miękki, dziewczęcych rąk. Czuje się jednak śmiesznie w roli dziecka kołysanego do snu i gwałtownie wyrywa głowę z rąk Elzy.

— Co się stało, chłopcze — pyta zaskoczona Elza.

Georg nie chce słuchać macierzyńsko-opiekuńczego tonu. Nie jest chłopcem, którego wodzi się za nos, wicherzy mu główkę i któremu się śpiewa kołysanki. Jest mężczyzną, który nie pozwoli sobą poniewierać, igrać jak z pieskiem salonowym. Chce otrzymać wyraźną odpowiedź, już tu, na trawie, chce wiedzieć, czy Elza traktuje go poważnie, czy też stroi zeń głupca? Czy go kocha, do wszystkich diabłów, czy nie? Jeżeli tak, niech z nim postępuje, jak zwykło się w takich razach postępować. Niech powie jedno słowo, a on porozmawia z jej ojcem, pobiorą się i będą razem. Jeżeli go nie kocha, niech mu to oznajmi, a Georg nie będzie się jej narzucał. Może być tego pewna. Nie jest jedyna. Nie brak pięknych, mądrych, wykształconych dziewcząt, które szczyć się będą jego towarzystwem i traktować go będą tak, jak kobieta winna traktować mężczyznę.

Elza mu nie przerywa. Patrzy tylko na niego mądrymi, brązowymi oczami. Już całkowicie zatarło się gdzieś poprzednie ich zamglenie.

— Czy to jest ultimatum, mój chłopcze? — pyta żartobliwie.

— Tak, to ultimatum — odpowiada rozgniewany Georg.

Elza pakuje rzeczy do plecaka i udziela Georgowi mądrych, macierzyńskich rad. Zawsze jest gotowa pracować z nim w laboratorium, jak też razem wędrować w niedziele, gdyż czuje do

niego sympatię, nawet go lubi. Lecz to nie powinno go powstrzymywać od kontaktów z innymi kobietami, które będą go ubóstwiały, będą uległe, będą go uważały za swego pana i władcę. Wie, że mężczyźni chcą być wielcy i silni. Właśnie z powodu swej słabości chcą zawsze odgrywać rolę bohaterów. Lecz jeżeli wymaga tego od niej, to jest w błędzie. Nigdy dla nikogo, dla żadnego mężczyzny na świecie nie będzie niewolnicą. Dlatego właśnie nie wyjdzie za mąż. Ma swoją medycynę, klub robotniczy i laboratorium. Nie ma ochoty na zamążpójście, ani nie ma na to czasu.

— Rozumiesz, chłopcze? — mówi i całuje go w usta.

Georg płonie i zmierza do niej władczyimi, męskimi krokami jak zwycięzca. Jest tak zmieszany, że nawet nie słyszy chrapiącego dr. Landaua. Krew wre w jego żyłach. Elza patrzy na niego mądrymi, przenikliwymi oczami i wybucha głośnym, drwiącym śmiechem, tak jak dorosły, mądry człowiek śmieje się z rozdrażnionego dziecka.

— Komiczny chłopcze — mówi i śmieje się jeszcze donośniej i głośniej.

Jej śmiech zbija go z tropu i mrozi mu krew. Jest upokorzony przez nią — władcą i mądrą. Aby zagłuszyć zamęt w swej rozkojarzonej głowie, gwizdże — przesadnie drwiąco i swawolnie. Cisza odpowiada zwielokrotnionym echem.

Wielka sala prosektorium Instytutu Anatomii Patologicznej jest rzęsiście oświetlona mocnymi, czerwonymi elektrycznymi lampami, mimo że jest pogodny, słoneczny, letni dzień. Na stojakach wiszą

szkielety różnej wielkości. W szklanych słojach zanurzone są wątroby, serca, żołądki, jelita. Służba prosektoryjna wwozi na ręcznych wózkach zwłoki, męskie i kobiece, i układa je na pokrytych ceratą stołach.

— Prosimy przepuścić, panowie kandydaci, prosimy przepuścić!

— woła służba do grupek studentów, którzy dużo palą i cicho rozmawiają.

Pracując długo w prosektorium służba, mająca wiele doświadczenia w zakresie anatomii i sporządzania sekcji zwłok, odnosi się z lekceważeniem do mniej doświadczonych studentów. Ci odsuwają się i milczą. Dzisiejszy dzień jest dla nich ważny — studenci ostatniego semestru, zanim zostaną lekarzami, mają złożyć końcowy egzamin z chirurgii. Będzie ich egzaminował sam dyrektor kliniki chirurgicznej, radca tajny profesor Lentzbach. Studenci i studentki, ubrani w swe fartuchy chodzą nerwowo. Niespokojni są też dozorczy.

— Nie palić, panowie kandydaci, nie palić — wołają i pilnują, aby studenci zgasili papierosy.

Wiedzą, że choć radca tajny Lentzbach sam pali podczas egzaminów, to jednak nie lubi, gdy robią to studenci. Próba operacji jest według niego równa operacji, a w trakcie tej ostatniej się nie pali. Poza tym niech studenci wdychają zapach prosektorium. To dla nich korzystne. Gdy radca Lentzbach był studentem, również się nawąchał. Kandydaci na lekarzy wrzucają papierosy do skrzyni z piaskiem. Gdy ukazuje się profesor Lentzbach, dozorczy wyprężają się przed nim jak

struny.

— Dzień dobry, panie tajny radco — pozdrawiają go, jakby na komendę.

— Morgen — odpowiada profesor Lentzbach, przechodząc sprężystym, żołnierskim krokiem i z wysoko podniesioną głową.

Mimo siedemdziesiątki jest smukły, wysoki, trzyma się niezwykle prosto, jak młody, wysportowany oficer. W odróżnieniu od wszystkich pozostałych profesorów, którzy mają skłonność do bród i długich włosów, jego śnieżnobiała głowa jest krótko ostrzyżona, z żołnierską grzywką nad czołem. Jego siwe wąsy są po huzarsku podkręcone, zaś ceglasta, energiczna, gładko ogolona twarz jest opalona od słońca i wiatru. Blizna na policzku, pozostałość z heidelberskich, studenckich czasów, odcina się czerwienią. Błękitne, zimne oczy wyniośle rozglądają się dokoła. Przechodzi przez salę jak generał przed żołnierzami. Za nim, jak adiutanci, postępującego podwładni.

— Dzień dobry, panie tajny radco — pozdrawiają go z lękiem studenci.

— Morgen — odpowiada półgębkiem profesor Lentzbach i rzuca okiem na studentów w szarych fartuchach, jak generał na żołnierzy w szeregu, bacząc, czy wszystko jest w porządku.

Kandydatów niepokoi zimne spojrzenie profesora Lentzbacha. Niespokojny jest zwłaszcza Georg Karnowski. Spośród dziesięciu studentów ostatniego semestru, którzy przystępują do końcowego egzaminu, tylko on nosi obce, cudzoziemskie nazwisko, zakończone na "ski". W dodatku obok imienia Georg ma jeszcze drugie — Mozes.

Wśród jasnowłosych i jasnookich studentów on jeden ma ciemną cerę i czarne oczy, które ostro wyróżniają się na tle innych, jasnych. I mimo że dotychczas nie zaznał żadnej przykrości ze strony profesorów uniwersyteckich, czuje się niezręcznie z powodu swej odrębności. Nie może wytrzymać ostrego spojrzenia błękitnych oczu profesora Lentzbacha, ich lodowatego chłodu. Chociaż nie dopuszczał do siebie myśli o własnym zażenowaniu, to jednak nie może się od niego uwolnić. Zakłopotany i onieśmielony popełnia pierwszy błąd, kiedy profesor Lentzbach wywołał jego nazwisko.

— Tak jest, panie profesorze — mówi, lecz od razu sobie uzmysławia, że popełnił głupstwo i szybko się poprawia. — Tak jest, panie tajny radco.

Profesor Lentzbach mrozi go spojrzeniem. Jest osobą rygorystycznie przestrzegającą tytułów. Nie tylko studenci, lecz również profesorowie winni go tytułować "panie tajny radco". I mimo, że ten Karnowski błąd niezwłocznie poprawił, profesor Lentzbach nie może tego ścierpieć, gdyż nie toleruje pomyłek, roztargnienia. Lubi dyscyplinę, dokładność. Dlatego też roztargnionego, czarnookiego studenta wywołuje na pierwszy ogień.

— Usunięcie wyrostka robaczkowego, Karnowski — poleca, wskazując na zwłoki.

Ciało nie jest rozcłódkowane, rozebrane, do czego Karnowski przywykł w ciągu całego okresu swej praktyki w prosektorium. Jest to świeże, dopiero co przyniesione z kliniki ciało młodej kobiety, najwyżej dwudziestoletniej, smukłej, jasnej. Małe dziewczęce piersi

świadczą o tym, że zmarła nie rodziła jeszcze dzieci, a może nawet nie zaznała męskiej miłości. Jej woskowa twarz, ładna, o regularnych rysach, wyraża piękno i dostojeństwo śmierci. Oczy są zamknięte, zmarła sprawia wrażenie śpiącej. Georgowi wydaje się, nawet przy dotknięciu, że ciało jest jeszcze ciepłe. Jego ręka lekko drży, gdy rozkrawa brzuch, czuje się, jakby kroi! żywe ciało.

— Spokojnie, bez drżenia rąk — nakazuje tajny radca Lentzbach i obserwuje Georga, który odczuwa nudności pod wpływem formaliny, zgnilizny i śmierci, stara się jednak wszelkimi siłami opanować. Straszliwe mdłości przenikają do głowy, krwi, mrożą jego ręce. Pot występuje mu na czoło. Profesor Lentzbach obserwuje jego pracę, patrzy również na niego.

— Spokojnie i szybko — poleca — trzeba zapomnieć, że leży tu zmarła. Tu leży pacjentka, której trzeba usunąć wyrostek, tu nie można się wahać, bawić się. Trzeba pracować spokojnie i szybko. Słowa profesora, zamiast uspokoić, denerwują jeszcze bardziej Georga. Wszelkimi siłami pragnie przewycię- | żyć mdłości.

— Tak jest, panie tajny radco — mówi i usiłuje zwalczyć swoją słabość.

Minuty wloką się jak godziny, jak wieczność. Nadludzkim wysiłkiem drąży wewnątrz ciała, wyjmując wyrostek i pokazuje profesorowi. W trakcie tego zajęcia rzuca niespokojnym okiem na profesora Lentzbacha. Chce usłyszeć dobre słowo, dojrzeć choćby skinienie głową świadczące, że dobrze wykonał pracę. Profesor Lentzbach milczy nieporuszony. Jego zimne, błękitne oczy tkwią

nieruchomo. Karnowski czeka, aby go w końcu profesor zwolnił i wywołał następnego studenta. Czuje, że jak najszybciej musi uwolnić się od tego odoru i napięcia, zapalić papierosa. Lecz tajny radca Lentzbach nie śpieszy się. Nie znosi łatwizny jak inni profesorowie. Lubi, aby świeżo upieczeni lekarze wychodzący spod jego rąk, pamiętali go przez całe życie. Hołduje zasadzie, że młodego człowieka należy poddawać w czasie egzaminu różnorodnym próbom. Sam tego doświadczył będąc studentem i przenosi ten sposób na innych. Nie mówiąc młodemu człowiekowi o śmiesznym nazwisku Georg Karnowski ani słowa na temat przeprowadzonej przez niego operacji, zadaje mu następną pracę, jaką profesorowie zazwyczaj rzadko zlecają.

— Wyjęcie oka — poleca Karnowskiemu. Georg na glinianych nogach zbliża się do głowy zmarłej młodej kobiety z otwartym brzuchem i drżącymi palcami otwiera zwarte powieki. Są mocno zaciśnięte. Georg musi mocno ciągnąć, aby się otworzyły. Spogląda na niego błękitne oko, miękkie, błagające i smutne. Georgowi robi się zimno. Oko jakby ma pretensję do niego, użala się na swe młode przerwane życie, za wstyd, że dziewczyna leży naga przed obcymi mężczyznami, za swe osamotnienie, za rozkrojenie. Zimne ręce Karnowskiego znowu drżą. Radca tajny Lentzbach mówi z gniewem:

— Pracować spokojnie. To jest oko, delikatny narząd. Zachować spokój, do diabła!

Georg czuje, że jeszcze chwila, a upadnie. Trzyma się jednak resztkami sił i wyjmując narzędziem chirurgicznym błękitne oko. Inny

student podtrzymuje je, aż Georg odetnie mięśnie wiążące ten narząd z innymi tkankami.

—Dość — mówi w końcu profesor Lentzbach i kiwa głową, co oznacza, że student prawidłowo wykonał poruczone mu zadanie i zdał egzamin.

Georg wyszedł, chwiejąc się. Mimo że wiedział, że zdał, że w końcu, po latach pracy, trudu i zwątpień osiągnął cel, nie odczuwa jednak w tej chwili radości. Jest mu wszystko jedno, byle odejść od pokrojonej kobiety, oddalić się od zapachu zgnilizny i śmierci, a także formaliny, byle nie widzieć więcej trupa, który spogląda na niego z wyrzutem i smutkiem.

Świeże powietrze na dworze, świecące słońce, gwar ludzi, śmiech dzieci uspokajają go. Mdłości ustępują. Lecz nie może się pozbyć obrazu patrzącego na niego z wyrzutem błękitnego oka. Dostrzega go w każdym spojrzeniu przechodzącej kobiety. Widzi to oko nawet w eleganckiej kawiarni, w której, dla wzmocnienia się, zamawia kilka kieliszków koniaku. Znajoma kelnerka z niebieskimi oczami uśmiecha się do niego. Zamiast odpowiedzieć uśmiechem, jak to zwykle czynił lubiąc z nią pożartować, spogląda na nią z lękiem. Przypomina mu tamtą kobietę na stole,

—Co się stało, panie doktorze? — pyta zaniepokojona kelnerka, zawczasu tytułując go doktorem.

— Jeszcze jeden koniak — odpowiada Georg.

Nawet wieczorem, kiedy udał się z kolegami do kawiarni Szantan, aby trochę popić i zapomnieć się, wciąż nie mógł uwolnić się od

widoku niebieskiego oka. Kelnerki w kawiarni całowały go, piły z nim. Zamawiał kieliszek za kieliszkiem, głośno śpiewał, przesadnie wesoło zachowywał się wobec dziewcząt. Chciał zakrzyczeć wewnętrzny strach, ale podczas największego gwaru zobaczył niebieskooka. Widział ja w każdej śmiejącej się kobiecie.

Nad ranem wrócił do swojego pokoiku w północnej części Berlina. Rzucił się na łóżko, chciał spać, tylko spać, lecz nie było mu dane usnąć. Tobias, nauczyciel hebrajskiego, przyszedł do niego, by studiować księgę proroka Ezechiela. Georg prosił go:

— Panie Tobias, proszę mi pozwolić spać.

Lecz pan Tobias nie wyraził na to zgody i smutnym głosem wykladał rozdział traktujący o tym, jak Bóg prowadził proroka Ezechiela do doliny, w której było pełno wyschniętych kości. I powiedział Bóg: "Prorokuj o tych kościach, a mów do nich: Kości suche, słuchajcie słowa Pańskiego!... i stał się szum, gdym ja prorokowałem, a oto poruszenie, i przystąpiły kości, kość do kości swojej. I ujrzałem, a oto na nich żyły, i mięso, i powleczone były po wierzchu skórą" .

Panie Tobias, jestem zmęczony, głowa mnie boli — błaga Georg.

— Nie, Georg, powtarzaj! — mówi Tobias i tłumaczy z hebrajskiego: — I wstąpił w nie duch, a ożyły i stanęły na nogach swoich, wojsko nader wielkie" .

Georg nie może pojąć trudnych słów i ucieka z lekcji na Uniwersytet im. Fryderyka Wilhelma. Lecz tu widzi, jak w prosektorium nagle szkielety złażą ze stojaków, na których są

zawieszane, i zaczynają iść. Wraz z nimi poruszają się wszelkie spreparowane członki. Łączą się, kończyzna z kończyzną, kość z kością, ponownie z nich stają się ludzie. Na przodzie kroczy młoda poćwiartowana dziewczyna i spogląda jednym błękitnym okiem. Za nią podążają wszystkie szkielety. Georg ucieka przerażony, ale one postępują za nim, przechodzą przez kamienne posadzki, schody, wychodzą z prosektorium, stukają kościanymi nogami, wymachują takimiz rękami, gromadzą się tysiącami, milionami i idą wciąż dalej i dalej, kroczą w swym marszu śmierci, łomocąc kośćmi. Georg

' Przekład według Biblii, Warszawa, , s. .

ucieka i krzyczy, aby studenci biegli za nim. Wszyscy zbiegają ze schodów — studenci, służba, profesorowie, tajny radca Lentzbach. Najszybciej biegnie on, Georg, trzymając za rękę Elzę. Lecz szkielety nie ustają w marszu za nim, są ich tłumy, wielkie, ogromne tłumy. Łoskot ich kości rozlega się po kamieniach i bruku. Georg przeraźliwie krzyczy. Otwiera oczy, nad nim stoi dozorczyńni domu, pani Krupa i potrząsa nim za ramiona.

— Leniuchu... — strofuje go — już po południu, a pan wciąż śpi i mówi przez sen.

Obolały i załamany poszedł do dr. Landaua i wyżalił się przed nim.

— Obawiam się, panie doktorze, że niemądre było porzucenie filozofii i podjęcie studiów medycznych. Wydaje się, że nie jestem dość twardy do medycyny, w każdym razie nie do chirurgii.

— Bzdura — odpowiada dr Landau. — Lekarz bez serca to rzeźnik z dyplomem lekarza. Jedyne człowiek wrażliwy może być wielkim

lekarzem. Ręczę za to moim słowem, młody kolego.

Dawid Karnowski znowu włożył świąteczny surdut i cylinder na uroczystość na uniwersytecie. Lea Karnowska nie udała się wraz z nim z obawy o swoją umiejętność władania językiem niemieckim. Georg założył frak i lakierki. Zgromadzili się profesorowie w togach, dostojni goście z medalami na piersiach, nawet wyżsi wojskowi. Tajny radca Lentzbach grzmiał jak generał przed armią, mówił o obowiązkach medycyny wobec ojczyzny. Georg wyszedł ze swym dyplomem lekarza w młodzieńczej euforii, podobnie jak przed laty, gdy opuszczał gimnazjum. Wyjechał na kilkutygodniowy odpoczynek na wybrzeże Bałtyku. W zapadłej wiosce rybackiej, w wodzie, na słońcu i na wietrze wytrząsał z siebie lata pracy, przyrządzania preparatów, mdłych zapachów, zgnilizny i śmierci.

W sierpniu wrócił do miasta, żeby się rozejrzeć za dobrym szpitalem dla odbycia praktyki. Na pierwszej ulicy, na której się znalazł, wpadł w tłoczną paradę wojskową.

—Precz z Francji i Rosja! — brzmiały głosy.

—Niech żyje cesarz i ojczyzna!

— Odniesiemy zwycięstwo! Pobijemy Francuzów! — śpiewali maszerujący żołnierze, stukając po bruku podbitymi gwoździami butami.

Łopotały chorągwie, grzmiała muzyka, mężczyźni odkrywali głowy, śpiewali chóralnie Die Wacht am Rhein. Georg wysokim męskim głosem przyłączył się do chóru.

Wśród pierwszych zmobilizowanych znalazł się młody lekarz

Karnowski, przydzielony do służby sanitarnej na froncie wschodnim. W starej żydowskiej dzielnicy, zwanej przez chrześcijan ironicznie "żydowską Szwajcarią", zapanowało wielkie wzburzenie.

Żydzi galicyjscy przed swymi jatkami, koszernymi restauracyjkami i bożniczkami wywiesili obok sztandarów niemieckich również austriackie, obok portretu cesarza Wilhelma, ze spiczastymi, podkreślonymi wąsami i ostrą pikielhaubą, portret swego austriackiego cesarza z siwymi bokobrodami, uśmiechniętego, o ojcowskim spojrzeniu. Sztandary i największe portrety austriackiego władcy wisiały na odrapanym balkonie hotelu, który nosił imię cesarza Franciszka Józefa i był własnością reb Hercele Wiśnika z Brodów. Starsi galicyjscy Żydzi w alpagowych kapotach byli pełni uwielbienia dla "swego" cesarza.

— Dostojne oblicze — mówili zachwyceni — prawdziwy monarcha.

Kobiety błogosławiły go i życzyły mu zdrowia.

Młodzieńcy i młodzi mężczyźni powołani do wojska przekomarzali się ze swymi sąsiadami — rosyjskimi Żydami.

— Zadamy pieprzu do wążania waszemu świńskiemu carowi, dokona tego nasz cesarz, oby żył.

Ponury nastrój żałoby panował wśród polskich i rosyjskich Żydów. Wysoki, tęgi policjant, który latami przemierzał paradnym krokiem wąskie, zaśmiecone uliczki, obserwując wszystkich, chodził obecnie od domu do domu, uprzedzając rosyjskich Żydów, aby się zawczasu przygotowywali do wyjazdu do obozu. To właśnie on ich internował.

Żydzi — uciekinierzy z Rosji — wyjaśniali policjantowi swą łamaną niemczyzną, że nie mają nic wspólnego z krajem cara.

Galicjanie błagali o litość dla swych rosyjskich sąsiadów.

— Nic nie mogę poradzić, moi ludzie — policjant machał tłustą ręką. — Czas wojenny.

Nie lepiej wiodło się rosyjskim Żydom, którzy już wspięli się w społecznej hierarchii i wyprowadzili ze starej dzielnicy na ulice zamieszkałe przez ludzi bogatszych.

Pierwszy cios ugodził w Salomona Buraka, właściciela sklepu sprzedaży okazjonalnej w alei Landsberskiej. Nie tylko zgarnięto ze sklepu i odprowadzono na policję wszystkich jego mielnickich krewnych, sprzedawców i sprzedawczynie, poborców rat, lecz również jemu, staremu mieszkańcowi i bogaczowi kazano meldować się codziennie na policji aż do wydania nowego zarządzenia. Salomon Burak wyłaził ze skóry. Właśnie przygotowywał w swym obszernym sklepie okazłą ilość sezonowych towarów do wielkiej, taniej jesiennej wyprzedaży, co miało sprowadzić na aleję Landsberską tłumy kupujących kobiet.

Klął cara, na czym świat stoi. Wojna, i to akurat w sezonie! Zwracał się do znajomych fabrykantów i bankierów, molestując o protekcję.

— Wojenny czas, panie Burak — odpowiadali mu. — Nic nie możemy uczynić dla nieprzyjaciela Rosjanina.

Salohion Burak widząc, że po dobroci daleko nie zajedzie, uciekł się do swojej sakiewki. Wiedział, że pieniądze jest zawsze

niezawodnym przyjacielem i stróżem sprawiedliwości. Był tego zdania nie tylko po tamtej stronie, w kraju cara, gdzie otwarcie przyjmowano łapówki, lecz również tu, w kraju, gdzie oficjalnie odcinano się od stosowania takich praktyk.

Z wypchanym portfelem udał się do najważniejszej osobistości, gdyż hołdował zasadzie, że należy zwracać się do głowy, nie do ogona i z bijącym sercem, z grubym cygarem w ustach, posługując się pospolitym, ulicznym berlińskim językiem, niemieckimi i żydowskimi porzekadłami i dowcipami, doszedł do porozumienia z głównym urzędnikiem i uzyskał zapewnienie, że go niepokoić nikt nie będzie. Złożył pokaźną kwotę na Czerwony Krzyż, na widok której rozjaśniły się oczy dygnitarza. Rozpłomienił się jeszcze bardziej, gdy Salomon Burak

I niezwykle zręcznie i subtelnie, tak jak wręcza się honorarium

znakomitemu lekarzowi, wsunął mu do ręki zamkniętą kopertę wypchaną banknotami.

—Bardzo to uprzejmie z pana strony, panie Burak

— powiedział wielce zadowolony wysoki urzędnik.

—Będę ogromnie rad przesłać szacownym pana domownikom niektóre wzory z przygotowanej na sezon jesienny kolekcji: piękną bieliznę i nakrycia stołowe

— odparł Salomon Burak i opuścił gabinet z lżejszą kieszenią, ale uspokojony.

Nie mógł jednak uzyskać zezwolenia na uwolnienie krewnych z obozu. Musiał więc zaangażować do pracy chrześcijańskie berlińskie

dziewczęta, ale sam był pod ochroną. Z wielką energią wziął się do pracy przed nadchodzącym jesiennym sezonem. Jego sąsiedzi — niemieccy Żydzi — byli rozczarowani. Szczególną złość przejawiał jego konkurent, Ludwik Kadysz, który musiał wyruszyć na wojnę.

— Kiedy pójdzie pan do jenieckiego obozu, panie Burak? — pytał Kadysz.

— Pomódl się, zmów kadysz, umyj ręce i zjedz knedle

— odpowiedział Salomon Burak cytatem z Hagady, czyniąc aluzję do nazwiska sąsiada i dając do zrozumienia, że ręka rękę myje, i że jeżeli rozum dopisuje, można sobie dać radę.

Dawid Karnowski był rozgoryczony i rozczarowany, kiedy polecono mu zgłosić się na policję, gdzie usłyszał, że wkrótce zostanie skierowany do obozu wojennego wraz ze wszystkimi Rosjanami.

Nie mógł tego pojąć. On, który uciekł od ciemnoty i mroku Wschodu do światła i kultury Zachodu? On, który włada językiem niemieckim według wszelkich zasad gramatyki? On, który jest członkiem zarządu najznamienitszej berlińskiej synagogi? On, znawca pism Mojżesza Mendelssohna, Lessinga i Schillera? On, poważny kupiec, właściciel domu, ojciec dzieci wyrosłych w tym kraju, ma być aresztowany wraz z prostytutkami, z pospólstwem?

Przede wszystkim udał się do swego przyjaciela, rabina dr. Szpajera. Niechże on, rabin znakomitej synagogi, zaświadczy tam, gdzie należy, kim jest Dawid Karnowski. Lecz dr Szpajer lękał się nawet rozmowy z przyjacielem, do którego od lat przychodził na dyskusje na temat Tory i mądrości.

— Czas wojny, drogi panie Karnowski — odpowiedział dr Szpajer lodowato — nie wolno mi się wtrącać.

— Lecz wie pan przecież, jakim jestem Rosjaninem, panie doktorze — dziwił się Dawid Karnowski. — ..A co z problemem wykupu jeńców?

— Prawa państwa są prawami bożymi — odpowiedział dr Szpajer. — Proszę mnie nie stawiać w trudnej sytuacji, drogi panie Karnowski. Karnowski opuścił dom rabina bez pożegnania. Nie lepiej przyjął go profesor Breslauer.

— Gdy grzmiały armaty, milkną muzy powiedział profesor Breslauer. — Bardzo mi przykro, lecz jest czas wojny.

Dawid Karnowski udał się do starej dzielnicy, do reb Efraima Waldera. Nie szedł tam po protekcję, gdyż wiedział, że starzec nie cieszy się poważaniem u władz. Chciał jedynie wyzalić się na swych dobrych przyjaciół

— intelektualistów. Przechodząc przez Wielką Hamburgską ulicę przy placu Synagogi, gdzie stał mały pomnik z brązu Mojżesza Mendelssohna, wzniosł swe czarne jak węgiel oczy na filozofa, dla którego przybył do miasta kultury i światła. Jakież pokolenie on pozostawił, myślał z goryczą Karnowski. To ma być zbiorowisko ludzi szlachetnych, mędrców i moralistów? Pożal się Boże!

W pobliżu starej dzielnicy napotkał grupę aresztowanych, prowadzonych przez policję. Ludność wygrażała im pięściami, kobiety pluły.

— Bić przeklętych Rosjan — rozlegały się krzyki.

— Zabić tę bandę.

Niektórzy rzucali za aresztowanymi kamieniami i różnym śmieciem. Karnowski wśród krwiożerczego motłochu poczuł lęk. Szybko doszedł do ulicy Dragońskiej.

W sklepiku ze świętymi księgami Efraima Waldera widniały austriackie chorągiewki i portrety cesarza. Żaneta Walder wydała dużo pieniędzy na te chorągiewki i portrety, które kupowali galicyjscy Żydzi. Reb Efraim Walder jak zwykle siedział nad swymi księgami, rozmyślał i pisał.

Przywitał Karnowskiego, odkładając gęsie pióro.

— Dawno nie widzieliśmy się, proszę usiąść, rabi Karnowski.

Dawid Karnowski nie usiadł.

-r- Proszę nie zapominać, że jesteśmy nieprzyjaciółmi

— powiedział złośliwie. — Reb Efraim, jeżeli się obawiacie, mogę od razu pójść.

Siwobrody reb Efraim Walder uśmiechał się.

— Lęk jest cechą motłochu, lecz nie przystoi myślicielowi i mędrcom — odrzekł.

Dawid Karnowski usiadł i z goryczą opowiedział, jak pozbyli się go przyjaciele. Reb Efraim Walder nie był zaskoczony. Stary i doświadczony, wszystko już w swym długim życiu widział i słyszał, toteż wszystko przyjmował filozoficznie — ludzkie słabostki, niewdzięczność, a nawet wojnę.

—, Od czasu, kiedy zazdrosny Kain zabił na polu swego brata Abla, nie było ani jednego dnia bez wojny

— powiedział reb Efraim. — Mały filozof, a wielki mędrzec Voltaire bardzo dobrze wyłożył to w jednej ze swych ksiąg, której tytułu nie mogę sobie przypomnieć, rabi Karnowski.

Z największym spokojem, jakby na świecie się nic nie wydarzyło, reb Efraim wyciągnął plik pism i odczytywał Karnowskiemu swoje nowe przemyślenia, które przychodziły mu do głowy jako przydatne dla dzieła jego życia.

Obrońcą Karnowskiego okazał się jedynie jego syn Georg, o którym ojciec nigdy nie miał wysokiego mniemania i nie spodziewał się żadnej pociechy z jego strony.

W nowym mundurze lekarza wojskowego udał się na policję. Dotarł do najwyższego rangą urzędnika i wskazał na krzywdę, jaką jest internowanie jego ojca, podczas gdy on, jedyny syn, idzie na front. To odniosło skutek.

— Kto by powiedział — podzielił się Dawid Karnowski myślą z żoną, tym razem po żydowsku, nie po niemiecku — kto by się mógł tego spodziewać po Georgu?

— Zawsze byłam dobrego zdania o tym dziecku — powiedziała uszczęśliwiona Lea. — Niech Bóg ma go w opiece.

Najbardziej wojna wytrąciła z równowagi dr. Fritza Landaua z Neukölln.

— Idioci, ośle łby, bydło rzeźne, mięso armatnie! — złorzeczył i klął wojskowych, maszerujących ze śpiewem na front. — Jeszcze śpiewają osły, podczas gdy dworscy sługusi i błazny cesarskie posyłają ich na rzeź.

—Uspokój się, ojczy | prosiła Elza — i nie mów tak otwarcie wobec pacjentów, mogą donieść.

—Niech donoszą — krzyczał dr Landau — powiem prawdę samemu cesarzowi!

Pałał gniewem w dyskusjach z kierownictwem partyjnym, które, poddając się ogólnej atmosferze, głosowało za budżetami wojennymi. “Idioci — wołał — puste łby, zamiast mózgów mają sieczkę w czaszkach, zamiast krwi atrament w żyłach. Gdyby wiedzieli, jak cudowną maszyną jest człowiek, z jak delikatnej materii składa się ciało ludzkie, jak mądrze i racjonalnie zbudowany jest każdy narząd, jak wiązany i łączony jest każdy nerw, jak niezwykle, zadziwiające jest ludzkie serce, szpik, oko, nie mogliby mordować z taką łatwością. Lecz oni są brutalni, tępi, nic nie wiedzą i nic nie rozumieją poza głupią polityką i płaszczaniem się wobec korony i munduru. Dlatego tak łatwo stają się rzeźnikami, mordercami”.

Nie zdobył się na ani jedno dobre słowo dla Georga Karnowskiego, który w mundurze wojskowym przyszedł go pożegnać przed wyruszeniem na front.

—Do widzenia doktorze, rębaczku mięsa — mruczał gniewnie, wyciągając do niego za ledwie końce palców na pożegnanie. Georg Karnowski próbował go ułagodzić.

— Na szczęście, ja jadę nie mordować, lecz leczyć, panie doktorze. Proszę być dobrym dla mnie. Ja tej wojny nie wywołałem.

— Wszyscy ją wywołaliście, wszyscy! — krzyczał wzburzony dr Landau. — Głupcami staliście się wszyscy, rzeźnicy!

Zgoła inaczej przyjęła Georga Elza. Była już również lekarzem i pracowała razem z ojcem, lecz nie zmobilizowano jej, czuła się więc rozczarowana, urażona i zazdrościła Karnowskiemu. Ogólne podniecenie, maszerujący żołnierze, parady, pieśni, łopotanie sztandarów, napięcie — wszystko to burzyło jej młodą krew, wywoływało niepokój, budziło i wzywało, by dokądś iść, dołączyć do marszu, rzucić się w wir ruchu, działania, podniosłej atmosfery, ryzyka i niepojętej radości.

— Tak bym pragnęła również iść na wojnę, Georg

— mówiła | utęsknieniem, tuląc się do jego ramienia.

Georg promieniał. Jego brązowa, opalona twarz jaśniała beztroską radością, jaką młodzi ludzie odczuwali w pierwszych dniach wojny wobec bliskiej przygody, jej ważności i ryzyka. Jego czarne oczy wyrażały niepokój, swobodę, wesołość. Nastrój ten udzielił się także Elzie.

— Wygląda pan diabelnie pięknie w tym mundurze

— był to pierwszy komplement Elzy dla Georga.

Dr Landau potrząsał gniewnie brodą i wąsami.

— Jesteś głupia — złościł się — jak wszystkie kobiety, które uwielbiają mundury i mord. Przez was, głupie gęsi, toczą się wszystkie wojny.

— No, no, nie złość się, stary, śmieszny papachen

— powiedziała Elza, całując jego wąsy.

Dr Landau nie pozwalał się udobruchać i gniewny wszedł do swego gabinetu.

Elza ujęła Georga pod ramię i oboje wyszli.

Pojechała z nim na dworzec, aby się pożegnać przed odjazdem. Jak wszystkie obecne tam młode kobiety odprowadzające narzeczonych i umiłowanych, wisiła na ramieniu Georga, tuliła się do niego i zaglądała mu w oczy. Gdy pociąg szykował się do odjazdu, całowała się z nim.

— Najdroższy — szeptała mu do uszu jak zakochana gimnazjalistka.

Przy ostatnim gwizdku, gdy konduktor energiczniej popędzał pasażerów, by weszli do wagonów, przytuliła się do Georga i nie chciała go puścić. Konduktor denerwował się i ostrzegał, że pociąg rusza. Elza szybko wskoczyła do wagonu. Przed każdą następną stacją żegnała się z Georgiem, zamierzając wyjść z wagonu i wrócić do domu. Ale w ostatniej chwili zmieniała zdanie — pozostawała w wagonie, jadąc wciąż dalej. Zaśmiewali się jak dzieci za każdym razem, gdy dopłacali konduktorowi za bilety, a on burczał niezadowolony.

We Frankfurcie nad Odrą wysiedli oboje — on, aby poczekać przez noc na swój pociąg sanitarny, ona, by wrócić do domu. Trzymając się za ręce przechadzali się w milczeniu po peronie tam i z powrotem, lecz gdy w końcu nadjechał pociąg do Berlina, tak długo się żegnali i całowali, aż pociąg odjechał.

— Komiczne — powiedziała Elza śmiejąc się i spoglądając za odjeżdżającym pociągiem.

Wyszli na ulicę. Miasto było udekorowane chorągwiemi, z daleka

dochodziły dźwięki wesołej muzyki. Oficerowie spacerowali z damami. Młodzi żołnierze przepychali się ze swymi dziewczętami. Napięcie, swoboda, wesołość i niepokój przenikały przez drzwi i bramy. Padał letni deszczyk. Georg i Elza weszli do jasno oświetlonej kawiarni hotelowej. Orkiestra kobieca grała patriotyczne pieśni i walce. Pary tańczyły. Georg objął Elzę i wkroczyli między tańczące pary. Elza niewolniczo postępowała za każdym ruchem Georga. Następnie przy stoliku pili wino. Elza wypła kilka kieliszków, mimo że w domu ojciec nigdy nie pozwalał jej na żaden alkoholowy napój. Damy otwarcie całowały się ze swymi partnerami — oficerami. Elza robiła to samo, piła z Georgiem bruderszaft z jednego kieliszka. Gdy o późnej godzinie wiele par opuściło stoliki, udając się z otwartego holu hotelowego przez szerokie schody do swych pokoi, Georg ujął Elzę pod ramię i zamówił pokój.

— Godność pana? — zapytał portier.

— Dr Georg Karnowski z żoną — powiedział Karnowski.

Elza przytuliła się mocniej do jego ramienia.

W małym pokoju hotelowym na ostatnim piętrze przypadli do siebie jak wygłodniałe zwierzęta. Krople deszczu dzwoniły o szyby i dach.

Nazajutrz z rana Georg po obudzeniu się zakrył twarz rękami. Przyzwyczajony od lat studenckich do budzenia się w pokoju hotelowym w towarzystwie kobiety, oczekiwał wyrzutów, nawet łez. Elza była odświeżona i spokojna, jakby już byli małżeństwem od lat. Z oddaniem pomagała mu założyć mundur, jak wszystkie żony, któ-

rych mężowie odchodzą na front. Georg czuł się zagubiony.

— Nie zdążyliśmy się nawet pobrać, najdroższa — powiedział z zażenowaniem w głosie. — Uczynię to, gdy tylko dostanę urlop.

— Po co, chłopcze? — zapytała zdziwiona Elza, czesząc swe miedziane włosy przed małym hotelowym lustrem nad komodą.

Georg, zaskoczony, patrzył na nią wielkimi oczami. Czuł się dotknięty jej zwrotem "chłopcze", którego nigdy nie mógł ścierpieć, jak też z powodu odrzucenia przez nią jego męskiej oferty, którą kobiety w podobnej sytuacji winny poczytywać sobie za szczęście. Jak zwykle wykazała swą wyższość nad nim, wyśliznęła mu się z rąk.

Z ulicy dochodził tupot maszerujących żołnierzy. Rozlegały się nawoływania i gwizdy odjeżdżających pociągów.

Część druga

Dwa czteropiętrowe domy, które pan Joachim Holbek posiadał w Berlinie, w dzielnicy Tiergarten, były solidne, ciężkie, ozdobione wieloma rzeźbionymi balkonami, kolumnami, wieżyczkami, gzymsami, ornamentami. Ich mury były grube, okna duże, na sufitach bogata sztukateria, schody marmurowe, obszerne, nad oknami, balkonami i bramami widniały tłuste aniołki o grubych nóżkach. Ogromne okna wystawowe w sklepach lśniły, bramy wejściowe były podwójne, paradne dla państwa, boczne dla służących, posłańców i listonoszy. Wstęp dla żebraków, podwórzowych muzykantów i domokrążców był surowo wzbroniony, nawet przez boczne wejścia.

Podobnie jak pan Holbek solidnie zarządzał swymi domami, tak porządnie jego żona prowadziła swoje gospodarstwo. Wszystko w wielkim mieszkaniu było masywne — ciężkie rzeźbione meble, dywany i gobeliny, miedziane żyrandole, komplety szklanych naczyń, porcelana, ceramika. Nawet firanki w oknach były ciężkie i gęste, aby nie przepuszczać promieni słonecznych, które mogłyby uszkodzić meble i dywany.

Podobnie masywne były rymowane napisy na przedmiotach — gotyckie sentencje, pełne gospodarskiej mądrości i rozwagi. Wszędzie było ich pełno, wyszytych na ręcznikach, wyrytych na ceramice, drukowanych na szklankach i kuflach do piwa. Na starych ręcznikach, które pani Holbek posiadała jeszcze z czasów narzeczeństwa, wyszyta była maksyma, głosząca, że w godzinach porannych usta pełne są złotą, a od chleba i soli rumienią się policzki. Na nowych ręcznikach, które pani Holbek dawała do wyszywania swej córce Teresie, napis przypominał, że duża dziura charakteryzuje leniwą dziewczynę, że kto podsłuchuje za drzwiami, słyszy o swej własnej hańbie. Formułki na kieliszkach do wina były nieco bardziej swawolne, mówiły o winie, kobietach, śpiewie. Na aksamitnej poduszeczce, na której codziennie po obfitym obiedzie opierał głowę pan Holbek, wyhaftowany jedwabnymi nićmi napis przypominał: "Tylko jeden kwadrans". Nawet w toalecie, na obciągniętym dla wygody aksamitem sedesie rymowane hasło pouczało, jak ważna jest czystość.

Podobnie jak solidne były domy pana Holbeka, tak solidni byli ich

mieszkańcy, zasiedziali, zamożni, stateczni mieszczanie. Wyjątkiem był pan Maks Dreksler, właściciel apteki mieszczącej się na rogu jednego z domów Joachima Holbeka. Ten aptekarz, u którego wszystko lśniło czystością — binokle, czarne włosy i wąsiki, buty, pierścionki na palcach, spinki od mankietów, szpilka w krawacie, okna wystawowe jego apteki i wystawione w nich artykuły — był Żydem, jedynym Żydem wśród wszystkich mieszkańców domów Holbeków. Jak to często bywa, gdy pojedynczy Żyd znajduje się w środowisku nieżydowskim, Maks Dreksler lubił popisywać się dowcipami przed chrześcijańskimi sąsiadami. Ilekroć zachodził do mieszkania Joachima Holbeka, by zapłacić za czynsz lub prosić o jakąś naprawę w aptece, sypał dowcipami, przeważnie żydowskimi, w których niemal zawsze występowali pan Kohn i pan Lewi. I mimo że Maks Dreksler płacił czynsz regularnie i utrzymywał swój sklep w przesadnej czystości, tak, że nie można było wobec niego wysuwać żadnych pretensji, Joachim Holbek uważał go za niedostatecznie solidnego, raczej za wyjątek wśród pozostałych lokatorów. Wynikało to nie tyle stąd, że Dreksler był Żydem, lecz jeszcze bardziej z tego, że miał ostry język.

Czym jak czym, ale poczuciem humoru rodzina Holbeków się nie odznaczała.

Joachim Holbek, dobroduszny, otyły, lubił nawet czasem się pośmiać i chętnie przysłuchiwał się anegdotom Drekslera. Gdy po dużym skupieniu zrozumiał dowcip, śmiał się głośno, nieraz do łez, które spływały z jego wypłowiałych, wodnistych oczu. Przeważnie

jednak nie rozumiał kawałów. W punkcie kulminacyjnym, kiedy Dreksler zatrzymywał się, oczekując wybuchu śmiechu słuchającego, Joachim Holbek wytrzeszczał swoje wypukłe, pełne tępej bezradności oczy, co przydawało mu głębokiej powagi sytej krowy.

— Tak, tak, tak to już bywa w życiu, panie Dreksler — mówił filozoficznie, aby się wywinąć z przykrew sytuacji.

Mniejszym powodzeniem cieszyły się dowcipy Drekslera u pani Holbek, damy o gładko uczesanych włosach, krótkonosej, z zawieszonymi na tasiemce binoklami, co przydawało jej wiele powagi i dostojęstwa. Nie próbowała nawet przysłuchiwać się anegdotom aptekarza. Tęga, obarczona prowadzeniem dużego domu i wychowywaniem dzieci, pracowita, zajęta zawsze naprawianiem pończoch i bielizny, była niezwykle poważna, daleka od czezej gadaniny i dowcipów. Nawet gdy mąż zabierał ją czasem do teatru, nawiasem mówiąc bardzo rzadko, zadowalały ją wyłącznie bardzo sentymentalne dramaty oraz język wykwintnie rymowany i nie zawsze dla niej zrozumiały. Komédie uważała za stratę czasu, za coś jej narzuconego, co musi tolerować. Mimo że starała się być uprzejma wobec pana Drekslera, jak przystało na dobrze wychowaną kobietę, nigdy się nie uśmiechnęła, słuchając jego dowcipów. Zajęta kłębkami wełny, kiwała tylko głową i mruzczała na odczepnego "tak". Życzyła sobie, aby wystrojony Żyd jak najprędzej sobie poszedł.

Pani Holbek nie miała nic przeciwko Żydom, często robiła zakupy w żydowskich domach towarowych, gdzie było taniej. Gdy

zachorowało jej dziecko, a lekarz domowy nic mógł sobie dać rady, wzywała żydowskiego profesora, sądząc — jak większość ludzi w mieście — że Żydzi są wielkimi znawcami w dziedzinie medycyny. Podobnie postępował Joachim Holbek, który deponował swoje pieniądze w żydowskich bankach i kupował tam solidne papiery wartościowe. A jednak małżeństwo to odczuwało obcość wobec Żydów, zaliczało ich do kategorii ludzi niesolidnych, jak na przykład aktorów, których się podziwiała, ale należy się od nich trzymać z daleka.

Pani Holbek żywiła ponadto pewną urazę do Maksa Drekslera z powodu jego apteki. Jak opowiadały jej sąsiadki, w tej wysterylizowanej aptece mieszczącej się w jej domu sprzedawano nie tylko okulary i termometry, lecz również przedmioty zakazane, używane przez młode pary w celu zapobieżenia narodzinom dzieci. Pani Holbek, jak każda matka, która rodziła i której dzieci umierały, czuła nienawiść do kobiet uchylających się od kobiecego obowiązku i cierpienia, i dlatego podejrzliwie odnosiła się do tego wyelegantowanego aptekarza, który, jak opowiadano, takie grzeszne rzeczy sprzedawał. Ponadto w lśniącym czystością oknie wystawowym apteki wystawiona była woskowa figurka nagiej kobiety, która miała jedynie okulary na oczach, na nogach gumowe pończochy, na piersiach biustonosz i pas do podtrzymywania obwisłego brzucha. Ilekroć pani Holbek przechodziła obok apteki i widziała w oknie tę figurkę, czuła się zażenowana. Postać z wosku przypominała o jej własnym ciele, zdeformowanym przez upływający

czas i porody. Jednocześnie ogarniało ją uczucie wstydu i gniewu. Nie mogła pojąć, dlaczego policja zezwala na wystawianie takich gorszących figur. Z tych wszystkich względów pani Holbek nie była rada, gdy aptekarz siedział w jej mieszkaniu dłużej, niż było potrzeba. Lecz najgorsze, z jej punktu widzenia, było to, że opowiadał dowcipy. Zarówno ona, jak i jej mąż, czuli się nieraz niezręcznie i głupkowato z powodu swej ociężałości i nieruchawości przy tym żwawym, wypucowanym aptekarzu, który szybko opowiadał swoje złośliwe historyjki. Nie zawsze jego anegdoty dotyczyły panów Kohna i Lewiego, nieraz również Kohna i Schmidta. I mimo że czasem pan Kohn nie był w nich ukazywany od swej najlepszej strony, to pan Schmidt zawsze wychodził na głupca. Holbekowie, wyśmiani, czuli się niezręcznie, byli nawet nieco niespokojni. Oddychali lżej, gdy Dreksler wychodził.

— Och, ten Dreksler — mruzczała pani Holbek, gdy była już pewna, że aptekarz znajduje się za drzwiami.

— Och, ten Dreksler — wtórował jej mąż i zapalał wygaszone cygaro.

Jakim jest Dreksler, nie dopowiadali ani pan Holbek, ani pani Holbek, lecz rozumieli się i byli radzi, że zostali sami — ona z kłębkim wełny, on z gazetą, w której zgłębiał wydrukowane petitem notowania giełdowe. Buldog leżący u nóg pani Holbek, ociężały i krótkonosy jak jego pani, był tłusty, cichy i dobrze wychowany. Nie śmiał się bawić kłębkim wełny, który spadał na dywan, mimo wielkiej na to ochoty. Pan Holbek i jego żona rozkoszowali się sytym

spokojem. Tchnęły nim masywne meble, ciężkie mury, szczelnie zasłonięte okna, przez które nie mógł przeniknąć uliczny hałas, zamknięte bramy, przez które nikt obcy i niepożądany nie mógł się przedostać. Żaden niepokój, przestępstwo czy epidemia nie miały dostępu do solidnych ścian wielkich domów Holbeków w dzielnicy Tiergarten.

Wojna rozbiła te mury.

Przede wszystkim Hugo Holbek, jedyny syn, wyruszył na front zachodni, następnie pani Holbek przestała podawać krem do kawy, jak to zwykła zawsze czynić. Potem przestano codziennie gotować mięso na obiad. Podawano je co drugi dzień. Z biegiem czasu kolorowe, porcelanowe talerze stawały się coraz większe, a porcje mięsa na nich coraz to mniejsze. Kawę pito marną, a nędzny chleb na kartki podczas śniadania smarowano nie masłem, lecz kiepską marmoladą. Im mniejsze pojawiały się porcje na talerzach, tym większe były obligacje pożyczek wojennych, które pan Holbek musiał wykupywać.

Następnie lokatorzy, nawet miesiącami zaczęli zwlekać z płaceniem komornego. Ubierając się z rana Joachim Holbek z każdym dniem stwierdzał, że jego brzuch staje się mniejszy, a kamizelka się poszerza, więc coraz ciaśniej ją zapinał. Córka Teresa, coraz bledsza i mizer- niejsza, zamiast haftować i robić na drutach, jak przystoi młodej dziewczynie z mieszczańskiej rodziny, zaczęła uczęszczać do szkoły pielęgniarskiej, by móc podjąć pracę w szpitalu wojskowym. W końcu nastąpiła klęska

na froncie, a w kraju wojna domowa. W bogatej dzielnicy Tiergarten pojawili się nowi ludzie, jakich w tej okolicy nigdy nie widziano. Z przedmieść, z położonej w północnej części miasta dzielnicy Neukölln, przybyli źle odziani, krzyczący ludzie z czerwonymi sztandarami i hałasowali tak, że ich głosy przedarły się przez grube mury i ciężkie zasłony holbekowskich domów. Wraz z krzykami i czerwonymi sztandarami przywlekli ze swych biednych ulic epidemie — dyfteryt, tyfus plamisty, dezynterię. Najbardziej atakowała jednak docierająca stamtąd powojenna choroba, hiszpanka, która przerwała wszystkie szczelne wejścia — paradne i boczne. Pierwszy jej ofiarą padł gospodarz, Joachim Holbek. Choroba zmogła go w ciągu trzech dni, mimo że córka Teresa ani na chwilę nie odstępowała od jego łóżka.

Gdy minęły dni żałoby, wdowa Holbek zebrała wszystkie rachunki, księgi rachunkowe, papiery wartościowe, obligacje pożyczek wojennych, weksle — wszystko, co pozostało po jej mężu i przekazała jednemu mężczyźnie w rodzinie — spadkobiercy Hugonowi, który wrócił z frontu zachodniego. Lecz on zgoła nie wiedział, co z tym robić. Wysoki, wyrośnięty, blady, bardzo jasny blondyn w żółtych butach z wysokimi cholewami, w szerokich w biodrach i bardzo dopasowanych w kolanach bryczesach, w oficerskiej kurtce z odznaczeniem w klapie i jasnymi śladami na ramionach po epoletach zdartych przez żołnierzy z jego oddziału — nie miał porucznik Hugo Holbek pojęcia o domach, papierach, wekslach i rachunkach. Jedynym zajęciem, którego się wyuczył i

które uprawiał, było rzemiosło wojenne. Teraz ono ustało i Hugo Holbek nie wiedział, co ma ze sobą począć. Nie chciał wychodzić z domu, gdyż na ulicy szumieli i huczeli rozwydrzeni żołnierze i pospólstwo. Spędzał całe dni w domu. Siedział na niskim fotelu, wyciągnąwszy długie nogi i palił papierosy jednego za drugim, gwizdał i bawił się | psem, który mu towarzyszył na wojnie od samego początku. Gdy Hugonowi przykrzyła się zabawa z psem, często ziewał głośno z nudów, czyścił rewolwer albo lornetę polową — jedyne, co mu, poza bólem w nodze na skutek zadawnionego przeziębienia, pozostało po kilku latach wojny. Wdowa Holbek od czasu do czasu przerywała jego pełne nudy próżniactwo.

— Hugo, trzeba sprzedać papiery wartościowe, ich cena wciąż spada.

— Tak? — odpowiadał rozleniwiony Hugo i nadal siedział z wyciągniętymi długimi nogami.

— Hugo, trzeba upomnieć się o pieniądze u lokatorów. Nikt nie płaci.

— Tak?

— Hugo, drożyzna coraz większa. Nie można nic dostać w mieście.

— Tak?

Widząc, że jedyny w domu mężczyzna jest ślepy i głuchy na wszystko, Teresa Holbek zaczęła szukać pracy. Przygotowana przez matkę, która wpoila jej wszystkie przymioty i cnoty mieszczańskiej córki na wydaniu, posiadając świadectwo ukończenia liceum,

umiejętność wyszywania, robienia na drutach, cerowania, wyszkolona we wszystkim, co przystoi i jest niezbędne dobrze wychowanej córce, panna Holbek podjęła pracę pielęgniarki w klinice ginekologicznej profesora Halewiego na Kaiserallee.

Gdy jej brat Hugo usłyszał o tym od matki, nie poprzestał na odpowiedzi "tak"?, jak zwykle, lecz dodał jeszcze ordynarne, grubiańskie słówko, żołnierską obelgę pod adresem przeklętych położnic, którym Teresa Holbek będzie musiała podawać baseny.

Pani Holbek poczerwieniała słysząc ordynarne wyrazy.

— Hugo, jak ci nie wstyd wobec matki?

Hugo oglądał żółte sztylpy na swoich długich nogach, jakby je widział po raz pierwszy. Mimo że czuł się obrażony decyzją Teresy, zarówno dlatego, że będzie usługiwała położnicom, jak też że będzie zatrudniona u profesora Zyda, nic już więcej nie powiedział i nadal siedział znudzony, blady, zarośnięty i leniwy. Pies lizał jego sztylpy, z których nie wywierał jeszcze zapach prochu i krwi.

Georg Karnowski powrócił z frontu wschodniego w randze kapitana jako lekarz pułku oraz z odznaczeniem w klapie munduru za służbę frontową. Lecz po zdemobilizowaniu nie nosił swego oficerskiego munduru ani przez jeden dzień. Fryzjer miał wielką ochotę ostrzyć mu włosy zgodnie z ówczesną modą, jak czynili powracający z frontu. Georg polecił mu strzyżenie normalne, zdjął nawet wojskowe buty, których zapach niósł wspomnienie pola bitwy, zgnilizny i śmierci.

Nie chodziło o to, że Georg Karnowski nie mógł ścierpieć zapachu

krwi jak w czasach studenckich. W ciągu kilku lat pracy na polach bitewnych, w punktach opatrunkowych, lazaretach, szpitalach polowych płał się we krwi i zgniliznie, wdychał zapach śmierci. Jego śniade, żylaste i obrośnięte pęczkami czarnych włosów ręce amputowały wiele żołnierskich nóg, rozkrawały brzuchy, nurzały się w ropie i w ranach. Jego uszy słyszały lamenty, powstrzymywane jęki, przekleństwa operowanych bez użycia środków znieczulających, rżenie konających. Jego czarne, płomienne oczy widziały okrucieństwa, strach, nadzieję, rozpacz, a przede wszystkim śmierć. Nie odczuwał już, jak dawniej fizycznej słabości wobec zgnilizny i śmierci, lecz wzmagający się z każdym dniem wstręt. Chciał jak najprędzej uwolnić się od oparów wojny, zetrzeć z siebie wszelki ślad pola bitwy i wojska. Dlatego też nie chciał rozmawiać z rodzicami o wojnie.

Natomiast Lea właśnie chciała wiedzieć wszystko, znać każdy szczegół z pobytu jej jedyne go syna na froncie. Całując jego ogorzałą, opaloną na słońcu, wysmaganą przez wiatry twarz, głaszcząc jego rozrośnięte męskie ręce, wpatrując się w niego wciąż od nowa, jakby nie wierzyła własnym oczom, że go widzi, wpadała w coraz gwałtowniejsze macierzyńskie uniesienie i mówiła do niego jak do dziecka — jak niegdyś, gdy podnosiła go na rękach, aby przed snem ucałował mezuzę.

— Dziecko moje, skarbie, Moszele — nazywała go domowym imieniem, aby czuć rzeczywisty smak swych matczyńskich pieszczot

— opowiedz wszystko swej mamie, jak żyłeś.

Dawid Karnowski chciał rozmawiać o polach bitewnych. Znając wszystkie trasy ruchów wojsk, które często studiował, i strategię wojenną, miał ochotę zademonstrować synowi, który wrócił z frontu, że on, jego ojciec, mimo że przebywał w domu, obeznany jest ze wszystkim, co się wydarzyło na froncie, nie gorzej od doświadczonego wojskowego. Georg unikał rozmów zarówno z matką, jak i z ojcem.

— Zapomnieć, pragnę jedynie zapomnieć — odpowiadał. — Po co mówić o tym?

Dawid Karnowski był zawiedziony.

Jeszcze bardziej od ojca rozczarowana była siostra Georga, Rebeka. W ciągu tych kilku lat, kiedy Georga nie było w domu wyrosła i rozkwitła, choć skąpo było z żywnością. Wysoka, fizycznie rozwinięta, chociaż nie ukończyła jeszcze piętnastu lat, z utęsknieniem oczekiwała dnia powrotu Georga. Nieustannie przechwalała się wobec dziewcząt w liceum swoim bratem i miała nadzieję, że owego wielkiego dnia, gdy powróci, pokaże się z nią w całej swej oficerskiej okazałości.

— Georg, najdroższy, nie zdejmuj munduru — prosiła całując go — tak ci w nim dobrze.

— Nie chcę więcej nosić tego świństwa, śliczne dziecko — odpowiadał Georg, głaszcząc grube, czarne warkocze siostry.

Rebeka, ze łzami w swych wielkich czarnych oczach, wyrwała warkocze z rąk brata. Nie mogła słuchać, jak określa "świństwem"

mundur oficerski, ani też ścierpieć, że nazywa ją dzieckiem. Miała już dość tego, że matka uważa ją za dziecko i nie chciała, by podobnie traktował ją brat, o którym marzyła, że ubrany w mundur będzie z nią spacerował po ulicach, aby ludzie sądzili, że jest jej umiłowanym. Nawet uznanie brata dla jej urody nie mogło złagodzić gorzkiego rozczarowania, tym bardziej, że nie uważała się za ładną.

Przy ciemnej, śniadej cerze, wielkich, czarnych, płomiennych oczach, niezupełnie równych, lecz mocnych zębach przeblaskujących zza pełnych, czerwonych warg, przy kruczoczarnych, wpadających aż w błękit włosach, rosła i wczesnie rozwinięta kobieco Rebeka miała zbyt wydatny nos, nos Karnowskich. Mężczyznom z rodu przydawały one męskości, lecz kobietom ujmowały delikatności. Ten wydatny, zarysowujący się wyraziście nos na pierwszy rzut oka przesłaniał płomienne oczy, śniade policzki, niebieskawą czerń włosów Rebeki. Trzeba było przywyknąć do jej widoku, aby dostrzec pozostałe przyimoty. Rebeka bardzo cierpiała z tego powodu.

— Mamo, dlaczego nie dałaś mi twego wyglądu — czyniła wyrzuty swej matce, przeglądając się w lustrze. Leę bolało to dziewczęce utyskiwanie. Kochając swego męża, którego uważała za najpiękniejszego mężczyznę, była dumna, że dzieci są do niego podobne.

— Powinnaś być szczęśliwa, że jesteś podobna do ojca, niemądre dziecko, z brunatną cerą, czarnymi oczami i wdziękiem.

Rebeka nie chciała być śniadoskóra w mieście, w którym wszyscy

mieli jasną cerę. Ilekroć jeździła tramwajem lub metrem, nie lubiła być obserwowana jako odróżniająca się od innych. Denerwowała się, gdy koleżanki w szkole nazywały ją Cyganką. Nie wierzyła Georgowi, kiedy nazywał ją pięknym dzieckiem.

Gniewała się, że nie chciał spacerować z nią w swej oficerskiej okazałości. Nie miała się czym pochwalić przed szkolnymi koleżankami, które dumnie przechadzały się ze swoimi braćmi i przyjaciółmi.

— Jesteś zły i nienawidzę cię za to — mówiła niby żartobliwie, lecz naprawdę tak myślała.

Georg ze zdumieniem patrzył na swą siostrę, która w ciągu tych kilku lat wyrosła z dziecka na kobietę ze wszystkimi właściwymi niewieście odczuciami i kapry-
sami. Potem wyszedł z domu z zamiarem udania się do Neukölln, północnej części miasta, gdzie jego ojciec posiadał dom.

W mieszkaniu dr. Landaua nie zaszła żadna zmiana, jakby na świecie nic się nie wydarzyło. W przedpokoju na długiej ławie siedzieli pacjenci, matki z dziećmi i starsi mężczyźni. Stara Johanna, krzątając się jak zwykle w kuchni, rozmawiała z kobietami o chorobach i lekach. Wydawało się, że ludzie kontynuują wciąż te same rozmowy od czasu, gdy on, Georg Karnowski, przyszedł się pożegnać przed udaniem na front. Lekko uchylił drzwi gabinetu. Dr Landau w starym białym fartuchu, tym samym, który nosił przed wojną, z tymi samymi łatami na łokciach, wkładał tamponik do gardła płaczącej dziewczynki. Jedyne jego broda była mniej ruda, a bardziej

siwa.

— Nie płakać, głupia gąsko — mówił jak zwykle. — Nie płakać, nie płakać.

Karnowski wszedł cicho i ostrożnie. Dr Landau spojrzął i poznał go. Nie przerwał swej pracy, lecz uśmiechnął się szeroko i nadal energicznie pędził gardło dziecka. Dopiero, gdy odrzucił tampon i umył ręce nad umywalką w kącie gabinetu, ociągając się zwrócił twarz w stronę gościa.

— Bardzo jestem rad widząc pana, panie Karnowski, bardzo, bardzo, bardzo — mruzczał — ale pacjenci są najważniejsi, pełnia sezonu w Neukölln, dyfteryt, grypa.

— Chciałem tylko przywitać pana, doktorze — usprawiedliwiał się Karnowski. — Czy panna Elza jest w laboratorium? Chciałbym ją zobaczyć.

— Elzę można teraz spotkać wszędzie, lecz nie w laboratorium — odpowiedział dr Landau ze smutkiem, wycierając ręce — na zebraniach, demonstracjach ulicznych, lecz nie w gabinecie, gdzie jest mi najbardziej potrzebna.

Georg poczuł się rozczarowany. Jadąc tu myślał o niej bez przerwy. Snuł różne plany, wyobrażał sobie, jak wejdzie nieoczekiwanie do niej, zaskoczy ją, dlatego właśnie nie dał znać wcześniej, że przybywa. Odczuł pustkę w sercu po słowach dr. Landaua.

— Wobec tego nie będę przeszkadzał, panie doktorze — powiedział cicho. — Na razie sobie pójdę.

—Nonsens — odburknął dr Landau — niech pan raczej umyje ręce, załóż fartuch i pomoże mi w pracy. Skończę szybciej, a tymczasem porozmawiamy.

Opukując nagie plecy kobiece, pędzłując dziecięce gardła i wstrzykując chorym surowicę, dr Landau wypytywał Karnowskiego o wszystko, co się wydarzyło od czasu, gdy się widzieli po raz ostami.

— Jak tam było na polu walki, chwały i bohaterstwa, doktorze-rębaczu mięsa? — pytał.

Sądził, że Karnowski się obrazi i gotów był rozpocząć z nim wielką dyskusję na temat wojny, jak to zwykł czynić od pierwszego dnia jej wybuchu, lecz Georg się nie obruszył.

— Miał pan słuszość, doktorze — powiedział.

— Front był jatką, a my byliśmy rzeźnikami. Nie ma co opowiadać.

Dr Landau porzucił swój żartobliwy ton i spojrzał spoza swych grubych okularów na Karnowskiego z sympatią. Zamiast ironizować przeszedł do istotnych tematów. Co zamierza począć młody lekarz w obecnym Berlinie? Szukać pracy w szpitalu? Założyć gabinet w zachodnim Berlinie? Czy też zostać specjalista zgodnie z obecną modą?

Słowo "specjalista" wymówił z szyderstwem, nie lubił specjalistów. Badając chore gardło pacjenta, Karnowski odpowiedział, że najchętniej poświęciłby się chirurgii.

— Wojna dała mi rozległą praktykę — powiedział

— więcej niżbym osiągnął w ciągu dziesiątków lat szpitalnej praktyki.

Dr Landau dmuchnął gniewnie w swe wąsy.

— Wszyscy chcą tylko krajać, krajać — burczał.

— Dlaczego młody człowiek nie miałby się raczej zająć
położnictwem.

Zaskoczony Karnowski spoglądał na dr. Landaua, który badając
wzdęty brzuch kobiety, wyjaśnił, co ma na myśli.

wd — Teraz, po rzezi, trzeba rodzić, rodzić, rodzić

— burczał — pomagać w przychodzeniu na świat nowych
pokolei. Siał po żniwach, siał.

Karnowski milczał. Dr Landau uśmiechał się jak dziecko.

— Jako lekarz najbardziej lubię pomagać w rodzeniu

— mówił z powagą w głosie. — Narodziny to wielka radość. W
nocy, gdy mnie budzą do rodzącej, biegnę ochoczo.

Wieczorem wróciła Elza i kiedy zobaczyła Georga, zarumieniła
się. On zbladł. Chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Dr Landau
rozniewał się.

— Wstydzicie się mnie, głuptasy? — Uściskajcie się wreszcie.

Padli sobie w objęcia. Puścili się i znów do siebie przywarli.

— A teraz jeść — zalecił doktor — jeść, jeść, jeść. Stara Johanna
wniosła skąpą kolację złożoną z marnych jarzyn i dużej karafki wody.
Już nie sprzeczała się z dr. Landauem z powodu jego dziwnego
niejedzenia mięsa. W ciężkich czasach powojennych nikt nie jadał
mięsa. Doktor z dużym apetytem zajadał kiepskie jarzyny, głośno
mlaskając popijał je wodą i nie przestawał mówić. Elza próbowała go
powstrzymać.

— Papo, pozwól opowiadać Georgowi, on jest bohaterem

wojennym, nie ty.

■— Głupia jesteś, jak wszystkie baby — ofuknął ją dr Landau. — Uwielbiacie jedynie wojnę i bohaterstwo. To przez was, głupie gęsi, dochodzi do wszystkich wojen. To przez wasz zachwyty i uwielbienie idioci przelewają krew. Elza się śmiała.

— Co ty pleciesz, papo — mówiła. — Wiesz, że nie imponują mi żadne mundury.

— A — dr Landau nie ustępował — czerwone sztandary, zgromadzenia uliczne, aplauzy i cała ta bzduma reszta?

Oszołomiony Karnowski przysłuchiwał się dr. Landauowi.

— Pan już nie rozumuje jak towarzysz? — zapytał.

— Wojna nauczyła mnie rozumu — powiedział dr Landau. — Oni nie są lepsi od cesarskich sługusów i lokajów. Wszyscy głosowali za budżetami wojennymi i nie mam z nimi więcej nic wspólnego. Pozostała mi jedynie moja medycyna, moja stara, dobra medycyna.

Gdy Johanna wniosła kompot z kwaśnych borówek, dr Landau ożywił się. Zawsze była to jego ulubiona potrawa, jeszcze za życia żony, która mu ją przyrządzała. Wspomnienie to wywołało w nim tęsknotę i wzbudziło ojcowskie uczucia. Gdy oblizywał wąsy z kwasu, przyszło mu na myśl, że byłoby dobrze, gdyby młody lekarz, który siedzi teraz przy stole, pozostał w tym domu. Początkowo myśl ta podyktowana była wyłącznie pobudkami profesjonalnymi.

W trudnych powojennych latach sam nie może sobie poradzić z nawałem chorych. Wydaje się, że dr Karnowski wyrobił się na wojnie, gdzie miał dużą praktykę. Elza jest również dobrą lekarką.

Gdyby oboje wzięli się do pracy, pokazaliby dzielnicy Neukölln, co potrafią. Od czysto zawodowych rozważań dr Landau przeszedł powoli do ojcowskiej troski o przyszłość córki. Dr Karnowski kocha Elzę. Ślepy by to dostrzegł. Jest zdrowym, pięknym mężczyzną, a przy tym niegłupim. Elza również mu sprzyja. Dr Landau wie o tym i nie widzi powodu, dla którego Georg Karnowski nie miałby pozostać w rodzinie. To ojcowskie uczucie rozgrzało dr. Landaua do tego stopnia, że gotów był powiedzieć młodemu, co w tej materii myśli i niech będą szczęśliwi. Lecz zaraz zawstydził się swych mieszczańskich ojcowskich uczuć i szukania dróg zabezpieczenia przyszłości córce. Co za nonsens, aby on, dr Landau, zajmował się swataniem i wtrącał w sprawy młodych ludzi. Zły na samego siebie, że taka mieszczańsko-ojcowska myśl mogła mu powstać w głowie, zerwał się prędko od stołu, wziął grubą laskę do ręki i z gołą głową zamierzał wyjść na spacer. Zwykł przechadzać się o każdej porze i w każdą pogodę. Elza zaczęła opowiadać o swych przemówieniach na I zgrupowaniach publicznych. Dr Landau nie chciał tego | słuchać.

— Tu jest twoje miejsce, głupia gęś — krzyczał — w gabinecie, w laboratorium. Zostaw politykę krzykaczom partyjnym, którzy nic innego nie potrafią.

Elza chciała mu oczyścić brodę z resztek jedzenia. Nie pozwolił jej na to i z hałasem wyszedł z pokoju.

— To moja broda, moja, moja, nie twoja! — krzyczał wzburzony.

Gdy tylko zamknął drzwi za sobą, Karnowski przypadł do Elzy.

— Jak ja tęskniłem za tobą, rudzielcu — szeptał, gorąco całując jej

miedziane włosy, które płonęły przy świetle lampy. — Teraz znów będziemy razem, zawsze razem. Jeszcze dziś porozmawiam z twoim starym.

— Nie, najdroższy — broniła się Elza, chwytając go za rękę. — Nie rób tego, drogi.

Georg gwałtownie się od niej odsunął, jakby ugodzony nagłym ciosem.

— Masz kogoś innego? — pytał, patrząc jej surowo w oczy.

— Co ci do głowy przychodzi, kochany? — powiedziała urażona.

Georg jej nie rozumiał. — Dlaczego więc — pytał — dlaczego? — Mam partię — powiedziała twardo. — Zabiera mi ona wszystko, nic nie pozostawia dla mnie, rozumiesz, nic.

Georg nie chciał jej nawet słuchać. To, co mówiła, wydawało mu się bezsensownymi, panieńskimi kapryсами. Nie jest już studentem, aby pozwolić jej wodzić się za nos dziewczęcymi umizgami. Po tamtym zbliżeniu Elza należy do niego. Ma prawo do niej, jak każdy mężczyzna do kobiety, która mu się oddała i nie pozwoli jej zawracać sobie głowy partiami i innymi głupstwami. Pobiorą się, jak to czynią obecnie w kraju wszyscy zakochani, będą razem pracować, założą dom, a w niedzielę będą wędrować jak dawniej, a gdy się dorobią, będzie

Elza musiała na jakiś czas odłożyć na bok medycynę i urodzić dziecko.

Objął ją gwałtownie, z całym żarem kilkuletniej tęsknoty i uczucia. Była piękna. Jej policzki lekko się zarumieniły. Brązowe oczy

patrzyły na niego ciepło, jej gibkie ciało, zgoła nie zmienione w ciągu tych kilku lat, tchnęło kobiecością. Kryła się ona w każdym zgięciu, w każdej fałdzie jej sukni. Ogarnęło go pragnienie miłości i zawładnięcia nią.

— Moją będziesz — szeptał gorąco — tylko moją. Nie pozwolę ci do nikogo należeć... wyłącznie do mnie, słyszysz, wyłącznie do mnie.

Trzymał ją mocno w ramionach, jakby dla udowodnienia swej władzy i woli. Elzę na chwilę w jego ramionach dopadła kobieca słabość. Lecz wnet gorączkowo, z nieoczekiwaną siłą i zręcznością, wyrwała się z jego objęć.

— Nie! — krzychała władczo. Jej oczy wyrażały zdecydowanie i ironię. Georg stał jak skamieniały wobec jej kpiącego spojrzenia.

— Elzo, nie poznaję cię — powiedział zdumiony. — Czy zapomniałaś o dniu mojego odjazdu?

— Nie zapomniałam, Georg — powiedziała cicho, a jej oczy, twarde i ironiczne, znów jaśniały miękkością i ciepłem. — Pamiętam i nie żałuję. Lecz nie zobowiązuje to mnie do zamążpójścia i zostania gospodynią domową, jak tego ode mnie żądasz.

— Wtedy mówiłaś inaczej — przypomniał Georg noc swego odjazdu. — Czy możliwe, abyś nic z tego wszystkiego nie zachowała? Żadnego śladu miłości?

Oczy Elzy stały się jeszcze miększe. Oczywiście kocha go, pokochała od pierwszego dnia, kiedy się spotkali. Tęskniła za nim również, bardzo tęskniła. Lecz nie chce żyć pustym życiem żony i matki. W kraju, który rozpoczął nowe życie, trzeba dokonać wielkiej

pracy. Kierownictwo partii powierzyło jej ważne i odpowiedzialne zadanie, jakie rzadko powierza się kobiecie, wysunięto nawet jej kandydaturę do Reichstagu. Tak wielkich spraw nie może zaniechać dla osobistego szczęścia i zadowolenia.

Widząc, że uporem nie można u tej dziewczyny nic wskórać, Georg zaczął przemawiać do jej serca. Mówił

swej miłości, tęsknocie, o swoich o niej marzeniach w okopach. Przestał mówić o sobie i przeszedł do jej kaprysów. Nie chce się wtrącać do kobiecych spraw, choć uważa, że zawraca sobie głowę głupią polityką, co przystoi starej, brzydkiej dziewczynie, nie jej. Choć jest przekonany, że jedynym szczęściem kobiety jest małżeństwo

macierzyństwo, zezwoli jej na wszystko, na każdy kaprys, nie będzie przeszkadzał w jej pracach, gdyż jest pewien, że sama prędzej czy później dojdzie do rozumu. Daje jej słowo, że będzie mogła robić wszystko, co zechce, byle tylko była razem z nim.

Elza nie chciała ustąpić. Ona zna mężczyzn, ich chęć panowania i dominacji nad kobietą. Georga zaś zna bardziej od innych. Potrzebna mu jest kobieta, która w stu procentach byłaby żoną, niewolnicą i matką jego dzieci. Setki innych dziewcząt będą szczęśliwe, jeżeli to osiągną, ale nie ona. Właśnie dlatego nigdy nie wyjdzie za mąż. Georg musi ją zrozumieć. Nie przychodzi jej to łatwo, gdyż kocha go, nawet bardzo.

Karnowski nie chciał jej słuchać.

— Kłamiesz — przerwał jej wywód. — Nigdy nie zaznałaś miłości

i jej nie zaznasz. Dawniej przedmiotem twej miłości były bakterie, teraz zaś demonstracje uliczne.

Elza przybrała ton kokieteryjny. Dopadłszy do Georga, całowała go, targała za czuprynę.

— Kochany, śmieszny, zagniewany chłopcze — mówiła jak do dziecka. — Nie spuszczaaj nosa, Bubi.

Georg odepchnął ją brutalnie.

— Nie jestem twoim chłopcem i tych bredni nie chcę słuchać! — krzyczał obrażony.

Podobnie jak w pierwszych studenckich latach czuł się poniżony, mizerny i mało wartościowy przy tej rudej, pięknej kobiecie, która go uwiodła, kiedy chciała, i kiedy chciała porzuciła. Myśl, że go odepchnęła po tym, gdy

tso

należała do niego, urażała jego męską dumę. W latach młodości on był tym, który w takich przypadkach oddalał partnerkę. Kobiety zebrały o jego miłość, groziły, płakały, były uległe. Teraz role się odmięniły. Georg zgorzkniał, czuł się poniżony.

— Pamiętaj, będziesz żałowała, ale będzie już za późno, towarzyszeko deputowana! — powiedział rozgniewany i gwałtownie wypadł z pokoju.

Na progu zetknął się z dr. Landauern, który powracał z przechadzki. Georg zaczął się jąkać, starał się ukryć swoje zdenerwowanie i wzburzenie. Dr Landau uśmiechnął się.

— Stara historia, która zawsze jest nowa — żartował tak, jak

człowiek starszy i mądrzejszy wyśmiewający dziecinne głupstwa i troski. || Nie warto się z tego powodu denerwować, młody przyjacielu. Śmiać się, młody człowieku, śmiać się!

Georg zmuszał się do śmiechu.

[— Tak właśnie — powiedział dr Landau —. i niech pan posłucha mojej rady i zabiera się do położnictwa. Nie wszystkie kobiety są zwariowane, w większości wychodzą za mąż i rodzą.

Elza zrozumiała złośliwy docinek ojca i próbowała wszcząć dyskusję. Dr Landau nie chciał słuchać.

— Spać, głupia gęś! Spać, spać — powiedział. Potem objął Georga i trwał tak przez chwilę.

— Jeżeli chce pan, panie Karnowski, mogę dać panu list do profesora Halewiego, rekomendujący pana do jego kliniki ginekologicznej.

Georg był oszołomiony, usłyszawszy nazwisko wybitnego profesora.

— Do starego profesora Halewiego? — zapytał zdumiony.

— Jest moim bliskim przyjacielem — odparł dr Landau. — I mimo że jest specjalistą, jest wielkim lekarzem i do tego uczciwym człowiekiem. To u specjalistów rzadko się zdarza...

Po kilku niepomyślnych latach wojennych, kiedy kobiety mało rodziły, klinika ginekologiczna prof. Halewiego przy Kaiserallee znów była przepełniona. Mimo że czasy są ciężkie, bezrobocie duże, a pieniądź bezwartościowy, mężczyźni, którzy powrócili z frontu, żenią się. Żonaci prowadzą znów życie rodzinne. Małżeństwa mnożą

się i kobiety rodzą. Stara, od wielu lat dobrze zorganizowana klinika prof. Halewiego ma więcej pacjentek, niż pozostałe prywatne zakłady położnicze. Stary był również prof. Halewi. Jego duże wąsy, połączone z bokobrodami, jakie rzadko kto obecnie z wyjątkiem starych służących nosi, są bardzo siwe, przypominają pęczki białej waty. Jego zakrzywiony orli nos pokrywają brunatne i niebieskie żyłki. Jedyne jego czarne, głębokie oczy są jeszcze młode, błyszczące i wydają się obce w starej, pomarszczonej twarzy. Równie młode i silne są jego ręce. Profesor przeprowadza nimi najcięższe i najbardziej skomplikowane operacje. Jego pacjentkami są kobiety z arystokracji. W wielu rodzinach leczy trzy pokolenia: najpierw były to babki, następnie ich córki, potem, wnuczki. Najwybitniejsi ludzie w średnim wieku w mieście — uczeni, bankierzy, wysocy urzędnicy i wojskowi, a nawet znani mężowie stanu, których nazwiska są głośne w świecie — to "jego" dzieci, rodziły się w jego klinice, on odbierał porody.

W obszernym gabinecie profesora, z oknami wychodzącymi na ogródek, wisi wiele jego fotografii z lat młodości — odkąd rozpoczął praktykę, po późniejsze, kiedy stał się sławny i fotografował się wraz z innymi znakomitościami na różnych lekarskich kongresach. Wśród portretów profesora wiszą dwa osób mu najbliższych. Pierwszy — starszego pana o gęstych włosach i dużej brodzie, w jarmułce. To portret jego ojca, rabina z miasta położonego nad Renem. Drugi portret przedstawia młodego mężczyznę w okularach, z którego subtelną twarzą

nie licuje mundur kaprała. To ostatni portret najmłodszego syna profesora zanim zginął na froncie. Rama obrazu przybrana jest czarną krepą.

Upłynęły już trzy lata, odkąd siostra przełożona, panna Hilda, przybrała portret czarną krepą. Mimo to prof. Halewi nie przestaje nań rzucić okiem i za każdym razem odczuwa ból w sercu. Także i teraz, gdy pochłonięty jest przeglądaniem zdjęć rentgenowskich, spogląda chwilami na portret syna. Słyszając lekkie pukanie do drzwi, odwraca wzrok, jakby zrobił coś, czego należy się wstydzić.

— Panie profesorze, dr Karnowski się melduje — oznajmia siostra Hilda, zwracając się w prawą stronę twarzy profesora, gdyż wie, że nie dosłyszycie on na lewo ucho.

— Dr Karnowski? — pyta profesor Halewi. — Kto to jest?

— Pan profesor kazał mu przyjść — mówi siostra Hilda z uśmiechem, jakby chciała zatuszować fakt, że starzec ma złą pamięć. — Miał list od dr. Fritza Landaua.

— Od dr. Fritza Landaua — przypomina sobie prof. Halewi. — Tak, tak, jeżeli od Fritza, proszę go poprosić, panno Hildo, oczywiście.

Dr Karnowski trzaska obcasami, jak przywykł w wojsku wchodząc do starszego rangą. Lecz natychmiast sobie uświadamia, że ten rodzaj przywitania jest nie na miejscu wobec znakomitego profesora i kłania się dwukrotnie, jeden raz więcej niż powinien.

— Jestem dr Karnowski, panie profesorze — mówi cicho Georg.

— Proszę mówić do mego prawego ucha, młody kolego — mówi

profesor Halewi. — Na lewe nie dosłyszę.

Dr Karnowski rumieni się słysząc, że prof. Halewi, jakby dla żartu, nazywa go kolegą i przechodzi na prawą stronę starca, powtarzając poprzednie zdanie. Profesor Halewi kiwa głową.

— Co porabia dobry Fritz? — ■ pyta z uśmiechem. — Ciągłe jeszcze przebywa w północnym Berlinie i wyklóca się ze światem?

Dr Karnowski dzięki zażyłości z dr. Landauern czuje się swobodniej, co zbliża go do profesora. Opowiada

życiu dr. Landaua. Profesor Halewi serdecznie się śmieje, tak, że bokobrody oraz brązowe i niebieskie żyłki na jego orlim nosie trzęsą się.

— Dobry lekarz Fritz — chwali prof. Halewi. — Przed laty okazał się bardzo dobrym internistą, lecz jest nieco zwariowany, kłóci się ze światem.

Gdy dr Karnowski opowiedział, że wrócił z wojny, na której przebywał od początku do koilca, profesor Halewi rzuca niechęć okiem na przybrany czarną krepą portret

odczuwa ból w sercu. To, że wszyscy wrócili, tylko nie jego syn, rozdziera starą ranę. Od razu sobie uprzytamnia, że zazdrość, z punktu widzenia etyki, jest niegodna człowieka, zwłaszcza lekarza, i głębokim spojrzeniem swych czarnych oczu bada młodego człowieka.

— Co powoduje, że pragnie pan pracować w dziedzinie ginekologii, młodzieńcze? — pyta. — Czy interesuje się pan tym, czy też dlatego, że dr Landau mógł panu dać do mnie rekomendację?

Karnowski opowiada z uśmiechem, że dr Landau wyraził myśl, że

należy siać po żniwach. Profesor Halewi znów się śmieje.

— Stary, dobry Fritz — mruczy — mądry, lecz nieco zwariowany. Dobrze powiedziane: siać po żniwach... otóż to...

Dr Karnowski opowiada o swej rozległej chirurgicznej praktyce na froncie. Stary profesor kiwa głową.

— Tak, tak, lecz nie jestem zwolennikiem masowej produkcji, młodzieńcze, u mnie trzeba pracować powoli i dobrze... powoli i dobrze... Proszę przyjść jutro rano. Wydam odpowiednie polecenia.

Georg nie wierzy własnym uszom, że został przyjęty do kliniki profesora Halewego, o której marzą lekarze. Gorąco dziękuje, profesor Halewi podaje mu rękę, zadziwiająco mocną i twardą jak na jego wiek. Gdy dr Karnowski jest już przy drzwiach, profesor woła go.

— Jak pan się nazywa? Karnowski, zdaje mi się, — mruczy. — Przypomina mi się takie nazwisko w naszej berlińskiej gminie. Kim jest pana ojciec?

Dr Karnowski opowiada o swym ojcu, który przybył do Niemiec urzeczony Haskalą, choć mógł być rabinem w Polsce. Tu również studiuje Talmud i inne księgi, z których on, Georg, niewiele rozumie. Profesor Halewi słucha z zainteresowaniem.

— Cieszy mnie to — mówi uśmiechając się — gdyż również mój błogosławionej pamięci ojciec był rabinem i znawcą problematyki żydowskiej.

Z dumą pokazuje portret ojca w małej jarmułce na głowie. Nagle zwraca się ku przybranemu czarną krepą portretowi i mówi cicho:

— A to jest mój, błogosławionej pamięci, syn. Nazywał się Emanuel po moim, błogosławionej pamięci, ojcu... Poległ...

Dr Karnowski równie cicho odpowiada, że ciężko mu to słyszeć. Profesor Halewi uprzytamnia sobie, że niemądrze jest opowiadać młodemu obcemu lekarzowi

sprawach rodzinnych, które należą wyłącznie do niego z powodu tej słabości jest zły na siebie. "Stary głupiec, ramol" — wyrzuca sobie w myślach. Zirytowany, zaczyna też złościć się na obcego.

— No, do widzenia — mówi szybko.

Zaraz też dodaje złośliwie:

— Jest pan pięknym, zdrowym mężczyzną — żartuje. — Młode kobiety lubią, aby je badali przystojni ginekolodzy, a nie stare niedołęgi.

Dr Karnowski słysząc te słowa rumieni się jak chłopiec i, zawstydzony, wychodzi z gabinetu.

Elza Landau, jak przewidywała, została wybrana do Reichstagu. Odnosiła sukcesy.

Ponieważ była najmłodszą deputowaną, kobietą i do tego piękną, wszyscy reporterzy nadskakiwali jej, prawili w swych sprawozdaniach komplementy "pani doktor". Starali się wciągnąć ją do rozmów o problemach kobiecych, miłości, modzie, zrećnie jednak się od nich wymigiwała i skupiała na ważnych sprawach państwowych. Zdumiewała dziennikarzy swymi męskimi poglądami, dokładnymi informacjami, operowaniem danymi cyfrowymi.

Zadziwiła ich szczególnie swym pierwszym wystąpieniem w Reichstagu.

Jej miedzianoczerwone włosy płonęły w jaskrawym świetle. Smukła, młoda, stała na mównicy wielkiego gmachu wśród setek mężczyzn różnego wieku i pozycji, miotała płomienne oskarżenia przeciwko wszystkim, którzy nie chcą kierować państwem w myśl wskazań jej partii. Lewica oklaskiwała ją burzliwie. Na prawicy żartowano z niej, nie pozostawała dłużna. Zręcznie, jakby już od lat była przedstawicielką ludu, broniła się przed atakującymi, nawet najstarszymi i najbardziej doświadczonymi, replikując ostro.

Jak w latach studenckich, gdy w prosektorium zręcznie i ze znajomością rzeczy rozczłonkowała martwe ciała, tak obecnie rozkładała stary, martwy świat i wypruwała żyły z przeciwników i wrogów. W wolnym czasie przemawiała na zgromadzeniach masowych do robotników, żołnierzy, członków organizacji młodzieżowych. Jeździła również po kraju. Przyjmowano ją owacyjnie, ze sztandarami i muzyką. Neukölln było dumne ze swej towarzyszki — dr Landau. Spotykając rankami i wieczorami jej ojca biegnącego na spacer, mieszkańcy dzielnicy pozdrawiali go ciepło.

— Gratulujemy, panie doktorze, prasa znów wspominała pańską córkę.

— Nie należy się tak opatulać — upominał dr Landau mieszkańców Neukölln, aby się zbyt ciepło nie ubierali

— powietrze trzeba dopuszczać do ciała, powietrze, powietrze, powietrze...

Nie chciał słyszeć o sukcesach Elzy, o jej szumnych wystąpieniach. Nie poszedł też ani razu do Reichstagu, by wysłuchać jej przemówień.

— Idioci, jarmarczni krzykacze, pajace, puste łby
— oceniał dziennikarzy, którzy tworzą atmosferę sensacji wokół jego Elzy.

Opisy wystąpień Elzy i jej fotografie w prasie bardziej niż dr. Landaua irytowały Georga Karnowskiego. Nie było możliwości ukrycia się przed tymi fotografiami i przemówieniami. Miał je przed sobą z rana przy śniadaniu, gdy zaglądał do porannej gazety, w kioskach z czasopismami na ulicach i placach, przez które przechodził, w kawiarni, gdzie wypijał kawę, na wszystkich stołach i stolikach w obszernej izbie przyjęć kliniki profesora Halewiego. Gdziekolwiek był, wszędzie widział fotografię tej, która go tak brutalnie od siebie odtrąciła.

Początkowo usiłował o niej zapomnieć. Niech szumi i hałasuje, udziela wywiadów i zamieszcza w prasie fotografie w coraz to innej pozie. On ma swoją medycynę, pracę w klinice profesora Halewiego, co jest marzeniem lekarzy. Dowiedzie tej czerwonołosej zarozumiałej działaczce, że choć ona przewodziła w anatomii, on ją prześcignie w medycynie, tysiącrotnie ją przewyższy.

Istotnie, i wielką energią i zapałem rzucił się w wir pracy w klinice profesora Halewiego. Przychodził do pracy wcześniej, wychodził później od innych.

Kilkuletnia praktyka na froncie nie poszła na marne. Był tam

zmuszony dokonywać najcięższych operacji, w każdym przypadku podejmując szybkie decyzje, krajać w każdych warunkach, często nie usypiając operowanych, amputować na ziemi przy świetle księżyca, wykonywać nie tylko pracę lekarza, lecz również pielęgniarki, a nawet noszowego. Dlatego pracował obecnie w klinice profesora Halewiego nie jako młody lekarz, lecz jako

I stary praktyk. Pacjentki czuły jego doświadczoną rękę i odwdzięczały mu się uśmiechem sympatii, gdy podchodził do ich łóżek.- Pielęgniarki przyglądały się zdumione, jak szybko i umiejętnie bandażował rany, zmieniał opatrunki i wykonywał wszelkie inne prace, w których lekarze mężczyźni są zazwyczaj mniej zręczni od pielęgniarek. Sam profesor Halewi dostrzegł to.

— Pięknie, Karnowski, bardzo pięknie — chwalił go w obecności innych lekarzy.

Dr Karnowski czuł się bardzo zaszczycony, wywyższony i dumny pochwałami profesora i pracował jeszcze gorliwiej. Robił wszystko, by nie pamiętać o tej, która go tak upokorzyła. Lecz zapomnieć nie mógł, ani na chwilę.

Jakkolwiek by się starał nie czytać jej przemówień i artykułów, w których rozwijała swe poglądy, gdyż miał do czytania rzeczy ważniejsze — książki i czasopisma medyczne — nie mógł tego wymóc na sobie i jednak zaglądał do gazet. I wciąż na nowo odczuwał swe upokorzenie i nienawidził Elzy, lecz wraz z nienawiścią wzmagala się jego miłość do niej — miłość, która potęguje się będąc jednostronną i nie odwzajemnianą. Dla niego sukcesy

Elzy nie były śmieszne jak dla jej ojca, lecz bolesne. Stan, w jakim się znajdował, odbierał mu spokój, apetyt, nocą sen. Raz nawet udał się do Reichstagu w dniu, w którym Elza miała przemawiać. Szedł tam z ciekawości, chciał zobaczyć, jak ludzie zachwycają się dziewczyną, którą on kochał, i wyśmiać się z tego. Siedząc na zatłoczonej galerii wśród ciekawskich słuchaczy, nie słyszał ani jednego słowa z jej przemówienia. Nie interesowało go ono. Pamiętał tylko jedno — noc, którą z nim spędziła, zanim wyruszył na front. Mimo że upłynęło kilka lat, utkwiał mu w pamięci każdy szczegół, jej kobiecy wdzięk, miękkość. Rzucił okiem na ludzi wokoło i zachciało mu się z nich śmiać. Gdyby wiedzieli, że dziewczyna stojąca na mównicy, której wielu się przysłuchuje, była jego ukochaną, leżała w jego objęciach uległa i oddana! Strzeliła mu do głowy chłopięca myśl, dzika i przekorna, aby wobec wszystkich wykrzy-
czeć, że on, który siedzi na galerii przez nikogo nie zauważony, był kochankiem tej pani doktor. Wstrzymywał się usilnie, aby nie wykrzyczeć słów, które mu się wyrywały z gardła.

Dłuższą chwilę stał w kularach czekając, aż Elza wyjdzie, aby jeszcze raz porozmawiać z nią o tym, czym już tyle razy rozmawiał. Niech nie sądzi, że go zachwycają jej przemówienia, aplauzy i cały ten szum wokół niej. Dla niego jest ona Elzą, dawną Elzą, i on ma do niej prawo jak każdy mężczyzna do kobiety, z którą dzielił łożę. Nie jest chłopcem, którego może osiąść, kiedy chce, i kiedy chce, odrzucić. Jest mężczyzną, który obstaje przy swoim.

Lecz gdy zobaczył ją przechodzącą w otoczeniu deputowanych, którzy słuchali jej przemówienia, gdy zobaczył, jak ją obskakują dziennikarze, jak uganiają się za nią fotoreporterzy, jak przechodzi dumna, zarumieniona, rozjaśniona, rozmawiająca i śmiejąca się, ogarnęło go takie uczucie upokorzenia, że nawet nie chciał się jej pokazać w swym poniżeniu. Wiedział, że wszystko skończone i z jeszcze większą zaciętością i zapałem rzucił się w wir swej szpitalnej pracy.

' 'A! > jgl

Pielęgniarki próbowały uśmiechać się do niego, młodego i pięknego lekarza, zaglądały mu w oczy. Nie zauważał tego. Dziewczęta były urażone, jak tylko mogą być kobiety, gdy mężczyzna nie przyjmuje ich narzucania się. Dr. Karnowskiemu ich rozgoryczenie sprawiało przyjemność. Skoro nie mógł odegrać się na Elzie, skrupiało się to na przedstawicielkach jej płci. Obojętnie przechodził korytarzem szpitalnym między pielęgniarkami, które obserwowały każdy jego ruch, a nawet ustępowały mu z drogi. Był bardzo wymagający i surowy gdy asystowały mu przy pracy. Ich kobiece rozdrażnienie i zagubienie sprawiało mu przyjemność.

Bardziej zalękniona

zagubiona od innych pielęgniarek jest najmłodsza z nich, siostra Teresa Holbek, pochodząca z mieszczańskiej rodziny, która wskutek ciężkich czasów przystąpiła do pracy w zakładzie położniczym profesora Halewiego.

■

Już przy pierwszym ich zetknięciu — gdy dr Karnowski zaczął

pracować w szpitalu, a siostra Teresa założyła mu fartuch, wiążąc go na plecach bardzo załęczniona i zdenerwowana — Georg spojrział na nią ostro swymi czarnymi, przenikliwymi oczami. Teresa była wstydliva wobec nowo poznanych ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Jej bardzo jasna cera sprawiała, że przy każdej drobnostce na białych policzkach wykwitwały rumieńce. Zarumieniła się więc natychmiast pod przenikliwym męskim spojrzeniem dr. Karnowskiego. Pewna, że jego ostre oczy widzą jej zmieszanie, spłonęła się jeszcze bardziej, ogarnął ją wstyd. Tak się zdenerwowała, że kilka razy musiała wiązać taśmy na plecach lekarza. Dr Karnowski — szybki, niecierpliwy — wyraził swe niezadowolenie wzruszeniem ramionami. Siostra Teresa pod wpływem tego nerwowego ruchu stała się jeszcze bardziej niespokojna. Jej zdenerwowanie utrzymywało się nadal, gdy asystowała młodemu lekarzowi przy pracy. Zamiast podać mu płyn do zastrzyku dla chorej, podała mu eter. Dr Karnowski znów spojrział na nią czarnymi, przenikliwymi oczami.

— Morfina — powiedział ostro.

Siostra Teresa tak się zatrwożyła swoim błędem, że jeszcze bardziej się pogubiła i podała mu watę. Dr Karnowski przeniknął ją jeszcze surowszym wzrokiem.

— Nie eter, nie watę, lecz morfinę — powiedział niecierpliwie. — Morfinę.

Gdy skończyła pracę, weszła do pokoju pielęgniarek i rozplakała się. Nienawidziła młodego lekarza, który ją przyprawił o taki lęk.

Lecz nazajutrz zaniepokojona czekała, czy wezwie inną siostrę do

asystowania. Nie, nie zrobił tego. Przywitał się z nią i nawet przeprosił za wczorajsze zdenerwowanie.

— To jest front, moje drogie dziewczę — powiedział — nerwowość wojenna. I pani zapewne się tym nie przejęła.

— Oczywiście, że nie, panie doktorze — skłamała siostra Teresa i jeszcze bardziej się zarumieniła.

Od tego czasu siostra Teresa jest niespokojna. Zarówno wtedy, gdy inna siostra asystuje dr. Karnowskiemu, jak też wówczas, gdy sama — pełna obaw, zagubiona i uległa — z nim pracuje.

Pielęgniarki śmieją się z siostry Teresy. Z kobiecą zręcznością w wywąchiwaniu najbardziej intymnych spraw i stosunków między mężczyzną i kobietą, dociekają źródeł niepokoju Teresy przy zetknięciach z "nowym" doktorem i żartują z niej. Teresa zaprzecza, lecz nie umie kłamać. Każde jej uczucie, radość czy smutek, przygnębienie czy uniesienie, miłość czy wrogość natychmiast uwydatnia się na bardzo jasnej twarzy, w jej jasnoblękitnych oczach, jakie rzadko spotyka się nawet w kraju błękitnookich. Nie ma też ostrego języka, nie potrafi odciąć się drwiącym z niej pielęgniarkom.

Podobnie jak siostry, podśmiewa się z niej od czasu do czasu dr Karnowski, choć jest bardziej powściągliwy od pielęgniarek. Właśnie dlatego, że wie, iż siostra Teresa nie może wytrzymać jego wzroku, patrzy na nią swymi ostrymi, przenikliwymi oczami. Bawi go, gdy widzi, jak jej bardzo biała twarz płonie, co jeszcze bardziej uwydatnia się przy śnieżnej bieli jej szpitalnego stroju. Od czasu do czasu żartuje, traktuje ją jak uczennicę, pyta, czy już ma umiłowanego, czy

bardzo lubi czekoladę, i w którym słynnym aktorze jest zakochana.

Teresa jest urażona żartobliwym tonem lekarza. Chce mu powiedzieć, że choć jest pielęgniarką, czyta w wolnych godzinach poważne książki. Interesuje się też bardzo muzyką, a jeżeli chodzi do teatru, to nie po to, aby się zakochać w aktorach, lecz by zobaczyć poważną sztukę. Wiele innych rzeczy ma mu do powiedzenia, lecz nie ma odwagi odcinać się czarnookiemu mężczyźnie. I choć jego drwiące i żartobliwe słowa obrażają ją, chce ich, mimo wszystko, nadal wysłuchiwać. Pragnie słyszeć jego męski głos, widzieć jego ciemnoskórą twarz, czarne, płomienne oczy.

— Pan doktor żartuje ze mnie? — pyta nieśmiało, mimo że nie ma co do tego wątpliwości.

Dr Karnowski widzi jej zgięta dziewczęcą szyję. Cała postać pielęgniarki sprawia wrażenie pokornie oddanej niewolnicy. Czuje się, dzięki swej męskości, wywyższony.

— Jak to się dzieje, że ma pani tak niewinne, błękitne oczy w tak krwawych czasach, siostrzo Tereso? — pyta nagle.

Siostra Teresa płonie od białego czepka na wysokim czole do małego dekoltu swej smukłej, miękkiej, białej szyi. Gdyby się nagle rozwarł pod nią grób, pogrzebałaby się w nim ze wstydu.

Nikt w klinice profesora Halewiego — ani siostry, ani lekarze — nie rozumiał, jak to się stało, że dr Karnowski przestaje z siostrą Teresą.

Młody lekarz przyjął się w szpitalu bardzo szybko. Prof. Halewi częściej niż innych lekarzy wzywał go do swego gabinetu celem omawiania poważniejszych przypadków. Częściej niż innym

powierzał mu ciężej chore pacjentki. Kobiety odczuwały drżenie ciała, gdy młody lekarz dotykał je swymi mocnymi, owłosionymi, ciepłymi, tchnącymi życiem rękami. Przepowiadano mu wielką przyszłość.

— Co on w niej dostrzegł? — pytały ze zdumieniem i zazdrością siostry w klinice.

Dr Karnowski sam tego również nie rozumiał. Początkowo, gdy siostra Teresa, nie odznaczając się szczególną kobiecą bystrością, zaczęła okazywać, że jest w nim zakochana, bardziej go to bawiło, niż interesowało. Jak większość młodych lekarzy, którzy starają się wydawać starszymi i poważniejszymi niż są w istocie, aby sprawiać lepsze wrażenie na pacjentach, również dr Karnowski usiłował przydać sobie powagi i nawet zapuścił czarne, gęste wąsy, które podcinał na modłę angielską. Jego nierówne, lecz mocne zęby odcinały się bielą spod bardzo czarnych, ostro przyciętych wąsów. W rozmowach z pacjentkami przybierał poważny, ojcowski i lekko żartobliwy ton, jak to było zwyczajem doświadczonych lekarzy. Otwarciem, żartobliwym tonem, jakim dorośli zwracają się do dzieci, rozmawiał z siostrą Teresą, gdy pomagała mu w pracy.

— Jak tam idzie, dziecko? — pytał. — Czy wciąż się pani rumieni, mała siostrze?

— Nie, panie doktorze — odpowiadała Teresa, oblewając się purpurą.

Nieraz bywał wobec niej ojcowski.

— Jest pani anemiczna, mała — mówił. — Całą krew ma pani w

twarzy. Musi pani bardzo na siebie uważać.

— Co pani robić, panie doktorze? — pytała Teresa.

— Pić mleko — mówił dr Karnowski — lub jeszcze lepiej wyjść za
mąż. Jest to najlepszy środek dla anemicznych dziewcząt.

Teresa zarumieniła się. Dr Karnowski podtrzymał żartobliwy ton.

— Co to, mała, nie ma zakochanych w pani kawalerów?

— Oczywiście — odpowiada cicho Teresa — lecz nic z tego nie
może wyniknąć.

— Tak? — dr Karnowski nie rozumiał. — Dlaczego?

— Bo w żadnym z nich nie jestem zakochana, panie doktorze --fi-
wyjąkała Teresa.

Mimo że sam znał siłę miłości, dr Karnowski kpił z tego uczucia.

— Nonsens, mała fc- mówił jak stary, doświadczony mężczyzna.
Był to problem naszych babek, a nie powojennych dziewcząt.

Teresę ta cyniczna ocena miłości wzburzyła do tego stopnia, że
zapomniała o swej uległości.

— Nie powinien pan tak mówić, panie doktorze — powiedziała z
przejęciem.

— Dlaczego, mała? — dr Karnowski udał naiwnego.

— Ponieważ... ponieważ miłość jest wieczna p« powiedziała Teresa
z zapalem. — Miłość jest święta.

Dr Karnowski śmiał się głośno.

— Mówi pani jak zakochana, mała siostró — powiedział żartobliwie.

— Kto jest tym szczęśliwym, jeśli wolno wiedzieć?

Teresa nie mogła już znieść udręki i natychmiast odeszła do swej

pracy, słysząc za sobą śmiech Georga Karnowskiego.

Doglądając chorych, siostra Teresa czuła głęboki żal do człowieka, którego kocha, a który z niej drwi. To, że ją właśnie spośród wszystkich uczynił przedmiotem swych kpin, obrażało ją.

Postanowiła, jak już wielokroć razy, zażądać odpowiedniego do siebie stosunku, właściwego dla kobiety lub zgoła omijać Karnowskiego.

Lecz

wystarczyło, aby zamienił z nią jedno słowo, a już stała przed nim milcząca, zagubiona i pokorna, wysłuchując jego dowcipów i żartów.

Również dr Karnowski nieraz myślał, że powinien zaprzestać żartobliwych rozmów z tą dziewczyną.

Po pierwsze, zaczynało to zwracać uwagę. Siostry rzucały na niego drwiące spojrzenia, odkąd zaczął wyróżniać siostrę Teresę. Ich wzrok mówił, że wiedzą, iż między jedną z nich a nim zawiązują się dawno znane więzy. W miejscu pracy nic się nie ukryje.

Nie przydawało to godności młodemu lekarzowi, który toruje sobie drogę do kariery i wyrabia pozycję w stolicy. Po drugie, nie wiedział, do czego jest mu potrzebny ten niewinny flirt ze wstydliwą siostrą.

Jasna blondynka z gładko uczesanymi nad wysokim czołem włosami, szczupła, wciśnięta w ciasno dopasowany ubiór szpitalny, co sprawiało, że wyglądała jeszcze bardziej dziecinnie i niepozornie, wydawała się raczej nieporadna uczennicą niż kobietą. Jej wysoka szyja, przesadnie biała, słaba, była miękka, nie ukształtowana, jakby dopiero się formowała. Taki też miała podbródek. Osobowość Teresy była równie anemiczna jak jej wygląd. Pozbawiona poczucia humoru,

zawsze śmiertelnie poważna, wyzbyta kobiecej przebiegłości i nie mająca najmniejszej skłonności do intrygowania, drażnienia — wszystko w niej było widoczne jak na dłoni. Dr Karnowski nieraz postanawiał zakończyć w porę bezsensowny flirt z tą śmieszną dziewczyną, byłoby to lepiej dla niej, dla niego, dla jego pozycji w szpitalu. Wystarczyło jednak, że ją zobaczył w obcisłym fartuchu, rumieniącą się i uległą, aby poczuł dziwną bliskość z tym jasnym, unizonym stworzeniem i znów przybierał żartobliwy, przekomarzający się ton.

Gdy pewnego razu postawiła mu kwiaty na stole, niebieskie bławatki w szklance wody, powiedział jej komplement.

— Piękne kwiaty, mała, błękitne i niewinne jak pani oczy.

Powiedział to żartem, lecz Terega traktując jak zwykle wszystko poważnie, od tamtego dnia codziennie stawiała mu na stole kwiaty. Dr Karnowski tak się do tego przyzwyczaił, że kiedy siostra Teresa któregoś dnia nie przyszła do szpitala, brakowało mu kwiatów owego poranka, miał wrażenie, że wokół jest pusto. Tak samo zaczął odczuwać nieobecność jej samej, jasnego błękitu jej oczu, zażenowanego rumieńca policzków, cichego dźwięku słów pełnych uwielbienia i miłości do niego.

Najbardziej utkwiała mu w sercu jej uległość. W przeciwieństwie do siły, chęci dominowania i lekceważenia go ze strony Elzy, ta dziewczęca słabość, uwielbienie, pokora były dla niego balsamem. Nagle zaczął w niej dostrzegać przymioty, jakich przedtem nie zauważał. Jej biała szyja nie wyglądała już tak anemicznie jak przed-

tem, lecz dziewczęco subtelnie i łagodnie, delikatny podbródek miał w sobie coś dziecięcego, budził chęć pogłaskania go, jak gdyby pieściło się dziecko. Jej bardzo jasne, błękitne oczy, bez najmniejszego ognia, tchnęły dla niego życiem. "Komiczne, kochane stworzenie" m- myślał o niej i nadal podtrzymywał w rozmowach z Teresą ojcowsko żartobliwy ton, mimo że zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego czynić.

Pewnego późnego wieczoru zobaczył ją inną, odmienioną. Była to zła noc dla dr. Karnowskiego. Położnica, którą profesor Halewi pozostawił pod jego opieką, zmarła o północy. Dr Karnowski nie miał żadnego powodu, aby robić sobie z tego powodu wyrzuty. Pacjentka chorowała na serce, profesor Halewi nawet niechętnie ją przyjął do swojej kliniki, gdyż nie rokował szans na jej przeżycie, a nie chciał mieć u siebie śmiertelnego przypadku. Dr Karnowski robił jej zastrzyki, trzymał w namiocie tlenowym, wszelkimi siłami starał się kobietę utrzymać przy życiu. Nic jednak nie pomogło. Był bardzo przybity, zdenerwowany i wyczerpany pracą w późnych nocnych godzinach i związanym z nią napięciem. Siostra Teresa zdejmując z niego szpitalny ubiór, próbowała go pocieszyć, mówiąc, że to nie jest jego wina.

— Proszę milczeć, na litość boską — przerwał wyrazy pocieszenia. Teresa, przestraszona, wyszła ze szpitala.

— Dobranoc, panie doktorze — powiedziała przy bramie, aby nie ciążyć mu po drodze.

Dr Karnowski nagle ujął ją za ramię.

— Pójdziemy razem — raczej nakazywał, niż prosił. — Muszę mieć teraz kogoś przy sobie, czuć obok siebie żywego człowieka.

Szedł śpiesznie mocnymi krokami. Teresa musiała biec, aby za nim nadążyć. Nie wypowiedział ani jednego słowa, wciąż palił. Gdy przeszli przez Tiergarten, gwałtownie usiadł na ławce. Teresa usiadła obok, ale nieco się odsunęła. Nad ciemnym parkiem rozpościerał się głęboki błękit gęsto usianego gwiazdami nieba. Mleczna Droga była niezwykle biała. Spadła gwiazda i gdzieś znikła. Dr Karnowski wpatrywał się w fantastyczną srebrną plamę na morzu błękitu i zamyślił się.

Odwiecznie pięknie, ale chłodno i przeraźliwie obco świeciły gwiazdy. Miliardy wielkich światów rozsiewających światło, które teraz pada na jego ręce, może przed tysiącami lat zostało wysłane gdzieś z nieba, leciało z szybkością tysięcy mil na sekundę, aż dotarło tu, by oświetlić samotną ławkę w pustym parku. Tak wzniośle, obojętnie i zimno oświetla teraz woskową twarz zmarłej położnicy, która wyzionęła ducha na jego rękach. Tak samo świeciło na froncie, oświetlało poległych i konających. Tak samo, z dokładnością nakręconego mechanizmu, światło to będzie padać na niego w chwili zgonu i na miliony zmarłych po nim. Jak bezmyślnie małe, nędzne i krótkie jest życie ludzkie w porównaniu z tym wielkim i odwiecznym. Lecz kto wie? Może to wszystko istnieje tylko dlatego, że tak dostrzega to ludzkie oko. Dla położnicy w kostnicy przy klinice nie istnieje już nic, ani gwiazdy, ani płynące z niebios światło. Odwieczne myśli o istnieniu, przestrzeni, czasie, życiu i śmierci

krążyły szybko w głowie dr. Karnowskiego. Nagle przypomniał sobie, że siedzi obok niego żywy człowiek, samotny i milczący.

— O czym myśli pani tej cichej nocy? — zapytał.

— Myślę, że w taką noc dobrze jest umrzeć — odpowiedziała cicho Teresa.

Dr Karnowski spojrzał na nią.

— Co za nonsens! — powiedział.

Teresa patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, błękitnymi i fantastycznymi jak niebo nad parkiem. Były tajemnicze, obce i jakby nie z tego świata. Ujął ją za rękę.

— Pani palce są zimne — powiedział.

Przez chwilę trzymała bezradnie rękę w jego ręce. Nagle chwyciła męską rękę i ucałowała ją. Dr Karnowski siedział oszołomiony.

Odkąd znał kobiety wszelkiego stanu i rasy, nie zdarzyło się nigdy, aby kobieta pierwsza ucałowała mu rękę.

— Co robisz, dziecko? — nagle zauważył, że powiedział jej "ty".
Zażenowany i zawstydzony oderwał swą rękę od ust Teresy.

Teresa patrzyła na niego jasnymi, nieruchomymi, jakby nieżywymi oczami. Takie oczy widzi się na prymitywnych świętych obrazach — przesadnie niebieskie, nieruchome, rozmodlone.

— Zbyt jesteś poważna, dziewczyno — powiedział dr Karnowski.
— Należy do wszystkiego podchodzić filozoficznie, z dystansem.

Teresa spuściła głowę. Jej schylony dziewczęcy kark wyrażał wielką uległość.

— Wiem, że jest to niemożliwe — mówiła z pokorą w swym

cichym głósie. — Wiem, że nie jestem partnerką dla pana. Lecz nie żądam niczego... nie będzie pan miał mi za złe...

Karnowski ujął ją za dziecięcy podbródek, który aż prosił się, aby go podnieść.

— Co ci do głowy przychodzi, dziecko? — pocieszał ją. — Powinnaś być spokojna.

— Proszę mi pozwolić mieć dziecko z panem i będę spokojna — prosiła. — Odejść, nigdy nie będę więcej sprawiać sobą kłopotu... przysięgam.

Jej szczupła postać była zgięta, jak niewolnicy, która błaga swego pana o łaskę. W tą cichą, wygwieżdżoną, pełną tajemnic noc, Karnowskiego ogarnęła niezmierna litość nad tą pokorną dziewczyną, litość i miłość.

— Chodź do domu, dziecko — powiedział, biorąc ją za rękę. — Zimno ci, masz dreszcze.

Zamiast poprowadzić ją ze sobą, mógł to zrobić, gdyż gotowa była iść z nim dokądkolwiek by zechciał, odprowadził Teresę do jej domu. Po raz pierwszy ucałował jej usta w ciemnej bramie masywnego domu Holbeków w dzielnicy Tiergarten.

Przez całą noc dr Karnowski rozmyślał o cichym dziewczęciu, które nagle zdobyło się na taką kobiecą odwagę w swej wielkiej do niego miłości.

Od tego czasu wychodził z nią często i jawnie, nie zważając na pielęgniarki, lekarzy, a nawet profesora Halewiego. Siostry były niezwykle podniecone.

— Wydaje się, że cichutka, do dwóch zliczyć nie potrafi, a wszystkich na dudka wystrychnęła — mówiły o niej z zazdrością i z urazą o młodym lekarzu.

Dawid Karnowski pienieł się ze złości, gdy się dowiedział, że jego jedyny syn włóczy się z chrześcijanką. Proponowano mu bardzo dobre partie. Do synagogi, w której modlił się Dawid Karnowski, uczęszczał również swat krajowy, pan Lipman, który mienił się doktorem Lipmanem i nalegał, aby go tak tytułowano powszechnie. Ten to doktor Lipman, o którym nikt nie wiedział, gdzie i kiedy studiował, i za co otrzymał doktorat, miał długie, sięgające do ramion włosy, nosił nawet w dni powszednie cylinder a la księżę Albert i zachodził do najlepszych domów w zachodnim Berlinie. Każdej soboty, po nabożeństwie, manewrował tak, aby wyjść z synagogi razem z Dawidem Karnowskim i proponował mu nadzwyczajne małżeństwa jego syna z bogatymi córkami, wyliczając niezwykle zalety kandydatek na narzeczone — zarówno ich wykształcenie, umiejętność gry na fortepianie, jak też posagi. Nachylał się do ucha Karnowskiego, jakby mu chciał powierzyć wielką tajemnicę i mówił uroczyście:

— Czcigodny panie Karnowski, jest to prawdziwe szczęście, które może się zdarzyć raz w życiu. Proszę wziąć pod uwagę, że rodzice dziewczyny nie są przybyszami, lecz Niemcami od dziada pradziada. Słowo honoru doktora Lipmana.

Swatający doktor nie kłamał. Mimo że Dawid Karnowski przybył z Polski, co dla zasiedziałych w zachodnim Berlinie Żydów było

poważną skazą, chcieli oni jednakże skoligacić się z jego synem, który urodził się już w tym kraju i pracował w klinice profesora Halewiego. Gotowi byli dać mu największy posag, urządzić gabinet na Kurfiirstendamm i puścić całkowicie w niepamięć jego obce pochodzenie. Ponieważ młody dr Karnowski doszedł w armii do wyższej oficerskiej rangi, ponadto biorąc pod uwagę jego wzrost i dobrą prezencję, zarozumiałe żydowskie córki nie zważały na jego zbyt żydowski wygląd, nadmiernie czarne włosy i oczy, których na ogół nie poczytywały za zalety.

Dawid Karnowski, sam emigrant, uważał, że wejście do starych, zasiedziały domów będzie dla niego poważnym wywyższeniem. Pragnąc jak najlepszej partii dla syna, myślał również o sobie. Handel drzewny po wojnie podupadł. Jego teść w Mielnicy już nie żył, bardzo ciężko było zapracować na utrzymanie. Poza tym podraślała córka. Karnowski pragnął, aby syn wszedł do wysoko postawionej rodziny, co również pomogłoby i jemu, ojcu, w prowadzeniu handlu, jak też w zawarciu — później — korzystnego małżeństwa córki.

— Słyszysz, Lea, swatają nas z miejską śmietanką — powiedział z dumą wróciwszy do domu po rozmowie z dr. Lipmanem. — Żeby tylko nasz chłopak był rozsądny i wiedział, co wybrać.

— Oby, Panie w niebiesiech — powiedziała Lea Karnowska, wznosząc ufnie oczy ku rzeźbionemu sufitowi w jadalni.

Abstrahując od wszystkich rachub i nadziei męża, z jak najszybszym zawarciem małżeństwa przez syna wiązała własne pragnienie macierzyństwa. Tęskniła za

dziećmi, pragnęła tulić do piersi pisklęta, a ponieważ ze względu na wiek już nie mogła spodziewać się własnych dzieci, marzyła o wnukach, najpierw dzieciach syna, potem córki — chciała mieć mnóstwo wnuków.

Pewnego sobotniego przedpołudnia, po nabożeństwie, nadeszła zła wiadomość. Jak w poprzednich tygodniach, tak też i tym razem dr Lipman towarzyszył Dawidowi Karnowskiemu w drodze z synagogi do domu. Lecz zamiast mu opowiadać o nowej możliwości korzystnego małżeństwa, nachylił się do ucha Dawida Karnowskiego i powierzył mu tajemnicę o pielęgniarce, z którą spotyka się jego jedyny syn.

Dawid Karnowski zatrzymał się i obejrzał dr. Lipmana od stóp do głów.

— Niemożliwe, panie Lipman — powiedział głośno, zapominając w swym wzburzeniu o doktorskim tytule Lipmana. — To oszczerstwo.

Pan Lipman zareagował śmiechem na to, że można wątpić w prawdziwość jego informacji dotyczących młodych mężczyzn i dziewcząt.

— Włóczy się z chrześcijanką — przysięgał, trzęsąc wystającymi spod cylindra lokami. — I co pan na to powie, szanowny panie Karnowski.

Dawid Karnowski nie miał nic do powiedzenia. Odczuł ból w sercu. Zmartwiony pośpieszył do domu, aby się wyżalić przed żoną.

— Doczekałaś się pociechy ze swego synalka — wybuchł, gdy

tylko przestąpił próg mieszkania i burknął pod nosem sobotnie pozdrowienie. — Możesz się chlubić synem, wybrał sobie chrześcijankę.

Jak zwykle robił żonie wyrzuty z powodu "jej synalka", jakby Georg wszystkie wady przejął od niej, nie od niego. I jak zwykle w złości zapomniał o języku niemieckim, mówił po żydowsku jak niegdyś w Mielnicy. Lea, aczkolwiek zaniepokojona, próbowała pocieszać męża i samą siebie.

—■ Zdarza się, że młody człowiek popełnia głupstwa ■— powiedziała — gdy tylko doprowadzi się szczęśliwie do dobrego małżeństwa, zostawi tę dziewczynę. Wspomnisz moje słowa.

Dawid Karnowski nie pozwalał się uspokoić.

—Zawsze przysparzał mi zmartwień i nadal będzie tak samo — przepowiadał. — Znam go lepiej.

Nigdy jeszcze Dawid Karnowski nie miał tylu pretensji do Lei przy uczcie sobotniej, jak tym razem. A to o to, że do ryby dodała zbyt dużo pieprzu, a to zimny drób był twardy i niesmaczny, nawet herbata zalatywała mu mielnicką mykwą.

—Podaj mi wodę do obmycia rąk — powiedział, zostawiając jedzenie na stole.

Po modlitwie kończącej sobotnią uroczystość, nie zmieniając nawet świątecznego surdutu na powszednie ubranie, pojechał do kawalerskiego mieszkania syna, blisko Kaiserallee, aby się z nim rozmówić. Nie zastawszy go w domu, udał się pod klinikę profesora

Halewiego. Przechadzał się długo po cichej ulicy, aż zobaczył wychodzącego Georga z młodą kobietą. Sięgała mu zaledwie do ramion. Trzymali się za ręce. Dawidowi Karnowskiemu serce zaczęło bić żywiej. Nie, nie oszukał go ten Lipman. Chwilę oglądał się za kobietą idącą u boku syna, chciał widzieć tę, dla której jego syn gotów poświęcić obydwie światy: doczesny i przysły. Nie miała w sobie nic z wybitnej piękności — ani powierzchowność, ani postać, ani jej sposób poruszania się nie należały do tych, jakie mogą mężczyznom zawrócić w głowie. To go jeszcze bardziej rozczarowało do syna.

— Georg, Georg — zawołał ostro Karnowski.

Dr Karnowski obejrzał się i otworzył szeroko oczy na widok ojca, który — w świątecznej odzieży — stał obok kliniki.

— Czy stało się coś mamie? — zapytał z niepokojem, myśląc przede wszystkim o matce.

Dawid Karnowski lekko skłonił głowę przed dziewczyną i w najbardziej poprawnym niemieckim języku powiedział synowi, że z matką wszystko w porządku, ale on ma do omówienia z nim ważną sprawę i ma nadzieję, że "łaskawa pani" będzie tak uprzejma i wybaczy mu, że zabierze syna od jej "szanownego towarzystwa". Georg przypomniał sobie, że nie przedstawił Teresy ojcu i próbował to uczynić. Dawid Karnowski nie miał ochoty wdawać się w rozmowy ze szpitalną dziewczyną.

— Bardzo mi było miło poznać panią — powiedział, zanim jeszcze usłyszał jej nazwisko. — Dobrej nocy.

— Dobrej nocy, panie Karnowski — powiedziała zażenowana

Teresa, z kobiecą intuicją przeczuwając, że to za jej przyczyną doszło do tego dziwnego spotkania ojca z synem.

Dłuższą chwilę obaj mężczyźni szli w milczeniu. Odgłos ich kroków niósł się głośno po szerokim, pustym trotuarze. Dawid Karnowski pamiętał, że musi zachować spokój, całkowity spokój. Jak głoszą mędrcy, złość nie przystoi znawcom świętych ksiąg. Ale gdy tylko doszło do pierwszego słowa, zapomniał o mądrości ksiąg i poczuł, że krew uderza mu do głowy. Złością ziały płomienne oczy i nos Karnowskich.

— Powiedz, Georg — pienił się — czy to jest ta sziksa, z którą ty przestajesz, jak mi to ludzie donieśli?

Georg poczuł, że twarz mu płonie — zarówno dlatego, że ojciec wie o jego miłości, jak też z powodu określenia “sziksa”, którego użył, mówiąc o Teresie.

— Ojczy, nie na ulicy — powiedział jękając się — i spokojniej, proszę. Nie widzę powodu do takiego zdenerwowania.

— Ty nie widzisz, a ja widzę — pienił się Dawid Karnowski i powtórzył: — Ja widzę, widzę!

Dr Karnowski próbował zachować spokój, starał się być bardziej opanowany. Lecz podobnie jak ojciec, od pierwszego słowa zapomniał o swym postanowieniu. Był synem swego ojca. Przez chwilę ojciec i syn spoglądali po sobie, widząc jak w zwierciadle własny upór i gardzili nim.

— Nie krzycz tak, ojczy — powiedział Georg. — Zapominasz, że nie jestem już małym chłopcem.

— Nie imponują mi doktorkowie — odpowiedział na to Dawid Karnowski, używając słowa “doktorkowie” nie “doktorzy”.

Gdy Dawid Karnowski wszedł do kawalerskiego mieszkania syna i zobaczył na stole fotografię dziewczyny obok fotografii Lei, znowu stracił panowanie nad sobą.

— Tak dalece zaszły sprawy z tą szikszą — pienił się — że już ją połączyłeś z mamą.

Scysja między ojcem a synem trwała dwie godziny i przeciągnęła się do późnej nocy. Dawid Karnowski żądał, aby już, natychmiast, syn dał mu słowo, że zrywa z “szikszą”. Swatają mu najlepsze dziewczęta z najlepszych żydowskich domów w zachodnim Berlinie. On wykosztował się na syna i nie dopuści, aby Georg zmarnował rodziców, siostrę i siebie samego — i to wszystko z powodu “sziksy” ze szpitala. Jeżeli stracił rozum i ma z nią jakieś sprawy, niech zerwie jak najprędzej, by osiągnąć pozycję, jaka przystoi synowi Dawida Karnowskiego.

— Diabli nie wezmą tej sziksy, znajdzie sobie amatora ta skromnisia, nie warto dla niej tracić obu światów.

Georg słuchając ojca wyłąził ze skóry. Biegając tam i z powrotem dokoła swego kawalerskiego mieszkania, które pełne było Teresy, jej wyszywanych poduszeczek, firaneczek i serwetek, jej fotografii, ciskał ze swych czarnych oczu płomień na ojca. Nie pozwoli się wtrącać w swoje życie osobiste, omamiać się, sprzedać za posagi i prezenty. Jeżeli ojciec wydatkował na niego pieniądze, Georg mu je zwróci co do feniga. Lecz nie pozwoli się tyranizować, w żadnym

razie nie ścierpi, aby obrażano jego dziewczynę.

To już wyczerpało resztę cierpliwości Dawida Karnowskiego. Stanąwszy naprzeciw syna, wyciągnąwszy się na całą swą wysokość i stojąc na palcach, aby przydać sobie wzrostu, zapytał gniewnie:

— Chcę wiedzieć, co mi zrobisz, jeżeli będę właśnie mówił, jak chcę? Może zbijesz ojca, co? Może mnie wyrzucisz z mieszkania?

Gdy zegar wybił godzinę dwunastą, a Georg wciąż nie chciał przyrzec ojcu, że postąpi zgodnie z jego wolą, Karnowski założył płaszcz i zabierał się do odejścia.

— Dobrze, możesz wybierać między sziksą, a ojcem — powiedział. — Albo ona, albo ja.

Nie pozwolił synowi pomóc sobie nałożyć płaszcza, chociaż ze zdenerwowania nie mógł wsunąć ręki do rękawa.

— Dziękuję, dziękuję — burczał i gwałtownie wyszedł.

Na Wielkiej Hamburgskiej ulicy, gdzie stał mały pomnik Mozeza Mendelssohna, zatrzymał się i z wyrzutem spoglądał na kamienny wizerunek mędrca, dla którego przybył do tego kraju.

— Rabi Mosze — powiedział — nasze dzieci odchodzą od nas, ich droga prowadzi do chrztu..".

Filozof patrzył na niego mądrze, zawzięcie i smutno. Z jego pochyłonych ramion spływały krople deszczu.

Gdy Teresa zwierzyła się matce ze swej miłości do żydowskiego lekarza, wdowie Holbek przyszedł na myśl przede wszystkim elegancki pan Dreksler, Żyd, właściciel apteki w jej domu, w oknie której wystawiona była figura nagiej kobiety w gumowych

pończochach.

W aptekarzu Drekslerze widziała całą jego rasę — czarną, gadatliwą, opowiadającą dowcipy, mądrą, chytrą, sprzedającą zakazane artykuły. Gdy pewnego wieczoru młody lekarz niespodziewanie pojawił się w jej domu, trzymając się za rękę z Teresą, potwierdził jej poprzednie o nim wyobrażenie. Swymi niebieskimi oczami wdowa Holbek przede wszystkim dostrzegła czerń: włosy, gęste brwi i rzęsy, ostro strzyżone wąsy, a przede wszystkim oczy — wielkie, błyszczące, które wniosły intensywną ciemność do jej mieszkania, przywykłego zawsze do ludzi o jasnej karnacji. Ta głęboka ciemność oraz wyrazista męska uroda bardzo wdowę Holbek zmieszały, a nawet wywołały dziewczęcy rumieniec na jej starych, wyblakłych policzkach, jak niegdyś w latach młodości, gdy spotykała pięknego, obcego mężczyznę. Fakt, że wiedziała, iż czarnowłosa i śniady lekarz jest ponadto ginekologiem, wzmagał w starszej pani poczucie kobiecego zażenowania. Mimo że była już posunięta w latach, wydawało się jej, że ten mężczyzna widzi ją na wskroś, jakby stała przed nim naga, jak figura w oknie wystawowym aptekarza. Sama nie wiedząc dlaczego, zakryła rękami swe zbyt duże i zbyt miękkie piersi. Najgorsze było to, że wpadł niespodzianie i to jeszcze w przeddzień "generalnego sprzątnia". Wszystko to tak zmieszało panią Holbek, że kilka razy gubiła zawieszony na taśmie binokle i kilkakrotnie zakładała je ponownie. W końcu przyłapała, się na tym, że nie przywitała gościa.

— Bardzo mi miło poznać pana, panie doktorze — powiedziała

zmieszana, wyciągając do niego rękę
li unosząc ją, aby młodemu człowiekowi łatwiej było ją [ucałować, do
czego była przyzwyczajona.

Lecz dr Karnowski uściskał tylko śniadymi, owłosionymi rękami
miękkie palce wdowy, nie podnosząc ich do ust. Pani Holbek jeszcze
bardziej się zmieszała, zarówno z powodu swej uniesionej ręki, jak i
złych manier młodego człowieka. Poprawiając swe gładko uczesane
siwe włosy, które były i tak mocno ściągnięte, rzuciła pierwsze
zdawkowe słowa, które zazwyczaj mają wytworzyć swobodną
atmosferę i stanowić wstęp do dalszej płynniejszej rozmowy.

— Wydaje się, że się rozpogodzi po wstrętnej pogodzie, nie sądzi
pan, panie doktorze?

Oczekiwała przytakującej odpowiedzi, jak to zwykle bywa w
takich wypadkach, aby zaraz potem móc przynieść poczęstunek. Lecz
dr Karnowski nie powiedział, co myśli o pogodzie. Zamiast
rozmawiać o tym, czy ma się ona poprawić po wstrętnych dniach,
zainteresował się rymami wyszytymi na wiszących serwetkach i
przeczytał je głośno. Mimo że nie uśmiechnął się, czytał tylko głośno
wyhaftowane sentencje, wdowa Holbek wyczuła drwinę w jego
głosie, jak w sytuacji, gdy dorosły człowiek czyta dziecięcą pisaninę.
To ją uraziło, na domiar złego splątał się kłębek, który zaczęła
rozwiązać rozpoczynając rozmowę. Dr Karnowski zamącił normalny
tok przyjmowania gości. Nic wiedziała, czy już może przygotować
kawę i ciasto po tak krótkiej i nie klejącej się rozmowie, czy jeszcze
należy czekać, aby nie wpaść w kolizję z obowiązującą etykietą. W

końcu doszła do przekonania, że owszem, powinna zająć się poczęstunkiem.

Wlewając kiepską powojenną kawę do najdroższych filiżanek, jakie posiadała w swym gospodarstwie, znów rozpoczęła uprzejmą rozmowę o namiastce kawy i nieudanym powojennym cieście, o czym wówczas ludzie najchętniej rozmawiali. Pani Holbek była pewna, że teraz już się zaasekurowała na co najmniej półgodzinną rozmowę, lecz dr Karnowski znów nie podjął wątku, który nanizła. Pijąc kawę dużymi łykami, zbyt dużymi i bezceremonialnymi jak na gościa, często wycierał wyszywaną serwetką czarne, z angielska przystrzyżone wąsy i ze smakiem zagryzał ciasto swymi nie całkiem równymi, lecz bardzo mocnymi zębami. Pani Holbek nie podobał się ani jego sposób jedzenia, ani wycieranie wąsów serwetką. Wiedziała, na podstawie zachowania się jej gości, jak też ze sposobu bycia w innych dobrych domach, że gospodyni może położyć na stole najlepszą wyszywaną serwetkę, gdyż takie zwyczaje panują w dobrych domach, lecz gość powinien wykazać delikatność i ich nie używać, zwłaszcza w tak ciężkich czasach, gdy mydło jest drogie, a pranie tyle kosztuje. Jeszcze mniej podobał się jej sposób, w jaki Karnowski obchodził się z kawą i ciastem. Jako dobra gospodyni zapytała, czy pan doktor życzy sobie jeszcze kawy, będąc pewna, że gość odmówi, lecz on tego nie zrobił.

— Oczywiście, oczywiście, łaskawa pani — powiedział szybko. Wypił dużymi łykami drugą filiżankę, zakąszając drugim kawałkiem ciasta.

Pani Holbek oniemiała, gdy łyknąwszy po raz ostatni tylko raz podziękował za poczęstunek.

Przywykła, że goście wypowiadają wiele komplementów pod jej adresem, dziękując za poczęstunek, czekała na to, by ze swej strony skromnie stwierdzić, że ciasto jest nieudane. Z kolei gość nie powinien pozwalać jej na takie uwagi i trwać przy swoim, że nie ma słów dla wyrażenia doskonałości ciasta łaskawej pani. Gdy dr Karnowski nie pytając o pozwolenie zapalił papierosa i wypuścił gęsty kłąb dymu ustami i nosem, serce pani Holbek zabiło z niepokoju.

Niczego już nic oczekiwała po dziwnym śniadym mężczyźnie, który palił równie szybko jak jadł, wciągając jednorazowo niemal ćwierć papierosa. Obawiała się bardzo, aby nie posypał popiołem dywanu i zawczasu podsunęła mu popielniczkę. Nie mogła ocenić, co przeważa w tym człowieku — złe maniery, czy lekceważenie jej domu. Najgorsze zaś było to, że nic wiedziała, jak kontynuować rozmowę z tym ciemnoskórym mężczyzną.

Z ludźmi tego pokroju nie zetknęła się nigdy. W końcu zaczęła rozmawiać o jego zawodzie.

— Czy pan doktor ma dużą praktykę? — zapytała.

Dr Karnowski gwałtownie się rozejrzył.

— Pracy powyżej uszu, Berlin się rozmnaża. Dogania się produkcję zaniedbaną w latach wojny. Lecz jest to marna produkcja, ersatz produkcja...

Pani Holbek rumieniła się podobnie jak jej córka, żenowało ją, że lekarz swą praktykę określa jako pracę, co więcej, określenie

pierwszego przykazania świętych pism takimi nieprzyzwoitymi słowami jak “produkcja”, “dogonić”, “ersatz”, ściągnęło całą krew na wyblakłe policzki wdowy Holbek. Teresa błagalnie patrzyła na swego ukochanego, pragnąc, aby wobec jej matki nie wypowiadał takich słów. Dr Karnowski kontynuował jednak swój porywczy sposób palenia i mówienia. Mówił o umieralności dzieci, o kontroli urodzeń, o chorobach wenerycznych, jakie przynosili ze sobą powracający z wojny, a nawet o bękartach, których wiele się narodziło, gdy mężczyzn nie było w domu.

— Och, Panie Boże — pojękiwała często zakłopotana pani Holbek.

Sama nie wiedząc dlaczego, zaprowadziła nagle gościa do salonu i pokazała mu wielką fotografię starszego pana w pozłacanej rzeźbionej ramie.

— To mój, świętej pamięci, mąż, panie doktorze

— powiedziała z wdowim westchnieniem w głosie.

Dr Karnowski patrzył na tęgiego, starszego mężczyznę z okrągłą głową i okazałymi wąsami, któremu fotograf starał się zatrzeć każdą zmarszczkę, każde znamię. W świątecznym surducie z wysokim kołnierzem mężczyzna na fotografii miał — w jego własnym mniemaniu

— bardzo poważny, ojcowski wygląd, a w istocie jego wyłupiaste oczy wyrażały bydlęcą powagę. Pani Holbek stała cały czas z założonymi rękami, z wdowią godnością czekając na wysoką ocenę jej świętej pamięci męża. Lecz dr Karnowski rozczarowany, że ten wyretuszowany, tęgi osobnik jest ojcem Teresy, zamruczał tylko:

“pięknie,
pięknie”, a wdowa Holbek znów nie wiedziała, co ze sobą począć.
Poczuła się wyzwolona, gdy w przedpokoju rozległo się najpierw
radosne szczekanie psa, a potem męskie gwizdanie.

— Hugo wraca ze spaceru — powiedziała Teresie i wyszła na jego
spotkanie.

Dr Karnowski przez dłuższą chwilę słyszał dochodzące z
przedpokoju stłumione głosy, jeden kobiecy — błagalny, drugi męski
— uparty. Słów nie było słychać, lecz z dźwięków zorientował się, że
pertraktacje dotyczą jego osoby i poczuł się nieswojo.

W chwilę potem wbiegł pies, owczarek, który z dziką radością
rzucił się najpierw na Teresę, potem na dr. Karnowskiego. Bez cienia
pogody w twarzy, zimny i sztywny wszedł właściciel psa, wysoki,
przerośnięty, chudy i blady.

— Porucznik Hugo Holbek — przedstawił się po wojskowemu,
trzaskając obcasami.

— Dr Karnowski — odpowiedział Karnowski nie trzaskając
obcasami.

Przez chwilę mężczyźni obserwowali się w milczeniu. Hugo
Holbek widział przed sobą mnóstwo czerni, Georg Karnowski dużo
jasności. Podczas gdy dr Karnowski był w stu procentach cywilem,
porucznik Holbek był od stóp do głów żołnierzem, mimo że chodził w
cywilnym ubraniu. Żołnierska była jego postawa, krótko ostrzyżona
jasna głowa, każdy ruch przesadnie wyprostowanej szczupłej postaci i
sztywny sposób, w jaki się poruszał. Jego bardzo jasne, niemal

pozbawione brwi oczy patrzyły bez wyrazu jak szklane protezy, które wstawia się niewidomym. Obaj od razu poczuli do siebie antypatię, zdając sobie sprawę, że jest to uczucie wzajemne. Jak przedtem pani Holbek, tak teraz Hugo Holbek starał się ratować napiętą sytuację kilkoma słowami na temat pogody.

— Wydaje się, że znów będziemy mieli ładną pogodę — stwierdził wybitnie pruskim akcentem i czekał, aby śniady mężczyzna odpowiedział mu na to. Lecz dr Kar

no

nowski nie miał nic na ten temat do powiedzenia i napięcie jeszcze bardziej wzrosło. Teresa starała się ratować sytuację.

— Dr Karnowski jest kapitanem, Hugo — powiedziała poważnie, aby naprawić swą nadszarpniętą opinię w oczach sztywnego brata.

Hugo Holbek znów trzasnął obcasami, jak to jest w zwyczaju przy spotkaniu dwóch oficerów.

— Tak — burknął.

Słowa siostry jednak nie wywarły na nim dużego wrażenia. Było to zapewne coś więcej niż zetknięcie się z cywilną szumowiną, ale nie było powodu do zachwyty. Jak każdy oficer frontowy nigdy nie uważał za równych sobie lekarzy wojskowych, nawet gdy dochodzili do najwyższej rangi. W jego mniemaniu stali na równi z kapelanami polowymi. Tylko niemądra dziewczyna, nie mająca pojęcia o sprawach wojskowych może się szcycić takim kapitanem jak ten jej czarnowłosy przyjaciel. Dla niego, porucznika Hugona Holbeka, nie jest on więcej wart od specjalisty od robienia lewatyw. Nie tytułował

go według stopnia wojskowego, lecz tylko "panie doktorze". Ponadto, gdy dr Karnowski powiedział, że był na froncie wschodnim, Hugo nie miał już nawet ochoty rozmawiać z nim o bitwach, choć był to temat, który nigdy go nie nużył. Jak większość z tych, którzy powrócili z frontu zachodniego, uważał, że stoi wyżej od tych walczących na froncie wschodnim, który — jego zdaniem — zgoła frontem nie był.

Jego nieruchoma twarz zmieniła się szybko, gdy dr Karnowski poczęstował go papierosem. Z przesadną uprzejmością przechylił swe sztywne, długie ciało, wziął dwoma palcami papierosa i dziękował tak uroczyście, jakby mu podarowano majątek.

— Egipskie, panie doktorze — powiedział ze znanstwem po pierwszym pociągnięciu.

— Zazwyczaj je palę, panie Holbek — powiedział dr Karnowski.

— Niemiecki porucznik nie może sobie obecnie pozwolić na palenie egipskich papierosów — odpowiedział Hugo Holbek i wyciągnął długie nogi.

Pod wpływem mocnego dymu rozpogodził się i zaczął opowiadać o pewnym mieście we Francji, do którego wkroczył ze swoim oddziałem tak nagle, że mieszkańcy, którzy niczego się nie spodziewali, zostawili wszystko i uciekli. W pewnym opuszczonym domu znalazł na stole całą paczkę egipskich papierosów, a nawet hawaryskich cygar. Diabelnie dobre to były czasy.

Opowiadał swoim przesadnie pruskim akcentem i śmiał się często, nawet wtedy, gdy najmniejszego powodu, aby się uśmiechnąć, nie było. Mówił sucho i bezbarwnie. Gdy brakowało mu słów, uzupełniał

je mówiąc nicht wahr albo wręcz żołnierskim donner- wctter. Dr Karnowski niecierpliwie palił papierosa i spoglądał na sztywne, wyciągnięte nogi Hugona Holbeka.

— Pan wybaczy, panie Holbek — przerwał mu w środku opowieści o zabranych egipskich papierosach — ale zdaje mi się, że w okopach nabawił się pan ischiasu w lewej nodze, nieprawdaż?

Błada twarz Hugona Holbeka zaczerwieniła się po uszy. Nie lubił, gdy mu przypominano o tej jego nodze, która przysparzała mu często cierpień, lecz usiłował to ukrywać. To, że ten przekłety doktor swymi przenikliwymi oczami dopatrzył się jego choroby, rozgniewało go. Przy tym nie wysłuchał do końca jego historii. Zamiast słuchać, patrzył na jego nogi, mając ciągle na uwadze swoje nędzne, lekarskie sprawy.

— Och, drobiazg! — machnął ręką — nie ma o czym mówić. Dr Karnowski wolał mówić o tym, niż o froncie.

— Często miewałem takie przypadki u żołnierzy w szpitalu polowym — opowiadał z zawodowym zainteresowaniem. — Wielu z nich udało mi się wyleczyć.

Hugo Holbek był już teraz przekonany, że ten żydowski handlarz, który handluje medycyną, stara się mieć w nim pacjenta i zawczasu dał mu do zrozumienia, że nie znalazł w nim właściwego klienta.

—' Niemiecki porucznik jest rad, gdy ma na kiepskie papierosy w obecnych przekłetych czasach — powiedział dumnie — i nie stać go na chodzenie do lekarzy.

Był zadowolony ze swej godnej niemieckiego oficera odpowiedzi i

wyciągnął się na całą wysokość, aby widzieć spuszczonego na kwintę nos specjalisty od lewatyw. Lecz dr Karnowski nie stracił rezonu. Nawet nie słuchał tego, co mówił Holbek. Szybko podszedł do porucznika i niespodzianie uderzył go pięścią w dolną część kręgosłupa.

— Donnerwetter — krzyknął z bólu Hugo Holbek.

— Otóż to — powiedział dr Karnowski — i choroba jest już bardzo zaawansowana. Nie wolno tego zaniedbywać.

Hugo Holbek poczuł się ośmieszony i znienawidził lekarza.

— Bzdura — mamrotał. — Nie warto się tym przejmować.

Dr Karnowski nawet mu nie odpowiedział. Zamiast z nim rozmawiał z kobietami. Pani Holbek może swego chorego syna leczyć sama w domu domowymi środkami, które dr Karnowski jej zaleci. Teresa będzie mu mogła robić masaże nogi, co daje bardzo dobre wyniki. Dr Karnowski powie jej, jak ma to robić. Pani Holbek doznała pierwszego od początku wizyty cieplejszego uczucia do młodego lekarza. To, że gołym okiem dostrzegł chorobę Hugona, że podjął się go leczyć bezpłatnie, sprawiło, iż zaczęła spoglądać na Karnowskiego innym okiem.

— Pan doktor jest bardzo uprzejmy — chwaliła go — bardzo.

Gdy tylko gość pożegnał się i wyszedł z Teresą, pani Holbek sprzątnęła ze stołu i skrupulatnie zabrała wszystkie nie zjedzone kawałki ciasta. Zajadając łakomie ich resztki, które końcami palców podnosiła do ust, z kobiecą praktycznością i macierzyńską troską uprzytomniła sobie, że jej córka będzie miała zabezpieczony byt u

tego szybkiego i zręcznego ciemnowłosego lekarza i postanowiła pogodzić się z faktem dokonany.

— Bardzo piękny mężczyzna — powiedziała do syna ^^ — nieprawdaż, Hugo?

— Prawdziwie plugawy Żyd — odpowiedział leniwie Hugo.

Pani Holbek nie mogła tego słuchać. Choć wybór Teresy — związek z człowiekiem innego wyznania i wyglądu — był dla niej zaskakujący, choć sama niepokoiła się nową drogą, którą pójdzie jej córka, zamiast iść starą, wydeptaną od pokoleń, była jednak pani Holbek praktyczną gospodynią, wyrachowaną i oszczędną, stąd zawsze brała pod uwagę przewidywane korzyści. Jak większość kobiet i większość mieszkańców Berlina ceniła wysoko lekarzy, zwłaszcza żydowskich. Była pewna, że zdolny, brunatnoskóry Karnowski zapewni jej córce dostatnie i wygodne życie. Zapewne inaczej rozmawiałaby z Teresą, gdyby żył jej mąż i mógł dać dziewczynie dobry posag i wyprawę. Lecz Pan Bóg ją skarał, odebrał męża i pieniądze, a jej córka musiała zostać pielęgniarką w szpitalu. Musi być zadowolona, gdy Teresa wychodzi za mąż bez posagu i od razu uzyskuje wysoką pozycję — przestaje być pracownicą szpitala i zostaje żoną lekarza.

Pani Holbek wiedziała też, że żydowscy mężowie dobrze traktują swoje żony, nie piją i nie urządzają awantur. Wobec braku mężczyzn po wojnie, gdy w kraju pełno jest rozpróżnionych i rozwydrzonych chuliganów, jak jej Hugo, którzy nie myślą o przyszłości, lecz jedynie zwracają dziewczętom w głowach, uwodzą je i często nie żenią się z

nimi później, w ciężkich czasach, gdy brakuje pracy i chleba, pani Holbek z jednej strony bardzo dokładnie oceniła wszystkie zalety dr. Karnowskiego oraz — z drugiej strony — minus, jakim było jego żydostwo, i uznała, że przymioty znacznie przeważają nad brakami, a interes ze wszech miar się opłaca. Uważając zawczasu ciemnowłosego lekarza za członka rodziny, próbowała nakłonić syna do wyrozumiałości dla niego.

— Weź pod uwagę sytuację, Hugo — przemawiała do jego rozsądku. — Jesteśmy biedni. Teresa go kocha,

■i I

on żeni się z nią nie dla pieniędzy, wyłącznie z miłości. Chyba nie będziesz żądał, aby twoja siostra zaprzepaściła swoją karierę tylko dlatego, że on jest ci niemiły.

— Niemiecki porucznik nic nie żąda w obecnych czasach — odparł Hugo i wyciągnął swoje długie nogi. — Niemiecki oficer może teraz tylko patrzeć, słuchać i milczeć.

Jego twarz była blada i bez wyrazu jak maska. Jasne, bezzębne oczy tkwiły nieruchomo. Jedynie gwizdanie wskazywało na to, że żyje.

Choć Dawid Karnowski wielokroć nakazywał swej żonie, aby nie ważyła się odwiedzić Georga i jego chrześcijanki, Lea jednak udała się do syna w tygodniu, w którym odbył się jego ślub.

Zapewne miała żal do Georga za zmartwienie, które przyczynił rodzinie, zamiast radości. Zapewne inaczej wyobrażała sobie wielki dzień w życiu syna. Od lat, kiedy jeszcze Georg był dzieckiem,

marzyła o ogromnym macierzyńskim szczęściu, jakim będzie doprowadzenie dziecka pod ślubny baldachim, odprawienie ceremonii w synagodze według prawa Mojżesza i Izraela. Od lat oczekiwała wielkiej radości posiadania synowej, która będzie dla niej córką. Jednakże nie potrafiła wyprzeć z serca syna, który był z jej krwi i kości, jak tego żądał od niej mąż. Ileż, pożał się Boże, miała dzieci, aby pozwoliła sobie na to, by ich się wyrzekać?

Lea przy tym wiedziała, że nie jest to jedyny przypadek w mieście, takie rzeczy się zdarzają. Ludzi spotykają jeszcze gorsze utrapienia. Nieraz dzieci pod wpływem miłości do drugiej osoby zmieniają wyznanie. Nie podziela zdania męża, że jej syn się wychrzczył. Wprawdzie nie ożenił się według prawa żydowskiego, lecz również, Boże uchroni, nie według chrześcijańskiego. Rodzice nie powinni odpychać dziecka od siebie. Można tym tylko pogorszyć sytuację.

Zaczekała więc na dzień, kiedy jej Dawid pojechał do Hamburga w sprawach swego drewna i wtajemniczyła Rebekę, że pójdą po kryjomu, bez wiedzy ojca do Georga, do jego nowego mieszkania.

Rebeka nie posiadała się z radości. Energiczna, przedwcześnie rozwinięta, o żywym temperamentie, jak wszyscy Karnowscy, przy tym bardzo sentymentalna, była zachwycona, gdy matka kazała się jej ubrać, aby odwiedzić brata. Ślub fascynował ją jak wszystkie młode dziewczęta. Związek brata z kobietą innego wyznania zawierał jeszcze więcej pierwiastka romantycznego. Romantyzm i przygoda bardzo tej dziewczynie przypadły do serca. Poza tym odwiedziny brata były zakazane, nie mógł się o tym dowiedzieć

ojciec, a ona, Rebeka, została do tej tajemnicy dopuszczona. Tak była tym rozradowana, że wyrzuciła wszystkie swoje suknie z rzeźbionej szafy, aby wyszukać najlepszą i najpiękniejszą. Jakiej by nie włożyła, wydawało się jej, że może w innej będzie wyglądała ładniej. Gdybyż mogła założyć wszystkie jednocześnie!

Lea nie radowała się wybierając suknię. Między innymi wisały jeszcze w szafie jej wyprawowe stroje — szeleszczące, jedwabne, wzorzyste, bufiaste, z mnóstwem koronek, ozdób i fałd. Najdłuższa i najdroższa była suknia, w której szła pod baldachim, pełna fałd i tajemnic minionego kobiecego szczęścia i miłości. Lea ciężko westchnęła, głaszcząc palcami jedwab.

— Mamo, dlaczego płaczesz? — Rebeka nie rozumiała matki.

— Nic ważnego, córko — powiedziała zawstydzona Lea i pełna niepokoju, trzymając Rebeke za rękę udała się na spotkanie z “obcą” synową.

Stykając się z nowo poznanymi ludźmi nigdy nie była pewna ani siebie, ani swej znajomości języka. Wiecznie obawiając się, że popełnia błędy, popełniała je, wiedząc o tym. Nawet znajdując się w synagodze, wśród kobiet, odczuwała wciąż niepokój. Bardziej niż kiedykolwiek obawiała się teraz, przed spotkaniem z kobietą z obcego środowiska, która ma być dla niej córką. Mimo że często stykała się z chrześcijankami, początkowo w domu swego ojca w Mielnicy, potem w nowym, obcym mieście, mimo że zawsze pracowały u niej jako służące chrześcijanki i zżywała się z nimi po kobiecemu, nie jak pani ze służącą, lecz jak kobieta z kobietą, które wzajemnie się sobie

zwierzają z radości i zmartwieli, odczuwała jednak lęk przed ludźmi z innego niż żydowskie środowiska. Nie mogła sobie w żaden sposób wyobrazić, że w "obcej" synowej znajdzie własną, z krwi i kości córkę.

Mniej jeszcze wierzyła w to, że ta "obca" dziewczyna uzna ją naprawdę za matkę, jak wierne żydowskie żony, które kochając mężów, przenoszą na ich matki miłość jako córki. Wiele dzieliło ją, mielnicką Żydówkę, od jej synowej, wieki całe odgradzały obie kobiety od siebie. "Kto wie, czy synowa nie będzie mnie, Żydówki, traktować z góry" — myślała zatroskana Lea. Szła, trzymając córkę za rękę, aby czuć się pewniej. "Może będzie mną pogardzać, może nawet po cichu nienawidzić, jak zwykle chrześcijanie nienawidzą Żydów". Z ciężkim sercem drżącą ręką zadzwoniła do drzwi z napisem na tabliczce "Dr Karnowski". Nie wiedziała, czy powiedzieć radosne mazi tow, co w takich okolicznościach jest właściwe, gdyż "obca" tego nie zrozumie. Zatrwożona przycisnęła do siebie wiązanek kwiatów, którą przyniosła jak uboga krewna przychodząca na uroczystość do wyobcowanych, bogatych przedstawicieli własnej rodziny.

Lecz zaledwie otworzyła drzwi, rzuciła się do niej jasnowłosa istota, okazując jej tyle kobiecej miłości i ściskając jak córka, że drżące serce Lei Karnowskiej doznało ukojenia, ciepła i szczęścia.

— Matko — zawołała Teresa, całując ją serdecznie.

To słowo "matko" natychmiast napełniło Leę Karnowską uczuciem szczęścia, ufności i radości. To było słowo, na które czekała latami.

Doczekała się! Natychmiast rozplynęły się gdzieś wszystkie troski i wątpliwości, które nurtowały jej kobiece serce. Czuła w swych objęciach ciepło, miłość i coś własnego.

— Córko, dziecko moje — szeptała uszczęśliwiona Lea.

Georg stał z boku i promieniał. Obawiał się pierwszego spotkania żony i matki i poczuł ogromną wdzięczność do obu za to swobodne zetknięcie się. To, czego on i ojciec nie mogli osiągnąć logiką i rozumem, one — proste, mało wykształcone kobiety — osiągnęły sercem i uczuciem.

— Cóż, Rebeko? — zapytał swą siostrę Georg, sam nie wiedząc, co do niej mówi.

Rebeka z żarem wyczuwała najpierw brata, potem bratową.

— Nazywaj mnie siostrą, Tereso — prosiła. — Nigdy nie miałam siostry. Odtąd będziemy siostrami...

Jasna twarz Teresy zapłonęła od szczęścia i radości.

Nie mniej niż Lea, pełna niepokoju z powodu pierwszego spotkania z matką Georga była Teresa Karnowska, mimo że Żydzi, zwłaszcza kobiety żydowskie, odkąd zaczęła pracować w klinice profesora Halewiego, nie byli jej obcy. Choć nie dostrzegała żadnej różnicy między kobietami różnych wyznań, gdyż wszystkie jednakowo bały się porodów, podobnie cieszyły się dziećmi, które wydawały na świat, dziękowały Bogu, gdy wszystko przebiegało pomyślnie i tak samo były bezradne w zmartwieniu, gdy zdarzały się komplikacje, mimo wszystko nie mogła wyzbyć się poczucia obcości i niedowierzania wobec całej tej społeczności. Oczywiście, nie

wchodził tu w rachubę żydowski profesor Halewi, a na pewno nie Georg, dla którego gotowa była skoczyć w ogień. Lecz obcość i brak zaufania do ogółu Żydów w niej pozostały. Wdychała to w domu, szkole, w kościele i bała się dnia, w którym będzie musiała zetknąć się z matką swego męża. Uważając go za najpiękniejszego i najdoskonalszego ze wszystkich mężczyzn, wyobrażała sobie w swej rozterce jego matkę jako jedną ze złych żydowskich teściowych, czarną i gniewną — jak to przedstawiają humorystyczne czasopisma i komedie. Obie kobiety były więc nieufne, niespokojne i zatroskane.

W chwili, kiedy się ujrzały, znikła wszelka podejrzliwość, obie odczuły wzajemną tęsknotę, kobiece pragnienie kochania i bycia kochana. Po pierwszym wybuchu miłości przeszły od razu do spraw codziennych, gospodarstwa domowego, sukien, a przede wszystkim do potraw, które Georg lubi albo których nie lubi. Teresa bardzo się zarumieniła, gdy podała herbatę i ciasto, które sama upiekła.

— Wszystko jest kosherne, matko — powiedziała płonąca cała — może matka spokojnie jeść.

Teresa nie mówiła bezpodstawnie. Lea Karnowska w^{^^} mogła w jej domu jeść spokojnie. Mimo że jej ślub z Georgiem nie odbył się w synagodze, Teresa bardzo sumiennie przygotowywała się do tego, by być żoną żydowskiego męża, a tym bardziej synową żydowskich rodziców. Znalazła podręcznik wydany po niemiecku przez rabinów dla żydowskich córek, traktujący o przepisach dotyczących palenia świec, solenia mięsa i zasad koszer-ności. Z dużą żarliwością wyuczyła się tego na pamięć. Georg kpił z niej, Teresa jednak go nie słuchała, nie

lubiła połowiczności, skoro została żoną Żyda, powinna się dostosować do niego i jego bliskich we wszystkim, w nakazach i obyczajach.

Lei Karnowskiej ze zdumienia wystąpiły czerwone plamy pod oczami, gdy usłyszała od Teresy, że wszystko jest kosherne.

— Córko moja — zawołała z wdzięcznością, Dziecko moje.

Zaskoczenie Lei doszło do zenitu, gdy Teresa wyjęła z szafy dwa mosiężne świeczniki, które kupiła wraz z książeczką o koszernej kuchni.

— To na sobotę, matko — powiedziała Teresa poważnie. Georg śmiał się głośno.

— Wiesz, mamó, Teresa wkrótce zostanie rabinową — żartował. Teresa jak zwykle nie znosiła żartów.

— Wstydz się — strofowała go.

Leę Karnowską szczęście przepelniało do tego stopnia, że nagle zdjęła z szyi sznur pereł i założyła je synowej.

Teresa skromnie schyliła głowę i pocałowała teściową w rękę.

— Nie, to już za dużo, matko — powiedziała zawstydzona. Lea zapięła zameczek od pereł.

— To prezent ślubny ode mnie, córko — powiedziała Lea. — Moja matka podarowała mi to jako prezent ślubny, otrzymała go zaś od swojej matki.

Chwilę wpatrywała się w sznur drobnych, delikatnych perełek, które babki i prababki nosiły od lat, w szczególności w piątkowe wieczory. Lea była niespokojna, czy babki i

prababki w zaświatach nie będą miały jej za złe, że ich sobotnie perły zawiesiła na szyi synowej, która nie jest Żydówką, lecz zaraz spostrzegła, jak Teresa stoi szczęśliwa a zarazem pokorna i zażenowana jak cnotliwa panna młoda, i poczuła jeszcze większą do niej serdeczność.

— Moje babki nosiły to przy zapalaniu świec, córko

— powiedziała.

I — I ja będę je nosiła przy zapalaniu świec, matko

— odparła Teresa.

Ten sznur pereł całkowicie utrwalił miłość dwóch kobiet.

Od tego czasu Lea Karnowska często zachodziła do dzieci. Nie musiała się już przejmować swoją słabą znajomością niemieckiego, której nigdy nie była pewna. Rozmawiała z Teresą swobodnie, wtrącając nawet od czasu do czasu mielnickie żydowskie powiedzenia. Uczyła synową przyrządzać różne żydowskie potrawy, piec mielnickie strucle i miodowniki. Bardziej jeszcze niż Lea do Teresy przywiązała się Rebeka. Energiczna, płomienna musiała wyładowywać z siebie dziewczęcy żar, miłość, która dojrzewała w jej sercu. I jak to często bywa u młodych dziewcząt, przenosiła ją na kogoś z własnej płci, koleżanki, przyjaciółki, teraz zaś bez reszty przypadła do Teresy. Przepelniała ją duma, że przyjaźni się z osobą starszą od siebie, w dodatku mężatką, a to zawierało tajemnicę miłości, o której tak bardzo marzyła. Nie przestawała całować i ścisnąć swojej bratowej i zapewniać jej o swej miłości. Nieraz te wybuchy uczucia były tak gwałtowne, że Teresa lękała się o nią.

Gdy młoda pani Karnowska zaszła w ciążę, Georg nie pozwolił jej już pracować w klinice profesora Halewiego. Rebeka nie odstępowała jej ani na krok. Przeżywała wszystko ze swą bratową, jakby sama miała wydać na świat dziecko.

Dawid Karnowski za każdym razem dawał upust złości, ilekroć się dowiadywał, że jego żona udaje się tam, dokąd chodzić jej zabronił.

Lea usilnie starała się zmiękczyć serce męża. Opowiadała mu o dobroci i pobożności Teresy, o koszernej kuchni i sobotnich świecznikach. Dawid nie chciał o tym słyszeć.

—Kobieto, nie o to chodzi — rozumował — a o istotę rzeczy. To jest dopiero początek, pierwszy krok do przyjęcia przez Georga chrztu.

Lea zatykała sobie uszy.

—Ugryź się w język — mówiła ze strachem — nie wypowiadaj tych słów.

—Ten jest mędrcom, kto przewiduje przyszłość — odpowiadał Karnowski. — Nie możesz tego pojąć kobiecym rozumem. Ja to widzę.

Wiedząc, że sama nic nie wskóra u swego męża, próbowała Lea przeciągnąć na swoją stronę innych mężczyzn. Porozumiała się z rabinem Szpajerem. Niech on powie, czy ojciec powinien odtrącać od siebie syna. Dr Szpajer zgadzał się z Leą.

—Drogi panie Karnowski, tak bywa w życiu — tłumaczył w sobotę po nabożeństwie. — Nie jest pan odosobniony w Berlinie. Najlepiej zawrzeć pokój.

Dawid Karnowski nie chciał słuchać rad rabina Szpajera. Nie miał już zaufania do intelektualistów w cylindrach, o których niegdyś był bardzo wysokiego mniemania. Od czasu, gdy właśnie rabin Szpajer nie chciał go w ciężkiej chwili znać i widywać, stracił serce do niego i jego kazań. Mniej go nawet cenił niż mielnickiego rabina, który go obraził w bożnicy z powodu Pięcioksięgu Mojżesza z Dessau. Nieraz rozmyślał teraz o mielnickim rabinie. Z jego powodu opuścił Mielnicę, aby uciec od ciemnoty do światła, od głupoty i przesądów do mądrości i nieskażonego żydostwa. Obecnie nie był już tak pewny swych ocen mielnickiej ciemnoty i berlińskiego światła.

Bardziej niż do Żydów z tego zachodniego kraju zraził się do chrześcijan, którzy go otaczali. Nie tylko w czasie wojny, lecz nawet później doznał wiele upokorzeń od ludzi mieszkających w stolicy. Mimo że władał językiem niemieckim według wszelkich prawideł gramatycznych, drwiono często z jego żydowskości, a nawet brutalnie go obrażano, zwłaszcza gdy musiał się upominać o należność za czynsz w swoim domu.

Na ulicach buszowali obecnie rozwyrzeni młodzi ludzie, wrzeszcząc pełnymi grozy głosami, żeby wypędzić Żydów z ich kraju. Nie należeli do pospólstwa, byli to studenci, ludzie wykształceni, światli. Po ulicach, których nazwy nadane zostały dla uczczenia pamięci filozofów — Kanta, Leibniza — biegali oni z pałkami w rękach, nawołując do okrucieństw i grabieży.

Dawid Karnowski w mieście swego mędrca Mendelssohna czuł się

oszukany. Mimo że wciąż jeszcze nie rozumował jak mielnicki rabin, iż rabi Mojżesz Mendelssohn narusza prawo Izraela i jest odstępcą od judaizmu, jednakże widział, że zaproponowana przez niego droga wiedzie ku złu. Rozpoczęło się od oświecenia, od chrześcijańskich przyjaciół, a skończyło nawróceniem się jego potomków na chrystianizm. Co przydarzyło się rabi Mendelssohnowi, przydarzy się również jemu, Dawidowi Karnowskiemu. Georg już opuścił jego dom, przeszedł do obcego obozu. Jeżeli on sam nie zmieni wyznania, jego dzieci będą chrześcijanami, może nawet wrogami Izraela, jak to już nieraz bywało z nawróconymi żydowskimi rodzinami.

Bardziej jeszcze niż o Georga obawiał się o Rebekę, która całymi dniami przesiaduje w mieszkaniu brata, przyjaźni się z bratową — chrześcijanką. Nigdy nie cenił wysoko kobiet, gdyż znał ich brak stałości, lekkomyślność, kierowanie się w życiu nie rozumem, lecz sercem. Dawid Karnowski drżał na myśl, że córka pójdzie w ślady swego brata.

— Nie życzę sobie, aby Rebeka tam chodziła — krzyczał do Lei, uderzając w stół. — Ty, kobieto, jesteś już posunięta w latach, ale ona jest dzieckiem, zejdzie z prostej drogi u chrześcijan.

Lea błagała męża, aby nie był twardy dla swych dzieci. Przywodziła przykłady z Pięcioksięgu, jak ten Moabitki Rut, która zbliżyła się do żydostwa i od niej wywodzi się król Dawid, a i Mesjasz będzie jej potomkiem. Dawid Karnowski nie chciał słuchać przytaczanych przez żonę przykładów.

— Żydówko, Rut z Moabu przyszła do Izraela — powiedział — a

teraz Izrael idzie do Moabu, rozumiesz?

Lea nie rozumiała. Dawid Karnowski czuł się osamotniony. Wszyscy, widział to, odchodzą od niego -ss przyjaciele, własne dzieci. Siedząc samotnie w swym dużym, pełnym książek i antyków gabinecie, zdawał sobie sprawę, że jest ostatnim ze swego pokolenia. Nikt już nie zajrzy do tych ksiąg, które on zgromadził. Cały wielki świat żydowski, wszystko, co zostało zebrane w ciągu tysięcy lat, Tora, mądrość, obyczajowość, olbrzymia wiedza, czyli to, za co Żydzi oddawali życie, poświęcali się

pójdzie w zapomnienie, zostanie starte z powierzchni ziemi. Po jego śmierci skarby te zostaną sprzedane na papier do pakowania, lub wręcz wyrzucone na śmietnik. Na tę myśl ogarniało go przerażenie.

W głębokiej rozpaczycy udawał się do starej żydowskiej dzielnicy do reb Efraima Waldera. Był on już po osiemdziesiątce. Jego twarz przypominała pergamin, którym się parał, a ręce miał jakby porośłe mchem. Lecz umysł miał wciąż jasny, bystry. Jak zwykle radośnie powitał Karnowskiego. Pozdrowił go i wyciągnął starczą, słabą rękę.
— Co słyhać na wielkim świecie?

— Nic dobrego, rabi Efraim — mówi Karnowski.

— Zły jest dzisiejszy świat.

— Nigdy nie był lepszy, rabi Karnowski -nr odpowiada reb Efraim, uśmiechając się zza siwej, zielonej ze starości brody.

Karnowski się nie zgadza. Gdy był młodzieńcem, dzieci szanowały ojca jakby monarchę. Dziś ojciec nic nie znaczy dla dzieci.

Samowola.

Reb Efraim uśmiecha się zza zielonej brody.

— Nigdy ojcowie nie są zadowoleni z dzieci — mówi — nie jestem już chłopcem, rabi Karnowski i pamiętam, jak mój ojciec, niech spoczywa w spokoju, mówił, że nie okazuję mu szacunku, a on, kiedy był w moim wieku, był wspaniały. Co trzeba więcej, nawet prorok Jezajasz już się użalał, że synów wychował, a oni grzeszyli przeciw niemu.

Od dzieci przechodzi Karnowski do rozmowy o ciężkich czasach, drożyznie i głodzie, następnie nawiązuje do niepokojów w kraju, do tarć i nienawiści, zwłaszcza do narastającej wrogości do Żydów. Rabi Efraim Walder nie jest zaskoczony. Widział już takie rzeczy. Tak było, tak jest i tak już zapewne będzie na świecie. Odkąd żyje, panowała na świecie nędza, nienawiść, tarcia, kłótnie, okrucieństwo. Dzieje ludzkości to historia zawiści, wrogości, nędzy, chorób, wojen, śmierci. Ziemię ciągle nawiedza nowy potop, który wszystko pochłania, ale zawsze pojawia się Noe budujący arkę, w której umieszcza kilka czystych i wiele nieczystych zwierząt, i światek odżywa na nowo. Wielki mędrzec Kohelet miał rację, mówiąc, że wszystko już było, nie ma nic nowego pod słońcem.

Dawid Karnowski nie może podchodzić do świata tak chłodno i filozoficznie. Przygniata go rozczarowanie, nie może przestać myśleć o tym że syn zamienił go na "sziksę". Reb Efraim zachowuje spokój jak przedtem.

— Nie jest pan odosobniony, rabi Karnowski — mówi. — Proszę pomyśleć, moja jedyna córka siedzi, biedaczka, zaczytuje się w

głupich powieściach, cierpi i nie wie, dlaczego. Rabi Mojżeszowi z Dessau również dzieci nie przysporzyły radości. Pierwsze odstąpiły od żydostwa.

Dawid Karnowski ciężko wzdycha.

—Może słuszność mieli chasydzi, występując zawzięcie przeciw berlińskiej Haskali — mówi — mielnicki rabin był mądrzejszy od rabi Mojżesza? Widać przecież, do czego doprowadziła jego mądrość. Rabi Efraim macha starczą ręką.

—Życie to gra, lubi płatać figle — powiada. — Żydzi chcieli być Żydami w swoich domach, a nie-Żydami poza nimi. Życie odwróciło wartości — jesteśmy nie-Zy- dami w domach, a Żydami poza domami.

—|— A może chasydzi mieli słuszność, rabi Efraim?

— pyta Karnowski. — Może to właśnie oni byli mędrkami, gdyż potrafili przewidzieć? Może rabi Mosze Mendelssohn był winien?

Rabi Efraim nie sądzi, aby mędrzec był winien temu, że głupi uczniowie źle interpretują jego nauki. Motłoch zawsze zniekształca słowa mędrca, przystosowuje je do swojej głupoty, gdyż nie jest w stanie zrozumieć wielkich problemów. Dlatego właśnie ludzie o małych mózdkach tak nienawidzili rabi Mojżesza syna Majinona, którego chrześcijanie zwą Majmonidesem, gdyż nie dopuścił do przekształcenia czystej boskości w bałwochwalstwo. Lecz to nie oznacza, że gdy głupcy wypaczają słowa mędrca, mędrzec ma się stać głupcem.

—Nie, rabi Karnowski — powiada — mędrzec musi pozostać

mędrcom, a głupiec głupcem. Niegdyś już szerzej pisałem o tym problemie. Jeżeli pan sobie życzy, odczytam to z moich pism.

Z młodzieńczą zwawością wchodzi na drabinę, szpera wśród rękopisów znajdujących się na najwyższej półce i wyszukuje ten, o który mu chodzi.

— Och, okrutne — złości się na myszy, które niszczą mu jego pisma — nie można sobie z nimi dać rady.

— Ma pan przecież kota, rabi Efraim — mówi Karnowski wskazując na drzemiącego kota, który leżał skulony na krześle, jakby się przysłuchiwał wywodom reb Efraima.

— Odkąd Matuzalem, niech spoczywa w spokoju, zszedł z tego świata, nie mogę dobrać odpowiedniego kota — wzdycha reb Efraim.

— Ślepy był, stary, ale walczył przeciw okrutnym gryzoniom. Świętym był w swym poświęceniu dla ksiąg.

Mimo że w rękopisach są braki wyżarte przez gryzonie, rabi Efraim odtwarza wyjedzone fragmenty z pamięci.

— Cóż pan na to, rabi Karnowski? — pyta.

Karnowski nic nie może przeciwstawić wywodom reb Efraima, lecz mówi starcowi, że bardzo wątpi, czy te wszystkie racje będą miały wpływ na pokój między Żydami a chrześcijanami, na porozumienie między Semem a Jafetem. Karnowski uważniej obserwuje życie niż reb Efraim, który zawsze przesiaduje w mieszkaniu. Widział chrześcijan w czasie wojny w całym ich okrucieństwie i zdziczeniu. Również i obecnie zieją nienawiścią i przejawiają okrucieństwo do wszystkiego, a przede

wszystkim do Żydów. I to nie tylko motłoch, plebs, lecz również ludzie wykształceni, studenci. Ale co tu mówić

chrześcijanach, kiedy również Żydzi nas nie rozumieją, nawet własne dzieci. Komu potrzebne te wszystkie pisma, w które rabi Efraim wkłada trud, wiedzę oraz długie lata ciężkiej pracy?

— Dla kogo się mozoliłem, rabi Efraim — pyta Karnowski.

— Dziwię się, rabi Karnowski — przerywa mu rabi Efraim. — Mędrzec tak mówi?

Nie. Rabi Efraim się nie zgadza, że wszystko zostało obrócone wniwecz. Nie jest ślepy, wie, co się na świecie dzieje, choć zamknął się w swoim pokoju i nigdzie nie wychodzi. Mimo to człowiek myślący nie powinien wpadać w euforię, ani upadać na duchu. Nic nowego się nie dzieje, świat taki był zawsze. Gdy Mojżesz rył swe tablice, zakładał fundamenty pod budowę świata, motłoch tańczył wokół złotego cielca wraz z kapłanem Aaronem

krzyczał, że to jest Bóg Izraela. Gdy Kohelet pisał swą księgę, motłoch zachowywał się nie lepiej. Gdy mędrzy Sokrates i Platon wykładali swe myśli, mieli zaledwie garstkę uczniów. Motłoch i ci, którzy żyją wyłącznie sprawami doczesnymi, przeżarci byli głupotą, fałszem. Również rabi Mosze ben Majmon był jedyny w swym pokoleniu. Mimo to wszyscy oni nie upadali na duchu i robili swoje. I nie motłoch się ostał, lecz słowo mędrców.

— Nie, rabi Karnowski — mówi reb Efraim, kładąc rękę na jego ramieniu — z siejby rodzi się plon. Wiatr zanoszi ziarenko na pustynię i wyrastają z niego rośliny i drzewa owocowe. Ja muszę robić swoje.

Z zewnątrz, z ulicy Dragońskiej, dochodził tumult, wrzawa. Oprócz poprzednich mieszkańców, sprzed wojny, przybyły z zagranicy tysiące Żydów. Byli to uciekinierzy z Galicji, którzy nie mieli już swego łaskawego władcy w Wiedniu, Żydzi z Polski, bezdomni, przepędzeni, a także z Rosji, Rumunii — zewsząd, gdzie toczyły się wojny i panoszyło się okrucieństwo. Wielu żydowskich jeńców wojennych z oddziałów rosyjskich, którzy nie mieli dokąd wracać, tu pozostało. Młodzież, która zamierzała udać się do Palestyny, nie mogąc uzyskać potrzebnych dokumentów, również. Opuszczone żony, które wybierały się do Ameryki do swych mężów, nie mając pieniędzy na podróż, osiedliły się tutaj. Wszyscy oni handlowali, włóczyli się, przesiadywali w małych, koszernych restauracyjkach, mieszkali w nędznych dziurach. Policja przeprowadzała w tej dzielnicy częste rewizje, szukając ludzi nie posiadających dokumentów. Stara dzielnica, którą chrześcijanie ironicznie nazywali żydowską Szwajcarią, wrzała od ludzi, handlu, szumu i walki. Pośrednicy uprawiali swój zawód, domokrażcy targowali się, żebracy wydzierali jałmużny, policja gwizdała, waluciarze wymieniali zagraniczne pieniądze, Żydzi się modlili, z księgami dochodziły hałaśliwe dźwięki. Z najnowszych płyt gramofonowych sprowadzonych z Ameryki płynęły, obok modlitewnych pieśni kantorów, piosenki teatralne i soczyste kuplety. Reb Efraim nie widział tego, nie słyszał nic. Ulica dla niego nie istniała. Odczytywał Dawidowi Karnowskiemu kartę za kartą. Kot leża! skulony i przysłuchiwał się. Po kątach buszowały myszy, gryzły,

lecz kot udawał, że tego nie widzi, nasrożywszy uszy nasłuchiwał tylko słów swego pana, któremu za każdym razem, gdy wypowiadał coś nowego i rozumnego, rozjaśniała się twarz, a oczy młodzieńczo błyszcząły.

— Cóż, rabi Karnowski, co pan na to? — chciał wiedzieć.

— Znakomicie, rabi Efraim, niezwykle wielkie — powiedział z podziwem Dawid Karnowski.

r

Gdy Teresa poczuła bóle i pojechała ze swą matką do kliniki profesora Halewiego, gdzie przez pewien czas pracowała, dr Karnowski sam pomógł przy rozwiązaniu. Wszyscy byli zaskoczeni.

— Siostrzo Tereso, nie boi się siostra? — pytały pielęgniarki. — Na ogół żony lekarzy nie powierzają się swym mężom w poważnych przypadkach.

— Jakbym śmiała? — odpowiadała Teresa, urażona na samą myśl, że może swego życia nie powierzyć mężowi.

Lekarze otoczyli dr. Karnowskiego.

— Jest pan pewny, kolego, że nie zdenerwuje się pan? — pytali z powątpiewaniem w głosie, aby osłabić zbytnią pewność siebie Georga.

— Ani na jotę — odpowiedział dr Karnowski.

Lekarze, niezadowoleni zbyt szybkim pięciem się w górę Karnowskiego, jego nad nimi przewagą, wzruszali ramionami. Profesor Halewi podzielał stanowisko dr. Karnowskiego.

— Lekarz, który nie jest pewny, że może podjąć się obrony życia osoby bliskiej, nie może również obronić życia obcemu pacjentowi — powiedział lekarzom profesor. — Zanotujcie to sobie w pamięci, młodzi ludzie.

Dr Karnowski zdenerwował się już po wszystkim, gdy Teresa urodziła mu chłopca. Jak każdy ojciec pragnął, aby pierwsze dziecko było chłopcem. Również Teresa dumna była z syna, cieszyła się jak zwykle matki pierwszym dzieckiem. Georg denerwował się z powodu rodziców, zwłaszcza matki, która mimo że była nad wyraz szczęśliwa, że po latach macierzyńskiej tęsknoty może znów trzymać w objęciach dziecko, które pragnie pieścić, tulić, obejmować, to jednocześnie z cichą pokorą poczęła spoglądać w oczy Georgowi. Nic nie mówiła, patrzyła tylko, ale tak żałośnie i błagalnie, jak jagnię na wilka, który zamierza je pożreć. Dr Karnowski bardzo to przeżywał.

___ BS _____ H ___ B

Pierwszego dnia był pewny, że się nie załamie. Nie przeprowadzi nonsensownej operacji na nowo narodzonym dziecku tylko dlatego, że przed tysiącami lat Abraham, syn Teracha przyrzekł Bogu Jahwe, że jego męscy potomkowie będą obrzezani w ósmym dniu po narodzinach. Co ma wspólnego lekarz w centrum zachodniej Europy z koczującym patriarchą sprzed kilku tysięcy lat, z jego obyczajami i krwawymi znamionami? Matka mu wprawdzie zagląda w oczy, upomina się, aby to zrobił, lecz on nie sprzeniewierzy się swym zasadom.

Następnego dnia spojrzenie matki wzburzało go do tego stopnia, że

zmiękł, lecz się jeszcze nie ugiął. Gdyby dziecko było żydowskie ze strony obojga rodziców, ustąpiłby wobec niemądrej, lecz wierzącej matki. Zresztą, czego się nie robi dla własnej matki? Lecz w tym wypadku jest jeszcze druga strona. Wprawdzie Teresa by milczała, gdyż kocha Georga i nie chciałaby udzielać pouczeń swemu mężowi, lecz on, właśnie dlatego, że jest Żydem, a ona chrześcijanką, nie powinien wymuszać swej woli na niej, ani na jej rodzinie.

Na trzeci dzień oczy Lei były tak błagalne i pełne łez, że Georg nie mógł się przed nimi nigdzie ukryć. Lea milczała, lecz z jej oczu można było wyczytać -r-. los matki jest w twoich rękach. Jej błagalny wzrok mówił: możesz mnie uszczęśliwić albo skrócić moje życie.

Dr Karnowski troszczył się o swoją matkę, obawiał się, że nie przeżyje tego ciosu. Ma obowiązki wobec żony, lecz również wobec matki. Sytuacja jest nieprzyjemna, nawet bardzo, gdyż wyłania się problem żydow- sko-chrześcijariski. Lecz z drugiej strony fakt, że chce w dobrym świetle pokazać się wobec swej nieżydowskiej żony i jej rodziny, sam w sobie świadczy o pewnej żydowskiej uległości i poczuciu mniejszej wartości, czego wolny człowiek winien się wystrzegać.

Czwartego dnia do troski o matkę doszła również troska o ojca. Będąc obecnie sam ojcem, zaczął inaczej myśleć o Dawidzie Karnowskim, mniej powodując się rozumem, a bardziej sercem. Prawda, że ojciec źle się z nim obszedł, wyrzekł się go. Lecz stało się tak dlatego, że jest człowiekiem starej daty, upartym. W gruncie rzeczy pragnie jego

dobra, a on, dr Karnowski, winien to rozumieć. Przez dokonanie na dziecku małej ceremonii, która skądinąd jest korzystna ze zdrowotnego punktu widzenia, pozyska ojca całkowicie. Dojdzie do zgody, do wybaczenia. Dowiedzie ojcu, że młodsze pokolenie jest bardziej wyrozumiałe niż starsze, że jaja są mądrzejsze od kur.

Piątego dnia przyszło mu na myśl, aby pójść do ojca i zaprosić go na uroczystość obrzezania. Zupełnie rozbroiłby go w ten sposób. Natychmiast jednak przeważył upór, ocknął się w nim Karnowski. Nie, powstrzymał się, to już zbyt wiele. Nie on obraził ojca, lecz ojciec jego. Poza tym on jest gospodarzem uroczystości, to ojciec powinien przyjść i jemu złożyć życzenia. Jeżeli przyjdzie, owszem, Georg podporządkuje mu się we wszystkim, dopełni wszystkich ceremonii i zwyczajów. Jeżeli nie przyjdzie, to trudno. Dwa dni dr Karnowski przeżył w napięciu, zastanawiając się, czy ojciec przyjdzie, czy też nie. Ósmego dnia, gdy ojciec wciąż nie przychodził, dr Karnowski obrzezał swoje dziecko, lecz żadnej ceremonii nie odprawił. Sam dokonał aktu obrzezania, bez wszelkich towarzyszących mu zazwyczaj akcesoriów — rzezaka, minjanu, błogosławieństw, zwyczajowej wódki i piernika.

— Biedne dziecko — powiedziała siostra przełożona Hilda, odnosząc płaczące niemowlę do łóżka Teresy. — Jak pan mógł, panie doktorze?

— Nic mu nie będzie, siostró Hildo — ostro odpowiedział dr Karnowski. — Mnie to również w niczym nie zaszkodziło.

W złości na samego siebie, że zrobił coś wbrew swej woli,

odpowiadał siostrze Hildzie krnąbrnie, sucho i ironicznie.

Obecnie Lea Karnowska odczuwała tysiącokrotnie więcej radości całując dzieciątko. Teraz dopiero był to w pełni jej wnuk. Gwałtownie napadła na swego męża, żądając, by poszedł do syna.

— Dziki uparciuchu, czego chcesz jeszcze od dziecka?

— pytała w uniesieniu. — Dla ciebie to zrobił. Dawid Karnowski zdawał sobie sprawę, że Lea ma słuszość, ale nie chciał się poddać. Właśnie dlatego, że to żona ma rację, a nie on, nie mógł ustąpić.

Aby usatysfakcjonować Teresę za to, że jej dziecko uczynił Żydem, dr Karnowski nadał swemu pierworodnemu synowi imię po jej ojcu — Joachim. Teresa dodała imię męża — Georg. Podobnie jak imiona, tak i wygląd Joachima Georga był mieszaniną cech obojga rodziców. Oczy miał niebieskie, cerę jasną jak Holbekowie, włosy i brwi ostro zarysowane i czarne, nos Karnowskich — duży, wydatny.

—

W wielkich hotelach berlińskich, do których zwykle zjeżdżali książęta, zagraniczni dyplomaci, światowej sławy operowi śpiewacy, zatrzymują się nowi goście, jakich tam dawniej nie widywano.

To weseli Amerykanie w kolorowych koszulach, błyszczących złotych butach, mężczyźni, którzy w holu nie zdejmowali kapeluszy, palili cygara poza palarnią i rozmawiali z usługującymi im chłopcami jak równi z równymi, kładąc nawet przyjaźnie ręce na ich ramionach, na których błyszczały złote guziki. Towarzyszące im panie nosiły

drogie futra, dużo biżuterii, zbyt krótkie i nadmiernie jaskrawe suknie. Zachowywały się swobodnie, hałaśliwie się śmiały i głośno rozmawiały. Szły grupami do baru hotelowego, gdzie dużo piły i rzucały wypalone papierosy gdzie tylko się dało, często wprost na perskie dywany. Wystrojona służba hotelowa oburzała się na złe maniere nowych gości, jeszcze bardziej denerwowało ją to, że goście nie umieli z nią rozmawiać. Służba, przyzwyczajona od lat do usługiwania arystokratom najczystszej błękitnej krwi, uważała za hańbę obsługiwanie gości, którzy traktowali służących jak równych sobie. Lecz ci ostatni swej pogardy nie okazywali. Wprost przeciwnie, niewolniczo usługiwali obcym, hałaśliwym gościom i gotowi byli do posług jak dawniej w stosunku do książąt. Bogatszych tytułowali "ekscelencjo", najmniej znaczących gości na wszelki wypadek "panie doktorze".

Działo się tak, gdyż ci obcy, nie odznaczający się dobrymi manierami ludzie, mieli dużo pieniędzy i szastali markami tak samo niedbale, jak rozrzucali wszędzie wypalone niedopałki papierosów. Bawiła ich wymiana jednego dolara na miliony marek i rozdawanie ich służącym, posłańcom, dziewczętom sprzedającym cygara, kelnerom, których ubiór zdobiły guziki i lampasy. Sprawiało im przyjemność sypianie w łóżkach, w których odpoczywali książęta i księżne, sławni śpiewacy operowi.

W mniejszych hotelach zatrzymywali się inni cudzoziemcy — ogorzali, korpulentni Holendrzy, elegancy brunatnoskórzy Rumuni, rośli Łotysze, jasnowłosi Czesi, Estończycy, Polacy, gburowaci

rosyjscy komisarze i czarnoocy, ruchliwi szwajcarscy Żydzi. Wszyscy oni przyjeżdżali handlować w kraju, gdzie pieniądź stracił wartość. Przybywający do Berlina kupcy nabywali przede wszystkim duże, masywne i ciężkie domy, jakby budowane na wieczne czasy.

Więcej gości niż gdzie indziej zajeżdżało do hotelu im. Franciszka Józefa, prowadzonego przez Hercele Wiśnika z Brodów w starej dzielnicy, zwanej przez chrześcijan żydowską Szwajcarią. Nocowało tam po kilku gości w jednym pokoju, a nawet po dwie obce osoby w jednym łóżku. Zatrzymywali się tu Żydzi z Galicji i Polski, Żydzi ubrani po europejsku lub na wpół po europejsku, którzy również przybywali robić korzystne interesy w mieście, w którym pieniądź stracił wartość. Mimo że w Berlinie pełno było tanich miejsc noclegowych, nie zajeżdżali do lepszych hoteli, gdyż czuli się w koszernym hotelu Hercele Wiśniaka jak u siebie w domu.

Wśród tych, którzy sprzedawali domy w dzielnicy Tiergarten, znajdowała się wdowa Holbek. Na nic się nie zdały bezwartościowe marki, które płacili jej lokatorzy. Za miesięczną wysokość komornego nie była nawet w stanie zrobić jednorazowo zakupów na rynku. Wracała do domu ciężko zmartwiona z lekkim koszem. Początkowo, by mieć na utrzymanie, wyprzedawała różne przedmioty z domu. Najstarsze dzbany z mądrymi, w dodatku rymowanymi sentencjami, barwne szkła i kryształy — wszystko powędrowało do sklepów z antykami, które mnożyły się z każdym dniem w mieście. Gdy już nie było za co utrzymywać domu, a Hugo żądał na papierosy, po kilka paczek dziennie, szukała kupca na kamienice. Za dwa tysiące dolarów

amerykańskich gotówką sprzedawała domy ze wszystkimi balkonami, gzymsami, anioł-

kami i kolumnami, które jej mąż budował z myślą, że przetrwają pokolenia. Przy podpisywaniu kontraktu płakała.

— Gdyby świętej pamięci ojciec to widział — użalała się przed synem.

Hugo był spokojny i apatyczny jak zawsze. Poprosił matkę o jednego dolara, o jeden jedyny banknot, który od razu wymienił, załadował markami wszystkie kieszenie i wypuścił się na całodobową hulankę. Pił za te pieniądze w nocnym lokalu, kupił dobre papierosy, następnie strzelał na strzelnicy, wynajął konia, a nawet na Kurfürstendamm wyszukał sobie partnerkę i udał się z nią do hotelu. Resztę pieniędzy oddał kierowcy, który przywiózł go, pijanego, do domu. Poza armią odczuwał jedynie szacunek do zielonego amerykańskiego dolara, który może dać człowiekowi tyle szczęścia.

Z kolei wśród tych, którzy sprzedali domy w północnym Berlinie w ubogiej dzielnicy Neukölln, był Dawid Karnowski. Mieszkańcy jego domu niemal nie płacili komornego, nawet w bezwartościowych markach. Jedynie dr Landau płacił, jak należało, pozostali z nienawiścią spoglądali na ciemnoskórego, brodatego właściciela domu, który władał nazbyt poprawnym niemieckim, takim, jakim tylko potrafi mówić cudzoziemiec.

— Nie jesteśmy wyzyskiwaczami ani spekulantami —
— odpowiadali, gdy Karnowski upominał się o swoją należność.

Dawano mu w ten sposób do zrozumienia, że wyzyskiwaczami i

spekulantami są jego ziomkowie.

Sprzykrzyło się Karnowskiemu zajmowanie się domem. Poza kłopotami nic z tego nie miał. Handel drzewny po wojnie podupadał. W domu robiło się ubogo. Georg co tydzień przysyłał ojcu kopertę z pieniędzmi. Dawid Karnowski co tydzień odsyłał ją nie otwartą.

— Nie sprzedaję pierworódtwa za miskę soczewicy
— mrucał.

Gdy już tygodnia nie sposób było przeżyć, Karnowski znalazł zagranicznego kupca i sprzedał swój dom za niewielką sumę w obcej walucie, która jednak miała swą wartość. Ciężko wzdychał, gdy oddawał niemal za nic mienie, w które wiele zainwestował.

Salomon Burak, właściciel sklepu sprzedaży okazji na alei Landsberskiej nie narzekał w ciężkich czasach, choć miał wszelkie ku temu powody.

Mimo że wysprzedawał towary ze swego sklepu za bezwartościowe banknoty, których niemal nie liczył, był zadowolony, cieszył go wielki ruch w sklepie. Kobiety wyrywały sobie towar z rąk, kupowały rzeczy, których nie potrzebowały. Ita wzdychała za każdym razem, gdy przyjmowała pieniądze.

— Salomon, oddajemy towary za szmaty — złorzeczyła. —
Wkrótce pozostaniemy przy pustych półkach z belą papieru toaletowego.

— Nie obawiaj się, Itele — odpowiadał Salomon — niech będzie ruch w interesie.

Nie miał wyjścia, musiał sprzedawać jak wszyscy inni kupcy. Lecz zamiast złorzeczyć jak wszyscy, był zadowolony z panującego rozgardiaszu jak rozwydrzony chłopiec, który cieszy się widokiem pożaru. Podobnie jak przed wojną, gdy zatrudniał w sklepie krewnych z Mielnicy, wtrącał żydowskie powiedzonka zwracając się do chrześcijańskich sprzedawczyń, które zmuszony był zatrudnić na początku wojny. Znały już one wszystkie jego mielnickie dowcipy — żydowskie i hebrajskie.

—Milion więcej, milion mniej — żartował. Podobnie żartował z klientkami.

— He? — pyta klientka, biorąc towar do ręki.

—Pięć — mówił Salomon Burak, leniąc się dodać słowo “milion”.

— Ile, proszę pana? — powtarzała klientka.

— Dziesięć.

— Powiedział pan przed chwilą pięć?

— Piętnaście — podnosił Salomon cenę.

W gruncie rzeczy nie było wielkiej różnicy, czy oddawał towar za mniejszą, czy większą ilość papieru, lecz Salomona Buraka irytowała głupota klientów, którzy się targują. Innym razem doradzał klientce, aby kupiła dla nieboszczyka pewne artykuły, które posiadał w swym sklepie.

—Proszę to wziąć, łaskawa pani — żartował — później będzie droższe.

W ten sposób rozweselał swoje sprzedawczynie. Lecz “łaskawa pani” brała jego żart za dobrą monetę i kupowała zalecane towary.

Ita tej młodzieńczej beztroski nie mogła pojąć.

— Twój ojciec jest niespełna rozumu — mówiła do Rut, która pomagała jej przy kasie inkasować bezwartościowe banknoty.

Rut nie odpowiadała. Mimo że miała już męża, przyzwoitego człowieka, którego naraił jej ojciec, aby zapomniała o Georgu Karnowskim, chociaż z tym wyswatany mążem miała już dwoje dzieci, była rozczarowana, nieszczęśliwa, tęskniła za tym, który ją odtrącił. Wiedziała, że ma dobrego, uczciwego, przyzwoitego, godnego miłości męża. Przymuszała się nawet do pokochania go, lecz nie mogła wykrzesać z siebie odrobiny uczucia. Przesłaniała ją niby-mgła, jakaś tymczasowość, czuła się tak jakby żyła na dworcu kolejowym w obcym mieście, gdzie trzeba jakiś czas przebywać, spotkać się z obcymi ludźmi, lecz pragnie się jak najszybciej wrócić do swego domu. Nie wiedziała, czego oczekiwała, lecz spodziewała się jakiegoś cudu. Ojciec często żartował z niej, gdy nagle się zamyślała i patrzyła w dal, jakby dostrzegała coś niewidzialnego.

— Kukuryku, nie ma Rut — piał jak kogut, aby przestraszyć swą zadumaną córkę.

W swym zamyśleniu nie słyszała dowcipów ojca, podobnie jak nie docierało do niej to, co mówi do niej mąż.

Jonas Zielonek, krępy, spokojny, stateczny, stanowił przeciwieństwo swego teścia. Był to człowiek poważny, rozważny kupiec. Jako syn poznańskiego handlowca od młodzieńczych lat rozumiał mechanizm handlu i szedł przez życie z góry wymierzonymi kupieckimi krokami. Będąc kawalerem z wyrachowaniem

zaoszczędził pokaż-

ną sumę, unikając lekkomyślnego wydawania pieniędzy wzorem innych młodych ludzi. Kierując się rozsądkiem pozwolił wyswatać sobie pannę ze statecznego mieszczańskiego domu i z przyzwoitym posagiem. Chłodno kalkulując przystąpił też do spółki ze swoim teściem. I podobnie jak rozsądnie, rzetelnie i solidnie prowadził interesy, tak też organizował swoje życie rodzinne. Nigdy nie znosił dowcipów i hałaśliwego tonu teścia, jego żartów i żydowskich powiedzonek, które Salomon Burak wtrącał często w rozmowach z niemieckimi sprzedawczyniami. Unikał zbyt bliskich kontaktów z niektórymi ekspedientkami, tymi, które usiłowały go ująć swą kobiecością i wciągnąć we flirty poza plecami żony. Jako dobry mąż opowiadał Rut o swych interesach, o wszystkim, co miało związek z ich życiem. Był bardzo zatroskany, widząc jak wszystko, co zainwestował w sklep teścia, jak też to, co otrzymał w posagu, obraca się wniwecz w tych opętanych dniach, gdy pieniądz stracił wartość. Rozmawiał o tym z Rut. Ona go wysłuchiwała, lecz nie rozumiała. Obce było jej to, co mówił, podobnie jak on sam, mimo że mieli już dwoje dzieci.

— Co? — pytała, jakby ją wyrwano z jej snów.

Jonas Zielonek zdawał sobie sprawę, że żona nie bierze należytego udziału w jego sprawach. Lecz milczał, wiedząc, że jeżeli czegoś nie można zmienić, najlepiej jest o tym nie mówić, przemilczać. Nie mówił też słowa teściowi, który miotał się w nieszczęściu, wygłupiał dowcipami i kawałami. Nie przestrzegając zbyt religijnych

nakazów żydostwa, gdyż — z wyjątkiem Strasznych Dni — nie miał czasu chodzić do synagogi w soboty i święta, pobożnie błagał Boga, by go chronił przed nieszczęściem i biedą.

Jedynie Bóg — wiedział o tym ze swych kupieckich wyliczeń — może wyratować przed nieszczęściem.

Atmosfera w klinice profesora Halewiego była poważna i napięta, jak zwykle przed ciężką operacją. Lekarze i pielęgniarki w śnieżnobiałych kitlach przechodzili po korytarzach pośpiesznie, cicho, na palcach. Służba szpitalna w milczeniu przewoziła na wózkach okryte kocami chore. Salowe czyściły linolea na podłogach, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Pacjentki, które już urodziły, zaniepokojone niecodziennym napięciem, usiłowały poznać przyczynę tej atmosfery od pielęgniarek. Lecz siostry nic nie mówiły. Było zasadą w klinice profesora Halewiego nie zdradzać ani jednym słowem pacjentkom, co się dzieje w szpitalu, nie mówić ani o operacjach, ani o przypadkach śmierci.

g Nic, nic, łaskawa pani — odpowiadały ze sztucznym uśmiechem pielęgniarki. — Wszystko jak zwykle.

Napiętej, poważnej atmosferze uległ nawet stary, nieskazitelnie ubrany służący, który otwierał bramę wejściową kliniki oraz udzielająca informacji telefonistka.

Powaga i napięcie panowały również w gabinecie profesora Halewiego, w pobliżu sali operacyjnej. Siostra przełożona Hilda, w obcisłym szpitalnym stroju, ciasno opasującym jej postać, zapukała drżącą, miękką ręką do drzwi gabinetu profesora.

— Panie profesorze — odezwała się cicho przez wąsko uchylone drzwi.

Profesor Halewi spojrział na nią z gniewem swymi wielkimi, przenikliwymi, czarnymi oczami.

— Nie przeszkadzać, na litość boską! — nakazał surowo. Siostra przełożona Hilda omal się nie rozpląkała.

— Tysiącrotnie przepraszam, panie profesorze — usprawiedliwiała się. — Nie chciałam wchodzić, lecz jego ekscelencja, pan ambasador, sam mnie przysłał. Jego ekscelencja pragnie zamienić z panem profesorem parę słów.

mJ — Ekscelencja czy nie ekscelencja, nie mogę teraz nikogo widzieć — z gniewem mówił profesor Halewi.

Profesor Halewi miał zasadę, żeby od chwili, gdy rodzina pacjentki wyraziła zgodę na operację, nie wdawać się w żadne rozmowy, ani też z nikim się nie widywać. Odtąd chora nie należy już do nikogo, ani do własnego męża, ani do rodziców, jest wyłącznie w dyspozycji profesora Halewiego.

— Taka idiotka — mówił ze złością o siostrze Hildzie do swego asystenta, dr. Karnowskiego. ^ Jego ekscelencja, taka głupia gęś.

— Nie ma co się denerwować, panie profesorze — uspokajał go dr Karnowski.

— Kto panu powiedział, Karnowski, że ja się denerwuję? ■ — spytał gniewnie profesor Halewi. — Jestem zawsze spokojny, zwłaszcza przed operacją.

Lecz profesor Halewi nie był spokojny. Niepokój jego był tym większy, im bardziej zdawał sobie z tego sprawę.

Już niemal dobę rodząca po raz pierwszy pacjentka nie mogła urodzić. Podobny przypadek nie był niczym nowym w długiej, ponad pięćdziesięcioletniej praktyce profesora Halewiego. Było ich mnóstwo, ten jednak był szczególny. Położnica była jedyną córką ambasadora wielkiego państwa. Profesor Halewi poczuwał się do odpowiedzialności zarówno wobec samego siebie — jego sławnego imienia za granicą nic nie powinno było przyćmić — jak też wobec własnej ojczyzny, której reputacja w sztuce medycznej była wysoka i nie mogła doznać uszczerbku. A nade wszystko chodziło mu o rodzącą, do której profesor Halewi żywił ciepłe uczucia jak do własnej córki.

Młodziutka, drobna, ze szczupłymi, dziewczęcymi rękami, o lekko piegowatej twarzą, główce okolonej kędziorkami, przypominała raczej uczennicę. Lekka, zwinna, nawet w ostatnim miesiącu ciąży, gdy przyszła na badanie do profesora Halewiego, podskakiwała, głośno się śmiała, zachowywała się tak swobodnie, że żartobliwie wyznała miłość profesorowi Halewiemu i ucałowała go w policzek, zostawiając ślad po szmince. Profesor bardzo polubił tę małą kobietkę, która była jeszcze niemal dzieckiem.

Niewspółmierny z tą drobną, jakby dziecięcą postacią był nadmiernie duży brzuch. Budowa ciała rodzącej była młodzieńcza, wąska w biodrach, jakby jeszcze całkowicie nie ukształtowana i będąca ciągle w trakcie wzrostu. Profesor Halewi niepokoił się o nią

w ciągu ostatnich miesięcy, gdy pozostawała pod jego opieką. Jego niepokój wzrósł, gdy ciężarna kobieta poczuła, że zbliża się poród i przywieziono ją do jego kliniki. Zdenerwowanie profesora wzrastało z każdą godziną trudnej doby, gdy mała wszelkimi siłami starała się urodzić, ale w żaden sposób nie mogła.

Wraz z profesorem niepokoiła się cała klinika.

Bardziej od pozostałych kolegów niespokojny był dr Karnowski, któremu profesor Halewi powierzył swą ważną pacjentkę. W ciągu całej doby dr Karnowski nie odstępował od rodzącej na krok i robił wszystko, co było możliwe, aby jej pomóc. Nic jednak nie skutkowało.

— Doktorze, ja przecież nie umrę — pytała z lękiem dziecięca kobietka dr. Karnowskiego za każdym razem, gdy bóle ją opuszczały i była w stanie mówić.

— Co też pani przychodzi do głowy, łaskawa pani? — odpowiadał z uśmiechem dr Karnowski. — Wszystko przechodzi bardzo dobrze, trzeba tylko trochę pocierpieć.

— Nie pozwoli mi pan umrzeć, doktorze — mówiła kobietka, uśmiechając się mimo bólu i wpijając się swymi młodzieńczymi, szczupłymi rękami w jego silne, owłosione ręce, jakby chwytając się w ten sposób życia.

Wpijała się w niego konwulsyjnie za każdym razem, gdy wracały bóle.

— Boże — krzyczała w bólu, w pierwszym wielkim Wlu, jakiego doznała w swym nader szczęśliwym życiu.

Po upływie niemal doby, gdy wciąż nie mogła urodzić, profesor Halewi wezwał dr. Karnowskiego do swego gabinetu i spojrział na niego swymi wielkimi oczami.

— Nie obejdzie się bez cesarskiego cięcia — powiedział ze złością, jakby Karnowski był w czymkolwiek winien. — I to już, nie wolno czekać.

— Niestety nie, panie profesorze — powiedział zdenerwowany dr Karnowski.

Jak w innych poważnych przypadkach profesor Halewi długo się zastanawiał, lecz z chwilą, gdy podjął decyzję, Spiesznie ją realizował. Także obecnie przystąpił do działania z wielką energią, zupełnie niewspółmierną do jego wieku. W pokoju sterylizacyjnym siostry gotowały instrumenty, wyjaławiały bandaże i watę. Lekarze myli ręce, zakładali kitle, nakrycia głowy i ochronne chustki na usta, naciągali na ręce gumowe rękawice. Wszystko odbywało się bez jednego słowa, w powadze i napięciu. Dr Karnowski przygotowywał rodzącą.

— Doktorze, czy źle jest ze mną? — pytała z lękiem, widząc przygotowania do operacji. — Czy będę uśpiona?

— Spokojnie, łaskawa pani, tylko spokojnie — uspokajał ją dr Karnowski po raz kolejny badając jej puls i serce.

Profesor Halewi wydawał polecenie za poleceniem.

— Proszę baczyć, aby wszystko było dokładnie przygotowane, Karnowski — przestrzegał swego asystenta. — Należy działać szybko i spokojnie. Najważniejsze to spokój.

Najistotniejszy w czasie operacji jest spokój — tak zawsze twierdził profesor Halewi. Tym razem jednak stary profesor nie był spokojny, nie tylko ze względu na rodzącą, która ma być poddana operacji, lecz ze względu na samego siebie. Od pewnego czasu światowa sława — profesor Halewi — odczuwał słabość i zawroty głowy w swym starym ciele. Przy pojawieniu się po raz pierwszy tych objawów, uznał je za skutek przemęczenia i napięcia, wyjechał na kilkutygodniowy urlop do wioski rybackiej nad brzegiem Morza Bałtyckiego. Siedząc na kamieniu i łowiąc ryby, poczuł się znowu rześki i odzyskał siły. Był z siebie bardzo zadowolony, lecz gdy tylko powrócił do miasta i do pracy w klinice, dopadło go znów zmęczenie i zawroty głowy — częściej niż poprzednio. Jednocześnie coś jakby ślepotą atakowało jego oczy. Różne srebrne paski i czarne kółka skakały mu przed oczami do tego stopnia, że chwilami nie widział, co się dokoła niego dzieje. Również ręce zaczynały drżeć, czego nigdy przedtem nie odczuwał. Wprost przeciwnie — jego mocne ręce w świecie lekarskim zawsze słynęły ze zręczności i siły wykazywanej podczas ciężkich operacji. Profesor Halewi zaniepokoił się bardzo, gdy zauważył, że filiżanka kawy, którą wypijał z rana do śniadania, zbyt szybko tańczy w jego rękach. Zdawał sobie więc teraz sprawę, że to nie jest, jak sądził poprzednio, skutek przemęczenia, lecz oznaka słabości, starości, a być może jakiejś postępującej choroby. Zbadał swe serce, przykładając stetoskop do klatki piersiowej i uszu. Serce pracowało normalnie. Normalne było również ciśnienie krwi. Zbadał krew, przeprowadził wszelkie inne badania, nic nie znalazł, ale

zawroty głowy i drętwienie rąk utrzymywały się. Od czasu do czasu odczuwał też zastój mięśni, zimno i zeszywnienie, jakby był sparaliżowany. Nieraz zamierzał wstąpić do swego szkolnego kolegi, profesora Barta, internisty, celem przebadania, ale nie chciał się zdradzić przed przyjacielem, nic chciał, aby świat lekarski dowiedział się, że on, profesor Halewi, nie jest zupełnie zdrow.

Obaj znakomici profesorowie są przyjaciółmi, bliskimi kolegami od młodości, mówią sobie po imieniu, często się przekomarzają na temat swego wieku, gdyż każdy z nich twierdzi, że jego przyjaciel jest o rok lub dwa starszy. Częściej jeszcze żartowali na temat swego zdrowia. W obecności swego kolegi, profesora Barta, bardziej niż wobec kogokolwiek innego profesor Halewi udawał młodszego niż był w istocie i tak mocno ścisnął jego rękę, że przyjaciel, szczupły i delikatnej budowy, krzywił się z bólu.

— Jesteś już daleko po siedemdziesiątce i wciąż wygłupiasz się jak chłopiec, Halewi — mówił profesor Bart. — Taki starzec nie powinien trwonić resztek swoich sił, może ci to jeszcze zaszkodzić.

— O to nie musisz się troszczyć, stara dziewico — profesor Halewi robił aluzje do starokawalerstwa oraz szczupłej i delikatnej budowy ciała kolegi — mogę trwonić swoje siły, mam ich dość.

— Gdy poczujesz coś niepokojącego, zajdź do mnie — powiedział profesor Bart. — Zawsze zdarzają się tacy pewniacy, którzy się wcześniej wyczerpują.

— Jeżeli się jeszcze ożenisz i narodzi ci się syn, stara dziewico,

przyślij swoją żonę do mojej kliniki — odpowiadał złośliwie profesor Halewi.

Choć były to żarty, profesor Halewi wiedział, że nie tylko jego kolega Bart, ale wszyscy lekarze i profesorowie rozmawiają często o jego wieku, i zazdroszczą mu, że wciąż jest aktywny i wykonuje ciężkie operacje. I dlatego unikał zwierzenia się komukolwiek o swym stanie zdrowia.

Najbardziej obawiał się, że kolega z lat jego młodości każe mu zaprzestać praktyki i odpoczywać na stare lata. Profesor Halewi drżał na myśl o beczynności.

Pełen energii nie znosił nieróbstwa ani chwil wytchnienia po pracy. Jak długo przebywał w klinice, leczył, operował, wydawał polecenia, czuł, że żyje, że krew w nim pulsuje. Gdy odpoczywał, doskwierały mu lata, różnorakie kłucia i łamania, zmęczenie i apatia. Był przekonany, że nikt tak dobrze nie opanował sztuki chirurgicznej jak on, że nikt nie ma tak pewnej i lekkiej ręki. ani takiej absolutnej znajomości ludzkiego ciała. Dr Karnowski, inni lekarze w jego klinice prosili go, aby przynajmniej w godzinach wieczornych nie przebywał w klinice, zapewniali, że wszystko załatwią, a jeżeli coś się zdarzy, bezzwłocznie zawiadomią go o tym telefonicznie. Profesor Halewi nie chciał nawet o czymś takim słyszeć, bał się pójść do domu, aby znów nie czuć zmęczenia i dolegliwości swego wieku.

Bardziej niż kiedykolwiek dopadły go one w ciągu doby, kiedy córka ambasadora nie mogła urodzić w jego klinice. Inaczej niż zwykle odczuwał zawroty głowy — srebrne i czarne kółeczka i paski

wirowały mu

Lano u przed oczami, zaślepiały i pogrążyły wszystko wokół niego w ciemnościach. Skurcze w mózgu chwytaly go coraz częściej jak w kleszcze, równie często drętwiały mu palce u rąk.

Z niepokoju oblewał się nawet potem, co nigdy przedtem mu się nie zdarzało. Lepka wilgoć studziła mu krew, denerwowała go, złościł się bez powodu, rugał lekarzy i pielęgniarki, a potem wściekły był na siebie za niesłuszne złoszczenie się i obrażanie ludzi. Mimo że nikt nie odpowiadał mu słowem, ze spojrzeń ludzi czytał, że dostrzegają jego niepokój i lęk, muszą więc także wyczuwać ich przyczyny i przyprawiało go to o szal. Gdy wszystkie wysiłki, aby pomóc rodzącej, nie odnosiły skutku i doszedł do przekonania, że trzeba ją operować, i to jak najszybciej, gdyż życie kobiety wisi na włosku, serce w nim całkowicie zamarło.

Nie chodziło o to, że cesarskie cięcie było czymś nowym dla profesora Halewiego. Wsławił się tymi operacjami. Lecz tego dnia wszystko układało się źle w jego klinice. Rodząca była drobna i młodzieńczej budowy. Jej matka była rozhisteryzowana. Wciąż dopytywano się

stan zdrowia pacjentki. Nawet z Ministerstwa Spraw Zagranicznych dowiadywano się, jak wygląda sytuacja. Wszystko to bardzo bulwersowało profesora Halewiego, niweczyło jego spokój, spokój chirurga w decydującej chwili. Najgorsze zaś było to, że jego ręce, zawsze mocne

pewne, trzęsły się. Powstrzymywał ich drzenie jakby żelaznymi

kleszczami, zwłaszcza gdy dr Karnowski przyszedł mu złożyć sprawozdanie. Na chwilę je opanował. Zaraz potem jednak znów się trzęsły.

Profesor Halewi przeżył zatem ciężkie chwile w czasie przygotowań do operacji. Przez chwilę sądził, że jego wyjątkowe zdenerwowanie wynika z szumu wobec ważnej pacjentki i że wnet przejdzie. Położył się więc na chwilę na kanapie, aby się uspokoić. Lecz zamiast się psychicznie wzmocnić, usnął.

Opanowała go obojętność. Uświadomił sobie, że jest stary, zmęczony i nie wolno mu żywić nierealnych fantazji. Musi odejść, nie ma prawa trzymać się kurczowo swego zawodu, gdyż życie dowodzi, że już się do niego nie nadaje. Chirurgia nie znosi oczu, które migocą, rąk, które się trzęsą. Nie wolno mu z powodu własnej próżności narażać życia dwóch istot. Musi ustąpić.

Lecz natychmiast opuściły go dolegliwości i jak młodzieniec zeskoczył z kanapy. Nonsens! To są śmieszne, nieuzasadnione myśli w chwili słabości, które chirurg musi bezwzględnie odrzucać. Nie tylko teraz, pocieszał się, lecz również w młodości nawiedzały go wątpliwości, niepokój, zdenerwowanie, nie poddawał się im, odpędzał je. I teraz też przezwycięży ten bezsensowny lęk. Na chwilę uległ wrzawie i atmosferze, jaka się wytworzyła wokół chorej z powodu jej wysokiej pozycji społecznej. Lecz profesor się nie podda. Dla niego jest to pacjentka, jedna z tysięcy kobiet, które w swym życiu operował i musi zachować spokój, jak zawsze. Jak długo trwają przygotowania, lekarz jest niepewny, pełen wątpliwości. Gdy

dochodzi do działania, znikają wszelkie wahania. Podobnie jak u generała przed bitwą, który zrazu jest niespokojny, niepewny, tysiąc razy musi zaplanować, przemyśleć, lecz z chwilą, gdy został odegrany sygnał rozpoczęcia bitwy, znikają wszystkie troski, wraca spokój, pewność, zdecydowanie.

Profesor Halewi energicznie umył twarz zimną wodą, cicho, aby nikt nie zauważył, zażył proszek na uspokojenie. Następnie wezwał siostrę przełożoną Hildę, aby go ubrała i umyła mu ręce. Gdy wszystko było gotowe, rzucił okiem na portret swego ojca, rabina w jarmułce na głowie, jakby chciał go prosić, aby był dlari oparciem w ciężkiej godzinie i sprężystym krokiem wszedł na salę operacyjną. Skinieniem głowy zapytał dr. Karnowskiego, czy wszystko gotowe. W podobny sposób dr Karnowski potwierdził, że tak. Profesor Halewi rzucił okiem na lekarzy, siostry, narzędzia, na butlę z tlenem, a nawet na krwiodawczynię, gotową w razie potrzeby dać chorej krew. Ostatnim spojrzeniem ogarnął rodzącą, która leżała pod maską w narkozie. Jej drobne, młodzieńcze ciało było spokojne i zarumienione. Wyglądała, jakby zwracała się do lekarzy i prosiła ich, aby nie pozwolili jej opuścić pięknego, dobrego i wygodnego świata.

W największym napięciu, nakazując sobie zachować spokój, bezwzględny spokój, profesor Halewi wziął gładki chirurgiczny nóż, który w ciągu długich lat tysiące razy wrzynał się w ludzkie ciała i przygotowywał się do cesarskiego cięcia, którym zasłynął w świecie. Lecz w tej chwili poczuł uderzenie w prawą skroń tak bolesne, jakby go ścisnęły kleszcze, w oczach mu niezwykle pojaśniało, po czym

straszliwie pociemniało.

Struchleli wszyscy, lekarze, siostry, chustki na ich ustach poruszały się. Pierwszy odzyskał przytomność dr Karnowski. Jak oficer przejmujący komendę na polu bitwy, gdy dowódca pada od kuli, zaczął dowodzić przy stole operacyjnym.

— Wnieść go do gabinetu i wezwać profesora Barta!

— polecił.

Kilku lekarzy chwyciło i wyniosło profesora.

— Pilnować serca! — polecił dr Karnowski lekarzowi stojącemu obok, wskazując na chorą.

Lekarz zajął miejsce Karnowskiego.

— Siostrzo Hildo, pozostać na miejscu, uwaga!

— polecił siostrze przełożonej.

Siostra Hilda ruchem swego gibkiego ciała dała znać, że wypełnia polecenie.

— Spokojnie i uważnie — powtórzył dr Karnowski to, co zwykle zalecał profesor Halewi dokonując cesarskiego cięcia.

Cisza i napięcie były tak wielkie, że słyszeć było, jak w brzuchu siostry Hildy burczy ze zdenerwowania.

Gdy asystujący lekarz dał znać, że serce operowanej słabnie, dr Karnowski zalecił:

— Adrenalinę!

Zaraz potem:

— Tlen!

Gdy puls znów bił silniej, dr Karnowski zaczął ratować dziecko.

Nie oddychało, dr Karnowski przekazał je lekarzowi obok.

— Sztuczne oddychanie — powiedział cicho.

Wkrótce dał się słyszeć pierwszy pisk. Uśmiech rozjaśnił czarne oczy dr. Karnowskiego.

Gdy opuścił sale operacyjną, a siostra Hilda ściągnęła mu z rąk gumowe rękawice i chustkę z twarzy, spływały po niej wielkie krople potu.

— Proszę wytrzeć mi twarz. Jestem zupełnie mokry — powiedział wchodząc do gabinetu profesora Halewiego.

Obok leżącego chorego profesora siedział Bart i głaskał jego rękę.

— Spokojnie, ty stary pewniaku — ostrzegał, aby się nie ruszał, gdy zobaczył dr. Karnowskiego — tylko spokojnie.

Dr Karnowski pokrótce poinformował o przebiegu operacji.

Profesor Halewi kiwał głową i uśmiechał się krzywo. Dr Karnowski swym lekarskim okiem od razu zauważył, że prawa połowa twarzy jest obwisła, zaśliniona.

Jakkolwiek starano się usilnie, aby — jak to było zwyczajem profesora Halewiego — to, co się dzieje w klinice nie przedostawało się na zewnątrz, wieść o tym wydarzeniu się rozeszła. Gazety pełne były wiadomości o operacji córki ambasadora i o ataku profesora Halewiego w momencie, gdy trzymał nóż w ręku, jak również o tym, jak młody Karnowski opanował sytuację i doprowadził sprawę do szczęśliwego zakończenia. Reporterzy i fotoreporterzy oblegali klinikę, pragnąc uzyskać informacje i zrobić zdjęcia.

Profesor Halewi został odwieziony do kliniki profesora Barta. Nie

wrócił już do praktyki. Zastąpił go dr Karnowski, którego imię stało się sławne w najbardziej znanych domach stolicy, zwłaszcza w kręgach żon zagranicznych dyplomatów.

— On jest boski — mówiła wylewna pani ambasadorowa, matka uratowanej kobiety, swym arystokratycznym przyjaciółkom.

— A jaki piękny mężczyzna — chwaliły go młode, swawolne kobiety, oglądając fotografie w gazetach — przyjemnie chorować u takiego lekarza.

— Jest trochę zbyt wschodni — reagowały na to starsze, zgorzkniałe niewiasty.

Wśród tych, którzy nadesłali gratulacje dr. Karnowskiemu, była również dr Elza Landau. Na blankiecie Reichstagu napisała krótkie gratulacje. Dr Karnowski czuł się podniesiony na duchu tym listem. “W końcu mnie doceniła” — myślał, odczytując kilkakrotnie jej ściągłe, pewne i męskie pismo. Jednocześnie poczuł nękającą go za nią tęsknotę.

Mały Joachim Georg, zwany zdrobniale Jegorem, co było skrótem połączonych dwojga jego imion, stoi na małym podwórzu ojcowskiego domu w Grunewald i polewa strumieniem z gumowego węża równo strzyżoną trawę i kwiaty na okrągłych klombach, ogrodzonych pałączkami i sznurkami obwieszonymi białymi płócienkami. Skoszona trawa, krótko przycięta jak włosy na żołnierskiej głowie służącego Karla, który często kosi trawnik, zalana jest całkowicie wodą spływającą na zewnątrz, na ulicę. Teresa Karnowska, przestraszona tym nieporządkiem, prosi chłopca, aby

przestał się bawić wodą.

— Jegor, przestań — prosił — zalewasz ulicę.

— Jegor, nie polewaj kwiatów tak mocno, połamiesz je.

— Jegor, przeziębisz się, włącząc w wodę. Niedawno wstałeś po chorobie, już zapomniałeś? Przypomnij sobie, Jegoreczku.

Jegoreczek nie chce sobie przypomnieć i dalej robi swoje, choć nie lubi chorować. Łazi w mokrych butach, aby drażnić matkę. Teresa niespokojnie spogląda na swoje dziecko. Jest wysokie, wyrosnięte ponad swoje pięć lat, bardzo chude. Jego długie nogi to same kości. Bardzo długa - zbyt długa i zbyt chuda przy jego ciężkiej głowie — jest też szyja chłopca. Często się przeziębia, pierwszy łapie dziecięce choroby pniące się w mieście. W ciągu pięciu lat swego życia' chorował na wszelkie dziecięce schorzenia — odrę, szkarlatynę, koklusz. Nikt w domu nie rozumie, dlaczego tak się dzieje.

Karnowscy mieszkają w najlepszej, odosobnionej dzielnicy miasta, w przestronnym mieszkaniu. Odkąd Georg stał się popularny, ma wielką praktykę, bogatą klientelę i jest dobrze opłacany, przede wszystkim kupił dom w Grunewald, z wieloma oknami i z ogrodzonym żelaznym płotem ogródkiem. Teresa Karnowska ma służącą i służącego, który dogląda ogródka, prowadzi wóz, a również sprzedaje swa krew, gdy dr Karnowski potrzebuje jej do transfuzji. Mały Jegor ma w domu rodziców dużo słońca i powietrza. Rzadko spotyka się z innymi dziećmi, gdyż jest skryty, lubi być sam. Matka wychowuje go według wszelkich prawideł medycyny, daje mu tyle

mleka i jarzyn, ile zalecają podręczniki traktujące o wychowaniu dzieci — nie więcej i nie mniej. Chłopiec zgodnie z zaleceniami przebywa na powietrzu. Matka kładzie go spać regularnie i ubiera ściśle według zasad higieny. Ojciec często go bada i utrzymuje pod ciągłą obserwacją. Po powrocie z pracy długo myje ręce, zanim podejdzie do swego chłopca i podniesie go w górę, aż do sufitu.

Teresa Karnowska nie może zrozumieć, skąd u jej dziecka biorą się te wszystkie dziecięce choroby, które zwykle wybuchają w północnej części miasta, w robotniczej dzielnicy Neukölln. Nie rozumieją też tego pozostali członkowie rodziny, zarówno ze strony Karnowskich, jak Holbeków. Jak zwykle w takich razach każda strona obwinia drugą. Dr Karnowski jest przekonany, że winę ponosi matka. To Teresa jest tak blada i przezroczysta, przez jej bardzo szczupłe ciało prześwieca każda żyłka. Również jej brat jest za wysoki i przerośnięty, bardzo szczupły, ma niezwykle bladą cerę. Dr Karnowski wie ze swej praktyki, że tego rodzaju ludzie, bardzo bladzi i szczupli, są podatni na epidemie i przeziębienia. Członkowie jego rodziny mają ciemną cerę i tęgą budowę ciała. Hugo Holbek jest pewny, że winę za stan zdrowia Jegora ponosi druga strona — Karnowscy. Słyszał, że Żydzi, choć są najlepszymi lekarzami, są jednocześnie słabi i wydelikaceni, nie nawykli do trudów i pracy.

— Czego innego można się spodziewać, gdy Holbekowie łączą się z przeklętymi Karnowskimi — mówi znudzony do swej matki, głośno ziewając.

Stara pani Holbek zupełnie tego nie rozumie.

— Lecz Georg jest silnym, wesołym mężczyzną H mówi ze zdumieniem.

Hugo, ziewając apatycznie, odpowiada matce:

— Nie chodzi o niego, lecz o jego rasę.

Hugo powtarza to, co niedawno słyszał na zebraniu w bawarskiej piwiarni Schmidta przy moście Poczdamskim, gdzie schodzą się studenci i byli oficerowie.

Na dowód przytacza przykład z wojska. W jego oddziale był jedyny żydowski żołnierz, niskiego wzrostu, tęgi, w dodatku w okularach, bardzo komiczny chłop.

Jedynie matka Jegora, Teresa Karnowska nie obciąża nikogo winą za słabe zdrowie syna. Wie, że jest to następstwo wojny. Ciężko jej było, nie dojadła, zawsze trochę głodowała i to właśnie wtedy, gdy rosła i miała duży apetyt. Po wojnie również było kilka trudnych lat. Wie, że nie ona jedna ma takie problemy. Wiele matek użala się przed nią, że ich dzieci, urodzone po wojnie, są wątłe i anemiczne, łatwo zapadają na wszelkie choroby. Teresa wlewa swemu chłopcu dużo tranu w jego długie, chude gardło, aby go wzmocnić. Mały Jegor wtedy wymiotuje na perski dywan w dużym pokoju jadalnym. To samo robi, gdy matka daje mu do wypicia lek lub szklankę mleka. Umiejętność wymiotowania posiadał do perfekcji, może to zrobić, kiedy chce, nawet w parę godzin po posiłku.

— Mutti, będę wymiotował — grozi, gdy matka nie chce ulec któremuś z jego niezliczonych kaprysów.

Przy ojcu boi się to robić, lecz w żadnym razie nie pozwoli mu

zmusić się do czegokolwiek. Nie chce przyjmować leku, gdy jest chory, nie pozwala sobie wetknąć łyżeczki do ust, gdy ojciec chce mu zbadać gardło w czasie częstych jego przeziębień.

— Powiedz a-a-a, Jegoreczku — prosi dr Karnowski.

— Muuuuu — mówi mały, naśladując krowę i zaciskając mocno wargi.

Bardzo lubi też robić na przekór babce Karnowskiej, gdy przychodzi do ich domu. Lea przypada do niego w uniesieniu, głośno go całuje, nie spuszcza z kolan i wylicza, « jakie są powinności dobrego chłopca. Powinien on dużo jeść, mieć grube, zdrowe policzki, ponadto nie może być taki wychudły, zielony i blady, musi być rumiany jak jabłko.

— Radości, złoto, brylancie, jagniątko, ptaszyno, skarbie! — wykrzykuje w swym mielnickim, żydowskim języku.

Jegor nie rozumie tych słów, wydają mu się śmieszne, podobnie jak błędy, które babka popełnia, mówiąc po niemiecku.

— Jagniątko... — przedrzeźnia ją — ptaszyno...

Teresa nie panuje nad sobą, słysząc, jak mały drwi z Lei Karnowskiej.

— Boże drogi! — mówi zdenerwowana — Jak ty mówisz do babci? Przeproś babcię, Jegoreczku!

Jegoreczek nie chce przeprosić babci Karnowskiej i woli wyjść na podwórze, gdzie służący Karl w kąciку przy garażu naprawia różne przedmioty, albo myje auto i grzebie w motorze, albo reperuje połamany mebel, bądź manipuluje przy drutach elektrycznych.

Zawsze ma tak zakasane rękawy koszuli, że widać tatuaże na jego rękach. Kieszenie jego aksamitnych brązowych spodni wypchane są młotkami, obcęгами, śrubami, w ustach ma pełno małych gwoździków, które pojedynczo wyjmuje i do czegoś przybija.

■K Dzień dobry, Karl! — Jegor pozdrawia go za każdym razem, gdy go widzi, dziesiątki razy dziennie.

— Dzień dobry, Jegoreczku! — odpowiada Karl z gwoździkami w ustach i jakby do taktu wali w coś młotkiem.

Jego akcent jest z Neukölln, używa wielu pospolitych słów, które bardzo podobają się małemu Jegoreczkowi, choćby dlatego, że matka zabrania mu ich używać. Podobnie lubi oglądać ręce Karla, jego twarde mięśnie, o grubych żyłach, poruszające się przy każdym mchu tam i z powrotem jak żywe stworzenia. Najbardziej lubi jednak zadawać Karlowi pytania. Mnóstwo pytań ma do niego mały Jegoreczek.

— Karl, dlaczego masz rozciętą brew nad okiem?

— Przeklęty Francuz zdzielił mnie bagnetem na wojnie — odpowiada Karl mając w ustach pełno gwoździków.

— Dlaczego?

— Bo była wojna, a my biliśmy się.

— Czy ci ciekła krew? — pyta ze strachem Jegoreczek.

Bardzo się lęka krwi. Krew mu płynie z nosa od czasu do czasu, zwłaszcza w upalne dni i Jegoreczek boi się, gdy tylko jest mowa o krwi.

— Oczywiście — mówi Karl obojętnie — lecz to drobnostka.

Ugodziłem go bagnetem w bok i rozłożyłem.

Jegoreczek patrzy wielkimi błękitnymi oczami i aż krzywi się z bólu.

— A — mówi ze strachem. Karl macha wytatuowaną ręką.

— Nie trzeba się bać krwi — poucza go t gdyż wtedy nie można być żołnierzem. Ty przecież też będziesz żołnierzem, gdy dorośniesz.

— Pewnie, Karl — mówi mały radośnie. — Będę nosił szpadę, jak wuj Hugo na fotografii.

Oprócz Karla lubi Jegoreczek babcię Holbek, która od czasu do czasu przychodzi po niego i zabiera go na kilka godzin. Nie mówi tak śmiesznie jak babcia Karnowska i nie nazywa go żadnymi cudacznymi imionami. Po drodze prowadzi go do kościoła, klęka i jemu każe robić to samo. Kościół jest piękny, pełno w nim figur, okna są barwne, wielokrotne echa odbijają wypowiedane słowa.

Bardziej jeszcze niż babcię Holbek Jegoreczek lubi wuj Hugona. Po pierwsze, jest on wysoki, wyższy od tatusia. Ponadto zezwala mu patrzeć przez polową lornetkę, przez którą wszystko, co się widzi jest bardzo duże. Pozwala mu też bawić się swoim rewolwerem, z którego najpierw wyjmuje wszystkie naboje, i opowiada historie o wojnie.

Zawsze blade, obojętny, wuj Hugo ożywia się, gdy mówi na ten temat. Jego bardzo jasne, pozbawione rzęs oczy zapalają się, blade policzki nabierają rumieńców. Jest tak pochłonięty wojennymi opowieściami, że zapomina, iż ma przed sobą dziecko i rozmawia z nim jak z dorosłym. Bardziej niż wuj Hugo rozpala się mały Jegoreczek. Jak większość słabowitych chłopców lubi słuchać o sile,

bitwach i bohaterstwie. Podobają mu się liczne fotografie, na których wuj Hugo ma na sobie mundur oficerski, wysokie sztylpy na długich nogach, bardzo wąskie spodnie, epolety i ostrą lancę. Jegoreczek chwali się przed wujem, że również ojciec ma fotografie z frontu, gdzie był oficerem. Wuj Hugo macha ręką. Ojciec był w wojsku tylko lekarzem. Prawdziwym oficerem, porucznikiem, był on, Hugo Holbek. Jegoreczek jest rozczarowany ojcem, który nie był prawdziwym oficerem, i szczyci się wujem Hugonem.

— Dlaczego teraz nie nosisz lancy i szpady, wuju?

— pyta urażony.

To słaby punkt wuja Hugona. Jest wzburzony.

— To przez tych przekleńników — warczy, zapominając, że rozmawia z dzieckiem, i to z dzieckiem Teresy.

Od razu jednak uprzytamnia sobie, gdzie się znajduje i nie udziela odpowiedzi.

— Jesteś za mały, by to wszystko zrozumieć, chłopcze

— mówi cicho. — ■ Zrozumiesz, gdy będziesz starszy.

Jegoreczek bardzo chce być starszym, by zrozumieć wszystko, czego dorośli nie chcą mu powiedzieć. Na razie chce tylko wiedzieć, czy wuj Hugo nigdy już nie będzie nosił lancy i szpady.

— Nie można tego wiedzieć z całą pewnością, mały

— mówi wuj Hugo. — Lecz nadejdzie taki czas, bez wątplenia.

Chłopiec jest zadowolony, że wuj Hugo znów będzie porucznikiem.

— Ja też chcę być porucznikiem — mówi promieniejąc — jak ty,

wuju.

— Nie lekarzem, jak twój ojciec?

Jegoreczek krzywi się z obrzydzeniem. Nie ma w jego Pojęciu nic gorszego niż lekarz. Wszystko jest dla niego lepsze — kierowca, goniec, nawet kominiarz, który przychodzi z miotłą czyścić komin. Jakież to obrzydliwe wtykać komuś łyżeczkę do gardła albo wlewać w nie gorzkie lekarstwo, jak to ojciec często mu robi.

Wuj Hugo śmieje się z niechęci chłopca do lekarzy i nakazuje mu nie opowiadać ojcu, o czym rozmawiali.

— Naturalnie, że nie, wuju Hugonie — mówi Jegoreczek zadowolony, że ma zachować tajemnicę, którą znać może tylko wuj i on.

Ze swej strony babka Holbek prosi go, aby nie opowiadał w domu, że był z nią w kościele.

— Dlaczego, babciu? — pyta Jegoreczek — Czy Mutti nie chce, abym chodził do kościoła?

— Tak, ale tatuś może się gniewać.

— Dlaczego, babciu?

— No, bo tatuś tego nie lubi.

— Dlaczego tatuś tego nie lubi, babciu?

Babcia Holbek chce coś powiedzieć, lecz cofa się i mówi wymijająco, jak zwykle dorośli, gdy nie mogą udzielić prawdziwej odpowiedzi.

— Za mały jesteś, aby to zrozumieć — mówi. — Pojmiesz to, gdy będziesz starszy. W każdym razie nie powinieneś nic opowiadać.

Nie opowiada więc Jegoreczek, choć bardzo pragnie. Właśnie dlatego, że mu zakazano, korci go, aby o wszystkim opowiedzieć. Myśli też o tym, co widzi dokoła, zwłaszcza wieczorem, gdy matka kładzie go do łóżeczka w dzieciennym pokoju i gasi światło.

Jegoreczek nie rozumie dorosłych, wie, że ma dziadka w mieście, w gabinecie ojca wisi jego fotografia, ale nigdy go jeszcze nie widział.

—Dlaczego nie przychodzi dziadek Karnowski? — pyta ojca.

—Zobaczysz go, gdy dorośniesz — odpowiada ojciec.

Babcia Karnowska przychodzi, przynosi mu bardzo słodkie ciasteczka z rodzynkami i migdałami. Lecz mówi inaczej niż wszyscy, przy tym zanim poczęstuje Jegora ciastkami, uczy go wymawiania śmiesznych, obcych wyrazów. Chłopiec nie wie, co to są za słowa i dlaczego ma je wypowiadać. Babcia mówi, że jest za mały, aby to wiedzieć. Przy tym ostrzega, aby nikomu nie mówił

tych słowach, które każe mu wymawiać przed jedzeniem, ani Mutti, ani nawet tatusiowi.

Jegoreczek chciałby już być duży, dorosły, aby wszystko zrozumieć. W łóżeczku wyciąga nogi, jak mu każe matka, aby szybciej urosnąć. Lecz mimo że robi to co dzień, jest wciąż mały i nie pojmuje, co się wokół niego dzieje. Ojciec bardzo rzadko przebywa w domu. Z samego rana jedzie do szpitala, potem na wizyty do chorych, często nawet nie wraca do domu na noc, a matka mówi, że wezwano tatusia do chorej pani. Gdy wraca, bawi się z Jegoreczkiem, podnosi go wysoko, sadza na ramionach

skacze z nim po dywanie jak koń.

Ale tak bywa sporadycznie. Najgorsze zaś jest to, że ojciec lubi często go badać i zaglądać mu do gardła. Gdy bawią się w najlepsze, sadza go nagle na kolanach, zagląda w oczy, w uszy, maca gardło, każdą kostkę oddzielnie, każe mu otwierać usta i mówić a-a-a.

Jegoreczek nie lubi, gdy tatuś maca mu gardło i zagląda w oczy i uszy. Po co tyle patrzeć? Ojciec jeszcze kilka razy przesuwa rękami po żebrach syna i nagle wypuszcza go z rąk.

— Musisz więcej z Mutti spacerować, bawić się z dziećmi, a nie siedzieć przy garażu z Karlem — mówi ojciec. — Słyszysz, zielony robaczku?

Tak go nazywa — “zielony robaczku”. Jegoreczek tego nie lubi. Nie podoba mu się też, że ojciec każe mu się bawić z dziećmi, których on akurat nie lubi, gdyż wciąż biegają, gonią się. Jegoreczek nie może ich dogonić, prędko się męczy. Dzieci dlatego śmieją się z niego, wołają na niego “bocian”, inne przezywają go “Cygan”, bo ma czarne włosy. Jegoreczek wstydzi się do nich podchodzić, nawet się ich boi, za nic nie chce podać ręki chłopcom i dziewczynkom w parku, z którymi matka każe mu się bawić i tańczyć z nimi w kole.

— Bądź grzeczny, Jegoreczku — prosi go matka. — Dziecko powinno się bawić z dziećmi.

— Nie — mówi Jegoreczek, choć chce się bawić i rówieśnikami.

Coś go do nich nie dopuszcza, hamuje go. Dzieci go unikają. Patrzy na nie z boku z zazdrością i dlatego ich nie lubi. Woli przebywać z dorosłymi, głównie ze służbą w domu. Lubi wchodzić do kuchni, do służącej Lieset-chen i z nią rozmawiać. Przepada za

służącym Karlem, który zawsze coś przybija i ma usta pełne małych gwoździków. Zna on wiele historyjek, opowiada o okrętach, na których w młodości był palaczem. Jegoreczek nie może spokojnie usiedzieć przy posiłkach. Chce jak najprędzej pobiec do Karla, nawet po kolacji, lecz matka nie pozwala. Mówi, że mały chłopiec musi wcześniej chodzić spać, zagania go do łóżka i gasi światło. Jegoreczek leży w ciemności z otwartymi oczami i boi się.

Widzi w ciemności różne zjawy, diabły z rogami, o których opowiada mu służąca Liesetchen, jeżdżące na miotłach czarownice z ostrymi podbródkami i długimi włosami, oraz czarowników w czerwonych czapkach na głowach, wlatujących nocami przez kominy. Jegoreczek zamyka oczy, aby nie widzieć tych straszliwych zjaw. Lecz im bardziej zaciska powieki, przybywa ich coraz więcej. Tańczą w korowodach, wbiegają i wybiegają przez żelazne drzwiczki pieca, na których wyryci są kominiarze, jeden z drabiną, drugi z miotłą i sznurem. Jegoreczek widzi, jak ożywają, zlążą z żelaznych drzwiczek i skaczą dziko dookoła, głośno się śmieją i pokazują mu długie, czerwone języki. Chłopiec naciąga kołdrę na głowę, aby się przed nimi ukryć, lecz oni ściągają z niego kołdrę, chwytają go czarnymi rękami za ramiona. Jegoreczek krzyczy, wzywa pomocy.

— Mutti, Mutti — woła przerażony.

Gdy matka wchodzi, jest cały mokry od potu. Obejmuje ją za szyję drżącymi rączkami.

— Mutti, chcieli mnie zabrać do worka — mówi ze strachem.

Teresa wyciera mu pot z czoła i wyśmiewa go. Mądry chłopczyk

powinien spać, a nie leżeć z otwartymi oczami i uszami. Mądry chłopczyk nie powinien się bać, gdyż nie ma żadnych czarownic i diabłów. Zapala lampę i pokazuje mu, że nikogo nie ma w pokoju. To niemądre bać się drzwiczek od pieca. Teresa otwiera je, wewnątrz jest czarno, ale tak powinno być, od dymu piec czernieje. Tylko niemądrzy chłopcy wierzą, że przez komin wlatują duchy. Mądry chłopczyk powinien spać, usnąć od razu, kiedy się kładzie do łóżka, a nie bać się.

— Jegoreczek sam widzi, że nic nie ma, czyż nie tak?

— Tak, Mutti — mówi Jegoreczek. — Kiedy jest jasno, nie widać nic, lecz gdy tylko się ściemnia, widać wszystko.

To nonsens, śmieje się Teresa. Przeciwnie, przy świetle się widzi, w ciemności zaś nie widać nic. Dlatego właśnie nocą zapala się światło. Dowodzi mu logicznie, że nie ma się czego obawiać, szczerze go okrywa, całuje w oczy i cicho wychodzi, gasząc lampę.

— Spać, spać, natychmiast usnąć, niemądry chłopcze

— mówi. — Dobranoc.

— Dobranoc, Mutti — mówi Jegoreczek i patrzy na ostatni promień światła, który zanika. I znów przychodzą do niego zjawy. Na rzeźbionym suficie rzeźby ozywają i ruszają się. Lampa jest zgaszona, ale wychodzą z niej jasne, ogniste, różnokolorowe promienie. Wirują kółka

— duże, małe i zupełnie maleńkie. Kręcą się z szaleńczą szybkością, jakby się bawiły w gonionego. Jegoreczek wstydzi się ponownie wołać matkę, lecz boi się ciemności, która pełna jest ruchu i

dźwięków. W tym strachu w końcu zasypia, skulony i z nakrytą pościelą głową. Lecz również we śnie przychodzą do niego widma, wychodzą ze wszystkich kątów, z każdej szczeliny w drzwiach. Przez każdą dziurkę i szparę wchodzi wszyscy polegli żołnierze, o których opowiadał Karl, gromadzą się — pokłuci, pokrwawieni, bez głów, bez nóg, krążą wokół jego łóżeczka. On jest już dorosły jak wuj Hugo i również jest żołnierzem, w randze porucznika, nosi wysokie sztylpy, szpadę i lancę. Jest wysoki, najwyższy ze wszystkich. Naprzeciw idą przekłeci Francuzi, szkaradni wszyscy. Jegoreczek rzuca się na nich ze swymi żołnierzami i bije się z nimi bardzo dzielnie. Wywija szpada i Francuzi padają jeden za drugim. Nagle wyskakuje jeden z nich, jest to Murzyn z Afryki, taki, o których opowiadał wuj Hugo. Przewraca białkami oczu, trzyma nóż w wielkich, białych zębach i zmierza wprost w jego kierunku. Jegoreczek chwytą szpadę, lecz Murzyn łapie jej ostrze gołymi rękami i łamie je. Następnie wyjmując trzymanym między zębami nóż i rzuca się do gardła Jegoreczka.

— Huha! jahu! — wrzeszczy.

Jegoreczek wyskakuje spod kołdry, otwiera drzwi, biegnie wprost do sypialni rodziców.

— Mutti — woła przerażony — tatusiu, boję się. Jest tak ciemno.

Rodzice przywykli już do takich scen. Zapalają lampę w swojej sypialni. Teresa ociera spoconą twarz syna. Dr Karnowski bierze go do siebie do łóżka i ma pretensje do Teresy, dlaczego pozwala, aby opowiadano dziecku bajki o diabłach i duchach. Jest zajęty dniem i nocą, nie ma czasu zająć się synem. Ale ona, matka, powinna się o to

troszczyć i zapowiedzieć domownikom, aby nie wazyli się zapychać główki dziecka tym świństwem. Nie życzy sobie, aby w jego domu wspomiano o takich bzdurach. Jeżeli jeszcze raz usłyszy, że Liesetchen wspomina choć słowem o diabłach i duchach, zwolni ją. Zapala wszystkie lampy w mieszkaniu, bierze Jegoreczka za rączkę i prowadzi go z kąta w kąt. Chce zobaczyć duchy i diabły. Niech Jegoreczek choć jednego mu pokaże, to mu zaraz obetnie ogon. Jegoreczek śmieje się, ale wrócić do swego pokoju nie chce. Będzie spał w kąciku, na podłodze nawet, ale w pokoju rodziców. Już nigdy więcej nie będzie się bał. Przysięga. Ale tylko tej nocy niech mu pozwolą spać tu ze sobą, bo się bardzo boi, że ten przeklęty czarny francuski żołnierz z nożem w ustach znów mu się przyśni. Dr Karnowski pozwala mu położyć się z matką. Dziecko natychmiast zasypia.

— Biedne dziecko — szepcze Teresa, patrząc na jego długie, leżące na kołdrze rączki.

— Te idiotyczne frontowe historie Hugona, które włacza dziecku — mruczy dr Karnowski. — Szpady, noże, świństwo. Ile razy mówiłem, aby nie dopuszczać dziecka do tego bałwana!

— Och, Panie Jezu! — mówi Teresa i gasi lampę.

Mąż i żona milczą, lecz nie śpią. Oboje są niespokojni o syna. Zdają sobie sprawę, że dziecko nie jest udane, choć tego nie mówią. Wiedzą, że w ich wieku, przy ich kondycji i warunkach materialnych powinni mieć zdrowszego potomka. Nie rozumieją, dlaczego chłopiec jest taki niespokojny, rozkojarzony, przestraszony i

ma taką wyobraźnię. Ludzie, jak zwykle w takich wypadkach, wolą zrzucić winę z siebie na kogoś innego. Każde z małżonków myśli, że winna jest druga strona. Teresa w głębi ducha ma żal do męża, że zbyt mało zajmuje się synem. Dziecko, zwłaszcza takie wrażliwe, wymaga, żeby ojciec bardziej się nim zajmował. Jegoreczek nie słucha jej, ale Georga by słuchał. Jako lekarz winien on bardziej czuwać nad chłopcem, porozumieć się z kolegami, wielkimi pediatrami, jak z dzieckiem postępować. Sama by to zrobiła, ale obawia się, czy nie uraziłaby męża tym, że nie powierza mu ich dziecka, lecz zwraca się do innych lekarzy. Teresa sądzi też, że babka Karnowska swymi gorącymi pieścizotami i przesadną czułością drażni Jegora. Uczy go hebrajskich modlitw, czego dziecko nie chce. Opycha go ciastkami, słodyczami i to jeszcze między posiłkami, kiedy Jegoreczek nie powinien jeść, to bowiem narusza dyscyplinę, ustalony porządek, który wprowadziła Teresa według wszelkich reguł zalecanych w książkach o wychowaniu dzieci. Nie może przekonać teściowej, aby nie dawała wnukowi słodyczy. Zamierzała już powiedzieć o tym mężowi, lecz się powstrzymała, obawiając się, że ją zrozumie opacznie.

Georg leży z otwartymi oczami i myśli o tym, jak różni się jego dziecko od niego. Mimo że nad nim tak nie czuwano, nie chowano według wszelkich zaleceń medycyny, był zdrowy, wesoły i niczego się nie bał. To wszystko bierze się z głupstw, którymi napycha się Jegoreczkowi głowę, wszyscy ogłupiają to dziecko — Lieset-chen ze

swymi diabłami, Hugo ze swymi frontowymi opowiadaniem, szpadami i nożami, babka Holbek swym kościołem, świętymi i cudami. Mimo że utrzymuje się to w tajemnicy, Georg wie, że babka Holbek ciągnie jego syna do kościoła i nabija mu głowę cudami i bajkami. Wywiera to na wrażliwym dziecku silne wrażenie i rozkojarza jego rozdygotaną wyobraźnię. Nieraz już chciał mówić o tym z Teresą, ale się wstrzymuje, gdyż obawia się, że ona źle go zrozumie. Swej matce zapowiedział, aby nie zwracała Jegoreczkowi głowy modlitwami, gdyż on tego nie uznaje. Co prawda rozgniewało ją to, ale on nie obawia się jej tego powiedzieć, bo to jego matka. Co innego teściowa, która i tak go uważa za obcego, może sobie podobną uwagę wytłumaczyć opacznie.

Do diabła, człowiek nie jest wolny, nawet gdy chce nim być — myśli dr Karnowski. Zawsze napotyka na trudności, narzucone mu warunki życia, przesady, obyczaje, zasady, tradycje. Spuścizna po pokoleniach ciągnie się jak szmaty, których nie można się pozbyć. Ojciec nie może kierować swym dzieckiem. Nie jest w stanie uchronić go przed rodziną, środowiskiem, wychowaniem. Bezsens, jakby go nie przepędzać z domu, wkracza doń drzwiami, bramą, przez komin. Od myśli o wychowaniu dr Karnowski przechodzi do rozważań o atawizmie, dziedzictwie. Jest dla niego jasne, że Jegoreczek więcej przejął od matki niż od niego. Mimo że ma czarne włosy jak wszyscy Karnowscy, jego ciało jest jednak przezroczyste, białe i szczupłe, twarz mu szybko nabiega krwią. To ciało matki. Również szczupłość i prze- rośnięcie chłopca jest Holbekowskie. Wuj

Hugo też jest taki wyciągnięty i blady. Dr Karnowski nie ceni zdrowotności szczupłych i bardzo jasnych ludzi. W praktyce lekarskiej miał wiele z nimi kłopotów. Trudniej ich operować. Ich rany źle się goją. Są nieodporni fizycznie oraz wrażliwi na kataklizmy moralne. Wszelkie fantazje, przesady i romantyczne brednie tkwią w nich i nie mogą się oni od nich uwolnić.

W ciemności rzuca okiem na śpiącego Jegoreczka. Powieki dziecka są opuszczone, szczupłe chłopięce rączki spoczywają bezradnie na kołdrze, czoło pod czarnymi włosami jest blade i przezroczyste. Dr. Karnowskiego ogarnia litość nad synem. "O czym myślisz?"

— zastanawia się nad śpiącym dzieckiem. "Co się dzieje w dziecięcym mózgu? Co widzi nocami, gdy jest tak niespokojny? Jakie myśli i lęki gnieźdzą się w jego główce?" Karnowski wie, że jako lekarz zna ludzki mózg, każdą tkankę i komórkę. Nieraz na froncie operował czaszki, docierał do mózgu. Lecz czym jest ta materia złożona z krwi, żył i tkanki łącznej? Dlaczego u niektórych osobników jest niespokojna i zdolna do najwyższych osiągnięć myślowych, u innych zaś tępa jak u bydła? Dlaczego jednych przywodzi do radości i zadowolenia, innych do mrocznej udręki i wiecznego strachu? Nie wie tego. Oto leży obok jego syn, krew z jego krwi i kość z jego kości, lecz jest przed nim zamknięty. Ojciec widzi jedynie, że choć to jeszcze dziecko, opanowany jest przez wiele mrocznych myśli, niepokoje i lęki. Kto wie, czyja krew odzywa się w nim nocami, czyje dziedzictwo minionych pokoleń. Być może, jest to prapradziad

Holbe- ków, prześladowany, chłostany niewolnik. Może żołnierz najemny, który dla chleba walczył w obcych armiach albo barbarzyńca, który schronił się w jaskini i drżał przed dzikimi zwierzętami i wrogami. A może jest to ktoś z jego przodków, pachciarz, którego polski dziedzic szczuł psami albo rabin, płaczący po nocach w lęku przed piekłem. Dr Karnowski wie, że dziedzictwo jest wielką siłą. Pokolenia z odległych lat wracają do swych praprapradków nieraz nawet z bocznej linii pokrewieństwa —brat praprababki, siostra prapradziadka. Świat jest pełen tajemnych sił, złych i dobrych, mądrości i głupoty, okrucieństwa i miłosierdzia, zdolności i niedołęstwa, zdrowia i chorób, radości i smutku, geniuszu i szaleństwa, dobroci i złości, dźwięków i kolorów, piękna i brzydoty, i mnóstwa innych cech. Od pokoleń unoszą się one w najmniejszej cząstce kropli, gnanej tajemniczą siłą i pragnieniem owocowania, rozmnażania się i zapładniania nowych pokoleń. To jest natura, krew, dziedzictwo, odwieczne prawo przetrwania — mówią koledzy lekarze, z którymi czasem rozmawia o tych sprawach. Ale czym jest natura, czym jest krew, a czym dziedzictwo? Dr Karnowski nie może na to znaleźć odpowiedzi o tej nocnej godzinie, kiedy przestraszone dziecko przerwało mu sen. Jak zwykle w czasie bezsennej nocy wyciąga rękę do półki z książkami, która stoi przy łóżku i czyta. Ciekawe, co o tym wszystkim sądzi zakonnik Mendel, którego dzieł już od pewnego czasu nie miał w rękę. Podziwiał tego autora, który tak dokładnie sklasyfikował problemy dziedzictwa, oznaczając każdą gałąź rodu

liniami i cyframi. Lecz nic mu to nie wyjaśnia, podobnie jak książki filozoficzne, które ma w swojej sypialni, i do których od czasu do czasu zagląda podczas bezsennych nocy. Odkąd studiował filozofię, zanim zabrał się do medycyny, przywykł kupować najnowsze dzieła filozoficzne i do nich zaglądać. Jak wtedy, tak i teraz podziwia autorów za głębię ich myśli i wnikanie we wszystkie tajemnice, lecz nic przez to nie staje się jaśniejsze w tej pozbawionej snu godzinie. Rozważania te nie pomogą mu wyjaśnić, co się dzieje w główce małego chłopca, który boi się nocami i budzi ze snu rodziców.

Odkłada książki i ogarnia go ciche współczucie dla tego skurczonego dziecka, które przytuliło się do matki, aby w niej znaleźć ostoję przeciw nocnym lękom. Tej późnej bezsennej nocy dr Karnowski w swym ojcowskim sercu odczuwa niepokój o los syna.

W salonie Rudolfa Mosera, wydawcy liberalnej gazety w starej zachodniej dzielnicy, zebrała się berlińska śmietanka, awangardowi poeci, sławni aktorzy i aktorki, korespondenci wielkich zagranicznych gazet, deputowani do Reichstagu, muzycy, malarze — ludzie znani i wybitni. Niemal zawsze na takie spotkania zapraszany jest ktoś egzotyczny, czasem jest to ciemnoskóry książę, który przyjechał, by poznać Europę, czasem indyjska tancerka, czasem długowłosa i długobroda teozof, a nieraz nawet światowej sławy murzyński czarownik. Pani Moser przez zapraszanie barwnej postaci stara się o urozmaicenie wieczoru. Dlatego też do jej stałych gości w sobotnie

wieczory należy dr Karnowski, zapraszany tu odkąd wsławił się sensacyjną operacją córki ambasadora. Za każdym razem, gdy przedstawiała go swym gościom, w żartobliwej formie podkreślała jego znakomite kwalifikacje chirurga.

Tędy mężczyźni w średnim wieku, mężowie młodych, czarujących kobiet, żywiący zawsze podejrzenia wobec ginekologów, zwłaszcza młodych i przystojnych, czują się trochę głupkowato, gdy ściskają wilgotnymi rękami mocne, ciepłe ręce dr. Karnowskiego.

— Bardzo mi przyjemnie, panie doktorze — mówią z wymuszoną uprzejmością, aby ukryć swą wrogość.

Młode, piękne kobiety są przyjemnie zaskoczone wyglądem sławnego lekarza.

— Ach, to pan, panie doktorze — mówią z najbardziej wyszukany wdziękiem, na jaki je stać wobec pięknego mężczyzny. — Wyobrażałyśmy sobie, że jest pan znacznie starszy, że wygląda pan poważniej.

— Z dużym brzuchem i długą brodą madame, nieprawdaż? — żartuje dr Karnowski.

— ■ Właśnie, panie doktorze — przyznawały kobiety.

— To nadejdzie wraz z tytułem profesorskim i reumatyzmem — mówi dr Karnowski, ukazując spod ostro przyciętych czarnych wąsów swoje nierówne, lecz mocne, białe zęby — a oto moja żona.

— Och, jak jestem niewychowana — usprawiedliwia się pani Moser i całuje Teresę, jak całuje się dziecko, którego nie zauważono.

— Wybaczy mi pani, słodki, jasny aniele.

— Och, nic nie szkodzi, droga pani Moser — mówi płonąca Teresa Karnowska.

Przywykła już do tego, że jej nie dostrzegano w towarzystwie. Najczęściej zbyt późno zauważa się jej obecność. I choć mówi, że nic nie szkodzi i pozwala się przeproszać, gdyż nie może okazać, że jest obrażona, czuje się dotknięta, skrzywdzona, zawstydzona. Najgrubsza nawet warstwa pudru nie może zakryć jej rumieńców.

Rozpłomienia się bardzo, gdy rozpoczynają się tańce.

Zwyczaje w salonie nie są sztywne, jak w innych znaczniejszych domach, są nowoczesne, swobodne. Pani Moser ustaliła, że każdy przychodzi ubrany jak chce i zachowuje się jak chce. Obok mężczyzn we frakach i w białych sztywnych koszulach są artyści w aksamitnych marynarkach, z fajkami w ustach, amerykańscy korespondenci prasowi w jasnych ubraniach i kolorowych koszulach. Obok pań w wydekoltowanych sukniach wieczorowych, obwieszonych biżuterią, spaceruje wokół męskim krokiem nowoczesna malarka w szarej koszuli z krawatem, w skarpetkach i w pantoflach na płaskich obcasach. Siedzi się tu też rozmaicie, na nowoczesnych fotelach, na pufach, na barwnym dywanie, z podkulonymi nogami, na modłę turecką lub nawet na schodkach prowadzących z salonu do innych pokoi. Tak samo pije się i jada co się chce i kiedy się chce wprost z tac, które wnoszą eleganccy służący, nie czekając na zaproszenie ani nie przestrzegając żadnej etykiety. Za każdym razem ktoś inny gra na pianinie. Pary tańczą gdzie się da, kołyszą się w rytmie tanga,

fokstrota i najmodniejszego tańca — charlestona. Pani Moser zadbała, aby w jej domu wszyscy czuli się swobodnie, nieskrępowanie. Nie czeka, aż mężczyźni zaproszą ją do tańca, lecz sama zaprasza kogo chce. Zawsze chce tańczyć z dr. Karnowskim.

— Jeżeli mój jasny, słodki anioł nie jest zazdrosny o starą brzydką kobietę, poproszę doktora do tańca — mówi i zanim Teresa zdąży wypowiedzieć słowo, już kładzie rękę na ramieniu dr. Karnowskiego i przytula się do niego całym ciałem.

Teresa Karnowska nie musi się troszczyć o partnera. Ona jedna spośród zebranych kobiet ma długie włosy. Jasne, półkuliście założone za uszy warkocze, niezwykła jasność i przezroczystość cery, marmurowa biel rąk, a nade wszystko kobieca linia karku czynią ją podobną do germańskich kobiet ze starych sztychów. Malarze są nią zachwyceni. Mężczyźni zapraszają ją uprzejmie do tańca, lecz ona tańcząc z nimi nie czuje się swobodnie, zwłaszcza gdy w grę wchodzi nowoczesne tańce. Okrywa się pąsem za każdym razem, gdy partner wsuwa kolana między jej nogi, przyciska ją do siebie i zmusza, aby we wszystkich ekstrawaganckich figurach postępowała za nim. Rumieni się jeszcze bardziej, gdy tancerze rozmawiają z nią swobodnie, zgodnie z panującymi w tym salonie zwyczajami i wykorzystują taniec do zbyt zażyłych ruchów. Mimo że Teresa nie reaguje, gdyż nie może się przeciwstawić panującym tu zwyczajom i wstydzi się cokolwiek powiedzieć, czuje jednak wstręt do takiego zachowania, wstręt i wstyd. Siada przy pierwszej sposobności.

—Dziękuję, jestem zmęczona — odmawia tancerzom, wachlując swą rozgorączkowaną twarz.

Dr Karnowski dostrzega, tańcząc z panią Moser, że Teresa siedzi i — rozdygotana — wachluje się, zbliża się do niej w tańcu.

Pozostawia na chwilę partnerkę i tańczy ze swą żoną. Teresa jest szczęśliwa, że tańczy z Georgiem, opiera czule swą białą rękę na jego męskim ramieniu, z wdziękiem skłania głowę na jego pierś. Zgięcie jej miękkiego karku pod założonymi za uszy warkoczami jest pełne oddania i uległości, jak niewolnicy do pana i władcy. Georg przyciska ją do siebie, lecz ona

nie odczuwa podniecenia, ani poruszenia w swym ciele. Jest to tylko kobiece oddanie, wyzbyte jakiegokolwiek namiętności. Teresa jest kobieca i wyjątkowo ładnie zbudowana. Tak kształtne ciało dr Karnowski rzadko widzi wśród mnóstwa kobiet, które leczy. Jego żona jest jednak powściągliwa i chłodna, pozbawiona kobiecej kokieterii, kaprysów, wybuchów, przekory — cech, które nęcą mężczyznę. Nie przejawia ich nawet wtedy, kiedy on gniewa się na nią jakiś czas bez powodu i kiedy ją bez powodu przeprosza. Dr Karnowski wie ze swej praktyki, że te bezsensowne dni niezgody wzmagają potem natężenie uczuć między małżonkami. Wznowiona miłość wybucha całym żarem. Teresa jest pozbawiona żaru w swych cierpieniach i radościach, nie wybucha gniewem, kiedy jest wobec niej nieznośny, ani radością, kiedy znów jest dla niej dobry. Uległość i wdzięczność — to jedyne cechy, jakimi się odznacza. W szczęściu może być tylko pokorna, smutna zaś, gdy przeżywa kobiece troski.

Karnowski, gdy wraca z kliniki i wizyt, czuje się znudzony nocami, które z nią spędza. Teresa nie ma mu nic do powiedzenia w czasie tańca. Jej odpowiedzi, gdy mówi do niej, są krótkie, pełne zażenowania i nie pozwalają nawiązać jakiegokolwiek rozmowy.

—Dlaczego milczysz, Tereso? — pyta dr Karnowski. — Czy czujesz się niedobrze?

—Nie, Georg, jestem po prostu szczęśliwa, bo ty ze mną tańczysz — odpowiada cicho, rumieniąc się jak młoda dziewczyna, gdy młodzieniec po raz pierwszy zaprasza ją do tańca.

—Dziecko — mówi Georg i czuje do niej miłość jak do dziecka, lecz nie jak do kobiety.

Krew w nim się rozgrzewa, jest napięty i podniecony, gdy pani Moser znów zaprasza go do tańca. Pani Moser nie jest piękna, nie można jej nawet porównywać z Teresą. Jej równo podstrzyżony na modłę męską kark jest twardy, oczy szare, drapieżne, usta zbyt zaciśnięte, złośliwe. Jej ciało również nie jest tak piękne jak u Teresy. Nogi od uprawiania gimnastyki i jazdy konnej ma zbyt muskularne. Lecz całe jej napięte ciało płonie dziką żądzą. Najbardziej wyrafinowanymi sposobami, jakich doświadczone, namiętne kobiety stosują w tańcach i mężczyznami, zwłaszcza w nowoczesnych tańcach, wnika w ciało doktora, okręca się wokół niego jak wąż, puszcza go na chwilę, aby potem jeszcze mocniej nim zawładnąć. Jej kocie szare oczy rozpalają czarne oczy Karnowskiego, ku którym się wrywają. Jej zaciśnięte usta mogą bardzo zmyślnie, niemal bez poruszania wargami i nie przyciągając niczyjej uwagi,

szeptać mu do ucha najgorętsze słowa miłości. Jej słowa są płomienne, ogniste, podobnie jak jej ciało. Jest zawsze centralną osobą w toczących się w jej salonie rozmowach, dyskutuje o najnowszych książkach i malarstwie, zna wszystkie towarzyskie skandale i konflikty rodzinne, jest poinformowana o rozmowach i zdradach w wyższych sferach, a przede wszystkim jest świetnie zorientowana w polityce kraju, we wszystkich intrygach, zakulisowych machinacjach, tarciach i koteriach.

Gdy goście przestają tańczyć, a panowie palą i rozprawiają w grupkach, pani Moser jest wszędzie. W grupie artystów jest nowoczesną artystką, wtrącając kilka słów na temat najnowszej książki albo ostatniej wystawy obrazów. Niby drapieżny kot uczestniczy w grupie plotkujących, wesołych młodych kobiet rozprawiających

miłości, rozwodach, zdradach i seksie. Z głębokim zainteresowaniem słucha rozmów o najnowszych prądach w nauce i filozofii, o których rozmawiają nieliczni profesorowie i teozofowie. Jak ryba w wodzie czuje się w grupie polityków, zagranicznych korespondentów, deputowanych do Reichstagu i przywódców partyjnych. Zaskakuje mężczyzn trafnymi poglądami i pomysłami.

— Posłuchajmy, co pani Moser ma w tej kwestii do powiedzenia — mówią panowie.

Urodzona w Wiedniu, córka wysokiego urzędnika węgierskiej baronówny, studiowała w Paryżu, podróżowała po całym świecie z pierwszym mężem, angielskim podróżnikiem, zna

pół tuzina języków i posługuje się nimi tak lekko i wprawnie, jakby to były jej języki ojczyste. Z każdym rozmówcą, głównie z zagranicznymi korespondentami, którzy odwiedzają jej dom, rozmawia jego językiem. Nie tylko zna się na polityce, ale ją uprawia. Nie na próżno jej mąż jest wydawcą najpoważniejszej gazety w stolicy. Nie na darmo zachodzą do jej domu politycy, mężowie stanu, dyplomaci i zagraniczni korespondenci prasowi. Jak ptak, który przelatuje z miejsca na miejsce, gdy tylko dostrzeże trochę ziarenek, tak pani Moser biegnie od jednej grupki do drugiej, wszędzie rzucając jakieś słowo, myśl, żart, opinię, nic nie uchodzi jej ostrym, szarym oczom. Mężczyźni ją podziwiają, kobiety czują do niej zawiść. Bardziej od innych zazdrości jej Teresa Karnowska. W nowoczesnym salonie czuje się bardzo nieszczęśliwa, nie ma nic do powiedzenia o książkach i malarstwie, nie zna skandali rodzinnych ani pikantnych historyjek o polityce i sprawach państwowych. Unika więc chodzenia ze swym mężem do państwa Moserów w sobotnie wieczory, woli, żeby szedł sam. Rzadko pozwala się przekonać, aby mu towarzyszyć, gdy on usilnie nalega, nie chcąc jej samej zostawiać. Teresa potem zawsze tego żałuje.

Przy pani Moser, czuje się bardzo upokorzona, pełna zazdrości i nienawiści, zawiści do tej bystrej, namiętnej kobiety. Bowiem mimo całej zręczności, z jaką pani Moser szepcze do ucha dr. Karnowskiemu słowa miłości w czasie tańca, mimo że bardzo umiejętnie ukrywa pod pozorem nowych figur tanecznych to, że się

tuli do niego, Teresa widzi, że ta kobieta zabiera jej męża, śmiejąc się jej w oczy. Teresa szuka nawet usprawiedliwienia dla Georga. W tym salonie pełnym mądrości, wdzięku, światowości, zdaje sobie sprawę, że nie jest właściwą partnerką dla Georga. Przeszkadza mu tylko, zawstydzona wobec ludzi. On, znakomity chirurg, ma tak nieinteresującą żonę. Teresa odchodzi więc stąd w trakcie przyjęcia, aby się wśród tych ludzi nie plątać. Pani Moser niezmiernie żałuje, że jej "ukochane dziecko", "jasny anioł", "najpiękniejszy kwiat w damskim towarzystwie", opuszcza ją.

— Przykro mi, ale głowa mnie boli — mówi Teresa, rumieniąc się z powodu kłamstwa.

Dr Karnowski poczuwa się do winy wobec Teresy, nalega, aby nie odchodziła, bo jeśli odejdzie, zepsuje mu wieczór. Będzie musiał pójść z nią. Choć mówi tak, wie, że to nieprawda — wewnętrznie pragnie pozostać sam i nawet się niepokoi, że Teresa da się przekonać i pozostanie. Ona jednak upiera się i nie pozwala mu pójść ze sobą, choć pragnie, aby to zrobił. Małżonkowie oszukują się wzajemnie i oboje zdają sobie z tego sprawę, że sytuacja staje się nieprzyjemna i pełna wzajemnej urazy. Teresa nie może dłużej znieść tej przykrej gry i śpiesznie wybiega. Dr Karnowski czuje się winny, lecz swobodny.

Pani Moser ujmuje go pod rękę i prowadzi do kominka, gdzie zwykle siedzą politycy i naukowcy. Po pierwsze, nie jest po jej myśli, aby zbliżył się do młodych, pięknych kobiet. Po drugie, dr Karnowski lubi to towarzystwo, zwłaszcza intelektualistów. Pozostało mu to z czasów, gdy studiował filozofię. Przy płonącym kominku, na którym

trzaska skręcająca się brzozowa kora, omawia się wszelkie problemy — polityczne, filozoficzne, religijne i psychologiczne. Jak to zwykle bywa w przypadku stolicy pokonanego państwa, pełno w niej rewolucjonistów, poszukiwaczy Boga, zwolenników nowych wyznań, ludzi nawołujących do zniszczenia kultury i cywilizacji i powrotu do prymitywnego życia, przepowiadających rozkwit kultury azjatyckiej, która nadciąga do Europy, psychoanalityków i teozofów. Jak zawsze zazarte spory toczą dwaj Zygfydowie — dr Zygfyd Klein i dr Zygfyd Zerbe.

Obaj są dawnymi kolegami uniwersyteckimi, doktorami filozofii, w młodości razem zaczęli pisać wiersze, dramaty i powieści, lecz bez powodzenia. Dr Zygfyd Klein przerzucił się od razu na dziennikarstwo, rozpoczął pracę w tygodniku satyrycznym, gromadził pieniądze i wkrótce sam zaczął wydawać czasopismo, które zdobyło uznanie w całym kraju. Jednocześnie rosła pozycja dr. Kleina. Rozgoryczony niepowodzeniem w dziedzinie poezji, ostry i złośliwy, nikogo w swym czasopiśmie nie oszczędzał i z taką pasją wyśmiewał wszystkich i wszystko, że publiczność polubiła go i rozchwytywała jego gazetę. Obecnie Klein cieszy się uznaniem w stolicy, obawiają się go politycy, pisarze, działacze społeczni, nie chcąc stać się przedmiotem jego krytyki. Wielką moc ma jego pióro, ostre i niebezpieczne jak strzała tuż przed jej wypuszczeniem zanurzona w truciźnie. Czego dr Klein nie dopowiada piórem, kończy jego bliski przyjaciel, karykaturzysta Emil von Spahnsattel. Von Spahnsattel pochodzi z rodziny arystokratycznej, to

syn generała. Jest bardzo zdolny, w swych karykaturach jak najostrzej piętnuje wojskowych, arystokratów, duchownych i magnatów.

Wszyscy atakowani czują się jak opluci, gdy karykaturzysta ośmiesza ich w czasopiśmie dr. Kleina, wstydzą się swych żon i dzieci. Von Spahnsattel potrafi zawsze uchwycić najśłabszą stronę w człowieku, każdą ułomność, którą pragnie się jak najusilniej ukryć. Ludzie drżą, aby nie popaść pod pióro dr. Kleina i ołówek von Spahnsattla.

Atakowani więcej złości niż do dr. Kleina, Żyda, żywią do von Spahnsattla, rodaka błękitnej krwi, który zdradził swą klasę. W czasopiśmie dr. Kleina pojawia się często dr Zygfryd Zerbe, który razem z wydawcą gazety studiował filozofię i razem z nim zaczął pisać wiersze i dramaty. Po niepowodzeniu, którego — podobnie jak jego kolega, dr Klein — doznał pisząc wiersze, dr Zerbe nie złożył broni. Wręcz przeciwnie, w miarę niepowodzeń coraz bardziej wierzył w swój geniusz. Obwiniął wszystkich redaktorów, dyrektorów teatrów, krytyków literackich i recenzentów teatralnych, którzy się sprzysięgli, aby go zetrzeć z powierzchni ziemi, gdyż są to przeważnie Żydzi i nie mogą zrozumieć prawdziwego ducha niemieckiego, nie mogą pojąć jego głębi i mistycyzmu. W swym małym czasopiśmie, które wydaje i które rozchodzi się w znikomym nakładzie, prowadzi zaciętą walkę przeciw tym, którzy decydują o literaturze i sztuce w Niemczech. Wszyscy oni są Żydami lub się z nich wywodzą, bądź też wysługują się Żydom. Miota gromy przeciw intelektualistom, liberałom i wolnomyślicielom. Nawołuje do powrotu do stanu pierwotnego, do krwawej walki. Obok artykułów

zamieszcza własne wiersze — bardzo mgliste, mocno zabarwione mistycyzmem, długie i ciężkie, pełne archaicznych germanizmów, które już od setek lat wyszły z użycia.

Mimo że ciska gromy na Żydów bądź wywodzących się od nich intelektualistów i liberałów, jest częstym gościem w salonie Rudolfa Mosera, wydawcy wielkiej gazety, który jest wychrzczonego Żydem. Nie może się też rozstać | dawnym kolegą Kleinem, Żydem, a zarazem swoim najbardziej zaciętym przeciwnikiem. Będąc synem pastora, intelektualistą z krwi i kości, złośliwy, zgorzkniały, słaby fizycznie, nie ma chęci spotykać się z wojskowymi, którzy rozmawiają o frontach, polowaniu, zajęciach, pojedynkach i kobietach. Niski, w okularach, o niepozornej twarzy, rzadkich jasnych włosach i komicznej postaci, nigdy nie nosił wojskowego munduru, stąd nie odczuwa żadnej przyjemności ze spotkań z wysokimi, wyprostowanymi, sprężystymi arystokratami, którzy nim gardzą, podobnie jak on nimi. Jeszcze mniej chętnie widzi obutych osobników z nowego nacjonalistycznego ruchu — pospolitych, surowych. W swym czasopiśmie rekomenduje ich jednak jako prawdziwych synów ojczyzny, do których należy przyszłość. Gama się oni do niego, walczącego przeciw żydowskiemu panowaniu, kupują jego czasopismo, przychodzą na jego wykłady. Lecz spotykać się z nimi towarzysko dr Zerbe nie może. Odpycha go ich płaska brutalność i chropawa mowa. Satysfakcjonują zaś spotkania w salonie Rudolfa Mosera, gdzie można poruszać tematy filozoficzne, polityczne, religijne oraz dyskutować o najnowszych światowych

osiągnięciach. Nigdy nie opuszcza spotkań w domu Moserów, gdzie jest przyjmowany uprzejmie, mimo że gospodarz pochodzi z tych, których dr Zerbe zwalcza. Bardziej niż ku innym, ciąży do dr. Kleina, swego zażartego przeciwnika i prześmiewcy. Jest to przeciwnik, z którym warto polemizować, by wyostrzyć język.

—Dobry wieczór, doktorze cynikusie — pozdrawia dr Zerbe swego adwersarza, dr. Kleina.

—Dobry wieczór, doktorze grafomanusie — odpowiada z uśmiechem dr Klein.

Dr Klein wie, że dr Zerbe najbardziej nie znosi, gdy go nazywają grafomanem. Nic go tak nie wzburza jak ten epitet. Wybacza wszystkie polityczne ataki na siebie w czasopiśmie dr. Kleina, lecz nie wybacza tego, że go się nazywa grafomanem i szydzi z jego poezji. Dlatego właśnie dr Klein posługuje się tym epitetem w swym piśmie i nim wita go przy ludziach. Dr Zerbe sinieje z gniewu. Jak zwykle dosiada swego starego, sprawdzonego konika. Co może taki dr Klein i jemu podobni wiedzieć o niemieckiej poezji? Czy kołomyjscy komiwojażerowie mogą zrozumieć głębię pragermańskiego ducha? Zdolni są tylko do opowiadania dowcipów, do tego nawykli w swej kupieckiej praktyce, to jest cecha ich rasy. Komiwojażer musi zawsze okrasić tandetny towar, który podsuwa oszukanemu klientowi, tanim dowcipem. Od pokoleń włączą się ci kupcy świata i sprzedają dobremu, naiwnemu, łatwowiernemu, pogańskiemu światu swe tandetne towary — począwszy od Mojżesza

do Heinego, po wszelakich doktorów Kleinów. Ten ostatni pali właśnie hawańskie cygaro i serdecznie się śmieje ze zjadliwych słów dr. Zerbe.

— Nie mam do ciebie żalu, drogi przyjacielu — mówi śmiejąc się — gdyż przemawia przez ciebie rozgoryczenie, urażona ambicja grafomana, którego zła poezja i bzdurne dramaty nie znajdują uznania. Jest to męka chcenia i niemożności, drogi doktorze.

Dr. Zerbe ogarnia dziki gniew. Jego wzburzenie wzrasta, gdy karykaturzysta, von Spahnsattel, sporządza na miejscu podobiznę dr. Zerbe i pokazuje ją zgromadzonym. Jest to ilustracja do jego charakterystyki poczynionej przez dr. Kleina. Karykatura przedstawia postać fizycznie słabą, pełną zawiści i goryczy. Jest ona obnażona, a ko-
biety krzywią się, jakby zobaczyły potwora. Dr Zerbe nie może pohamować gniewu, nade wszystko bowiem wstydzi się kobiet. Właśnie dlatego, że nie jest szczególnie interesujący, jak najbardziej zależy mu na tym, żeby jakoś się prezentować wobec dam. W gniewie posuwa się do tego, że rzuca cień na błękitną krew von Spahnsattla. Tylko ktoś pochodzący z tej zdegenerowanej rasy może być tak złośliwy i nierycerski wobec swych przeciwników. Wiadomo, ilu żydowskich bankierów za wielkie sumy wyswatało swe czarnowłose córki przeżytych, niedołącznym arystokratom. Von Spahnsattel dodaje jeszcze kilka ostrych rysów do podobizny zirytowanego dr. Zerbe i śmieje się głośno i gromko ze złoścącego się doktora.

— Jak to państwu się podoba? — pyta, pokazując rysunek.

— To już trochę zbyt złośliwe, drogi panie von Spahnsattel — mówi pan domu, Rudolf Moser. — Zbyt karykaturalne.

Wydawca Rudolf Moser jest człowiekiem łagodnym, miękkim i z szacunkiem odnoszącym się do ludzi. Dzięki temu zaszedł tak wysoko. W każdej sprawie wyznaje zasadę rzetelności, kompromisu i złotego środka. Jego gazeta przyznaje słuszość wszystkim stronom, z kurtuazją odnosi się do przeciwnika, nikogo personalnie nie atakuje.

Rudolf Moser jest do tego stopnia liberalny, że nie żywi nawet żalu do dr. Zerbe z powodu jego ataków na (wychrztów, mimo że jest jednym z nich. Ilekroć dr Zerbe jest w potrzebie, Rudolf Moser udziela mu pożyczek. Von Spahnsattel nie zgadza się z oceną Rudolfa Mosera. Wysoki, kościsty, sama skóra i kości, był ostry, zgryźliwy i uszczypliwy w mowie i w swych rysunkach. Stał obok małego, źle zbudowanego dr. Zerbe i umyślnie się wyprostował, aby podkreślić niski wzrost i komizm postaci swego antagonisty i z powagą oglądał narysowaną przez siebie karykaturę.

— Nie, proszę państwa — powiedział zdecydowanie — nie nazwałbym tego karykaturą, lecz podobizną, ukazującą charakter dr. Zerbe i nie tylko jego, lecz milionów innych Zerbe, których mnóstwo jest w Prusiech.

Zebrani nadstawili uszu. Von Spahnsattel wypija kielich francuskiego wina, mocno zaciąga się dymem z fajki i mówi ostro, często niezupełnie cenzuralnie. Urodzony w Nadrenii, wielbiciel francuskiego malarstwa, które studiował, należy do cyganerii artystycznej. Niepohamowany, kocha życie, jest zwolennikiem

wszystkiego co francuskie i wrogiem wszystkiego co niemieckie, zwłaszcza tego, co wywodzi się z Prus. Nie cierpi niemieckiej sztuki, ciężkich pomników, symetrycznych ulic, dyscypliny i porządku, uległości, żołnierskiego drylu, własnej rodziny złożonej z wojskowych i artystokratów. Gdy tylko udaje mu się zebrać pewną sumę pieniędzy, jedzie do Paryża, aby je wydać w tamtejszych kawiarniach i salonach sztuki. Całą swą wzdargę do Prus przejawiał w karykaturach rodaków. Teraz wyraża ją w podobiznie dr. Zerbe. W rysunku obrazującym charakter dr. Zerbe, chciał pokazać typowego Niemca. Przedstawiając człowieka małych możliwości i wielkiej zawiści wobec innych, którzy coś potrafią, chciał ukazać miliony takich Zerbe, jakich pełno jest w Niemczech, zwłaszcza po przegranej wojnie. Dr Zerbe jest symbolem kraju, który jest zawsze zawistny, ale zamiast skorygować własną głupią twarz, rozbija lustro, w którym się przegląda.

Tego było już za wiele, nawet dla wyrozumiałego Rudolfa Mosera.

— Nie, przesadza pan, drogi panie von Spahnsattel — mówi łagodnie. — Jest pan karykaturzystą w mowie i w rysunku. Jak może pan wyprowadzać takie uogólniające wnioski w odniesieniu do nas, narodu o najwyższej kulturze w Europie?

Von Spahnsattel wypija jeszcze jeden kielich francuskiego wina i przerywa panu domu.

— Kto powiedział, że jesteśmy narodem kulturalnym? — atakuje. — Jesteśmy barbarzyńcami, żołdakami, jedynie zamiast skóry nosimy żołnierskie spodnie, a w miejsce dzid mamy broń maszynową.

Podobnie jak nasi pradziadowie — barbarzyńcy — nienawidzili Rzymu, gdyż nie mogli ścierpieć jego kultury i mądrości, tak my zawsze nie znosimy Paryża, kolebki starej kultury, mądrości, sztuki i umiejętności życia. Wszystkim zazdrościmy — Francuzom, Anglikom, Żydom, wszystkim, którzy są od nas szlachetniejsi, mądrzejsi, lepsi. Dlatego chcemy wszystkich unicestwić, my nienawistnicy, my Zerbowie, my zawistnicy.

Tak ostra wypowiedź w jego domu zaniepokoiła Rudolfa Mosera. Jeżeli autentyczny szlachcic z dodatkiem "von" przy nazwisku może sobie pozwolić na podobne sądy, to on — Moser, wychrzczony Żyd i wydawca wielkiego niemieckiego dziennika — nie może na to się godzić, by wygłaszano je w jego domu. Chce załagodzić scysję, skierować dyskusję na inny temat, lecz do tego nie dopuszcza dr Zerbe. Pompatycznymi, nasyconymi mistycyzmem słowami, skonstruowanymi zawile zdaniami rozprawia o szkodliwym francuskim bakcyliu, który przywlekli tu obcokrajowcy, i który przeniknął w organizm narodu niemieckiego. Bacillus intelektualis lub Bacillus judaeus pragnie przeżreć zdrowy germański organizm. Lecz odrodzenie przyszło w porę, młodzież się ocknęła, zrzuca z siebie obce wpływy, nie pozwala się omamiać żadną tandetą dowcipkujących komiwojażerów. Młodzież wraca do pragermanizmu, bohaterstwa, czystości krwi i rasy.

— Strzeżcie się, ślepi intelektualiści, którzy nie dostrzegacie nowych czasów nadciągających triumfalnymi krokami — mówi jak

pastor, grożąc palcem, jak to zwykł czynić jego ojciec w trakcie kazań w wiejskim kościółku.

Pan domu czuje się niezręcznie. Wiele złowieszczych nut kryją słowa małego człowieka. Nawiasem mówiąc, groźby te są ostatnio słyszalne zbyt często. I mimo że Rudolf Moser nie wierzy w zło, gdyż jest zdania, że zwycięży zdrowy rozsądek, kompromis i tzw. złoty środek, chociaż nie chce wierzyć w żadne zło, gdyż takie myśli są niewygodne — odczuwa jednak niepokój. Pani Moser żartuje:

— Mam nadzieję, że nie pozwoli pan, by mi się coś złego przydarzyło, doktorze Zerbe — mówi ze śmiechem.

Dr Zerbe szarmancko całuje ją w -rękę.

— Dla pięknych pad gotów jestem zawsze skoczyć w ogień — mówi.

Dr Klein bagatelizuje bohaterską wypowiedź swego przyjaciela.

— Diabeł nie jest taki straszny, jak go malują — mówi śmiejąc się.
— Za jedną pozytywną krytykę Zerbowskiej złej poezji, napisaną przez krytyka, nawet Żyda, można całkiem zjednać sobie zagniewanego Jowiszka, szanowni państwo, czyż nie, doktorku?

Dr Zerbe żegna się i całuje panie w rękę. Dr Klein zaprasza go, by jeszcze przyszedł.

— Korzystaj, jak długo możesz, Zerbe! — mówi.

— Gdy nadejdzie dzień, że nie będzie więcej spotkań u drogich państwa Moserów, będzie ci nudno z twoimi obutymi osobnikami, ty intelektualny rymotwórco.

Goście rozchodzą się. Pani Moser zakłada pelerynę i wychodzi z

dr. Karnowskim.

— Dr Karnowski jest tak uprzejmy i odwiezie mnie do Wannsee — mówi do męża. — Dobranoc, kochanie, nie pracuj zbyt ciężko.

Pani Moser spędza często niedziele w ich letnim domu położonym w pobliżu miasta Wannsee. Rudolf Moser zostaje w mieście, gdyż nawet w niedziele ma mnóstwo pracy. I choć nie jest rad, że dr Karnowski odwozi jego żonę swym autem, nie okazuje tego. Czyż nie jest nowoczesnym człowiekiem, który winien odnosić się do rzeczywistości obiektywnie i filozoficznie? Jak najuprzejmiej żegna się z dr. Karnowskim, dziękuje za łaskawe odwiezienie jego żony i prosi, by często odwiedzał jego dom, co sprawi panu Moserowi wiele satysfakcji.

Gdy dr Karnowski wsiada do wozu z panią Moser, mija po drodze dr. Zerbe, w zniszczonym płaszczu, skulonego, biednego. Czarne spodnie od fraka są zbyt uroczyście i nieodpowiednie do ubogiego, powszedniego płaszcza, spod którego wystają, podkreślając ubóstwo ich właściciela. Na widok przejeżdżających w pięknym wozie zdejmuje on zniszczony kapelusz i spogląda za nimi złym wzrokiem.

— Śmieszny człowiek — mówi pani Moser do dr. Karnowskiego — budzi litość.

— Człowiek ten może być bardzo niebezpieczny i groźny — mówi dr Karnowski. — Należy do gatunku obrażonych histeryków, którzy cierpią zarówno z poczucia wielkości, jak i manii prześladowczej. W rewolucyjnych czasach tacy są najniebezpieczniejsi.

— Tak sądzisz, mój drogi? — mówi pani Moser tuląc się do niego.

— Obrażeni historycy są groźniejsi od wściekłych psów — mówi dr Karnowski. — Widziałem w jego oczach obłąd, gdy mówił.

Daje to pani Moser okazję do mówienia o psychoanalizie, bardzo wówczas modnej, o hysterii, kompleksie niższości. Dr Karnowski dziwi się, słysząc, jak jest zorientowana w tych zagadnieniach, jej uwagi są błyskotliwe, mówi jak mężczyzna — intelektualista. Lecz gdy tylko wchodzi do domu, wykształcona dama odrzuca inteligencję i wiedzę wraz z odzieniem, staje się swawolna i wyuzdana, jak tylko może być kobieta, gdy wyzbywa się wstydu. Umie w sztuce miłości wykorzystać każdy chwyt. Jest niewolnicza i dzika, pożądliva i pełna inicjatywy do tego stopnia, że nawet zaskakuje jego, ginekologa. Wraz z najgorętszymi i najbardziej szokującymi wyznaniem miłości, które szepcze mu do ucha, wyrzuca z siebie we wszystkich znanych sobie językach ohydne, ordynarne wyrazy. Dr. Karnowskiego mierzi ta ohyd a, jak każdego mężczyznę, który nie chce, aby kobieta była bezwstydna.

— Mówisz jak ulicznica — odtrąca ją od siebie.

— Bij mnie, najdroższy, nazywaj mnie dziwką — prosi w najwyższym rozpasaniu.

Gdy dr Karnowski wraca do miasta, odczuwa wyrzuty sumienia, pogardę i wstręt do samego siebie. Pamięta o Teresie, która leży sama i zapewne płacze. Nie rozumie, co go pociąga w tej pożądlivej, żywiołowej pani Moser. Nie jest nawet piękna. Nogi ma zbyt grube i muskularne, kark męski, usta zbyt

zaciśnięte. Setki piękniejszych kobiet, bardziej kobiecych i sympatycznych widział w toku swej praktyki. Wiele z nich okazuje mu miłość. Niektóre przychodzą nie po to, żeby się leczyć, lecz żeby się obnażyć i poczuć dotyk jego rąk. Odkąd stał się popularny, kobiety zarzucają go pełnymi miłości i podziwu listami. Są wśród nich piękne, poważane damy z dobrych domów. Nie może zrozumieć, dlaczego wdał się w zażyłość z tą niezbyt młodą panią. Prowadząc wóz postanawia zakończyć tę przygodę. Wstydzi się samego siebie, Teresy. Na kogo ją zamienia? Lecz gdy upływa kilka dni i nie widzi pani Moser, staje się niespokojny, odczuwa tęsknotę za tą, która jest splotem rozumu i instynktu, jest jednocześnie wielką damą i dziwką. W ciągu kilku lat Hugo Holbek miał się różnych zajęć. Jako komiwojażer sprzedawał odkurzacze, był agentem sprzedaży strzelb myśliwskich, sprzedawcą w sklepie obuwniczym. Nic jednak nie osiągnął. Nie mógł absolutnie przywyknąć do cywilnego życia.

Raz próbował czegoś z chęcią. Było to wtedy, gdy matka sprzedała domy i odebrała za nie walutę zagraniczną. Hugo wypraszał od niej pojedyncze banknoty dolarowe, za które zabawiał się całą dobę na strzelnicach, w nocnych lokalach, w ujeżdżalni, gdzie wynajmował konia. Tam, w szkole jeździeckiej, poznał byłego kapitana, obecnie nauczyciela jazdy konnej i przy kuflu piwa opowiedział mu o zagranicznych pieniądzach matki. Kapitanowi w żółtych butach jeździeckich strzeliło od razu do tęgiej głowy, że obaj z porucznikiem mogliby założyć sami szkołę jeździecką i w ten sposób dojść do majątku. W mieście przebywa wielu zagranicznych gości. Są wśród

nich Amerykanki, które lubią jeździć konno po Tiergarten, piękne i wesołe, szastające pieniędzmi. Przy tym lubią młodych oficerów, zaś porucznik Holbek będzie dla tych cudzoziemek bardzo atrakcyjny.

Błada twarz Hugona Holbeka ożywiła się pod wpływem słów kapitana, jakby na froncie usłyszał rozkaz do ataku. Poza armią w tych przeklętych czasach takie zajęcie byłoby najlepsze i najwłaściwsze dla porucznika. Na ogół milczący i znudzony stał się bardzo rozmowny, prosił matkę, aby mu oddała swe pieniądze, całował jej rękę, obiecywał cuda, złościł się, żądał, nawet groził samobójstwem, bo nic mu już nie pozostało na tym podłym świecie. Matka nie była już w stanie się opierać i drżącymi rękami oddała mu pieniądze. Hugo się ożywił, kupił najbardziej ogniste konie, żółte siodła, zaangażował stajennych, dał ogłoszenia do gazet i czekał na Amerykanki, szerokim gestem wydające pieniądze. Ponosiła go fantazja. Ostatnio w swym próżniaczym życiu czytał wiele książek, w których nieraz napotykał ciekawe opowieści o ubogich oficerach i bogatych amerykańskich dziewczętach spotykających się w szkołach jeździeckich. Często bogata Amerykanka zakochuje się po uszy w europejskim oficerze i oddaje mu rękę wraz z ojcowskimi milionami. Hugo nie wyklucza, że i jemu mogłoby się coś podobnego wydarzyć. Wciśnięty w wojskową kurtkę, ściągnięty w pasie, w butach z długimi cholewami, z gładko uczesanymi, jasnymi włosami, porucznik od stóp do głów, przejrzał się w lustrze wiszącym w poczekalni. Spodobał się sobie. Czekał, lecz Amerykanki się nie zjawiały. Inflacja się skończyła tak samo

niespodziewanie, jak wybuchła. Marka zdrożała, opustoszały hotele, bardziej niż gdzie indziej pusto było w szkole jeździeckiej Holbeka. Stracił wszystko, pozostały mu tylko spodnie do jazdy konnej i szpicruta. Od tego czasu zatracił jakiegokolwiek zainteresowanie przeklętym światem, na którym nie ma miejsca dla niemieckiego porucznika. Stał się jeszcze bardziej apatyczny, nie mógł się utrzymać przy żadnej pracy.

Matka odnajęła pokoje, żyła z tego, co jej dawała Teresa. Hugo palił, bawił się z psem i spoglądał przez polową lornetkę w dal. Gdy przykrzyło mu się siedzenie w domu, gdy zapragnął nocnej zabawy, nade wszystko piwiarni, kolegów, strzelania na strzelnicy, udawał się do siostry po pożyczkę.

U Teresy jedzenie jest smaczniejsze i lepsze niż w domu. Dr Karnowski ma też wina w dużym wyborze, likiery, koniaki, nie tylko krajowe, lecz również importowane. Hugo Holbek kosztuje z dużą przyjemnością francuski koniak, który lubi od czasu, gdy był na froncie francuskim. Bierze też papierosy ze skrzynki szwagra i delektując się przyjemnym aromatycznym dymem, który wdycha głęboko, myśli o przeklętej niesprawiedliwości na świecie, o podłych czasach, kiedy to jakiś długi gonosy specjalista od lewatyw jest na górze, a porucznik na dole i w tarapatach.

- Donnerwetter, jakie dobre papierosy on pali — mówi do siebie i wychodzi na podwórze, do garażu, gdzie stoi wóz Karnowskiego. Zapach benzyny przypomina perfumy. Przed wojną jeździł na motocyklu, na froncie nieraz prowadził wóz. Od tego czasu nie mógł

spokojnie przejść obok auta.

Służący Karl pozwala mu otworzyć wóz i zapuścić motor, który pracuje hałaśliwie, ale Hugo słucha tego hałasu jak dobrej muzyki. Szum wozu przypomina mu łoskot broni maszynowej. — Piekielnie dobra maszyna, Karl — mówi.

— Tak jest, panie poruczniku — odpowiada Karl, tytułując go jak w czasach żołnierskich.

Gdy Jegoreczek wraca z prywatnej szkoły i widzi na podwórzu wuja Hugona, zaskoczony rumieni się ze szczęścia.

— Wuj Hugo, wuj Hugo — wykrzykuje w chłopięcym zachwycie.

— Jak się masz, chłopcze — wita go wuj Hugo.

Zachwyty chłopca wywyższa go we własnym odczuciu w tym domu, gdzie ani szwagier, ani nawet własna siostra nie mają o nim wysokiego mniemania. Toteż rozmawia z małym Jegoreczkiem jak z dorosłym, z czego chłopiec ogromnie się cieszy. Pokazuje siostrzeńcowi wnętrze motoru, pozwala mu nacisnąć pedały, trzymać kółko, zapuścić wóz. Potem uczy go strzelania do celu z dziecięcej strzelby. Wuj Hugo świetnie celuje. Może zestrzelić ptaszka z gałązki akacji, która rośnie na środku podwórza. Jak zwykle chłopiec prosi matkę, aby pozwoliła mu się przejechać z wujem Hugonem wozem ojca. Teresa godzi się niechętnie. Mąż nie lubi, gdy Hugo używa samochodu. Ale mały nalega, Teresa wie, że chłopiec jest uparty, jest Karnowskim. Nie ma dość siły, by mu się oprzeć i ulegać.

— Ale, na litość boską, Hugo, nie pędź — prosi.

— Bzdura — odpowiada Hugo. Gdy tylko oddała się od jej domu,

pędzi na pełnym gazie. To od dawna jego jedyna przyjemność, od czasu, gdy posiadał własny motocykl z siedzeniem dla kochanki. Pędzi jak diabeł. Jegoreczek jest zachwycony.

— Wujku Hugonie, ojciec nigdy tak szybko nie jeździ

— mówi radośnie.

— Jaki tam kierowca z ojca! Szkoda wozu dla niego

— mówi wuj Hugo i rozpędza się jeszcze bardziej.

Jego blada, nieruchoma twarz ożywia się, czuje, że żyje, że świat znów jest światem dla niego. Jegoreczek jest zachwycony. Bojaźliwy z natury, lubi jednak brawurę. Lęk i brawura są pospołu jego cechą. Jego ufność i wiara w wuja są tak wielkie, że brawura przewyższa w nim lęk.

— Wuju, czy możesz jeszcze szybciej jechać? — pyta Jegoreczek.

— Oczywiście, lecz przekłeta policja może nas zatrzymać i tatuś będzie się gniewał.

Jegoreczek patrzy na wuja wielkimi, błękitnymi, pełnymi podziwu oczami, zwierza się mu ze wszystkiego, co nurtuje jego chłopięce serce, mówi o tym, czego nie rozumie, o swych zmartwieniach, marzeniach i planach na przyszłość, gdy dorośnie.

Zamknięty w sobie, zacięty, nigdy nie opowiada w domu o tym, co się dzieje w szkole, jakie ma problemy z dziećmi. Wujowi zwierza się ze wszystkich trosk, marzeń i wątpliwości. Ma ich wiele. Wie już, że ich dom różni się od innych. Rodzice są inni, inna jest babcia Holbek i inna babcia Karnowska. Inny jest wuj Hugo, brat matki, i inna ciocia

Rebeka, siostra ojca. Wie już nawet, że on sam różni się od innych dzieci w szkole. Rodzice unikają rozmów na ten temat, zagadują go, ilekroć próbuje ich pytać o siebie. Wie jednak, że jest inny niż wszystkie dzieci w szkole. Wie, że ta odmienność nie jest zaletą i nie ma się czym chwalić. Nauczyciel religii nie zawsze traktuje go tak jak innych uczniów. Nieraz pozwala mu siedzieć na lekcji z pozostałymi dziećmi, a czasem każe mu opuścić klasę. To samo z chłopcami. Uważają go za swego, lecz gdy pokłóci się z kimś, pobije się na szkolnym podwórku, wołają na niego "Żyd". Chciałby się od wuja dowiedzieć, jak to właściwie jest. Jest Niemcem, czy też nie jest Niemcem?

— Ach, Boże, naturalnie jesteś Niemcem, z Holbeków — mówi Hugo z dumą.

— Więc dlaczego chłopcy mówią, że nim nie jestem?

— Dlatego, że jesteś z tatusia Karnowskim, nieprawdaż. Głupi smarkacze tego nie rozumieją.

Jegoreczek przez chwilę się uśmiecha, słuchając opinii wuja o swoich szkolnych kolegach. Tak właśnie, głupi smarkacze. Lecz nie jest całkiem zadowolony. Nie rozumie dokładnie, o co tu chodzi.

— Czy tatuś nie jest Niemcem? Mutti mówi, że tak. Przy tym był na wojnie, był kapitanem.

Wujowi chce się śmiać, że siostra uważa swego męża za kapitana oraz że określa go jako Niemca. Co głupia kobieta wie o tych sprawach. Lecz nie mówi tego chłopcu, którego lubi.

— Oczywiście, tatuś jest Niemcem. Przecież w tym kraju się

urodził, lecz niezupełnie jest Niemcem, gdyż jest również Żydem, nieprawdaż? Lecz to, chłopcze, nie ma nic wspólnego z tobą. Jesteś prawdziwym Niemcem, Holbkiem, nieprawdaż?

Jegoreczek niezupełnie rozumie i zamyśla się poważnie.

— Co to znaczy Żyd, wuju Hugonie? — chce wiedzieć.

— Żyd? — powtarza pytanie wuj Hugo i zastanawia się.

Nie dlatego, że nie wie, kim jest Żyd, wie bardzo dobrze. Żyd to śmieszny człowiek, czarny, krzywonosy, przy tym zawsze bogaty, napchany pieniędzmi, wszędzie się rozpychający. Wie też od mówców w piwiarniach, że to oni, ci przeklętnicy, zdradzili kraj w czasie wojny, wbili armii nóż w plecy. Gdyby nie to, armia nie pozwoliłaby się pokonać przez przeklętych Francuzów. Lecz nie może tego powiedzieć chłopcu.

— Żyd to taki, który nie chodzi do kościoła, lecz do synagogi, jak tatuś — mówi.

— Lecz tatuś nigdy nie chodzi do synagogi? — pyta znów Jegoreczek.

Wuj Hugo nie wie, co ma na to odpowiedzieć. Myśleć nie lubi, więc aby wybrnąć z sytuacji, chce ominąć problem i zacząć mówić o froncie, gdyż w tej kwestii czuje się najpewniej.

— To wszystko jest bzdurą — mówi. — Jesteś za mały, aby to zrozumieć. Nie myśl więc o tym.

Lecz Jegoreczek właśnie o tym chce rozmawiać.

— Dlaczego matka nie wyszła za prawdziwego Niemca, lecz za tatusia? — chce się dowiedzieć od wuja tego, co go od dawna nurtuje

i o co nikogo nie może zapytać.

Wuj Hugo winien odpowiedzieć, że siostra jest głupią gęsią, jak wszystkie kobiety, i że jak wszystkie niemądre kobiety nedorzeczenie się zakochała. Ponadto Holbekowie byli po wojnie biedni, siostra musiała iść do pracy w szpitalu, szpitale zaś, jak wiadomo, są pełne Żydów, to istne synagogi. Lecz tego też nie mówi chłopcu. Stwierdza tylko, że kobiety są śmieszne i że mężczyźni nie powinni o nich myśleć. Jegoreczek nie jest dziewczyną, aby myśleć o różnych głupstwach, powinien raczej uczyć się strzelać do celu, jeździć na motocyklu i konno, a także brać lekcje szermierki, aby być dobrym wojskowym, gdy dorośnie.

Jegoreczek jest zachwycony, ale nie jest pewny, czy będzie mógł zostać wojskowym, gdyż babcia Karnowska mówi, że po wojnie już się nikogo nie przyjmuje do wojska i chciałby usłyszeć, co na ten temat ma do powiedzenia wuj Hugo. Ten wpada w złość i całkiem się zapomina.

—Bzdura! Co Żydówka rozumie z tych spraw? Należy tylko czekać, a wszystko będzie jak w dawnych dobrych czasach.

Hugo Holbek znów założy swój mundur, znów będzie armia, ćwiczenia, rozkazy i wojna, dobra, stara wojna. Najlepiej by było, gdyby Jegoreczek nie wdawał się w głupie, bzdurne rozmowy z tą przeklętą starą Żydówką, gdyż może mu ona jeszcze nałożyć żydowską kapotę, taką jakie noszą w starej dzielnicy, w żydowskiej Szwajcarii...

W złości mówi do chłopca jak do stuprocentowego Holbeka, który

nie ma w sobie domieszki krwi Karnowskich. Przypomina sobie od razu, że za daleko się zagalopował. •

— Nie powiesz nikomu w domu, o czym rozmawialiśmy — mówi.

— Nikt nie powinien wiedzieć, o czym rozmawiają mężczyźni.

— Ach, mój Boże — obraża się chłopiec, że można wątpić w to, czy on potrafi zachować tajemnicę. — Jakżebyś śmiał?

Tak właśnie mówi mężczyzna — powiada Hugo i pędzi jeszcze szybciej. Chce odstawić wóz, zanim wróci szwagier.

Nie lubi mieć z nim do czynienia. Mimo całej pogardy do żydowskiego specjalisty od lewatyw, czuje swą niższość spotykając się z nim. Jak większość lekarzy, dr Karnowski ma profesjonalnie ironiczny stosunek do ludzi innych zawodów, jakby życie innych spoczywało w jego rękach.

— Co słyhać panie poruczniku? — pyta ironicznie.

Hugo Holbek nie lubi, gdy szwagier zwraca się do niego "panie poruczniku". Zwrot, który przyjemnie brzmi w ustach służącego Karla i podobnych mu ludzi, w uśmiechniętych ironicznie ustach dr. Karnowskiego brzmi obelżywie, tkwi w nim drwina.

— Cóż może robić niemiecki porucznik w tych przeklętych czasach — odpowiada swoim zwyczajem Hugo, dając szwagrowi do zrozumienia, że terażniejszość należy do Karnowskiego, nie do Holbeka.

— Przeklęte czasy potrwają długo, panie poruczniku

— przepowiada dr Karnowski — zanim się skończą, możesz złapać reumatyzm i nie pozostanie ci nic innego jak zostać generałem w

stanie spoczynku...

— Mam inny pogląd na tę sprawę, panie doktorze

— odpowiada Hugo.

— Ale na razie zjedzmy obiad, jestem głodny jak wilk

— mówi dr Karnowski i wchodzi ze szwagrem i Jego- reczkiem do dużej jadalni, gdzie stół jest bogato nakryty.

Teresa zawiązuje swemu synkowi wokół szyi serwetkę, aby się nie poplamiał przy jedzeniu i woła szwagierkę do stołu.

— Beka — przyzywa siostrę męża imieniem, które szwagierka lubi, gdyż Rebeka brzmi w jej uszach zbyt z żydowska.

Rebeka, bardzo rosła, wchodzi z ogródka z zerwanymi kwiatami i ciężkavo podchodzi do stołu.

— Och, pan Hugo — mówi zaskoczona.

Hugo zrywa się po wojskowemu od stołu, trzaska jak może najefektowniej obcasami.

— Dzień dobry, panno Beko — mówi i elegancko całuje ją w rękę.

Czarne oczy Rebeki są pełne zachwytu dla manier porucznika i szacunku dla pań, jaki jej okazuje. Gdyby tylko mogły to widzieć jej były koleżanki z liceum! Rebeka siada obok Hugona Holbeka, jak bratowa jej wskazała. Hugo przesadnie usłużnie podsuwa jej krzesło.

— Bardzo pan uprzejmy, panie poruczniku — mówi Rebeka promieniejąc. Czuje obok siebie bliskość jego nóg, Hugo pachnie dymem, skórą, mydłem do golenia i męskością.

Nagle Rebeka, bez powodu, w przypiływie miłości do bratowej całuje ją. Teresa rumieni się i poprawia Rebecę włosy. Ile razy by ich

nie poprawiano, włosy Rebeki natychmiast się znów rozsypują.

Dr Karnowski obserwuje kobiece czułości i żartuje:

— Gdy młoda kobieta całuje swoją bratową zbyt serdecznie, ma na myśli jej brata, tak twierdzą psychologowie — śmieje się głośno.

Cała trójka, Teresa, Rebeka i Hugo rumienia się jednocześnie. Czarne oczy Rebeki miotają płomienie.

— Jesteś cynikiem jak każdy ginekolog — mówi ze złością, tym większą, że w powiedzeniu brata tkwi sporo prawdy.

Dr Karnowski śmieje się głośno i opowiada komiczne historie o przypadkach z rozhisteryzowanymi pacjentkami z bieżącego dnia. Rebeka nie chce tego słuchać. Jest sentymentalna. Jej czarna, potargana głowa pełna jest kwiatów, muzyki, powieściowych bohaterów i marzeń. Nie może słuchać drwiących opowieści brata o kobietach.

— Panie poruczniku, może pan raczej coś opowie — mówi do swego sąsiada — coś ładnego.

Hugo Holbek jest w kłopotcie. Nie ma nic do opowiadania. Lecz Rebeka patrzy na niego takimi pełnymi żaru czarnymi oczami, że nie może jej odmówić i zaczyna mówić o swych doświadczeniach frontowych. To jedyny temat jego rozmów. Ponieważ w obecności pad nie może używać ordynarnego żołnierskiego języka, często się zacina. Lecz Rebeka z wielką uwagą słucha opowieści o jego bohaterstwie.

— Boże kochany — mówi z podziwem.

Dr Karnowski nie jest w stu procentach pewien autentyzmu tych

bohaterskich wojennych wyczynów. Co innego widział na froncie.

Czy nie było w ogóle dyzenterii, panie poruczniku? — pyta, nalewając sobie kielich stołowego wina.

Oczy Rebeki ciskają płomienie w kierunku brata. Zawsze był wstrętnym cynikiem i takim też pozostanie. Tacy są teraz wszyscy, bez poczucia piękna i rycerskości.

— To te przekłete powojenne czasy — mówi cicho Hugo. — Bez wojska nie ma romantyzmu.

— Złote słowa, panie Hugo — mówi Rebeka, patrząc na niego promieniejącymi oczami — wszystko jest szare, wyrachowane, praktyczne.

To jest jej słaby punkt. Mężczyźni po wojnie stali się bardzo praktyczni. Szukają tylko dużych posagów, miłość zaś jest u nich na ostatnim planie. Rebeka nie chce nawet słyszeć o kawalerach, których swata jej dr Lipman. Podobnie jak ogół Żydów, którzy sami się obwiniają o wszelkie zło, uważa, że młodzieńcy przejawiają żydowską cechę — dążenia do robienia interesu na wszystkim, nawet na miłości. Jest olśniona wysokim, jasnowłosym porucznikiem, eleganckim, rycerskim, o szerokich horyzontach myślowych i dobrych manierach. Nawet w jego nieporadności przy próbach urzędzenia się w życiu widzi piękno i rycerskość.

— Jest jakby dużym dzieckiem, nie zrozumiąły i naiwny jak chrześcijanin — szepcze bratowej do ucha.

Teresa jest innego zdania o bracie, ale milczy. Rebeka i Hugo

wychodzą do ogródka, siadają przy kwiatkach

— to ulubione miejsce siostry Georga. Rozprawia żarliwie o książkach, muzyce i aktorach. Bardzo namiętnie mówi o wszystkim. Hugo siedzi, wyciągnąwszy nogi i więcej słucha niż mówi. W niewielkim stopniu zna te problemy. Gdy Rebeka recytuje z pamięci utwory współczesnych poetów, jest zupełnie zdezorientowany. Nie przywykł do tego typu dziewcząt. Zna szwaczki, z którymi nie wychodzi się na ulicę, nawet mając z nimi jakieś romanse, albo mieszczańskie córki z dobrych domów, które, jeżeli się z nim przechadzają, pozwalają mu mówić, a same tylko się śmieją, gdy Hugo opowiada o komicznych wydarzeniach z frontu. Żadna dziewczyna nie czytała mu jeszcze wierszy, nie mówiąc już o deklamowaniu z pamięci i to jeszcze z takim żarem.

— Piękne, bardzo piękne — i wypowiada się o wierszach, które nawet nie docierają do jego uszu.

Rebeka zapala się coraz bardziej. Jest jak jej ojciec energiczna, namiętna, a zarazem jak Lea Karnowska macierzyńska, pragnie się poświęcać duszą i ciałem dla dzieci i osób bezradnych i słabszych od siebie. Do mężczyzn ma stosunek taki jak do dzieci, dlatego też nie ma serca dla obrotnych, mądrych i praktycznych, którzy sami są w stanie dawać sobie radę, lubi niezaradnych, dziecinnych i naiwnych. Chce być dla męża matką, kierować nim, prowadzić do sukcesu. W jasnowłosym milczącym i nieustabilizowanym życiowo Hugonie widzi to dziecko, tego bezradnego męża, któremu jest potrzebna matka a zarazem oddana żona, by nim kierowała, rozwijała go i

wydobywała ukryte, drzemiące w nim wartości.

— Och, jest pan dużym dzieckiem, panie poruczniku

— mówi jak matka, gdy Hugo wypowiada jakieś głupstwo.

Hugo nie wie, co ma ze sobą począć w jej obecności. Intryguje go swą namiętnością, swymi czarnymi włosami, płomiennymi oczami. Nie jest tak otwarta i łatwa do rozszyfrowania jak szczupłe blondynki, które zna. Jest pełna kobiecych tajemnic. Nie miał nigdy do czynienia z żydowskimi kobietami, lecz słyszał od kolegów, że tkwią w nich tysiące diabłów. Jest jednak przekonany, że nie chciałby takiej żony, gdyż czuje sprzeciw wobec tej obcej, intrygującej i przewyższającej go dziewczyny, którą on jednak uważa za gorszą od siebie.

Czuje się swobodniejszy, gdy opuszcza ten dom.

Jak zwykle kręci się bardzo onieśmielony wokół swego szwagra, czerwieni się i dużo pali, zanim się z nim pożegna. Dr Karnowski zna już to lawirowanie i wychodzi mu naprzeciw.

— Ile — pyta, patrząc w jego jasne oczy.

— Dwadzieścia pięć marek, jeśli to możliwe — mówi zakłopotany Hugo. — Jak tylko zacznę pracować, zwrócę, słowo honoru porucznika...

Dr Karnowski zna już tę śpiewkę. Słyszy ją od szwagra, ilekroć ten bierze pożyczkę, jednakże daje mu pieniądze.

-HT Może wystarczy piętnaście T— mówi ironicznie.

Hugo przyjmuje pieniądze i wychodzi wielkimi krokami.

— Taki gówniarz i i mruży zagniewany, iż musiał zwrócić się o pożyczkę, jak również o to, że nie dostał dwudziestu pięciu marek,

lecz o dziesięć mniej. — Żyd, jak zwykle, lubi się targować.

W bawarskiej piwiarni Schmidta przy moście Poczdamskim znów się czuje we własnej skórze. Schodzą się tu byli oficerowie, studenci ze swymi dziewczętami. Piwo tu jest dobre, kiełbaski smaczne, kiszona kapusta dość słona. Koledzy pozdrawiają go po wojskowemu, trzaskając obcasami. Kelnerki uśmiechają się do niego.

Gdy studenci popiją i zaczynają dyskutować, nastrój staje się wesoły. Goście w bawarskiej piwiarni Schmidta to przeważnie nowi ludzie. Mówią o walce za odradzające się Niemcy, o zemście nad Francją i przeklętymi zdrajcami z zachodniego Berlina, o żydowskich bogaczach, którzy wbili bohaterskiej armii nóż w plecy. Mimo że Hugo nie uczestniczy w tych rozmowach, gdyż nie umie i nie lubi przemawiać — mówienie to nie jego specjalność, jego specjalnością jest kroczenie na czele uzbrojonego oddziału, odbieranie i wydawanie rozkazów — to jednak podobają mu się dyskusje w odradzającym się kraju.

— Prosit\ — woła do kolegów i wypija wielkimi haustami kufel za kuflem.

Później, nocą, wychodzi z jedną z kelnerek. Gdy z rana zostaje mu jeszcze trochę pieniędzy, idzie na strzelnicę i strzela do celu. Czasem udaje mu się wygrać paczkę papierosów za najlepszy strzał. Z każdym dniem sytuacja dr Elzy Landau, przedstawicielki północnego Berlina w wielkim Reichstagu, stawała się coraz trudniejsza.

— Na Dragonerstrasse marsz! — krzyčili deputowani

reprezentujący nowy ład — do żydowskiej Szwajcarii, do galicyjskich rodaków, do oszustów, fałszerzy pieniędzy, bolszewików, spekulantów.

Inni wysyłali ją jeszcze dalej.

—Do Jerozolimy się wynosić! Nie potrzebujemy Żydów w niemieckim Reichstagu.

Elza Landau nie pozostawała dłużna z odpowiedzią. Replikowała, kim są oszuści, fałszerze pieniędzy i spekulanci. Znała zawsze tajemnice wrogiego obozu, rzeczywisty splendor należących do niego ludzi i bardzo zręcznie prała ich brudną bieliznę na oczach wszystkich. Posługiwała się faktami, cyframi. Lecz żadne błyskotliwe wypowiedzi, logiczne wywody i dowody nie mogły oprzeć się chórowi głosów i śmiechu. Elzę Landau znużyła wojna z wrzeszczącymi mężczyznami, którzy wysyłali ją do Jerozolimy, chrypła, często nawet traciła panowanie nad sobą, wpadała w histerię, co bardzo bawiło roześmianych deputowanych.

Jeszcze gorzej było, gdy wyjeżdżała do prowincjonalnych miast z przemówieniami do robotników.

Studenci, byli wojskowi, robotnicy pozostający bez pracy, ulicznicy, awanturnicy, gimnazjaliści nie mogący po ukończeniu gimnazjum dobić się żadnej posady, przysyłani przez zwolenników nowego ładu, gromadzili się na jej zebraniach, gwizdali, śmiali się, lżyli, obrzucali zgniłymi jajami i cuchnącymi bombami. Nieraz zdarzało się, że ktoś wystrzelił w sali z rewolweru. Hałastrą w butach z wysokimi cholewami i w brunatnych koszulach atakowała nie tylko

jej żydostwo, lecz nawet jej kobiecą godność.

— Czerwonowłosa żydowska dziwko! — wołali.

Mimo że Elza Landau знаła wartość tych obelg i oszczerstw, czuła się bardzo dotknięta. Obrażały ją one jako kobietę. Właśnie ją, która odrzuciła szczęście rodzinne i miłość, aby poświęcić się wyłącznie walce o sprawę robotniczą, obrzucano tymi ohydnyimi, kłamliwymi obelgami. Najgorsze zaś było to, że ohyda ta znajdowała poklask tłumu. Zgromadzeni ryczą przy każdym ordynarnym wyzwisku, które przemawia do nich bardziej niż wszelkie logiczne wywody i statystyka. Powodzenie to lak wzmogło zuchwałość zbirów, że grozili jej nawet zastrzeleniem jak psa, jeżeli odważy się występować w niemieckich miastach.

Elza Landau nie daje się zastraszyć. Wąchała już proch w okresie przejściowym bezpośrednio po wojnie. Wprost przeciwnie, im więcej listów z pogrózkami dostaje od swych wrogów, tym częściej udaje się z przemówieniami od miasta do miasta, zajeżdża nawet do najbardziej podupadłych miejscowości, gdzie najczęściej buszują zbiry w czarnych wysokich butach. Budzi drzemiących proletariuszy, którzy złożyli broń przed obutymi osobnikami, dodaje im odwagi, wnosi świeżego ducha, wskrzesza umarłe organizacje, rozdmuchuje tłące się węgle obumierających powojennych ognisk rewolucji. Lecz jednocześnie dostrzega, że wrogowie z każdym dniem wzrastają w siłę, opanowują nie tylko drobnomieszczaństwo i chłopstwo, lecz również wielu robotników.

Mnóstwo tych ostatnich pozostaje bez pracy. Są już zmęczeni

oczekiwaniem, bezrobociem i życiem z zasiłków. Od przywódców, towarzyszy deputowanych i kierownictwa w stolicy żądają czynów. Elza apeluje do ich rozsądku, mówi logicznie, operuje liczbami, niezbitymi dowodami czerpanymi z literatury socjalistycznej i ekonomicznej. Lecz robotnicy nie chcą jej słuchać.

— Tylko słowa, słowa, słowa — mówią najbardziej niezadowoleni i najodważniejsi. — Zmęczeni jesteśmy gadaniem. Chcemy chleba i pracy.

Elza Landau nie ma na to odpowiedzi. Bardziej niż inni przywódcy partyjni w stolicy dostrzega nadciągające nieszczęście. Tamci, pochłonięci swą pracą, nie stykają się z robotnikami i są bardziej optymistyczni. Elza zachodzi do robotniczych mieszkań w prowincjonalnych miastach, jada przy robotniczych stolach, rozmawia z kobietami, widzi biedę i nędzę, a przede wszystkim apatię. Ostrzega towarzyszy partyjnych przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Wyperswadowują jej jednak ten punkt widzenia.

— Zbyt pesymistycznie wszystko widzicie, towarzysko Elzo — mówią.

Ale Elza widzi lepiej. Kiedy leży sama w pokoju prowincjonalnego hotelu i nie może usnąć, nawiedzają ją smutne myśli. Dopóki przemawia do robotników, obserwuje ich święta, ćwiczenia sportowe i marsze, słucha ich swojskich orkiestr, które grają na jej cześć, zapomina się, porywa ją radość walki. Lecz gdy nocą zostaje sama w hotelowym pokoiku — a wszystkie wyglądają tak samo, niemal

jednakowo wyściełane meble, te same sztychy przedstawiające niemieckie zamki i zwycięskie bitwy, te same szerokie łóżka i szczelnie zasłonięte okna — dopada ją smutek i lęk.

Jest samotna. Szerokie, podwójne łóżko jest jakby kpiną z jej gibkiego, bardzo szczupłego ciała, które się gubi w tej miękkości i szerokości. Przez ściany sąsiednich pokoi dobiegają często do jej uszu śmiechy par, przytłumione rozmowy i szepty. Odczuwa nagle swe kobiece osamotnienie, ale odpędza od siebie te myśli. Co ją obchodzą głupie szepty zakochanych par poszukujących miłości w pokojach hotelowych — ją bojowniczkę, która osiąga największe zadowolenie w pracy i w walce? Lecz kobiece myśli nie dają się odpędzić, przypominają jej się słowa ojca: — “Elzo, będziesz żałowała, lecz już będzie za późno”. Tak mówił jej nieraz.

Śmiała się z tego, lecz teraz, w trakcie bezsennych nocnych godzin, ojcowskie ostrzeżenia nie wydają się jej już śmieszne. Od rozmyślań o ojcu przechodzi do innej bliskiej osoby, Georga Karnowskiego. Przypomina sobie pokój hotelowy w mieście nad Odrą — podobny do tego, w którym znajduje się obecnie. Nawet wisiały tam takie same sztychy, przedstawiające niemieckie zamki i bitwy. Lecz wtedy nie była sama. Był z nią Georg przed wyruszeniem na front.

Kiedy to było? Wiele już lat upłynęło, lecz ona pamięta tę noc. Georg ją kochał, roznamiętnił ją, po raz pierwszy w jej życiu. Ona go również kochała, i to gorąco. Lecz go opuściła, zamieniła jego miłość na pracę partyjną, gwoli radości z działalności i walki, a przede

wszystkim dla sławy. Nie, Elza się nie oszukuje. Przy całej ideowości było w niej dużo osobistej ambicji, tęsknota za rozgłosem, chęć dowiedzenia mężczyznom, że nie jest od nich mniej wartościowa, a nawet że jest silniejsza i wybitniejsza. Osiągnęła to, do czego zmierzała. Stała się osobistością, mężczyźni ją podziwiali, każde jej słowo drukowała prasa. Nawet przeciwnicy liczą się z jej siłą. Ileż kobiet zazdrości jej interesującego życia, mówią jej, że powinna być z siebie dumna, szczęśliwa.

Ale Elza nie jest szczęśliwa. Praca ją pochłania, lecz gdy zostaje sama, zwłaszcza nocami, doskwiera jej osamotnienie i dopadają ją wszelkie kobiece wątpliwości. Myśli o domu, o przytulności, spokoju i miłości. Nie może zapomnieć Georga. Ma on żonę, dziecko, dom. Od lat go nie widziała, ale ma o nim wiadomości. Jest wybitnym lekarzem. Jak szczęśliwa byłaby z nim, gdyby była jego żoną, posłuszną i nawet uległą, byleby tylko nie być samotną.

Wśród nocnej ciszy rozlega się skądś płacz dziecka i zaspany głos matki, która je kołysze. Elza nadstawia uszu i zazdrości kobiecie, której zaspany głos słyszy. Ojciec ją ostrzegał, dowodził, że dziewczyna powinna wyjść za mąż, rodzić dzieci. Śmiała się z tego, lecz teraz zdaje sobie sprawę, że lepiej od niej rozumiał życie kobiety. Wszechstronnie i pełnią życia żyją biedne żony robotników, do których Elza przychodzi. Ich dni i noce wypełnione są dziećmi i życiem domowym. Jak szczęśliwa jest ona sama, gdy czasem w którymś z tych domów bierze na kolana tłuste, śmiejące się dziecko. Jak słodkie

fi

i delikatne są dziecięce rączki, kiedy czepiają się jej policzków albo obejmują ją za szyję. Co znaczą wobec tej macierzyńskiej radości wszystkie tarcia, walki, podniecenie i aplauzy, dla których poświęciła młodość, miłość i macierzyństwo?

Odpychała od siebie szczęście. Po Georgu byli inni, ofiarowywali jej swą miłość. Odsuwała od siebie wszystkich, nie chciała się odrywać od politycznej pracy, nie zamierzała oddawać się w niewolę i być typową kobietą. Lecz ze swą wolnością, która jej ciąży, nie jest szczęśliwa. Wie, że już nie jest młoda. Co prawda, jej ciało jest jeszcze gibkie i dziewczęce, mężczyźni wciąż prawią jej komplementy, podziwiają jej kobiecość, ale ona się nie oszukuje i zna swój wiek. Często odczuwa już zmęczenie, pragnie odpoczynku. Nigdy w młodości nie doznawała czegoś podobnego. Są to pierwsze objawy starzenia się. Miewa częste bóle głowy, różne kobiece dolegliwości, które są skutkiem staropanieńskiego trybu życia — to są pierwsze oznaki przekwitania.

Odrzuca z siebie kołdrę i o tej późnej, bezsennej nocnej godzinie obserwuje swoje ciało i lituje się nad sobą, nad swą młodością, która minęła bez miłości, bez serdeczności. Jej ciało nigdy nie zazna macierzyńskiego szczęścia i jest tego pewna. Jej piersi nigdy nie będą karmiły dziecka. Obecnie jest jeszcze zdrowa, aktywna. Lecz wkrótce będzie kobietą w średnim wieku, ani się obejrzy i nadejdzie starość. Jak bezsensowne jest samotne życie starszej kobiety, jak puste i jałowe.

Elza bierze tabletkę na uspokojenie, na sen. lecz ciężkie myśli są silniejsze od leku. Nie może zasnąć. Wszystko jej ciąży podczas tych bezsennych godzin. Miękkie łóżko jest twarde, uwierają puchowe poduszki. Jakby nie układała głowy, jest jej niewygodnie. W ciszy rozlegają się różne nocne odgłosy, czasem jest to radosny śmiech jakiejś pary, która żegna się za oknem i nie może się rozstać. Innym razem słyhać śpiew pijaka, to znów płacz dziecka. Miejskie zegary wybijają uroczyście każdą godzinę, pół godziny, kwadranse. Echa noszą się długo

i tęsknie. Napawają lękiem, niepokojem, złowieszczymi przypuszczeniami, jakby przestrzegały przed czymś groźnym i nieuniknionym, co nadchodzi wciąż bliżej i bliżej. Elza wtula twarz w poduszkę i płacze, płacze jak każda kobieta, która odczuwa późną bezsenną nocą swą samotność i zagubienie.

Zegary biją nieustannie, ostrzegają i grożą.

Niezwykłe napięcie, ożywienie, trwoga, swoboda i oczekiwanie jednocześnie ogarnęły stolicę, gdy osobnicy w butach z wysokimi cholewami opanowali ulice i place.

Byli wszędzie. Maszerowali w paradach, pędzili w autach, gnali na motocyklach, nosili płonące pochodnie, grały ich orkiestry, trzaskali obcasami i maszerowali, maszerowali, maszerowali.

Tupot ich butów burzył krew. Nie wiadomo dokładnie, co ci nowi władcy w butach z cholewami przyniosą — szczęście czy nieszczęście, realizację przyrzeczeń, czy wielkie rozczarowanie. Lecz ludzie byli podnieceni, napięci, a zarazem radośni, jak wtedy, gdy

wszystko stawia się na jedną kartę, kiedy się czyni coś surowo zakazanego i nie wiadomo, co z tego wyniknie — dobro czy zło, ale w każdym razie odczuwa się jakąś niepohamowaną lekkość i swobodę, coś odmiennego niż zazwyczaj, coś nowego, świątecznego, niepokojącego i młodzieńczo-swa- wolnego.

Jak w dawnych dobrych czasach stolica znów słyszała muzykę wojskową, znów po ulicach rozlegał się tupot butów, znów łopotały chorągwie, płonęły pochodnie, trzaskały obcasy, grzmiały salwy, znów pojawiły się mundury, marsze, parady, wzniosłe mowy. Głośniej niż gdziekolwiek tupotały buty w zachodnim Berlinie, na Kurfiirstendamm, na Tantzienstrasse, w całej dzielnicy, gdzie mieszkali, założyli swe przedsiębiorstwa, biura i gabinety czarnowłosi i czarnoocy wielcy kupcy, profesorowie, dyrektorzy teatrów, lekarze i bankierzy. Pieśń o tym, że gdy spod noża tryska żydowska krew, wszystko ponownie toczy się pomyślnie, rozbrzmiewała szczególnie donośnie i z większą mocą wyrywała się z piersi zgrai w butach, gdy przechodziła obok eleganckich sklepów, banków i domów towarowych na ulicach zachodniego Berlina, aby czarnowłosi słyszeli ją wyraźnie.

m

P^^ Dochodziła więc ona do uszu czarnowłosych bankierów, kupców, adwokatów i lekarzy, a także artystów i dziennikarzy, agentów handlowych w kawiarniach, gdzie jak zwykle przesiadywali przy kawie i gazetach. Byli niespokojni i nieco zażenowani, czuli się niezręcznie, lecz nie obawiali się zbytnio grózb pobrzmiewających

w pieśniach obutych zbirów. W końcu było to tylko kilka wierszy w piosence, głupiej piosence, które rozumni ludzie powinni zbagatelizować. Nie brali ich też poważnie kupcy na Friedrichstrasse, czy na Alexanderplatz.

Interesy szły jak dotąd, nawet lepiej niż zwykle. Ludzie zbierali się na ulicach. Będąc w świątecznym nastroju, zachowywali się lekkomyślnie. Wydawali pieniądze, zapominając o cechującym ich zazwyczaj wyrachowaniu i oszczędności. W kawiarniach kelnerzy serwowali kawę i jabłecznik, podawali swym stałym czarnowłosym gościom gazety z całego świata, ciągle honorując ich tytułem doktora, niezależnie od tego, czy byli to ludzie do tego uprawnieni. Nie wierzono, a raczej nie chciano wierzyć, że nastąpi jakakolwiek zmiana. Ponadto powszechnie sądzono, że jeżeli zdarzy się coś złego, dotknie to kogoś innego. Tak na ogół ludzie rozumują w okresach kataklizmów.

Rudolf Moser, wydawca największej gazety w kraju, podjechał jak zwykle autem do ogromnego gmachu swego wydawnictwa i pracował normalnie. Jakkolwiek nieprzyjemnie było słuchać śpiewu o krwi żydowskiej, ani przez chwilę nie przypuszczał, że słowa te mogą jego dotyczyć. Pochodzi wprawdzie od Żydów, ale od dawna jest wychrzczony, żonę ma chrześcijankę, a sam należy nawet do zarządu komitetu obchodu rocznicowego najbardziej znamienitego kościoła w mieście. Jego salon odwiedzali najwybitniejsi politycy, również z obozu prawicy. Czyż trzeba więcej, nawet dr Zerbe, człowiek prawicy, zachodził do jego domu. Cokolwiek się stanie z Żydami, nie ma to

nic wspólnego z nim, chrześcijaninem.

Właściciele domów towarowych, bankierzy, wielcy kupcy, dyrektorzy teatrów, znakomici aktorzy i artyści, światowej sławy profesorowie należący jeszcze do gminy żydowskiej również nie przypuszczali, że właśnie ich krew ma tryskać spod noża. Wprawdzie należą do gminy, ale jest to tylko formalność, Poza tym nie mają nic wspólnego z żydostwem. Są zakorzenieni w niemieckim życiu, w kulturze kraju, dla którego położyli wielkie zasługi. Większość ludzi młodego pokolenia z ich środowiska brała udział w wojnie, wśród nich było wielu odznaczonych. Jeżeli coś się może komuś przydarzyć, to tylko żydowskim nacjonalistom, którzy tkwią w hebrajskiej kulturze, a niektórzy nawet marzą o wywędrowaniu do Azji i o różnych innych podobnych sprawach.

Dr Szpajer, rabin największej synagogi w Berlinie, również nie wierzył, że groźby ukarania Żydów mają z nim jakikolwiek związek. Czyż on i jego rodzina od pokoleń nie żyją w tym kraju? Czy on nie posługuje się w swych kazaniach najpiękniejszą niemczyzną? Czyż nie zdobi swych przemówień cytatami z Goethego, Lessinga, Schillera i Kanta? Czyż nie wzywał swojej kongregacji do obrony kraju, do oddania z zapalem życia za ojczyznę, gdy trzeba było ruszyć na wojnę? Nie, jeżeli można wysuwać jakiegokolwiek zarzuty, to tylko wobec obcych, przybyszów. Podobnie jak w czasie wojny zaczął oddalać się od swego przyjaciela Dawida Karnowskiego — imigranta. “W tych ciężkich czasach lepiej trzymać się z dala od obcych — myślał. — Nie należy się narażać. Tak też napisano: dobrze wiedzie

się człowiekowi, który się zawsze lęka".

Dr Karnowski pracował w swej klinice ginekologicznej, nie przejmując się zbytnio groźbami rzucanymi przez osobników w czarnych wysokich butach pod adresem żydowskich lekarzy. Nonsens, on się tu urodził, studiował, zdobył uznanie dzięki swej ważnej pracy ratującej życie innych ludzi. Poza tym brał udział w wojnie, był odznaczony, doszedł do rangi kapitana. Jego żona jest chrześcijanką, Niemką od pokoleń. Jeżeli się o kogoś obawiał, to o swoich rodziców. Oni są tu obcy, wciąż jeszcze nie mają obywatelstwa i można im przyczynić wielu zmartwień.

Dawid Karnowski również nie wyobrażał sobie, że można go wypędzić z kraju, w którym mieszka od lat. Ponadto jego syn był na froncie, a on sam jest solidnym, rzetelnym i uczciwym kupcem. Niemcy, z którymi utrzymuje stosunki handlowe, nie mogą się go nachwalić. Przy tym on zżył się z tym krajem, wyuczył się doskonale języka i nie ma nic wspólnego ze Wschodem, jest człowiekiem Zachodu. Jeżeli coś zagraża obcym, to — według jego przekonania — tym, którzy zbiegli się tu po wojnie i osiedli w starych dzielnicach. Przy całym swoim współczuciu dla tych ludzi Dawid Karnowski żywił do nich trochę żalu. Zbyt wielu ich się tu zgromadziło, zwłaszcza po wojnie. Zakupili oni domy w czasie zamętu, gdy kurs marki leciał na łeb, na szyję. Od niego taki przybysz też kupił dom. Poza tym osiedlili się tu różni pejsaci Żydzi w kapotach i wszelacy staromodni działacze religijni. Dawid Karnowski często wstydził się,

gdy spotykał tych ludzi w tramwaju czy w metrze. Niektórzy z nich udawali się też zbierać datki do zachodniej części miasta. Swoim wyglądem i obyczajami nie przysparzali dobrej opinii berlińskim Żydom. Nawet on, sam imigrant, nie mógł znieść tych ludzi. Nic więc dziwnego, że wśród nie-Żydów wzbudzali do siebie nienawiść. Co prawda, są również wśród nich dobrzy, przyzwoici ludzie, mędracy i wybitni intelektualiści — mieszka tam nawet stary reb Efraim Walder. Na ogół jednak ludzie ci są w stolicy Niemiec chorobliwą naroślą. Możliwe więc, że nowi imigranci przyczynią niektórym z zasiedziały w Berlinie Żydom, tym, którzy nie posiadają dokumentów, wiele zła.

Mieszkańcy starej dzielnicy, właściciele sklepów okazyjnej sprzedaży również dokonywali rozgraniczeń między sobą a okolicznymi mieszkańcami. Właściciel hotelu im. cesarza Franciszka Józefa, reb Hercele Wiśnik, był pewien jak dwa a dwa, to cztery, że on i jego ziomkowie Austriacy — lub jak ich tu nazywają: Rosjanie, Galicja- nie — są poza niebezpieczeństwem. Czyż Austria nie była sprzymierzeńcem Niemiec? Czyż nie walczyły razem przeciw wrogom? Wprawdzie część Austrii zwana Galicją przypadła nowym władcom — Polakom — lecz stało się to na skutek przegranej wojny. Jednak obszar ten należał do Austrii i jest uważany za austriacki. Jest głupotą sądzić, że Niemcy swych sprzymierzeńców, z których wielu było na wojnie, na froncie, dotkną w jakiś sposób. Jeżeli kogoś w tej okolicy mają na myśli, to Rosjan i innych "obcych", którzy zbiegli się tu ze wszystkich krańców świata.

Z kolei rosyjscy Żydzi podzielili się na dwie kategorie — takich, którzy mają dokumenty w porządku i takich, których papiery budzą wątpliwości. Ci ostami pokładali nadzieję w konsulach swoich krajów. Nie ma bowiem samowoli na świecie.

— Oni się poprawią, ci Hamani — pocieszali się Żydzi. — Niejedni Amalekici chcieli gnębić Żydów, a ci mimo to pozostali Żydami. Nic nam nie zaszkodzi, Bóg jest Ojcem.

Każdy nadal wykonywał swą pracę, handlował, kupował, sprzedawał.

Szczególnie kwitł handel w sklepie sprzedaży okazyjnej Salomona Buraka przy ulicy Landsberskiej. Mimo że tu również maszerowały zbiry w wysokich butach i nawoływały ludność, by nie kupowała u oszustów i krętaczy, kobiety zapełniały sklep Salomona Buraka, kupując to, co zwykle lub nawet więcej. Cokolwiek miało się stać, wołano mieć w domu towar, cenne przedmioty zamiast papierowych pieniędzy, których wartość może spadać, jak to miało miejsce w powojennym zamęciu. Salomon Burak czuł się w swym dużym sklepie jak ryba w wodzie. Wciąż pełen humoru tryskał dowcipami. Ani wiek, ani ciężkie czasy nie zdołały go zmienić.

— Najnowszy model Hamana okrutnika, wszystkie plagi faraona, łaskawa pani — żartował, a klientki te krotchwile traktowały poważnie. Ita, jego żona strofowała go.

— Salomon, nie gadaj tyle, Szlomele, ściany mają uszy.

Jego zięć, Jonas Zielonek, wyłaził ze skóry ze zdenerwowania. On sam czuł się pewnie, gdyż mimo że był

nianiakiem, uważał się za Niemca, przy tym również był na froncie. Lecz nie miał całkowitej pewności odnośnie do teścia, który przybył tu z jakiejś Mielnicy, z drugiej strony granicy. Zielonka irytowała jego dowcipy i ciągle wtrącanie podczas rozmów wyrazów hebrajskich. Nigdy nie mógł tego ścierpieć, a obecnie mniej niż kiedykolwiek.

— Na litość boską, niech ojciec to mnie pozostawi prosił teścia. — Najlepiej by było, gdyby ojciec się usunął ze sklepu na kilka dni i mniej się tu kręcił z mielnickimi dowcipami.

— Cóż, sądzisz, że chroni cię bardziej to, że jesteś poznianiakiem — odpowiadał Salomon Burak — obaj jednakowo spoczniemy w ziemi, Jonasku...

Podobnie drażnił swych sąsiadów, jęków żydowskich, z którymi stosunki nigdy zbyt dobrze mu się nie układały. Bardziej niż innym dokuczał swemu konkurentowi, Ludwikowi Kadyszowi, który usilnie próbował się zabezpieczać w tych niespokojnych dniach. Po pierwsze, przypiął do klapy marynarki Krzyż Żelazny, który otrzymał za utratę oka na wojnie. Ze szczególną dumą wypinał pierś, aby to odznaczenie było bardziej widoczne, ponadto wywiesił w oknie wystawowym swój żołnierski mundur. W ten sposób Ludwik Kadysz chciał się zaprezentować swym klientom nie jako jeden z tych, którzy wbili armii nóż w plecy. Jeżeli ktoś to zrobił, to na pewno nie on. Oto jego mundur, a na nim Krzyż Żelazny. Ludwik Kadysz wierzył, że ten mundur uchroni jego okna. Zdarzało się już, że w ostatnich dniach

chuligani obrzucali kamieniami żydowskie sklepy. Niektórzy sąsiedzi, chrześcijanie, próbowali chronić swe okna, wystawiając w nich krzyże. On nie mógł wystawić chrześcijańskiego krzyża, ale Krzyż Żelazny tak. Salomon Burak drwił z tej osłony sąsiada.

— Mezuzą nie pomoże, panie Kadysz — kpił. — Okrutny Haman nie obawia się mezuz.

Ludwik Kadysz wyrzucił z siebie całą gorycz, która się w nim przez wszystkie lata nagromadziła przeciw sąsiadowi. To Burak i jemu podobni, którzy się tu zbiegli ze świńskiego kraju, są wszystkiemu winni. Oni, Niemcy wyznania mojżeszowego, zawsze zgodnie i przyjaźnie współżyli z sąsiadami chrześcijanami. Byłoby tak nadal, gdyby nie napłynęli tu Żydzi polscy i rosyjscy. To oni ze swym żydłaczeniem, swymi dowcipami i złymi manierami rozdmuchali ogień, który już dawno wygasł. Oni, z ich starą, potworną dzielnicą, z długimi kapotami, żargonem, syjonizmem i socjalizmem, z ich domokrażczarr i i paskarstwem, fałszywymi paszportami i całą ohydą, są wszystkiemu winni. To oni spowodowali konkurencję, obniżyli ceny, szkodzili uczciwym kupcom, zarówno chrześcijańskim, jak żydowskim. I żeby choć nie ruszali się ze starej, potwornej dzielnicy! Lecz oni wyleźli na autentycznie niemieckie ulice. Teraz się to wszystko skończy. Zostaną odesłani z powrotem za granicę, do Polski, skąd przybyli. Pozostaną tu rdzenni Żydzi, zakorzenieni w tym kraju.

Salomon Burak drwi ze swego sąsiada Ludwika Kadysza. Jest on głupi jak wszyscy jekowie. Głupstwa sobie wmawia. Hamani i

faraonowie bić będą wszystkich jednakowo — Salomona Buraka i Ludwika Kadysza. I nie chodzi tu o Ludwika Kadysza czy Salomona Buraka, lecz o żydowską kiesę.

Ludwik Kadysz nie chce tego słuchać.

— Zabraniam panu tak mówić do mnie, panie Burak -T- woła gniewnie. — Jestem Niemcem z Rzeszy... Jestem Ludwik Kadysz.

Nawet szklane oko, które zastąpiło mu własne utracone na wojnie, spogląda ze złością na Salomona Buraka. Ten jednak nie przejmuje się gniewem sąsiada.

Przepowiada słowami Hagady, że odmawiany będzie kadysz za Kadysza i Buraka... “za wszystkich naszych, potem zedrą z nas skórę jak łupiny z kartofli i słoną wodą nasze rany polewać będą. Następnie rozdzielą nasze mienie między gojów... Wszystkim po równo, Salomon Burak i Ludwik Kadysz... Piołun będziemy jedli, piołun, aż się w nosie zakręci...”

Salomon Burak nie jest zatroskany, mimo że wie, iż nadchodzi zło. Jak wszystkich opanowało go napięcie, ożywienie, młodzieńcza beztroska wisząca w powietrzu. Choć już jest posunięty w latach i ma wnuki, wie, że coś ma nadejść i pragnie zobaczyć, co to będzie.

Bardziej niż kiedykolwiek napięcie i ożywienie ogarnęły młodego Joachima Georga Karnowskiego, zwanego zdrobniale Jegorem.

Mimo że w gimnazjum, do którego uczęszczał, zajęcia odbywały się jak dawniej, dawało się odczuć jakieś rozprężenie, niepokój, a zarazem wesołość, beztroskę. U wisały one w powietrzu, wyglądały z wszystkich kątów. Nauka nie miała żadnego sensu. Nauczyciele byli

rozkojarzeni, zagubieni, nie zdawali sobie sprawy, co się dzieje. Nie wysłuchiwali z uwagą odpowiedzi uczniów, zbywali je szybko i swoje obowiązki traktowali niedbale. Swoboda i rozluźnienie w szkole, w której zawsze panowała dyscyplina i posłuch, wzbudzają serca chłopców, zapowiadają coś zakazanego. Bardziej niż szkołę, radosne podniecenie ogarnęło ulicę.

Jegor Karnowski przebywał teraz stale na ulicach, bez wiedzy rodziców opuszczał lekcje, przemierzał miasto wzdłuż i wszerz, chodził wszędzie tam, gdzie tylko mógł dotrzeć. Spacerował po zatłoczonej Kurftirstendamm, dojeżdżał aż do Unter den Linden, dochodził do Alexanderplatz, włókł się aż do północnego Berlina. Jeździł metrem, tramwajem, autobusem, nie wiedząc dokąd i kiedy, byle dokądkolwiek. Chodził beztrosko i bez określonego kierunku, jak wszyscy w mieście. Nikt nie pozostawał na swoim miejscu. Policjanci w hełmach, zawsze pewni siebie, teraz chodzili zagubieni, nie wiedząc, czy jeszcze posiadają władzę, czy już nie. Kierowcy autobusów nie wiedzieli, czy mogą jeździć zwykłymi trasami. Pewne siebie były jedynie maszerujące zbiry w butach z wysokimi cholewami. Tupot ich nóg napełniał wysłużonych żołnierzy niepokojem. Podobne zdenerwowanie odczuwają konie wojskowe na dźwięk trąb wzywających na bitwę.

Wysoki, nad wiek wyrośnięty, szczupły, o niebieskich oczach wyrażających zadziwienie i radosne ożywienie, maszerował Jegor przez rozwydrzone miasto. Muzyka rozpaliała jego młodą krew, gromkie kroki maszerujących rozchwiały jego mózg. Wielkie

podniecenie drażniło jego młode, chude nogi. Chciały one iść z innymi dokądś, bez celu, bez końca maszerować, byle do taktu maszerować i maszerować. Jak wszyscy w tłumie on również wyrzucał ramię w górę, gdy nowy oddział przechodził ulicą. Jak inni wołał, krzyczał, pozdrawiał, a także kupował od kwestujących za kilka fenigów małe odznaki, które przypinał do klapy szkolnej marynarki. Gdy odczuwał głód, wpadał do piwiarni, zamawiał proste jedzenie i piwo, jak to czynili dorośli. Z przyjemnością zajadał kiełbaski, których matka nigdy nie pozwalała mu w domu skosztować. Chętnie wlewał w siebie gorzkie piwo, którego nigdy dotąd nie pił, a które pachniało zakazem i wolnością. Z przyjemnością przysłuchiwał się ulicznym ludzkim rozmowom prowadzonym pospolitym, soczystym i surowym językiem, który tchnął niezwykłym dla niego urokiem. Rozprawiano o nowych, nadchodzących czasach, o marszach, pochodach, paradach. Dym gorzkich cygar palonych przez przemierzających ulice Berlina ludzi drażnił, pobudzał.

Jegor Karnowski mniej niż ktokolwiek inny myślał krwi żydowskiej, tryskającej spod noża. Po pierwsze, nie wsłuchiwał się w słowa pieśni, słyszał tylko melodię śpiew, tekst był jedynie mniej ważnym elementem, jak w każdym hymnie. Po drugie, słowa te nie odnosiły się do niego. Czyż nie jest Holbekiem, Niemcem od pokoleń? Jednym z milionów, którzy maszerują, śpiewają i idą do walki, zwycięstwa i wyzwolenia? Oto jest to, co przepowiadał mu wuj Hugo, że znów nadejdą parady, mundury, pochodnie i marsze. Jegor nie odczuwał już zwykłego

znużenia, był pełen sił, gotów iść i iść. Słabo czuł się tylko w domu, gdzie nie spuszczają go z oka, zmuszają do jedzenia potraw, których nie lubi, gdzie ojciec wciąż zagląda mu do gardła, ciągle obmacuje i bada.

Ogarniała go przemożna chęć, by być jednym z maszerujących, nosić pochodnie, mundur, salutować, trzaskać obcasami i maszerować, maszerować, maszerować, sam nie wie dokąd, byle z dala od domu, byle uciec od ojca, który zagląda do gardła, od matki, która go pieści, od nauczycieli, którzy wtłaczają nonsensy do głowy — od całego dotychczasowego gorzkiego bytowania do życia nowego, wolnego i beztroskiego. Nie wiedząc jak, znalazł się w pobliżu Reichstagu, na placu, na którym pełno było sztandarów, pochodni, maszerujących i okrzyków. W otwartych samochodach siedziały ważne osobistości w mundurach i krzyczały do tłumu. Wielka masa ludzi huczała, wznosiła ręce, falowała, triumfowała. Jegor poczuł, że krew uderza mu do głowy, jak zwykle, gdy czuł rozkołysywanie się tłumu. Poczuł w sobie, jak nigdy dotąd, ogromną siłę. Chciał dokonać wielkich, niezwykłych i bohaterskich czynów, triumfował wraz z innymi, krzyczał, wyciągał ręce.

Kipiała w nim krew, czuł, że życie ma sens, wielki sens. Zbiry w brunatnych koszulach pojmowały dosłownie treść swej pieśni o tryskającej spod noży krwi żydowskiej. Nie były to dla nich puste słowa, jak sądzili mieszkańcy zachodniego Berlina. Z każdym dniem coraz więcej krwi tryskało spod noży, kropla po kropli.

Najpierw osobnicy w brunatnych koszulach zadzwonili w nocy do

dr. Kleina, redaktora największego tygodnika satyrycznego.

Wyprowadzili go z jego pięknego mieszkania przy ulicy Rankego do browaru Schmidta, mieszczącego się przy moście Poczdamskim. W swej piwnicy pan Schmidt przechowywał beczki z piwem. Dr Klein wezwał policję, aby go obroniła przed napaścią obcych ludzi, którzy nie posiadają nakazu aresztowania. Policja odpowiedziała, że nie może ingerować.

— Cóż pan na to, panie redaktorze? — zapytali napastnicy.

— Nic, moi panowie — odparł dr Klein — gdy grzmią armaty, milkną muzy.

Dr Klein wciąż uważał zajście za żart, lecz zreflektował się natychmiast, gdy sprowadzono go po wąskich kamiennych schodach do piwnicy, gdzie owiał go cierpki zapach drożdży, piwniczny zaduch i mysi odór.

— Zdjąć kołnierz i surdut — rozkazał przywódca bandy zbirów.

Dr Klein spoglądał na niego wytrzeszczonymi czarnymi oczami przez swoje okulary. Nie rozumiał, dlaczego ma się rozbierać. Przywódca zgrai wyjaśnił mu to.

— Będziemy fryzować pana redaktora, a w tym celu trzeba zdjąć kołnierz i surdut. Aby było wygodniej przy pracy. Nieprawdaż, koledzy?

“Koledzy” głośno się śmiali. Dr Klein zrozumiał aluzję, gdyż to właśnie on w swym satyrycznym czasopiśmie nazywał zawsze przywódcę zbirów w brunatnych koszulach “fryzjerem”. Tak go również przedstawiał karykaturzysta von Spahnsattel,

krasomówczego, patetycznego fryzjera, zawsze z brzytwą w ręce, co zwykle bardzo rozśmieszało czytelników. Dr Klein wiedział, że zarówno określenie "fryzjer", jak i karykatura są ostre i złośliwe, lecz jako satyryk nie dostrzegał w tym nic uwłaczającego. Przeciwnicy również nie oszczędzali go w swych wydawnictwach, ukazując zazwyczaj jako diabła o kędzierzawych włosach, haczykowatym nosie i bardzo grubych wargach, mimo że miał prosty nos, cienkie wargi i gładkie włosy. Przyjmował to dobronudusznie. Czyż przesada nie jest atrybutem humorystycznego czasopisma? Zbiry w brunatnych koszulach rozumiały to inaczej. Gdy Klein na rozkaz natychmiast się nie rozebrał, przywódca bandy wymierzył mu cios między oczy. Doktor upadł, uderzył głową o beczkę z piwem. Dr Klein nigdy w życiu nie był bity. Pierwszy cios oszołomił go. Był pewien, że nadchodzi jego kres. Im dłużej go bito, tym bardziej zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo wytrzymałe jest ludzkie ciało, które nie pada od razu, lecz jest gotowe do przyjmowania wciąż nowych ciosów i cierpień. Po każdym upadku zbiry stawiały go na nogi, aby bić nadal.

— Rozstrzelajcie mnie — prosił. Oprawcy śmiali się z tej prośby, wydawała im się humorystyczna. Ich rechot pobrzmiwał głośnym śmiechem w zatęchłej piwnicy. Uczynią tak innym razem, gdy tylko uznają to za stosowne. Na razie będą go "fryzować". Przestaną zaś bić, gdy wyda swego przeklętego współnika, żydowskiego sługusa, von Spahnsattla. Mimo całego bólu dr Klein doznał dziwnego ukłucia w sercu, usłyszawszy nazwisko swego przyjaciela. Już w pierwszych

dniach wielkiego napięcia, gdy jeszcze życie toczyło się normalnie, von Spahnsattel zaproponował mu wspólny wyjazd swoim dwuosobowym sportowym autem za granicę, do Paryża.

Ale dr Klein nie chciał uciekać. Mógł jeszcze dopuścić do siebie myśl, że jego czasopismo ulegnie likwidacji, ale nie wierzył, że Niemcy wyrządzą mu jakąkolwiek krzywdę. Nie sądził, aby satyra mogła stanowić podstawę do oskarżeń.

Von Spahnsattel spojrział na niego z pogardą swymi gniewnymi stalowymi oczami.

— Nieszczęście twoje i takich jak ty polega na tym, że nie znacie nas, Niemców — powiedział. — Oceniacie nas na swój, żydowski sposób. Lecz ja znam swoich rodaków, gdyż jestem jednym z nich. Do widzenia.

Były to ostatnie słowa, jakie — oprócz zapachu spalin sportowego wozu — pozostały mu w pamięci po przyjacielu i współpracowniku. Te słowa ożyły w nim teraz, w miarę jak czuł spadające na swe ciało uderzenia gumowych pałek. Przysięgał zbirom, że jego przyjaciel jest nieobecny w Berlinie, że opuścił kraj, wyjechał do Paryża. Nie wierzyli mu i nie przestawali go bić, domagając się, by wskazał, gdzie ukrywa się von Spahnsattel. Dr Klein nie przypuszczał, że on, który nigdy nie wykonywał żadnej ciężkiej pracy, ani nie uprawiał jakichkolwiek ćwiczeń, jest tak silny i może tyle znieść.

Po Rudolfa Mosera, wydawcę największej liberalnej gazety, przysłała nie hałastrą, lecz ważne osoby z nakazem i papierami. Nie

bito go, lecz osadzono w więzieniu ze złodziejami i pijakami, aby uchronić go przed wzburzonymi masami, które chciały go zgładzić za zdradę ojczyzny.

Rudolf Moser twierdził, że nie ma powodu kogokolwiek się obawiać i że odpowiada za siebie, ostatecznie zawsze może wyjechać za granicę. Oświadczone, że pozwolą mu jechać, lecz jedynie wtedy, gdy podpisze zobowiązanie, że przekazuje swoje wydawnictwo państwu. Pani Moser udała się do dr. Zerbe, który odgrywał ważną rolę wśród zgrai nowych władców. Czyż nie bywał gościem w jej salonie? Czyż nie popierał go jej mąż? Dr Zerbe, ze swastyką na ramieniu, nie chciał przyjąć pani Moser. Nie był już redaktorem małej gazetki, lecz dużego dziennika będącego dotąd własnością Rudolfa Mosera. Siedział właśnie w jego gabinecie przy wielkim mahoniowym biurku i nie miał ochoty widzieć pani Mo-

nn

HH ser, pragnącej go prosić o wstawiennictwo w sprawie ^P swego męża. Nie miał ku temu ani chęci, ani odwagi.

— Dr Zerbe, niestety, nie ma czasu przyjąć łaskawej pani — odpowiedział zażenowany woźny redakcji małżonce swego byłego szefa.

Jeszcze mniej czasu miał dr Zerbe dla żony swego byłego uniwersyteckiego kolegi, dr. Kleina, która nie wiedziała, gdzie podziewa się jej mąż od chwili, gdy go nocą wyciągnięto z łóżka.

Na wszystkich oknach mieszkania dr. Fritza Landaua w Neukölln wysmarowano czerwoną farbą napis głoszący, że jest Żydem i

zabroniono mu leczyć chorych, z wyjątkiem jego współwyznawców. Minęły dla dr. Landaua dobre czasy, gdy swymi żydowskimi rękami dotykał aryjskich kobiet, hańbił małe dziewczynki i wysysał krew z niemieckich robotników. Żaden Aryjczyk nie śmie przestąpić progu jego przeklętego, brudnego gabinetu lekarskiego. Zbiry nakazały również starej Jo- hannie, aby opuściła żydowski dom, gdyż nie przystoi jej, Aryjce, usługiwać plugawemu Żydowi. Lecz Johanna, na wpół zgięta ze starości, zwymyślała zbirów od smarkaczy, krzycząc, że do korica życia nie odejdzie od dr. Landaua. Chuligani nazwali ją żydowską kurwą i zostawili w spokoju.

Bardzo energicznie uganiali się za córką dr. Landaua — “rudą bestią”. Szukano jej po całym mieście, we wszystkich domach w Neukölln, gdzie — jak sądzono — ukrywa się u robotników. Każdej nocy w poszukiwaniu Elzy wpadano do domu jej ojca. W trakcie tych “wizyt” rozrzucono i tłuczono butelki w laboratorium dr. Landaua. Gdy wciąż jej nie znajdowano, aresztowano starego doktora i przetrzymywano jako zakładnika do czasu, aż córka sama się zgłosi. Stawiła się i starego zwolniono. Częściej niż dawniej siwobrody dr Landau przechadzał się ulicami swojej dzielnicy z odkrytą głową i grubą laską w ręce. Miał teraz czas, by spacerować po całych dniach, ale już nie zatrzymywał dzieci, jak to było jego zwyczajem, aby je uczyć, jak należy oddychać. Głowę miał spuszczoną i nie odpowiadał na pozdrowienia, jakie niektórzy mieszkańcy odważali się do niego kierować.

— Morjen, morjen — mruczał, nie spoglądając na ludzi. Gdy jakaś

zatroskana matka usiłowała go zatrzymać, aby mu opowiedzieć o kłopotach z dzieckiem, odpędzał ją od siebie laską.

— Żadnych rozmów z Aryjkami — odpowiadał szybko — wzbroniono, wzbroniono, wzbroniono.

Również w starej dzielnicy sklepów okazyjnej sprzedaży, w “żydowskiej Szwajcarii” zbiry namazały na wszystkich sklepach “Jude”, mimo że innych, poza żydowskimi, tam nie było. Nie pominięto nawet jatek z koszernym mięsem, bożniczek i księgarni Efraima Walde- ra. “Malarze” żądali od każdego właściciela sklepu po marce za farbę i wykonaną robotę. Na Wielkiej Ham- burskiej ulicy umieścili napis “Jude” nie tylko na drzwiach i oknach, lecz również na pomniku Mojżesza Mendelssohna w pobliżu synagogi. Mądre oczy filozofa ze smutkiem spoglądały na żydowskie pohańbienie. Duży tłum ciekawskich zgromadził się w alei Landsber- skiej, kiedy hałastra w brunatnych koszulach przybyła do sklepu sprzedaży okazyjnej Salomona Buraka. Wszyscy okoliczni mieszkańcy znali ten sklep, gdzie można było dostać wszystko, począwszy od stroju dla panny młodej po ubiór dla nieboszczyka. Tłum zbiegł się, by obejrzeć bezpłatne widowisko, które chuligani zademonstrowali ulicy, gdy wielkimi czerwonymi literami zabazgrali lśniące okna wystawowe. Tu nie tylko wypisali “Jude”, lecz również wysmarowali pokraczną Gwiazdę Dawida. Wywołało to wiele uciechy wśród zebranego motłochu. Po uporaniu się z tą robotą, chuligani weszli do sklepu. Salomon Burak jak zwykle żartował.

— Ile należy się panom? Za każde okno oddzielnie, czy też łącznie

za całą robotę? — pytał głupkowato.

Ita drżała.

— Szlomele, nic nie mów! Salomon!

Salomon jej nie słuchał i odgrywał nadal swoją rolę kawalarza.

— Panowie wykonali również Gwiazdę Dawida — powiedział. —
Za to należy się zapewne oddzielna zapłata, nieprawdaż?

Z przesadną uprzejmością wypłacił należność. Zbiry przyjęły
pieniądze, lecz wciąż nie odchodziły.

Jonas Zielonek, zięć Salomona Buraka, uznał, że to on, poznaniak,
władający językiem niemieckim nie gorzej od nich, on, który był na
froncie, powinien porozmawiać z tymi osobnikami.

— Czym mogę panom służyć? — zapytał uprzejmie.

Lecz Salomon Burak odsunął swego zięcia jak zbędny
przedmiot. Wolał sam rozmówić się ze zbirami.

— Sądzę, że jest tu panom niewygodnie powiedział. —• Czy mogę
panów prosić do mego gabinetu?

Panowie przeszli z Salomonem Burakiem do bocznego pokoiku,
który on nazywał swoim gabinetem. Kupiec od razu przystąpił do
rzeczy. Zdawał sobie sprawę, że w okolicy nie brak mu wrogów. Miał
dość kłopotów z klientami, którzy nie płacili w terminie rat i wnosili
na nich z tego powodu skargi. Miał nadzieję, że "panowie" zechcą go
wziąć w obronę przed wzburzonym tłumem, jak czynią to obecnie i
postanowił zawczasu dojść z nimi do porozumienia.

— Żyć i pozwolić żyć innym, moi panowie — powiedział, jak
mawiał zwykle. Panowie również wyznawali tę zasadę. Salomon

Burak z największą zręcznością, jaką przejawiał od lat w dawaniu łapówek wrogom Izraela, wetknął "panom" okazałą sumę, zaproponował, by przysłali swe żony i kochanki, aby sobie wybrały piękne rzeczy w jego sklepie sprzedaży okazyjnej.

— Będę ogromnie rad, moi panowie — powiedział głupekowato.

Zbiry w brunatnych koszulach przyrzekły przysłać do niego swe żony i kochanki. Potem jak bohaterzy wyszły ze sklepu.

Salomon uspokajał Itę i zięcia. Raz na wozie, raz pod wozem. Pan Bóg jest Ojcem, jeżeli nie daje pieniędzy, zsyła nieszczęścia...

Nie tak łatwą przeprawę mieli chuligani z sąsiadem i konkurentem Salomona Buraka, Ludwikiem Kadyszem.

Ludwik Kadysz, z Krzyżem Żelaznym w klapie, nie chciał, aby na jego sklepie napisano, że jest Żydem.

— Jestem żołnierzem frontowym, mam Krzyż Żelazny, moi panowie — krzyczał. — Cztery lata na froncie, mój mundur kulami przedziurawiony.

Zgromadzony tłum spoważniał, zarówno pod wrażeniem Krzyża Żelaznego, munduru, jak też pod wpływem patetycznych słów Kadysza. Chuligani chcieli zbagatelizować wypowiedź Żyda i wyśmiać go.

— Bzdura powiedzieli. — Każdy Żyd może sobie kupić Krzyż Żelazny i zawiesić na sobie.

Lecz wtedy Ludwik Kadysz zdobył się na krok nieoczekiwany. Wyjął swe szklane oko i pokazał wszystkim.

— Czy to również kupiłem, moi państwo? — zapytał triumfująco,

wymachując swym szklanym okiem w prawo i w lewo. Wywołało to duże wrażenie na zgromadzonych wokół sklepu. Nastrój wobec osobników w brunatnych koszulach zmienił się. Przywódca hałastry zadziałał wobec tego bardzo szybko. To już było przeciwstawienie się władzy, co więcej, była to agitacja, antyniemiecka propaganda. Postanowił więc dać nauczkę temu zuchwałemu Żydowi za jego demonstrację. Oko nie oko. Krzyż Żelazny czy też nie, ten przeklęty od Boga Kadysz jest Żydem, jednym z tych, którzy wysysali niemiecką krew, rabowali i szachrowali, i nie będzie on rozkazywał synom odradzającej się ojczyzny, co mają czynić. Namazali na jego szybach nie tylko "Jude", lecz "schmutzig Jude". Następnie zerwali z niego Krzyż Żelazny, bowiem jest profanacją tego odznaczenia, gdy zawisa ono na żydowskiej piersi, zarządzili usunięcie munduru z okna i kazali mu zabierać się z nimi na przesłuchanie. Ludwik Kadysz płakał, nawet z jego pustego oczodołu ciekły łzy.

— Cztery lata na polu bitwy — użalał się. — Krzyż Żelazny.

P Salomon Burak nie mógł słuchać bezmyślnej gadaniny ■ swego sąsiada i wziął sprawę w swoje ręce. Ten Ludwik — Kadysz rzeczywiście toczył z nim spory, drażnił go, na- igrał się z niego, że go odeślą do Polski, pysznił się wobec niego swoją niemieckością. Lecz nie ma to teraz nic do rzeczy. Jest on wprawdzie głupim bydlęciem jak wszyscy jekowie, ale mimo wszystko to Żyd i Salomon Burak nie dopuści, aby znęcali się nad nim okrutni goje. Z niezwykłym swym doświadczeniem w dawaniu łapówek mrugnął do przywódcy zgrai, dając mu do zrozu-

mienia, co ma na myśli, ów zaś zmienił rozkaz.

— No, pozostać na miejscu — powiedział do płaczącego Ludwika Kadysza- iS- i zapłacić dziesięć marek, po marce za każdy napis.

Zanim Ludwik Kadysz zdołał zrozumieć, czego od niego żądają, Salomon Burak zapłacił dziesięć marek i zrećźnie dał znak przywódcy, że dojdą do porozumienia, do sądu nie pójdą. Chciał jak najprędzej widzieć ich po drugiej stronie ulicy. Ludwik Kadysz wytarł szklane oko i oplakiwał napisy na swoich oknach jak oplakuje się zmarłych.

— Czego ja doczekałem — żalił się z goryczą. — “Jude” napisano na moim sklepie!

— Nie rozumiem zgoła, w jakim celu nabazgrali to u mnie — zareagował na to Salomon Burak. — Wydaje się, że z nazwiska na moim szyldzie “Salomon Burak” wynika jasno, że nie urodziłem się w Poczdamie, lecz w Mielnicy...

Dr. Karnowskiego nie aresztowano, zabroniono mu tylko, jak wszystkim żydowskiemu lekarzom, leczyć niemieckie kobiety. Dr Karnowski pocieszał się, że będzie mógł praktykować w kolonii dyplomatycznej, pouczono go jednak, że tego również nie powinien robić. Wprawdzie takiego zakazu nie można wydać kolonii dyplomatycznej, lecz jemu można zabronić prowadzenia tej działalności. Tę dziedzinę winien zostawić chrześcijańskim lekarzom, on zaś może leczyć jedynie żydow- I skie kobiety. Dr Karnowski nie był w stanie utrzymać

swej kliniki, którą swego czasu zakupił od spadkobierców profesora Halewskiego, wyłącznie dla kobiet żydowskich. Jego konkurenci, lekarze chrześcijańscy, dali mu do zrozumienia, że mogą bardzo tanio odkupić klinikę z całym wyposażeniem, sprzętem medycznym, meblami. Dr Karnowski nie miał wyjścia, musiał wszcząć pertraktacje. Właśnie niedawno wyremontował klinikę, kupił najnowsze urządzenia, nowoczesne meble. Sprzedał wszystko za jedną dziesiątą wartości. Po latach trudu i znoju posiadał pakiet papierowych pieniędzy, z którymi właściwie nie wiedział, co robić. Bał się zdeponować je w banku, w czasach, gdy żydowskie mienie traktowane jest jak bezpańskie.

Chciał też sprzedać swoje auto. Praktycznie już go nie potrzebował. Ale do tego nie dopuścił jego szwagier.

Hugo Holbek należał do nowej hałastry. W browarku Schmidta przy placu Poczdamskim, gdzie zwykł przychodzić, ilekroć wyprosił nową pożyczkę od swego szwagra, zaprzyjaźnił się zawczasu ze zbirami w brunatnych koszulach i stał się jednym z nich. Jako porucznikowi przydzielono mu od razu ważną funkcję. Uczył młodych kolegów, którzy nie służyli w wojsku, rzemiosła wojskowego — musztry, strzelania, posługiwania się bagnietem. Prowadził swe zajęcia w ukrytych miejscach za miastem. I choć płacę otrzymywał znikomą, kilka marek za ledwie, był zadowolony. Znowu wydawał rozkazy, prowadził oddział, maszerował, wchłaniał przyjemny zapach prochu. Odkąd zbiry w brunatnych koszulach zostały władcami, nie ukrywał już swej przynależności do nich,

otwarcie i dumnie nosił swe oficerskie buty, brunatną koszulę i oznakę szturmowca na ramieniu. Nawet do domu swej matki przychodził w nowym mundurze. Jak zarazę omijał jedynie dom siostry i szwagra.

Nie musiał już zwracać się do dr. Karnowskiego ani o francuski koniak, ani o dobre cygara czy niewielkie pożyczki. Szturmowiec Hugo Holbek miał teraz wszystko: marsze, parady, honory oficerskie oraz buty i spodnie — bryczesy. Rewolwer, który latami czyścił i przechowywał w ukryciu w domu, teraz jawnie nosił w kieszeni, a polową lornetkę przewiesił przez szyję. Nie miał potrzeby spotykania się ze swym krzywonosym szwagrem, który go wydrwiwał. Nie chciał widzieć ani Karnowskiego, ani jego rozczochranej, śniadoskórej siostry z jej książkami i pieśniami, a nawet Teresy, swej rodzonej siostry. Czasem pomyślał o Jegorze, lecz od razu usuwał go ze swej pamięci. Miał inne, ważniejsze sprawy. Jediną rzeczą, która wiązała go z domem siostry, było auto dr. Karnowskiego.

Od lat najbardziej zazdrościł szwagrowi samochodu. Wszystko mógł mu wybaczyć — bogaty dom, klinikę, egipskie cygara i francuski koniak, ale nie auto. Zżerała go zawiść, nie mógł znieść straszliwej niesprawiedliwości, że ten Żyd, w dodatku zły kierowca, który nigdy nie osiągał więcej niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, posiada wóz. Natomiast on, porucznik Hugo Holbek, znający mechanizm samochodu jak swoje dziesięć palców, który na nie uczęszczanych drogach może wyciągnąć do stu dwudziestu

kilometrów na godzinę, musi chodzić pieszo. Obecnie jeszcze bardziej odczuwał konieczność posiadania auta, które odpowiadałoby jego pozycji i stanowisku. Przy tym cieszył się teraz dużym powodzeniem u kobiet, które ubóstwiały wysokiego szturmowca w mundurze. Hugo potrzebował na gwałt samochodu, aby obwozić swoje kochanki. Auto szwagra, mercedes, było drogie, poza tym dr Karnowski wymienił ostatnio stary wóz na nowy. Hugona Holbeka nie opuszczała myśl

mercedesie, omal ducha nie wyzionął, aby go osiąść szukał wszelkich środków dla osiągnięcia tego celu.

Początkowo nie miał odwagi rozmawiać na ten temat ze szwagrem. Nie śmiał nawet pokazać mu się w nowym mundurze. Wstydził się, lecz z czasem postradał to uczucie. Zwłaszcza, że — o tym wiedział — odbiorą wóz doktorowi. Ludziom pokroju dr. Karnowskiego na ogół zabierano samochody. Jeżeli on, Hugo Holbek, nie uczyni tego zawczasu, zrobi to ktoś inny, obcy. A to byłaby straszliwa niesprawiedliwość. Jakby nie było, on, brat Teresy, ma większe prawo do mercedesa szwagra. Dość pieniędzy dorobił się ten przeklęty Karnowski na narodzie niemieckim. Nawet na froncie był w lepszej sytuacji, nie wahał prochu jak on, Holbek, lecz był lekarzem. Później przysporzył hańby rodzinie Holbeków, pojawiwszy za żonę jego siostrę. Swą plugawą krew żydowską zmieszał z czystą krwią Holbeków. Dość długo wiódł swe brudne życie, żłopał francuski koniak, palił wykwinne cygara i rozbijał się autem, podczas gdy on, Hugo Holbek, niemiecki porucznik, omal ducha nie wyzionie

w walce

każdy fenig. Obecnie nastały inne czasy. Hugo Holbek powinien teraz jeździć wozem i nie dopuści, aby kto inny zabrał mu go sprzed nosa. Mercedes należy do niego!

Pewnego wieczoru Hugo Holbek udał się w mundurze do domu szwagra. Hałaśliwie stąpał w swych butach po bruku cichej ulicy, chcąc zagłuszyć nurtujący go niepokój. Przy ogródku prowadzącym do domu szwagra stracił tupet i nie był w stanie dotknąć klamki u furtki. Najpierw spojrzał w okno pokoju Jegora. Bardziej niż kiedykolwiek krępował się chłopca. Okno nie było oświetlone. A więc chłopiec śpi. Hugo odetchnął. Potem jął obserwować sypialnię Teresy. Obawiał się nie tylko Jegora, nie miał także odwagi pokazać się siostrze. Nie chciał, by dowiedziała się, z czym przybył do jej domu. Światło w pokoju było przyćmione. Hugo Holbek długo krążył po ulicy tam i z powrotem, pogwizdywał, wstydził się swego tchórzostwa, które nie przystoi szurmowcowi

wciąż nie mógł przemóc się, by wejść do domu. W końcu światło w sypialni Teresy zgasło. Hugo wypalił kilka papierosów, jednego za drugim, zczekał, aż uzyskał pewność, że siostra śpi. Wtedy cicho doszedł do furtki i lekko zadzwonił. Z cichym heih formą, którą przywykł ostatnio stosować na powitanie, pozdrowił szwagra, który, zalękniony, ostrożnie otworzył drzwi. Zakłopotany Hugo odkaslnął kilkakrotnie i przestąpił z jednej długiej nogi na drugą.

— Wydaje się, że znów się przejaśni H zamamrotał o pogodzie, aby jakoś nawiązać rozmowę.

Dr Karnowski nic nie odpowiedział, patrzył tylko na niego swymi bardzo czarnymi i przenikliwymi, mądrymi oczami. Hugo Holbek zaczął mrugać jasnymi, bezzęskimi oczami i jękając się, wtrącając wyrazy z pruskiego, żołnierskiego arsenału, wybąkał, że przyszedł pożyczyć wóz na kilka dni. Dr Karnowski, Hugo wie o tym, nie potrzebuje go teraz, nicht wahr. Jemu zaś może się bardzo przydać, gdyż musi odbyć ważną podróż, nicht wahr, w związku z pełnioną ważną funkcją, nicht wahr.

Po zakończeniu swej bełkotliwej mowy uśmiechał się głupkowato i czekał, aby szwagier coś powiedział, cokolwiek, byle tylko padło jakieś słowo w tej napiętej nocnej ciszy. Hugo Holbek chciał usłyszeć jakąkolwiek odpowiedź, aby tylko nie czuć na sobie przenikliwych spojrzeń tego przekłętogo od Boga, milczącego Żyda. Lecz Karnowski milczał i jedynie bacznie oglądał go od czubka butów po jasną, na żołnierską modłę ostrzyżoną głowę. Hugo Holbek nie mógł dłużej znieść tego spojrzenia i poczerwieniał. Dr Karnowski wyjął z kieszeni kluczyk od wozu i milcząc położył go na stole przed szwagrem.

HŠtllMam nadzieję, że nie bierze mi pan tego za złe, panie doktorze — wyjąkał Hugo Holbek uśmiechając się głupkowato.

— Gdy ktoś przychodzi w mundurze i bierze, nie ma problemu dobra czy zła. Należy jedynie wykonać rozkaz, panie szurmowcze odpowiedział dr Karnowski.

Hugo Holbek zaczął coś bełkotać na temat obowiązku, historycznego nakazu chwili. Powtarzał to, co słyszał od ulicznych

mówców. Dr Karnowski nie chciał go słuchać.

—Dobrej nocy — powiedział i wyszedł z gabinetu.

Hugo Holbek poczuł się mały i mizerny, mimo że przez cały czas wyciągał się jak struna. Lecz gdy tylko dopadł kierownicy i uruchomił wóz, zapomniał o wszystkim. Zapach paliwa orzeźwił go jak dobre perfumy.

—Parszywy Żyd — mruczał, myśląc o szwagrze, który przeniknął go na wskroś i dał do zrozumienia, że nie była to pożyczka, lecz grabież.

Nazajutrz dr Karnowski pojechał autobusem do swego ojca. Dawid Karnowski był wstrząśnięty widząc swego syna po tylu latach. Nie wiedział, jak się zachować i stał jak skamieniały. Georg objął go obiema rękami.

—Nie ma co dłużej żywić urazy, ojcze — powiedział z gorzkim uśmiechem. — Teraz wszyscy jesteśmy na równi Żydami.

Dawid Karnowski głaskał go po twarzy, jak chłopca, który popełnił wykroczenie i wrócił skruszony do domu.

—Bądź silny, mój synu, jak ja, jak wszyscy Żydzi starszego pokolenia — powiedział. — Przywykliśmy do tego od wieków i znosimy to jako Żydzi.

W prywatnym gimnazjum im. Goethego, do którego uczęszczał Jegor Karnowski, nowy dyrektor, dr Kirchen- majer, wprowadził duże zmiany od czasu, gdy kierował szkołą po zwolnieniu poprzedniego dyrektora.

Po pierwsze, polecił woźnemu Hermanowi zdjąć ze ściany w sali

szkolne/j portret Goethego, którego imię szkoła nosiła, i zawiesić inny. Zamiast starego poety noszącego siwą perukę, który od wielu lat spoglądał na uczniów wielkimi oczami i z mądrym uśmiechem na zaciśniętych wargach, wisiał obecnie portret mężczyzny w butach z wysokimi cholewami, o szeroko otwartych do krzyku ustach, z ciemnymi, wąskimi wąsami. Następnie dr Kirchenmajer zarządził, aby nauczyciele wchodząc do klasy nie pozdrawiali uczniów jak dawniej formą "dzień dobry", lecz na nowy sposób, wyciągając ramię. Uczniowie tak samo mieli odpowiadać na powitanie nauczyciela. Po trzecie, zwracał baczność uwagę, by uczeń Karnowski był odseparowany od pozostałych chłopców w klasie, by znał swoje miejsce w nowych czasach w odrodzonym kraju. Dr Kirchenmajer, mimo że był teraz dyrektorem szkoły, wykładał również fizykę, jak poprzednio. Lubił swój przedmiot, do którego przywykł w ciągu wielu lat nauczycielskiej kariery, chętnie też widział dodatek do dyrektorskiego uposażenia. Gdy po raz pierwszy wszedł do klasy wyciągając na powitanie ramię, Jegor Karnowski odpowiedział w ten sam sposób wraz z innymi. Lecz dr Kirchenmajer polecił mu opuścić ramię.

— Ty powinieś jak zwykle mówić tylko dzień dobry, Karnowski — powiedział uroczyście, spoglądając zagadkowo na klasę.

Tego dnia Jegor nie jadł w domu obiadu. Matka usiłowała dowiedzieć się, co zaszło, lecz syn nie chciał odpowiedzieć na jej pytania. Jegor nigdy nie lubił mówić o tym, co go spotykało od chłopców w szkole lub poza

nią. To była jego sprawa. Lecz ogarnął go gniew, gdy ojciec chciał badać mu puls lub gardło.

— Zostaw mnie! — wykrzykiwał ze złością, wrywając rękę nie jestem chory.

Teresa zarumieniła się ze wstydu.

— Jegoreczku, jak odzywasz się do tatusia? §p pytała.

Jegor uciekł do swego pokoju. Dr Karnowski zrozumiał, że chłopcu dzieje się krzywda w tych pełnych goryczy czasach, chciał z nim porozmawiać. Lecz nie miał nic do powiedzenia synowi, nie mógł mu powtórzyć słów ojca, by był silny w tych dniach, jak byli w takich chwilach wszyscy Żydzi od pokoleń.

Z każdym dniem dr Kirchenmajer dawał coraz bardziej do zrozumienia uczniowi Karnowskiemu, kim jest i gdzie w nowych czasach jest jego miejsce. Nie uważał go za Holbeka, za jakiego uważał się sam Jegor i jak wmawiał mu to zwykle wuj Hugo. Był Karnowskim, jedynym w klasie o takim nazwisku. Już nie tylko nie powinien uczęszczać na lekcje religii, lecz nawet nie wolno mu było siedzieć w tej samej ławce, co poprzednio. Musiał przesiąść się do ostatniej ławki z najgorszymi uczniami, którzy się od niego odsuwali. Wprawdzie nie byli dobrymi uczniami, lecz czyż nie byli Aryjczykami, którzy winni pozdrawiać nauczyciela wyciągniętym ramieniem, podczas gdy jemu, Karnowskiemu, nie wolno tego robić? Mogą oni również zakładać mundury i na komendę nauczyciela wychowania fizycznego maszerować po podwórzu szkolnym jak prawdziwi żołnierze. Jedynie Karnowskiemu jest to wzbronione,

dlatego powinien odsunąć się trochę na obok, nie może siedzieć wraz z innymi.

Wciśnięty w kąt, gdy pozostali chłopcy maszerowali po szkolnym podwórzu, Jegor Karnowski czuł się jak trędowaty, któremu nie wolno się zbliżyć do ludzi czystych i zdrowych. Maszerujący chłopcy spoglądali na niego drwiąco, a ci z grup młodzieżowych, nawet nie chcieli na niego spojrzeć. Butni, chodzili z zadartymi głowami w swych mundurach, salutowali, wyciągali ramiona.

Gimnazjalistki na ulicy oglądały się za nimi, pożerały ich oczami. Na dobytek dostali do rąk prawdziwe karabiny, gdy nauczyciel wychowania fizycznego uczył ich rzemiosła wojskowego. Widzieć ich wielkość to było zbyt wiele dla Jegora Karnowskiego. Najgorsze zaś, że absolutnie nie wiedział, za co go spotyka tak ciężka kara, wstyd i upokorzenie.

Wprawdzie dr Kirchenmajer często opowiadał o tych, którzy zdradzili kraj, wbili armii nóż w plecy i dlatego muszą obecnie znosić bicz sprawiedliwości. Wtedy chłopcy zazwyczaj odwracali głowy w kierunku ostatniej ławki, gdzie siedział Karnowski. Lecz Jegor w żadnym wypadku nie poczuwał się do winy za te wszystkie przestępstwa wobec Niemiec. Nigdy nie wbijał noża w plecy ojczyźnie. Nie mógł również uwierzyć, że to wszystko, co mówi dr Kirchenmajer, o czym rozpisują się gazety, jest czystym łgarstwem. Chciał o tym z kimś porozmawiać, lecz nie miał z kim. Matka go nie rozumiała. Ilekroć z jego ust padało słowo na temat ćwiczeń wojskowych, do których go nie dopuszczano, po kobiecemu machała

ręką i przekonywała go, że nie powinien się tym przejmować, że to lepiej dla niego, gdyż na ćwiczeniach może stracić zdrowie, które i tak przecież ma słabe.

— Och, bzdury pleciesz — odpowiadał matce brutalnie, nie mogąc opanować złości z powodu przypominania mu o stanie jego zdrowia.

Z ojcem też nie mógł na ten temat rozmawiać. Od dzieciństwa czuł się w jego obecności obco, jak wobec wszystkich z rodziny Karnowskich. Dr Karnowski nie czekał, aż syn mu się zwierzy. Rozumiał, jak w tych czasach pogardy cierpi jego chłopiec i próbował ten problem pomniejszać. Drwił z idiotów i wariatów oraz ich bezsensownych nauk, doradzał Jegorowi, by w głębi ducha śmiał się z nich, pluł na wyznawaną przez nich filozofię, jak to czyni on, jego ojciec. Zamiast myśleć o tych wszystkich marszach, musztrach i innych nonsensach, niech lepiej Jegor uczy się i czyta pożyteczne książki. Syn nie mógł jednak słuchać tego, co mówi ojciec, nie chciał czytać, ani się uczyć. Już choćby dlatego, że i dla ojca, i dla babki Karnowskiej, i dla ciotki Rebeki, i wszystkich pozostałych najważniejszą w świecie sprawą była nauka, dobre cenzury, książki. Jegor nie chciał tego wszystkiego znać. W swym osamotnieniu udał się do Hugona Holbeka, choć ojciec drwił z tego umundurowanego idioty, który zrabował mu wóz. Jegor wciąż głęboko był przywiązany do swego wuja. Udawał się doń wielokrotnie, ale nie było go w domu. Gdy w końcu pewnego późnego wieczoru zastał Hugona w domu babki Holbek, zadrżał ze wzruszenia.

— Wujku Hugonie! — wykrzyknął z głębi stęsknionego serca,

przypadając do wyprężonego w swym mundurze wuja.

Hugo stał zakłopotany, reagując chłodno na wybuch radości Jegora. Żywiąc słabość do chłopca, nie był jednakże pewny, czy szturmowiec powinien się obecnie spotykać z kimś, w kogo żyłach obok krwi Holbeków płynie również krew Karnowskich.

— No, jak ci się wie, chłopcze? — zapytał ze swym przesadnie pruskim akcentem.

— Tak sobie, wujku — ^ odrzekł zażenowany Jegor z uśmiechem.

Otworzył swe pełne goryczy serce przed wujem, opowiedział o swych cierpieniach i poniżeniu. Hugo, wyciągnąwszy długie nogi, siedział w niskim fotelu i jak zwykle czyścił rewolwer.

^ Co za kanalia — mrucał pod adresem dr. Kir-chenmajera, o którym opowiadał chłopiec. — Taki gówniarz!

Przez chwilę złościł się na tego Kirchenmajera, który doskwierał jego siostrzeńcowi, Holbekowi. Inni go nie obchodzili. Nie myślał o nich, jak nie myśli się o bydle i drobiu, zabijanych codziennie na użytek ludzi. Lecz dotknięcie kogoś z jego bliskich gniewało go. Przez chwilę nawet myślał, że powinien pojechać wozem do tego starego gówniarza i nakazać mu językiem szturmowców, aby przestał czepiać się chłopca, gdyż w prze-

ciwnym razie będzie miał do czynienia z nim, z Hugonem Holbekiem. Lecz natychmiast pomyślał o dyscyplinie. Jako dobry wojskowy wiedział, że każdy żołnierz podlega wyższemu rangą od siebie, któremu musi być podporządkowany i wykonywać jego rozkazy. Takie jest życie. Rozumiał, że mimo iż jest szturmowcem,

musi trzymać mordę na kłódkę, gdy chodzi o sprawy dotyczące wyższych nakazów i celów. W konflikt między dyrektorem gimnazjum, gorliwym w pracy dla nowego kraju, a gnębionym chłopcem niezupełnie czystej krwi, on, Hugo Holbek, nie powinien wtykać swego nosa. Przestał więc wymrukiwać obelgi pod adresem starego dyrektora.

Oczywiście nonsensem jest twierdzić, że Jegor wbił nóż w plecy ojczyźnie — powiedział swemu siostrzeńcowi. Oczywiście, to okropnie nieprzyjemnie słyszeć, że Jegor jest obrażany w szkole, nie dopuszcza się go do ćwiczeń, jego, niewinnego chłopca, wywodzącego się z Holbeków. Lecz Jegor musi wiedzieć, że nie jest winien swych cierpień, że cierpi z powodu ojca, z powodu swej obcej krwi. Tak już jest w życiu, na wojnie niewinny często cierpi za winnego i nie da się tego zmienić.

Kończąc swe logiczne wywody, które go całkowicie uspokoiły, wuj Hugo wstał z fotela i zaczął szukać w papierach wiążących się z jego dużym zaangażowaniem w sprawy wojskowe potwierdzenia, że rozmowa jest skończona, bowiem on, szturmowiec Hugo Holbek, ma do załatwienia ważne sprawy. Przez chwilę nawet zamierzał odwieźć Jegora wozem. Lecz natychmiast się zreflektował, że lepiej tego zaniechać. Nie miał odwagi pokazać się chłopcu w wozie jego ojca. Poza tym nie powinien on, szturmowiec, obwozić się po ulicach stolicy z Karnowskim. Wprawdzie żydowskość chłopca nie jest wyraźna, oczy ma niebieskie, jego sylwetka jest prosta i nieżydowska. Gdyby nie miał tak straszliwie czarnych włosów i brwi wyglądałby

jak autentyczny Holbek. Jednakże lepiej jest zachować ostrożność. Nigdy nie wiadomo, co może wyskoczyć w dzisiejszych czasach.

—Niestety, jestem bardzo zajęty, chłopcze — powiedział wyciągając rękę do siostrzeńca i prędko zbiegł ze schodów.

Jegor udał się do domu rozczarowany i jeszcze bardziej przybity niż zwykle. Nie miał na świecie nikogo, kto by go zrozumiał, ujął się za jego krzywdę. Wcisnąwszy się w kąt, siedział smutny w autobusie. Nie czuł się pewnie w mieście, a nuż ktoś rozpozna w nim piętno hańby, krew ze strony ojca, i obrazi go na oczach wszystkich.

Był załamany, jakby nosił w sobie coś sromotnego, jakąś brzydką ułomność, z powodu której zachodzi obawa, że może być wyśmianym przez szyderców. Wraz z poczuciem odrazy do siebie, narastał jego gniew na ojca, za którego grzechy cierpi. Wywody wuja Hugona o niewinnych, którzy cierpią za winnych, świdrowały jego mózg. Wszystkiemu winni Karnowscy, gdyby nie oni byłby równy wszystkim chłopcom w szkole. Z ojca przeniósł gniew na matkę, która doprowadziła do zła. Po co jej to było potrzebne? Jegor jej nie rozumiał i żywił do niej żal. Wiedział, że niemądrze jest myśleć o tym, bowiem nic już nie można było zmienić, mimo to nie mógł zdławić swego żalu do rodziców. W swym cierpieniu musiał skrupić gniew na kimś winnym. Milczący i zgorzkniały wrócił do domu i wszedł od razu do swego pokoju. Matka przyniosła mu szklanekę mleka.

—Gdzie przepadałeś, Jegoreczku? — zapytała. — Byłam już niespokojna o ciebie. W dzisiejszych czasach...

— Och, co to ma ze mną wspólnego? — odpowiedział krnąbrnie, rozgoryczony, że nawet matka domyśla się, że obecne czasy mają wpływ na jego nastrój.

Bardziej butnie jeszcze zachował się wobec ojca, który wszedł do jego pokoju, aby przed snem życzyć mu dobrej nocy .

— Gdzie byłeś, chłopcze? — zapytał ojciec, patrząc niespokojnie na syna swymi badawczymi, czarnymi oczami.

— Och, przyglądałem się paradzie — skłamał Jegor. — Ładnie wyglądała, pochodnie, sztandary i maszerujące oddziały.

Oczy dr. Karnowskiego pociemniały i wyrażały większą troskę niż zwykle. Nie mógł słuchać tego, co mówi chłopiec. Jegor odczuwał satysfakcję, że wypuścił strzałę w stronę ojca. Ukoilo to na chwilę jego ból.

Dr Kirchenmajer w szkole kontynuował swą działalność. Dawał odczuć, że jest gospodarzem, nowym dyrektorem. Dotyczyło to zwłaszcza nauczycieli, którzy pozostali z dawniejszych czasów oraz Jegora Karnowskiego, jedynej parszywej owcy w białym stadzie. Dr Kirchenmajer brał odwet za te wszystkie lata, kiedy zepchnięty był na samo dno i wystawiony na wstyd i pośmiewisko wszystkich.

Pedant, z twarzą wiecznie brunatnosiną, przypominającą rybią galaretkę, z wielkimi rybimi oczami, szczeci- niastymi włosami koloru zestarzałych drożdży, nie był nigdy lubiany przez uczniów w żadnej ze szkół, w których uczył. Pomimo wszelkich wysiłków, nie udało mu się nigdy wzbudzić w nich do siebie szacunku. Płatali mu różne figle, obrzydiali życie, a nieraz, zwłaszcza kiedy po raz

pierwszy bywał przedstawiany uczniom klas starszych, wszczynali w klasie taki harmider, że musiał wzywać dyrektora, aby przyhamować rozwydrzonych chłopców. Lecz dyrektor zamiast karcieć niezdyscyplinowanych uczniów miał pretensje do niego, dr. Kirchenmajera, za to, że nie umie utrzymać w karbach żadnej klasy.

— Co mam uczynić, jeżeli chłopcy są rozwydrzeni, panie dyrektorze? — pytał dr Kirchenmajer płaczliwym tonem.

— Dlaczego inni nauczyciele potrafią utrzymać klasę w karbach — odpowiadał dyrektor — tylko z panem są kłopoty, panie doktorze?

Dr Kirchenmajer czynił wszelkie możliwe wysiłki, aby zapanować nad klasą dobrocią albo złością. Na lekcjach biologii, aby osłodzić gorzką pigułkę trudnej nauki, uciekał się nawet do żartów.

Rozwydrzeni chłopcy nie reagowali na jego dowcipy. Jakby się umówili — żaden się nie uśmiechnął, siedzieli oziębli, jakby skamieniali. Natomiast, gdy on był poważny, chłopcy się śmiali. Śmiali się z niego, nie z jego dowcipów. Dr Kirchenmajer był nieszczęśliwy. Wiedział, że posiada większą wiedzę niż inni nauczyciele, jest bardziej wykształcony, ma doktorat, przy tym dużo czytał, nie tylko z dziedziny przyrodznawstwa, lecz również filozofii, w szczególności teologii, do której odczuwał słabość. W tajemnicy przed wszystkimi nawet pisał. Znał dobrze klasyków, nigdy nie omieszkał na swych lekcjach cytować wielkich pisarzy, zwłaszcza Goethego, którego znał niemal na pamięć. Nic jednak nie mogło spowodować, by swawolni chłopcy docenili prowadzone przez niego przedmioty i okazywali mu taki sam

szacunek jak innym nauczycielom, którzy mu do pięt nie dorastali.

Przenosił się ze szkoły do szkoły, próbował nawet uczyć w liceum dla dziewcząt w nadziei, że są one grzeczniejsze i okażą mu szacunek. Lecz było podobnie jak w liceach męskich. Wszystkie jego wysiłki, nawet przesadna rycerskość i uprzejmość, które próbował okazywać wobec uczennic, aby je pozyskać, nic nie pomogły. Dziewczęta śmiały się, chichotały na jego lekcjach. Nie miał również spokoju w pokoju nauczycielskim, dokąd zachodził w czasie przerw, by wypalić papierosa lub zjeść kanapkę.

Nauczyciele kpili z niego zawsze. Albo drwili z jego papierosów, albo z kanapek, czy też z jego surdutu i parasola.

Dr Kirchenmajer miał własne sposoby ubierania się, palenia i jedzenia, bardzo praktyczne dla nauczyciela, który żyje z pensji. Nie odrzucał papierosa, gdy musiał wracać do klasy, lecz gasił go śliniąc i chował do kieszeni popstrzonej kamizelki, aby zapalić go ponownie podczas następnej przerwy. Te nadpalone i nadgryzione skrawki papierosów wyglądały bardzo nieapetycznie, gdy znów je wkładał do ust. Z powodu złej jakości nie pachniały przyjemnie i nauczyciele szydzili z dr. Kirchenmajera, który wypełniał pokój nauczycielski smrodliwym dymem.

— Czy zdarza się, że pali pan całego papierosa, czy też kupuje pan zawsze ogarki, panie doktorze? pytali nauczyciele, zwłaszcza ci lubiani przez uczniów, śmiejąc się.

Dr Kirchenmajer, gorący zwolennik oszczędności i skąpstwa, nie mógł słuchać tych drwin, więc odpowiadał z godnością, że

oszczędzanie jest największą cnotą wykształconych ludzi.

Nauczyciele nie podzielali jego poglądów na ten temat i kontynuowali swoje drwiny. Żartowali ze skąpych, owijanych w wyszywane serwetki kanapek, które przynosił z domu — kromek czerstwego chleba (aby było taniej) obłożonych dziwną domową masą. Nauczyciele naśmiewali się z jego zielonego starego surduta, który nosił latami, niemal od ślubu, i obszywał tasiemkami jego wytarte brzegi. Przede wszystkim zaś drwili ze starego zielonego parasola, który przynosił zawsze do szkoły, zimą i latem, nawet w najbardziej pogodne dni, kiedy na niebie nie było najmniejszego obłoczka.

— Nigdy nie wiadomo, moi panowie — mówił dr Kirchenmajer — deszcz to sprawa boska, człowiek musi być przygotowany, mieć parasol, jeżeli nie chce, aby jego odzież przemokła. Czyż możecie powiedzieć, moi panowie, że nie mam racji?

— Oczywiście, że nie możemy, panie doktorze — odpowiadali nauczyciele.

Jednakże nie przestawali kpić z zielonego parasola dr. Kirchenmajera, szacować jego wartości, oglądać i wypróbować jak się rozkłada i składa. Wszystko to nie wychodziło parasolowi na dobre. Najgorsze zaś było to, że młodzi nauczyciele często wtykali stary parasol w jakiś kąt i dr Kirchenmajer w żaden sposób nie mógł go znaleźć, gdy wybierał się do domu. Bardzo cierpiał z powodu tych żartów, ale jeszcze bardziej zamartwiał się brakiem szacunku ze strony nauczycieli. Podobnie jak nie umiał utrzymać w ryzach klasy, tak też nie umiał wyrobić sobie autorytetu w pokoju nauczycielskim.

Czego to nie robił, by zapanować nad kolegami? Z początku próbował ich ująć swą wiedzą, umiejętnościami. Gdy to nie odnosiło skutku, gdyż młodzi ludzie zainteresowani byli innymi sprawami, starał się dotrzymać im kroku. Na przerwach w pokoju nauczycielskim nie zawsze rozmawiali o zupełnie pedagogicznych sprawach. Młodszy opowiadali o swym powodzeniu u kobiet. Nauczyciele w średnim wieku udzielali sobie rad dotyczących nowych pigułek i środków mogących przywrócić młodzieńcze siły. Dr Kirchenmajer na te tematy nie miał nic do powiedzenia. Powściągliwy w życiu, skąpy i szpetny, nie miał żadnych sukcesów w stosunkach z kobietami. Miał jedynie żonę —[^] kościstą, apodyktyczną i brzydką, z którą nie miał nawet dzieci. Mimo to również próbował, aby tylko przypodobać się kolegom, dorzucić jakiś soczysty żart, z którego potem sam nie był zadowolony. Lecz im nie przypadła do gustu jego historyjki, zamiast śmiać się z dowcipów, które opowiadał, śmiali się z niego.

— Panie doktorzes[^]-t- mawiali — pański gumowy kołnierz poci się od pańskich dowcipów.

Nie było to prawdą. Jego gumowy kołnierz, wysoki i niebieskawy, który nosił dla oszczędności, był suchy i czysty, jak z rana, gdy pani Kirchenmajer myła go mydłem. Był to tylko złośliwy żart ze strony młodszych kolegów i dr Kirchenmajer czuł się nim poniżony, jak zwykle. Nikt nie chciał mu okazywać szacunku. Jak każdy upokarzany człowiek chciał przynajmniej dominować w domu po powrocie z pracy. Lecz nawet w domu żona nie pozwalała mu

odgrywać roli tyрана, jaką on najchętniej by spełniał. Zamiast mu pozwalać panować nad sobą, zawładnęła nim, wciąż go pouczała, wydzielala każdy drobiazg, trzymała w karbach.

Gdy po wojnie szturmowcy rozpoczęli walkę przeciwko zdrajcom i międzynarodowym bankierom, którzy zadali ojczyźnie nożem cios w plecy, dr Kirchenmajer powziął do nich sympatię.

To nie ich rasistowskie teorie ujęły dr. Kirchenmajera. Jako doświadczony biolog nie dawał im wiary. Pedanta w każdym zakresie, jakim był, odstręczał język tych osobników w brunatnych koszulach, nie zawsze będący w zgodzie z zasadami gramatycznymi. Czytał wciąż klasyków, Goethego znał niemal na pamięć. Zdecydowało

tym to, że w czasie inflacji stracił swe mozolnie oszczędzane pieniądze. Wszystko, co dotąd nagromadził żyjąc skąpo, wszystko, co zaoszczędził, nosząc zawsze ten sam surdut, paląc ogarki marnych papierosów, nosząc gumowy kołnierz i jedząc chude kanapki, wszystko to stracił w tych dzikich czasach. Pieniądze nie miały już takiej wartości jak dawniej. Dr Kirchenmajer ciężko to przeżywał. Wciąż obliczał, jakich przyjemności mógłby zaznać w życiu za swoje odkładane systematycznie marki. W miarę, jak liczył, narastało w nim rozgoryczenie

wierzył, że tylko oni, międzynarodowi bankierzy, są winni jego nieszczęściu. Oni — ludzie z zachodniego Berlina ze swymi machinacjami i matactwami. Za jego zaoszczędzone pieniądze zakupili pałace, obwiesili klejnotami swoje tłuste, czarne żony.

Zbliżyło go to bardzo do ludzi zwalczających tych krwiopicców. Odpowiadały mu zarazem ich gniew i determinacja, z jaką powstali przeciw narodowemu poniżeniu. Bliskie to było wiecznie obrażanemu i krzywdzonemu dr. Kirchenmajerowi.

Dopóki byli w mniejszości, dr Kirchenmajer nie miał odwagi stanąć po ich stronie. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać tak jak one — tej zasady się trzymał. Nie ośmielał się występować przeciw tym, którzy sprawowali władzę. Im bardziej wzrastała popularność osobników w wysokich butach, tym śmielej dr Kirchenmajer przejawiał do nich sympatię. Gdy odnieśli wielkie zwycięstwa, wstąpił w ich szeregi. Uczynił to po kryjomu, gdyż nigdy nie wiadomo, jaki obrót przyjmą sprawy. Lecz postawił na dobrą kartę. Gdy zbiry w brunatnych koszulach opanowały ostatecznie kraj, odpłaciły się dr. Kirchenmajerowi, powołując go na stanowisko dyrektora gimnazjum im. Goethego.

Był to największy dzień w życiu dr. Kirchenmajera. On, zawsze poniżany, wyśmiewany, człowiek, któremu wszyscy przełożeni, jakby się zmówili, wysączali krew za to, że w żadnej klasie nie mógł utrzymać porządku, został teraz dyrektorem gimnazjum, a nauczyciele stali przed nim z szacunkiem, gotowi wypełniać jego rozkazy.

Dr Kirchenmajer istotnie wydawał rozkazy, z każdym dniem nowe. Gdy po raz pierwszy polecił woźnemu Hermanowi zdjąć portret Goethego ze ściany w auli szkolnej, drżała mu ręka jakby popełniał świętokradztwo. Uczynił to, mimo że nikt takiego polecenia nie

wydał, aby przypodobać się nowym władcom, pozyskać ich przychylność i odwdzińczyć się za wielki zaszczyt, jakiego z ich poręki dostąpił. W miarę upływu czasu coraz bardziej przywykał do swych działań, próbował je nawet logicznie argumentować, choć nie znajdował w nich żadnego uzasadnienia. Zaczynał po prostu wierzyć w to, do czego sam musiał się przekonywać.

Z dr. Kirchenmajera już nie drwiono. Nie tylko piastował najwyższą funkcję w szkole, lecz nosił też nową odznakę w klapie swego starego zielonkawego surdutu, a nie drwiono z kogoś, kto taki znaczek nosił. Z wdzięczności dla uczniów, którzy po raz pierwszy w jego życiu go słuchali, odpłacił im, kupił ich sympatię. Pozwalał im często uczestniczyć w paradach, przeznaczał wiele czasu na ćwiczenia wojskowe na szkolnym podwórzu, organizował oddziały młodzieżowe, wykladał nowe rasistowskie teorie, mimo że wydawały mu się śmieszne. Przede wszystkim usatysfakcjonował ich tym, że zastosował nową teorię wobec ucznia Karnowskiego, tej "czarnej owcy w białym stadzie". Z lektury dzieł psychologicznych wiedział, że nic tak nie podnosi ludzi na duchu, jak ukazanie im osoby niższej, nic tak nie przysparza ludziom zadowolenia, jak widok ofiary i dr Kirchenmajer uczniom takową znalazł. Nie tylko posadził Karnowskiego w ostatniej ławce, lecz dokuczał mu za każdym razem, gdy go wywoływał. Cokolwiek by powiedział Karnowski, Kirchenmajerowi się nie podobało i ostro ucznia strofował. Z każdym dniem dyrektor gimnazjum wyszukiwał nowe okazje, aby włączyć do swych lekcji rasistowskie teorie o wyższej i niższej krwi.

Uczniowie wtedy od razu orientowali się,
kogo nauczyciel ma na myśli i zwracali głowy w stronę
Karnowskiego.

Nic jednak tak chłopców nie bawiło jak żydowskie "r" dr.
Kirchenmajera, którego zaczął używać za każdym razem, gdy
wywoływał ucznia Karnowskiego. Wymawiał to "r" w obcym
nazwisku bardzo komicznie, jak to słyszał kiedyś u pewnego komika,
gdy jedyny raz w swym życiu był w teatrze. Uczniów bardzo bawiła
wymowa nauczyciela, jego "żydłaczenie". Dr Kirchenmajer pro-
mieniał, w końcu udało mu się rozśmieszyć uczniów, dobrze im się
zaprezentować swoim poczuciem humoru, co nie udawało mu się w
ciągu całego życia. Pewnej deszczowej nocy, kiedy nie mógł spać z
powodu bólów reumatycznych, przyszło mu na myśl, że byłoby
rzeczą dobrą i pożyteczną zorganizować pogładową lekcję, opartą na
nowych teoriach rasistowskich i ilustrowaną żywym modelem.
Byłoby to jednocześnie osiągnięcie w nowej pedagogice, widowisko
dla uczniów oraz dobry przykład dla władz szkolnych, jak ideowy
dyrektor wprzęga szkołę w służbę państwa i epoki odrodzenia. Myśl
ta, która dr. Kirchenmajerowi z punktu widzenia biologii nie
wydawała się racjonalna, jednakże od strony praktycznej napełniła go
takim samozadowoleniem i samouwielbieniem, że zapomniał o
bólach reumatycznych i usnął młodzieńczym snem.

Z samego rana zaczął się przygotowywać do swej ważnej pracy.
Zaprosił do swej szkoły na dzień, kiedy tak ważna lekcja miała się
odbyć, kilku wyższych urzędników z Ministerstwa Oświaty. Zaprosił

również reportera partyjnej gazety, by był świadkiem nowego jego wyczynu na polu pedagogiki i opisał go w gazecie. Lekcji nie przeprowadził w swej klasie, lecz w auli szkolnej wobec wszystkich uczniów. Wydał też polecenie, aby wszyscy nauczyciele bezwzględnie uczestniczyli w lekcji. Jegor Karnowski samotnie, do czego już przywykł, usiadł w ostatniej ławce.

Dr Kirchenmajer rozpoczął lekcję z wielką profesorską powagą i erudycją. Po raz pierwszy w życiu przemawiał do tak liczego audytorium, był więc w uroczystym i podniosłym nastroju. Jego zazwyczaj brunatnosina twarz była czerwona. Dostojeństwem tchnął wysoki bia- łoniebieski gumowy kołnierz. Z całym właściwym sobie pedantyzmem przygotował się do lekcji, przytoczył wiele cytatów z naukowej literatury. Zdania w referacie budował długie, ich konstrukcja była zawila, co sprawiało, że wywód dyrektora gimnazjum był trudny do zrozumienia. Przydawało to całej sprawie powagi i uczo- ności. Zaproszeni urzędnicy i reporter — ludzie o dużych zasługach partyjnych i znikomej wiedzy — siedzieli w dużym napięciu i skupieniu, jak zwykle siedzą półinteligenci na ważnych wykładach, których nie są w stanie rozgryźć. Rozumieli jedynie zwroty schlebiające nowej rasistowskiej nauce, którymi dr Kirchenmajer szafował szeroko i rozrzutnie, i potakująco kiwali głowami. Nagle dr Kirchenmajer wytarł kilkakrotnie okulary, wypił szklankę wody dla zwilżenia gardła i zawołał w kierunku ostatniej ławki:
— Karnowski, do estrady!

Wszystkie oczy w jednej chwili zwróciły się w kierunku kąta, gdzie siedział wywołany uczeń.

—Karnowski, Karnowski, Karnowski — wołali chłopcy Jegora, który w oszołomieniu i przepelniającym go strachu nie od razu ruszył się z miejsca.

Jegor jak po rozżarzonych węglach przeszedł chwiejnym krokiem wzdłuż sali. Przy estradzie, na której stał dr Kirchenmajer, zatrzymał się. Dyrektor kazał mu wejść i stanąć przy tablicy zarysowanej małymi wykresami, kółkami, półkolami, ilustracjami do przeprowadzanej lekcji.

— Tak stać — polecił ujmując w ręce głowę chłopca i ustawiając ją w kierunku publiczności.

Jegor czuł na swej gorącej twarzy zimne, spocone ręce dr. Kirchenmajera i serce zaczęło mu bić żywiej. Nie wiedział, czego chce od niego dyrektor, lecz przeczuwał coś złego. Najbardziej męczyło go stanie przed publicznością. Nigdy jeszcze nie patrzyło na niego tylu ludzi

naraz. Zaczęły mu drzeć kolana. Lękał się, że upadnie. Szmer przeszedł po sali. Dr Kirchenmajer podniósł rękę i i nakazał spokój.

— Moi panowie, zaczynamy teraz ilustrowanie nasze ! go referatu przy pomocy metody poglądowej. Proszę za I chować bezwzględny spokój i przyglądać się uważnie ; obiektowi naszej rozprawy — powiedział dr Kirchenmajer uroczyście, używając formy “my”, jak to zwykle czynią uczeni, włączając w swej skromności do rozważanego tematu również słuchaczy.

Najpierw dr Kirchenmajer wymierzył cyrklem i centymetrem długość i szerokość czaszki Jegora Karnowskiego i zapisał cyfry na tablicy. Mierzył z pedantyczną i dokładnością odległość od ucha do ucha, od wierzchołka głowy do szczęki, od oka do oka, długość nosa, każdy punkt na głowie chłopca. Przy każdym dotknięciu zimnych, wilgotnych palców dr. Kirchenmajera dreszcz przebiegał po Jegora. Dyrektor gimnazjum mówił długo i uroczyście.

Zgromadzeni koledzy i uczniowie mogą dostrzec na tablicy wyraźną różnicę w budowie głowy między wyższym nordyckim typem a typem negroidalno-semickim, między nordycką długą, ładną głową (dolichocephalic), która wyraża piękno i wyższość rasy, a negroidalno-semicką okrągłą, krótką głowę (brachycephalic), która jest bardziej zbliżona do głowy małpy i znamionuje i brzydotę i niższość rasy. Ale w obecnym przypadku szczególnie interesujące jest ukazanie negatywnego wpływu, jaki rasa negroidalno-semicka wywiera na i nordycką, kiedy obie się łączą. Przyglądając się obiektowi z dzisiejszej lekcji, który jest wyraźnym przykładem tej szkodliwej mieszaniny, wydaje się, a raczej na pierwszy rzut oka może się wydawać, że chłopiec, który stoi przed nami, jest bardziej z budowy podobny do typu nordyckiego, ale to tylko iluzja. Jeżeli go się rozpatruje z punktu widzenia antropologii, według dokładnych wymiarów, widać, że negroidalno-semicka część jedynie zewnętrznie przybrała w nim cechy nordyckie, maskując się, by tak rzec, aby ukryć za nimi wszystkie cechy negroidalno-semickiej rasy,

które zawsze dominują w takim nieszczęsnym pomieszaniu. Jest to widoczne w kolorze oczu obiektu, które choć są rzekomo błękitne, nie odznaczają się jednak czystością i przejrzystością nordyckiego oka, cechuje je mętność i mrok azjatyckiej pustyni i afrykańskiej dżungli. Podobnie włosy, choć wydają się gładkie, jednak ich murzyńska czerń, pewna falistość, odstające uszy, duży nos i obwisłe wargi wskazują wyraźnie na wpływy negroidalno-semickie.

Dla zilustrowania swoich wywodów dr Kirchenmajer zapisał wiele cyfr i narysował na tablicy wiele linii. Przytoczył też mnóstwo cytatów z dzieł badaczy ras, antropologów, używając przy tym wielu obcojęzycznych terminów. Zarówno zaproszeni goście jak i uczniowie byli olśnieni erudycją dr. Kirchenmajera. Ten zaś, gdy całkowicie uporał się z głową Jegora Karnowskiego, przystąpił do dalszej części lekcji, demonstrując dowody swych tez na ciele modela.

— Niech obiekt dzisiejszej lekcji się rozbierze — powiedział dr Kirchenmajer — nie zwracając się już do Jegora po nazwisku, lecz używając naukowego terminu “obiekt”.

Jegor Karnowski nie ruszał się z miejsca. Dr Kirchenmajer wpadł w złość.

— Poleciałem obiektowi naszej lekcji rozebrać się, by dać możność szacownemu zgromadzeniu lepiej zrozumieć nasz wykład — powiedział ostro.

Lecz Jegor Karnowski nadal nie ruszał się z miejsca. Szmer przeszedł po sali. Dr Kirchenmajer uciszył gwar i wezwał

gimnazjalnego woźnego, który nosił mundur szturmowca.

— Towarzyszu Hermanie! — zawołał. — Wyprowadzić osobę badaną i przyprowadzić całkowicie rozebraną!

— Jawohł, towarzyszu dyrektorze — odpowiedział towarzysz Herman.

Przez kilka minut Jegor Karnowski szarpał się z woźnym w bocznym pokoiku obok sali szkolnej.

■M

— Nie! — krzyczał swoim chłopięcym głosem, który ulegał mutacji i był na przemian głęboko męski i dziewczęco-piskliwy.

— Nie bądź głupi, chłopcze, gdyż będę musiał użyć siły — powiedział woźny Herman, który zwykle otrzymywał od Karnowskich sute napiwki.

Jegor opierał się ze wszystkich sił. Był już dojrzały, co sprawiało, że wstydził się swej nagości, jak zwykle chłopcy w tym wieku. Ukazanie go w hańbie wobec chłopców z klasy, w dodatku wobec obcych gości, nappełniło Jegora nieprzewyciężonym wstydem. Gorsze jeszcze było to, że był obrzezany. Zawsze wstydził się tego cielesnego piętna, które wycisnął na nim jego ojciec. Dzieci śmiały się z niego, gdy jako mały chłopiec kąpał się z nimi nago. Nazywały go obcięty. Od tego czasu unikał rozbierania się nawet wśród chłopców. Dlatego teraz szarpał się z całym sił ze znacznie silniejszym woźnym szkolnym.

— Nie! B- krzyczał resztkami sił. — Nie!

Towarzysz Herman ze złością ściągnął z niego odzież. Nie był to już dawny woźny szkolny, który musiał przyjaźnie odnosić się do zamożnego ucznia Karnowskiego. Był obecnie szturmowcem, nosił mundur, a sam dyrektor nazywał go towarzyszem. Pienił się ze złości, że żydowski chłopak mu się opiera. Pojedynczo zdzierał ubranie z upartego chłopca, przy ostatniej części garderoby Jegor wgrzył się zębami w rękę Hermana.

— Nie! — krzyczał i przytrzymał na sobie bieliznę.

Krew sącząca się z ręki doprowadziła towarzysza Hermana do szału.

— Ty przeklęty Żydzie, ty będziesz gryzł szturmowca — jego wściekłość nie miała granic. Uderzył Jegora.

Mocne uderzenie, otrzymane po raz pierwszy w życiu, oszołomiło chłopca do tego stopnia, że już się więcej nie opierał, już się nie szarpał, był wyczerpany. Towarzysz Herman podniósł go z podłogi za kark, jak się podnosi ranne zwierzę i wprowadził na estradę.

— Stać, nie chwiać się — polecił chłopcu, którego kolana uginały się, jakby miał się za chwilę osunąć na podłogę.

Przez chwilę rozlegał się gwar chłopięcego śmiechu. Żydowskie znamię na ciele chłopca wywołało wesołość uczniów, a nawet gości. Dr Kirchenmajer zezwolił na chwilę wesołości, aby pozyskać sympatię zebranych, ale nie na długo, by nie pomniejszać powagi swej naukowej rozprawy.

Teraz wszystko poszło gładko. Dr Kirchenmajer wskazał krok po kroku na szkodliwość obecności negroidal- no-semickiej krwi w krwi

nordyckiej na przykładzie "obiekta" — widoczną w zgięciu jego ramion, budowie klatki piersiowej, a nawet w zwarciu łokci. Potem przeszedł do dolnej części ciała, dowodząc, że wcześniejsze dojrzewanie świadczy o degeneracji rasy semickiej, którą reprezentuje obiekt. Gdy to mówił chłopcy się śmiali. Dr Kirchenmajer ich uciszył. To nie jest powód do śmiechu, to problem naukowej teorii rasistowskiej, ważna część składowa nowej nauki w odradzającym się kraju, do której słuchacze winni odnieść się z całą powagą.

Chciał jeszcze poruszyć wiele innych tematów, lecz kolana Jegora nie wytrzymały, osunął się na podłogę. Dr Kirchenmajer polecił towarzyszowi Hermanowi zaprowadzić chłopca do bocznego pokoju, pozwolić mu się ubrać i odesłać do domu.

Jeszcze tego samego dnia w wieczornym wydaniu partyjnej gazety opisana została obszernie niezwykła lekcja, którą towarzysz dr Kirchenmajer przeprowadził w swojej szkole na temat szkodliwego wpływu negroidalno-semickiej krwi na krew nordycką w małżeństwach mieszanych. Lekcja prowadzona była metodą pogładową. Wychwalano dr. Kirchenmajera za jego naukowe wnioski, jak też za pożyteczną pracę szkoły w tej dziedzinie, co winno służyć wszystkim dyrektorom szkół w kraju za przykład. Przy całym swym skąpstwie dr Kirchenmajer zakupił sporą ilość egzemplarzy gazety, odczytywał każdy egzemplarz z osobną swą żonę, nie kryjąc satysfakcji.

W domu dr. Karnowskiego Jegor leżał w łóżku odwrócony twarzą do ściany i nie chciał odpowiadać ojcu, a nawet matce na pytania, co

się z nim dzieje.

— Zostawcie mnie, nie podchodźcie do mnie — krzyczał tak histerycznie, że przerażeni rodzice odskoczyli od jego łóżka.

Późną nocą u chłopca wystąpiła wysoka temperatura. Jegor się nieco uspokoił, stał się bardziej miękki i przystępny. Dr Karnowski przykładał mu lód do płonącego czoła, badał puls i serce.

— Co się działo z tobą, dziecko? pytał.

.-'■TT- Pragnę umrzeć — odpowiedział rozgorączkowany chłopiec.

Nie mówił jak zwykle, bełkotał. Dr. Karnowskiego bardzo zaniepokoił bełkot syna. Bał się o jego rozgorączkowaną głowę. Z oczu chłopca wзираł obłęd.

Niezwykłe rozluźnienie i straszliwe zaniedbanie zapanowało w domu dr. Karnowskiego, jak zawsze, gdy ktoś jest ciężko chory. Drzwi do pokoi stały otworem, rolety były spuszczone, dywanów nie czyszczono. Ostry zapach leków i choroby unosił się w ciężkim powietrzu.

Dr Karnowski nie odchodził od łóżka chłopca. Jego żona jak w czasach panieńskich założyła biały strój pielęgniarki i doglądała chorego, czujnie chwytając każde słowo, które jej syn wymawiał w gorączce. Gdy opadała z sił, zastępowała ją szwagierka Rebeka. W dużej jadalni, gdzie teraz rzadko nakrywano do stołu, gdyż każdy łapał cokolwiek i gdziekolwiek, przygnębiony Dawid Karnowski wsłuchiwał się w każdy szmer dochodzący z górnego piętra, gdzie znajdował się pokój chorego. łp||gj Pomóż, Boże, bądź miłosierny — błagał Boga już nie po niemiecku, lecz w starym, rodzinnym,

żydowskim języku.

Już pogodził się z synem. Złe czasy wyrównały wszystkie krzywdy. Gdy wnuk zachorował, przyszedł do syna, którego nie chciał dawniej znać. Zmartwiony, by znaleźć sobie jakieś zajęcie nakręcił ściennie zegary, o czym zapomniano w panującym zamęciu. Gdy się z tym uporał, intonował z pamięci psalmy w intencji chorego, jak postępuje każdy prosty pobożny Żyd w godzinie nieszczęścia. Od chwili, gdy nadeszły ciężkie czasy, Dawid Karnowski stał się bardzo pobożny. Zapomniał nawet o lit- wackiej hebrajszczyźnie i o gramatyce, których dawniej skrupulatnie przestrzegał w modłach i intonował —jak zwykli to czynić polscy Żydzi — z żydowska i z przy- śpiewem. Tak samo odmawiał modlitwę Niech go Bóg ma w opiece w intencji chorego, nazywając go imieniem matki, krztusząc się mocno przy wymawianiu "Joachim Georg, syn Teresy", jakby w koszernej potrawie znalazł trefny kęs. Modlitwę tę jednakże odmawiał codziennie. Lea Karnowska chodziła po schodach w górę i w dół.

Ukradkiem zaglądała do pokoju chłopca, aby zorientować się w stanie jego zdrowia i prowadziła dialog z Panem Bogiem na swój mielnicki sposób. Wszelkimi swojskimi imionami, serdecznymi zwrotami w rodzaju: "Ojczy, serdeczny, słodki, kochany..." i wieloma innymi błagała

łaskę i miłosierdzie. Przyrzekała w zamian wesprzeć jakąś dobroczynną akcję, zakupić świece do bożnicy oraz skrupulatniej przestrzegać nakazów i przykazań.

— Ty przeciek możesz, Boże, jeżeli chcesz — błagała, wznosząc ku górze oczy — oby moje modlitwy dotarły do Ciebie, Ojcze.

W kuchni krzątała się babka Holbek. Gotowała posiłki, zmywała naczynia i dozorowała gospodarstwa.

— Matko Święta, Panie Jezu szeptała modlitwy przed świętym obrazkiem w kuchni, który służąca, opuszczając żydowski dom, zostawiła na ścianie obok zdjęć cyrkowców i tancerek.

Pani Holbek nie ustawała w porządkowaniu zaniedbanego domu, nie przestawała sprzątać, odkurzać, czyścić przyrządzać kawę dla wszystkich. Od czasu do czasu przynosiła filiżankę tego napoju Dawidowi Karnowskiemu.

— Mogę pana prosić, panie Karnowski — mówiła zażenowana, trzymając filiżankę w starych, trzęsących się rękach, aby nie rozlać na obrus.

— Dziękuję za uprzejmość, łaskawa pani odpowiadał równie zażenowany Dawid Karnowski i odbierał filiżankę kawy ze starych, trzęsących się rąk.

Tych dwoje ludzi, którzy spotkali się w zaniedbanym domu, wstydziło się siebie. Po raz pierwszy się tu zetknęli, mimo że wiązało ich tak bliskie powinowactwo. Wstydzili się spojrzeć sobie w oczy z powodu lat oddalenia i nieufności. Dawid Karnowski ujrzał starą, dobrą, szacowną kobietę o siwej głowie, łagodnym spojrzeniu, serdeczną babkę, pełną troski o wnuka, który jest dzieckiem jego syna. Mimo że w swym zmartwieniu nie była tak nerwowa jak jego Lea, choć mimo wszystko myślała o domu, gospodarstwie, o

przygotowywaniu posiłków

dla wszystkich, przepojona była macierzyńską troską i pobożnie wznosiła w górę oczy, błagając Boga

zdrowie chłopca. W jej przynoszeniu kawy było wiele kobiecej dyskrecji i zażenowania wobec obcego mężczyzny oraz bliskości wynikającej z powinowactwa. Przy całym sprzeciwie wobec wyboru przez syna żony wywodzącej się z obcego narodu, Dawid Karnowski ani w swej synowej Teresie, ani w jej matce nie dostrzegał obcości, oddalenia i czuł się niezręcznie, zagubiony z powodu tych lat złości, rozgoryczenia

niechęci wobec tych dobrych, serdecznych ludzi, z którymi los go związał.

— Proszę usiąść, łaskawa pani — podsunął jej krzesło.

— Jest mi doprawdy przykro, że pani się tak bardzo trudzi. Omal nie nazwał jej powinowatą.

— Jest mi bardzo miło, drogi panie Karnowski

— odpowiadała starsza pani, dolewając mu do kawy śmietanki.

Stara wdowa nie mówiła wyłącznie ze zdawkową uprzejmością, lecz szczerze. Starszy pan, którego spotkała po raz pierwszy w domu swej córki, zrobił na niej bardzo dobre wrażenie. Wysoki, ze spiczastą siwiejącą bródką wyglądał jeszcze młodo i rześko, miał bystre, czarne oczy i twarz dystygowaną, zdecydowaną i budzącą szacunek.

Równie solidny i wyszukany był jego ubiór, surdut, biała bielizna, ciemny krawat, binokle w srebrnej oprawie, które zakładał przy czytaniu i modlitwie. Jego mowa była czysta, uprzejma i bardzo po-

prawna, jak język kaznodziei. Jak kaznodzieja używał mądrych porzekadeł, przysłów i cytatów z dzieł wybitnych pisarzy. Również pani Holbek wstydziła się, że w ciągu tych lat czuła niechęć, a nawet wrogość do tego dystyngowanego, szacownego człowieka. Ogromnie się krępowała, gdy wypadło rozmawiać o obecnych czasach. Mimo że oboje unikali rozmów na ten temat, jak unika się rozmów o hańbie, którą pragnie się gdzieś zagrzebać, dochodziło jednak do nich to, co się dzieje. Nie można

tego było uniknąć. Wisiało to w powietrzu. Pani Holbek zawczasu wychodziła do kuchni, aby ukryć swą zapłonioną twarz.

Ogarniał ją wstyd za swój kraj i naród, za syna Hugona, który należał do osobników nowego ładu, a najwięcej za siebie, że wraz ze wszystkimi przez pewien czas żywiła nienawiść do Karnowskich i ich bliskich, a nawet pozwoliła się nakłonić do popełnienia wobec nich niegodziwości.

W wielkim rozgardiaszu, gdy miasto roiło się od mów, pochodni, orkiestr i proklamacji, pani Holbek uległa prądowi i oddała swój głos na zwolenników nowego ładu, którzy obiecywali szczęście, zwycięstwo i nadejście dobrych czasów. Mimo że zięć hojnie ją wspomagał, nie mogła wybaczyć, że po wojnie straciła domy, że jej syn Hugo próżniaczy i że wszystko toczyło się gorzej niż przed militarną klęską. Nowi osobnicy przyrzekali po-, prawę, że będzie jak dawniej, a nawet lepiej. Jej syn też mówił, że wszystko ulegnie zmianie, gdy naród pozbędzie się wrogów, którzy wbili ojczyźnie nóż w plecy i ograbili kraj, zagarnęli majątki, banki, zabrali właśfflfl

cielom domy. Pani Holbek uwierzyła Hugonowi.

Oczywiście, do wrogów nie zaliczała zięcia lekarza, ; który nikomu nic złego nie wyrządził, a jej córce za-, pewnił dostatnie życie. Ją, swoją teściową, otaczał sza-i cunkiem, a od czasu do czasu udzielał pożyczek Hugo^J nowi. Ponadto kilka lat był na froncie. Pani Holbek miała. na myśli innych ^ wszystkich oszustów, paskarzy, ban-i kierów, o których pisały gazety, wszystkich, którzy za-ij brali Niemcom gromadzone przez nich latami w bankach^ oszczędności i darmo wyłudzili od nich domy. Nie znając ^ nikogo z tych ludzi, pani Holbek jednak słyszała, że są i wszędzie, że opanowali i zrujnowali kraj, i dlatego należy ich się pozbyć, a wszystko ułożyć się jak dawniej,] jak przed przekłętą wojną. Teraz poczuwała się do winy, wstydziała się jak wstydzą się ludzie ukrywający swoje przestępstwo. Pani Holbek wydawało się, że jej wina jest: widoczna, a wielkie, czarne, przenikliwe oczy obcego, szacownego mężczyzny przeszywają ją na wskroś.

Wdowa Holbek, odkąd osobnicy w brunatnych koszulach stali się władcami, była świadkiem wielu brutalnych wydarzeń, Jakich nigdy w życiu nie widziała. Na ulicach chuligani napadali poważnych ludzi, nie pa- skarzy i oszustów, lecz solidnych, przyzwoitych obywateli, obrażali ich, a nawet bili. Policja nie reagowała. W wielkich sklepach, domach towarowych, gdzie sama latami robiła zakupy, zasmarowywano okna, wybijano szyby, nie pozwalano ludziom kupować. Ze szpitali i klinik wyrzucano wybitnych lekarzy, u których ci sami "nowi ludzie" leczyli się w ciągu poprzednich lat. Jej zięciowi

zabroniono uprawiać lekarską praktykę. Syn Hugo bluźnił przeciw Bogu, znieważał ludzi, dużo pił, nie chciał dawać na utrzymanie domu, często sprowadzał podejrzanych typów, rozwydrzonych chuliganów w brunatnych koszulach, jakich dawniej nie wpuściłaby za próg swego mieszkania. Czasem sprowadzał nawet kobiety, które nie bardzo podobały się wdowie Holbek. Wiele zmartwień przysparza jej syn. Jeszcze bardziej martwi się o córkę Teresę.

Teresa była bojkotowana, odkąd nowi osobnicy stali się władcami, odizolowywano ją od ludzi jak trędowatą. Koleżanki omijały jej dom, bały się z nią spotykać, a wszystko z racji jej żydowskiego męża. Jej rodzony brat Hugo unikał spotkania ze swą jedyną siostrą. Zapowiedział też jej, swej matce, aby rzadziej odwiedzała dom Żyda, gdyż jemu, szturmowcowi, przynosi to ujmę. Naturalnie, nie słuchała go. Nikt na świecie nie skłoni jej do wyrzeczenia się własnego dziecka. Lecz wizyty u córki nie przynosiły jej radości. W jej domu dawało się wyczuć zagubienie, milczenie, zażenowanie. Dr Karnowski nigdzie nie wychodził. Nikt do niego nie przychodził. Odkąd pewnego razu, gdy szedł z Teresą, napadli go ulicznicy wrzeszcząc za nim, aby nie spacerował z żadną niemiecką kobietą, unikał wychodzenia nawet z żoną. Teresa siedziała w domu i wstyd jej było przed mężem. Pani Holbek z trudem przychodziło nakłonić córkę do wyjścia.

Ogromnie też cierpiała wdowa Holbek z powodu krzywdy, wielkiej krzywdy, wyrządzonej jej wnukowi. Nikt nie był w stanie przekonać pani Holbek, że jej Jegoreczek jest gorszy od innych

dzieci i dlatego trzeba go separować, zawstydząć i upokarzać. I kto to zrobił? Nie ulicznicy, lecz ludzie wykształceni, doktorzy, dyrektorzy! Przepęłniło to miarę. Przekroczyło to zdolność pojmowania, nie mieściło się w granicach jej — starej kobiety —j rozsądku. Nie była zadowolona ze swego dotychczasowego życia, ani z tego, czego doczekała. Zazdrościła mężo-r wi, który w porę opuścił ten świat. Patrząc na jego wiszący na ścianie portret, na jego dostojnie wyglądający, surdut ze sztywnym kołnierzem, błagała go, aby czym prędzej zabrał ją do siebie. Bardziej niż przed portretem zmarłego męża wylewała swe żale przed obrazem Najświętszej Matki w mrocznym kościele, dokąd zawsze wstępowała w drodze do córki. Klęcząc na starych kolanach na kamiennej posadzce modliła się za swą córkę pogrążoną w cierpieniu, za syna, który zszedł z prostej drogi, nawet za zięcia, który padł ofiarą zła, a przede wszystkim za wnuka, niewinnego chłopca, na którym źli ludzie wyjawili swe okrucieństwo.

— Matko Święta i Ty, Jej Synu, Panie Jezu — modliła się ze złożonymi rękami — miejcie w opiece i chrońciei nieszczęsnego chłopca przed wszelkim złem, cierpieniem; i biedą, ześlijcie dobrych aniołów do jego łóżka, aby go leczyli i pocieszali, gdyż jest młody, niewinny i czysty, bezgrzeszny jak biały niewinny baranek. Mimo że Jegor chorował tylko kilka tygodni, bardzo się w ciągu tego krótkiego czasu zmienił.

Po pierwsze — wyrósł, wyciągnął się, jego długie ręce wystawały z rękawów, które nagle jakby się skurczyły. Po drugie, całkowicie

zmienił mu się głos. Mimo osłabienia zatracił chłopięcy pisk, który występował poprzednio, gdy się najmniej tego spodziewano. Głos miał teraz męski i poważny, niezbyt harmonizujący z jego szczupłym, wychudzonym chłopięcym ciałem i wskutek tego dźwięczał obco i nieoczekiwanie. Na jego wychudzonej twarzy pojawił się pierwszy ciemny puszek. Z trądziku rozrzuconego po wybladłej skórze wyrastały kępki włosów, co przydawało Jegorowi dojrzałej męskości, kontrastującej z jego młodzieńczą wybujałą bezradnością. Na zapadłej twarzy uwydatniał się szczególnie duży nos, nos Karnowskich, wydający się obecnie większy i wyraźniejszy. Gęste, ciemne brwi jeszcze bardziej podkreślały wielkość nosa. W długiej wychudzonej chłopięcej szyi przy każdym poruszeniu warg i połykaniu gwałtownie podnosiło się jabłko Adama. Gdy opadła gorączka i Jegor odzyskał pamięć, poprosił matkę, aby mu podała lusterko do łóżka.

W lustrze ukazała się twarz podobna do karykatur żydowskich Icków w gazetach.

— Boże, jaki ja jestem wstrętny, wstrętny i żydowski
— powiedział odrzucając lustro.

Teresa Karnowska głaskała jego rozwichrzone włosy, które urosły w czasie choroby.

Na litość boską, Jegoreczku, co to za nonsensy

— szeptała z lękiem, ip Jeszcze tatuś usłyszysz.

Jegor powtórzył to samo jeszcze głośniejszym głosem, jakby chciał, aby słowa te dotarły do ojca.

Dr Karnowski robił wszystko, co było w jego mocy, aby syn wrócił

do zdrowia. Dawał mu leki na wzmocnienie, próbował leczyć jego chorą duszę. Gdy Jegor

chorował i leżał w gorączce, dr Karnowski wsłuchiwał się w każde słowo, które mamrotał w malignie i zapisywał je. Słowa te były oderwane, bezsensowne i bez żadnego związku. Lecz dr Karnowski z tych cząstek, okruchów i aluzji zestawiał obraz głębokiego, młodzieńczego upokorzenia, które doprowadziło jego syna do załamania. Bardziej niż normalne wypowiedzi Jegora interesował go jego bełkot, który wprawdzie z każdym dniem się zmniejszał, ale całkowicie nie znikł nawet po ustąpieniu gorączki. Bełkot narastał zwłaszcza, gdy się denerwował, a robił to często i z powodu byle drobiazgu. Dr Karnowski wiedział, że wynika to bardziej z psychicznego, niż fizycznego stanu chłopca. Chciał dojść do źródła choroby i wykorzystywał w tym celu wszelkie dostępne dla siebie możliwości. W swej dużej domowej bibliotece obok książek z zakresu medycyny i filozofii, które często kupował, znajdowały się także najnowsze dzieła z zakresu psychologii i psychoanalizy. Do dziedziny tej, jak większość] chirurgów, których interesuje bardziej anatomia niż psy , chika, dr Karnowski nie miał zbytniego przekonania. Poza tym nie miał czasu, by zajmować się tą dziedziną. Kupował te książki tylko dlatego, że były modne. Teraz częściej do nich zaglądał i zagłębiał się w nich. Myśli,] które dawniej wydawały mu się obce i niemrawe, gdyż nie imaly się go choroby i nie nękały zawile problemy,? obecnie stały się dla niego bliskie i zrozumiałe. Zaczął stosować metody zalecane w tych dziełach, aby wraz z ciałem leczyć

duszę swego jedynego syna.

Żałował lat, kiedy zaniedbywał swe dziecko wskutek zaabsorbowania pracą w klinice. Nic nie zostało z jego i rozgłosu i pracy. Pozostało tylko dziecko. Dr Karnowska uchroni swój jedyny skarb. Będzie go leczył, czuwał nad I nim. Nie puści go już do okropnej szkoły. Sam będzie jego nauczycielem, wychowawcą i ojcem, a przede wszy-f stkim kolegą — bliskim kolegą, przyjacielem.

— Nie spuszczać nosa, młodzieńcze — dr Karnowski dodawał otuchy synowi tonem zgoła nie ojcowskim, lec^ swobodnym tonem swawolnego chłopca.

Przy tym daje mu żartobliwie i szybko prztyczka w nos, jak figlarny chłopiec swemu koledze.

Jegor odwrócił głowę i nie uśmiechnął się do ojca.

— Zostaw mój nos — powiedział niechętnie. — Jest już dostatecznie wyciągnięty.

Dr Karnowski poczuł się niezręcznie z powodu niefortunnego lekkiego tonu, którym chciał pozyskać chłopca i przybrał ton poważniejszy.

— Zapomnij, mój synu — powiedział — zapomnij nich. Nie są warci, abyś o nich pamiętał, gardź nimi, pluń na nich tak jak ja.

Jegor milczał. Gorzkie to było milczenie, był zawzięty pełen sprzeciwu nie tylko wobec rad ojca, ale i wobec niego.

Nie, nie zapomni tego, o czym ojciec kazał mu nie pamiętać. Tkwi to w jego głowie, w szpiku, we krwi. Nie tylko nie chciał słuchać

wskazówek ojca, aby o wszystkim zapomnieć, lecz starał się przywołać w pamięci wciąż na nowo ciężką obrazę, jakiej doznał w szkole. Siłą swej bujnej wyobraźni, która pomagała mu przeżywać na nowo, jakby się działo aktualnie, to, co minęło, ożywiał ponownie w pamięci swą krzywdę, ból, wstyd i upokorzenie, doznając męki i uczucia słodczy zarazem. Jak ktoś cierpiący od ran, rozdrapuje je, znajdując w tym ulgę, jaką odczuwa się ssąc własną krew po skaleczeniu, tak Jegorowi sprawiała przyjemność somoudręka. Zamiast pogardzać tymi, którzy go znieważyli, pogardzał samym sobą za to, że został znieważony. Zamiast nienawidzić swoich dręczycieli, nienawidził siebie oraz to, co w nim było obce i mało wartościowe, i co doprowadziło do zniewagi. Nienawidząc siebie, mścił się na sobie, rozkoszował się męką, którą sam sobie zadawał — nienawidzący znieawidzonemu.

W nienawiści do tej części, która w nim jest mało wartościowa, posuwał się do usprawiedliwiania swych prześladowców. Słuszność miał dr Kirchenmajer izolując go od wszystkich, słusznie odkrył w nim wszystkie haniebne elementy ze strony ojca. Jegor sam nienawidzi tej podłej części swej istoty. Jegor Holbek nienawidzi Jegora Karnowskiego, nie znosi jego czarnych włosów, jego ostro zarysowanych ciemnych brwi, a przede wszy i stkim nosa, wydatnego, impertynenckiego nosa Karnowskich. Matka śmieje się, gdy Jegor mówi z nienawiścią swym nosie. Twierdzi, że właśnie nos jest najpiękniejszą częścią

jego twarzy, jest silny, męski. Podobnie[^] piękne są czarne włosy i brwi. To właśnie jej się najbardziej w ojcu spodobało, gdy go po raz pierwszy zobaczyła. Jegor nie może tego słuchać. Jaki zły gust ma jego matka! Jegor nie widzi piękna w ojcu — w jego czarnych włosach, czarnych oczach, ostrym nosie. Jest ono tylko w matce, jasnej blondynce, czystej i otwartej.[^] Czerń i ciemna cera ojca przypominają coś mulistego, niejasnego, nieczystego, o czym wspominał dr Kirchenmajer mówiąc, że przywodzi na myśl azjatyckie pustynie

afrykańskie dżungle. W twarzy matki wszystko jest jasne, czyste, otwarte i świetliste. Nie ma w niej żadnych cieni, ani odchyłeń, wszystko jest proste, gładkie — włosy, nos, szczeka, każda część ciała. Podobnie jasny, prosty, gładki i czysty jest wuj Hugo, pozostali członkowie rodziny Holbeków, wszyscy inni w kraju. Jegor też byłby taki, gdyby nie ojciec.

Wszystkie nieszczęścia spadły na niego z winy ojca i jego rasy. W nich tkwi wina, że od dziecka słabo biegał, często się przeziębiał, nie był tak silny i wytrzymały jak inni chłopcy w szkole. Wuj Hugo nieraz mu to tłumaczył. Teraz mówią o tym wszystkim gazety, wszyscy mówcy na ulicach, wszyscy karykaturzyści w czasopiśmie. Przedstawiają zawsze Icków z dużymi śmiesznymi nosami, nadmiernie wielkimi kędzierzawymi głowami, lecz słabych, niedołężnych, skarłowaciałych. Jeszcze bardziej karłowato wyglądają oni obok wymalowanych, muskularnych, trzymających się prosto Germanów. Dr Kirchenmajer dowiódł tego, przeprowadzając na

nim pomiary.' Nie, oni tego wszystkiego nie wymyślili, jak ojciec chce- mu wmówić. To niemądre twierdzić, że wszyscy się umdili, aby rzucać oszczerstwa i popełniać zło. Ma dowód na sobie samym. Jak śmiesznie wygląda każdorazowo, gdy się przegląda w lustrze, czarny, mętny, wychudły, długonosy — prawdziwy Icek. Tak mu obrzydł jego wygląd, że często pluł na swoje odbicie. Unikał wychodzenia na ulicę, wstydził się pokazać ludziom, bał się najbardziej nie obraży, lecz drwin, drżał z obawy na myśl, że może stać się przyczyną pośmiewiska.

Dr Karnowski nie mógł ścierpieć, że chłopiec zamknął się w czterech ścianach. Wskutek ciągłego przesiadywania w domu był błądy i leniwy, nie miał apetytu, ani ochoty kłaść się spać w porę. Do późnej nocy siedział nad gazetami i czasopismami, psując oczy. Potem sypiał do późna w dzień, często do obiadu, wstawał zgorzkniały, rozgoryczony i znudzony, jak to się zwykle dzieje, kiedy się śpi długo — ma się wówczas wrażenie, jakby coś się opóźniło lub straciło. Chłopiec pachniał pościelą, lenistwem, otępieniem, co drażniło powonienie dr. Karnowskiego. Chciał wyprowadzić chłopca na świeże powietrze, aby słońce i wiatr ożywiły jego twarz, orzeźwiły, poprawiły apetyt.

— Ubierz się, leniuchu — budził go rano na wpół rozkazująco, na wpół żartobliwie, aby go nie urazić. Umyć się i przespacerować. Chodź, chłopcze, pójdziemy razem.

— Po co? — pyta Jegor apatycznie.

Dr Karnowski wiedział, co wstrzymuje chłopca od wyjścia z domu.

On sam też nie jest spokojny wychodząc, nie jest pewny, czy nie zostanie zelżony. Ale właśnie dlatego zwalczał w sobie niepokój. Właśnie dlatego, że hałastrą sobie tego życzyła, nie chciał jej satysfakcjonować. Po kilku miesiącach izolowania się, trzymania się z daleka od ulicy z jej paradami i chuliganami, zaczął z przekory wychodzić, również wtedy, gdy nie musiał. Nawet nie zakładał kapelusza, trzymał wysoko i dumnie pokrytą czarnymi włosami głowę, czego bardzo w stolicy unikano. Przesadnie sprężystymi krokami odbywał rankami milowe spacerunki, aby wytrząsnąć z siebie rozleni-

wienic, apatię i złe myśli, które dopadają człowieka ; w czterech ścianach. Niektórzy sąsiedzi odwracali głowy! spotykając go, aby uniknąć pozdrowienia. Inni narażali się, pozdrawiając go skinieniem głowy. Śmiałe kobiety uśmiechały się nawet do niego i pierwsze mówiły dzień! dobry. Dr Karnowski zadzierał wyżej głowę, by dowieść że nikogo się nie lęka, że ani mu w głowie czuć się przybitym. On, dr Georg Karnowski, nie da się zastraj szyć! Chciał zabierać syna na spacerunki, ale Jegor nie miał zamiaru afiszować się swą hańbą. Nie chciał, aby go widziano z ojcem, który swym wyglądem podkreśla ży-j dowskość Jegora. Nie zgodził się również, aby dr Kar-I nowski przerobił z nim program nauki gimnazjalnej! w domu.

— Po co się uczyć? — pytał apatycznie.

Nie miał nawet ochoty wychodzić do ogródka, w którJ rym w tym czasie wszystkie prace wykonywał dr Kar- nowski. Jak kiedyś

służący Karl, tak teraz on był wciąż i zajęty przybijaniem, naprawianiem. Wbijał gwoździe do i desek, rąbał drewno, majsterkował, poprawiał, przebu-ł dowywał, przerabiał.

Wyładowywał w ten sposób enerJ gię, która przepelniała go przy beczynnym trybie życia. I Godzinami w ogródku zajmował się domową stolarką^ Chciał, aby Jegor mu pomagał i zachęcał go do tego. M

—No, młodzieńcze, zobaczymy, kto wpierw się zmęJ czy rąbiąc drzewo? — wzywał syna do współzawodni-j ctwa, co zazwyczaj pociąga chłopców.

— Chcę czytać gazety — odpowiadał Jegor niechęfri nie.

Dr Karnowski nie chciał mieć w domu gazet podjufl dzających, oszczerczych, ani karykatur ośmieszających! jego i jego bliskich.

— Wyrzuć z domu te śmieci! — polecił.

Tymczasem Jegor zagrzebywał się w gazetach i czasopismach. Leżąc na kanapie czytał o marszach, para- dach, pochodach, sztandarach i zwycięstwach. Słuch« radia, które w tych dniach grzmiało bez przerwy, ciągle® huczała wojskowa muzyka, odbywały się masowe uro«

czystości, brzmiały trąby i tupot maszerujących. W przerwie między uroczystościami padały ogniste słowa, pełne nienawiści, drwin, obelg, wezwań do zemsty na wrogach, zdrajcach, potworach, grabieżcach, gwałcicielach, którzy są nosicielami wszelkiego zła na świecie. Jegor tak się zapalał wrzaskami mówców, że sam był gotów do okrucieństw

i unicestwienia tych, którzy są zakała dobrego świata.

Uliczne wrzaski irytowały dr. Karnowskiego bardziej niż gazety. A tu jakby na złość ojcu Jegor godzinami w swym pokoju słuchał radia i na przekór samemu sobie wchłaniał obelgi skierowane przeciw jego bliskim. Jegora Holbeka zadowalało jednak cierpienie, które zadawał swemu wrogowi — Jegorowi Karnowskiemu.

Bardzo rzadko udawało się matce nakłonić Jegora, aby z nią na trochę wyszedł. W jej obecności czuł się bezpieczny. Matka swym wyglądem ukrywała haniebną część jego istoty, z powodu której obawiał się napaści. W swym rozgoryczeniu miał często pretensje do matki, że wybrawszy za męża ojca, unieszczęśliwiła syna. Nie mógł jednak żywić do matki nienawiści, bowiem w przedmiocie miłości nie dostrzega się zła. W miarę jak wzrastała nienawiść Jegora do ojca, pogłębiała się jego miłość do matki. Litował się nawet nad nią, że cierpi w dzisiejszych czasach. Ścisnął ją i całował, zostawiając czerwone plamy na jej jasnej twarzy, na której od razu występowały rumieńce. Nieraz przejawy miłości Jegora do matki były tak gwałtowne, że Teresa stawała się niespokojna.

Jego wychudzona młodzieńcza, pokryta trądzikiem twarz, zaniedbane w wyniku niewychodzenia z domu i ciągłego leżenia na miękkiej kanapie ciało, cała jego niezręczna w dojrzewaniu postać, szukała kobiecości, odmiennej płci. Nie mając rówieśników chłopców, z którymi mógłby porozmawiać, nie spotykając się z dziewczętami, całe swe mętne uczucie miłości wkładał w uściski, którymi obdarzał swą matkę. W jego oczach była ona uosobieniem

kobiecej piękności. Teresa to poczuła i oblała się rumieńcem.

— Dość, dziki chłopcze — powiedziała, gdy Jegor ściskając ją, wypróbowywał siłę swych ramion — idź raczej na podwórze pomóc tatusiowi w pracy.

Jegor nie chciał iść do ojca, przy którym czuł się upokorzony i przybity. Widząc go rześkiego, opalonego i i ogorzałego od ciągłego przebywania na powietrzu! z błyszczącymi, tryskającymi energią i wolą oczami! zawsze zajętego, pracującego, jeszcze dotkliwiej odczuwał własne opuszczenie i poniżenie. Zdawało mu się też, że w oczach ojca dostrzega odrobinę drwiny z siebie,] leniucha i próżniaka, a nos ojca, ostry i ironiczny, wyraża] kpinę z niego. To, że ta szyderczość jest uzasadniona^ wzmagalo jeszcze jego cierpienie, a odraza do ojca rosłaj Odczuwał też wobec niego zazdrość z powodu matki] jak zakochany, któremu ktoś odbiera przedmiot jego mi] łości.

Nie mógł ścierpieć serdeczności matki w stosunku do ojca. Oczy mu mętniały, gdy ojciec wieczorem gasił światło w jadalni i przechodził z matką do sypialni,] zamykając drzwi za sobą. Matka przed udaniem się na j spoczynek powoli czesała swe długie jasne włosy i za-! płała je w warkocze. Z długimi warkoczami, w luźnej] odzieży, przy swej jasnej cerze i po kobiecemu pulchnas okrągła, wydawała się Jegorowi najpiękniejszą, przypo-j minala idealną germańską kobietę, przedstawianą w czad sopismach. Prosta, krągła, jasna, złotowłosa. Jegor IB znosił czarnych spojrzeń rzuconych przez ojca na tę jasną] kobiecość. Przywodziły mu one na myśl zjadliwe zdjęcia,] ilustrujące pohańbienie rasy, na których czarnowłos;

krzywonosy mężczyzna hańbi jasnowłosego anioła o długich, splecionych warkoczach. Nieraz nawet pukał do] sypialni rodziców, wymyślając jakieś kłamstwo, że coś go boli, aby przeszkodzić rodzicom w ich nocnym wspólnym życiu. Później w snach o podłożu erotycznym, ukochana] zawsze miała wygląd matki. Z rana do późna leżała w łóżku, aby jak najdłużej ukrywać się ze swoim młodzieńczym wstydem przed matką, która zaścielała jej łóżko sama, odkąd odeszła służąca.

Poza tym ukrywał przed rodzicami książki, które czytał, oraz sporządzone przez siebie rysunki. W lekarskiej bibliotece ojca było wiele książek z zakresu ginekologii, o współżyciu seksualnym między mężczyzną a kobietą, o chorobach i patologii, o różnych historiach obyczajowych, ilustrowanych rysunkami i barwnymi rycinami. Jegor kryjąc się przed ojcem, wyciągał te książki z szafy i czytał je godzinami, leżąc na kanapie w swoim pokoju na górnym piętrze, często nie ubierając się do późna. Był na skutek tych lektur tak oszołomiony i otumaniony, że często nie słyszał, jak matka wołała go do stołu na posiłki. Oczy błyszczały mu chorobliwie, blade policzki pokrywały się niezdrowymi rumieńcami. Kopiował zakazane ilustracje z książek, rysował nagie dziewczęta. Jednocześnie kopiował rysunki z gazet i czasopism, które przesadnie przedstawiały piękność i siłę germańskiej wyższej rasy oraz skądś wzięte rasy mniej wartościowej.

Bardziej jeszcze niż kopie przedstawiające nagie kobiety ukrywał Jegor przed rodzicami swoje własne rysunki. Pewnego dnia ojciec

zastał go przy tej robocie. Jegor już po raz któryś przerysowywał z czasopisma rycinę przedstawiającą jego własne pohańbienie rasowe. Na rycinie widniała jasna kobieta-aniół uwiedziona przez kędzierzawego, krzywonosego bankiera o grubych wargach. Dr Karnowski wziął zarysowaną kartkę papieru i obejrzał ją przenikliwie.

— To ty narysowałeś, Jegor? — zapytał ostro.

Jegor milczał.

— Dlaczego nie odpowiadasz, przecież cię pytam? — dociekał dr Karnowski, choć odpowiedź nie była mu potrzebna. Wiedział, że narysował to jego syn.

Jegor znów nie odpowiadał.

Do głowy dr. Karnowskiego napłynęło tyle krwi, że zapomniał o fizycznych i moralnych następstwach bicia i mocno uderzył syna.

Z nosa Jegora puściła się krew. Od dzieciństwa krwawił, gdy go bito w twarz. Czując ciekącą z nosa krew, doznał ataku szału.

— Żyd — krzyknął na ojca i rozplakał się. Dr Karnowski wybiegł z pokoju chłopca, obawiając się; aby nie rozplakać się, podobnie jak jego syn.

— Boże, co się z nami stało? — pytał w rozpacz; tego, w którego nigdy nie wierzył.

Nazajutrz rano, zamiast na długi poranny spacer, udał się do miasta, aby się rozejrzeć za wizą zezwalającą na- wyjazd do obcego kraju.

Przed konsulatami, na których wisiały zagraniczne fla-J gi, stały

długie kolejki ludzi młodych i starych, mężczyzn i kobiet, rdzennych mieszkańców i przybyszów, poważnych obywateli z zachodniej części miasta i ludzi ubogo ubranych ze starej żydowskiej dzielnicy, a nawet takich,« którzy nic już nie mieli wspólnego z gminą, lecz obciążał ich grzech przodków do czwartego pokolenia — wszyscy ci ludzie stali w długiej kolejce, czekając na otwarcie ciężkich bram konsulatów. Dr Karnowski stanął wraz ze wszystkimi i czekał w milczeniu. Pozostali również milą czeli.

Chciał ratować siebie, Teresę, rodziców, a przede wszystkim dziecko, swe jedyne dziecko, które chorowało] pogrążone w depresji i nienawiści do siebie samego.



Nigdy jeszcze Rebeka Karnowska nie była tak szczęśliwa jak w tych dniach grozy i przygnębienia, w jakich żyli jej rodzice, rodzina i współwyznawcy.

Gdy po raz pierwszy przypadkowo spotkała na ulicy Hugona Holbeka w brązowej koszuli, wysokich butach, z oznaką szturmowca, stanęła jak wryta. Jej nogi były jakby tknięte paralizem, wielkimi czarnymi i płomiennymi oczami patrzyła nieruchomo na wysokiego i bardzo bladego mężczyznę w butach z wysokimi cholewami, jakby nie wierząc samej sobie. Hugo Holbek głębi tego czarnego i znieruchomiłego spojrzenia nie mógł wytrzymać i naraził się na niebezpieczeństwo.

— Dzień dobry, panno Rebeko! — wymamrotał, uśmiechając się głupio i z zawstydzeniem.

Rebeka nie odpowiedziała i wciąż patrzyła na niego nieruchomo. Nagle powróciły jej siły w nogach i popędziła do domu, jakby ją kto gonił. Gdy tylko wpadła do siebie, na ulicę Oranienburską, wybuchnęła płaczem. Płakała gwałtownie, głośno, nie mogąc się uspokoić. Rodzice wpadli do niej, chcąc się dowiedzieć, co się stało na ulicy. Rebeka nie chciała mówić. Płakała gorzko, przestawała na chwilę, aby wzmożonymi siłami szlochać jeszcze gwałtowniej.

Opłakiwała swoje zniweczone dziewczęce nadzieje, jakie wiązała z tym wysokim blondynem. Opłakiwała nieszczerłość błękitnookiego mężczyzny, który tak uprzejmie rozmawiał z nią w podwórzowym ogródku w domu jej brata. Opłakiwała swoją utraconą wiarę w niego, duże naiwne i bezradne dziecko, jak o nim mawiała. Jak większość sentymentalnych kobiet była w swym rozczarowaniu przesadnie nieszczęśliwa. I jak większość takich kobiet prędko zapomniała o swym kobiecym nieszczęściu, wyplakała je wraz ze łzami.

W jej sercu nie pozostało żadne uczucie do tego człowieka, w którego jakiś czas wierzyła. Czuła do Hugona

tylko wstręt — do niego i jego wysokich butów, do oznaki na ramieniu. Podobny wstręt czuła do takich jak on, do tych rosłych, jasnowłosych wojskowych, którzy ją przez pewien czas fascynowali. Innymi oczami zaczęła spoglądać na młodzieńców i młodych ludzi z jej otoczenia, którzy dawniej odsądzała od czci i wiary. Przy pierwszej sposobności zakochała się w jednym z nich, zakochała się żarliwie. Wszystko robiła żarliwie.

Dawid Karnowski i Lea nie rozumieli swej córki, gdy z

dziewczęcym zachwytem przyprowadziła do domu swego wybranego i powiedziała z entuzjazmem:

■-r- To jest Rudolf Landskroner. Kochajcie go, jak ja; go kocham.

Dawid i Lea Karnowscy spoglądali po sobie, nie rozul mając szczęścia córki.

El Bardzo nam miło — powiedzieli oboje rozczarol wani.

Nazwisko obcego człowieka było długie, lecz on sami był niski i niepozorny, a także niemłody. Nosił ze sobffl skrzypce, na których grywał. Przydawało mu to w ich] oczach wyglądu muzykanta.

Wiedzieli, że nie jest muzykaniem, jest skrzypkiemj artystą. Rebeka nawet powiedziała, że jest najwybitniejszym skrzypkiem, lecz to nie wpłynęło na zmianę ich niewygórowanego o nim mniemania. Nie mieli zbytniego przekonania do tego zawodu. Więcej zastrzeżeń od Lei' miał jej mąż. W niskim mężczyźnie, wyglądającym jesz^ cze bardziej niepozornie przy wysokiej, rosłej Rebecce« wciąż widział muzykanta. Rudolf Landskroner głos miał kobieco miękki, podobnie jak cały wygląd.

Nic nie powiedzieli swej córce. Nie była już pierwszej młodości, poza tym nie mieli dla niej pieniędzy na posag.; Wielu młodych ludzi opuściło kraj, rozproszyło się po wszystkich stronach świata. Nic lepszego nie mogli je]] zapewnić rodzice i dlatego nic nie mówili. I ;U

— Co myślisz, Dawidzie? — zapytała Lea męża na uboczu, oczekując, że wypowie się pozytywnie o tym.« co jest negatywne.

— Dobrze przynajmniej, że jest Żydem — pocieszał ja Dawid Karnowski.

Dawid Karnowski był do tego stopnia rozczarowany, że nawet nie założył świątecznego cylindra i surdutu na cichy ślub, który odbył się wyłącznie z udziałem minja- nu.

Rebecce nie była potrzebna ani aprobata rodziców, ani eleganckie stroje i uczyty. Miała swego Rudiego i promieniała ze szczęścia.

Kochała go gorąco właśnie dlatego, że był mały, niepozorny i łagodny jak kobieta. Zawsze szukała mężczyzny nieporadnego, dużego dziecka, dla którego mogłaby być matką, doglądać go, kierować nim, pieścić. Początkowo takiego chłopca, który mógłby być jej mężem, upatrywała wśród obcych, jasnowłosych bezradnych i naiwnych młodzieńców. Obecnie, rozczarowana do nich, znalazła swego Rudiego, małego, łagodnego i dziecinnego.

Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła grającego dla nielicznej żydowskiej publiczności, przyłgnęła do niego. Spokojny, z długimi, jedwabnymi włosami, które sięgały do białego kołnierza czarnej aksamitnej marynarki,

okrągłych policzkach, dużych, czarnych, dziecięco łagodnych, aksamitnych oczach, miękkich białych rękach, wyglądał przy swoich niespełna czterdziestu latach

ze swymi skrzypkami jak cudowne dziecko. Publiczność gorąco go oklaskiwała. Rebeka klaskała mocniej od innych i głośniej od pozostałych słuchaczy koncertu wołała, by grał jeszcze. Od tego czasu przychodziła na wszystkie jego koncerty i przejawiała dla niego tyle kobiecego uwielbienia, zainteresowania i macierzyńskiej troski, że niezbyt młodemu i bardzo dziecinnemu mężczyźnie to kobiecie

oddanie i miłość macierzyńska przypadła do serca i pozwolił kierować sobą tej pełnej temperamentu, sentymentalnej, władczej i roślej kobiecie.

Natychmiast po ślubie zawładnęła nim całkowicie. Nie pozwoliła mu nosić skrzypiec, robiła to ona. Czesła jego długie, jedwabiste włosy, pomagała mu się ubierać, kiedy wybierał się gdzieś grać, zdejmowała mu buty, gdy wracał zmęczony. Przyrządzała mu różne dobre potrawy i słodczyce jak matka dla rozpieszczonego jedynaka. Karmiła go jak dziecko, gdy już miał dość jedzenia, robiła za niego wszystko, załatwiała sprawunki, targowała się na koncertach, chwaliła go przy ludziach, a nawet, gdy gdzieś przychodzili, wkładała mu i zdejmowała płaszcz,[^] co zwykle czynią mężczyźni wobec kobiet. Nieustannie mówiła i opowiadała o swoim Rudim. Lea Karnowska, będąc sama kochającą żoną, nie mogła już wysłuchiwać wiecznych opowiadań córki o mężu.

— Rebeko, dość o Rudim — mówiła urażona kobiecym zniewoleniem córki — przecież ty też jesteś żyjącą istotą.

— Nie, mam, jestem tak szczęśliwa, że nie jesteś w stanie mnie zrozumieć — odpowiadała rozplomieniona Rebeka.

Rudolf Ryszard Landskroner traktował zniewolenie żony jako coś oczywistego i mu należnego. Łagodny, o jedwabistych ruchach, zakochany w sobie i w swoich skrzypcach, pozwalał się uwielbiać i podziwiać, usłu- i giwać sobie i kierować sobą jak rozpieszczone dziecko, -i które matce wyświadcza łaskę pozwalając się pieścić. E

Gdy Rebeka odczuła zmianę w swym stającym się co- I raz

tęższym ciele i wiedziała, że będzie miała dziecko ze swym Rudim, była tak przepelniona szczęściem, że omal nie udusiła matki, całując ją i ściskając. Dawid Karnowski j nie okazał radości, gdy Lea obwieściła mu nowinę.

— W obecnych czasach sprowadzać potomka na świat? — powiedział zatroskany.

Dr Georg Karnowski nie posiadał się ze zdenerwowania, gdy to usłyszał od matki. W gniewie odważył się nawet na ostrą wymówkę wobec siostry.

— Rebeko, twój Rudi jest idiotą! — krzyczał. — Zajdź | do mnie i coś zaradzę... będzie lepiej dla ciebie i dla tego j nieszczęsnego stworzenia w tych okropnych czasach.

Rebeka była tak rozdrażniona, że omal paznokciami nie wydrapała bratu oczu.

— Nikt mi nie odbierze szczęścia! — mówiła z żarem. — Nikt!

Nie chciała się zapisać na wyjazd za granicę, choć rodzice ją o to prosili, gdyż jej Rudi nie chciał opuszczać Berlina.

Nigdy Rudolf Ryszard Landskroner nie cieszył się takim uznaniem, uwielbieniem, nie spotkało go tyle aplauzów jak obecnie, gdy w stolicy nastały złe czasy. W ubiegłych latach nie bardzo uznawano skrzypka Rudolfa Ryszarda Landskronera. Głośno było o znakomitych, światowej sławy skrzypkach, o których Rudolf Ryszard Landskroner twierdził, że nie dorastają mu do pięt. Dopiero w ostatnich latach, gdy znakomici artyści opuścili kraj z powodu swego pochodzenia, zaczęto zauważać Rudolfa Ryszarda Landskronera.

Nie mógł, naturalnie, swego talentu prezentować w wielkich salonach muzycznych, o których zawsze marzył. Lecz dla swych współwyznawców mógł teraz grać, ile tylko chciał. Obecnie cenili go oni bardzo wysoko, oklaskiwano go gorąco, domagano się bisów. Egzaltowane damy w uwielbieniu nazywały go "maestro", dziewczęta prosiły o autografy. Rudolf Ryszard Landskroner był uszczęśliwiony wielkim powodzeniem, pierwszym w jego życiu. Nieraz myślał o swym zmarłym ojcu, muzykancie w berlińskiej restauracji, który wierzył w geniusz syna i nawet przy ceremonii obrzezania dla uczczenia pamięci Wagnera dodał mu do pierwszego imienia Rudolf drugie — Ryszard. Gdyby żył i widział syna obecnie rozmyślał Rudolf Ryszard z żalem o przedwczesnej śmierci ojca. Nie, nie chciał wyjeżdżać z tego miasta, gdzie cieszył się takim uznaniem, do nowego, nie znanego kraju, dokąd udała się większość światowej sławy skrzypków. Odsuną go w cień, jak dawniej.

Mimo że Rudolf Ryszard Landskroner, podobnie jak inni Żydzi nie czuł się w Berlinie całkowicie bezpieczny, wrósł już jednak w to nowe, niewygodne życie, przywykł do niego, jak przyzwyczajają się ludzie do wszystkiego zła. Wrósł zaś w nowe życie tak dalece, że już nawet nie czuł, jak jest ono upokarzające. Uważał za naturalne, że musi unikać chodzenia bez potrzeby po ulicach, że nie powinien siadać w parku na ławce, gdy czuje się zmęczony. Automatycznie spuszczał oczy, gdy przechodziła jasnowłosa kobieta, aby nie narażać się na posądzenie o pohańbienie rasy.

Artystyczne sukcesy były dla niej zadośćuczynieniem za wszystko. Rebeka zaś była szczęśliwa jego szczęściem. Nie dała się przekonać rodzicom, bratu, przyjaciołom, znajomym, pozostawała tam, gdzie chciał żyć jej Rudi. Nie odprowadziła nawet rodziny do portu, gdy po długim oczekiwaniu otrzymali dokumenty emigracyjne. Nie chciała nawet na jeden dzień zostawić samych dwojga swoich dzieci

— Rudiego i dziecka, które niedawno urodziła.

Jft Ta Rebeka, uchowaj Boże, zmysły postradała

—marwiła się Lea Karnowska.

—Kobięcy rozum — zareagował Dawid Karnowski i udał się na ulicę Dragońską pożegnać się z reb Efraimem Walderem.

— Czy wiecie, rabi Efraim — oznajmił starcowi no- j winę — zbereźnicy zburzyli pomnik rabi Mojżesza Mendelssohna na Wielkiej Hamburgskiej ulicy.

— Czym jest pomnik, rabi Karnowski? — odpowiedział reb Efraim. — Kamień albo żelazo. Ducha rabiego I nie wyrwą.

Dawid Karnowski czuł się niezręcznie, że wyjeżdża i zostawia reb Efraima.

— Gdy tylko z boską pomocą przepłynę ocean, postaram się przysłać wam dokumenty, rabi Efraim — powiedział żarliwie szj poruszę niebo i ziemię.

— Jestem za stary, rabi Karnowski — odpowiedział reb Efraim z uśmiechem. — Natomiast, gdyby można było uratować moje książki, byłaby to wielka rzecz. Księgi i moją córkę, czyż nie tak, Jentł?

Jentł, która przybrała imię Żaneta, oderwała czarne

krótkowzroczne oczy od francuskiej powieści. Nieustann i nie czytała francuskie powieści i potrząsnęła kędzierzawą głową, bardziej już siwą niż czarną.

— Co ci do głowy przychodzi? — zapytała urażona.

— Zostawić cię w twoim wieku, niech Bóg broni.

Nie wiedziała dokładnie, ile lat ma jej ojciec — sto, czy może już przekroczył setkę, lecz wiedziała, że jest wyschniętą wiązką kości, które w każdej chwili mogą się rozlecieć. Jak stare rozpadające się drzewo, rozsypywał się ze starości starzec Efraim Walder. Jego wyschnięta, brunatnosina, pozbawiona wszelkich soków skóra, łuszczyła się jak kora starego drzewa. Długa broda była zielona jak zleżały mech. Brwi, pęczki włosów w uszach sterczały jak szpilki, chude ręce tak latały, że nie były zdolne do niczego. Żaneta musiała ojca ubierać i rozbierać, podawać mu łyżkę do ust, a nawet pomagać przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Choć już przekroczyła sześćdziesiątkę, w swym staropanieństwie wstydziła się wypełniać te posługi przy ojcu.

Jedynie mózg starca pracował tak jasno i klarownie jak w młodości. Wprost przeciwnie, im był starszy i coraz bardziej zatracił ludzkie ułomności — zazdrość, chciwość, ambicje i wszelkie inne małostkowości — tym jaśniejsza stawała się jego myśl, tym czystszy jego niczym już nie obciążony duch. Oczy i uszy miał równie klarowne jak mózg. Leżąc często w łóżku, bo nogi już go nie nosiły, ze smutkiem obserwował każdą myszkę wysuwającą się ze szpary w podłodze i zabierającą się do jego książek. Podobnie jego uszy

wychwytywały każde skrzypnięcie drzwi sklepiku, każdy szmer.

— Jentł, kto tam był? — wołał córkę, by mu powiedziała, co się dzieje poza ścianą jego ciemnego pokoju.

Jentł nie miała do zakomunikowania żadnych dobrych wiadomości. Rzadko kto przychodził do jej sklepiku kupować księgi. Nikt nie kupował płyt. Częściej niż klienci przychodziły zbiry w brunatnych koszulach albo wyrządzający zło ulicznicy.

— Ojczy — załamywała ręce — chuligani wrzucili kota do sklepu.

— Cóż to jest kot? — perswadował jej ojciec.

— Stworzenie boskie.

— Ale oni wrzucili zdechłego kota, ojczy.

— I cóż, że zdechły kot? — nie przejmował się reb I Efraim. W jego pojęciu wszystko było częścią boskością — od kamienia do człowieka, także padlina.

Podobnie nie upadał na duchu, gdy Dawid Karnowski opowiedział mu o okrucieństwach i fatalnych zarządzeniach dotyczących Żydów, o paleniu ksiąg i świętych i ksiąg.

— Nic nowego, rabi Karnowski — mówił swym ostrym, dźwięcznym głosem, nie harmonizującym z jego starym ciałem — to są znane rzeczy. Tak było niegdyś i w Spirze, Pradze, Krakowie, Paryżu, Rzymie i w Padwie.® Odkąd istnieją Żydzi, Hamani palili ich księgi, kazali nosić łąty na odzieniu, wypędzali z domów, męczyli ich i mędrców. Mimo to Żydzi przetrwali. Nie tylko z nimi Hamani tak postępowali, lecz również z mędrkami świata, których nauk i mądrości nienawidzili. Mędrcomi So-B kratesowi podano do wypicia

kielich trucizny. Mędrca I Galileusza prowadzono na stos. Ostali się jednak nie I Hamani, lecz mędrce Sokratesowie, mędrce Akibowie i mędrzec Galileusz, gdyż nie można unicestwić ducha, ® podobnie jak nie można unicestwić boskości, rabi Kar- nowski.

Dawid Karnowski nie może spokojnie słuchać wywo- ■ dów starca i chce im coś przeciwstawić. Reb Efraim nie I pozwala mu dojść do słowa.

— Przepraszam, rabi Karnowski, proszę wejść na dra- m binę i zdjąć moje pisma z górnej półki— mówi z uśmie-® chem. —• Nie fatygowałbym pana, lecz już nie mogę I włożyć na drabinę.

Dawid Karnowski wchodzi na drabinę i zdejmuje dwa I ciężkie tomy rękopisów — hebrajski dla Żydów i niemiec- H ki dla innych narodów. Reb Efraim drżącą ręką ściera B z nich kurz i odczytuje gościowi ostatnie swoje przemyślenia, i

W trakcie czytania świtają mu w głowie nowe myśli I i aby ich nie zapomnieć, zapisuje je na marginesach M swych dzieł. Mimo że jego chwiejne palce są tak słabe, H że nie może się sam obsłużyć, ozywają natychmiast, gdy Ja

czują gęsie pióro. Drżące ręce władają nim jak ręce starego rzemieślnika, gdy poczują narzędzie. Dawid Karnowski, mimo że obecnie daleki od podobnych przemyśleń, wysłuchuje starca, gdyż bardzo go szanuje. Żaneta już nie wytrzymuje zachowania ojca.

— Ojczy, rozlejesz atrament na pościel — ostrzega — przy tym nie wolno ci się wysilać, powinieneś odpoczywać.

— Odpocznę w grobie, Jentł — mówi reb Efraim z uśmiechem. —

Jak długo oczy mi służą, jeszcze czegoś dokonam.

Żaneta macha ręką jak na zdziecinniałego starca, który nie rozumie bezsensu robienia czegoś nie we właściwym czasie.

— Och, tato, tato... — wzdycha i nie dopowiada tego, co chciała powiedzieć.

Reb Efraim, który wszystko widzi i słyszy w swoim łóżku, uśmiecha się z niezadowolenia córki.

— Ona sądzi, że jestem ślepy i głuchy, i nie wiem, co się dzieje na świecie. Ja wiem, rabi Karnowski, wszystko wiem i widzę, lecz robię swoje, gdyż taki jest obowiązek uczonego.

Żaneta, gotując strawę w małym garnku na żelaznym piecyku opalonym zamiast drewnem książeczkami zawierającymi opowiadki, nie może ścierpieć spokojnych słów ojca. Widzi dokoła narastające ciągle nieszczęście. Ulica Dragońska przeredza się z każdym dniem. Sklepy zabijane są deskami, zakłada się zamki, nocą zamyka się domy na siedem spustów. Jedynie łoskot zajeżdżających aut, gwizdy, śmiechy chrześcijan i jęki Żydów świadczą, że po kogoś przyjechano i zabrano. Ulica getta, otwarta na okrucieństwa i bezceństwa, napawa Żanetę wiecznym strachem i niepokojem.

— Ojczy — przerywa mu czytanie — dlaczego tak cierpimy?

Reb Efraim śmieje się spod swej omszałej brody bezzębnymi ustami.

— To odwieczne pytanie, córko, tak stare jak samo cierpienie — odpowiada. — Nie możemy tego ogarnąć naszym rozumem, lecz musi w tym być sens, jak we wszystkim, co

istnieje, gdyż w przeciwnym razie cierpienie nie istniałoby.

Słowa te nie przynoszą ulgi Żanecie, jest jej jeszcze ciężej, staje się coraz bardziej zgorzkniała.

— Dlaczego Bóg zadaje męki? — ma pretensję do ojca. —

Dlaczego lubi męczyć, kiedy może czynić iiiił jeśli tylko chce?

Reb Efraim próbuje jej wyjaśnić ten problem tak, by go rozumiała. Tylko ludzie prymitywni i głupcy wysuwają wobec Boga pretensje z powodu zła i wyśpiewują hymny za dobro. Mędrzec wie, że nie należy tak myśleć

Bogu, gdyż wszystko, co istnieje, jest boskością, nic z niej nie można wyłączyć. Zwierzęta i rośliny, ludzie

gwiazdy, wszystko, co istnieje, wszystko, co nadejdzie i to, co minęło, tak zwane dobro i zło, i to, co określa ; się jako szczęście i cierpienie — odbywa się bez początku i bez końca.

Żaneta nie może pojąć takiego Boga, z którym nie można się porozumieć, Boga, który nie odpłaca dobrem za dobro i złem za zło. Boga nie działającego na zasadzie prawa i sprawiedliwości. Żaneta pragnie swego starego Boga, do którego się modli, nazywa go Ojcem, zwraca się do niego serdecznymi słowami, chwali go, płacze przed ; nim i wytacza swoje pretensje. Słowa ojca napawają ją poczuciem beznadziejności. Nie widzi już sensu w swym zwiędłym życiu, żadnej zapłaty na tamtym świecie za cnotliwość i dobre obyczaje, za czyste, bezgrzeszne życie. Wybuchła płaczem w obecności Karnowskiego.

— Nie płacz, Jentł — mówi reb Efraim. — Płacz nic tu nie

pomoże.

Żaneta szlocha jeszcze gwałtowniej.

Dawid Karnowski podchodzi do piecyka i po ojcowsku głaszcze jej głowę, jakby była małą dziewczynką. I

— Nie należy płakać, córko rabi Efraima — pociesza ją. — Gdy tylko szczęśliwie zajedziemy na drugi brzeg, przyślę odpowiednie dokumenty, sprowadzimy ojca, panią i księgi.

Żaneta wyciera oczy brzegiem fartucha. Wie, że te życzliwe słowa są daremne, gdyż ojciec jest za stary, a ona również nie jest młoda, by zaczynać nowe życie w nowym świecie. Rada jednak słucha tych męskich słów, rada czuje jego rękę na swej głowie, której dotąd nikt nie głaskał, uśmiecha się nawet do Karnowskiego przez krótkowzroczne, załzawione oczy. Nagle widzi, że ojciec leży nieruchomo z zamkniętymi oczami i podbiega do niego zaniepokojona.

— Tato, tato — woła przerażona. Żyje w ciągłym strachu, że w każdej chwili ojciec może ze starości usnąć na wieki.

Reb Efraim budzi się i śmieje z obaw córki.

-TO Myślałaś, Jentele, że już nadszedł mój czas — śmieje się bezzębными ustami. — Nie, córko, jeszcze pociągnę.

Dawid Karnowski żegna się z reb Efraimem, ściska jego słabe, zimne ręce.

— Bądźcie zdrowi, rabi Efraim — życzy mu. — Obyśmy się zobaczyli po drugiej stronie oceanu w radości i znów dyskutowali i studiowali...

— Będę tęsknił, rabi Karnowski — mówi starzec wykrzywiając usta w mądrym, starczym uśmiešku — nie będzie już nikogo, komu mógłbym czytać moje przemyślenia.

Na kilka godzin przed opuszczeniem kraju Teresa Karnowska raz jeszcze udała się do swojej starej matki. Zapragnęła po raz ostatni ujrzeć dom, w którym się urodziła i wychowała. Weszła do swego panińskiego pokoju, obejrzała stojące tam jeszcze łóżko, każdy mebel, wyhaftowany ręcznik, każdą drobnostkę. Raz jeszcze spojrzała na gładko wyretuszowany portret dostojnie wyglądającego ojca. Matka i córka płakały. Hugo Holbek siedział na niskim fotelu, wyciągnąwszy swe długie nogi. Czuł się niezręcznie wobec płaczących kobiet. Wbrew swemu zwyczajowi spróbował po raz ostatni być bratem dla swej jedynej siostry. Bezbarwnymi, szarymi słowami, przesadnym prusko-żołnierskim akcentem, powtarzając

często nicht wahr za każdym razem, gdy brakło mu słów[^] wypowiedział swą braterską opinię na temat wyjazdu siostry.

— Nie jest mądre, aby ona, Holbek, wyjeżdżała z ojczyzny z powodu jakiegoś przekłętego Karnowskiego. Teresa może otrzymać rozwód i zrzucić z siebie to brzemie. Może ponownie być człowiekiem na równi z innymi ! mi, spotykać się z przyjaciółmi, ze swoimi. Nikt nie ję dzie musiał jej więcej unikać.

Pani Holbek wtrąciła:

— Wiesz, że Teresa kocha Georga §j| powiedziałaś — Przy tym nie zapominaj o Jegoreczku.

Hugo Holbek znał wyjście i z tej sytuacji. Niech matka się nie

troszczy, niech to pozostawi jemu, Hugonowi i Holbekowi. On zna ważne osoby, a ważne osoby znają i jego. Wszystko szybko przeprowadzi i nie należy maivj twić się o chłopca. Wiele niemieckich kobiet uwolniło! się od swych krzywonosych mężów i odzyskało dziecill Musiały jedynie załatwić pewną niewielką formalność.! Drobnostka, powiedzmy, oświadczyć, że dzieci pochodzą» od kochanka, Aryjczyka, nicht wahr i wszystko przechołj dzi gładko. Niech Teresa pozostawi tę sprawę jemu, Hu] gonowi Holbekowi, a on już wszystko załatwi. Postara się też o świadka, tzw. aryjskiego ojca, nicht wahr i wszystko ułoży się dobrze, nicht wahr!

Przez cały czas, gdy Hugo mówił, Teresie coraz ba% dziej napływała krew do twarzy. Jednocześnie ogarniała ją wściekłość, aż w końcu nie mogąc dłużej wytrzymać wybuchnęła.

Teresa nigdy w życiu nie wyrzuciła z siebie takich obelg i przekleństw jak tym razem.

— Ty plugawy psie! — krzyczała. — Ty śmiesz proponować mi coś takiego? Ty świnię, smarkaczu, idioto, nędzny gówniarzu...

Pani Holbek stała skamieniała, założyła ręce na piej siach jakby w obawie, że się przełamie — tak była z? skoczona i przerażona. Nigdy nie słyszała podobnycĄ zniewag z ust Teresy, swojej cichej, posłusznej córki.

— Tereso — pojękiwała — córeczko, jak możesz?

Teresa nie pozwoliła się uspokoić. Głęboko została urażona jej godność kobieca, miotała się więc jak ranne zwierzę. Nie wiedziała, skąd na usta cisnęły się jej obelgi, którymi obrzucała brata.

Rumieniłyby się, słysząc wyrazy, jakie teraz wypowiedziała. Łącz brata, klęła całą jego bandę — plugawców, uliczników, bandytów, krwawe psy, parszywe świnię...

Pani Holbek znieruchomiła z przerażenia.

— Tereso — prosiła załamując ręce — Jezus, Maria!

Teresa nie mogła się powstrzymać. Kipiała w niej cała gorycz wezbrana w ostatnim czasie z bólu i troski o męża, dziecko, bliskich ||f o wszystko i wszystkich.

— Pluję na nich i na niego — krzyczała i podskoczyła do Hugona.

— Pluję na ciebie, o tak!

Plunęła na niego i jego mundur. Hugo zbladł, był bledszy niż zwykle, szczęki latały mu w górę i w dół. Jako wojskowy wiedział, że można plunąć mu w twarz, ale nie na jego mundur. Honor żołnierski nakazywał mu bronić munduru, cokolwiek by miało się stać. Teresa odgadła jego myśli.

— Idź, wzywaj policję! — krzyczała. — Przekaż mnie swoim kamratom, wydaj mnie, dlaczego tego nie robisz?

Hugo wyciągnął tylko chustkę z kieszeni i wytarł mundur, aby nie pozostał na nim ślad.

— Żydowska kurwa — powiedział. Słowo to usłyszał na ulicy od zbirów, wykrzykujących je za jasnowłosymi kobietami przechadzającymi się z czarnowłosymi mężczyznami.

Pani Holbek załamywała palce swych na wpół zdrętwiałych rąk.

— Matko Święta, Panie Jezu! Czego to ja doczekałam na moje stare lata.

Teresa, blada i wyczerpana, opadła bezwładnie w objęcia swej matki.

Część trzecia

m

Synagoga Szare Cedek (Wrota Sprawiedliwości), położona w zachodniej części Manhattanu w pobliżu rzeki Hudson, znów jest pełna Żydów — nie tylko w soboty, J lecz również w dni powszednie.

Wielka synagoga, której architektura przypomina me-® czet, przechodziła w ciągu kilkudziesięciu lat swego ist-jfl nienia różne okresy — dobre, gorsze i zupełnie złe.« W pierwszych latach po wybudowaniu odprawiali w niej m modły zakorzenieni już w Ameryce bogaci Żydzi hisz~B pańscy i sefardyjscy, którzy osiedlili się w obszernych,® przestronnych domach nad brzegiem Hudsonu — o śnia- dej cerze, eleganccy, pachnący jak orientalne dywany,'« tabaka i przyprawy, którymi handlowali. Dumni i godniH stali na swych miejscach, z powagą hiszpańskich gran-« dów wysłuchując modłów w języku hebrajskim i hisz-la pańskim, w monotonnej sefardyjskiej tonacji. Ich strojne w barwne jedwabie i aksamity żony, obwieszane złotem « i brylantami, otulone kosztownymi hiszpańskimi chusta-JB mi, cicho wtórowały z modlitewników hiszpańskim wer-som. Z tą samą powagą i spokojem wysłuchiwali hisz- pańskich kazań swego chachama, dr. Eusiala de Alfasi, M który w swym płaszczu, wysokiej czapce, z czarną jak,« węgiel kędzierzawą brodą przypominał wizerunki asyryj- H skich królów. Gdy szames obchodził synagogę i w arab- skiej tonacji, mieszając wyrazy

hebrajskie i hiszpańskie, J nawoływał do odczytywania fragmentów Tory, majętni a członkowie kongregacji prześcigali się w wysokości dat- M ków.

Gdy w tłustych latach powojennych wzrósł dobrobyt B Żydów aszkenazyjskich, a przybysze z Polski, Litwy, Rumunii zaczęli wspinać się z niżej położonej części I miasta do wyższej, docierając na zachód nad brzeg Hud- H sonu, wynieśli Hiszpanie porzucili tę okolicę wraz z sy- i nagogą Szare Cedek. Zamiast sefardyjskich modłów I i przyśpiewów, w sklepionej na kształt meczetu synago- J fitóiei-Ł.Ł. Sm

dze rozlegały się modlitwy i pieśni aszkenazyjskie. Miejsce czarnobrodego mędrca o wyglądzie asyryjskiego króla zajął młody ogolony aszkenazyjski rabin z rudymi przystrzyżonymi wąsikami, który wygłaszał w języku angielskim mowy o nowych książkach, psychoanalizie, spektaklach teatralnych i kontroli urodzeń. Gdy po tłustych latach nastąpiły chude, różni mieszkańcy Harlemu — Hiszpanie, Irlandczycy, drobni żydowscy przedsiębiorcy, a nawet Murzyni — przenosili się stopniowo do położonych wyżej dzielnic, wraz z upadkiem całej okolicy obniżyła się wartość synagogi Szare Cedek. Zamiast nowych bogaczy przychodzili w soboty do pięknej synagogi zaharowani, zagonieni kupcy i rzemieślnicy, nie ogoleni, niewyspani, lichy odziani. Z każdą sobotą coraz mniej ludzi uczestniczyło w nabożeństwach. Jedynie podczas Strasznych Dni oraz w święta poświęcone pamięci zmarłych synagoga się zapełniała. Nie

tylko w dni powszednie, lecz nawet w piątkowe wieczory i soboty nie udawało się skompletować minjanu do odmawiania kadisz, trudno też było zgromadzić nieco więcej ludzi w synagodze. Godzinami węgierski szames, pan Piceles, wystawał przy otwartej bramie świątyni rozglądając się czarnymi oczami, aby zebrać trochę Żydów. Przychodził mu z pomocą Walter, niemiecki dozorca. Służąc od lat w synagogach, poznał wszystkie żydowskie obyczaje i posługiwał się zniemczonym żydowskim językiem nie gorzej od szamesa. Z fajką w ustach, obładowany młotkami i śrubokrętami, z kawałkami przewodów elektrycznych we wszystkich kieszeniach swego wysmarowanego, podartego kombinezonu, zaganiał przebiegających Żydów do modłów.

— Hej, mister — zatrzymywał przechodzących w pośpiechu — proszę dołączyć do minjanu, dziś jest sobota.

— Kto ma czas na to? — odpowiadali szybko Żydzi, paląc swe papierosy i cygara i biegnąc dalej.

Musiał też Walter użerać się z dziećmi z ulicy, które obrały sobie synagogę Szare Cedek za miejsce zabaw. Brunatnoskóre hiszpańskie, jasnookie irlandzkie, czar-

nowłose żydowskie i czarnoskóre murzyńskie — ■ wszy- stkie zbierały się wokół synagogi, krzycząc i hałasując. | Podrastające dziewczęta lubiły rozsiadać się na szerokich I schodach synagogi i chichotały, powierzając sobie wza- I jemnie tajemnice albo piszczwały na widok chłopców I w czarnych swetrach, którzy je zaczepiali. Małe dziewcz- i czynki ze skakankami podskakiwały rytmicznie, wylicza- i

jąc głośno imiona według ustalonego wzorca. Gorzej było J z chłopcami, którzy nie przestawali rzucać piłkami o mury synagogi, dziko przy tym wrzeszcząc. Wieczorami wokół domu modlitwy lubili palić śmiecie i papiery, które nanosił wiatr. Dozorca Walter ich przepędzał, aby szli gdzie indziej, z dala od synagogi, ale nie chcieli go słuchać. Pociągały ich wysokie mury i szerokie schody Szare Cedek.

Przeklęte bękarty — złorzeczył Walter, wyrzucając i z ust kłęby dymu — wynoście się stąd.

Bardziej niż w ciągu całego tygodnia kipiał złością na "bękarty", które wałęsały się wokół synagogi w soboty i dni świąteczne i tak zagradzały ludziom drogę do jej otwartej bramy, że nie można było przejść przez schody. Obaj szamesi wydzierali sobie wnętrzności, zanim udało im się wciągnąć małą grupę Żydów, którzy na tle rozległej synagogi wydawali się mniejsi i bardziej zagubieni niż byli w istocie.

W ciągu ostatnich kilku lat synagoga znów jest pełna a modlących się Żydów. I to nie tylko w okresie Strasznych Dni i święta ku czci zmarłych, lecz również w normalne soboty, a nawet w piątkowe wieczory.

Stało się to dzięki temu, że nowi żydowscy mieszkańcy wypędzeni z Niemiec obrali sobie na osiedlenie zachodnią część wyspy Manhattan, nad samym brzegiem Hudsonu oraz synagogę Szare Cedek do modłów.

Początkowo, gdy nowi ludzie pojawili się w synagodze,

węgierski szames, pan Piceles, przyjmował ich z otwartymi ramionami.

— Zachodźcie, drodzy ludzie, witajcie — mówił swą węgierską niemczyzną, wymawiając twardo literę “r”. K

Dozorca Walter rad był widzieć ludzi “stamtąd”, ze starej ojczyzny, zadowolony był też z możliwości przewietrzenia języka w ojczyznej mowie. Stojąc na drabinie i składając z poszczególnych liter łacińskich zawiadomienia, kiedy odbywają się modły szacharit, mincha i maariw, a kiedy modły ku pamięci zmarłych, wyrzucał z ust kłęby dymu wraz z życzliwymi słowami kierowanymi do nowych imigrantów.

— Proszę pięknie, moi państwo, zaraz zaczynamy szacharit — zapraszał. — Spieszcie się, dżentelmeni...

Pan Piceles, węgierski szames, wprowadzał tych ludzi do pierwszych ławek na poczesne miejsca. Podawał im też piękne fragmenty Tory do odczytywania. Bardziej niż mężczyźni, którzy niezwykle punktualnie zaczynali modły, wprawiały pana Picelesa w zachwyt ich żony, modlące się na balkonie w kobiecej części synagogi. Te obce kobiety przychodziły nie tylko z rana, lecz nawet w piątkowe wieczory, co dawniej w Szare Cedek rzadko się zdarzało. Szczególnie przypadli panu Picelesowi do serca chłopcy, którzy przychodzili tu z ojcami. W spodniach do kolan, długich skarpetach, wymyści, gładko uczesani, ostro kontrastowali z rodzimymi chłopcami z ulicy, ubranymi w podarte swetry, bezustannie zajętymi zabawą, rozwydrzonymi i wrzeszczącymi. Te obce dzieci zachowywały się

bardzo grzecznie, wciąż zaglądały w oczy rodzicom, pytały o pozwolenie na wszystko. Panu Piclesowi podobała się ich grzeczność, chętnie podawał im modlitewniki. Jeszcze grzeczniejsze od chłopców były dziewczęta, które przychodziły ze swymi matkami do kobiecej części synagogi.

Wkrótce Szare Cedek tak zapełniła się nowymi ludźmi, że panu Piclesowi zaczynało brakować nie tylko fragmentów Tory dla nowo przybyłych, lecz nawet modlitewników dla chłopców.

Nader szybko okolica wokół Hudsonu zaludniła się nowymi przybyszami. Przyływali każdym okrętem, który cumował w porcie, wprost po wyjściu na ląd zajeżdżali nad rzekę. Początkowo mieszkający w okolicy Żydzi wychodzili na ulice, przyjmowali przybywających gościnnie, podobnie jak pan Picles, węgierski szames, czynił to w synagodze. Poznawano od razu nowych mieszkańców. Przywozili z za oceanu olbrzymie skrzynie, na których wypisane były wielkimi literami nazwy portów — Bremy i Hamburga. W skrzyniach znajdowały się ciężkie meble, solidne, rzeźbione, jakie tu rzadko się widzi. Wielkie nowojorskie wozy ciężarowe z tymi drewnianymi arkami Noego, w których tonący ratowali swoje mienie z nawałnicy po drugiej stronie oceanu, z trudem mieściły się na ulicach. Murzyńscy tragarze, siłacze, oblewali się potem, wyciągając ze skrzyń potężne komody, stoły, łóżka, ojcowskie krzesła i szafy ubraniowe, których nie można było wnieść przez drzwi nowojorskich domów. Ich dozorczy, przeważnie Niemcy, kiwali głowami na widok kosztownych mebli i informowali

no-; wych mieszkańców, że swe szafy ubraniowe będą musieli pozostawić na ulicy, ponieważ nie wniesie się ich przez i wąskie amerykańskie drzwi, ponadto nie są one tu potrzebne, gdyż szafy są wbudowane w ścianach. Irlandzcy, hiszpańscy, włoscy i niemieccy mieszkańcy w milczeniu, lecz bardzo nieprzyjaźnie, obserwowali nowych ludzi z ich przeładowanym dobytkiem. Zanim jeszcze obcy zastanowili się, co robić z rzeczami, które z takim trudem uratowali z domu, a tu nie ma z nich pożytku, ani też nie mają one żadnej wartości, już chłopcy z ulicy wzięli w posiadanie porzucane meble, waląc w nie piłkami lub zapalając o nie zapalki. Inni podpalali połamane skrzynie, a nawet części mebli. Żydowski mieszkańcy poczęli więc pomagać oszołomionym przybyszom, udzielać im rad, jak należy postępować w nowym kraju i wypytywali ich życzliwie o życie po drugiej stronie oceanu. Lecz imigranci odpowiadali niechętnie ludziom zakorzenionym tu od lat i trzymali się od nich z daleka. Unikali zwłaszcza odpowiedzi na pytania o okrucieństwa, jakich tam doznają ich ziomkowie. Litewskie i polskie kobiety usiłowały dorzucać soczyste obelżywe słowo, dosadne żydowskie przekleństwo pod adresem złoczyńców, którzy w Europie znęcają się nad ich braćmi i siostrami, lecz nowo przybyli nie wypowiedzieli złego słowa przeciw swym ciemiężcom. Nie puścili pary z ust. Niektórzy nawet krzywili się i odpowiadali w obcej i nazbyt gramatycznej angielszczyźnie, że nie rozumieją tego, co się do nich mówi, gdyż nie znają żydowskiego żargonu. Miejscowi żydowscy mężczyźni i kobiety zaczęli więc boczyć się na

zachowujących się butnie i wyniośle obcych. Sami będąc niegdyś emigrantami dobrze pamiętali jeszcze czasy, gdy z rosyjskich i polskich miasteczek docierali do nowego kraju. Przybywali tu biedni, z workami i tobołkami, bez skrzyń i mebli, mając jedynie pościel i szabasowe świeczniki oraz naczynia pesachowe. Nie zajeżdżali do górnej części miasta, zatrzymywali się we wschodniej jego stronie, w piwnicach i na poddaszach. Dopiero po latach pracy i znoju, po wyczerpaniu sił posuwali się wyżej, do zachodniej części miasta. Byli wielce wdzięczni żydowskim sąsiadom, którzy okazywali im życzliwość i odzywali się do nich dobrym słowem. Stąd niechętnie spoglądali na nowo przybyłych — zarówno ze względu na ich dostatni wygląd, jak też dlatego, że bezpośrednio z okrętu udawali się do wyżej położonej części miasta oraz dlatego, że mówili już po angielsku, a przede wszystkim z powodu ich milczenia i trzymania się z dala od Żydów i ich języka.

Żydowscy właściciele sklepów spożywczych nie mieli cierpliwości do nowych klientek, które targowały się o każdego pensa i sprawdzały wagę, czy aby ich się nie oszukuje. Szczególnie oburzali się rzeźnicy z jatek koszernych, gdy obce kobiety nie przejawiały zbytnej ufności do koszerności ich mięsa.

— Słyszał to kto, nie jesteśmy dość koszerni dla Niemek — mówili z gniewem, ostrząc noże o osełki.

Nowi mieszkańcy nie reagowali ani jednym słowem na te pretensje, nie chcieli bowiem mieć nic wspólnego z ludźmi osiadłymi, podobnie jak "tam" nie mieli nic wspólnego z ludźmi ze Wschodu.

Przebywali wśród swoich, izolując się we własnej "rzeszy".

Gotlib Rajcher, handlarz bydłem z Monachium, jako pierwszy założył w okolicy koszerną jatkę i tak ją urządził, że błyszczała jak wypolerowana, jakby to była ap- i teka. Były właściciel wielu sklepów mięsnych z mięsem wieprzowym w największych niemieckich miastach, J wsławiony najlepszym gatunkiem szynki, po którą Niem- ki przyjeżdżały z daleka, tu na wystawie nowego sklepu mięsnego kazał wymalować duży złotego koloru napis "koszer" obok swego słynnego nazwiska. Obok niego i przy rąbaniu mięsa stał jego syn, były aptekarz, który i nawet w jatce nosił swój aptekarski fartuch. Była to je- J dyna rzecz, która mu pozostała z czasów, gdy był farma- ceutą.

Kobiety zapominały na chwilę o swych zmartwieniach, gdy wchodziły do tego wypucowanego sklepu po małe i porcje mięsa i obsługiwał je pan doktor. Podobnie jak one jego tytułowały "panie doktorze", tak on honorował je ich | tytułami. Wiedział dokładnie, która "tam" była panią do- I ktor, która panią dyrektor, panią profesor, czy panią rad- ; czynią handlową. Jeśli któraś z kobiet nie posiadała tako- I wego tytułu, zwracał się do niej przynajmniej "łaskawa | pani". Podobnie jak pewna była koszerność w tym sklepie, gdyż sam dr Szpajer, były rabin nowej synagogi po tamtej stronie, złożył podpis na niemieckiej licencji uprawnia- g jącej do otwarcia koszernej jatki pana Rajchera, tak też I istniała pewność odnośnie do wagi. Aptekarz Rajcher B z aptekarską dokładnością ważył skąpe porcje mięsa.

Po panu Rajcherze aktor teatru berlińskiego, Leonard Lesauer,

ulubieniec wszystkich kobiet, uruchomił kawiarnię pod nazwą "Stary Berlin", gdzie serwowano kawę z kremem, jabłecznik, sprowadzano niemieckie gazety i czasopisma z całego świata. Wieczorami w "Starym Berlinie" serwowano wino, a pan Lesauer we fraku i w sztywnej białej koszuli deklamował wiersze lub J grywał sceny ze swego repertuaru. W ciągu dnia zaś można było tu siedzieć godzinami przy jednej filiżance kawy i być tytułowanym "panie doktorze", niezależnie od tego, czy się nim jest, czy też nie.

Następnie docent dr Friedrich Kohn założył zakład czyszczenia i prasowania, gdzie na miejscu prasowano odzież i kapelusze oraz przybijano zelówki i obcasy do butów. Dr Kohn był popularny wśród ziomków dzięki swym wykładom z filozofii po tamtej stronie, bardziej zaś jeszcze dlatego, że był synem radcy handlowego Kohna, który tytuł ten otrzymał od samego cesarza w uznaniu za rozległą działalność filantropijną. Toteż dr Friedrich Kohn w swym małym zakładzie czyszczenia i prasowania miał pokaźną klientelę.

Interesanci przychodzili do jego piwnicy, by zreperować buty i uprasować odzież. Podobnie jak jego bogobojny i poważny ojciec, radca handlowy, który rozdzielając zapomogi pomiędzy żydowskich studentów z Rosji, strofował z zatroskaniem nihilistów za ich herezję i zaniedbane odzienie, które przynosi ujmę powadze Żydów, tak też docent dr Friedrich Kohn odznaczał się powagą i wytwornymi manierami, a nawet nosił białe bokobrody, które nadawały mu wygląd jakby kopii swego ojca. Z dużą godnością sam prasował odzież w

swoim warsztaciku, a w czasie wolnym od przybijania zelówek swymi bardzo krótkowzrocznymi oczami zgłębiał greckie i łacińskie księgi, które stały na półce wśród starego obuwia. Z tą samą starannością czyścił buty łaskawych pań i nakładał łątki, czym zasiedziali szewcy zazwyczaj nie chcieli się zajmować jako pracą nudną i niezbyt opłacalną. Pani dr Klein, wdowa po dr. Zygfrydzie Kleinie, która po swym mężu, znanym redaktorze największego satyrycznego pisma, zdołała ocalić jedynie nieco popiołu w skrzynce, założyła w swym mieszkaniu zakład odzieży damskiej, gdzie nie tylko szyła nowe stroje, ale przerabiała i przeniecywała stare. Jej klientki nie musiały się wobec niej czuć zażenowane z powodu swego wyrachowania i oszczędności. Pani doktor je znała, podobnie jak one znały panią doktor z dawnych dobrych czasów. Przypominano sobie szczęśliwe lata spędzone "tam", odbierano pozdrowienia od ziomków i roniono łzę nad skrzynką z popiołem, którą pani Klein ustawiła w swoim pokoju na poczesnym miejscu na rzeźbionej komodzie.

Ludwik Kadysz, sąsiad Salomona Buraka z alei ^^ Landsberskiej, nie mógł założyć żadnego zakładu, gdyż prócz Żelaznego Krzyża za utracone w czasie wojny oko nie zdołał nic uratować. Wobec tego roznosił krawaty po małych żydowskich restauracyjkach. Natomiast jego córki, które po tamtej stronie posiadały własne laboratorium chemiczne, założyły tu mały, domowy salon piękności, gdzie tanio robiły manicure, układały i farbowały włosy. Mężczyźni w średnim wieku farbowali siwe włosy, aby uchodzić za młodszych przy poszukiwaniu pracy. Młode czarnowłose żydowskie dziewczęta

przemalowywały swoje ciemne włosy na jasne lub rude, aby dobrze się prezentować w biurach pośrednictwa pracy, gdzie niezbyt chętnie widziano ludzi ich pochodzenia.

Po całodziennym bieganiu w dużym, kamiennym i dusznym mieście obcy przybysze wpadali do "Starego Berlina", gdzie za kilka pensów można było wypić kawę z kremem i wyłącznie wśród swoich, bez udziału osób postronnych, wyzalić się i powspominać dawne czasy "tam". Tu można było też zawsze spotkać nowo przybyłych i dowiedzieć się, co "tam" się dzieje. Cicho, jakby obawiano się ścian domu, który stoi w nowym kraju, oddalonym o tysiące mil od ich byłej ojczyzny, szeptano między sobą, wypytywano o znajomych i przyjaciół, dowiadywano się, kto się przygotowuje do wyjazdu i kto już wyjechał, kogo nocą zabrano i kto powrócił, kto już zmarł, kto jest bliski śmierci, kto znikł całkowicie ze świata i jedynie skrzynka popiołu została odesłana rodzinie.

Podobnie jak młodzi i niewierzący zbierali się w "Starym Berlinie", tak odosobnieni i wyłącznie w swoim gronie skupiali się starzy i wierzący w synagodze Szare Ce-dek, aż stopniowo ją opanowali. Najpierw wzniesli mur pomiędzy sobą a nielicznymi modlącymi się pozostałymi z poprzedniego okresu. Odpowiadali półsłówkami, gdy starzy bywalcy synagogi życzliwie wypytywali ich o życie i sytuację w Niemczech. Stawali się całkowicie niemi, gdy zaczynało źle mówić o władcach, oprawcach z tamtej strony. Jedynie między sobą rozmawiali cicho tym, co się "tam" dzieje. Dawni bywalcy świątyni czuli się urażeni,

obcy we własnym domu modlitwy i zaczęli omijać nowych ludzi wraz z synagogą. Ani się obejrzał pan Piceles, węgierski szames, a już nie mógł zgromadzić minjanu złożonego z poprzednich członków kongregacji. W miarę jak dawni bywalcy odchodzili, nowi przybysze przejmowali świątynię w swe ręce. Gdy odszedł ostatni z dawniej się tu modlących, "nowi" zaczęli reorganizować synagogę na wzór tej, jaka istniała za oceanem.

Przede wszystkim wybrali własny zarząd, do którego jako pierwszy wszedł pan Rajcher, słynny w Niemczech handlarz wieprzowiną, który założył tu koszerną jatkę

siłą rzeczy przybliżył się do działaczy religijnych. Następnie zmieniono godziny modłów i wprowadzono nowe, takie, jakie obowiązywały "tam". Dozorca Walter wypisywał zawiadomienia o nabożeństwach ku pamięci zmarłych nie tylko po angielsku jak dawniej, lecz również po niemiecku, aby wszyscy rozumieli.

Następnie zaproszono śpiewaka operowego, Antona Karoly, który z powodu swego żydowstwa został przepędzony "stamtąd" i powołano go na kantora w synagodze Szare Cedek. Ten to Anton Karoly — śpiewak operowy, syn kantora, który tu wciąż jeszcze nosił farbowane włosy i szeroki kapelusz, monokl w oku i portfel, w którym oprócz setek listów byłych kochanek wraz z ich fotografiami i puklami włosów wszelkiej barwy pełno było pożółkłych wycinków z gazet, w których nazywano go mistrzem — założył chór z altami, basami i sopranami i modlił się przed amboną z takimi operowymi gestami i romantyczno-liryczną żarliwością, że zebrani w synagodze rozplýwali

się w rozkoszy. Wkrótce też zwolniono dr. Szpajera z jego funkcji w berlińskiej nowej synagodze i mianowano go rabinem Szare Cedek.

Zimny, sztywny, z przystrzyżoną ostrą bródką, która teraz wskutek starości i zmartwień była siwa, nie zmienił dr Szpajer nic w swych kazaniach w nowej synagodze w nowej części świata. Jak niegdyś, w dawnych dobrych

berlińskich czasach, tak i obecnie prawił o Izraelu, o misji dzieci Abrahama, Izaaka i Jakuba rozpowszechniania nakazów i etyki Tory, która dana została przez Boga w niebie za pośrednictwem ustawodawcy Mojżesza. Jak wówczas cytował niemieckich poetów i filozofów i ani słowem nie wspominał o tym, co dzieje się po drugiej stronie oceanu, jakby w świecie nic się nie wydarzyło. Mężczyźni w synagodze byli nim zachwyceni, kobiety mówiły, że jest boski.

W czasie kazań dr. Szpajera drgało nawet szklane oko Ludwika Kadysza. Po latach poniżeń, trosk, obcości, biedy i nędzy ludzie czuli się jak w starej ojczyźnie, jak w czasach, gdy w cylindrach, powolnymi krokami szli do nowej synagogi w starym, dobrym Berlinie.

Jedynie dwóch ludzi w synagodze Szare Cedek pozostało obcych w tym zamkniętym zgromadzeniu. Jednym z nich jest pan Piceles, szames. Mimo że stara się z nowymi gospodarzami rozmawiać niemczyzną, która jednak w jego wydaniu jest bardzo węgierska, z chropowatym "r", ludzie "stamtąd" przejawiają swą obcość w stosunku do niego. Nigdy, nawet w dobrych czasach za cesarza, nie odczuwali zbytnej sympatii do węgierskich Żydów w Niemczech,

uważali ich za niższych od siebie. W dodatku pochodzenie Picelesa nie jest autentycznie węgierskie, lecz galicyjskie, jedynie mieszkał na Węgrzech, toteż pogardzają nim, jak zawsze gardzili jego ziomkami po tamtej stronie oceanu. Są znacznie bliżsi dozorczy Walterowi, temu gojowskiemu szamesowi, który choć jest autentycznym Niemcem i Aryjczykiem, służy w ich synagodze i sprawia, że czują się podniesieni na duchu po latach poniżeń w Berlinie.

Drugim obcym, którego muszą tolerować, jest Salomon Burak, były właściciel sklepu sprzedaży okazji przy alei Landsberskiej w Berlinie, który jest nie tylko członkiem zarządu, lecz nawet prezydentem synagogi Szare Cedek.

Muszą go tolerować, po pierwsze dlatego, że bardzo się dorobił, daje sporo pieniędzy na synagogę, więcej niż ktokolwiek inny. Po drugie, wielu ludzi musi się zwracać do niego o kredyt, otrzymując od Buraka w formie pożyczki towary, które można roznosić po domach na sprzedaż.

Jak ich pradiadowie "stamtąd", gdy przybyli do Niemiec i obnosili jako domokrażcy na plecach toboły, tak samo oni, ich prawnukowie, muszą chodzić z towarami od domu do domu, aby zarobić na utrzymanie. Gdy po kilku pokoleniach prowadzili już "tam" wielkie interesy, wzbogacili się i starali zapomnieć o hańbie swych dziadów i pradiadów — domokrażców, musieli znów wrócić do ich sposobu zarobkowania, do odwiecznego żydowskiego worka domokrażcy, znosić śmiech i drwiny ludności nieżydowskiej. W nowym kraju chodzili teraz od domu do domu i mimo że zamiast

worów, które ciągnęli ich dziadowie, nosili obecnie walizy, zatraskiwano im przed nosem drzwi i pędzono z domów, jak niegdyś ich pradziadów. Po latach pychy, wyniosłości i pogardy do takich oto Buraków i im podobnych ze starej dzielnicy sprzedaży okazyjnej w Berlinie, którzy swym domokrąstwem i żydostwem odsłaniali starą sromotę, teraz oni wywlekali znów na wierzch tak dobrze ukryte żydostwo i musieli w nowym kraju zwracać się do tegoż Salomona Buraka, wdzięczyc się do niego, a nawet wybrać go na swego przewodniczącego.

Salomon Burak jako jeden z pierwszych przybył "stamtąd". Już na samym początku, kiedy zbiry w brunatnych koszulach zaczęły go nachodzić, doskwierać mu, nasyłać mu wciąż innych, aby musiał za każdym razem na nowo dawać łapówki, zrozumiał, że nie ma nic więcej do roboty w tym kraju, gdzie wyrządza się zło jemu i jego pobratymcom, i wymknął się zawczasu, zanim było za późno. Jego sąsiedzi, żydowscy "jekowie", a zwłaszcza Ludwik Kadysz, wciąż wierzyli, że z czasem sytuacja ulegnie poprawie, gdyż ojczyzna będzie musiała wrócić do równowagi i dotrzymać kroku całemu światu, dlatego nie kwapili się do ucieczki. Salomon Burak nie dał się omamić podobnym sądom. Wywęszył, kiedy na-

B

leży uniknąć, jak wyczuł poprzednio, kiedy należało w porę przybyć do Niemiec. Za dużą łapówkę, "markę mniej, markę więcej", otrzymał dokumenty dla siebie i rodziny, ocalił część swoich towarów i z żoną, dziećmi, zięciem i wnukami, przedostał się przez ocean do

Ameryki.

Rozpoczął od domokrąstwa — zarobkowania, od którego rozpoczął niegdyś “tam”, gdy przybył z małego miasteczka — Mielnicy. Jak dawniej napchał dwie walizy różnymi okazijnymi towarami, które łechcą kobiece serca. Wyruszył nie na drogi jak przed laty, lecz na żydowskie ulice wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, dokąd zajechał po wylądowaniu i gdzie się osiedlił. Jak w latach młodości ruszył po obcym kraju, do obcych ludzi, aby przynieść zarobek żonie i dzieciom.

Ita, jego żona, płakała, gdy wychodził z domu z walizkami wypełnionymi towarem.

— Czego my dożyliśmy, Szlome — lamentowała.

— W każdym razie to, co zainwestowałem przybywszy z Mielnicy, wyciągnąłem?^^odpowiedział Salomon z uśmiechem. — Oby było szczęśliwie i obym prawą nogą wyszedł!

Jak niegdyś w młodości po tamtej stronie oceanu, nie prosił litości u kobiet, do których przychodził z walizkami, jak to zwykle czynili inni domokrażcy. Salomon Burak nie lubił się żalić. Raczej żartował, rozweselał panie domów. Mieszaniną niemieckiego, żydowskiego, polskiego i kilku pierwszych zasłyszanych na ulicy wyrazów angielskich, które udało mu się uchwycić, rozpałał tak kobiece pragnienie posiadania jego okazjnych towarów w paniach domów, że nie mogły mu się oprzeć.

— Dolar więcej, dolar mniej, żyć i pozwolić żyć, paniusiu — mówił uderzając ręką o rękę, co oznaczało, że tak jest i nie ma o czym

więcej mówić.

Kobiety zadowolone były z towarów, rade z humoru domokrażcy, jego żartów, dowcipów, a przede wszystkim z soczystych komplementów, które im prawił, zapewniając, że w tym, co im sprzedaje, będą wyglądać pięknie i wdzięcznie, podobne do królowej Saby, a mężowie będą nimi olśnieni. Już pierwszego dnia Salomon Burak wrócił do domu z lżejszymi walizami i cięższą kieszenią. Po drodze zakupił różne ostre potrawy żydowskie, kiszzone ogórki, domowe placki z cebulą, kiełbasę czosnkową, łazanki, wędzone śledzie, wszystko to wyłożył na stół w swoim nowym, ciasnym, przepelnionym towarami mieszkaniu. Mimo że łamało go w kościach od dźwigania waliz, ręce miał zdrętwiałe, a nogi ocięzałe od chodzenia po schodach •Tfr- czuł się zupełnie inaczej niż w latach młodości — ani słowem nie poskarżył się żonie i dzieciom.

— Wrogowie Izraela nie mają tam takich wspaniałych placków z cebulą i kiełbasy czosnkowej, jak ma tu Salomon Burak — żartował, wykładając na stół smakowite jedzenie. — Nie spuszczaaj nosa, Itusiu, bo zakocham się jeszcze w którejś z moich misses, klientek, a ty zostaniesz bez nosa i bez męża.

Ita wzdychała.

— Tobie się jeszcze zachciewa głupstw — strofowała go. — Nie do śmiechu mi.

— Nie doczekają wrogowie Izraela, aby Salomon Burak miał lamentować — odpowiedział. — Jeszcze będziesz znów stała u mnie

przy kasie i zgarniała pieniądze do szuflady. Jak niegdyś. Nie jestem Żydem, jeżeli cię omamiam.

Salomon Burak jej nie oszukał.

Już po kilku tygodniach krążenia z walizami poznał kobiety w nowym kraju, ich upodobania, sposoby prowadzenia handlu, język i zwyczaje i zamiast chodzić z walizami, wykładał swoje towary na ręcznym wózku.

— Panie, damulki, misses, missiesses, okazja, barga- ins_y taniej niż barszcz, chwytajcie, póki nie jest za późno, szybciej, hurry up, hurry up\ — zagłuszał ulicę Ocharad swym krzykiem: mieszaniną mielnickiego jidysz i berlińskiej niemczyzny, okraszonej kilkoma wyrazami po- łudniowo-wschodniej angielszczyzny.

Właściciele ręcznych wózków usiłowali z początku odpychać nowicjusza, dokuczyć mu. Salomon Burak nie dawał sobie w kaszę dmuchać, dowcipami, żartami, śmiechem, a w razie potrzeby pięścią opędzał się od I osiadłych dłużej w Ameryce konkurentów i wyprawiał brewerie przy swych rozłożonych barwnych i atrakcyj- J nych towarach.

Gdy szczęście mniej dopisywało, Salomon Burak i rozliczał się z wrogami Izraela "stamtąd" i obrzucał ich tak soczystymi i smakowitymi przekleństwami, że Żydzi i kobiety zaśmiewali się z uciechy. Nawet sąsiedzi hamU S larze nie mogli się powstrzymać od śmiechu, słysząc tak dosadny język. Najbardziej zadowolony był Salomon Bu- I rak z tego, że może rozliczyć się z Hamanami z za oce- anu.

:• i-r— Hej, paniusie, misses! Oby wrogów Izraela wszel- | kie plagi dotknęły. Kupujcie, bargains, okazja, tanie | i piękne. Oby spadły nieszczęścia na wszystkich Hama- I nów i powiemy amen wykrzykiwał na melodię Tory odczytywanej w Symchat Tora.

Gdy uchwycił właściwy dla nowego kraju styl handlu i nauczył się kilkuset używanych na ulicy angielskich wyrazów, porzucił ręczny wózek na dwóch kółkach | i kupił nędzny samochodzik, fordzika, jedną wielką ru- i inę, lecz jeżdżący jeszcze dość szybko i wybijający do i taktu czy to zwisającymi błotnikami, czy też luźnymi j szybami w drzwiczkach. Przy egzaminie na prowadzenie wozu Salomon Burak popełnił kilka poważnych błędów, I lecz zawczasu mrugnął do egzaminatora w skórzanej | kurtce, że “dolar mniej, dolar więcej, żyć i pozwalać żyć” i prawo jazdy otrzymał. Ten zdezelowany wóz sam prze- malował jaskrawą jasnozieloną farbą i na tym tle wypisał krwawoczerwonymi literami, że jest to berliński dom I okazyjnej sprzedaży Salomona Buraka. Załadował go I mnóstwem towarów, wręcz całym sklepem, i pędził przez wzgórza i doliny z jednego letniska do drugiego. I Z młodzieńczym, nie licującym z jego wiekiem humo- I rem, wystroiwszy się w berlińskie jasne ubranie ze szpil- i ką w barwnym krawacie, z sygnetem na wskazującym | palcu, mknął po drogach swym nędznym fordzikiem do sześćdziesięciu i siedemdziesięciu mil na godzinę. Jak szumnie jeździł swym wozem, tak równie hałaśliwie sprzedawał w letnich hotelach swe towary kobietom.

— Dolar mniej, dolar więcej, żyć i pozwolić żyć

— mówił szybko, i z takim samym pośpiechem pakował towar, liczył pieniądze i odjeżdżał w inne miejsce.

Wkrótce wymienił zrujnowany wóz na przyzwoitszy i otworzył magazyn tanich towarów, jak niegdyś na ulicy Linien w Berlinie. Tak jak wtedy, tak i tu wywęszył wszędzie, gdzie tylko sprzedawano coś okazynie, po pożarach, bankructwach, resztki, wszelkie odpady zepsutych towarów fabrycznych. Podobnie jak "tam" natychmiast zawierał znajomości z ludźmi, klepał kupców po plecach, brał cygara i nimi częstował, wyczuwał interes z odległości mili. Jak po tamtej stronie oceanu, dawał towar na raty, na kredyt, gdzie i komu tylko się dało. Przyniósł swej żonie, Icie, że będzie stała przy kasie i liczyła pieniądze, i dotrzymał słowa. I podobnie jak w Niemczech, gdy tylko zarobił pierwsze kilkaset marek, zwykł był sprowadzać z Mielnicy do Berlina krewnych, zarówno swoich jak Ity, tak i tu zaczął holować rodzinę "stamtąd" przez ocean, dawał im towary do roznoszenia po domach, wysyłał po należność za artykuły kupowane na raty. Im bardziej obrastał w pierze, tym więcej posyłał kart okrętowych do rodziny swojej i Ity. Ani się obejrzano, a już się przeprowadził do zachodniej części miasta, gdzie wynajął obszerne i wygodne mieszkanie jak w dobrych czasach w alei Landsberskiej.

Znów jego mieszkanie stało otworem dla Żydów

— krewnych i obcych, znajomych i nieznajomych, dla każdego, kto czegokolwiek potrzebował w tych ciężkich czasach. Znowu ludzie siedzieli we wszystkich pokojach mieszkania Buraków, na wyściełanych krzesłach i kanapach, na brzegach stołów, na

podłogach, gdzie tylko się dało. W kuchni znów ciągle gotowano. Sprowadzone krewniaczki przyrządzały herbatę, nadziewały ryby, smażyły powidła, piekły domowe mielnicie makowce, rogaliki, strucle, gotowały kluseczki z rybim bulionem.

Tak samo puszczano na gramofonie melodie religijne i wesołe teatralne piosenki. Ludzie przychodzili i odchodzili, niektórzy przybysze zatrzymywali się na dzieli, a pozostawali tygodniami. Spano na stołach i ławach. Salomon jak niegdyś mawiał, że jego dom jest "hotelem du wanc", lecz mówił to dobrodusznie, nie złośliwie, i jak dawniej był szczodry, wyświadczał ludziom przysługi w myśl zasady — "raz na wozie, raz pod wozem, żyć i pozwolić żyć innym".

Z czasem nie tylko przybysze ze starej dzielnicy sklepów sprzedaży okazji zwracali się do niego o pomoc, lecz również emigranci z zachodniego Berlina, dawniejsi pyszałkowie, którzy na niego, polskiego Żyda, nawet nie chcieli spojrzeć. Jako pierwszy zwrócił się do niego Ludwik Kadysz, prosząc o towar na kredyt do roznoszenia po domach. Po nim zgłaszali się inni z podobnymi prośbami. Salomon Burak udzielał kredytu, podsuwał atrakcyjne towary, wspierał zapomogami, podpisywał weksle, wypełniał papiery mające dopomóc w sprowadzeniu bliskich z tamtej strony. Dzięki swej szczodrości, dzięki hojnym jałmużnom i datkom na synagogę Szare Cedek wszedł do jej zarządu wraz z rzeźnikiem z koszernej jatki, panem Rajcherem. Wkrótce wspiał się jeszcze wyżej i został prezydentem synagogi. W soboty, przy wyjmowaniu i wstawianiu Tory do Arki, stał dumny, z namaszczeniem wodził srebrną rączką,

gdy kantor Anton Karoly odczytywał Torę, z satysfakcją przyjmował sobotnie pozdrowienia, jakie kierowali do niego odczytujący Torę, ściskając jego rękę, jako że zwyczaj nakazuje okazywać szacunek członkom zarządu.

Choć Salomon Burak wiedział, że oszczędzałby czas i pieniądze, gdyby należał do innej synagogi, to bez względu na to opłacało mu się być prezydentem tych pyszałków "stamtąd", słuchać gut szaas, którym go pozdrawia dawny śpiewak operowy Anton Karoly i dumny rabin, dr Szpajer.

On też, jedyny spośród zgromadzenia, popiera węgierskiego szamesa, pana Picelesa. Pozostali okazują mu wzgardę i traktują jak obcego. Salomon Burak nie pozwala szamesowi łamać sobie języka niemczyzną, gdy przychodzi do niego do domu omawiać sprawy synagogi.

—Panie Piceles, proszę mówić jak w synagodze lwowskiej — mówi Salomon Burak i nalewa mu szklaneczkę pesachowej śliwowicy, którą pije przez cały rok w domu. Pan i ja nawzajem się rozumiemy.

Szames spogląda wielkimi, wdzięcznymi oczami na swego życzliwego szefa i w dalszym ciągu mówi swą węgierską niemczyzną, do której się przyzwyczał, odkąd nowi ludzie przejęli synagogę. Nie jest spokojny o swe stanowisko. Niejeden z przybyszów spogląda łakomie na jego zarobek. Bardziej niż kogokolwiek pan Piceles obawia się dr. Lipmana, słynnego swata, który pragnie zająć jego miejsce.

Ten swat również tu, w nowym kraju, ma długie włosy, sięgające do aksamitnego kołnierza płaszcza, nosi zawsze sztywną, niezbyt czystą, lecz białą i uprasowaną koszulę, jak w dni świąteczne. W święta zakłada nawet, ku uciesze chłopców z ulicy, zielonkawy cylinder. Nic nie może osiągnąć swatostwem w obcym kraju i ma pretensje za każdym razem, gdy Galicjanin otrzymuje pracę, a jemu, dr. Lipmanowi pozwala się ginąć z głodu.

— To woła o pomstę do nieba — mówi oburzony. — To wstyd i hańba.

Już dawniej uważał się za działacza zajmującego się sprawami religijnymi, wtrąca się więc do pracy szamesa Picelesa, wydrukował już nawet nowe karty wizytowe z dopiskiem do tytułu doktora "szanowny". Chodzi za Salomonem Burakiem, otrzepuje mu marynarkę, pomaga zakładać płaszcz i schlebia mu, na czym świat stoi.

— Jest pan wszak naszym obrońcą i ojcem, szanowny panie prezydencie. Najpierw Pan Bóg, a potem pan, panie doktorze!... Salomon Burak się śmieje,

— Nie jestem doktorem, panie Lipman.

— Nie, jest pan nim, doktorem, szlachetnym doktorem — upiera się dr Lipman. — Aniołem niebiańskim jest pan.

Dlatego pan Piceles obawia się bardzo, że dr Lipman ze swą pyszałkową twarzą i wdzięczeniem się, przekona ostatecznie wszystkich i w końcu pozbawią go funkcji. Salomon Burak klepie zatroskanego węgierskiego szamesa po pochyłych plecach i nie

pozwała mu się zadręczać z powodu nieżyczliwych mu ludzi.

— Niech pan gwizdże na jęków ^ff mówi. — Nie pozwolę pana tknąć, panie Piceles. Ma pan na to moje słowo, słowo Salomona Buraka!

Rozżarzone ogniste słońce płonęło nad nowojorskim portem, z którego unosiły się ostre zapachy ryb, zgniłych owoców, topniejącej smoły.

Wierzchołki drapaczy chmur żarzyły się w rozlanym srebrze nieba. Murzyńscy robotnicy portowi ścigali koszule, ich ciała lśniły. Każdy mięsień ich nagich ramion i piersi płał się w pocie i w słońcu. Topniejący od gorąca asfalt drżał pod olbrzymimi, łoskoczącymi wozami ciężarowymi, które sunęły po ulicach z hałasem i trzaskiem, sapiąc, kipiąc, rozsiewając spaliny i zapach benzyny. Z dala dochodził przytłumiony zgiełk przejeżdżającej kolei napowietrznej. Uderzał w uszy turkot drżących pod obciążeniem mostów. Tragarze, pasażerowie, marynarze, pracownicy portowi, policjanci, gońcy, kierowcy taksówek, oblani potem, śpieszyli się, popychali, rozmawiali, krzyczeli, rzucali paczki i walizy. Nagle niespodzianie od zaśmieconego brzegu zerwał się wiaterek, zakręcił się w dusznym powietrzu, obrzucając kurzem i papierami zwilgotniałe ludzkie twarze i znikł tak nagle, jak się pojawił. Wilgoć ogarniała jak mokre prześcieradło kąpielowe, wnikała pod pachy, w każde zgięcie i fałdę zmęczonych ciał. Rozżarzone i duszne, wilgotne i lepkie powietrze ogarnęło rodzinę Karnowskich, która po dziesięciodniowej podróży po chłodnym oceanie wylądowała w hałaśliwym, zgiełkliwym,

gęstym od dymu nowojorskim porcie. Zielone karty, które mieli okazać po przybiciu do brzegu, zwilgotniały im od razu w rękach.

Dawid Karnowski, najstarszy w rodzinie, na amerykańskiej rozpalonej ziemi przede wszystkim umył ręce przy kamiennej fontannie i pobłogosławił nową ziemię, do której Bóg go przywiódł.

Dr Georg Karnowski zdjął z głowy kapelusz, objął płomiennymi, czarnymi oczami nowe miasto, od płonących wież po topniejący asfalt, i kilkakrotnie końcem buta uderzył o ziemię, jakby chciał wypróbować jej moc

i trwałość, by stwierdzić, czy naprawdę stoi na niej obydwoma nogami. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, chwycił pod ramię swą żonę Teresę, przeszedł się z nią trochę, czego w Berlinie unikał od dawna. Nikt nie obejrzał się za nim, mężczyzną z odkrytą czarną głową, który prowadził pod rękę bardzo jasną blondynkę. Myśl, że nie musi się tu obawiać obelg ze strony uliczników za to, że chodzi z własną żoną, jak to często przydarzało się "tam", napawała go wielką radością.

— Tereso, to jest Ameryka! — wskazał na niezupełnie czysty bruk.

— Czy nie cieszysz się Tereso?

Objął ją i ucałował.

— Tak, Georg — odpowiedziała Teresa, zażenowana, że mąż ją całuje w obecności ludzi.

Dr Karnowski próbował przenieść radość z żony na syna.

— Więc, chłopcze, w końcu jesteśmy tu! — powiedział radośnie, unosząc zartobliwie podbródek chłopca.

Jegor się skrzywił i odwrócił głowę.

— Co za upał! — burknął, ocierając pot z czoła.

Nigdy nie lubił żartobliwego tonu ojca. Chłopcy uważają zazwyczaj ludzi w średnim wieku za starych, prawdziwych starców. Jegor też uważał swego ojca za dość już starego i w związku z tym sądził, że nie tylko nie przystoją mu młodzieńcze żarty, lecz wręcz go ośmieszają. W dodatku to, że ojciec tak młodzieńczo zachował się wobec matki, przyciskał ją do siebie i całował przy wszystkich, urażało Jegora. Nierad to znosił nawet w domu, a cóż dopiero w obecności innych. Tak więc nie ścierpiał radości, którą ojciec okazał po przybyciu do nowego kraju, niemiłego zresztą Jegorowi.

Już gdy przybijali do brzegu, odczuł niechęć do Ameryki. Pierwsze wrażenie z dala, gdy tylko dojrzelili ląd, było raczej dobre. Wieże drapaczy chmur wznosiły się wysoko ku niebu i lśniły fantastycznym, srebrnym blaskiem, który sprawiał wrażenie, jakby się zbliżali do zaczarowanego kraju. Migocące mewy srebrzyły się w powietrzu. Statua Wolności rozsiewała ze wzniesionej ręki snopy słońca. Lecz ziemia, na której wylądowali, nie miała nic wspólnego z lśniącymi z dala wierzchołkami, była rozmiękła od upału, duszna. Jak mokra szmata smagała wilgocią po twarzy. Na ziemi pełno było różnych odpadów, skórek od bananów, papierosowych ogarków. Papiery, gazety unosiły się, czepiały nóg. Czegoś takiego po "tamtej" stronie oceanu nigdy nie widziano. Gorzej niż ziemia wyglądali ludzie. Półnaczy czarni i biali tragarze portowi krzyczeli, kłócili się, wypluwali na ziemię tabakę. Patrząc na to

przewracały się wnętrzości. Kierowcy ciężarówek rzucali beztrosko bagaże, popychali każdego, kto się pod nogi podwinął, bez żadnego szacunku dla przyzwoicie ubranych ludzi, co "tam" nigdy nie miało miejsca. Urzędnicy portowi w zielonych mundurach również nie byli tak grzeczni jak umundurowani ludzie w Niemczech. Przy tym wszyscy śpieszyli się, pędzili. Już na wstępie, przy spisywaniu danych personalnych, Jegor miał problem. Gdy inspektor w zielonej marynarce, którą rozpiął przy szyi z powodu upału, co zupełnie nie przystoi umundurowanemu urzędnikowi, zapytał o jego dane, wiek, kraj, nazwisko i wyznanie, Jegor chciał odciąć się od ojca i podać wyznanie matki. Najbardziej wyszukaną angielszczyzną, którą posiadał w gimnazjum, i którą później pogłębił przez lekturę, próbował dać do zrozumienia inspektorowi, że jest właściwie Holbkiem, Aryjczykiem, protestantem, za jakiego się uważał. Lecz inspektor w rozpiętej marynarce, śpiesząc się, czarnowłosy i czarnooki, nie zadał sobie trudu, by wysłuchać Jegora i zamiast mu odpowiedzieć po angielsku, odpowiedział po niemiecku, że według dokumentów jest Karnowskim, wyznania mojżeszowego, w mgnieniu oka przybił pieczętkę i kazał Jegorowi się oddalić.

— Następny! — wołał prędko. — Następny!

Tragarze, którzy znieśli ich bagaż, również nic nie rozumieli z angielszczyzny Jegora. On też ich nie rozumiał. W dodatku kawał wyplutej gumy do żucia przykleił mu się do podeszwy. Jegor, aby jej się pozbyć, ocierał but o ziemię, ale bezskutecznie. Chłopiec złorzeczył obcej

ziemi.

—Przeklęty, brudny kraj — powiedział pogardliwie, jak to niegdyś słyszał od wuja Hugona, gdy opowiadał on o obcych krajach, w których przebywał w czasie wojny.

Wzgarda ta przetrwała już u Jegora na stałe — do ulic, do domów, do pięknych okolic, placów, a nawet do ludzi, którzy przyszli ich powitać w obcym kraju.

Pierwszy, który przywitał rodzinę Karnowskich po załatwieniu formalności i rewizjach, był wuj Milner, brat Lei Karnowskiej. Niski, nieco przygarbiony, lecz bardzo żwawy, podbiegł natychmiast do siostry, której nie widział od czasów panieńskich, przyjrzał się jej, objął, ucałował.

—Lea, Lea — powtarzał uradowany — czy mnie poznajesz?

Zanim Lea nacieszyła się nim i zdążyła wymienić, kto jest kim, sam biegł od jednej osoby do drugiej, ścisnął ręce, całował się, najpierw z Dawidem Karnowskim, potem z dr. Karnowskim, a na koniec nawet z Teresą Karnowską.

... — Czy to twoja córka, Leo? — pytał potem, jak ucałował obcą kobietę.

—Nie, Chaskiel, to moja synowa — odparła Lea — a to jest nasz wnuczek.

—Cóż, synowa to też córka — powiedział wuj Milner i podsunął Jegorowi policzek do ucałowania.

—Jak się nazywasz, chłopcze? — zapytał szybko. — Mnie tu nazywają Harry. W Mielnicy nazywałem się Chaskiel, tu jestem

Harry, wuj Harry.

Jegor nie ucałował policzka, który mały, żwawy Zy- dek mu podsunął. Nie rozumiał jego szybkiej, żydowskiej mowy, ani też nie chciał rozumieć śmiesznego języka śmiesznego człowieka, który rzekomo jest jego wujem. Po wuju Hugonie z tamtej strony rodziny, nowy wuj był dla Jegora szczególną obelgą, straszliwą hańbą.

— Nie rozumiem — powiedział chłodno, nie nazywając tego człowieka wujem. ¶¶¶HT

— Och, trzeba do niego mówić po niemiecku — połapał się wuj Harry i roześmiał się z dobroduszną ironią.

— Cóż, będziemy rozmawiać po niemiecku. Jak się nazywasz, panie Niemiec?

— Georg Joachim — Jegor z dumą wymienił swe oba imiona.

— Zbyt długie, jak na Amerykę — powiedział wuj Harry.

— Tu lubi się prędkość. Szybko, krótko, nie ma czasu.

Podobnie jak szybko mówił, tak szybko podjechał bardzo zakurczonym chevroletem i kazał wszystkim wsiąść.

— Żydzi, ścisnąć się — zachęcał.

W od zewnątrz pokrytym kurzem wozie było mnóstwo cyrkli, miarek, śrubokrętów, kluczy i pudeł z farbami. Jegor nie śpieszył się z wetknięciem nogi do tego śmietnika. Nie chciał sobie zadać trudu, by pomóc śmiesznemu człowiekowi, który rzekomo jest jego wujkiem i wcisnąć się do zaśmieconego wozu. Wuj Harry wepchnął go do środka tak szybko, jak konduktorzy w metrze właczali jego samego wczesnymi rankami do przepełnionego wagonu, gdy w młodości

śpieszył się do pracy.

— To są moje narzędzia — powiedział wskazując na przedmioty wewnątrz wozu. — Jestem builder, Leo, co w języku mielnickim oznacza budowniczego. Buduję domy, burzę je, czasem domy mnie rozwalają, jak się uda.

Od chwili, gdy wuj Harry uruchomił wóz, nie przestawał prędko mówić językiem, który był mieszaniną mielnickiego narzecza żydowskiego, angielskiego oraz różnorodnych wyrazów polskich, rosyjskich i niemieckich. Lea go hamowała. W ciągu tych kilkudziesięciu lat nie tylko go nie widziała, lecz nawet nigdy od niego listu nie otrzymała. Nie rozumiała, jak rodzony brat mógł się tak wyobcować od siostry. Podobnie też nie mogła pojąć, gdzie się podział wzrost brata. Zapamiętała go wysokim, gdy wyjechał z domu. Teraz jest niski, skurczony. W jego starości widziała swą własną starość.

— Oj, Chaskiel, Chaskiel, nie poznaje cię, nigdy fotografii nie przysłałeś, ani na list nie odpowiedziałeś — czyniła mu wyrzuty.

— Nie było czasu na to, Leo, nigdy nie miałem czasu — odpowiedział Chaskiel, którego zwał tu Harrym, rozpędzając swój zatłoczony wóz.

Prowadził go z dużą prędkością, szybko też mówił,; błyskawicznie opowiedział o kilkudziesięciu latach swego życia, odkąd wyjechał z Mielnicy, aby nie służyć w armii carskiej. Po przybyciu tu — ożenek, wychowanie dzieci, ich śluby, narodziny wnucząt. Kim nie był w tym czasie?] Rozpoczął w młodych latach od malowania ścian u ludzi,

następnie usamodzielniał się i wynajmował robotników, którzy malowali dla niego. Od malowania przeszedł z czasem do budowania i burzenia domów. Następnie kupował place, wzbogacał się. W czasie wojny tak się dorobił, że jego majątek szacowano na setki tysięcy dolarów. W czasie kryzysu stracił wszystko, do ostatniego pensa, i zabrał się znów do malowania ścian. Lecz Pan Bóg pomógł, i fortuna się odwróciła. Teraz znów się buduje, znów się burzy, jest się na górze, spada się i żyje. Od opowiadania j o sobie przeszedł do dzieci i wnuków. Od nich zaś do siostry — wypytywał ją o jej życie, lecz zanim Lea zdążyła odpowiedzieć na jedno pytanie, już zadawał następne, a za nim drugie i trzecie. Mówiąc szybko i z humorem, wyraził przekonanie, że o nic nie trzeba się troszczyć, tak już jest w życiu, raz człowiek idzie w górę, to znów spada. Na przykład wuj Harry był już biedny i bogaty, chodził pieszo, prowadził drogie wozy, sprzedawał je, kupował inne, teraz ma starego gruchota i też nie ma i w tym nic złego. Najważniejsze, że się żyje. Między jedną historyjką a następną nie zapomniał wymienić nazw ulic, przez które przejeżdżali, wysławiał też duże domy, sklepy, mosty, pomniki i place Nowego Jorku.

' llnl

— Czy sądzicie, że wszystko, co widzicie, było takie zawsze? — zapytał ludzi stłoczonych w wozie. — Nie, dzieci, gdy przybyłem tu jako żółtodziób, nie było nawet połowy tego, co teraz. Wszystko zostało wybudowane później. Miasteczko Nowy Jork — czyż nie?

Oczy wuja Harry'ego jaśniały radością, gdy patrzył na rozbudowane miasto, jego Nowy Jork, który wyrósł

na jego oczach. Szczęściem napawały go nie tylko domy, które sam kiedyś stawiał, ale również domy budowane przez innych.

— Spójrz na ten most, chłopcze — trącił Jegora jedną ręką, drugą prowadząc wóz — został zbudowany, gdy ja tu przybyłem. Zobacz, jaki wspaniały most.

Jegor nie chciał spojrzeć na most. Nie chciał się też zachwycić wielkimi domami i ulicami. Okolica była już bogata, ulice szerokie, nie zaśmiecone jak w porcie. Mimo to Jegor wciąż nie mógł pozbyć się pierwszego wrażenia wzgardy do nowego miasta. Leżało to w jego naturze, gdy odczuwał do czegoś niechęć, umacniał ją w sobie, kultywował coraz bardziej ku niezadowoleniu innych i samego siebie. Już samo to, że śmieszny i rozmowny wuj Harry, którego pod żadnym pozorem nie chciał uznać za swego krewnego, tak wychwalał miasto, nie przestając

nim mówić i trącał go palcem, aby je podziwiał, wystarczyło, aby go nie lubił, nie chciał spojrzeć na nie.

— Tak, tak — mruczał, mlaskając językiem nad entuzjazmem starego, jak czynią dorośli, gdy drwią z dziecka przechwalającego się niemądrą zabawą.

Dr Karnowski dostrzegł, że dobroduszny wuj przejawia niepokój z powodu złośliwości Jegora i po kryjomu pociągnął syna za rękaw, dając mu w ten sposób znak, aby się lepiej zachowywał. Jegor rzucił się nerwowo.

— O co chodzi? — zapytał głośno, mimo że rozumiał, że ojciec nie życzy sobie, aby jego uwagi zostały dostrzeżone.

Gdy wuj Harry wjechał do żydowskiej dzielnicy, Jegor jawnie kręcił nosem, udawał, że kicha i kaszle. Ulice pełne były jatek z wielkimi napisami "Koszerne mięso"

wymalowanymi kurami na oknach, bardzo wesołymi przed pójściem na rzeź. Synagogi, koszerne restauracje, kina, bożniczki z girlandami przy drzwiach, sklepy owocowe z towarami wyłożonymi na zewnątrz, szkoły religijne z wielkimi żydowskimi szyldami, domowe piekarnie, stacje benzynowe, zakłady fryzjerskie, zakłady kamieniarskie wyrabiające nagrobki, wielkie sklepy, małe sklepy, maleńkie sklepiki — wszystko wymieszane, zlepione ze sobą. Szyldziki prawników, swatów, rabinów, dentystów, lekarzy, rzeźników przygotowujących do bar micwy — wszystko to krzyczało z każdej bramy i okna. Aparaty radiowe darły się z otwartych okien. Na trotuarach, zastawionych autami różnego koloru i wyglądu — starymi połamanymi gruchotami i nowymi, błyszczącymi, dopiero co wypuszczonymi z fabryki — stały młode czarnowłose mamy z dziećmi w wózkach, głośno rozmawiały, śmiały się i kołysały swe maleństwa. Na schodach przed swymi domami siedziały tęgie, czarnowłose kobiety, rozmawiając, żując, dysząc z gorąca i krzyżąc na dzieci, które bawiły się na ulicy.

— Semele, Betty, Jack, Sylwia, Morris — darły się coraz to inne głosy kobiece.

Na balkonach, awaryjnych schodach na wypadek pożaru, w oknach — wszędzie na sznurach suszyła się bielizna. Lekkie wiatry znad oceanu, które nagle pojawiały się i równie niespodzianie znikwały,

igrały barwnymi kobiecymi spódnicami, napełniając je powietrzem, kołysały zwisające rękawy męskich koszul, biustonosze i kąpielówki. Na dachach domów grzały się w słońcu wiadra z wodą. Na rogach ulic, przy sklepach z papierosami i napojami chłodzącymi, stali czarnowłosi i czarnoocy chłopcy i dziewczęta, jedli lody, palili papierosy, śmiali się, żartowali i gawędzili. Po jezdniach uganiali się za piłką chłopcy w koszulach, kolorowych swetrach z wyszytymi imionami na plecach, a nawet bez koszul. Wszędzie było ich pełno, biegali między autami i tramwajami, krzycząc, hałasując, wydzierając się, rzucali piłkami, gdzie tylko się dało. Na rogu stał policjant i bawił się swą pałką, ziewając obojętnie. Hałas, upał, krzyki, targowanie się, susząca się bielizna, wozy, różnobarwne owoce, szyldy, klaksony samochodów, wszystko mieszało się, wirowało, łopotało w gąszczu ruchu, życia i palącego słońca. Czarne oczy Dawida Karnowskiego jaśniały, gdy wuj Harry zatrzymał na chwilę wóz, by nabrać benzyny. Ruchliwe, radosne i rozrzucone żydostwo, wolne i otwarte pod rozplomienionym niebem, napełniło jego serce rodzimą bliskością i nowymi nadziejami.

— Spójrz, Leo, Żydzi, wielu Żydów! — mówił radośnie jak ktoś długo błądzący, gdy nagle dostrzega miejsce swego urodzenia.

— Oby złe oko ich oszczędziło — odpowiedziała Lea.

Dr Karnowski nie doznawał tego uczucia swojskości, co jego ojciec. Jak każdemu przybyszowi z Niemiec ta swoboda i beztroska, a przede wszystkim nieład i swojskość były obce, czuł nawet wobec nich pewną niechęć. Lecz po latach wystrzegania się

każdego słowa, ukrywania się ze swym wyglądem jak jakąś ułomnością, lęku przed własnym cieniem, było rozkoszą widzieć, jak jawnie i swobodnie zachowują się czarnowłosi, jak radośnie, bez obawy i wstydu, rozmawiają, śmieją się, spacerują. Wyprostował się i głęboko wciągnął gorące powietrze, po raz pierwszy od lat.

— Tereso, widzisz? — pytał, ściskając jej rękę.

— Tak, drogi — powiedziała Teresa, przyglądając się otwartymi, pełnymi zdziwienia oczami obcemu krajowi, tutejszym ludziom i ich życiu.

Jak przedtem, po przybyciu do portu, dr Karnowski pragnął dać odczuć swemu synowi smak wolności i radości z pobytu w nowym kraju. Bardziej z myślą o Jegorze niż o sobie wyrwał się "stamtąd", by oczyścić syna od trucizny, którą nasyciono jego młodość.

— Jak ci się to podoba, chłopcze? — pytał Jegora radośnie.

— Jedna wielka ulica Dragońska — odparł Jegor z pogardą.

Podobnie jak więzień po długim odsiadywaniu kary nie może przywyknąć do wolności i tęskni do więziennych murów, tak Jegor nie mógł ścierpieć wolności i otwartości tych, którzy powinni pozostawać w cieniu, w ukryciu, wstydzic się swego ciała i duszy, swego istnienia, jak to było jego udziałem. Zamiast szczyć się takimi ludźmi jak jego ojciec, czuł do nich niechęć za jawne i otwarte manifestowanie swojej żydowskości. Wi-
dział w tym zuchwałość, prowokację, bezwstyd kaleki, który nie ukrywa przed ludźmi swej ułomności. Szczególnie irytował go głośny sposób mówienia tych ludzi, śmiech dorosłych, krzyki chłopców na

ulicach. Tacy wrzaskliwi, hałaśliwi i roześmiani nigdy nie byli ludzie po tamtej stronie oceanu, nie tylko czarnoocy i czarnowłosi, lecz nawet jasnowłosi i jasnoocy. Czując z jednej strony głęboką obcość do tych ruchliwych ludzi, z którymi nie miał i nie chciał mieć nic wspólnego, gdyż nic go z nimi nie łączyło, jego — Georga Joachima Holbeka po matce. Z drugiej strony krępowały go ich wygląd i zachowanie, jak zawstydza złe postępowanie kogoś bliskiego. Starał się przybrać wobec nich obojętną i pogardliwą postawę, jak obcy i wyżej stojący wobec niższych od siebie. Nie udawało mu się to jednak. Ludzie ci go drażnili i irytowali, jak drażni szpetota bliskich, których hańba jest także naszą hańbą, a ułomność naszą ułomnością. To właśnie, że ci ludzie, którzy go nie powinni obchodzić, tak bardzo go zajmują, wzmagają jego niechęć do nich, a tym samym do samego siebie.

Jegora ogarnęło przygnębienie, gdy wuj Harry zajechał do swojej dwupiętrowej willi nad brzegiem oceanu. Dom był otoczony ogródkiem, ozdobiony z frontu balkonami i kolumnami, z tyłu, na podwórzu, mieściły się garaże, drabiny, drewno, odłamy żelastwa, pudła z farbami, narzędzia i naczynia. Piękny dom nad brzegiem oceanu nie miał nic wspólnego z hałaśliwymi ulicami dokoła, od których się wyraźnie odcinał, nie harmonizował z otoczeniem, ani z sąsiednią okolicą, ani z wujem Harrym z zakasanyimi rękawami koszuli na owłosionych rękach, ani jego zaśmieconym wozem.

— Oto mój domek zakupiony z oszczędności z dobrych lat — powiedział z dumą wuj Harry i zasygnalizował domownikom swój

powrót.

Mimo że porządek nie był tu bez zarzutu, to jednak dom i jego zaplecze, ogródek, przypominały Jegorowi własny dom "tam", kiedy posiadali jeszcze auto, gdy służący Karl przesiadywał z nim w garażu i opowiadał

różne historyjki, a wuj Hugo przychodził i jeździł z nim wozem z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę. Jegora ogarnęła silna tęsknota za czasami, gdy jeszcze było dobrze i przygnębienie, że nie on, Georg Joachim, posiada taki dom, lecz ten śmieszny Żydek, który zowie się wujem Harrym.

Jadąc zaśmieconym wozem wuja Harry'ego Jegor spodziewał się zajechać do domu, który będzie wielkim śmietnikiem, pełnym zapachu cebuli i czosnku, co by było odpowiednie dla takiego Żydką. Mimo że Jegor nie lubił biedy, ciasnoty i brudu, chciał jednak, by taki był dom wuja, aby móc warczeć, robić wyrzuty, kpić i dokuczać rodzicom, że takich mają krewnych — jednym słowem za nową ulicę Dragońską, na którą go przywlekli. Byłoby to zadośćuczynienie za jego rozgoryczenie i niechęć. Sprowadziwszy go do tak pięknego i obszernego domu, komiczny wuj go rozczarował, stąpił jego nonszalancję. Jegor nie miał teraz nic do powiedzenia, nie mógł wyrazić swej pogardy. Przeciwnie, zamiast niej odczuwał zazdrość i przygnębienie obcego, któremu się nie wiedzie, na widok kogoś zasiedziałego w nowym kraju i szczęśliwego.

Poczuł się jeszcze bardziej przybity, gdy wuj przedstawił swoich synów, którzy wyszli z domu przywitać przybyłych. Wuj Harry był

niski, przygarbiony, ruchliwy, zaś jego synowie byli wysocy, barczyści i przy niewysokim ojcu wydawali się jeszcze wyżsi. Wuj Harry czuł się zawsze niezręcznie, a jednocześnie był dumny, przedstawiając swoich rosnących synów nowo poznanym ludziom. Słyszając, że ludzie się dziwią, skąd u niego, małego Żydka, tacy synowie, miał uczucie urażonej swej ojcowskiej godności, lecz zarazem był dumny, że są wysocy, udani, przystojni. Dlatego kpiąc ze swego niskiego wzrostu, podkreślał zbytnio swą rodzicielską przewagę, wszak on tu jest ojcem, gospodarzem, który panuje nad tą młodzieżą.

— Amerykańska produkcja — powiedział żartobliwie wskazując na chłopców i sam nie wiedząc dlaczego rozłościł się na nich. Dlaczego stoicie jak bałwany? Przywitajcie rodzinę z Europy.

Chłopcy, czarnowłosi, brunatnoskórzy, opaleni od słońca i ogorzali od Wiatru spoglądali błyszczącymi oczami na krewnych, ukazując w uśmiechu mocne białe zęby.

— Hello wuju, hello, ciociu, jak się miewasz? — mówili źle po żydowsku, z amerykańską, zwracając się do starszych “ty”.

Jegor, przygnębiony widokiem barczystych chłopców, przy których jego szczupła, przerośnięta sylwetka jeszcze bardziej się uwydatniała, próbował zrobić wrażenie swym zagranicznym zachowaniem i przedstawił się zgodnie z zasadami przyjętymi w kraju, skąd pochodził. Wyprężył się, stuknął obcasami, jak umiał najpiękniej i jak to robił wuj Hugo, wymienił oba swe imiona — Georg Joachim. Na rosnących młodzieńcach to bohaterkie przywitanie

nie zrobiło wrażenia, raczej wydało się im komiczne i z dobroduszną ironią śmiali się z uroczystej ceremonii.

—Hello, Georgie — odpowiedzieli swym brooklińskim językiem żydowskim. § Co porabiasz?

Jegor próbował przerwać rozmowę w śmiesznym języku, jakim mówili z nim i z pozostałymi członkami rodziny, i odpowiedział na przywitanie w najbardziej wyszukanej angielszczyźnie, aby wykazać, że choć jest cudzoziemcem, zna język tego kraju. Lecz chłopcy nie rozumieli ciężkiej, niemieckiej angielszczyzny, która śmiesznie brzmiała w ich uszach, nie próbowali nawet go zrozumieć i kontynuowali rozmowę w brooklińskim żydowskim narzeczu, jak zazwyczaj robili spotykając się z obcymi.

—Jak ci się podoba Ameryka? — chcieli się dowiedzieć i tak byli pewni odpowiedzi, że dodali — dobra country, co?

Tego było już za wiele dla Jegora. Po raz trzeci tutejsi ludzie nie chcieli zrozumieć jego angielszczyzny. Zamiast podziwiać, że on, obcy, zna ich język, rozmawiali z nim swoim śmiesznym narzeczem, jakby pochodził z ulicy Dragońskiej. Zaczerwienił się, to była bezczelność, że chłopcy biorą go za kogoś, kto powinien ten język rozumieć i ze złością odpowiedział, że nie podoba mu się ich kraj.

—Brudno i hałaśliwie — odpowiedział znów po angielsku.

Jego błękitne, pełne gniewu oczy patrzyły na czarnookich chłopców, aby dojrzeć, czy dotknęła ich obelga, którą ich obrzucił.

Lecz chłopcy nie byli obrażeni. Byli zbyt silni, zadowoleni i pewni

siebie, aby mógł ich obrazić ten wysoki, chudy chłopaczek w ulizanym cudzoziemskim ubraniu, posługujący się śmieszną angielszczyzną. Jak większość urodzonych w Ameryce byli przekonani, że nie ma na świecie lepszego i piękniejszego kraju, współczuli tylko żółtodziobowi, że mówi takie nonsensy. Z ich błyszczących oczu nie zniknął wyraz zadowolenia. Obojętność synów wuja Harry'ego wzburzyła Jegora, wydawało mu się, że kpią z niego, ogarnęło go uczucie upokorzenia, w dodatku oblewał się potem z powodu panującego upału. Poczul się całkowicie zagubiony, gdy wuj zaprosił gości do domu, a jego zostawił ze swymi synami.

— My, starzy, odpoczniemy — powiedział — a wy, młodzi, uprzyjemniajcie czas gościowi.

— Pójdziemy z nim pływać, tatusiu — powiedzieli chłopcy i weszli do garażu się przebrać.

Rozebrani synowie wuja Harry'ego wyglądali jakby silniejsi niż przedtem. Opaleni na brązowo, z gęstymi czarnymi włosami, obrośnięci od stóp do głów, silni, krzepcy, robili różne ćwiczenia gimnastyczne, żartowali, śmiali się, siłowali. Jegor czuł się skrępowany między nagimi chłopcami, rozebrał się szybko w kącie, jeszcze szybciej założył podane mu spodenki kąpielowe, krótkie i zapiaszczone. Zawsze od dziecka, od dnia, kiedy chłopcy wyśmiewali się z jego inności, wstydział się swej nagości. Odkąd go tak dotkliwie obrażono w gimnazjum, bał się własnego ciała, nawet u siebie w domu unikał patrzenia na swą ułomność i choć tu nie było wstydliwym

ujawnienie żydowskości, Jegor bał się jak zawsze. Chłopcy śmiali się, gdy schował się w kąciku.

— Wstydzisz się chłopców?

Jegor unikał patrzenia zarówno na ich rosłe ciała, które wywoływały jego zazdrość, jak na ich nagość, którą I rej się nie wstydzą. Dla niego było to zbyt wulgarne. Ich owłosienie na ramionach i nogach było gęste i czarne. Nie tylko się tego nie wstydzili, ale żartowali z gładkości i jasnej holbekowskiej bieli ciała Jegora, którą odziedziczył po matce, a która była zawsze przedmiotem jego dumy. Ich beztroska wesołość i śmiech złościły Jegora. Podobnie drażnili go inni leżący na piaszczystym brzegu oceanu brunatnoskórzy i czarnowłosi mężczyźni, a także kobiety — swym śmiechem, hałasowaniem i głośnymi żartami.

Podobnie gwarne jak ulice, przez które przejeżdżali, było wybrzeże oceanu — pełne ludzi, opalonych mężczyzn i kobiet w różnokolorowych kostiumach kąpielowych, z barwnymi przeciwsłonecznymi parasolami. Wszystko lśniło i jaśniało w upalnym słońcu. Nad cichym oceanem latały mewy, na horyzoncie widać było przepływające okręty, żaglowce kołysały się w górę i w dół. Śmiechy, śpiew, muzyka jazzowa z przenośnych aparatów radiowych, żarty, dziewczęce piski w czasie kąpieli, płacz dzieci. — wszystko to tworzyło zgiełk, wrzawę. Chłopcy grali w piłkę, stawali na głowach, siłowali się, skakali, bili się na pięści, krzyczeli, wrzeszczeli, wydzielali gardła ile sił,

Wzdłuż wybrzeża, w pasie paru mil od brzegu, kręciły się karuzele,

w górę i w dół z hukiem, trzaskiem leciały wózki, z których rozbrzmiewały dziewczęce piski. Przed otwartymi restauracjami, przy budkach i straganach z lodami, owocami, słodyczami, przy cygańskich karcianych budkach, strzelnicach, punktach gier, przy każdym ; drzwiach i w każdej bramie darli się sprzedawcy zachwalający swe towary. Radiowa muzyka wdzierała się do uszu. Barwne szyldy, jaskrawo wymalowane komicz- I ne postacie na ścianach, trzaskanie karabinów na strzel- I nicach, jazgocąca muzyka jazzowa — krzyk, wrzask, hałas. Młodzi, silni mężczyźni w krótkich spodenkach, podskakujące rytmicznie dziewczęta uwieszone na szyjach chłopców, rozlane baby o grubych jak słupy rękach i nogach, wychudzone kobiety o sinych, żylastych nogach, tłuści, brzuchaci, zarośnięci jak małpy mężczyźni, płaczące i śmiejące się dzieci, ludzie wszelkich ras, wysocy i niscy, szczupli i tędzy, w płaszczach kąpielowych, w podartych swetrach, w narzuconych na siebie szmatach, jedzący, rozmawiający, śmiejący się — wszyscy hałasowali, szumieli, gestykulowali, poruszali się, falowali, kotłowali się w palącym słońcu. Zapachy ryb, ślimaków, smoły z rozpalonych dachów, smażonych orzechów, parujących frankfurckich kiełbasek napełniały powietrze, drażniły ostrością i mdłością. Chłopcy wuja Harry'ego dali upust nadmiarowi sił, zachowywali się jak to zwykle robią młodzi, silni, czujący swobodę ludzie nad wodą i po zrzuconiu odzieży. Bili się, biegali, tarzali w piasku, śmiali się do dziewcząt, rozmawiali z nieznajomymi, skakali do oceanu, pływali, krzyczeli, dokazywali.

— Hej, zielony! — wołali z wody, — Kto popłynie dalej,
Ameryka, czy Niemcy?

Jegor wyrośnięty, o jasnym ciele, stał zagubiony w ludzkim gąszczu, wrzawie, upale i doznawał uczucia, że jest zbędny w tym skotłowanym tłumie. Nie usiadł na piasku, nie wszedł do wody. Już od dawna, odkąd "tam" zgraja w brunatnych koszulach doszła do władzy, nie chodził na pływalnię, ani do Wannsee, gdzie zabroniono przychodzić jemu i takim jak on, ani nawet na baseny pływackie, gdzie w każdej chwili można było być obrażonym. Odzwyczaił się więc od pływania, odzwyczaił od ludzi.

Chłopcy wuja Harry'ego śmiali się z niego.

— Hej, Sisi! — wołali. — Skacz do wody, popływaj!

Jegor nie wiedział, co oznacza to słowo, lecz rozumiał, że nic dobrego nie mają na myśli, że kpią z niego i zniechęcił ich. Nie mógł też znieść tego całego tłumu dokoła, wszystkich krzyczących i śmiejących się, leżących na piasku ludzi. W każdym ich ruchu widział wulgarność i zuchwałość. Denerwowały go czarno owłosione ciała, ruchliwość, krzykliwość, cała ich egzystencja — drażniąca i wyzywająca. Przypominały mu się karykatury, które "tam" przedstawiały tych ludzi, czarnych, długonosych, bezczelnych i degeneratów. Tymczasem wręcz przeciwnie, byli zdrowi, silni, przewracali się, pływali, boksowali. To, że nie mieścili się w wyobrażeniu, jakie miał o nich Jegor, bardziej go jeszcze przeciw nim podjudzało. Jak każdy człowiek słabszy, gdy nie może użyć rąk, użył języka.

— Co za brud — powiedział do mokrych chłopców wuja Harry'ego, wskazując na poniewierające się na ziemi papiery, skórki od bananów i śmiecie, Woda też jest nieczysta. Obrzydliwe.

Chłopcy, po pływaniu, strząsnęli wodę z głów jak wesołe psy. Nawet nie odpowiedzieli na jego uwagę. Nic nie mogło pomniejszyć ich radości i przyjemności z kąpieli.

Tak samo żywo i hałaśliwie jak nad brzegiem oceanu, zachowywali się w czasie jedzenia, gdy wszyscy zasiedli przy długim stole. Wielkimi kęsami zajadali owoce, jarzyny, smaczny chleb z kminkiem, kiszzone ogórki, świeże rzodkiewki, wszystko, co było na stole. Ciotka Milner, tęga, czarnowłosa, sympatyczna, o pełnych piersiach i pulchnych rękach, przynosiła na stół wciąż nowe potrawy. Chłopcy natychmiast je pałaszowali. Wuj Harry żartował ze swoich synów.

— Jak wam się podobają moi wcinający chłopcy? — pytał gości.
— Nic dziwnego, że ojciec jest taki mały, synowie go pożarli, cha, cha, cha.

— Oby ich złe oko nie urzekło! — wykrzyknęła pobożna ciotka Milner, zadowolona, że synowie z apetytem pałaszują przygotowane przez nią potrawy. — Jestem szczęśliwa, gdy dzieci jedzą.

Zajęta gotowaniem, przynoszeniem do stołu potraw, wydzielaniem porcji, w przerwach między tymi czynnościami wychwalała wobec gości swych synów, niezmiernie szczęśliwa, że wszyscy, bez uroku, są tacy udani. W dzień pomagają ojcu w pracy, prowadzą ciężarówki, dozorują robotników na

budowach, w razie potrzeby malują ściany, wieczorami się uczą, uczęszczają do college'u. W domu również pomagają, stawiają piec w piwnicy, sprzątają podwórze, podlewają trawę. Nie ma zmartwienia z ich apetytem, jak to bywa z dziećmi innych ludzi. Wszystko, co się ugotuje, poda do stołu, jest dobre, wspaniałe i proszą o dokładkę.

Jak o swych synów, tak też dba o Jegora Karnowskiego.

— Jedz, dziecko — zachęcała — nie krępuj się. Widzisz, moje dzieci, bez uroku, się nie wstydzą.

Jegor poczuł sympatię do tej dobrodusznej, tęgawej kobiety, która tak serdecznie zapraszała go do jedzenia. Chciał jednak pokazać, że nie jest amatorem tych tłustych potraw, jakie podano do stołu — rosółu z makaronem, pieczonej kury, kiszonych ogórków, rzodkwi, cebuli i kaszanki. To dobre dla czarnookich chłopców, pożeraczy cebuli i czosnku, którzy głośno mlaskają przy jedzeniu, nie dla niego, Georga Joachima. Choć miał apetyt na podawane mu dania, odsuwał je z niechęcią, głośno, aby to zauważono i aby gospodarze poczuli się dotknięci. Jednakże ani wuj Harry, ani jego synowie tego nie dostrzegli i nie byli urażeni. Chłopcy wcinali, a wuj wciąż opowiadał o dobrych i złych czasach, które przeżył, jak był na wozie i pod wozem, obrósł w pierze, zaszedł wysoko, spadł na dół i znów się wydzwignął.

— Chłopaczki — przypomniał sobie nagle o swych ojcowskich obowiązkach — dość wcinania! Wejdźcie do kuchni, pomóżcie mamie znieść i zmyć naczynia.

Wuj Harry był wielce zadowolony, że on, mały Zydek, wydaje polecenia swym rośłym synom, a oni są mu posłuszni.

Wszyscy przy stole, Dawid Karnowski, Lea, dr Karnowski, a nawet Teresa, która rozumiała jedno słowo na dziesięć z opowiadań wuja Harry'ego, byli zaskoczeni, widząc, że chłopcy, którzy pracują, a wieczorami się uczą, pomagają zmywać naczynia. Coś takiego "tam" się nie zdarza. Z uznaniem wyrażali się o udanych dzieciach wuja Harry'ego, głośno je chwalili.

Jegor siedział przygnębiony, upokorzony, zawstydzony. Chłopcy w kuchni śmiali się głośno. Był pewien, że to z niego. Zmieszał się całkowicie, gdy córka wuja Harry'ego, jedyna dziewczyna w domu, wpadła spóźniona, zasapana i roześmiana.

Czarnowłosa, o śniadej jak jej bracia skórze, lecz bez ich krzepy, bardzo szczupła, ruchliwa, żywe srebro, z czarnymi lokami, loczkami, kółeczkami, pierścieniami włosów, które tańczyły przy każdym jej ruchu, wniosła wiele radości, żartobliwości i śmiechu. Wuj Harry próbował po ojcowsku gniewać się na nią za to, że nie wróciła w porę na posiłek, lecz córka niewiele sobie z tego robiła, wycalowała policzki ojca, zostawiając na nich ślady szminki, nazywała go bardzo komicznymi imionami, jak "lizak", "kochanie", "dobry człowieczek" i jeszcze inaczej. Wuj Harry udał obrażonego. „Twoje szczęście, że są goście — powiedział. — Gdyby nie to, dostałoby ci się ode mnie.

Rozbawiona dziewczyna pokazała mu koniuszek języka i roześmiała się. Jako jedyna córka, rozpieszczona, ozdoba rodziny, ukochana przez ojca — wykorzystywała swoją pozycję. Nic w domu nie robiła, wszystkie czynności pozostawiając braciom. Nie zmywała naczyń, spała dłużej od pozostałych domowników, nie przychodziła w

porę na posiłki i w ogóle pozwalała sobie na różne swawole, na jakie żaden z braci by się nie zdobył. Wystarczyło, by usiadła ojcu na kolanach, wycalowała mu policzki i nazwała różnymi śmiesznymi przezwiskami, aby jej wszystko wybaczył. Z tym samym wdziękiem jedynej córki zachowywała się wobec obcych gości. Pięknymi, czarnymi, rozbawionymi oczami patrzyła w twarz nie znanemu jej kuzynowi i podała mu białą, miękką rączkę. Jegor, nieprzywykły do obcowania z dziewczętami, natychmiast poczuł się skrępowany, zauważył, że

jego dłoń wilgotnieje i chłodnieje w suchym ciepłe wyciągniętej ręki dziewczyny. Zdenerwowało go to jeszcze bardziej, chciał więc zamaskować to pierwsze niepowodzenie elegancją, jak kiedyś wuj Hugo przy stole ojca, usługując ciotce Rebecce. Jegor próbował wyrzeć wrażenie przesadną uprzejmością, wyciągnął się jak struna i stał przy dziewczynie gotów do usług, dopóki nie usiadła. Podsunął jej też krzesło. Synowie wuja Harry'ego go roześmiali się z honorów, którymi Jegor zaszczycił ich siostrę, co gorsza, ona, do której te ceregiele były skierowane, śmiała się wraz z braćmi.

— Nazywaj mnie Etel — powiedziała wesoło, nie podtrzymując ceremoniału.

Jej śmiech całkowicie zmieszał Jegora. Bardzo niezręcznie nakładał kuzynce jedzenie na talerz. Chcąc dobrze się zachować, popełnił większe błędy, rozlał podawaną jej wodę, poplamiał obrus. Chłopcy dusili się ze śmiechu. Dziewczyna była pewna, że to jej uroda zmieszała wyrośniętego, zarumienionego, obcego kuzyna. To

zmieszanie sprawiło jej przyjemność, śmiała się, zadowolona z życia. Jegor bardzo posmutniał, przekonany, że wszyscy, także Etel, śmieją się z jego niezgrabności.

Im bardziej chciał popisać się swoją zręcznością, tym bardziej był bezradny, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Miękkie krzesło wydawało mu się twarde i niewygodne, jakby przez nie wpijał się w jego ciało ostry gwóźdź. Przydługie, zbyt wystające z rękawów ręce były lepkie, spotniałe ze zdenerwowania. Bał się czegokolwiek dotknąć, drżał na widok pieczonej kury, którą podsunęła mu ciotka Milner. Był przekonany, że nie potrafi odkroić mięsa od kości, że ochłapie wszystkich wokół brązowym sosem, w którym kura jest unurzana. Absolutnie nie panował nad oczami. Gdziekolwiek spojrzał, natrafiał na chłopców wuja, którzy wcinali jedzenie i zaśmiewali się. Jak zwykle, gdy miał trudności w kontaktach z ludźmi, próbował swoje rozgoryczenie pokryć bezczelnością i brutalnością wobec tych, którzy okazywali mu życzliwość. Właśnie dlatego, że ciotce Milner zależało, aby Jegor jadł, nie chciał nic skosztować. Ciotka bardzo się tym przejęła, Etel, gryząc jedzenie wszystkimi zębami, wtórowała matce.

—Dlaczego nie jesz? — pytała. — Przecież to dobre.

—Zbyt ostre i tłuste, i diabelnie tu gorąco — odpowiedział Jegor.

—Mnie nie jest gorąco — odrzekła Etel, oblizując wargi końcem różowego języczka. Jegorowi wydało się, że dziewczyna pokazuje mu język.

Ponieważ Jegor wygadywał głupstwa, wtrącili się jego bliscy.

Najpierw Lea Karnowska poprosiła go, aby jadł, potem Dawid Karnowski, ojciec, matka. Im bardziej się nim zajmowano, tym Jegor bardziej się upierał. Wuj Harry, patrząc swymi wesołymi oczami na obcego chłopaczka, pierwszy głośno wyraził, co o tym myśli.

— Obawiam się, że nie podobamy się waszemu chłopcu — powiedział Karnowskim — ani nasze państwo, ani nasze życie, ani my, czyż nie tak, panie Niemiec?

Te słowa Żydka, a jeszcze bardziej jego ironiczny uśmiezek, który miał oznaczać — możesz nas lubić albo nie, mnie to nie obchodzi — wzmogły jeszcze zmieszanie Jegora. Był do tego stopnia wyprowadzony z równowagi, że obraził siedzącą obok niego damę, której przedtem okazywał tyle szacunku. Etel zażartowała:

— Kogo nie lubi, to nie lubi ale mnie lubi — powiedziała ojcu. — Czyż nie tak, kuzynie?

— Nie — uciął Jegor.

— Dlaczego nie? — Etel była zaskoczona.

— Jesteś zbyt czarna — odpowiedział Jegor złośliwie.

Było to już zbyt wiele, więc ciotka Milner próbowała całe zajście zbagatelizować.

— Jest chyba słabym chłopcem, niewiele je.

Podawała mu szklankę wody i starła serwetką krople potu z jego czoła. Sądziła, iż w ten sposób wszystko załagodziła, i że znów przy stole będzie spokojnie i wesoło. Jej słowa jednak doprowadziły Jegora do ostateczności. Nic tak go nie irytowało, jak to gdy słyszał, że jest słabym chłopcem. Nienawidził tego od

dzieciństwa,

nawet gdy mu to mówiła matka. To, że ta obca Żydówka ujawniła ten fakt od razu przy pierwszym spotkaniu, było ponad jego siły.

Najgorsze zaś, że powiedziała to w obecności roześmianych rosnących chłopaków i wobec tej dziewczyny. Jegor stracił panowanie nad sobą.

— Jestem zdrowy, diabelnie zdrowy — powiedział, wstając od stołu — proszę mnie zotawić w spokoju. To jest wszystko, czego pragnę — aby mnie zostawiono w spokoju.

Wszyscy — Lea Karnowska, Dawid, Teresa, wuj Harry, ciotka Milner, Etel — wszyscy, z wyjątkiem chłopców, którzy nadal siedzieli przy stole jedząc, próbowali uspokoić rozdrażnionego chłopaka, który tak nagle zerwał się od stołu. Teresie do twarzy napłynęło tyle krwi, że wydawało się, iż za chwilę przebije ona skórę i rozleje się po pokoju.

— Jegor, Jegoreczku — wołała.

Dr Karnowski ujął chłopca za rękę i wyszedł z nim na zewnątrz.

— Nie przestąpię więcej progu tego domu — burczał Jegor po drugiej stronie drzwi. — Oni mnie denerwują...

Jegor, który od miesięcy się nie jękał, znów zaczął to robić w zdenerwowaniu. Zaniepokoiło to dr. Karnowskiego.

— Dobrze, więcej tu nie przyjdziemy — uspokajał go — ale opanuj się. Tylko się opanuj, chłopcze.

Choć słońce świeciło na dworze, dr. Karnowskiemu pociemniało w oczach. Wjazd do kraju, do którego tak się wyrywał ze względu na syna, był nieudany. Mimo że nie wierzył w przesady, dr Karnowski

dostrzegał w tym zły omen.

Salomon Burak nie dotrzymał słowa danego węgierskiemu szamesowi, że utrzyma on swe stanowisko tak długo, jak Salomon Burak będzie prezydentem synagogi Szare Cedek.

Jak długo jekowie buntowali się przeciw węgierskiemu szamesowi, Salomon Burak bronił go. W pogardzie, jaką okazywali panu Piclesowi, widział pogardę dla siebie. Sytuacja z gruntu się zmieniła, gdy pewnej soboty z rana w synagodze Szare Cedek pojawił się nagle Dawid Karnowski z ulicy Oranienburskiej w Berlinie. W pierwszej chwili, gdy niespodzianie wkroczył do synagogi ze starym aksamitnym woreczkiem na tałas, który posiadał od ślubu, z wyszytą na nim przez Leę Gwiazdą Dawida, swoim imieniem oraz imieniem ojca, z oznaczeniem roku, który upłynął od stworzenia świata, Salomon Burak odczuł niepokój.

Przez chwilę czuł się niezręcznie, jak po tamtej stronie oceanu, ilekroć spotykał uczonego, pyszniącego się Dawida Karnowskiego. Dobrze jeszcze pamiętał tego napuszonego indyka, który nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Jeszcze bardziej Salomon Burak zachował w pamięci swe wielkie upokorzenie, gdy poniżył się przed Karnowskim i prosił go o syna dla swej córki, a ten niepohamowany pyszałek obraził go, otwarcie mu powiedział, że to małżeństwo mu nie odpowiada. Choć od tamtej pory upłynęło już mnóstwo lat, Salomon Burak dobrze jeszcze pamięta ówczesny wstyd i odczuwa go ponownie, widząc tego, który mu go przysporzył. Udał więc, że jest bardzo zajęty sprawami synagogi, wydawał bez potrzeby polecenia

panu Picelesowi, aby uniknąć spotkania z nowo przybyłym, który mu przypominał jego poniżenie.

Po chwili uczucie niezręczności ustąpiło miejsca poczuciu wyniosłości. Salomon Burak nie powinien się czuć upokorzonym, nawet wobec autentycznych jęków, a co dopiero przy jakimś tam Karnowskim, mielniczanie kreowanym na jeka. Jeżeli ktoś ma powody do ukrywania się, to na pewno nie Salomon Burak. Obserwując z kąta Karnowskiego, obcego, zagubionego w synagodze, bardzo posiwiąłego i nieco zgarbionego, Salomon Burak poczuł się podniesiony na duchu, silniejszy i młodszy, niż był w istocie. Nie szkodzi, jest jeszcze Bóg na niebie — utwierdził się po raz kolejny w tym przekonaniu, choć nigdy nie przychodziło mu na myśl, że jest inaczej — istnieje Bóg, który widzi i słyszy, wszystko w swej księdze zapisuje i za wszystko sprawiedliwie odplaca.

Pogłaskał swą gładko wygoloną twarz, która mimo wieku była jeszcze świeża, zdrowa, energiczna. Wysuwając naprzód pierś, Salomon Burak ruszył przez synagogę pewnie, godnie, za nim szedł szames. Idąc, myślał przez chwilę, że nawet na Karnowskiego nie spojrzy. Jeżeli on, Burak, nie był godny Karnowskiego tam, to Karnowski może nie być godzien Buraka tutaj. Lecz zmienił zdanie, dowiedzie Karnowskiemu, że choć Salomon Burak jest teraz na górze, nie jest zarozumiały i godnie przyjmuje obcego u siebie, w synagodze, gdzie jest gospodarzem. W obecnej swojej sytuacji może sobie na to pozwolić.

— Szołem alejchem, krajanie — powiedział głośno, wyciągając rękę do obcego. — Jak się miewa pańska Lea?

Po tamtej stronie rozmawiał z Karnowskim po niemiecku, gdyż ten unikał mielnickiego języka. Tu Salomon Burak użył właśnie języka rodzimego, by wykazać, że uważa Karnowskiego za mielniczanina, za krajana, czy mu to odpowiada, czy też nie. Dlatego też zapytał go przede wszystkim o Leę, aby dowieść temu wyniosłemu mędrcomu, że jeżeli Salomon Burak wdaje się z nim w rozmowę, to nie dlatego, że pragnie dostąpić zaszczytu kontaktu z nim, lecz dlatego, że Karnowski jest Lei mężem. Cokolwiek bowiem by się miało wydarzyć między nimi dwoma, nie ma to nic wspólnego z Leą, której Burakowie zawsze byli radzi, uważali ją za swoją, mielniczankę. Salomon Burak miał przy tym jeszcze jedno na myśli — jeżeli ten Karnowski hędzie próbował odgrywać dawny kawał, udając, że go nie poznaje, niech nie ma po temu sposobności, niech wie, że jest mielniczaninem, mężem Lei, a Salomon Burak nie jest dziś kimś, kogo się nie poznaje. Dawid Karnowski jednak nie tylko poznał mielnickiego ziomka, lecz pamiętał jego imię i nazwisko.

— Pan Burak — zawołał radośnie, wyciągając obie ręce do dłoni Salomona Buraka. — Alejchem szołem, reb Szlome.

Salomon Burak odczuł przyjemne ciepło słysząc swe swojskie imię z dodatkiem "reb". Przez chwilę nawiedziło go podejrzenie, że ten Karnowski chyba jest w tarapatach, skoro tak szybko go poznał. Jednak nie tylko słowa Karnowskiego wyrażały autentyczną radość, lecz również jego oczy, wciąż błyszczące i płomienne jak w młodości.

Jego brązowe ręce tchnęły ciepłem.

Salomon Burak wyczuł szczerą w swoim ziomku i odrzucił poprzednią złą myśl. Jego serce tajało. Dawid Karnowski spuścił oczy.

— Góra z górą się nie zejdzie, człowiek z człowiekiem się schodzi — posłużył się cytatem z Gemmy, czego nigdy by nie uczynił w rozmowie z analfabetą. — Mam nadzieję, że nie żywi pan do mnie nienawiści, reb Szlome.

To wystarczyło, aby spłynęły obcość, podejrzenie i złe myśli, aby Salomon Burak w jednej chwili zapomniał o wszystkich krzywdach, których kiedyś doznał od Karnowskiego i poczuł do niego sympatię, jaką zwykle darzył ludzi. Nie umiał długo do nikogo żywić nienawiści, przy tym w twarzy Karnowskiego wyczytał przygnębienie. Przedwczesna starość, która go zaatakowała, świadczyła, że już go dosięgła zapłata za wszystkie grzechy popełnione po "tamtej" stronie, i że już za nie odpokutował. Salomon Burak raz jeszcze wyciągnął rękę do Dawida Karnowskiego na znak, że wszystko minęło, a co złe zostało zatarte.

— Co też przychodzi panu do głowy, reb Dawid? — powiedział z uśmiechem — proszę mi powiedzieć raczej, jak wywołać pana do Tory imieniem ojca.

Karnowski nie rozumiał. Salomon Burak mu wyjaśnił.

— Jestem prezydentem synagogi — powiedział z dumą. — I chce pana uczyć, jak przystoi na takiego gościa, wyróżnieniem przy piątkowych modłach.

W sercu Salomona Buraka nie było już najmniejszej urazy do człowieka, który go kiedyś tak pogardliwie potraktował. Podobnie jak w handlu hołdował zasadzie "raz na wozie, raz pod wozem", tak również odnosił się do ludzi — "żyć i pozwolić żyć". Dobrym słowem Karnowski ujął go całkowicie i z miejsca zyskał uznanie Buraka, gdy już pierwszej soboty zadarł w synagodze z jękami.

Dawid Karnowski w synagodze Szare Cedek, gdy po raz pierwszy przyszedł się tam modlić, zachował się zupełnie inaczej, niż wszyscy przybysze z Niemiec. Po pierwsze, dziękował nad Torą Bogu za to, że jego i jego bliskich ocalił z rąk morderców, po drugie, głośno i z żarem opowiedział po nabożeństwie o okrucieństwach popełnianych po drugiej stronie oceanu przez Amelekitów, którzy dążą do unicestwienia synów Izraela. Chłodna twarz dr. Szpajera jeszcze bardziej zlodowaciała, gdy usłyszał szczerą, głośną wypowiedź swego dawnego przyjaciela, jakiej dotychczas tu nie słyszano. Miało to miejsce po kazaniu dr. Szpajera, wygłoszonym w tonie bardzo patetycznym, pełnym wzniosłych, pięknych słów. Dr Szpajer nie miał ochoty słuchać powszednich, utrzymanych w żalonym, smutnym tonie wypowiedzi. Poza tym w ogóle unikał rozstrząsania sytuacji w Niemczech, jak unika się rozmów na temat noszonego na sobie piętna hańby. Nikt w synagodze o tych sprawach więc otwarcie nie mówił.

— Mędrzec winien wypowiadać się spokojnie, drogi panie Karnowski — powiedział, głaszcząc ostrą bródkę.

— Po co w ogóle o tym wspominać, zwłaszcza w sobotę?

f

— Nie mówię o handlu, rabi Szpajer — przerwał mu Karnowski — a o ratowaniu ludzi. O takich sprawach można rozmawiać nawet w Jom Kipur, jeżeli przypada w sobotę.

I z jeszcze większym żarem nawoływał do wykupywania więźniów, a przede wszystkim do sprowadzenia z Berlina starego reb Efraima Waldera i jego księgozbioru. ■■

— Pan przecież wie, kim jest rabi Walder — powiedział. — Trzeba wszelkimi siłami ratować starego mędrca z rąk bandytów.

Dr Szpajer nie mógł ścierpieć namiętnego żaru Karnowskiego.

— Bardzo to pięknie, panie Karnowski, bardzo chwalebnie — dopowiedział — lecz stary Walder nie jest jedyny po tamtej stronie oceanu. Mamy tam wielu uczonych wybitniejszych od niego i nie możemy wszystkich sprowadzić.

Dawid Karnowski nie mógł słuchać, jak dr Szpajer pomniejsza wartość reb Efraima Waldera.

— Nieprawda — pieniał się — mamy tylko jednego reb Efraima Waldera. Nie znam takiego drugiego.

Dr Szpajer poczuł się dotknięty. Karnowski rzucał cień na jego erudycję, i to w obecności kongregacji w synagodze. Swoim zwyczajem, starając się opanować, nie odpowiedział ostro na brutalność, lecz spróbował cały problem obrócić w żart.

— Mój drogi Karnowski, po cóż ten żar? Dziś jest sobota, a w sobotę nie wolno rozniecać ognia, niepraw- j daż, panowie?

Zgromadzeni uśmiechali się z dowcipu rabina. Dawid Karnowski nie pozwolił się zbić z tropu.

— Pan żartuje, rabi Szpajer, a tam starzec, mędrzec, jest dręczony przez nikczemników — krzyczał z ni to- ■ dzieńczym zapałem.

Dr Szpajer widząc, że żartami nic nie wskóra u upartego Karnowskiego, próbował ująć go przy pomocy Ton-

— Słowo jest warte talara, a milczenie dwa talary — przypomniał zdanie z Gemary. — Mędrzec musi wiedzieć, kiedy zamilknąć, zwłaszcza w Domu Bożym. †

Dawid Karnowski nie dał się pokonać mądrością Tory. Na jedną cytate dr. Szpajera miał dziesięć argumentów z Toiy uzasadniających swoje racje.

— Kohelet powiada, że jest czas milczenia i czas mówienia — powiedział głośno. — Teraz nastał czas mówienia, krzyku nawet, rabi Szpajer.

Dr Szpajer w obecności kongregacji poczuł się niezręcznie wobec tych błyskotliwych i żarliwych odpowiedzi Dawida Karnowskiego. Nie mogąc pokonać upartego antagonisty ani Torą, ani humorem, próbował polityki.

— Cokolwiek się zdarzy, czcigodny panie Karnowski — powiedział cicho — winno to zostać między nami, nie należy nic wyciągać na zewnątrz, a już na pewno nie wobec obcych, postronnych ludzi.

Dr Szpajer chciał w ten sposób upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, członkom swojej kongregacji pragnął dać do zrozumienia, że cokolwiek im się przydarza, to jest to ich własne nieszczęście w ich własnym domu, nie należy takich spraw wywlekać

na zewnątrz, zaznajamiać z tym ludźmi postronnymi, na przykład węgierskiego szamesa i jemu podobnych. Po drugie, chciał przeciągnąć na swoją stronę zapalczego Karnowskiego, przypomnieć mu, że choć nie jest całkowicie swój, to jednak dzięki swej wiedzy, dobrej znajomości języka niemieckiego i długotrwałemu zamieszkiwaniu "tam" jest zaliczany przez dr. Szpajera do "swoich", dlatego winien przestrzegać tutejszej zasady nie mówienia o tym, co się dzieje po drugiej stronie oceanu, winien zagrzebać to w sobie, ukryć jak rodziną haiibę.

Dawid Karnowski nie pozwolił się powstrzymać.

— Wszyscy tu jesteśmy Żydami — pieniał się. ijjgftS Frankfurtu, czy z Tarnopola, lecz jesteśmy Żydami. Nie ma się czego wstydić, rabi Szpajer.

Gorączkował się w synagodze Szare Cedek z takim młodzieńczym zapałem jak niegdyś w mielnickiej bożnicy w starciu z rabinem, który złorzeczył przeciw Mojżeszowi Mendelssohnowi. Dr Szpajer widząc, że nie przysporzy mu zaszczytu ta scysja, wyszedł z synagogi w towarzystwie myślących jak on członków kongregacji. Salomon Burak był tak zachwycony stanowiskiem Dawida Karnowskiego, że w świętym miejscu objął go obiema rękami.

— Oby pan zdrów był, reb Dawidzie — powiedział radośnie, -r- Dobrze nagadał pan tym jękom.

Salomon Burak nie odstępował Karnowskiego. Mimo że miał różne sprawy do załatwienia w mieście, zostawił wszystko i zaprosił Karnowskiego do siebie na kidusz. Dawid Karnowski wymawiał się,

pamiętając, jak niegdyś, po tamtej stronie, wyrządził afront Salomonowi Burakowi. Dobroć i życzliwy sposób traktowania go przez Buraka żenowały go i krępowały. Nie umiał łatwo zapominać ani cudzych, ani własnych przewinień i dlatego nie miał odwagi odwiedzić domu Salomona Buraka. Wstydził się pokazać na oczy jego żonie, z którą w Niemczech niemal nie zamieniał słowa, gdy przychodziła do jego Lei. Jeszcze bardziej wstydził się jego córki, której nie chciał za synową.

— Reb Szlome, nie dzisiaj — prosił. — Nie mam odwagi pokazać się pana rodzinie.

Salomon Burak nie chciał tego słuchać.

— Reb Dawid, proszę na mnie polegać, na Salomonie Buraku — przekonywał. — Moja Ita będzie uszczęśliwiona.

Dawid Karnowski próbował jeszcze jednego pretekstu.

— Moja Lea będzie się niepokoić, jeśli w porę nie wrócę do domu. Wyszedłem po raz pierwszy w nowym kraju.

Salomon Burak znalazł wyjście. Pośle szamesa, by powiedział Lei, że reb Dawid jest u niego. Co też on wygaduje! Do Lei pośle szamesa? Nonsens! Pójdzie do niej sam, niech mu tylko Karnowski powie, gdzie się zatrzymał. Pójdzie z nim razem, sprowadzi oboje do siebie i to natychmiast. Bardzo przejęty zapomniał na chwilę o sprofanowaniu soboty i pobiegł na róg ulicy, gdzie zostawił swój nowy wóz. Lecz zaraz się zreflektował i zrezygnował z jazdy samochodem.

Jak dawniej, w Berlinie, Lea Karnowska i Ita Burak znów padły

sobie wielokrotnie w objęcia, potem obie na przemian płakały i wybuchały śmiechem, jak młode dziewczęta. Potem znów przypadały do siebie, całowały się i nie przestawały mówić. Jak niegdyś, Ita zastawiła stół wszelkim dobrem — różnorakimi mielnickimi przysmakami, powidłami, struclami, makowcami. Salomon bezustannie nalewał do kieliszków pesachową śliwownicę, którą lubił pić przez cały rok.

— Reb Dawid, na zdrowie. Oby Żydzi zostali zbawieni, a wrogowie Izraela ponieśli klęskę — wznosił uroczyście toasty, wyciągając rękę do Karnowskiego przy każdym kieliszku. — Proszę pić, reb Dawid, i czuć się jak u siebie.

Dawid Karnowski nie mógł się czuć jak w domu, mimo że bardzo się o to starał. Każda twarz w tym domu przypominała mu krzywdę, jaką wyrządził kiedyś tym ludziom. Robił wszystko, by uniknąć rozmowy z córką Salomona Buraka. Częstoowała go, wypytywała nawet o syna. Dawid Karnowski nie posiadał się ze wstydu.

— Proszę się nie fatygować, łaskawa pani — mówił zmieszany, jakby w ten sposób chciał odkupić wszystkie grzechy. — Proszę się nie fatygować.

Maczając piernik w słodkiej wódce, obie były mielniczanki popatrzyły po sobie i nagle się rozplakały, jak zwykle podczas uroczystości przywodzących kobiety do smutnych myśli i łez.

— Zestarzałam się, Leo — wybuchła Ita, patrząc na swą przyjaciółkę i dostrzegając w jej starości swoją własną.

— Nic na to nie można poradzić — odpowiedziała Lea, wycierając

oczy.

Salomon Burak nie mógł ściepieć płaczu kobiet

— Co za żałoba w sobotę? j— denerwował się. — Napijmy się raczej i oby tylko same uroczystości odbywały się u Żydów.

Itę denerwowało, że jej mąż tak szybko opróżnia butelkę.

— Szlomele, nie jesteś już młodzieniaszkiem, jesteś stary, mój mężu, i nie pozwalaj sobie za dużo, zaszkodzi ci.

— Nigdy nie byłem jeszcze tak młody jak w ostatnich latach — przechwalał się Salomon. — Im bardziej się starzeje, tym czuje się młodszym. Mógłbym jeszcze teraz obnosić walizy, taką siłę czuję w rękach.

Ita załamała rękę.

— Ugryź się w język — ostrzegła. — Oby nasi wrogowie byli domokrażcami. Ty już dość się nawędrowałeś.

— Żydówko, nie mam takiego zamiaru, mówię tylko dla przykładu — uspokajał ją Salomon.

— Nic nie mów, lecz milcz raczej — uczyła go grzeczności Ita.

Salomon Burak nie chciał milczeć. Im mniej śliwowicy zostawało w butelce, tym więcej słów płynęło z jego ust

— istne morze słów. Gdy sobie porządnie podpił, pełen wigoru, wyrzucił z siebie wszystko, co go dręczyło.

— Reb Dawid, dziś u mnie wielkie święto — mówił z uczuciem — gdyż pan Dawid Karnowski zniżył się, aby przyjść na kidusz do Szlome Buraka. Jest to dla mnie święto — święto radości Tory.

Ita zorientowała się, że jej mąż może powiedzieć za dużo i próbowała

go powstrzymać.

— Szlomele, nie rozpędzaj się, idź, połóż się.

— Ito, pozwól mi mówić, muszę to z siebie wyrzucić.

Opowiedział o wszystkich upokorzeniach i obelgach, jakie znosił z powodu pychy Dawida Karnowskiego, a które latami go dręczyły. Powiedział też o największej swej hańbie, gdy przyszedł prosić Karnowskiego o syna dla swej córki, a Karnowski go upokorzył. Rut wtedy; wyszła z pokoju, a Ita położyła obie ręce na ustach męża i próbowała go zmusić do milczenia.

— Szlome, ani jednego słowa więcej! — krzyczała.

— Reb Dawid, proszę go nie słuchać, on nie wie, co mówi.

Niech mówi, pani Burak, tak jest lepiej — powiedział Karnowski.

Chciał usłyszeć ciężkie słowa, oskarżające jego pustą pychę, potępiające krzywdy, które wyrządził. Im więcej Salomon Burak mówił, tym lżej czuł się Dawid Karnowski, jakby ciężar spadł z jego serca.

— Prawda, prawda, reb Szlome — dodawał. — To wszystko prawda.

Gdy Salomon wszystko z siebie wyrzucił, znów poweselał.

— Jestem prostakiem, co na wątrobie, to na języku — wyjaśnił. — Musiałem się wygadać, gdyż mnie to dławilo. Teraz jest mi lżej, reb Dawid.

— Mnie również, reb Szlome — powiedział Dawid Karnowski. — Teraz mogę panu otwarcie patrzeć w oczy.

Jeszcze tego samego wieczoru Salomon Burak udał się do pana

Rajchera, właściciela sklepu z koszernym mięsem i innych członków zarządu synagogi i zrealizował swój plan. W myśl tego planu Dawid Karnowski został szamesem synagogi Szare Cedek, zaś pan Piceles miał wykonywać pracę dozorca Waltera. Członkowie zarządu wyrazili niezadowolenie. Mieli już dość węgierskiego szamesa z jego galicyjską niemczyzną, a teraz mają otrzymać drugiego "obcego", który nie okazał szacunku dr. Szpajerowi i najbardziej poważanym członkom kongregacji. Na stanowisku szamesa chętnie widzieliby któregoś z własnych kandydatów — godnych, zasiedziały ludzi "stamtąd", często utytułowanych. Nie chcieli również zwalniać dozorca Waltera, który był im znacznie bliższy niż galicjanin, pan Piceles.

— Czcigodny panie Burak, za dużo pan wymaga — mówili — a to niezdrowo. Najlepszy jest zawsze złoty środek.

Lecz Salomon Burak się nie ugiął.

— Zostawcie to mnie — powiedział jękom. — Jeżeli zaś chodzi o dodatkowe wydatki, jest to już moja sprawa. Dolar więcej, dolar mniej, żyć i pozwolić żyć.

Nic już nie można było temu przeciwstawić. Dawid Karnowski został szamesem synagogi Szare Cedek.

Lea przecierała oczy ze zdziwienia, gdy Dawid jej opowiedział, jak do tego doszło. Nie o splendor jej chodziło, nigdy nic nie miała przeciwko Szlomele, nawet kiedyś chciała się z nim spowinowacić. Lecz bolała nad tym, że jej Dawid, wykształcony, erudyta, ma na stare lata zostać szamesem w

synagodze, w dodatku kierowanej przez Szlomele Buraka.

—Czego doczekaliśmy, Dawidzie? — rozpląkała się.

Dawid Karnowski nie pozwolił jej użalać się nad własnym losem.

—Powinniśmy się cieszyć — mówił — dziękować w każdej chwili Bogu, że nas wyzwolił z rąk nikczemni! ków i sprowadził tutaj.

— Nie o mój honor mi chodzi, Dawidzie, lecz o twój |—
usprawiedliwiała się.

—Niech to będzie odkupieniem za moje grzechy — odrzekł nabożnie Dawid Karnowski — za wstyd, którego przyczyniłem reb Szlomele, za wyniosłość wobec ludzi, za bałwochwalstwo, w którym w swej głupocie tkwiłem od lat.

Lea nie poznawała swego męża. Nigdy dotąd nie słyszała od niego takich pobożnych i pokornych słów skruchy.

Jak nowy but, który jednym sprawia przyjemność nowością i pięknym wyglądem, dla innych zaś jest udręką, uwiera, gniecie, jest niewygodny i doznaje się ulgi, gdy można go zrzucić i wzuć znowu stary, podarty, ale do którego jest się przyzwyczajonym — takim był nowy kraj dla rodziny Karnowskich, która musiała się w nim zaadaptować.

Najstarsi przystosowali się do nowych warunków od razu. Mimo że Dawid Karnowski musiał na stare lata zostać szamesem i za swą pracę przynosił do domu zaledwie kilka dolarów, Lea nigdy nie była tak szczęśliwa — nawet w najlepszych czasach, gdy mieszkała na ulicy Oranienburskiej i gdy byli bogaci, otoczeni szacunkiem. Po wielu latach obcości i osamotnienia w stolicy Niemiec, do której nie

mogła się przyzwyczać po wyjeździe z Mielnicy, tu znowu żyła pełnią swojskiego życia. Bardzo szybko zaznała się z żydowskimi kobietami z sąsiedztwa, zwłaszcza przybyłymi z Wielkopolski, które rozpoznawała po wymowie. Nie zachowywała się wyniośle jak nowi przybysze "stamtąd", gdy sąsiadki próbowały nawiązać rozmowę o sytuacji po tamtej stronie oceanu, gdzie popełnia się okrucieństwa wobec Żydów. Przeciwnie, rozmawiała o tych sprawach, otwarcie wdzięczna kobietom za okazywaną jej przyjaźń i rady, jak się zaaklimatyzować w Ameryce. Sąsiadki widziały w niej swojskiego człowieka i polubiły ją, podobnie jak Lea je. Mogła znów z równymi sobie swobodnie rozmawiać mielnickim narzeczem, bez obawy popełnienia błędów i plecenia głupstw, przed czym drżała latami w Berlinie w czasie spotkań z paniami uczęszczającymi do nowej synagogi. Znowu mogła trzymać na kolanach cudze dzieci, całować je i pieścić, ile tylko pragnęła. Młode matki były tym uszczęśliwione. Bardzo szybko przyswoiła sobie nowe obce słowa, które kobiety wtrącały do swego rodzimego języka. Podobnie szybko przyzwycza-

PI ła się Lea do rzeźników i do sklepów rybnych, do pie- I karń żydowskich i do sklepów spożywczych. Wszędzie, I na każdym kroku, spotykała tam swojskich ludzi, Lei bliska była ich mowa i sposób prowadzenia handlu z charakterystycznym targowaniem się. Rozumiała ich i oni ją rozumieli. Wkrótce odnalazła kolejnych ziomków. Było ich tu więcej niż w samej Mielnicy. Rozproszeni byli wszędzie, w Brownville, w Bronx, wokół Wschodniego

Wybrzeża i rzeki Hudson. Lea cieszyła się, widząc swych
ziomków, bowiem oni wiedzieli, kim jest córka Lejba Milnera, ona
zaś знаła ich. Bez jednego angielskiego słowa, posługując się
wyłącznie narzeczem miclnickim, dowiadywała się, któredy
jechać, gdzie wysiąść. Żyła znów jakby w swoim rodzinnym
domu, wypytywała o mielnickich znajomych, przekazywała i
odbierała pozdrowienia. Od czasu do czasu odwiedzała swego
brata, Chaskiela, który tu zmienił imię na Harry. Mimo że przez
cały czas był zajęty budowaniem i burzeniem domów,
kupowaniem i sprzedawaniem placów, zawsze radował się na
widok siostry, obwoził ją swym zaśmieconym wozem, pełnym
różnych miarek, śrub, cyrkli i skrzynek z farbami. Jak zawsze
chlubił się swoim Nowym Jorkiem i domami, które budował.
— Miasteczko Nowy Jork, co Leo?

Od czasu do czasu przyjeżdżali swym nowym wozem Salomon
Burak z żoną i zabierali ją do siebie za każdym razem, gdy Ita
gotowała kluseczki z rybnym bulionem — ulubione mielnickie danie
Lei. Do pełnego szczęścia brakowało jej tylko obecności córki.
Przypominając sobie Rebekę, tę niemądrą kobietę, która dla swego
muzykanta nie chciała wyjechać z rodzicami, nie odczuwała żadnej
przyjemności jedząc przy stole Ity Burak smaczne kluseczki z rybnym
bulionem.

Podobnie jak Lea ze swymi kobiecymi problemami czuła się
swojsko w nowym kraju, tak i Dawid Karnowski znalazł tu
możliwość kontynuowania swych naukowych rozważań. Był

szamesem w niemieckiej synagodze^ Gdy mu tylko czas pozwalał, obracał się wokół rodzin-;

nych bożnic, wokół jeszybotów, gdzie nauczano Tory i mądrości jednocześnie. Jak Lea z kobietami, tak Dawid Karnowski nawiązał kontakty z erudydami, rabinami i nauczycielami seminariów.

Dyskutował z nimi, czerpiąc obficie argumenty z Tory i swej wiedzy. Podobnie jak Lea gorąco pragnęła ściągnąć do Nowego Jorku Rebekę z jej dziećmi, tak Dawid Karnowski czynił starania, by sprowadzić tu reb Efraima Waldera z jego starymi księgami i rękopisami.

— Żydowskie skarby giną — argumentował z zapałem za każdym razem, gdy spotykał się z uczonymi i intelektualistami. — Mędrzec Izraela ginie wśród okrutników.

Młodzi Karnowscy w nowym kraju nie zaadaptowali się równie łatwo.

Po pierwszych dniach, które upłynęły na odwiedzinach krewnych, spotkaniach ze znajomymi "stamtąd", nadeszły długie, ciężkie, szare powszednie dni w mieszkaniu dr. Karnowskiego, w zachodniej części miasta, dni bardziej nużące przez to, że nastąpiły po dniach euforii. Obcość miasta krzyczała ze wszystkich ścian, wdzierała się drzwiami i oknami do ciasnego, zagęszczonego mieszkania.

Przede wszystkim Karnowscy nie mogli się przyzwyczaić do hałasu. Przez wiele lat mieszkali w cichym mieszkaniu w Griinewald, stąd byli szczególnie wrażliwi na turkot przejeżdżających i gwałtownie hamujących samochodów, słyszeli każdy klakson. Najgorsze było ustawiczne skrzypienie drewnianych saneczek,

którymi dzieci jeździły po trotuarach. Ślizgały się na nich nieustannie, rzucały piłkami i wrzeszczały wniebogłosy. Gdy milkły wieczorami, ze wszystkich okien słyhać było odbiorniki radiowe. Patetyczne przemówienia polityków, różnorakie reklamy, muzyka jazzowa, śmiechy komików i ich audytorium, natchnione głosy duchownych, nawołujących ludzi do nawrócenia się ku Bogu i Jego przykazaniom, hałaśliwe sprawozdania z walk zapaśniczych i zawodów piłkarskich — wszystko to skłębiało się i wciskało drzwiami i oknami. Teresa Karnowska stale uskarżała się na bóle głowy. Nie wiedziała, jak się uchronić przed wiecznym hałasem, nie umiała też sobie poradzić z ciasnotą mieszkania.

Dr Karnowski ostrzegał ją przed wyjazdem z Niemiec, aby nie zabierała zbyt dużo rzeczy. Teresa go nie słuchała, od dziecka przyzwyczajona każdą rzecz przechowywać, z mlekiem matki, dobrej gospodyni, wyssała, że w gospodarstwie może się przydać każda szmatka. W latach pomyślności kupowała wiele, miała pełne szafy i komody sukien, bielizny, różnych niepotrzebnych rzeczy i nie chciała się z nimi rozstać. Każdy przedmiot był dla niej cenny. Podobnie nie mogła zostawić swych drogich, rzeźbionych mebli. Zawsze posłuszna mężowi, tym razem nie chciała się podporządkować jego radom, by zostawić — jak to określał — “te śmieci”. Nie była skora do wyrzucania czegokolwiek. Po kryjomu pakowała coraz więcej — porcelanę, szkło, dywany, bieliznę, meble, stare suknie, które już dawno wyszły z mody, wszystko, co zostało nagromadzone w latach dobrobytu. Przewóz tych rzeczy, opłata celna, inne wydatki

pochłonęły krocie,- W nowym kraju nie miało to żadnej wartości i nie było gdzie się z tym podziąć. Teresa musiała to wszystko czyścić, odkurzać, sprzątanie zajmowało jej całe dni.

Poza tym instrumenty medyczne dr. Karnowskiego zajmowały połowę mieszkania. Ze swej kliniki, którą sprzedał, zostawił dla siebie sporo aparatów rentgenowskich, elektrycznych lamp do naświetlań, różne narzędzia chirurgiczne. Były one wprawdzie jedyną nadzieją na przyszłość, gdy dr Karnowski znów będzie mógł ich używać, na razie jednak swą bezużytecznością wносиły poczucie pustki i smutku jak przedmioty pozostałe po zmarłym. Czyszczono je często, ale zawsze lekki kurz osiadał na ich lśniącej powierzchni. Ich zimny blask przyprawiał Teresę o tęsknotę do tego, co minęło.

Męczyła ją ulica, obcy język, każdy krok w nowym mieście. Była przekonana, że nigdy nie zorientuje się, jak chodzić po tych ulicach, ani nie zrozumie obcego języka — szybkiego i niewyraźnego. Nawet kościół, do którego wpadała idąc po zakupy, aby uklęknąć na chwilę i pomodlić się w swym osamotnieniu, był obcy i nie-przytulny. Nie odpowiadały jej nabożeństwa w obcym języku. Nie była pewna, czy do Boga docierają te niezrozumiałe modlitwy. Z ciężkim sercem wychodziła ze świątyni i brała do ręki koszyk na zakupy, który zostawiała w kącie kościoła. Z jeszcze cięższym sercem płaciła dolarami. Karnowscy utrzymywali się z niewielkich oszczędności, które im pozostały z całego mienia. Teresa drżącymi rękami wyjmowała z portmonetki zielone banknoty, każdy z nich kilkakrotnie obmacywała, zanim go

oddała w szybkie i niedbałe ręce kupców. Absolutnie nie mogła się przyzwyczaić do tych kupieckich rąk, które szybko liczą, szybko rzucają towar na wagę i szybko zdejmują go z wagi. Nie mogła też przywyknąć do lekkomyślnego i marnotrawnego wydawania pieniędzy przez kobiety, kupujące paki żywności oraz w dużych ilościach różne inne artykuły i łatwo wyrzucające do śmieci przedmioty wartościowe — stare obuwie, odzież, a nawet meble. Teresa oszczędzała i bez przerwy coś reperowała. Ani na chwilę nie pozwalała palić w domu zbędnej żarówki. Sama prała bieliznę, nie nosiła w domu pończoch. Ciągłe cerowała, szyła i sprzątała. Jak jednak by nie oszczędzała, dolary wciąż ulatniały się z portmonetki. Pokornie, ze schyloną głową, przychodziła do męża prosić o pieniądze na tydzień, jakby to była jej wina, że przejada się oszczędności.

— Krępuję się powiedzieć, ale znów potrzebuję pieniędzy na utrzymanie — mówiła, wzdychając. — Nie będziesz zły na mnie, Georg?

— Co ci do głowy przychodzi, dziecko? — mówi Karnowski z uśmiechem i daje jej pieniądze, obdarzając ją jednocześnie pieszczotami.

Podobnie jak Teresie, jemu też przeszkadzała ciasnota w mieszkaniu, hałas dobiegający z ulicy, a przede wszystkim jego instrumenty medyczne — bezużyteczne, martwe. Gdy je czyścił i ostrzył, zwłaszcza nóż chirurgiczny, który mu przyniósł tyle sławy i dobrobytu, odczuwał

dręczącą tęsknotę, pragnienie operowania, leczenia. Ból rozsadzał mu serce, poczucie upokorzenia z powodu bezczynności uderzało do głowy. Dr Karnowski odpędzał od siebie to uczucie, jakby biczem odganiał posępne myśli. Wśród wartości obowiązujących z tamtej strony oceanu, które zachował, była zasada, że strata pieniędzy nie jest stratą, utrata ducha oznacza utratę wszystkiego. I robił wszystko, co możliwe, aby nie stracić ducha. Unikał domu, aby nie wchłaniać zapachu naftaliny i szmat, a także by nie mieć przed oczami swych bezużytecznych narzędzi medycznych.

Bywalec kawiarni, przyzwyczajony od wielu lat po "tamtej" stronie, w okresie najbardziej nawet intensywnej praktyki, wpadać codziennie na kawę, papierosa i pogawędkę ze znajomymi, nie chciał tu zaglądać do "Starego Berlina". Choć go tam znano, wiedziano, kim był w Niemczech i witano zawsze z wielkim szacunkiem, dr Karnowski omijał to miejsce. "Stary Berlin" wciąż żył "tamejszym" życiem, wspomniano stare, dobre czasy, wzdychano nad biedą w nowym państwie, po tysiącokroć przeżuwano bogactwo, dobrobyt, zaszczyty, rozrywki — okres, gdy wszystko toczyło się pomyślnie i w ustalonym trybie.

— Przypomina pan sobie, panie doktorze? — mówili tęsknie ludzie do dr. Karnowskiego.

Dr Karnowski nie chciał wspominać przeszłości. Przeniknął od razu nowe, wielkie, kamienne miasto, wolne, ale twarde. Trzeba wielu sił, aby przebić sobie w nim drogę wielu sił i odwagi. Robił wszystko, aby zebrać siły potrzebne do zrozumienia i opanowania tego miasta.

Z samego rana, przełknąwszy śniadanie, wychodził na spacer. Szedł sprężystymi krokami brzegiem Hudsonu, walcząc z wichrami wiejącymi z przeciwległego górzystego i zalesionego brzegu. Wiatr wytrząsał z niego zapach pościeli, naftaliny, zleżałych rzeczy, zwątpienie i melancholijne myśli. Spacerował tu każdego dnia i wciąż jeszcze czuł dobrodziejstwo nowej ziemi, po której można chodzić z podniesioną czarnowłosą głową.

Jeszcze swobodniej czuł się nad brzegiem oceanu, gdzie często jeździł. Najgorsze po "tamtej stronie" było dla niego to, że w ostatnich latach nie wolno mu było pływać w Wansee. Od kiedy pamięta była to dla niego wielka przyjemność. Kąpiel odświeżała go i orzeźwiała. Wynagradzał sobie teraz te lata, nie przykrzyło mu się opalanie na słońcu, uprawianie gimnastyki, pływanie. Leżąc na piasku nad brzegiem oceanu, wchłaniając zapachy słońca, wody, ryb i roślin morskich, które kłębiły się wokół kamieni, wykopując z ziemi muszelki, czuł w sobie ogromną lekkość, siłę, młodość. Fale rytmicznie uderzały

brzeg, wyrzucając obrośnięte kawały drewna, odpady śmieci pochodzące ze statków. Wraz z małymi, srebrnymi rybkami wyrzucały kraby i małże. Karnowski z młodzięcą radością oddzielał zwierzęta od ich miseczek z perłowej masy, rozcierał w palcach zimny, śliski, biały śluz, który choć pozbawiony kształtu, a nawet ruchu, żyje jednakże swym zimnym, śliskim życiem. Dr. Karnowskiego, gdy parał się śliskimi stworzonkami — pradziadami wszystkiego, co żyje i rośnie — ogarniała przemożna chęć życia.

Pełen odnowionych sił i apetytu wpadał nieraz do wuja Harry'ego i zjadał wszystko, co ciotka Roza podawała do stołu. Cieszył ją apetyt doktora. Zawsze radowali ją ludzie, którzy jedli i nie dawali się prosić. Jak matka apetytem doktora, tak jej córka Etel zachwycała się jego świeżością i opalenizną, zapachem słońca, wiatru i wody, który z sobą przynosił. Często oboje szli nad brzeg oceanu, ścigali się w pływaniu i bieganiu. Karnowski nie ustępował młodej i silnej kuzynce w jej igraszkach nad brzegiem oceanu.

Z tym samym zapalem, z jakim spacerował i pływał, przygotowywał się do egzaminu, uczył się języka, który miał mu być przydatny w praktyce.

Jak w latach młodości w gimnazjum imienia księżny Zofii, ale z większą chęcią, siedział w ławce szkolnej i z otwartymi czarnymi oczami śledził każde słowo, które nauczycielka, panna Doolittle, wypisywała na tablicy. Jak chłopiec, uczeń, podnosił rękę za każdym razem, gdy panna Doolittle pytała o coś klasę, a on znał odpowiedź.

Cieszyło go, że jest najlepszym w klasie, "prymusem" wśród tęgich, drzemiących kobiet, że panna Doolittle jest zadowolona z jego postępów w nauce, że poważnie wpisuje mu do zeszytu dobre oceny swym kaligraficznym pismem. Śmieszyło go, gdy panna Doolittle rumieniła się, wpisując mu te oceny.

Wychudzona stara panna, o bardzo długiej, przezroczystej szyi, przez którą widać było poruszające się grube, niebieskie żyły, z płaskim biustem, bez śladu kobiecości, z długimi przednimi zębami,

ukośnie wychylającymi się wraz z dziąsłami z ust, z gładko uczesanymi włosami koloru piasku, ciasno upiętymi w mały kok, jak rzadko już czeszą się kobiety — panna Doolittle bardzo się starała być wyłącznie nauczycielką w klasie dorosłych, w żadnym wypadku kobietą. Miało się to jednak zmienić, odkąd rosły, brunatnoskóry i przystojny dr Karnowski przyszedł do jej klasy.

Zawsze spięta, starannie ubrana, ze ściągniętymi włosami, bez najmniejszej kobiecej kokieterii, odkąd obcy lekarz został uczniem w jej klasie, zaczęła się stroić, często zmieniała bluzki, robiła manicure, wpięła nawet broszkę w bluzkę, którą teraz zapinała o guzik niżej i ukradkiem szminkowała wąskie wargi. Jej długie, chude policzki rumieniły się jak niegdyś, gdy była młodą dziewczyną. Mimo że się z tym kryła, czarne oczy dr. Karnowskiego przenikały ją na wskroś. Znał dobrze kobiety ze swych z nimi kontaktów, jak też z długoletniej lekarskiej praktyki. Panna Doolittle wyczytała z jego ironicznych oczu, że nie można ich oszukiwać, że przenikają na wylot i dlatego była przy nim jeszcze bardziej zagubiona. Jej płaskie jak u szczupłego mężczyzny piersi drżały za każdym razem, gdy patrzył na nią Karnowski. Lecz wraz ze skrępowaniem wypełniały jej serce słodycz i łaknienie, jakich już od lat nie czuła w swym zaszuszonej staropanieństwie. Specjalnie wywoływała go do tablicy, aby móc przy nim stać. Umyślnie kazała mu odczytywać przed klasą wypracowania, byle tylko słyszeć jego głos.

Nauczycielka, stara, chuda, o wielkich zębach, ani trochę nie

interesowała dr. Karnowskiego jako kobieta. Przez wszystkie suknie i bluzki, które często teraz zmieniała, przesywał jej zwiędłe, staropanieńskie ciało na wylot, gdyż ten typ męskich kobiet znał dobrze ze swej długoletniej praktyki. Bawiła go jej miłość.

Nieraz, gdy siedział w szkolnej ławce i powtarzał obcojęzyczne słówka, dopadał go smutek. Po latach spędzonych na wojnie, po błyskotliwej karierze w medycynie, po doświadczeniach, sławie, to młodzieńcze siedzenie w ławce szkolnej i powtarzanie lekcji było dla niego męką, bezsensem i poniżeniem.

Lecz gdy nawiedzały go te ciężkie myśli, odpędzał je od siebie. "Tylko się nie poddawać" — powtarzał, tocząc ze sobą walkę, — f^, "Tylko nie upadać na duchu". Tego właśnie chcieli wrogowie, zadręczyć go, doprowadzić do załamania, do rozpacz i upokorzenia. Lecz nie sprawi im tej satysfakcji.

Nie spuszczać nosa, Tereniu — pocieszał żonę, unosząc jej podbródek. — Będzie jeszcze dobrze, jak niegdyś, byle tylko przejść przez egzaminy i zacząć praktykować.

Jak w pierwszych latach znajomości, sadzał ją na kolanach i wodził palcami po głowie żony.

— Przeze mnie cierpisz, mała — powiedział.

Twarz Teresy była płomiennie czerwona.

— Boże, jak możesz tak mówić? — obraziła się. I mimo że serdeczność męża uszczęśliwiała ją, nie pozwalała sobie na to, by beczynnie siedzieć na jego kolanach. Wyrywała się do pracy. Dr Karnowski siłą ją od niej odrywał, wyprowadzał na spacer albo do

kina.

—Rób, co każe, gojowska głowo — mówił i wychodził z żoną, prowadzając ją pod ramię.

To wystarczało, by Teresa zapomniała o wszystkich zmartwieniach, biedzie i obcości. Tak nazywał ją w pierwszych dniach ich miłości. Teresa była szczęśliwa, słysząc to znów po tylu latach. Przy całej swej biedzie, obcości, zagubieniu, pracy wyrachowanym życiu w nowym, obcym kraju, zyskała Teresa coś, czego "tam" nie miała — miłość Georga. Teresa nigdy o tym nie mówiła, lecz tam, po drugiej stronie oceanu, cierpiała odkąd jej mąż stał się sławny. Była niespokojna, gdy wychodził i zazdrosna o każdą kobietę, z którą się spotykał, o każdą przychodzącą do niego pacjentkę. Spędzała noce bezsenne, w wielkiej udręce. Czuli się wiecznie zagrożona. Była przekonana, że jest przedmiotem szyderstw ze strony każdej kobiety, każdej pielęgniarki w klinice, z którą ma do czynienia jej mąż. Teraz, po latach, była znów spokojna o męża, znów z nią wychodził na spacer, siedział z nią w teatrze, ramię w ramię, nazywał ją "Terenią", "głupią kobietą" i "gojowską głową". Było to zadośćuczynienie za jej zmartwienia, biedę i obcość, nawet za ustawiczne bóle głowy. Łatwiej znosiła zmundne prace domowe, wiedząc, że w drugim pokoju siedzi Georg i powtarza lekcje.

Dr Karnowski nieraz próbował jej pomagać, w myśl obyczajów panujących w nowym kraju. Teresa nie pozwalała mu nic robić. Wciąż jeszcze była berlinianką, dla której mąż jest panem i władcą,

nie mogącym zniżać się do wykonywania prac kobiecych. Czyściła mu buty, ubrania, zakładała i zdejmowała płaszcz przy wychodzeniu i powrocie do domu, a nawet po wyjściu męża z domu śpiewała, czego nie czyniła już od lat, szczęśliwa, że ją pocałował nie z obowiązku, lecz z miłości.

Z każdym dniem powoli przyzwyczajała się do nowego miasta, poznawała ulice, zaczynała rozumieć język, słyszeć wymawiane słowa, przyzwyczajała się do tutejszego trybu życia i nawet dostrzegała pozytywne strony tam, gdzie w pierwszych tygodniach widziała tylko zło.

Absolutnie nie mógł się natomiast zaadaptować w nowym kraju najmłodszy z rodziny Karnowskich, Georg Joachim, zwany zdrobniale Jegorem.

Jak ktoś ukąszony przez wściekłego psa, kto ginąc z pragnienia, boi się choć raz łyknąć wody, aż usycha całkowicie, tak Jegor od chwili, gdy go kiedyś dotkliwie obrażono, miotał się pomiędzy pragnieniem zetknięcia się z ludźmi a lękiem przed nimi i zadręczał się w opuszczeniu i samotności.

Dr Karnowski znając ten lęk chłopca robił wszystko, co mógł, by go zetknąć z ludźmi. Jako doświadczony lekarz, wiedząc, że niebezpiecznie chorych leczy się przez wprowadzanie do ich organizmów zarazków, które zakaziły ich krew, próbował leczyć swego syna tym, czego się tak lękał. Z uporem Karnowskich pchał go do nowego życia. Z uporem Karnowskich Jegor przeciwstawiał się ojcu, kryjąc się po kątach jak kret w ziemi.

W pierwszych dniach dr Karnowski próbował wpłynąć na syna dobrocią. Wszelkimi sposobami, jak podaje się lekarstwo choremu upartemu dziecku, aby je uzdrowić, starał się ułatwić chłopcu zaaklimatyzowanie się w nowym kraju, wsączyć weń smak nowego życia. Prowadził go do lunaparków, parków, na piękne ulice i malownicze wybrzeże, aby pokazać mu walory miasta i przybliżyć nowy kraj. Wcześniej budził go ze snu, wypędzał z łóżka, do którego Jegor miał słabość i proponował wspólny spacer nad brzeg oceanu. Jegor odwracał się do ściany i przykrywał kołdrą aż po głowę.

— Leniuchu, słońce świeci — zachęcał ojciec.

— ■ Co to mnie obchodzi, chce mi się spać — odpowiadał Jegor spod kołdry.

— Jegor, wynajmiemy łódź i będziemy wiosłować.

Przez chwilę Jegor się zastanawiał, zawsze bardzo lubił wiosłować, lecz satysfakcja z przeciwstawienia się ojcu, sprawcy wszystkich jego cierpień, przeważała nad przyjemnością i nie przyjął propozycji.

— Całą noc nie spałem z powodu hałasu w tym przeklętym mieście — warczał. — Pozwól mi teraz spać.

Właśnie dlatego, że ojciec tak usilnie starał się wychwalać nowe miasto, wszystkie jego walory, wielkość, piękno, swobodę, Jegor nazywał je przeklętym, mieszał z błotem.

Bardziej niecierpliwie niż rodzice znosił miejski hałas, niewygody nowego małego mieszkania, ciasnotę i niedostatek. Zamiast się przyzwyczajać do nowego życia, pogardzał nim, pałał dori gniewem.

Im bardziej wzmagała się jego nienawiść, tym więcej mu to miasto doskwierało, gniotło go. Rozdrażniona głowa reagowała nocą na każdy szmer, zgiełk. Turkot samochodów wyrywał go z najtwardszego snu. Nie mając na kim skrupić swej złości, wchodził w środku nocy do sypialni rodziców i narzekał na miasto, do którego go sprowadzili.

Potępione, diabelskie miasto jft złorzeczył. — Zwariuję w nim.

Dr Karnowski próbował go logicznie przekonywać.

— Posłuchaj, chłopcze, miasto do ciebie się nie dostosuje, ty musisz się dostosować do niego. Bądź rozsądny.

Jegor nie chciał uznać argumentacji ojca. Nic nie przyprawiało go o takie rozgoryczenie, jak to, że ojciec kazał mu być rozsądnym. Właśnie dlatego, że nic nie mógł przeciwstawić logicznym wywodom ojca, denerwowały go one.

— Zawsze ta twoja logika — burczał.

Widząc, że logiczne argumenty ojca nie odnoszą skutku, Teresa próbowała trafić do syna łagodnością.

— Bądź rozsądny, dziecko — perswadowała. — Nie z naszej dobrej woli tu przybyliśmy. Dobrze o tym wiesz.

— Nie chcę być rozsądny — złościł się Jegor.

Zasypiał późną nocą i spał długo, nieraz do południa.

Wstawał późno, chodził całymi dniami w piżamie, potargany, zgorzkniały. Jak po "tamtej" stronie, leżał wciąż przy radiu, szukając wiadomości "stamtąd". Nie rozumiał nowego języka, którego "tam" uczył się pilnie, sądząc, że go zna. Dlatego nie chciał słuchać

spikerów radio-
wych, piosenkarzy, przekazujących wiadomości reporterów, gdyż
wszyscy oni jedno mieli na widoku — drażnić go swymi
niezrozumiałymi krzykami i śmiechem. Godzinami majstrował, kręcił
gałkami, aż złapał coś “stamtąd”, co było rodzime, swojskie,
zrozumiałe. Podobnie jak nie cierpiał nowego języka, tak unikał ulicy
i wypełniających ją, bawiących się i krzyczących chłopców i
dziewcząt. Godzinami mógł siedzieć przy oknie i obserwować ich
gry, bieganinę, gonitwy, lecz nie chciał się do nich zejść. Teresa nie mogła
znieść tego samotnego sterczenia syna przy oknie, prosiła, aby zszedł
bawić się razem z chłopcami. Jegor jej nie słuchał. Ojciec
przekonywał go, że nie powinien się bać chłopców na ulicy, bo nie są
oni tacy jak “tam”. Jegor się denerwował.

— Kto się boi? — krzyczał, by zagłuszyć trafne uwagi ojca. — Ja
nie boję się nikogo.

A jednak się bał. Nie mógł wyrwać z siebie dawnego strachu przed
zetknięciem się z chłopcami, ani obaw przed wyśmianiem, obrażą.
Jakikolwiek śmiech budził w nim podejrzenie, że to on jest obiektem
tego śmiechu. Lęk przed tym, że może być obrażony, z góry budził w
nim niechęć do tych, którzy mogą to zrobić. W każdym człowieku
postrzegał wroga, potencjalnego prześladowcę.

Widząc, że dobrocią nie daje się wyrwać Jegora z sieci, w której
się skrywa, dr Karnowski, aby go przełamać, uciekał się do surowości
i siłą wypędzał z domu. Jegor musiał się poddać, lecz wychodził
niechętnie, ostrożnie, poruszał się tak jak niedoświadczony łyżwiarz

po ślizgawce. Właśnie dlatego, że tak ostrożnie używał języka angielskiego, chcąc zdobyć uznanie chłopców na ulicy, zaciął się przy pierwszych słowach, które próbował wypowiedzieć. Chłopcy z ulicy jeszcze mniej niż synowie wuja Harry'ego rozumieli jego poprawną gramatycznie i mocno zniemczoną angielszczyznę, przy której w dodatku się jąkał. Biegając w podartych swetrach z wyszytymi na plecach numerami, w koszulach wypuszczonych na spodnie, w kombinezonach, a nawet na wpół nago, PO goniąc, krzycząc, przewracając się na ziemię | i wrzeszcząc ze wszystkich sił, nie mieli czasu ani J | cierpliwości do ulizanego, zarozumiałego chłopca, który i nieśmiało krążył wokół nich.

— Złap piłkę, rzuć ją — wołali, gdy piłka potoczyła i się do niego.

Jegor powinien był zrobić jedno — rzucić się na zie- J mię, złapać piłkę i odrzucić ją dalej, co by go od razu włączyło do kompanii. Lecz nie rozumiał słów, na jakie nigdy nie natrafił w angielskich podręcznikach i zadał I pytanie według wskazówek, jak się zachować w takich | okolicznościach, zawartych w znanych mu książkach. ;

— Beg your pardon, sirl — zapytał.

To beg your pardon i w dodatku jeszcze sir wywołało i taki śmiech rozwydrzonych chłopaków, że zapomnieli piłce.

— Katzenjamer — jeden z urwisów nazwał go imie- w niem bohatera komiksów — kwaśna kapusta...

Jegor uciekł do mieszkania jak ugodzony kulą.

A więc doszło do tego, czego się tak obawiał. Został J wyśmiany, wydrwiono go wobec wszystkich. Jegor uni- | kał zatem przechodzenia obok krzyczących i hałasują- ; cych chłopaków w wyszywanych swetrach. Zazdrośnie . przyglądał się ich zabawom, ich zwinnemu bieganiu, za- J zdrośnie przysłuchiwał się radosnym śmiechom. Swoją | zazdrość i strach pokrywał nienawiścią i pogardą. Cie- J szył się, gdy któryś z chłopców pośliznął się i padał, gdy J ktoś źle rzucił piłkę.

Gdy zbliżał się rok szkolny, a dr Karnowski zaczynał mówić o szkole, Jegor drżał. Najbardziej bał się murów «

sal szkolnych, tego miejsca, gdzie go niegdyś tak ciężko | znieważono. Samo, słowo "szkoła" wpędzało go w taki J strach, że z każdym dniem tracił apetyt, źle sypiał, przez J sen krzyczał po nocach. Z rana tego dnia, kiedy miał po raz pierwszy pójść do szkoły, dostał wysokiej tempe- | ratury. Teresa przeraziła się i wezwała męża do łóżka | chłopca. Dr Karnowski zbadał go i stwierdził, że Jegor J go nie oszukuje, temperatura była podwyższona. Dr Kar- i nowski wiedział, że nie jest ona następstwem choroby, lecz zdenerwowania, lęku i kazał synowi ubrać się i iść do szkoły. Jegor spojrział na ojca z nienawiścią.

— Wszystko mi jedno — mamrotał — ale jeżeli zachoruję, ty będziesz winien.

Teresę zaniepokoiły słowa Jegora i patrzyła na męża błagającymi oczami. Dr Karnowski trwał przy swym zdaniu.

Siłą zaaplikował synowi gorzkie lekarstwo, będąc przekonany, że

przyniesie mu ono spokój i ulgę.

—Przyzwyczaj się do chłopców —i przepowiadał Teresie. — To go wyleczy.

Gorączka ustąpiła, jak przewidywał dr Karnowski. Lecz do szkoły Jegor się nie przyzwyczał. Wskutek utraty kilku lat nauki oraz nieznajomości nowego języka zaliczono go do niższej klasy. Przerośnięty, starszy od wszystkich chłopców, o głowę wyższy od całej klasy, bardzo się wstydził, że jest opóźniony w nauce i że mniejsi chłopcy patrzą ze zdumieniem na niego, starszego od nich i największego w klasie. Od razu przy pierwszej odpowiedzi ogarnął go niepokój z powodu swej angielskiej wymowy i starał się mówić wyraźniej i ostrzej. Im ostrzej wymawiał, tym śmieszniej to wychodziło i przypominało wymowę komików, którzy mówią po angielsku z niemieckim akcentem. Jeden z chłopców nie mógł się powstrzymać i roześmiał się. Potem śmiali się już wszyscy — chłopcy i dziewczęta. Zdenerwowany Jegor zaczął się jąkać, co jeszcze bardziej rozweseliło klasę.

Pan Barnett Levy, nauczyciel angielskiego, uspokoił uczniów uderzając kilka razy ołówkiem o stół, wytarł okulary, aby lśniły, przerwał lekcję i przemówił do klasy swym miękkim barytonem. Głos ten był narzędziem pana Levy'ego. Niskiego wzrostu, tęgawy, o kędzierzawych czarnych włosach, z wielkimi okularami na bardzo czarnych oczach i zbyt grubym i zgiętym żydowskim nosie, nie miał wielkich szans na to, by stać się ulubieńcem klasy będącej mieszaniną irlandzkich, żydowskich, niemieckich, włoskich i murzyńskich

chłopców i dziewcząt.

Lecz wystarczyło, by otworzył usta i mięsistymi wargami wymówił pierwsze słowa, aby wszyscy słuchali go w skupieniu i z zainteresowaniem. Najmniej bowiem można było się spodziewać, by tak aksamitny głos mógł należeć do tego tęgawego, niepozornego człowieczka. Dzięki niemu wydawał się wyższy, ważniejszy, piękniejszy. Słuchając go, uczennice się w nim zakochiwały. Pan Bamett Levy znał siłę swego głosu i użył go, by uciszyć chłopców i dziewczęta.

— Spokój, spokój, spokój — głąskał aksamitnym brzmieniem swego głosu.

Nauczyciel Levy nie denerwował się, jedynie głąskał. Zamiast złościć się na śmiejącą się z nowego kolegi klasę, przedstawił przyczyny, które sprawiły, że nowy uczeń musiał opuścić swą ojczyznę, gdzie posługiwał się własnym językiem, który był dla niego bliski i łatwy, i przybyć do nowego kraju, uczyć się innego języka i uczęszczać do niższej klasy. Dziewczęta bardziej niż chłopcy były wzruszone słowami nauczyciela.

Zadowolony, że tak szybko uspokoił klasę, zachwycony własną argumentacją, pan Bamett Levy przez lśniące okulary patrzył uśmiechniętymi czarnymi oczami prosto w oczy Jegorowi Karnowskiemu, by mu okazać sympatię i współczucie. Aby zakończyć sprawę w lekkiej tonacji i wynagrodzić za poważne przemówienie uczniów, zażartował, że choć akcent nowego ucznia nie jest całkiem amerykański, może z czasem poprawić się do tego

stopnia, że zostanie on nawet nauczycielem języka angielskiego, tak jak pan Barnett Levy, który jest synem krawca, żydowskiego imigranta.

Mrugnął do Jegora, co miało oznaczać, że się wzajemnie rozumieją, i że mu współczuje. Zamiast jednak odpowiedzieć uśmiechem wdzięczności, jak za tak dobrą obronę oczekiwał pan Barnett Levy, nowy przerośnięty uczeń spojrział na niego z wyrazem obcości.

— Nie jestem Żydem, sir — powiedział Jegor z goryczą nauczycielowi, który chciał go uznać za swego współwyznawcę.

Przez ealy czas, kiedy nauczyciel mówił o nim z takim współczuciem, Jegor Karnowski nie czuł wdzięczności do swego obrońcy, lecz złość i pogardę. Nigdy nie lubił tych kędzierzawych, niskich, brązowych ludzi w okularach, którym rasa wyzierała z twarzy i którzy przypominali mu, że jest jednym z nich. Przed oczami stanęły mu karykatury "stamtąd", na których przedstawiano Żydów jako intelektualistów o kędzierzawych włosach i w okularach. To, że ten kędzierzawy osobnik w okularach o kompromitującym nazwisku Levy, jakiego wstydzą się, i to słusznie, po drugiej stronie oceanu, jest obrońcą jego, Georga Joachima, Holbeka po matce, ubliżało mu, upokarzało. Najgorsze zaś było, że ten pan Levy przedstawił go wobec klasy jako Żyda, swego współwyznawcę. Jegor nie chciał być rodakiem tego kędzierzawego Levy'ego w okularach. I powiedział mu to w oczy wobec wszystkich, aby to wiedziano raz na zawsze.

Przez chwilę pan Levy czuł się niezręcznie, że ten przerośnięty,

starszy uczeń, za którym się ujął, wystawił go na pośmiewisko wobec całej klasy. Jak każdy Żyd, który wyczuwa innego Żyda, niezależnie od tego, jakby ten drugi się maskował, spostrzegł Żyda w tym chłopczku. Wiedział jednak, że klasa to nie miejsce na tego rodzaju dyskusje i całą sprawę obrócił w żart, aby zatrzeć niemiłe wrażenie.

— Zostawmy te sprawy specjalistom rasowym po drugiej stronie oceanu — powiedział. — My się takimi badaniami nie zajmujemy. Przechodzimy do lekcji.

Od tego czasu zaczęła się cicha obopólna antypatia między uczniem Jegorem Karnowskim a nauczycielem Bаметtem Levym.

Nienawiść, jaką Jegor żywił do nauczycieli, odkąd jeden z nich ciężko go obraził, wyładowywał na nauczycielu Levym, który się za nim ujął. W ten sposób chciał pozyskać sympatię jasnowłosych i jasnookich uczniów w klasie, do których pragnął się zbliżyć, lecz jednocześnie się ich lękał. Jegor Karnowski podzielił uczniów na dwie kategorie. Do pierwszej należeli jasnowłosi i jasnoocy, do których chciał się zbliżyć, być jednym z nich. Bał się jednak, by go nie obrażali za żydowską część jego istoty, którą "tam" tacy jak oni wyśledzili i upokorzyli go. Drugą kategorię stanowili ciemnoskórzy i ciemnoocy, których się nie obawiał, ale którymi pogardzał, nie chciał być jednym z nich, właśnie dlatego, że czuł z nimi wewnętrzną więź. Wobec pierwszych przejawiał przesadną uległość, drugim okazywał zbyt dużą zuchwałość. Chłopcy w szkole obie te strony — lęk i zuchwałość — w nim wyczuli. Rozbawieni, weseli, zwinni, hałaśliwi w trakcie zabaw w czasie przerw, swobodni, wy-, mieszani

między sobą, często nawzajem wymawiali sobie narodowość, lecz od razu o tym zapominali łapiąc piłkę, biegnąc i goniąc się. Nikt nikogo o nic nie podejrzewał. Ostrożność nowego ucznia, jego powściągliwość, poczucie niższości i zuchwałość, wstydlivość i duma, uległość i poczucie wyższości — wszystko to mąciło nastrój radości, krępowało, ciążyło i uczniowie stronili od prze-rośniętego i zarozumiałego chłopca, który mówił śmiesznym akcentem.

Widząc, że koledzy są wobec niego nieprzyjaźni, Jegor próbował się odkuć na nich pomniejszaniem znaczenia ich kraju i wywyższaniem tego, z którego przybył. Wiedząc, że jest to fałsz, chwalił, wynosząc pod niebiosa wszystko, co niemieckie — żołnierzy i policjantów, marynarzy i sportowców, z którymi ci z nowego kraju nie mogą się nawet równać. Bojąc się brać udział w zabawach i graniach, w czym od dzieciństwa dobry nie był, mówił, że nie chce się bawić, gdyż tutejsze gry nie są; warte marnego feniga i nie wypada mu się wygłupiać, uczestnicząc w nich. Bardzo to chłopców urażało, chcieli więc się z nim bić, by stwierdzić, kto komu potrafi bardziej dołożyć — Ameryka czy Europa. Jegor wezwania do bójek nie przyjął, więc chłopcy przewali go tchórzem i samochwałem. Dlatego często symulował chorobę, spóźniał się, byle nie oglądać nauczyciela Barnetta Levy'ego i nie spotykać się z rozbawionymi i wesołymi chłopcami i dziewczętami. Na złość Levy'emu nie chciał się przykładać do jego przedmiotu, nie odrabiał lekcji w domu. Dr Karnowski spostrzegł symulowanie choroby przez syna i powiedział

mu to. Jegora opanowała śmiertelna nienawiść do przenikającego go na wskroś ojca. Nie było sposobu, by ukryć się przed jego czarnymi, dociekliwymi oczami. Jegor bał się tych czarnych, drążących na wylot oczu Karnowskich, nienawidził ich. Bardziej jeszcze niż wzroku ojca nie cierpiał czarnych, przenikliwych oczu dziadka, który ich odwiedzał.

Dawid Karnowski pogrążył się w tydostwie jeszcze bardziej niż po tamtej stronie oceanu. Spiczasta bródka, jaka tam nosił, urosła do okazałych rozmiarów. Częściej rozmawiał po żydowsku niż po niemiecku, wtrącając wiele słów hebrajskich. Wciąż przypominał o żydostwie, o synagogach, przestrzeganiu szabasu i podobnych sprawach. Nagle też pojawił się w jego mowie żydowski przyśpiew, "żydłaczył" jak mieszkaniec ulicy Dragońskiej, co Jegora przepełniało złością i odrazą. Jeszcze więcej z klimatu ulicy Dragońskiej wносиła do domu babka Karnowska. Zaglądała do garnków, mówiła o koszernym mięsie, a jej język stał się tak bardzo mielnicki, że nie sposób go było zrozumieć. Najgorsze zaś było to, że nie przestawali z wnukiem rozmawiać o przyszłości.

— Cóż, chłopcze, uczysz się? — pytał Dawid Karnowski.

— Nie — odpowiadał ostro Jegor.

Dawid Karnowski siedział jak skamieniały.

— Niedobrze — mówił. — Rabi Elisza ben Abuja, wielki uczony i myśliciel, mawiał, że kto się uczy w młodości, ten jakby pisał na czystym papierze, kto się uczy w starości, jakby pisał na papierze brudnym i pomiętym.

— Jest mi, u diabła, obojętne, co jakiś rabin powiedział — Jegor zareagował jeszcze ostrzej, aby stary dotkliwiej to odczuwał i nie wyjeżdżał mu na przyszłość ze swoimi rabinami.

Dawid Karnowski, wzburzony, przepowiadał wnukowi, że jeżeli będzie dalej tak postępował, uchylał się od nauki i dobrych obyczajów, daleko w życiu nie zajdzie,. Dlatego musi zawczasu się opamiętać, aby wyrosnąć na przyzwoitego i szanowanego człowieka, jakim jest jego ojciec i wszyscy Karnowscy.

— Nie obchodzi mnie to — odpowiadał Jegor z wyraźną pogardą do rodziny Karnowskich, którą mu się stawia za wzór.

Lea Karnowska wyprowadzała z pokoju Jegora swego Tmęża, nie dopuszczając, by stracił panowanie nad sobą. Dobrocią, serdecznością, pieśczołą próbowała ująć rozdrażnionego wnuka. Wygrażając mu palcem za niewłaściwe zachowanie wobec dziadka, częstowała Jegora słodyczami, dobrym makowcem własnego wypieku, który mu przynosiła.

— Jedz dziecko, niech ci będzie na zdrowie — życzyła mu.

Jegora nie ujmowały ani jej słodycze, ani serdeczność. Podobnie nie akceptował kolegów, których, mu przysyłała, aby nie czuł się osamotniony w obcym państwie.

Lea Karnowska nie mniej niż Georg i Teresa troszj czyła się o swego Jegora, bolała nad jego osamotnieniem, starała się pozyskać dla niego kolegów, chłopców w jego wieku, którzy przybyli z tamtej strony oceanu i byliby dlań bliscy i swojscy. Za najlepszego do towarzystwa dla swego wnuka uznała Markusa Zielonka, syna Jonasa

i Rut Zielonków, wnuka Salomona Buraka.

Był kopią swej matki, łagodny, dobroduszny, sentymentalny. Siedemnastoletni Markus był chlubą rodziny Buraków. Bardzo pilny uczeń, najlepszy w klasie. Przyjechawszy do Ameryki zaledwie przed kilkoma laty, wziął się do nauki tak gorliwie, że przeskoczył klasę i każdego roku zdobywał wszystkie medale i odznaczenia. Nauczyciele bardzo go chwalili, raz nawet zamieszczono jego zdjęcie w prasie. Lea Karnowska usilnie pragnęła zaznajomić Markusa ze swoim wnukiem, obaj i przecież przybyli "stamtąd". Sądziła, że "udany" Markus ■ swą pilnością i sukcesami rozbudzi ambicje jej zanied-

"PflM

banego wnuka, wywoła uczucie zazdrości i naprowadzi go na swoją drogę.

Pamiętając, że między jej Georgiem a córką Salomona, Rut, miały niegdyś miejsce bolesne sprawy, Lea Karnowska nie była całkowicie pewna, czy Rut Zielonek pozwoli swemu udanemu synowi zachodzić do domu Georga i próbowała ją bardzo delikatnie wybadać. Rut w odpowiedzi wyczuwała Leę Karnowską i zażenowana wyznała, że przeciwnie, będzie bardzo rada zaprzyjaźnić się z młodymi Karnowskimi. Lea z kobiecą zręcznością doprowadziła do spotkania obu rodzin u siebie. Zarówno dr Karnowski, jak i Rut Zielonek spotkawszy się po tylu latach, czuli się z początku niezręcznie. Georg bardziej niż nakazywał obyczaj wypytywał Rut o jej grę na pianinie, w której w przeszłości osiągała sukcesy, zaś pani Zielonek okazywała

więcej przyjaźni niż należało Teresie Karnowskiej, trzymając ją za rękę. Pomimo tej niezręczności, oboje czuli się odprężeni i ogarnięci chęcią, by częściej i na dłużej to niezręczne odprężenie podtrzymywać.

Po pierwszej wizycie u Rut Karnowscy zaprosili do siebie Zielonków wraz z ich udanym Markusem.

Niepokojąc się, jak Jegor przyjmie obcych ludzi, nie mając pewności, czy zechce wyjść ze swego pokoju do gościa, dr Karnowski od razu wprowadził Markusa do pokoju Jegora.

— To jest Markus, a to Jegor — powiedział z żartobliwym uśmiechem, z jakim zazwyczaj starsi ludzie zwracają się do chłopców uważających się już za dorosłych. — Bądźcie przyjaciółmi.

Natychmiast zamknął za sobą drzwi, aby zaistniał fakt dokonany.

Markus Zielonek wyciągnął miękką, pełną ciepła, dobroci i przyjaźni do ludzi rękę. Był spokojny jak jego matka, miał łagodne, czarne żydowskie oczy i gęste czarne włosy. Jakkolwiek zewnątrz był zgoła niepodobny do swego dziadka, to jednak z każdego ruchu jego chłopięcego ciała i z jego delikatnej twarzy promieniowała dobroć Salomona Buraka.

— Hello, Jegor — powiedział po angielsku — rad jestem cię poznać.

— Georg Joachim — Jegor wymienił oba swe imiona, stuknąwszy przy tym obcasami i obserwując zimnym spojrzeniem swych błękitnych oczu łagodnego chłopca.

Nic mu się nie podobało w chłopcu, którego sprowadzono, aby był

jego kolegą w obcym mieście. Przede wszystkim nie podobało mu się jego imię i nazwisko — Markus Zielonek. Imię Markus brzmiało bardzo z żydowska i dlatego bardzo komicznie. Często widział je na szyldach sklepów kupców żydowskich — przybyszów “tam”. Jeszcze częściej imię to występowało w czasopismach satyrycznych wyszydzających tych kupców. Nie było ono wcale lepsze od imienia Moryc. Już samo to wystarczało, aby Jegor nie chciał mieć nic wspólnego z kimś, kto nosi takie imię. Poza tym zrażał go wygląd obcego. Średniego wzrostu, o łagodnych czarnych oczach, czarnej jak węgiel głowie, Markus Zielonek przypominał mu miękka, tłusta owcę. Okulary, które nosił wskutek ciągłego czytania i ślęczenia w książkach, nadawały mu wygląd starszego niż był i bardzo inteligentnego. Najgorsze zaś było to, że ten Markus Zielonek od razu zaczął mówić o książkach i nauczycielach oraz odznaczeniach i medalach za dobrą naukę.

Mimo że Jegor od początku spoglądał na obcego z niechęcią, gdyż reprezentował on wszystko, czego Jegor nienawidził w sobie samym, Markus Zielonek tego nie zauważał. Jak każdy łagodny, nie zadufany w sobie człowiek, któremu się dobrze powodzi i jest przez wszystkich chwalony, widział tylko siebie i swoje sukcesy. Markus lubił wszystkich i był przekonany, że jego też wszyscy lubią.

Jegora denerwowało pogodne usposobienie Markusa. Co gorsza, przy całej wzgardzie do niego, jego imienia wyglądu, zazdrościł mu jego radosnego usposobienia i sukcesu. Rodzice Markusa bezustannie się nim chwalili» opowiadali o jego

osiągnięciach w nauce, zaś jego, Jegora, matka i ojciec głośno wyrażali swój zachwyt. Nie tylko ojciec, lecz również matka. Słyszając te hymny pochwalne, Jegor czuł się bardzo poniżony. Im bardziej chwalono Markusa, tym bardziej wzrastało jego upokorzenie, które było tym większe, że spowodował je taki Markus Zielonek.

Jak zwykle w takich razach, upokorzenie próbował ukrywać pod zuchwałością, ironią. Z udaną powagą wypytywał łagodnego chłopaczka, czy wszystkie medale zostawił w domu, czy też nosi je przy sobie. Markus, zachwycony zainteresowaniem Jegora, dobrodusznie odpowiedział, że ma je przy sobie i może mu je wszystkie pokazać. Jegor przesadnie głośno mlaskał językiem, jak czynią starsi, żartobliwie zachwycając się prostodusznością dziecka. — Czy to wszystko? — zapytał z jawną drwiną.

— Dostanę więcej — naiwnie odpowiedział Markus.

Widząc, że zamaskowane strzały nie ranią przeciwnika, lecz jedynie go głaszczą, Jegor przeszedł do jawnego okazywania pogardy Markusowi i jego bliskim, którzy rozpływają się w zachwytach nad nauką, książkami i medalami. Właśnie dlatego, że wszyscy tak z żydowska się tym zachwycają, zaczął otwarcie drwić ze wszystkich profesorów, nauczycieli, molów książkowych, którzy Sjj jego zdaniem — nie są warci złamanego feniga i szkoda strzepić języka, by o nich mówić. Zarówno Markus Zielonek, jak i jego ojciec, Jonas Zielonek, dobry poznański kupiec, wielbiciel wykształcenia, a także jego żona Rut, szczęśliwa matka udanego syna, otworzyli szeroko

oczy słysząc tę bluźnierczą wypowiedź. Dr Karnowski widząc, że się na coś zanosi, chciał całą sprawę zbagatelizować, zanim nie jest za późno.

— Nie należy tego brać zbyt poważnie, moi państwo — powiedział z gorzkim uśmiechem. — Chłopięca gadanina.

Jegor stał się ostry jak sztylet. Jego słabym punktem było to, że nie traktuje się go poważnie, a to, co mówi, uważa się za chłopięcą paplaninę. Będąc przekonany, że ojciec nienawidzi go tak, jak on jego, był pewien, że w ten sposób ojciec chce mu dokuczyć, upokorzyć go

i poniżyć, zwłaszcza wobec ludzi. Dlatego sprowadził do niego tego Markusa w okularach, by wykazać jego wielkość i nicość Jegora. Po to zasiadł razem z tymi Zielonkami, by głośno wychwalać ich udanego syna, a jego, Jegora, poniżyć, twierdząc, że nie należy wysłuchiwać tego, co on mówi, gdyż jest to chłopięca gadanina. To było już zbyt wiele jak dla Jegora.

— Jestem już, u diabła, na tyle dorosły, by wiedzieć, co mówię — powiedział gorzko — i nie życzę sobie, aby mi zatykano usta...

Na przekór ojcu i wszystkim mieszał z błotem to, co dla tych ludzi było drogie. W swej złości i zdenerwowaniu używał słów mówców z tamtej strony oceanu, których nasłuchiwał się przez lata, i które dotąd tkwiły mu w pamięci. Ciskał gromy na wszystkich molów książkowych, którzy mącą w głowach i uwierają cudze mózgi, na cały arsenał żydowskiego intelektualizmu, którego w żaden sposób nie można się pozbyć, a który ciąży jak na plecach garb.

Wszyscy przy stole skamienieli, najbardziej Teresa Karnowska. Właśnie dlatego, że ona jedna nie była Żydówką, odczuwała głębiej cios, jaki tym ludziom innego pochodzenia zadano w jej domu.

— Och, Boże drogi — załamywała ręce.

Dr Karnowski chciał jak zwykle żartem ratować sytuację. Sprowadzając wszystko do drobiazgu, do chłopięcego gadania i nonsensu, ujął obu chłopców za ramiona i żartobliwie wypędził z mieszkania.

— Żadnej polityki — powiedział — lepiej pospacerujcie, urwisy.

Markusa Zielonka istotnie świerzbił język, by podjąć z wypowiedzią Jegora wielką dyskusję, w której mógłby wykazać całą swą wiedzę, lecz w swej łagodności chciał się zastosować do propozycji dr. Karnowskiego i wyjść na spacer z nowym kolegą. Ale Jegor odrzucił propozycję ojca jak coś obrzydliwego. Nie miał ochoty pokazać się na ulicy z tym łagodnym, bardzo żydowsko wygU" dającym Markusem w okularach. Przy nim wyraźniej wystąpi jego własna żydowskość, której się tak bardzo wstydzi i którą skrywa, jak tylko może. Markus Zielonek w swym zaabsorbowaniu i dobroduszości nie dostrzegł pogardy, jaką do niego odczuwał Jegor, uchwyciła ją jednak trafnie jego matka, bacznie go obserwując. Ożyła nagle dawna obelga, której doznała niegdyś w domu Karnowskich i nie mogła się opanować.

— Chodź, Markusie — powiedziała nagle, ujmując syna pod ramię — nie są ci radzi w tym domu.

Teresa Karnowska przywarła do ramienia Rut.

— Na miłość boską, proszę nie odchodzić — błagała.

Rut Zielonek nie dała się zatrzymać.

— Chodź, Jonasie! — wołała do męża. — Podaj mi płaszcz.

Dr Karnowski wiedział, że musi się opanować, nie może popełnić żadnego głupstwa, gdyż złość nie jest dobra w takich wypadkach, lecz nie mógł przewyciężyć gniewu i wybuchnął w obecności Zielonków.

— Przepraszam gościa! — polecił. — W tej chwili masz przeprosić gościa!

— Nnnnieee! — Jegor jękał się, jak zawsze, gdy był w stanie hysterii i wybiegł z pokoju, aby ludzie nie widzieli jego haiby.

Lęk przed jękaniem się w obecności obcych ludzi przygnębiał go i powodował, że jeszcze bardziej zamykał się w sobie. Jegor bał się wypowiedzieć choćby słowo. Jak długo siedział w domu z matką, rozmawiał płynnie, gładko. Gdy tylko stykał się z innymi ludźmi, stawał się niespokojny. Im mocniej obawiał się jękania, tym częściej się zacinał. Bardziej niż rozmów z mężczyznami lękał się zetknięcia z kobietami, choć czuł do nich pociąg. Przychodziła do nich, częściej niż pozostali członkowie rodziny wuja Harry'ego, jego jedyna córka Etel. Rozpieszczona, żywa, radosna, kochająca życie, rozpróżniona, gdyż prace w ich domu, nawet kobiece, wykonywali jej rośli bracia. Miała dużo czasu dla siebie i nieraz wpadała do Karnowskich, hałasując, śmiejąc się i uciekając tak nagle, jak nagle wpadała. Przyjemność sprawiał jej flirt z Jegorem. Dlatego, że wstydlivy chłopaczek był taki

nadęty i rozmawiał z nią brutalnie, bawiło ją zaczepianie go, deklarowanie swej miłości do niego, a nawet całowanie go w oczy.

— Wciąż ci się podobam, Jegor? — pytała pół żartem, pół serio, pamiętając, że ten chłopaczek powiedział kiedyś, że jej nie lubi, gdyż jest zbyt czarna.

Czując, że krew wre w nim pod wpływem każdego ruchu wesolej kuzynki, której brunatnoskóre, pełne wdzięku kobiece ciało tryskało ciepłem i życiem, okazywał jej obcość i niechęć. W jej rozbawionych czarnych oczach wyczytywał to, czego się lękał — drwinę z siebie. Jeszcze bardziej obawiał się swej angielskiej wymowy. Im bardziej nie był jej pewien, tym większą odczuwał obcość w ustach, jakąś suchość w gardle, wskutek czego wychodzące zeń słowa były chropawe. Tygodniami rozpamiętywał każdy ruch kuzynki, nocami marzył o niej, w snach całował ją i ścisnął, lecz gdy przebywał z nią na jawie, był niespokojny. Gdy próbowała go do siebie przytulić i bawić się jego rękami, dłonie natychmiast z niepokoju mu potniały i Jegor chował je do kieszeni tak, jakby ukrywał jakąś ułomność. Eteł śmiała się z niego. Prawiąc mu komplementy, że ma piękne błękitne oczy, które właśnie dlatego lubiła, że jej oczy były takie czarne, mówiła jednocześnie, że jest niezdarnym, nadętym, głupim jekiem, bałwanem, powtarzając wszystko, co słyszała od swej matki. Wymyślając mu, chwyciła go nagle za ręce i puszczała się w tany. Jegor gwałtem się wyrywał, nie ufał sobie obok tej zręcznej, szybkiej Eteł, której drobne nóżki latają po podłodze jak diabły. Obawiał się, że nadeptnie jej na nogi, bądź upadnie. Ogarniała go wieczna obawa,

by nie okazać się śmiesznym i oblewał się zimnym potem.

— Nie mam ochoty! — mówił brutalnie, aby ukryć swe poczucie upokorzenia.

Etel puszczała Jegora i podbiegała do dr. Karnowskiego.

— Nie odmówi mi pan, doktorze?

—| Co ci na myśl przychodzi, mała? -r- odpowiadał dr Karnowski i tańczył z nią tak umiejętnie jak niegdyś w salonie Moserów.

Etel zadzierała rączkę do ramienia wysokiego doktora i niewolniczo postępowała za jego krokami.

— Przyglądaj się ojcu i ucz się, jak być kawalerem — pouczała Jegora.

Jegor zazdrościł ojcu, że mimo swych lat jest jeszcze taki zwinny i pewny siebie w obecności kobiet. Paliła go zazdrość i zawiść. Uciekał i zamykał się na klucz w swoim pokoju, aby nie widzieć tej, której pragnął, lecz nie mógł sprawić, aby nie patrzeć na ojca, który samym swoim wyglądem, pracowitością, wyniosłością, spokojem, poniża go, czyni zeń osobnika bezwartościowego. Analizując własne postępowanie, swoje niedawne wysoki, Jegor żywił złość do siebie, czynił sobie wyrzuty, zastanawiał się nad swoją śmiesznością, nad ro-bieniem z siebie głupca i cierpiał z tego powodu, zadrećzał się, miał satysfakcję z samoudręki, jakby chciał wymierzyć sprawiedliwość winnemu, który na to zasłużył. W nowym życiu, w które w żaden sposób nie może wejść, zaadaptować się, nie widział żadnej przyszłości dla siebie.

Wiedział, że nikt za to nie ponosi winy, wyłącznie on sam i nienawidził swej osoby, wstydził się samego siebie, uważał za najgorszego z ludzi, który dręczy siebie i innych. Gdy przeglądał się w lustrze, wszystko budziło w nim sprzeciw: wzrost, zaniedbany wygląd, każda część ciała. Pokazywał sobie język, obrzucał się najgorszymi wyzwiskami. Matka przychodziła do niego, głaskała po twarzy, wicherzyła włosy. Jegor odrzucał te pieszczoty, choć ich pragnął.

—Nie rób tego — bronił się.

—Dlaczego, Jegor? — matka nie rozumiała. — Czy już mnie nie kochasz?

—Tak, lecz nie jestem tego wart — mówił skruszony i wypowiadał wszystko zło o sobie, mówił o swym upadku i upokorzeniu, o beznadziejności, zwątpieniu i niena-
wiści do siebie samego. Teresie łzy napływały do oczu, gdy słuchała tej ponurej opowieści swego syna.

—Niemądry chłopcze — wyśmiała go — cały świat stoi przed tobą otworem, powinienes być szczęśliwy w swej młodości. Jegor nie mógł tego słuchać.

—Wszyscy starsi ludzie tak mówią, lecz młodość nie jest radością, a męką — odpowiedział z goryczą. — Wy mnie nie rozumiecie, nikt mnie nie rozumie, kręcę się jak mysz w pułapce i nikt mej męki nie widzi, nikt.

—Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić, dziecko?

—prosiła Teresa.

— Nikt nic dla mnie nie może uczynić — odparł znękany cierpieniem Jegor. — Jedno mi tylko pozostaje — skończyć ze sobą. Nie będę więcej dla nikogo ciężarem, ani dla innych, ani dla siebie.

Teresa nie mogła dłużej wstrzymać łez, dała im upust. Jegor widział jak matka płacze, lecz nie przestawał mówić, wypowiadał jeszcze boleśniejsze słowa. W swym wielkim cierpieniu chciał widzieć bolejącą nad nim matkę. To mu uzmysławiało, że nie jest samotny w swej męce, że jest komuś drogi i dla kogoś ważny. Nagle ogarnęła go litość nad samym sobą. Uprzednią samo udrękę zastąpiło wielkie współczucie dla siebie, dla swej młodości. Zamiast mieć pretensje do siebie, usprawiedliwiał się, wszelką winę przerzucał na innych. Jak zwykle głównego winowajcę widział w ojcu i jego rodzinie, wszelkie zło pochodziło od nich. Tak twierdził wuj Hugo, nauczyciele "tam", prasa, książki, mówcy w radiu. Nawet sami Żydzi są tego zdania, piszą o tym.

Jegor ze szczególną dręczącą satysfakcją czytał, co żydowscy nienawistnicy pisali o sobie i o swych wadach, nadużyciach, niższości, hańbie. Była to zemsta nad tą stroną jego istoty, której nienawidził. W ten sposób oczyszczał się z oskarżeń i przerzucał je na ojca, który jest wszystkiemu winien. On go tu przywłókł, związał ze swymi pobratymcami, których on, Jegor nie mógł ścierpieć, nie znajduje z nimi wspólnego języka, nie może na nich patrzeć, denerwuje go ich wygląd, sposób mówienia, zachowania, samo ich istnienie.

Poczucie, że nie on ponosi winę za swą życiową klęskę, niepowodzenia, lecz ojciec i cała jego rasa, przynosiło mu ulgę w cierpieniu. Zamiast nienawiści czuł do siebie współczucie, litował się nad sobą za ogromną krzywdę, którą mu wyrządził ojciec. Poczul także litość dla matki, która cierpi niewinnie. To ojciec wtargnął w jej życie, w życie rodziny Holbeków, czystej, nieskalanej, oderwał ją od rodziny, od bliskich, od własnego kraju i ojczystego języka i wciągnął pomiędzy obcych, wrogich i odtrąconych.

—r Dlaczego to zrobiłaś, matko? — pytał wielokrotnie.

—Dlaczego za niego wyszłaś?

Teresa nie mogła tego słuchać.

— Jegor, nie wolno ci tak mówić o ojcu.

— Och, jak ja go nienawidzę — mówił w bólu — i on mnie nienawidzi również.

Teresa zatykała sobie uszy.

— Głupstwa mówisz, tatuś cię kocha nade wszystko w świecie.

— Nie, on mnie nienawidzi tak, jak ja jego — obstawał przy swoim Jegor. — Będzie tak zawsze, bo to tkwi we krwi, nie można tego zmienić.

Usiadł u nóg matki, całował jej rękę.

— Matko najdroższa — prosił — jedźmy do domu.

Teresa objęła go jak dziecko.

— Nie mamy już domu — powiedziała ze smutkiem.

— Nie mogę tu żyć i nigdy nie potrafię — mówił z żarem.

Mimo że Teresa nie chciała przypominać Jegorowi o upokorzeniu,

jakiego doznał po tamtej stronie oceanu, jednak musiała to zrobić.

— Jak w ogóle możesz mówić o tym, skoro tak bardzo cię tam skrzywdzono? — dowodziła.

— Sami pojedziemy — ciągnął namiętnie Jegor.

— Tylko ty i ja. Znów będziemy razem z babcią Hol-
bek, wyłącznie z Holbekami, a wuj Hugo już zadba, aby wszystko uległo
zapomnieniu...

W pragnieniu ucieczki od nowego życia, w którym nie mógł się zaadaptować, z lęku przed nim i obcą mu rzeczywistością, oddał się marzeniom, fantazjom, wmawiał sobie rzeczy niemożliwe, odległe, aby znaleźć usprawiedliwienie dla swej egzystencji. Im bardziej szukał ratunku w swym wyimaginowanym świecie, tym bardziej wierzył w jego realność, wmawiał sobie, że w niego wierzy. Był pewien, że gdy tylko matka podzieli jego zdanie i zechce odejść od ojca, zrezygnować z niego, zerwać wszelkie więzy z nim i jego bliskimi i wrócić z nim, Jegorem, do domu, do swego środowiska, do swej krwi, do swego kraju, rodziny, wszystko zostanie uzdrowione, zniknie jak zły sen. Wuj Hugo nieraz mu mówił, iż on, Jegor, jest Hol-
bekiem i że się o niego zatroszczy, będzie go bronił i tak wszystko urządzi, że Jegor będzie należał do jego bliskich, i czuł się jak równy wśród równych. Ta myśl tak go pochłoneła, że towarzyszyła mu w dzień i w nocy, w snach ponownie widział kraj swego dzieciństwa, dom babki Hol-
bek. Po znajomych ulicach wciąż maszerowali ludzie w granatowych koszulach, grały orkiestry, łopotały sztandary. Wraz ze wszystkimi maszerował wuj Hugo z nim,

Georgiem Joachimem Holbkiem. Kobiety ich oklaskiwały, młode jasnowłose dziewczęta rzucały im kwiaty pod nogi, a oni maszerowali, maszerowali, maszerowali.

Budził się z lękiem, gdy matka przerywała mu te sny i przypominała, że ma iść do szkoły, której się bał i dlatego jej nienawidził.

— Mutti — szeptał, tuląc się do jej rąk. — Mutti, pojedziesz przecież ze mną do domu. Mutti, powiedz tak.

Teresa poczerwieniała pod wpływem tych słów.

— Głupstwa mówisz, chłopcze — powiedziała. — Wiesz, że to nigdy nie nastąpi i zabraniam ci coś takiego mówić.

— Och, wiem, że nic dla ciebie nie znaczę — żalił się Jegor. — Wiem, że moje życie nic ma dla ciebie znaczenia. Dla ciebie on jest wszystkim!...

Widząc, że nic nie oderwie matki od ojca, nie zmoże jej oddania i miłości do niego, zapalał silnym pragnieniem — śmierci ojca.

Jakkolwiek zgraja w wysokich butach i brunatnych koszulach z Neukölln w północnym Berlinie bardzo się starała, aby stara Johanna, służąca dr. Landaua, odeszła od swego żydowskiego pracodawcy, nie zdołała nic wskórać. Przemawiali do jej "rozsądku", obrażali ją, grozili nawet karą za to, że ona, Aryjka, obsługuje żydowskiego krwiopicę i gwałciciela kobiet. Stara Johanna nic sobie nie robiła z gadaniny zbirów. Wyzywała ich od smarkaczy i pijaków. Była zbyt stara, aby można było zabrać ją z domu zgodnie z ustawami. I mimo że dr Landau nie był w stanie zapewnić jej dań mięsnych, które

zawsze lubiła, i musiała jak on jadać "zielsko", nie chciała odejść od niego. Wprawdzie nigdy nie aprobowała jego tacki na honoraria, jego sposobu odżywiania się, a przede wszystkim jego mycia się nago w jej kuchni, ale zostawić go teraz samego nie chciała.

Dr Landau ją wypędzał.

— Głupia, stara kobieto — tłumaczył. — Po cóż będziesz tu ze mną siedziała i głodowała? Idź raczej do swoich, będziesz miała swoje mięso i kawę.

:>J§ Co też pan plecie— złościła się jak zwykle stara. — Lepiej niech pan sobie wyczyści brodę z resztek jedzenia. Odkąd zabrano pannę Elzę i nie czyści już ona panu brody, ma pan zawsze w niej zielsko.

Pewnego dnia, gdy stara nie wstała z rana, jak zwykle, dr Landau wszedł do kuchni, gdzie stało jej żelazne łóżko.

—| Co jest, Johanno? — zapytał.

— Umrę — powiedziała spokojnie stara.

Dr Landau odgarnął brodę, aby mu nie przeszkadzała, nachylił się nad klatkę piersiową staruszki, by zbadać jej serce.

— Nie wstydz się, głupia gęś — żartował, gdy Johanna obiema rękami zakryła piersi. — Zobaczę tylko, co jest i dam lek. Nie będzie pohańbienia rasy. Proszę oddychać.

— Co pan też wygaduje — powiedziała stara i nie chciała oddychać. — Jestem stara, pora mi umierać. Nie potrzeba mi lekarza, lecz pastora.

Dr Landau zbadał jej puls. Był słaby, ledwo słyszalny. Stara nie oszukiwała, odłożył jej rękę pod połataną kołdrę.

—Dobrze, Johanno, sprowadzę ci pastora — powiedział.

Wszystkie zmarszczki na twarzy staruszki zajaśniały uśmiechem szczęścia.

—Niech pan idzie szybko, doktorze — szepnęła. — Wkrótce będzie za późno.

Choć dr Landau był niewierzący, szydzący z religii i kościelnych ceremonii, to jednak sprowadził do swego mieszkania pastora, aby nad umierającą Johanną odprawił ostatnie modły. Za pośrednictwem dozorczyń Krupy wezwał starsze kobiety z podwórza, którym wolno było przestąpić próg żydowskiego domu, aby obsłużyły zmarłą zgodnie z obowiązującymi obyczajami. Za ostatnie marki, jakie posiadał, pochował staruszkę. Szedł za jej trumną na cmentarz na Friedhof, a nawet grabarzom dał napiwek. Zatopiony w myślach wrócił do domu, w którym poza nim nie było już nikogo, aby sprzątnąć zaniedbane mieszkanie i przygotować sobie, po raz pierwszy w życiu, skąpy posiłek. Zastał mieszkanie czyste, łóżko zasłane, podłogi wilgotne po umyciu, stół uprzątnięty, każdy przedmiot był na swoim miejscu. Dr Landau kilkakrotnie pokiwał głową ze zdziwienia nad cudem, który się u niego wydarzył. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy w starym, zniszczonym koszyku Johanny, z którym latami chodziła po zakupy, znalazł wszystkie warzywa, które jadał — marchew, buraki, kartofle, a nawet butelkę mleka.

Dr Landau oburzył się, że mu podrzucano jedzenie. Jego złość

trwała jednak tylko chwilę. Po raz pierwszy w życiu ktoś mu coś dał, dotąd zawsze dawał on. Zawstydził się swej pychy, poczuł skruchę za zachnięcie się na ludzi, którzy wyświadczyli mu dobro. Usiadł przy umyтым stole, zjadał warzywa i popijał wodę. Od tego

—
czasu często, gdy wracał po długich spacerach/ zastawał mieszkanie sprzątnięte, nieraz też znajdował podrzucone pod drzwiami paczki — czasem było to trochę zielonego groszku, innym razem serek, butelka mleka. Dr Landau nie był już taki osamotniony, spożywając ubogie posiłki w swym dużym mieszkaniu. Świadomość, że w Neukölln, po tylu latach praktyki w tej dzielnicy, o nim nie zapomniano, a ludzie narażają się, pomagając mu po kryjomu, napawała go otuchą w ciężkich czasach.

— Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry — znów odpowiadał serdecznie mieszkańcom Neukölln, którzy narażali się, pozdrawiając doktora na ulicy podczas jego porannych spacerów.

Najczęściej pozdrawiał go Kohlemann, stary listonosz z tej okolicy. Miewał on od czasu do czasu list z więzienną pieczęcią dla "pana doktora". Pan Kohlemann, który znał wszystkich mieszkańców, dobrze wiedział, od kogo przychodzą te ostemplowane listy i choć rzadko nadchodziły, każdorazowo, gdy spotykał doktora, zatrzymywał się, rzekomo szukając listów w torbie, aby ukryć, że go pozdrawia.

— List, panie Kohlemann? — pytał zdenerwowany dr Landau.

^ Niestety, nie dziś, panie doktorze, lecz nadejdzie — pocieszał

Kohlemann starego — być może, że zamiast listu sama pani doktor wróci.

Dr Landau machał ręką.

— Straciłem już wszelką nadzieję, panie Kohlemann.

— Do widzenia, panie doktorze i nie tracić ducha -- mówił cicho pan Kohlemann zrzucając torbę na ramię.

Listonosz Kohlemann trafnie przepowiedział. Pewnego wieczoru, gdy dr Landau przy czarnej żelaznej kuchni przygotowywał warzywa na kolację, otworzyły się drzwi, których od dawna nikt o tak późnej porze nie otwierał, i weszła Elza. Dr Landau stanął z nożem kuchennym w ręce jak skamieniały, widząc przed sobą skurczoną córkę z pasami siwizny w miedzianych włosach. Równie skurczony, wygnieciony i znoszony był jej płaszcz i paczuszka, którą trzymała w ręce.

Dr Landau przypadł do niej z nożem w ręce. Elza, jak zawsze opanowana, trzymała się dzielnie.

— Na litość boską, nie z nożem w ręce, ojcze — ostrzegała.

Wyjęła nóż z jego drżącej ręki, jak zabiera się niebezpieczny przedmiot z rączki dziecka, potem rzuciła mu się na szyję, szukając ust w gęstwinie brody i wąsów.

— Papachen, dobry stary papachen powtarzała w kółko.

— Mała, biedna dziewczyno, dziecino — pojękiwał stary, pieszcząc ją i głaszcząc jej miedziane, przetykane siwymi pasmami włosy.

Choć Elza bardzo ostrożnie wśliznęła się wieczorem do mieszkania

ojca, dr Landau znalazł rano nie jedną, lecz dwie butelki mleka i małą wiązkę kwiatów. Elzie łzy napłynęły do oczu, gdy ojciec podał jej skromną wiązkę z przyczepionym skrawkiem papieru z napisem: "Witamy, Neukölln", lecz wszelkimi siłami starała się opanować do tego stopnia, by jej powieki pozostały suche. Po kilku latach więzienia była bardziej niż przedtem praktyczna, chłodna i opanowana. Energicznie wyprzedawała wszystko, co było w domu, każdą zbędną suknię, i zdobyła w ten sposób trochę pieniędzy. Z równą werwą biegała po konsulatach i urzędach i wydosłała wizy dla siebie i ojca. Dr Landau nie chciał być córce ciężarem i nalegał, aby przede wszystkim ratowała się sama. Jest już stary i dokona życia tu. Neukölln będzie mu dawać trochę' zieleniny. Elza poleciła mu, by bez protestów robił to, co ona każe. Postępowała z ojcem jak z dzieckiem, okazując mu wyrozumiałość i nakazując, jak ma się zachować. Ze skąpym bagażem ubrań i bielizny, z kilkoma medycznymi instrumentami starego w skrzyneczce, z tacką, na której składano honoraria i z dużą wiązką kwiatów, którą mieszkańcy Neukölln w ostatniej chwili podrzucili pod drzwiami, ojciec i córka opuścili robotniczą dzielnicę północnego Berlina i wyjechali do Hamburga, gdzie wsiedli na transatlantycki statek. Przez całą drogę Elza nie przestawała w swej torbie sprawdzać, czy ma oba zagraniczne paszporty oznaczone literą "J" na dowód, że zostały wydane Żydom. Tak samo pilnowała znikomej sumy papierowych marek, które jej pozostały po opłaceniu biletów na podróż, wiz i cła — czterdziestu marek, po dwadzieścia na osobę. Tyle pozwolili jej

chuligani w brunatnych koszulach wywieźć z kraju.

Podobnie jak w Berlinie, gdzie mieszkali w ubogiej dzielnicy, również w Nowym Jorku zajęli na niebogaty Manhattan, blisko Harlemu, i wynajęli tani pokoik w hotelu. Wyszukali małą, skromną wegetariańską restauracyjkę, gdzie mogli tanio spożywać swoją odżywczą zieleninę.

Dr Landau w wielkim, hałaśliwym, obcym mieście czuł się zagubiony jak dziecko. Elza bardzo szybko zorientowała się w rozmieszczeniu ulic, kierunku, dokąd wiodą, w każdej odnodze arterii rozgałęzionego miasta. W ciągu kilku lat pobytu w więzieniu nie próżnowała. Przygotowywała się do wyjazdu do nowego kraju, czytała książki na temat jego historii i dnia dzisiejszego, ustroju i ładu, geografii i ekonomii. Uczyła się też języka kraju, do którego miała nadzieję kiedyś przybyć. Stronę po stronie wyuczyła się na pamięć słownika. Przeczytała wszystkie książki angielskie z więziennej biblioteki — ód Biblii do powieści. Dr Landau dziwił się, słysząc, jak córka płynnie rozmawia z ludźmi w nowym kraju, jak szybko orientuje się w placach i w ulicach. Był wręcz zaskoczony, gdy po tygodniu od ich przyjazdu do Nowego Jorku zaprowadziła go do wielkiej zatłoczonej sali, gdzie dr Elza Landau, była deputowana do Reichstagu, wygłosiła referat

Znów były światła, oklaski, pozdrowienia i muzyka, fotoreporterzy robili zdjęcia pani doktor. Dr Landau przecierał oczy, jakby nie dowierzał, że to, co widzi, jest rzeczywistością. Elza czuła się tak swobodnie i na miejscu, jakby nic nie przeszła w ciągu tych kilku lat,

jakby znów przeżywała jeden ze swych triumfów z pierwszych powojennych dni. Dźwięcznym głosem, pewnie i dobitnie wzywała, by nie zaprzestawać walki, lecz kontynuować ją | do ostatecznego zwycięstwa. Tłum klaskał, nie pozwalał jej zejść z mównicy. Nazajutrz w prasie ukazało się jej zdjęcie. Reporterzy przychodzili do niej po wywiady. Elza rozmawiała z nimi płynnie w ich języku. W małym, biednym hotelu dźwięczało wiele telefonów do dr Elzy Landau. Dzwoniono z różnych komitetów kobiecych, towarzystw. Elza coraz częściej zaczęła zamawiać dla siebie i ojca nie tylko zupy jarzynowe, lecz potrawy jajeczne, ciasta i różne smaczne jarskie dania. Znalazła też przyzwoitszy hotel i wynajęła dwa pokoje, jeden dla siebie, drugi dla ojca. Żartując, czyściła mu brodę z resztek dobrych, tłustych dań w wegetariańskich restauracjach.

— Nie bądź taki nadęty, stary, dobry, komiczny papachen -S strofowała go. — Uśmiechnij się do swej małej Elzy.

Dr Landau nie chciał się uśmiechać.

Jak po tamtej stronie oceanu, tak i tu nie mógł znieść wrzawy wokół jego córki. Nie znosił przemówień, oklasków. Nigdy nie było jej w domu, zawsze gdzieś biegała, wracała późną nocą. Nieustannie miewała konferencje, zebrania, spotkania. Co pewien czas wyjeżdżała z miasta na kilka dni, a nawet tygodni. Dr Landau czuł się w obcym mieście bardzo osamotniony. Nie znał języka, błędził, gdy próbował odbywać rankami długie spacerunki. Chciał jak niegdyś być razem z córką. Miał nadzieję, że zajmie się teraz medycyną, będzie razem z nim pracować. Przechadzając się po gęsto zaludnionych ubogich

ulicach pełnych Murzynów, Hiszpanów, Portorykańczyków, obdartych dzieci, odczuwał gwałtowną potrzebę wynajęcia tu małego mieszkania, wyłożenia na stół narzędzi, postawienia w kąciku tacy na honoraria, zagładania do dziecięcych gardziolków — jak przez wszystkie lata po tamtej stronie oceanu.

— Elzo, wciąż nie zmądrzałaś — mówił do córki. — Posłuchaj mnie i weź się za medycynę. To twój zawód.

— Nie, papachen — obstawała przy swoim Elza. — I Lekarzy i beze mnie jest wielu. Bojownicy są nieliczni.

Widząc, że nie dojdzie z córką do porozumienia, próbował sam rozpocząć na nowo praktykę. Ze swym wielkim lekarskim arkuszem dyplomowym w ręce szedł od instytucji do instytucji, po niemiecku opowiadał o swej wieloletniej praktyce po drugiej stronie oceanu i mówił, że pragnie ją wznowić w nowym kraju. Żądano jednak od niego złożenia egzaminów, i to w języku angielskim. Dr Landau był rozczarowany, nowy język był dla niego tak obcy, że nie był nawet w stanie zamówić czegokolwiek w wegetariańskiej restauracji, gdy Elza nie szła tam razem z nim.

Elza mu perswadowała, że nie powinien myśleć o pracy, gdyż ona, córka, zabezpieczy wszelkie jego potrzeby. Niech tylko rankami spaceruje, odpoczywa po latach ciężkiej pracy. Jeżeli nie czuje się dobrze będąc sam, wynajmie mu pokój przy rodzinie "stamtąd", gdzie będzie mógł rozmawiać po niemiecku, będą mu gotować jego ulubione potrawy i opiekować się nim. Dr Landau się oburzył.

— Nie chcę odpoczywać! — krzyczał. — Nie jestem jeszcze

niedorajdą, abym miał tylko jeść i drzemać.

— Papachen, nie gorączkuj się — uspokajała go Elza. — To dla ciebie niezdrowo.

— Jaja niech nie uczą kur — dr Landau ze złości stukał laską. — Sam wiem, co jest dla mnie dobre.

Błądząc i chodząc po ulicach, do których wciąż nie mógł się przyzwyczaić, wypytując swym niemieckim narzeczem z Neukölln młodych i starych, włókł się do różnych instytucji, komitetów, działaczy społecznych, wszędzie rozwijając swój stary dyplom.

— Proszę o jakąkolwiek pracę za jakąkolwiek płacę, byle coś robić — molestował.

W pewnym Komitecie wysłuchano go.

— Czy wie pan coś na temat kur, doktorze? — zapytano.

Dr Landau pogłaskał brodę.

— Nieszczególnie, lecz zawsze interesowałem się stworzeniami. W Neukölln leczyłem nie tylko ludzi, lecz również zwierzęta. Przyprawiano do mnie chore psy, koty, króliki, gołębie. Ludzie w Komitecie spojrzeli po sobie.

. ~ Potrzebny jest nam pracownik do kurzej fermy. Nie wiemy jednak, czy w pańskim wieku podoła pan tej pracy.

Dr Landau rozgniewał się, jak zawsze, gdy przypominano mu jego wiek.

— Proszę podać mi rękę, drogi panie — poprosił starszego mężczyznę z komitetu.

Moją rękę? — zdziwił się mężczyzna. — Po co panu moja ręka?

— Proszę się nie obawiać. Nie zbadam panu pulsu

— odrzekł dr Landau. — Proszę po prostu podać mi rękę.

Starszy mężczyzna ostrożnie wyciągnął rękę, jakby miał przed sobą murzyńskiego czarownika, który chce zademonstrować jakąś sztuczkę.

Dr Landau ujął wyciągniętą dłoń i tak ją uściskał, że mężczyzna z komitetu krzyknął z bólu. Dr Landau puścił jego rękę.

— Czy jestem stary? — zapytał triumfującym tonem.

— Myślę, że spróbujemy pana zaangażować—odpowiedział z uśmiechem mężczyzna, klepiąc doktora po plecach.

Nie pomogły żadne argumenty przytaczane przez Elżę. Musiała spakować rzeczy ojca i puścić go do kur. Dr Landau założył aksamitne spodnie, w których latami udawał się na spacer, mocne buty z grubymi podeszwami, grubą lnianą koszulę i ciesząc się jak chłopiec czekającą go podróżą, wsiadł do pogruchotanego, dwusiedzeniowego wozu, który zajechał po niego z kurzej ферmy.

— Dziadku, podaj rękę, to pomogę ci wleźć do wozu

— powiedział kierowca w skórzanej kurtce.

— Nie potrzebuję pomocy, młodzieńcze —■ odparł urażony dr Landau i szybko wskoczył do wozu.

— Stary, masz jeszcze pep — powiedział kierowca z podziwem.

Komplement młodego człowieka sprawił przyjemność dr. Landauowi. Gdy wyjechali za miasto, a wiatr na otwartej przestrzeni rozwiały jego siwą brodę i włosy, poczuł się rześki i silny jak młodzieniec. Pierwsze krowy, które zobaczył pasące się na łąkach, uradowały go. Nie

odczuwał już obcości w nowym kraju. Ryczenie krów, meczenie owiec, rzenie koni było swojskie, rodzime. Garbate wzgórza i skalne ściany tchnęły wiecznością prapoczątku świata. Dr Landau czuł ich milczącą moc i odwieczną tajemnicę, zanucił więc starą góralską pieśń, którą pamiętał jeszcze z czasów studenckich.

Nazajutrz już o brzasku rzucił się w wir pracy. Ruchliwy, z białą brodą i takimiż włosami, zręcznie, jak młodzieniec, uwijał się wśród białych jak on kur. Błyskawicznie uchwycił różnicę między chorym a zdrowym ptactwem.

Po pracy z apetytem zajadał swe warzywa i jaja, popijając je dużą ilością źródlanej wody. Wiezorami leżał na łóżku w izdebce obok garażu i czytał książki o hodowli kur, o które wystarała się dla niego Elza. Wiedzę

kurach zdobywał z gorliwością pilnego studenta, wkładał w to tyle wysiłku, jakby dopiero miał rozpocząć zawodowe życie. Z każdym dniem dowiadywał się czegoś więcej o kurach, ich nawykach, kaprysach, chorobach

lekach. Jak niegdyś pacjentów, tak obecnie polubił kury, od pierwszego wejrzenia rozróżniał chore wśród zdrowych. Z wielkim oddaniem pielęgnował chore ptactwo w pomieszczeniu, w którym przetrzymywano je, izolując od pozostałych kur.

— Nie dziobać się, głuptyasy — rugał rozbijaków. — Starczy ziarna dla wszystkich.

Był śmiertelnym wrogiem handlarzy kur, którzy przyjeżdżali i wywozili setki, tysiące kur na rzeź dla okolicznych letnisk i hoteli.

Przeraźliwe gdakanie młodych kur rozdzierało mu serce.

pep — ang. wigor

W niedziele odwiedzała go Elza i było to dlań święto. Jak niegdyś, gdy była studentką i wędrowali w dni świąteczne po okolicy, tak teraz wędruje z nią po górach. Elza podtrzymuje ojca, gdy wchodzą po stromym zboczu, j

— Powoli, papachen — ostrzega go.

— Jaja niech nie uczą kur, głupia gęś — złościł się na nią stary. — I nie oddychać ustami, lecz nosem, nosem, nosem...

Elza wspomina ubiegłe lata, gdy wraz z nią wędrował Georg Karnowski i westchnienie wyrywa się z jej piersi.

— Co się stało Elzo? pyta dr Landau.

— Nic, nic papachen i aby ukryć swe myśli, opowiada o podróżach po miastach i miasteczkach, o swych prelekcjach i konferencjach.

Dr Landau nie chce o tym słyszeć.

— Gdybyś mnie posłuchała, osiedliłabyś się raczej na fermie, razem ze mną || mówi.

|||p Z kurami? — pyta żartem Elza.

— Tak, z kurami — mówi stary. — Z kurami sprawa nie przedstawia się tak prosto, jak sądzimy. Jest znacznie bardziej interesujące zajmować się nimi, niż ludźmi...

Elza czyści brodę ojca z resztek jedzenia.

— Nigdy już nie nauczysz się utrzymywać brody w porządku — strofuje go.

Z każdym dniem pogłębiała się niechęć między uczniem Jegorem Karnowskim a nauczycielem Bаметtem Levym.

Pan Barnett Levy jako doświadczony pedagog próbował wszelkimi siłami ukryć antypatię do przerośniętego ucznia, który go nie znosił. Jegor Karnowski swą nienawiść do pana Levy'ego demonstrował otwarcie przy każdej sposobności. Nigdy normalnie nie odpowiadał na jego pytania, lecz zawsze ironicznie, aby obrazić nauczyciela. Nigdy przy tym nie patrzył na niego, a gdzieś w bok. Odrabiał lekcje bardzo niestarannie. Gdy Jegor zbyt otwarcie wykazywał swą nienawiść, pan Levy stracił właściwą nauczycielowi cierpliwość i doszło do starcia.

Zdarzyło się to w czasie lekcji, na której omawiano bitwę w Lasach Argońskich. Pan Levy entuzjastycznie opisywał walkę atakujących oddziałów amerykańskich z uciekającymi wojskami cesarskimi. Nauczyciel ze szczególnym zadowoleniem opowiadał o tej bitwie, gdyż w niej uczestniczył, z czego był bardzo dumny. Na każdym zjeździe weteranów wojennych paradował w małej czapeczce, w dopasowanym mundurze żołnierskim, który omal nie pękał na jego niskim, tęgim ciele i wciąż na nowo opowiadał towarzyszom broni o tej bitwie, przypominał sobie różne szczegóły, mówił o niej cuda. Często również wspominał o tej bitwie w swoim domu, w czasie spotkań z przyjaciółmi. Im stawał się starszy i tęższy, a jego postać coraz mniej harmonizowała z bohaterstwem żołnierza, tym więcej opowiadał o frontowych historiach. Ze szczególną satysfakcją opisywał więc teraz tę bitwę uczniom w szkole.

Odmalowywał ją miękkim, aksamitnym głosem ku chwale własnych oddziałów, wśród których znajdował się on, Barnett Levy, i ku hańbie cofających się wrogich wojsk. Aksamitny głos nauczyciela irytował Jegora Karnowskiego jak zgrzyt tępej piły. Od swego wuja słyszał coś całkiem innego o tej bitwie. Porucznikowi Hugonowi Holbekowi, który w tej bitwie uczestniczył i należał do uciekających, tkwiła ona jak kość w gardle, której nie mógł wypluć ani połknąć. Miał jedno usprawiedliwienie przegranej walki — nóż w plecy, który w polu wbito bohaterskiej armii z zaplecza. Jegor zapragnął tę opinię przekazać niskiemu, kędzierzawemu panu Levy'emu, który zmiażdżył niemieckie oddziały.

— Sir — przerwał nauczycielowi swą cudzoziemską angielszczyzną — gdyby nie cywilni zdrajcy, którzy wbili armii nóż w plecy, oddziały niemieckie nigdy by się przed nikim nie wycofały.

Pan Barnett Levy, który zazwyczaj nie wpadał w gniew, gdy mu uczeń przerywał, gdyż lubił dyskusję, tym razem nie mógł pozostać obojętnym, próbowano bowiem poddać w wątpliwość jego ocenę bitwy w Lasach Argońskich, bitwy, w której uczestniczył. Nade wszystko nie chciał słyszeć historii o nożu wbitym w plecy.

— Kim byli cywilni zdrajcy, którzy wbili armii nóż w plecy, Karnowski? — zapytał ironicznie.

— Och, wszyscy wrogowie armii — odpowiedział Jegor. — Gdyby nie oni, bohaterskie oddziały nie zostałyby pokonane.

— Gdyby kozioł miał wymię, dawałby mleko — zażartował pan

Levy.

Klasa, zazwyczaj zadowolona, gdy któryś z chłopców wszczywał spór z nauczycielem, tym razem cała była po stronie pana Levy'ego, gdyż bronił własnych oddziałów i śmiała się z przytoczonego przez nauczyciela przykładu. Jegor od razu poczuł się zagubiony, jak zwykle, gdy z niego drwiono i zapłonął się.

— Sir, ja mówię poważnie, a pan żartuje! — zarzucił panu Levy'emu, patrząc na niego z nienawiścią w błękitnych oczach.

Nauczyciel uspokoił uczniów i starał się zachować powagę. Wiedząc, że przykłady z dziedziny sportu najbardziej przemawiają do uczniów, opowiedział o walce między dobrym bokserem a niedołągą.

— Ten pierwszy uderza silnie i celnie, pobity niedołąga zaś ma pretensję, że mu podstawiono nogę, że zadawano zbyt nisko ciosy, że źle go potraktowali sędziowie, którzy wcześniej dogadali się z przeciwnikiem. Ważny jest jednak wynik, a nie różne "gdyby", czyż nie tak?

— Tak, sir — grzmiała klasa, spoglądając z ironią na zdruzgotanego obrońcę pokonanych.

Pan Levy uderzył ołówkiem w stół, aby uciszyć klasę i wrócił do lekcji. Wszyscy słuchali spokojnie z wyjątkiem Jegora Karnowskiego.

Wiedząc, że ze względu na swą niemiecką angielszczyznę, która rozśmiesza klasę, a także ze względu na swe roztargnienie, z powodu którego traci pewność siebie i nawet zaczyna się jąkać, nie może toczyć walki z nauczycielem, postanowił się jednak nie poddawać. Wiedział również, że sporami z nauczycielem sam sobie szkodzi, lecz

coś go do tego parło, jak okaleczonego do rozdrapywania własnych ran. Zawsze miał skłonność do samoudręki, do postępowania na przekór sobie, odmawiania sobie tego, co może być dlań korzystne i uganiania się za czymś, co może przynieść cierpienie i ból.

Pan Levy w dalszym ciągu lekcji nie tylko opowiadał o wycofywaniu się niemieckich żołnierzy, lecz również o zwolennikach nowego ładu po drugiej stronie oceanu, o ich ustawodawcach i ustawach, władcach i panach. Jegor wiedział, że to, co mówi pan Levy, jest prawdą, bardziej od innych na własnej skórze odczuwał bicz nowych władców "stamtąd", lecz to, że tę prawdę wypowiedział pan Levy, wystarczyło, aby postradał rozsądek.

— Sir — przerwał mu ponownie — nie powinien pan tak mówić o moim kraju.

Pan Barnett Levy wpadł w gniew.

— Karnowski, jesteś w Ameryce, wobec tego jesteś Amerykaninem! — odpowiedział ostro.

Jegor Karnowski wiedział, że powinien teraz milczeć, lecz nie mógł, krew uderzyła mu do głowy, leciał w przepaść.

— Skoro raz byłem Niemcem, zawsze nim pozostanę — powtórzył to, co tylekroć "tam" słyszał.

Pan Barnett Levy, który sam będąc Żydem, wyczuwał, niezależnie od tego, jakby się ktoś maskował, drugiego Żyda, nie był zachwycony sloganem Jegora.

— Sądzę, że władcy po drugiej stronie oceanu mieli inne zdanie, Karnowski... — szydził ku uciesze klasy

— w przeciwnym razie nie wysłaliby cię tu.

— Nie jestem Żydem, panie Levy — wykrzykiwał gniewnie Jegor, kładąc nacisk na nazwisko nauczyciela, by tym samym podkreślić jego żydowstwo, a zarazem obrazić.

— To nas nie interesuje — przerwał mu pan Levy.

— Interesuje nas jedynie nauka i zachowanie ucznia. Proszę usiąść na swoim miejscu.

Jegor zaczął się zuchwale jąkać. Pan Levy nie pozwolił mu na mamrotanie.

— Proszę opuścić klasę — polecił Ig a jutro rano zgłosić się do dyrektora.

Jegor nie spał przez całą noc, niepokojąc się z powodu czekającego go spotkania z dyrektorem.

Z drugiej strony, mimo niepokoju, spodziewał się wiele po tym spotkaniu. Dotychczas nie zetknął się z dyrektorem, widział go tylko kilka razy, żywił jednak dla niego wiele szacunku, sympatii i podziwu. Wysoki, smukły, o czerwonej opalanej i ogorzałej od wiatru twarzy, o jasnoblękitnych oczach i jasnych włosach koloru słomy, zbyt jasnych i gęstych jak na mężczyznę po pięćdziesiątce, dyrektor — pan Van-Loben — przypominał raczej kapitana okrętu, wilka morskiego, niż dyrektora szkoły. Wszystko — wygląd, nazwisko, nawet fajka, której nigdy nie wypuszczał z ust, tak, że wydawało się, że jest przyrośnięta do jego dolnej wargi — wywoływało podziw Jegora. Po panu Levym, jego czerni i kędzierzawości, imponująca postać pana Van-Lobena zyskała jego

szczególnej sympatię. W ten sposób przedstawiano na ilustracjach "tam" prawdziwych Germanów, ludzi północy najczystszej krwi.

Jegor był przeświadczony, ||

Bpodobnie jak on do dyrektora, tak dyrektor poczuje sympatię do niego, zrozumie go. Jegor starał się zatem zrobić Hna nim jak najlepsze wrażenie.

Już od progu trzasnął obcasami, jak umiał najładniej Hi wyprężył się jak struna. Chciał w ten sposób zademon- Hstrować panu Van-Lobenowi, że jeśli nie okazuje dość |_szacunku w szkole, to tylko dlatego, że ma do czynienia z Levymi i podobnymi mu osobnikami, lecz gdy spotykają się tacy dwaj mężczyźni jak dyrektor i on, swoi i bliscy, rozumieją się wzajemnie i okazują sobie szacunek we właściwej formie.

— Georg Joachim Holbek Karnowski melduje się z szacunkiem — wymienił jako pierwsze nazwisko matki Holbek, aby przyćmić nazwisko ojca.

Lecz pan Van-Loben machnął ręką.

— Well, well, well — mówił szybko, uśmiechając się ironicznie. — U nas te wszystkie formy nie mają znaczenia, młodzieńcze, usiądź i powiedz, jak się nazywasz, ale tylko jedno imię wymień, abym zapamiętał.

Jegora pierwsze niepowodzenie do tego stopnia oszołomiło, że nie usiadł. Pan Van-Loben ujął go za wąskie ramiona jak chłopczyka i posadził na krześle.

— O tak — powiedział z dobroduszną ironią i sam tak

gwałtownie rzucił się na krzesło, że aż pod nim zajęczało. Wyciągnął wygodnie nogi, spod niedbale opuszczonych skarpetek widać było nagie łydki, spojrzął na papier na stole i zapalił zgaszoną fajkę.

— Jakież to sens ma wojna z panem Levym, młodzieńcze? — zapytał z udaną powagą, w której widoczna była ironia.

Jegor odkaszlnął i zaczął mówić. Plącząc się, niejasno, długimi zdaniami, tłumacząc z niemieckiego, gdyż w tym języku wciąż myślał, w zawilej książkowej angielszczyźnie, często przy każdej sposobności wplatając sir, otworzył przed roslým mężczyzną swe pełne goryczy serce, wyznał wszystkie swe wewnętrzne cierpienia, których nikt nie rozumie i nie może zrozumieć, gdyż są to jego wewnętrzne, głębokie problemy, nie dla każdego

I pojęte. Pan Van-Loben palił bez przerwy fajkę, aby ukryć ziewanie z nudów. Mimo że był wieloletnim pedagogiem i i dyrektorem znakomitych szkół, nie lubił mieć do czynienia z uczniami przeżywającymi problemy. Ze swawolnymi chłopcami radził sobie. Będąc wesołego usposobienia, łatwo porozumiewał się z uczniem, który strzelał w nauczyciela papierową strzałą lub który popełnił coś niedozwolonego. Zamiast gniewać się za wykroczenie, I nakręcał uszu, dawał prztyczka w nos lub kuksańca w bok, traktował ucznia po koleżeńsku, a rozwydrzony I chłopak nagle się zawstydział swoich błazeństw i przyrzekał poprawę. Dyrektor znajdował właściwy sposób rozmowy nawet ze złodziejaskami i rozbijakami. Wysoki siłacz, amator soczystych słów, niekoniecznie literackich, często ulicznych, które nie przystoją dyrektorowi i szkoły, pozyskał sobie uczniów,

którzy silili się na brutalność na przekór przyzwoitemu światu.

Udręką dla niego było natomiast mieć do czynienia z uczniami przeżywającymi problemy.

Syn ubogiego farmera, który miał dom pełen dzieci i po kilku zmarłych żonach, pan Van-Loben od chłopięcych lat sam układał swoje życie. Odnosił klientkom paczki ze sklepów spożywczych, na statku, który krążył ze wschodu na zachód, był chłopcem do podawania pitek, wędrował latem po kraju, pomagając farmerom w koszeniu siana, dla związku portowców powiełał na hektografie gazety. Sam zarabiał na chleb i sam uczył się w wolne wieczory, ukończył college, został nauczycielem — zawód ten w najmniejszym stopniu nie od- i powiadał jego wyglądowi i pochodzeniu. Dzięki swej pracy został dyrektorem szkoły. Wesoły, znawca ludzi z różnych narodów i ras, z którymi stykał się w życiu, od najmłodszych lat przyzwyczajony do tego, że bywa różnie, źle i dobrze, przywykł do różnych warunków życia i zwykł sam załatwiać swoje sprawy, doznawać ciosów i wymierzać ciosy, bić się z ludźmi i godzić się z nimi, własnymi rękami wszystko w życiu zdobywać. Pan Van-Loben wiedział, że nie należy mieć do nikogo pretensji, że trzeba sobie samemu pomagać, walczyć o wszystko i oburzał się, gdy płaczliwi chłopcy uskarżają się, że świat ich nie rozumie.

— Weil, dalej, dalej — wypuszczał wraz z dymem z ust wciąż te same słowa.

Jegor nie posuwał się dalej, lecz wciąż kręcił się w miejscu,

powtarzając te same pretensje, żale i rozgoryczenie przeciw wszystkiemu i wszystkim. Wyrzucił z siebie całą gorycz przeciw niskiemu, tęgiemu, kędzierzawemu i czarnemu nauczycielowi — panu Levy'emu. Nie budzi on sympatii Jegora, nie jako nauczyciel, lecz jako człowiek, już jego wygląd, zachowanie, postępowanie irytują Jegora, rozdrażniają, napełniają nieufnością, sprzeciwem, są śmieszne, dlatego nie ma żadnej korzyści z jego nauki, nigdy sobie jej Jegor nie przyswoi, nie zrozumie, nie będzie jej znał. Pan Levy sprawia, że ta nauka jest dla Jegora nieznośna, wstrętna i znieawiedzona.

Zatrzymał się na chwilę i patrzył panu Van-Lobenowi w jasne oczy człowieka morza, aby z nich odczytać sympatię i zrozumienie. Lecz oczy dyrektora były jakby wypłowiałe i obce. Jegor odczuł, że jego słowa nie są zbyt przekonujące i zaczął mówić żarliwiej. Trudno to wyjaśnić, mówił patrząc błagalnie na jasnowiącego mężczyznę, to są sprawy głęboko zakorzenione, narosłe od wieków, jednym słowem problemy, których ktoś taki jak pan Levy nie może pojąć, natomiast taki człowiek jak pan Van-Loben rozumie go z pewnością, współczuje mu jak człowiekowi tego samego pokroju, pochodzenia i tej samej krwi.

— Tak, sir, to sprawa krwi — zakończył głośniejszym głosem, gdyż jego głos ulegał mutacji. — Mam nadzieję, że zrozumiał mnie pan, jak mężczyzna mężczyznę.

Pan Van-Loben postukał gwałtownie fajką o stół, wytrząsając z niej zawartość i jednym słowem odpowiedział na wielkie

przemówienie Jegora.

— Głupiec!

Jegor znieruchomiał. Czego jak czego, ale tego słowft nie spodziewał się usłyszeć od wysokiego blondyna, któ rego tak poważał.

Pan Van-Loben gwałtownie napchał tytoniu do fajki i znów ją zapalił.

— Tak, sir — nagle zwrócił się do Jegora sir, nie z szacunku, lecz ironicznie — to jest głupota, wielka bzdura i proszę się do mnie nie odwoływać.

Spod swego stołu przyciągnął obiema rękami kosz na śmieci, wyjął z niego plik papierów i podrzucił je Jego- rowi.

j— Widzisz, młodzieńcze, tę bzdurę otrzymuję co^ dziennie, prawdopodobnie z racji mego nazwiska. Wszystko to wrzucam do kosza.

— Tak, sir, robię to ||| dodał po chwili — dlatego, że nie lubię ciągłych pretensji, dręczenia, użerania się, skarg, judzenia, rozgoryczenia.

Jegor zaczął coś mamrotać, pan Van-Loben jednak nie pozwolił mu mówić.

— Nie lubię tego ani u jednostek, ani u narodów — mówił z irytacją. — spotyka cię krzywda, walcz rękami, ale nie gadaniem! Użeranie się i judzenie — to broń rozhisteryzowanych kobiet, nie przystoi mężczyznom!

Jegor nie próbował już nic mówić. Spuszczał głowę wciąż niżej i

nżej pod nieoczekiwanymi słownymi ciosami ze strony rośłego blondyna. Nagle twarz pana Van-L 'J bena przestała być gniewna, uśmiechnął się jak dziecko-

— Posłuchaj, synku — odezwał się ojcowskim tonem do ucznia, na którego przed chwilą się gniewał — chce z tobą rozmawiać, ale lubię, by mi patrzono w oczy, ^ kiedy mówię. Podnieś głowę.

Jegor sądził, że dyrektor rozpocznie z nim wielką dyskusję, lecz pan Van-Loben zadawał mu pytania nie jak nauczyciel, lecz jak lekarz.

— Powiedz, synku, ile masz lat? — zapytał.

— Osiemnaście, sir.

— Pokaż mi swe ramię — polecił.

Jegor nie wiedział, o co idzie dyrektorowi i nie podniósł ramienia. Pan Van-Loben sam podniósł je i obmacał.

— To jest ramię dziewczyny, nie mężczyzny — powiedział. S Spójrz, jak winno wyglądać ramię mężczyzny.

Odwinął rękaw i pokazał swoją muskularną rękę, na której był wytatuowany orzeł, pamiątka z lat młodości, gdy pracował na statku. Nagle nachylił się do ucha Jegora i cicho zapytał:

— Powiedz mi, synku, jak często przydarzają ci się chłopięce głupstwa?

Jegor zaczerwienił się i zaczął kłamać. Pan Van-Loben uderzył fajką w stół.

— Nonsens — powiedział — wszyscy to robią, przeszedłem przez to również, nie ma się czego wstydić.

Jegor spuścił głowę. Pan Van-Loben uniósł mu palcem podbródek.

— Posłuchaj, synku — powiedział — mógłbym cię przenieść do innej szkoły, gdzie miałbyś innego nauczyciela, nie małego pana Levy'ego, lecz tego nie zrobię.

— Dlaczego, sir — zapytał przygnębiony Jegor.

— Po pierwsze, ponieważ pan Levy jest dobrym nauczycielem, piekielnie dobrym nauczycielem. Po drugie, co jest jeszcze ważniejsze, właśnie dlatego, że go tak bardzo nienawidzisz, synku, chcę, abyś z nim pozostał, póki się nie wyleczysz z bzdurnych poglądów, które ci wtłoczono do głowy.

Jegor chciał wszcząć na ten temat dyskusję, lecz pan Van-Loben spojrział na zegarek i zaczął się śpieszyć.

— Weil, porozmawiam z panem Levym i wszystko zostanie zapomniane — powiedział. — Napiszę też list do twojego ojca, chcę z nim porozmawiać.

Jegor, jękając się, jął prosić pana Van-Lobena, aby nie wzywał ojca.

— Sir, to nie ma nic wspólnego z moim ojcem, absolutnie nic.

— Och, owszem ma — pan Van-Loben trwał przy swoim zdaniu.

— Zawsze lubię konsultować się z rodzicami.

Odprowadzając go do drzwi, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie ma już więcej dla niego czasu, pan Van-Loben klepnął Jegora po młodzieńczych plecach i kazał mu być wesołym.

— Uśmiechnij się, synku, a jutro przyjdź do szkoły...

Jegor wyszedł z gabinetu zdruzgotany. Wysoki blondyn o oczach człowieka morza nie rozumiał go, potraktował jak chłopca, nawet zawstydził, pytając o chłopięce tajemnice. Wszystko zostało po staremu, znów szkoła, znów pan Levy i ojciec, który dowie się o wszystkim. Chwiejnymi krokami zszedł do stacji metra.

Do wagonu weszli uczniowie-futboliści w swetrach z widniejącymi na nich numerami, hałaśliwi, śmiejący się. Uwiesili się pasów, rozłożyli na ławkach, wystawili nogi w drzwiach wagonu. Na ławkach siedzieli drzemiący ludzie i jak zwykle żuli gumę. Sprzedawca starych czasopism ochryłym głosem zachwalał swój towar. Wymalowane na ścianach roześmiane piękności nawoływały do kupowania mydła, papierosów, benzyny, proszków do zębów, ciastek, żyletek. Jegor nie widział nic, przytłoczony swoimi zmartwieniami. Pociąg zbliżył się do jego ulicy, lecz on nie wysiadł, nie miał ochoty wrócić do domu, jechał dalej. Rozpoznawał okolice, przez które przejeżdżał, po wsiadających i wysiadających pasażerach. Oto wsiadają czarnoocy i czarnowłosi mężczyźni i kobiety, w chwilę potem jasnowłosi mężczyźni w kombinezonach, kobiety obładowane paczkami, następnie zapelniali wagon Murzyni, tęgie Murzynki, szczupłe Murzynki o smukłych nogach, Murzyni czarni jak węgiel, Murzyni koloru czekolady, półczami, ćwierćczarni, Mulaci, Murzyni w okularach, murzyńscy chłopcy w zbyt wielkich matczyńskich butach, czarne dziewczęta o wielkich, smętnych oczach, z czerwonymi wstążeczkami w cienkich warkoczykach — jedni po drugich zapelniali wagon. Pijany Murzyn, którego intensywna czerń prze-

chodziła w błękit, w podartej czerwonej koszuli, przez którą przeświecało jego ciemne ciało, przewracał białkami oczu, śmiał się do wszystkich, śpiewał i mówił coś do białych. Murzyński duchowny z siwą głową i białą koloratką wokół czamej szyi upominał pijaka, aby nie hańbił swej rasy. Wesoły pijak nie pozwalał się uspokoić i nadal zwracał się do białych.

— Podajmy sobie ręce, młody biały przyjacielu — powiedział wyciągając czarną, mięsistą rękę do Jegora, który patrzył na niego.

Jegor odsunął się od nieprzyjemnego Murzyna. To, że Murzyn wybrał właśnie jego, by mu podać rękę, przstraszyło go, że rozpoznaje się w nim tę stronę, którą chciał ukryć. Wkrótce zaczęli pojawiać się ludzie jasnowłosi i jasnoocy — kobiety z koszykami w rękach, wyrośnięci chłopcy o lnianych włosach, cienko przystrzyżonych przy uszach, tęgawi mężczyźni noszący skrzynki z narzędziami. Słysząc było rozmowy w języku niemieckim, obok tych prowadzonych po angielsku. Robiąca na drutach kobieta przyciągnęła swą niespokojną córeczkę za jasne warkoczyki, karcąc ją w autentycznie berlińskim ulicznym języku.

— Bądź grzeczna, Truda.

Nagle Jegor poczuł się swojsko, odświeżony, jakby zanurzył w chłodnej źródlanej wodzie rozpalone ciało. Choć nic w tej dzielnicy nie miał do roboty, wysiadł wraz z jasnoookimi, w rodzimym języku rozmawiającymi ludźmi.

Na ulicach Yorkville kobiety siedziały na schodach starych domów i paplały, mieszając słowa niemieckie z angielskimi, o swych

kobiecych sprawach. Co chwila, któraś wołała dzieci bawiące się na środku ulicy: "Hans", "Lieschen", "Fritz", "Karl", "Klara", "Hubert", "Fritz, Fritz!"

W piwiarniach, cukierniach, restauracjach można było dostać domowe pieczywo, piwo, różne swojskie dania. W oknach wisiały zawiadomienia w języku niemieckim o pokojach do wynajęcia. Między restauracjami, cukier-
niami, sklepami mięsnymi wyelegantowany mężczyzna ■ reklamował po niemiecku swój zakład pogrzebowy ist- Bi^ niejacy od stu lat, znany z rzetelnej obsługi i umiarkowanych cen. Na ogołoconych ścianach, zakurzonych oknach wystawowych zlikwidowanego zakładu, gdzie tylko było trochę wolnego miejsca, widniały wyrysowane kredą swastyki, a wśród nich gdzieś tam sierp i młot. Obok klubu demokratycznego, przez którego otwarte drzwi widać było kilka osób z zakasnymi rękawami grających w bilard, rozmieściły się różne instytucje o długich niemieckich nazwach — biura wymiany pieniędzy, biura dewizowe wy- ; syłające do Niemiec pieniądze i paczki, biura pośrednictwa pracy, agencje handlowe. Z okien pierwszych pięter zwisały sporządzone gotyckimi, złotego koloru literami reklamy lekarzy, dentystów, adwokatów, agentów handlowych, ubezpieczeniowych oraz tych zajmujących się sprzedażą placów i gospodarstw rolnych. Księgarnie wystawiały wszelakie kolorowe książki "stamtąd", plakaty, obrazy i portrety. Z ot- ; wartego okna rozbrzmiewał grany na saksofonie niemiecki marsz wojskowy. W tej rodzimej atmosferze Jegor wreszcie poczuł się

i różnie w obcym mieście. Po poprzednim pełnym melanchoлии przygnębieniu, rozbudziło się w nim silne pragnienie życia. Wszędzie zaglądał, na każdym kroku nadstawał mu widok. Na rogu ulicy stała otworem szeroka brama kościoła, a nad nią napis gotyckimi literami: "Bóg nasz jest mocną ostoją". Jegor przypomniał sobie babkę Holbek, która od czasu do czasu prowadziła go do kościoła. Po chwili wyszedł ze świątyni. Naprzeciw niej, na budynku kina, reklama anonsowała nowy film "stamtąd", i Jegor przeliczył pieniądze, które matka dała mu na opłatę za gaz i elektryczność. W portmonetce było pięć dolarów ; i trochę drobnych monet. Podeszedł do okienka, uśmiechnął się do kasjerki, jasnej i różowej jak dziewczyny na plakatach filmowych. Uprzejmie zapytał po niemiecku, czy nie za bardzo ją obciąży, prosząc o wydanie reszty z pięciu dolarów, jeśli wykupi bilet za pięćnaście centów.

—Niestety, nie mam drobnych pieniędzy — powiedział z nonszalancją, jak ktoś, dla kogo banknot pięciodolarowy jest najdrobniejszym pieniądzem.

—Ależ, Boże drogi, z przyjemnością, proszę pana — odparła jasnoróżowa dziewczyna, mile ujęta niezwykłą uprzejmością.

Przy odliczaniu reszty wyraziła podziw dla czystego języka niemieckiego, jaki rzadko się słyszy w tym kraju.

—Niedawno "stamtąd" przybyłem — odpowiedział Jegor — turystycznie.

—Od razu to zauważyłam — powiedziała z uśmiechem dziewczyna, piękna jak te malowane na plakatach.

Jegor dumnie, z podniesioną głową wszedł do oświetlonego budynku. Fakt, że jasnowłosa sprzedawczyni wzięła go za przybyłego "stamtąd" turystycznie, dodał mu pewności, że nie ma w nim nic ze strony ojca. W ciemnej sali przesuwały się przed jego oczami znane obrazy "stamtąd", formacje lotnicze, musztra, marsze, marsze, marsze. Wysokie, podbite gwoździami buty tupotały nieustannie po kamiennym bruku. Jegor rozpoznawał ulice, place, pomniki. Widownia klaskała głośno, młody Karnowski zaś dłużej od innych.

Gdy wyszedł z kina, było ciemno. Wiedział, że już dawno powinien wrócić do domu, że rodzice zapewne będą się o niego niepokoić, lecz się nie śpieszył. Z restauracji, w której oknie wystawowym widniał namalowany człowiek jadący na beczce piwa, dochodziły zapachy smażonego mięsa. Jegor poczuł głód, cały dzień nic nie jadł i wszedł do restauracji. Miał zamiar zjeść cokolwiek przy bufecie i pojechać do domu. Z pięciu dolarów, które otrzymał od matki, brakowało na razie tylko piętnastu centów. Lecz jasnowłosa piękność odziana w bawarski strój ludowy przywitała go we drzwiach tak uprzejmie, jak tylko może to zrobić kobieta, gdy czegoś chce od mężczyzny i zapytała, czy może powiesić jego płaszcz w szatni. Jegor, oszołomiony pięknnością i uprzejmością dziewczyny, oddał jej swój przykrótki przeciw-deszczowy płaszcz przywieziony "stamtąd" i z góry dał jej centów napiwku.

—Dziękuję, łaskawy panie — powiedziała piękna blondynka. —
Bardzo pan uprzejmy.

— Och, nie ma o czym mówić — powiedział Jegor nonszalancko, jakby dawanie wysokich napiwków było dla niego czymś powszednim.

Po szatniarce podeszła do niego starsza, tęgawa, dostojnie wyglądająca dama i, nie pytając o nic, doprowadziła do nakrytego, udekorowanego kwiatami stołu.

— Mam nadzieję, że będzie tu panu wygodnie, młody panie — powiedziała z godnością, jak przystało kobiecie przy jej tuszy i w jej wieku, g] Czy mam od razu przysłać kelnera, czy też łaskawy pan czeka na kogoś?

— Nie, jestem dziś sam — powiedział Jegor takim tonem, jakby zwykle jadał w towarzystwie damy, lecz dziś chce być sam.

— Johann, nakrycie dla pana — poleciała starsza dama krzepkiemu kelnerowi w bawarskich skórzanych spodenkach i wyszywanej kamizelce.

Jegor zdawał sobie sprawę, że postępuje źle, że trwoni pieniądze, które matka dała mu na opłacenie rachunku, że jest już późno i rodzice będą się martwić, lecz już nie mógł się wycofać. Wraz z niepokojem odczuwał satysfakcję, wewnętrzne zadowolenie z tego, że robi coś zakazanego, że ojciec i matka będą się niepokoić o niego.

— Jedno piwo, pełne, łaskawy panie, nieprawdaż? — kelner raczej doradzał niż pytał.

— Naturalnie — powiedział Jegor jak doświadczony piwosz, który nie zawraca sobie głowy małą szklanką, lecz od razu zaczyna od pełnego kufła.

Kelner, balansując z wielką zawodową zręcznością, przyniósł duży porcelanowy kufel. Z jeszcze większą gracją podał pełen jedzenia talerz, który Jegor zamówił tylko dlatego, że kelner mu to doradził.

W ten sposób kupił cygaro od dziewczyny sprzedającej cygara, choć dym go dusił. Przy tym nie chciał reszty.

Dziewczyna uśmiechnęła się rozkosznie.

— Dlaczego jest pan sam, młody panie?

— Chcesz mi dotrzymać towarzystwa, kochanie? — Jegor zwrócił się do niej per ty, jak przystoi mężczyźnie, który pije duże kufle piwa i pali cygara.

— Jestem teraz na służbie — usprawiedliwiła się dziewczyna — a to jest wzbronione.

— Lecz napić się ze mną piwa możesz, nieprawdaż?

— Jeżeli już, to mogłabym wypić koniak — wdzięczyła się mała, wiedząc, że za koniak dostaje większy procent.

Od orkiestry odłączył się skrzypek, podszedł do stolika Jegora i zagrał dla niego oraz dziewczyny sprzedającej cygara sentymentalną, miłosną piosenkę. Jegor czuł, że łzy napływają mu do oczu ze wzruszenia i okazanego mu po raz pierwszy w życiu szacunku.

Przez chwilę pomyślał o roztrwonionych pieniądzach, o późnej godzinie, o przeżywających niepokój rodzicach, lecz już nie można się było cofnąć i było mu wszystko jedno. Nie wiedział, jak to się stało, lecz nagle jego stolik otoczyli ludzie, pił z nimi piwo, stukając kuflem o inne kufle. Mężczyźni hałasowali, krzyczeli "niech żyje", kazali orkiestrze grać znane piosenki, śpiewali. Jegor śpiewał wraz z

nimi.

Wyszedł z restauracji ostatni, gdy już ją zamykano. Chwilę jeszcze śpiewał na ulicy, wsunął rękę do kieszeni, drżącymi palcami wyskrobał resztę drobnych, trzy nikłowe monety i jednego pensa. To go otrzeźwiło. Głowa mu ciążyła, obca, ołowiana. Równie ciężkie były jego myśli. Doszedł do metra. Przy dużym plakacie, na którym okazała piękność reklamowała proszek do zębów, stał włóczęga i ołówkiem zamazywał ząb pośrodku jej śmiejących się ust

— Piękna robota, czyż nie? — zapytał z zadowoleniem Jegora.

— Hm — zamruczał Jegor, czując kwaśność w całym ciele.

— Daj dziesiątkę na nocleg — włóczęga wyciągnął rękę.

Jegor dał mu ostatnie dwie monety i pozazdrościł włóczędze, że może pójść nocować, gdzie chce, nie musi opowiadać się nikomu. Ciężkimi krokami wszedł do nadjeżdżającego metra. Wskazówki na zegarach kolejnych stacji posuwały się wciąż dalej. Powolnymi krokami wysiadł z wagonu. Im bardziej zbliżał się do domu, tym bardziej zwalniał kroku. Zatrzymywał się przy wystawach sklepowych, oglądając nagie manekiny, z których na noc zdjęto suknie, przyglądał się robotnikom kanalizacyjnym drążącym wykopy w ziemi. Przeszedł obok swego domu, spojrzął w okna, były oświetlone. Jasno było we wszystkich pokojach, zrozumiał, jak martwi się matka, jeżeli zapomniała zgasić lampy, na co zawsze, z oszczędności, zwracała uwagę. Chwilę stał i zastanawiał się — wejść, czy nie. Wtem otworzyło się okno i matka zawołała w pustą ulicę:
— Jegor, Jegor!

Wszedł na schody. W otwartych drzwiach stała matka w szerokim palcie ojca na nocnej koszuli. Była bardzo blada, jakby zagubiona w obszernym męskim płaszczu.

— Jegor, cały jesteś? — zapytała cicho, choć wiedziała, że nic mu nie jest.

Jegora zdjęła litość dla matki, był jednak zbyt przybity i winny, aby to okazać, odpowiedział więc brutalnie, aby ukryć własne przygnębienie.

— Bzdura — zamruczał. — Dlaczego nie położyłaś się spać? Teresa poprawiła potargane włosy.

— Tatuś jest na policji — wyszeptała. Obawialiśmy się, że zostałeś ranny w wypadku albo czegoś jeszcze gorszego.

Nagle poczuła zapach alkoholu i załamała rękę.

— Gdzie byłeś, dziecko? — zapytała z macierzyńskim lękiem.

Jegor nie odpowiedział i wsunął się do pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Chciał się zabezpieczyć przed powrotem ojca, który mógł nadejść w każdej chwili. Czując strach przed jego przenikliwymi oczami, słusznymi zarzutami i pretensjami, z góry go już nienawidził. Rzucił się w ubraniu na łóżko i zasnął, obudził się i znów zapadł w sen. Przyzwyczajony do tego, że ojciec codziennie rano dawał mu znać, że czas iść do szkoły, obudził się, czekając z niepokojem na pukanie ojca. Ale stukania do drzwi nie usłyszał.

Zamiast budzić syna, by szedł na lekcje, dr Karnowski sam udał się do szkoły, gdy pierwsza poczta przyniosła mu list, wzywający go do

dyrektora. Choć po późnym powrocie Jegora pozostało mu zaledwie pare godzin snu, wstał jak zwykle wcześnie, wziął zimny prysznic i po ćwiczeniach gimnastycznych pieszo udał się do szkoły, bardzo odległej od jego mieszkania. Chciał jednocześnie odbyć swój poranny spacer. Szedł prędko, spacer sprawił mu przyjemność jak każdego dnia. Późnym powrotem Jegora nie przejął się tak jak Teresa.

Pamiętał swoje młodzięcze lata, gdy też kiedyś zdarzyło mu się włóczyć do późnej nocy, mógł więc zrozumieć młodzięcżą potrzebę jakiejś swobody, swawoli. Nie bardzo się też przejął lękiem Teresy z powodu alkoholu, który załatywał od "dziecka" i jej macierzyńskim podejrzeniem, że Jegor może zejść na złą drogę.

Dr Karnowski wiedział, że w wieku Jegora popełniał większe wykroczenia. Jako lekarz rozumował też, że byłoby to dobrodziejstwem dla chłopca, wyprowadziłoby go z osamotnienia w ciężkich młodzięczych przeżyciach, dodałoby mu odwagi i pewności siebie, pomogłoby mu stać się mężczyzną.

Nie przejął się też zbytnio listem ze szkoły w sprawie złego zachowania syna. Przypomnił sobie, że jego ojciec też był wzywany przez profesora gimnazjalnego Kneitla. Uśmiechał się nawet myśląc o tym, jak inny ma stosunek do Jegora niż jego ojciec miał do niego. Przyszło mu też na myśl, jak zwykle ludziom w średnim wieku, że lata szybko płyną. Jeszcze niedawno on sam był chłopcem i miał problemy z ojcem z powodu złego zachowania. I oto jest ojcem dorosłego syna, który popełnia błazeństwa. Z filozoficznym uśmiechem rozmyślał o przemijalności

wszystkiego.

W szkole prysnął spokój, natomiast opanowała go ciężka troska.

Pan Van-Loben przyjął dr. Karnowskiego bardzo ciepło. Poczł do niego sympatie po pierwszym ciepłym uścisku dłoni. Podobne wrażenie odniósł dr Karnowski. Jak zwykle ludzie pełni radości życia darzą się wzajemną sympatią. Ciepło i męskość ojca tego rozgoryczonego ucznia były dla pana Van-Lobena przyjemną niespodzianką. Jeszcze większym zaskoczeniem dla dyrektora był zdecydowanie nieniemiecki wygląd, co było rażąco sprzeczne z zagmatwanymi wypowiedziami jego niespokojnego syna. Pan Van-Loben zapalił swą fajkę, aby dym rozjaśnił zagadkę, z którą miał do czynienia, i poczęstował doktora cygarem. Pykając fajkę, usiłował zagadkę rozwiązać dyplomatycznie, mówić nie wprost, unikać otwartego postawienia problemu, jak zazwyczaj chrześcijanie unikają rozmów z Żydami o ich żydostwie. Jednak od razu obrzydła mu dyplomacja, która nie leżała w jego naturze i zaczął mówić otwarcie, jak mężczyzna z mężczyzną, do którego odczuwa sympatię.

— Proszę mi wybaczyć pytanie, doktorze — powiedział z uśmiechem — nie jest moim zwyczajem wypytywanie ludzi o ich pochodzenie. Wobec tych wszystkich problemów czuję sprzeciw. Są mi diabelnie obce, ale w tym wypadku interesuje mnie to szczególnie. Jeżeli się nie mylę, jest pan Żydem, doktorze?

— Oczywiście, nie musi pan przepraszać z tego powodu — odpowiedział dr Karnowski ze skrępowanym uśmiechem, jak zwykle Żydzi, gdy spotykają się z takim pytaniem, choć starają się traktować

swoją żydowskość otwarcie, a nawet z dumą.

Pan Van-Loben wypuścił ze swej fajki jeszcze więcej gęstego dymu.

— Jeszcze jedna sprawa, doktorze - powiedział. — Czy jest pan ojcem, czy ojczymem swego syna?

— Co panu do głowy przychodzi, panie Van-Loben? — zapytał dr Karnowski z lekka zdenerwowany, przeczuwając coś złego.

Pan Van-Loben uśmiechał się z poczuciem winy na swej dobrodusznej twarzy.

— Gdyż syn pana ma zupełnie oryginalne poglądy ~ mówił — bardzo oryginalne idee, które nie mieszczą się w naszych amerykańskich szkołach. Dlatego właśnie poprosiłem pana i jestem rad widząc pana, doktorze, bardzo rad.

Zapalił dr. Karnowskiemu cygaro, które zgasło wskutek jego skonfundowania i napychając swoją fajkę, zaczął opowiadać o scysjach Jegora z nauczycielem Levym, o jego spowiedzi przed nim, panem Van-Lobenem, o jego rozgoryczeniu i niepokoju. W miarę jak dyrektor mówił, dr Karnowski spuszczał głowę coraz niżej. Wstydził się spojrzeć w oczy siedzącemu naprzeciw niego człowiekowi.

— Nie do wiary — mamrotał zakłopotany.

Pan Van-Loben zorientował się, że jego słowa mocno ugodziły doktora i chciał pomniejszyć cały problem. Śmiejąc się głośno, używając soczystych określeń, które nie przystoją pedagogowi, klepał przybitego ojca po plecach, zapalił mu jeszcze raz zgaszone cygaro. Pan doktor nie powinien traktować poważnie tych spraw, gdyż są to

tylko śmieszne, młodzieńcze idee, głupstwa, którymi idioci zapchali chłopięcą głowę. Niech pan doktor się z tego wyśmiej, jak on się z tego wyśmiał, gdyż jest to idiotyzm, brednia, bezsens, podłe świństwo. Bazgraninę tego rodzaju pan Van-Loben codziennie wyrzuca do kosza na śmieci. Przechodząc do stanu fizycznego chłopca, mówił o jego zaniedbaniu i słabości, doradzając ojcu, by jako lekarz zwracał więcej uwagi na jego zdrowie, a wszystko się wyrówna i obróci na dobre.

— Well, doktorze, nie martwić się, ja również mam dzieci i kłopoty z ich powodu — mówił śmiejąc się pan Van-Loben. — Bardzo rad jestem ze spotkania z panem, proszę przysłać syna do szkoły i być dobrej myśli.

Wychodząc, dr Karnowski nie był dobrej myśli, jak radził pan Van-Loben. Ogarnęła go rozpacz. Jego silne, przywykłe do mocnego, sprężystego chodzenia nogi, posuwały się powoli po szerokich schodach szkolnego budynku. Jadąc do domu przez cały czas myślał tylko

tym, aby się opanować, uspokoić, zachowywać się w sposób zimny, wyrachowany, jak radził dyrektor. Gdy tylko przestąpił próg mieszkania, krew uderzyła mu do głowy.

Jegor ze swojego pokoju słyszał wracającego do domu ojca i zaniepokoił się. Niespokojne kroki ojca nie zapowiadały nic dobrego. Jak zwykle Jegor próbował przezwyciężyć swój strach impertynencją.

— Wydałem pięć dolarów, które mama mi dała na opłacenie gazu i elektryczności — powiedział zuchwale.

Dr Karnowski się tym nie przejął. Jegor był rozczarowany, że nie rozdrażnił ojca i dalej wyliczał swoje grzechy.

—Przepiłem te pieniądze — powiedział jeszcze bezczelniej. —
Wszystkie.

Dr Karnowski również na to nie zareagował. Jegor patrzył na ojca z jeszcze większym lękiem i nienawiścią. Teresa, obawiająca się wybuchu gniewu męża, odczuła ulgę, będąc pewna, że do zapowiadającej się rodzinnej burzy nie dojdzie. Nagle spostrzegła krwawe plamy na białkach oczu Georga i znieruchomiała. Wiedziała, że zło nadchodzi. '

—Byłem w szkole — powiedział dr Karnowski z hamowanym spokojem, spokojem, który zwiastuje burzę.

Teraz Jegor milczał. Milczenie to poderwało ojca z miejsca.

—Odważyłeś się wziąć w obronę naszych wrogów? — zapytał, wiedząc dobrze, że tak istotnie było.

Jegor milczał.

—Odważyłeś się obrazić swego nauczyciela za jego słuszną ocenę? — pytał dalej.

Jegor milczał.

—Odważyłeś się wobec dyrektora mówić o rasie krwi? — pytał, przybliżając się o krok do syna.

Jegor milczał.

Dr. Karnowskiego to milczenie, w którym nic było skruchy, lecz bezczelność, wzburzyło do tego stopnia, że chwycił syna za klapy marynarki i zaczął nim potrząsać.

— Mówię przecież do ciebie! — krzyczał obrażony w swym ojcostwie.

Lecz Jegor wciąż nie odpowiadał i z nienawiścią patrzył na ojca.

Dr Karnowski nie mógł dłużej tego ścierpieć. Urażony w swej ojcowskiej godności uderzył syna, po raz drugi w życiu.

Przez dłuższą chwilę Jegor wciąż jeszcze milczał, oszołomiony uderzeniem, którego w swym wieku już się nie spodziewał. Gdy przyszedł do siebie, jego wściekłość wybuchnęła.

— Żyd! — krzyczał piskliwym i bełkoczącym głosem. — Żyd! Żyd! Żyd!

Teresa była tak przerażona zmaganiem ojca z synem, że nawet nie ośmieliła się stanąć między nimi.

— Boże — wołała skamieniała ze strachu.

Jegor gwałtownie wpadł do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz, rzucił się na łóżko, z którego niedawno wstał. Ściemniło się, nie zapalił światła. Matka zapukała, prosiła, aby otworzył, gdyż przynosi mu jedzenie. Nie otworzył. W pierwszych godzinach myślał o zemście za obrazę, jakiej doznał. Nigdy w życiu nie pałał taką okrutną nienawiścią do ojca jak teraz. Wtulony w pościel, czuł palącą chęć wyrządzenia czegoś strasznego człowiekowi, który sprowadził na niego wszystkie nieszczęścia, a teraz podniósł na niego rękę. To, że nic nie mógł zrobić, że czuł własną bezsilność, jeszcze bardziej wzmogło jego pragnienie zemsty, ręce trzęsły mu się z wściekłości i pragnienia zamordowania ojca. Gdy jego złość wyczerpała się w poczuciu bezsilności, zaczął prze- myślać o jakimś okrucieństwie

wobec siebie samego. Uparta myśl o samobójstwie drażyła mu mózg. Nie widział dla siebie żadnej nadziei na tym świecie. Nikt go nie rozumie, wszędzie jest obcy, obrażany. Słabowity, jąkała, nie może ścierpieć ludzi wokół siebie, ci z kolei jego też nie mogą znieść. Od urodzenia skazany był na cierpienia, gdyż jest nieszczęsną mieszaniną dwóch przeciwstawnych ras, dwóch rodzajów krwi, które się wza jemnie zwalczają. Dlatego cierpiał po tamtej stronie oceanu, dlatego cierpi tu, dlatego cierpieć będzie przez całe życie. Tak prześladowany człowiek nie ma prawa żyć, nie może nic od życia oczekiwać oprócz cierpieli i wiecznego użerania się, ustawicznego niezadowolenia i ciągłych klęsk. Najlepsze wyjście — to skończyć ze sobą, jak postępują ludzie odważni, gdy dosięga ich nieuleczalna choroba. W ten sposób zemści się na ojcu, który całe życie będzie pamiętał, że spowodował śmierć Jegora i będzie cierpiał z tego powodu.

Zamknawszy oczy wyobrażał sobie, jak ojciec z rana wchodzi do jego pokoju i zastaje go wiszącego na pasie z wyciągniętym językiem. Z satysfakcją snuł wyobrażenia o przerażeniu ojca, swoim pogrzebie, widział ojca idącego za jego trumną z poczuciem winy. W ciemności usiadł przy stole i przy słabym, dochodzącym z ulicy świetle, pisał liściki, które by zostawił przed dokonaniem zamierzonego czynu. Zapisywał jedną kartkę za drugą, darł, rozpoczynał na nowo i znów darł. Im więcej liścików pisał, tym bardziej opuszczała go chęć wyrządzenia sobie zła. Zaczynał litować się nad samym sobą, widział siebie wiszącego z wywieszonym językiem, wyobrażał sobie własny

pogrzeb. Ogarnął go strach, przerażenie. Ze wstrętem odrzucił pas, na który przedtem tak ufnie spoglądał. Odwrócił się twarzą do ściany, aby nie widzieć haka nad oknem, do którego go tak przed chwilą ciągnęło. Nie, tylko nie to. Nagle poczuł ciepło własnego ciała, miękkość pościeli, nawet apetyt do jedzenia i gwałtowną chęć widzenia, słyszenia, poruszania się, życia. To pragnienie życia sprawiło, że przez chwilę pomyślał nawet o otwarciu drzwi, zapaleniu światła i zażądaniu jedzenia od matki. Natychmiast jednak zganił się za brak charakteru, małostkowość i zaczął sam sobą pogardzać. Jest tchórzem, myślał o sobie, nędznikiem, nie ma nawet odwagi skończyć ze sobą, nie umie ani żyć, ani umrzeć. Nie umie współżyć z ludźmi, między których los go rzucił, ani nie może od nich odejść, gdyż do niczego się nie nadaje. Jest nieszczęściem, zmartwieniem dla siebie i innych, jest ciężarem płaczącym się pod nogami. Dlatego właśnie nikt go nie szanuje, dlatego jest przez wszystkich znienawidzony, dlatego jest obrażany. Nawet dyrektor szkoły drwił z niego, rozmawiał z nim nie jak z młodzieńcem w jego wieku, lecz jak ze smarkatym chłopcem. Dlatego ojciec z czelnością odnosi się do niego, nawet podnosi na niego reke.

Matka znów zapukała do drzwi.

— Jegor! — wołała. — Jegor, otwórz drzwi, tylko na chwile, chce ci dać szklankę mleka i pościelić łóżko.

Jegor nie odpowiedział. Skulony pod kołdrą wyteżył uszy i słuchał, jak ojciec i matka szepczą o nim za drzwiami.

— Georg, boje się o chłopca! — mówiła matka. — Nie odpowiada.

— Nonsens! — głośno odpowiedział ojciec. — Niech się wygłodzi jeden dzień i będzie lepszy, tylko go nie błagać.

Jegor znów poczuł poprzednią nienawiść do ojca. Właśnie dlatego, że Jegor rozumiał, iż rodzic ma rację, właśnie dlatego, że on go przenikał na wskroś, jego bezradność i tchórzostwo, nienawidził ojca. To uczucie burzyło jego krew, udowodni ojcu, swą odwagę i to, że nie jest chłopcem, którym się poniewiera, na którego się podnosi rękę. Da ojcu nauczkę, lecz nie przez wyrządzenie krzywdy sobie, nonsens! Ojciec jest jego wrogiem i nie bardzo się przejmie, jeżeli Jegor popełni głupstwo, będzie raczej zadowolony. Dlatego odejdzie od rodziców, opuści ich na zawsze, nie będzie już więcej oglądał tego, który tylu nieszczęść mu przysporzył, oderwie się od domu, rodziny, od nazwiska nawet. Nie ma nic wspólnego z rodziną Karnowskich — ani z nimi, ani z ich nazwiskiem. Z korzeniami wyrwie z siebie wszelkie więzy z ojcem i jego rodziną.

Ze wznowionymi siłami wstał z łóżka i wyciągnął w górę ręce, aby strząsnąć z siebie znużenie i apatię. Spojrzał na zegarek, była późna noc. Ostrożnie otworzył drzwi i przez chwilę wsłuchiwał się — nie było słychać żadnego szmeru. Rodzice już spali. Cicho wszedł do łazienki i umył się zimną wodą. Orzeźwiło go to, poczuł ostry głód. Cicho wszedł do kuchni, wyjął jedzenie z lodówki, najadł się i energicznie przygotowywał się do realizacji pierwszego odważnego przedsięwzięcia w swoim życiu.

Wyjął z komody trochę bielizny i włożył ją do swej walizki. Oprócz ubrania, które miał na sobie, wziął jeszcze jedno na zmianę.

Zabrał też swój drogi aparat fotograficzny marki Leica, który otrzymał od ojca w prezencie w dobrych czasach po tamtej stronie oceanu. Wziął też wszystkie fotografie "stamtąd", jakie posiadał, wraz z fotografiami wuja Hugona w mundurze porucznika, założył płaszcz przeciwdeszczowy z naszywkami na ramionach, które wyglądały jak epolety. W kieszeni znalazł tylko połówkę biletu do kina, guzik i jednego pensa, co nie wystarczało nawet na przejazd metrem. Wszedł cicho do gabinetu ojca, aby z szuflady biurka, gdzie ojciec zwykł trzymać pieniądze, wyjąć parę pensów. Chciał wziąć tylko pięciopensową monetę, ale w szufladzie obok drobnych pieniędzy leżała koperta z kilkoma papierowymi banknotami. Jegor przeliczył je, było dziesięć dolarów. Przez chwilę zarumienił się na samą myśl o wzięciu do ręki koperty. Natychmiast jednak ogarnęło go uczucie nienawiści do ojca za zło, które na niego, swego syna, ściągnął i włożył do kieszeni kopertę wraz z drobnymi pieniędzmi. Z ramki, która stała na biurku ojca, wyjął fotografię matki i schował ją do kieszeni. Zamiast pożegnalnego listu przed samobójstwem, jak zamierzał poprzednio, napisał list tylko do matki, nie wspominając o ojcu, jakby był sierotą.

Mimo że list zawierał wiele złorzeczeń przeciw niemu samemu za cierpienie, jakie zadaje matce, za zabranie z domu pieniędzy, nie czuł się źle, ani nie był załamany, jak pisał o sobie. Przeciwnie, czuł się podniesiony na duchu, był dumny z odważnego czynu, pierwszego w swoim życiu. Podpisał list nie zdrobniałym domowym imieniem, lecz obydwoma imionami —

Georg Joachim, dodając Holbek — aby dowieść ojcu, że nie ma już z nim nic wspólnego.

Następnie cicho otworzył drzwi, nie zjechał windą, lecz zszedł po schodach i na pierwszym rogu ulicy zbudził drzemiącego taksówkarza, aby go podwiózł. Mógł wprowadzić z lekką walizką do metra, ale rozwydrzony wolnością wziął taksówkę.

— Tak, sir, dokąd jechać? — zapytał rozbudzony kierowca.

— Do hotelu w Yorkville — odparł Jegor, dumny, że kierowca zwrócił się do niego per sir.

Przez otwarte okno samochodu wiał zimny wiaterek. Jegor wyjął klucz od mieszkania rodziców, który znalazł w kieszeni kamizelki, i wyrzucił go przez otwarte okienko na ulicę. W ten sposób zerwał ostatnie więzy z domem.

W małym pokoju hotelowym, za który z góry zapłacił dolara, łóżko było pościelone, brzeg kołdry odwinęty, jakby zapraszając do snu, lecz Jegor się nie położył, był zbyt podekscytowany, by móc spać. Obejrzał kilka wiszących na ścianach pożółkłych obrazów przedstawiających niemieckich cesarzy i bitwy, co było regułą w hotelach. Nagle zauważył zawiadomienie konsulatu, że interesantów przyjmuje się wyłącznie między godziną dziesiątą a czternastą. Zawiadomienie było napisane w języku niemieckim, ostrymi gotyckimi literami, które jak szpilki wrzynały się w mózg Jegora. Pod ich wpływem nagle zaświtał mu w głowie pewien pomysł.

Już prawie dniało, gdy Jegor usiadł przy małym biurku i przy

słabym światłem czerwonej żarówki zaczął pisać list pod wskazany w ogłoszeniu adres.

Pierwsze wiersze wypełniły napisane bardzo starannie gotyckimi literami wyrazy uprzejmości i szumne grzecznościowe tytuły, zgodnie z niemieckimi wymogami, których uczono Jegora w gimnazjum "po tamtej stronie". Po napisaniu wstępu listu do "Jego Ekscelencji", przedstawiciela swego kraju, używając przesadnego zwrotu "do Jego łaski", usprawiedliwiał się gorąco, że ośmiela się obarczać swą sprawą "Jaśnie Oświeconego" i zabierać mu cenny czas.

Po długich przeprosinach przeszedł do wyrażenia nadziei, że "Jego Ekscelencja" w swej łaskawości znajdzie jednak czas na przeczytanie tego listu najbardziej uniżonego sługi, po czym przedstawił sedno swej prośby, to, co mu tak bardzo leżało na sercu. Teraz słowa nie były już tak wyszukane jak poprzednio. Nie był to list, lecz spowiedź. Całe swe rozgoryczenie, całą mękę i tęsknotę przelał na te kartki, przedstawił tarcia z nauczycielem Levym w obronie własnego kraju, ukazał swe dotychczasowe niespokojne życie, które sprawia, że nie znajduje wytchnienia w obcym kraju. Podkreślając zasługi krewnych ze strony Holbeków, szczególnie wysokie w wypadku porucznika Hugona Holbeka, prosi "Jego Ekscelencję" o łaskę umożliwienia mu powrotu do domu, gdzie gotów jest wykonywać najcięższą pracę, a nawet oddać życie za ojczyznę swych przodków, byle wrócić do siebie, do swoich, do ziemi, do której należy. Po kilkakrotnych przeróbkach obszernego listu, w korlcu przepisał go na czysto i podpisał "Georg Joachim Holbek", podając adres hotelu w Yorkville.

Następnie najpiękniej jak umiał wykaligrafował dane adresata i wyszedł, by wrzucić list do skrzynki.

Po zamknięciu pokrywy skrzynki podniósł ją i zajrzał, by sprawdzić, czy list się tam znajduje. Na pustej porannej ulicy czuł, że w jego życiu zaczyna się dziać coś wielkiego.

Dr Zygfryd Zerbe, attaché prasowy ambasady niemieckiej, siedział zmęczony i apatyczny przy swym dużym biurku, choć były to dopiero pierwsze poranne godziny urzędowania. Jego duże wodniste oczy, zawsze mętne i wilgotne, jakby dopiero co płakały — były czerwone, gdyż źle sypiał. Zmarszczki na jego bladej, gładko wygolonej twarzy były głębokie, pełne cieni, tworzyły biegnące od nosa do podbródka wgłębienia. Grube, niebieskie żyły poruszały się bez przerwy, jak zwykle, gdy miewał silne bóle głowy, które nie ustępowały nawet po dwóch tabletkach aspiryny. Przyciskając skronie palcami, jakby chciał zdusić w nich ból, spoglądał mętnymi oczami przez ogromne okna swego biura. Widział z nich gestwe Manhattanu, od drapaczy chmur do wież kościelnych, kominów fabrycznych, dachów, kłębowiska drutów. Nowy Jork sprawiał wrażenie wielkiego, kamiennego, wypełnionego nagrobkami cmentarza. Tak zwykle wygląda miasto, na które patrzy się z góry. Do uszu dr. Zerbe dochodził lekki szum przypominający brzęczenie pszczoł. Odczuł ulgę w skroniach, patrząc na ten kamienny spokój i pragnął, aby zawsze tak było. Lecz nie było mu dane patrzeć beczynnienie. Wciąż dzwonił telefon. Od jego ostrego sygnału, doznawał klucia w odstających uszach. Bardziej od telefonu irytowało go trzaskanie ob-

casami przez podwładnych przy każdorazowym wejściu i wyjściu z jego pokoju. Przy każdym takim wojskowym geście doznawał uczucia świdrowania w głowie. Ich grzmiące heil drażniło uszy.

— Heil! — odpowiadał pógłosem, aby zbyć tego, do kogo się zwracał, bliski omdlenia od tego słowa, które tkwiło mu jak kość w gardle.

Nie chodziło o to, że dr Zerbe miał coś przeciwko formie pozdrowienia wprowadzonej przez nowych władców Niemiec, nie to go drażniło. Przeciwnie, był jednym z pierwszych zwolenników nowego ładu, na długo przedtem zanim ten zapanował. Rozgoryczenie dr. Zerbe wynikało stad, że nowi władcy, których tak gorliwie bronił, nie odplacili mu należycie i nie usytuowali tak wysoko w hierarchii społecznej, jak na to zasłużył.

W początkowych, uroczystych dniach “nowego ładu” odwdzięczono się sownie dr. Zygfrydowi Zerbe. Nie tylko zasiadł w bogato umeblowanym gabinecie Rudolfa Mosera i został redaktorem największej gazety w stolicy, lecz również bardzo dużo publikował. Drukował swe wielce teoretyczne artykuły, zawile mistycznie wiersze oraz dramaty, które zalegały latami. Dyrektorzy teatrów i reżyserzy nigdy nie chcieli ich kupować, gdyż byli bandą Żydów i nie rozumieli głębi prawdziwie niemieckich charakterów i postaci, nie pojmowali narodowego ducha jego dzieł.

Szczęśliwe to były czasy dla dr. Zygfryda Zerbe. Krytycy pisali o nim, aktorki się do niego uśmiechały, prawily komplementy jemu, człowiekowi, na którego kobiety niemal nigdy nie spoglądały. Co

prawda, dr Zerbe nie wykorzystywał ich przychylności, gdyż jako wierny uczeń greckich filozofów, Grek z ducha, uważał, że zadawanie się z kobietami uwłacza jego godności. Skłaniał się raczej do mężczyzn, lecz mimo wszystko lubił być otaczanym przez kobiety, podziwianym przez nie z racji swej uczoneści, filozoficznych przemyśleń, a zwłaszcza poetyckich dzieł. Upojony szczęściem, odwdzięczał się nowym władcom, którzy go wynieśli do takiej wielkości.

Mól książkowy, wróg brutalnych i wulgarnych osobników, których stawiał na równi z bydłami, pisał uduchowione poematy na cześć obecnych przywódców, porównywał ich do gór, skał, olbrzymów, bogów. Słaby, niepozorny, lękliwy, opiewał dzidy i miecze, zachwycał się władcami, śpiewał hymny pochwalne na cześć gwałtu, zemsty, okrucieństwa. Najpiękniejszym językiem, czerpanym ze swego poetyckiego skarbcza, z greckiej mitologii, germańskiej Pieśni o Nibelungach wyśpiewywał pienia na cześć nowych bóstw w brunatnych koszulach. W ten sposób odmalowywał w swych fantastyczno-heroicznych dramatach nowe czasy, w których na pół nadzy, jasnobro- dzi Germanie z głazami przy biodrach, z dzidami w rękach kroczyli po górach i skalach, wygłaszając rymowane symboliczno-heroiczne kwestie zawierające aluzje do teraźniejszości. Podobnie jak w greckich tragediach, na wzór których tworzył swe dramaty, chóry uroczyście śpiewały jego teksty. "Nowi" krytycy teatralni widzieli w dr. Zerbe wschodzącą gwiazdę narodowego dramatu. Lecz równie

szybko, jak zabłysnął, nastąpił jego upadek.

Nikt z publiczności teatralnej nie odważył się opuścić teatru w trakcie przedstawienia heroicznego dramatu dr. Zerbe. Jednakże publiczność ziewała i kaszłała, gdy na pół nadzy bohaterzy wypowiadali swe symboliczne starogermańskie, niezrozumiałe kwestie. Podczas przedstawienia, w trakcie chóralnych, uroczystych pieśni tekstów dr. Zerbe, dawało się tu i ówdzie słyszeć wśród publiczności chrapanie i trzeba było sztukę bezpośrednio po jej wystawieniu zdejmować ze sceny. Czytelnicy gazety dr. Zerbe nie chcieli czytać jego długich artykułów, naszpikowanych łacińskimi i starogermańskimi wyrazami, ani jego symbolicznych patetycznych poematów. Odebrano dr. Zerbe urządzone z przepychem gabinet Rudolfa Mosera, zanim zdążył się w nim zadomowić. Za redakcyjnym biurkiem zamiast niego zasiadł były reporter, który nie tylko nie był doktorem filozofii, ale nigdy nawet nie oglądał wyższej uczelni.

W teatrze wystawiano sztuki "nowych" dramaturgów. Dr Zerbe zdawał sobie sprawę, że nie tylko nigdy nie studiowali oni greckiego dramatu, lecz niemal nie znali podstawowych reguł budowy utworów scenicznych, nie mieli pojęcia o rytmie, ani żadnego wyczucia językowego. Wprowadzili do literatury język wulgarny, sprośny, uliczny. Najgorsze zaś było to, że widownia zachwycała się tymi wulgaryzmami, rżała z uciechy. Ci sami krytycy teatralni, którzy dawniej wypisywali hymny pochwalne na cześć dr. Zerbe za to, że uwolnił sztukę narodową od kołomyjskich dyrektorów, teraz entuzjastowali się wulgarnymi i prostackimi dramatami.

Dr Zerbe wszelkimi siłami starał się ponownie wleźć na drabinę, na którą tak błyskawicznie się wspiał i jeszcze szybciej został z niej strącony.

Pełen nienawiści i obrzydzenia do wszelkiego wulgaryzmu, prostactwa i chamstwa, zaczął pisywać dla pospólstwa, byle pozyskać uznanie tego środowiska. W gorliwości swej prześcignął nawet "nowych" pisarzy. Dr Zerbe bowiem, aczkolwiek w twórczości poeta, filozof i mistyk, był człowiekiem bardzo praktycznym i zawsze służył swym piórem tym, którzy za to płacili, zadośćuczynił ich wymogom. Uczeń Greków, wielbiący Sokratesa za odważne poglądy, za które filozof pozwolił się zgładzić, ubóstwiający jego wniosłe, wypowiedane do swych uczniów, zanim wypił kielich z trucizną, myśli na temat życia i śmierci, dr Zerbe, zachwycając się pięknem idei, mądrością, stylem antycznego myśliciela, nigdy nie myślał o nim jako o wzorcu w swym postępowaniu.

Nie starczało dr. Zerbe sił ani woli do wojowania ze światem, z pogardą spoglądał na motłoch jak na dzikie, wielkie, drapieżne zwierzę, które — odczuwając do niego wstręt, a jednocześnie strach przed nim — usiłuje się zadowolić.

Jeżeli kiedyś walczył z kołomyjskimi władcami, to nie on tę wojnę rozpoczynał. Robił wszystko, aby wystroić się w ich pióra, by krakać jak oni. Gdy jednak nie chcieli go przyjąć do swego grona, bo nie należał do nich, wystąpił przeciw nim. Z nowymi władcami Niemiec nie można zaś było toczyć wojny, a jedynie zlizywać proch z ich butów, gdyż mogli człowieka roznieść. I dr Zerbe lizał buty ludzi w

brunatnych koszulach, podporządkowywał się wszystkim ich żądaniom. Przez krótki czas wierzył, że zwolennicy "nowego ładu" zrozumieją go, pozwolą rozkwitnąć jego wielkości. Skoro go jednak nie rozumieją, jeżeli wolą ohydę, wulgarność i chamstwo, dostarczy im ich pełną garścią, niech się tym zadławiają. Jeżeli pospólstwo, nędzna hałastra woli żreć śmieci niż subtelne jadło, dr Zerbe da im śmieci. Gorliwie, a jednocześnie ze wstrętem zaczął pisywać wulgarne sztuki

teatralne, płaskie wiersze, używać języka i stylu zgodnych z wymogami chwili bieżącej — jednym słowem sięgnął literackiego bruku. Lecz mimo wysiłków, aby stać się jednym ze zbirów w brunatnych koszulach, nie pozyskał ich sympatii, pozostał na uboczu jako obcy.

Niski, słaby, o dużej głowie osadzonej na małym ciele, zatopiony w książkach, intelektualista od stóp do głów, przesiąknięty dziedzictwem ojca pastora, nie zdobył uznania zwolenników "nowego ładu". Nie mógł bowiem brać udziału w ich wesołych biesiadach, gdyż nie potrafił żreć tak dużo, jak oni, ani żłopać tylu kufla piwa i wchłaniać tyle dymu z cygar. Nie miał też nic do opowiedzenia o walkach i broni, a tym bardziej o swych stosunkach z kobietami i o własnych doświadczeniach miłosnych. Toteż szybko się nim znudzili, jego wykształceniem i ociężałością, wyglądem i zachowaniem. Wiedząc, że osobnicy w brunatnych koszulach nie lubią intelektualistów i ludzi ducha, dr Zerbe próbował ośmieszyć ich, mieszać z błotem. Lecz obciążając intelektualistów winą za wszelkie

zło, sam pozostał intelektualistą do szpiku kości. Nie mógł dorównać nowym liderom pióra w wulgarności i złym smaku. Wyżej postawione osobistości unikały go, damy w salonach przestały dostrzegać. W rozgoryczeniu wspominał często salon Rudolfa Mosera, gdzie kiedyś bywał, i ludzi, z którymi tam się spotykał. Ze skruchą wspominał przepowiednie dr. Kleina o nadchodzących czasach. Lecz nie było odwrotu dla dr. Zerbe.

Po pierwszym upadku z wyżyny, na którą się wspiał, dr Zerbe ześlizgiwał się wciąż niżej i niżej, nie zatrzymując się. Najpierw został sekretarzem redakcji, w której poprzednio był redaktorem naczelnym. Nowy szef gazety, były reporter i jego podwładny, wydawał mu polecenia, od czasu do czasu odrzucał też jego artykuły. Następnie pozbawiono go nawet tej poniżającej funkcji i przydzielono gorszą pracę — opisywanie manifestacji, marszów, uroczystości. Stopniowo przechodził do służby wywiadowczej w obcych krajach.

Dr Zerbe się nie łudził. Mimo że oficjalnie był attaché prasowym w ambasadzie niemieckiej, wiedział że w istocie jest szpiegiem. Dr Zygfryd Zerbe poeta, myśliciel — szpiegowskim agentem! Co gorsza, nawet w tej służbie nie był szefem, lecz podwładnym. Zwierzchnik, który wydawał mu polecenia, traktował go z góry, miał na oku, jakby nie dość mu ufał.

Podobnie jak po tamtej stronie oceanu, w Niemczech» tak tu, w obcym kraju, nie mógł wkupić się w łaskę współpracowników ze służby dyplomatycznej. Byli to przeważnie “nowi” ludzie, którzy nie mając jakiegokolwiek doświadczenia dyplomatycznego z czasów

cesarskich, wypłynęli na wierzch i otrzymali swe stanowiska z tytułu pracy partyjnej. Nic nie pojmowali oni z uczo- ności, filozoficznych myśli, głębi i wizji poetyckiej dr. Zerbe. Widzieli w nim jedynie komicznego, staroświeckiego człowieczka, obcego przybłędę. Ze swej strony dr Zerbe nienawidził ich manier. Ich heil drażyło mu uszy, trzaskanie obcasami łomotało w głowie, a wyrzucanie ramion w górę mierzilo go. Był zgorzkniały, rozczarowany, rozdrażniony, zmęczony. Jego wielkie wodniste oczy były wytrzeszczone, czerwone od bezsenności i wilgotne, jakby dopiero co płakały. Mimo dużej ilości zażywanej aspiryny nieustannie nękały go bóle głowy. Bardziej zmęczony i rozgoryczony niż zwykle bywał dr Zerbe rankami, gdy musiał przeglądać pocztę napływającą w dużej ilości z różnych krańców kraju. Rzadko przynosiła ona coś wartościowego. Najczęściej były to listy biedaków, nieszczęśników, przybłędów, pochwalne listy różnych rozgoryczonych osób do nowych władców Niemiec, poetyckie wynurzenia starych panien, donosy na przeciwników, tajne informacje, które nie miały żadnej wartości dla wywiadu oraz mnóstwo rad i wskazówek, błogosławieństw i pochwał pisanych prozą, a nawet rymowanych. Dr Zerbe czuł wstręt do tej lawiny płytkiego sentymentalizmu, wulgarności, patriotycznej wy- lewności w propagandowym żargonie, spadającej na niego każdego ranka, gdy sekretarka kładła na jego biurku korespondencję. Szybko, piąte przez dziesiąte rzucał mętными oczami na te nawałę listów i jeden za drugim wrzucał, przeważnie ze złością, do kosza ze śmieciami. Znał ich treść, zanim rzucił na nie okiem.

Wszystkie były do siebie podobne.

Z tym samym wstrętem i niechęcią wziął do reki ciężki list od kogoś podpisanego Georg Joachim Holbek, gęsto zapisany na kilku kartkach gotyckimi literami, aby czym prędzej rzucić go do kosza. Lecz gdy tylko przerzucił pierwsze linijki pełne banalnych uprzejmości, usprawiedliwień i przeprosin, jego doświadczone oko zatrzymało się na dziwnych zdaniach, jakich dotąd w listach nigdy nie czytał. Im dłużej czytał to gotyckie pismo, tym bardziej go ono interesowało. Nie był to list, lecz spowiedź, czyjś wybuch zwierzeń pisany nie atramentem, lecz krwią. Było w tej korespondencji wiele naiwności, bezradności, zdań oderwanych, bez związku, lecz również dużo głębokiej żarliwej wylewności, ciężkich przeżyć, męki, zwątpienia, tęsknoty. Dr Zerbe nie przerzucił niecierpliwie listu, jak to było jego zwyczajem, lecz czytał dokładnie, nieraz się zatrzymując i po raz drugi odczytując jakieś zdanie. Po przeczytaniu listu jeszcze raz go przerzucił.

Nie autor zwierzeń zafascynował dr. Zerbe. Dr. Zygfryda Zerbe nie interesowali ludzie, ani ich cierpienia, ani ich radości. Jedynym człowiekiem, który go obchodził, był on, dr Zerbe. Wszyscy inni zajmowali go o tyle, o ile sprawiali mu zadowolenie lub niezadowolenie. Jeżeli interesował się przedstawicielami duchowej kultury artystami, myślicielami — to nie dla ich przymiotów i wartości, lecz dlatego, że sprawiało mu przyjemność obcowanie z nimi, słuchanie ich. Jeżeli odczuwał niechęć do ludzi złych i wulgarnych, to nie z powodu ich wad i niegodnych czynów, lecz dlatego, że go

nudzili i razili. Dr. Zerbe nie próbował nawet maskować swego widzenia świata i ludzi. Przeciwnie, był z siebie dumny. Filozof z powołania, znawca historii i fizyki, wiedział, że rzezie, cierpienia, grabież i okrucieństwa są tak stare jak świat. Zawsze silny będzie maltretował słabego, zawsze wilk będzie pożerał owcę. Dr Zerbe nie wierzył w prorocтва żydowskich moralistów, że lew z jagnięciem będą się pasły pospołu. Podzielał maksymę Rzymian, że człowiek człowiekowi wilkiem. Jagnię zawsze będzie krzyczeć, meczeć, wilk zaś je będzie napastował — zębami i pazurami. Głupotą ze strony filozofa byłoby zatem chcieć zmieniać naturę wilka. Świat należy do silnych. Natura ma swoje prawo, prawo doboru naturalnego. Tylko naiwni moralisci i kazrim dzieje mogą wylewać łzy z tego powodu. Filozof może o tych sprawach rozmyślać, nie płakać.

Mierząc innych swą miarą, dr Zerbe był przekonany, że tak jak cały świat jest dlań obojętny, tak on jest obojętny dla innych, będąc sam na świecie. Gdy miota się nocami na swym posłaniu nie mogąc zmrużyć oka, są to wyłącznie jego cierpienia. Gdy się starzeje, jest to tylko jego problem. Nikogo nie obchodzą jego bóle i osamotnienie, nikt się nie przejmie jego śmiercią. Nie, ktoś o nazwisku Georg Joachim Holbek, ani jego cierpienia, nie interesowały dr Zerbe. Zapewne nie problem rasy, do której przynależał ten człowiek, wywołał obojętność dr. Zerbe wobec jego cierpień. Jako filozofa i fizyka śmieszyły go wszystkie wywody na temat wyższości rasy. Chciało mu się śmiać, gdy zbiry w brunatnych koszulach, grubiańskie

i wulgarne, chciały mu wmówić, że są wybrańcami, że stoją wyżej od żydowskich intelektualistów, z którymi z taką satysfakcją spotykał się w salonie Rudolfa Mosera. Dr Zerbe inaczej klasyfikował ludzi — na silnych i słabych, takich, którzy mogą przysporzyć korzyści lub przyczynić szkody. Jedyne, co go interesowało w liście człowieka o nazwisku Georg Joachim Holbek było to, w jakiej mierze może on przynieść korzyść jemu, dr. Zerbe, w jego służbie w obcym kraju.

Dr Zerbe swym doświadczonym okiem dostrzegł, że ten, kto napisał tak obszerną spowiedź, nie jest przeciętnym człowiekiem. Albo jest to fanatyk idei, dla której gotów jest skoczyć w ogień i dr Zerbe może go w swej służbie wykorzystać, albo jest to wytrawny agent, pozostający w służbie innego państwa, który chce podstępem, grając rolę fanatyka, dostać się do niego, dr. Zerbe, na służbę, aby go szpiegować. Tak czy owak dr Zerbe był zainteresowany spotkaniem z nim. Przeczytawszy raz jeszcze list, odrzucił poprzednie podejrzenie, że chodzi o podstęp i był przekonany, iż ma do czynienia z fanatykiem i entuzjastą, jednym z wielu młodych, rozkojarzonych w obecnych czasach wypędzonych żydowskich marzycieli, z którego on, dr Zerbe, może mieć wielki pożytek.

Od pewnego już czasu dr Zerbe gorączkowo poszukiwał w przeciwnym obozie kogoś, i to właśnie Żyda, którego by zaprzągnął w swoją służbę.

Po pierwsze, należało do jego obowiązków wiedzieć, co się dzieje w świątku emigrantów i wypędzonych, znać każdy krok tych ludzi w

nowym kraju. Byli oni przeważnie zastraszeni, milczeli i nic nie mówili o tych, którzy ich wygnali, zgodnie z przyrzeczeniem, danym zanim ich wypuszczono z ojczyzny. Należało jednak mieć ich na oku, by mieć pewność, że nie złamali słowa. A jeżeli zrobiliby to, trzeba było rozliczyć się za to z ich krewnymi i bliskimi w Niemczech. Dr Zerbe miał do tego celu odpowiednich ludzi, lecz poszukiwał do swej dyspozycji wygnańca, właśnie Żyda, który ma dostęp do swoich i którego się nie wystrzegają. Po drugie, nie wszyscy wypędzeni i imigranci byli milczący i zastraszeni. Byli tacy, którzy jawnie i otwarcie, w słowie i piśmie, walczyli z władcami "stamtąd". Najniebezpieczniejsza była rudowłosa dr Elza Landau.

Wiele zmartwień przyczyniła dr. Zerbe Elza Landau. Mimo że przyrzekła, zanim ją wypuszczono, że nie piśnie słowa przeciw krajowi, z którego ją wygnano, nie dotrzymała przyrzeczenia i publicznie się nawet tym przechwalała. Ledwie przybyła do obcego kraju, już szkalowała słowem mówionym i pisanym władców swej ojczyzny, uprawiała propagandę grozy. Jak w latach ubiegłych, gdy była deputowaną do Reichstagu, jeździła po nowym kraju z miasta do miasta, z jednego brzegu oceanu na drugi.

wszędzie przemawiała, ujawniała tajemnice, obrzucała błotem rządzących Niemcami, organizowała grupy bojowe wśród ludności niemieckiej. Z czasem zaczęła wydawać tygodnik. W tygodniku tym, aczkolwiek niskonakładowym, roiło się od wiadomości z drugiej strony oceanu, tajemnic i tajnych informacji z przeciwnego obozu. Dr Zerbe i jego ludzie nie mogli zrozumieć, w jaki sposób "ruda bestia"

otrzymuje te wiadomości. Nie tylko rozsyłała tygodnik do różnych amerykańskich redakcji, by wykorzystywały zawarte w nim treści, lecz setki egzemplarzy dostarczała różnymi tajnymi drogami na drugą stronę oceanu.

Najgorsze zaś było to, że dr Elza Landau w swym tygodniku szkalowała jego, dr. Zerbe, mieszała go z błotem i wyrabiała mu złą opinię w Ameryce.

Dr Zerbe poświęcił wiele sił i trudu, by pozyskać opinię publiczną dla swego kraju, nawiązać kontakty ze światem intelektualnym, wejść w krąg ludzi swego pokroju. Z dyplomatyczną zręcznością dostarczał materiały prasowe do gazet, które jednak traktowały je podejrzliwie. Bardzo umiejętnie nawiązał stosunki z duchownymi, nauczycielami, pisarzami i znanymi osobistościami. Cierpliwie usiłował zdobyć sympatię, zrozumienie dla swych mocodawców, do których sam żywił nienawiść i wstręt. Przy pomocy filozofii, potoku poetyckich rymów, łacińskich sentencji, przykładów z historii, cytata z poezji, wersetów z Biblii, metafizyki, zacierał w znamienitszych domach, < do których udało mu się dostać, grzechy zgrai w brunatnych koszulach. Znanca wszelkich prądów filozoficznych, zorientowany w najnowszych osiągnięciach intelektualnych, wytrawny polemista i mistrz dialektyki, jeszcze z czasów, gdy jego ojciec, duchowny, wysłał go na studia teologiczne, umiejętnie potrafił maskować, usprawiedliwiać wszelką nieprawość, tysiącem racji udowadniać, że czarne jest białe, a noc jest dniem. Dr Zerbe nawet polubił te kręgi, do których się wkręcił. Choć od czasu do czasu musiał wytrzymać

gorzkie ataki za wyczyny swych pobratymców, satysfakcjonowały go spotkania

z ludźmi własnego pokroju. Znow, jak niegdyś w salonie Rudolfa Mosera, miał możliwość mówić o filozofii i religii,

najnowszych książkach, o każdym osiągnięciu w świecie intelektu, mógł ostrzyć język w dyskusjach, cytując myślicieli i uczonych, imponować doskonałą pamięcią, błyszczeć swą wielostronną wiedzą. Po spotkaniach ze "swoimi", żłopiącymi piwo i trzaskającymi obcasami, była to dla niego szczególna rozkosz. Lecz dr Elza Landau rzucała mu kłody pod nogi w tych kołach. Wyrobiła mu złą opinie w prasie, w której usilnie starała się zamieszczać swoje informacje. Publikowała listy w gazetach, które podawały pochodzące od niego informacje, wykazując ich kłamstwo i fałsz. Ostrzegała inteligencje przed kontaktami z dr. Zerbe, nazywając go szpiegiem

donosicielem. Dr Zerbe irytował się za każdym razem, gdy widział swoje nazwisko w tygodniku dr Elzy Landau. Wystawiała go na hańbę, na widok publiczny, obnażała. Miała przy tym ostre pióro, pisała logicznie i z poczuciem humoru, czego dr Zerbe, nie będąc zbyt wysokiego mniemania o kobietach, zgoła nie oczekiwał. Siniał z gniewu, gdy nieraz drwiła nawet z jego wyglądu. Nazywała go nie tylko duchowym kaleką, lecz także kaleką fizycznym. Dr Zerbe nie mógł spać nocami z powodu tej obelgi, odczuwał ją tak dotkliwie dlatego, że utrafiła w sedno. Jego kolegów ze służby dyplomatycznej radowała ta obelga i dawali mu to do zrozumienia. Dr Zerbe pałał gniewem przeciw Elzie Landau i ludziom z jej otoczenia. Śledził ją,

posyłał swych ludzi, aby mieć na oku każdy jej ruch. Nie przynosiło to sukcesu, wyczuwała tych ludzi na milę. Dr Zerbe na gwałt potrzebował swojego człowieka, wygnańca i Żyda, który by miał dostęp do wrogiego obozu, i któremu by tam ufano. Swym doświadczonym okiem dostrzegł od razu, że ten, kto pisze pod nazwiskiem Georg Joachim Holbek, jest tym, jakby z nieba zesłanym człowiekiem.

Dla ostrożności kazał sprawdzić w archiwum, czy nie ma jakiegoś materiału o autorze listu i polecił swym podwładnym dowiedzieć się czegoś o nim. Nie ciążyła na nim żadna skaza. Dr Zerbe wysłał do Jegora list, aby się do niego zgłosił.

Ręce Jegora Karnowskiego drżały, gdy w małym hoteliku w Yorkville otwierał list. Był on krótki, formalny, zawierał zaledwie kilka linijek. Jegor odczytał go kilkakrotnie, aż w końcu znalazł go na pamięć. Niemal nic spał w nocy z niepokoju i oczekiwania. Rano mył się i czyścił dłużej niż zwykle, przeglądał się starannie w małym hotelowym lustrze. Bardziej niż zwykle dręczył go tym razem jego wygląd. Przez chwilę wydawało mu się, że nie ma w sobie nic z ojca, że od stóp do głów jest Holbekiem. Lecz natychmiast stracił poprzednią pewność i zaczął wynajdywać ślady znienawidzonej strony swej osobowości. Im bardziej tych śladów szukał, tym większe mu się one wydawały. Najbardziej kłuły go w oczy czarne włosy. Wszedł do fryzjera i kazał je krótko ostrzyć, zgolić kark na modłę niemiecką. W ten sposób ustrzelił jednocześnie dwa zające, nadało

mu to wygląd bardziej niemiecki i stracił sporo ze swej czerni. Podobał się teraz sobie przeglądając się w dużym lustrze. Wyszedł wcześniej, aby być na miejscu punktualnie. Nie wiedział, co zrobić z rękami przy wejściu do gabinetu dr. Zerbe — czy powinien wyrzucić przed siebie ramię, czy nie może tego robić, jak nie wolno mu było “tam” z powodu przynależności rasowej. Bardzo mocno trzasnął obcasami dla naprawy ewentualnego błędu.

— Georg Joachim Holbek melduje się z szacunkiem, ekscelencjo — przedstawił się głośno, po wojskowemu.

Dr Zerbe zatrzęsł się po przesadnie hałaśliwym trzaskaniu obcasami, gdyż nie znosił żołnierskich manier, lecz nie okazał niechęci. Wytrzeszczył tylko swe duże wilgotne oczy, które sprawiały wrażenie, jakby dopiero co płakały.

— Bardzo mi miło, panie Holbek — powiedział uroczyście, wyciągając rękę. — Proszę siadać.

Jegor nie usiadł i wciąż stał w wojskowej postawie.

— To ja napisałem list do Jego Ekscelencji — meldował. — Ekscelencja był łaskaw mnie wezwać.

Pomarszczoną twarz dr. Zerbe pokrył wyraz łaskawości. Nikt dotychczas nie honorował go tytułem “ekscelencjo”. Gestem generała, który każe oficerowi po ceremoniach się rozluźnić i zachowywać swobodnie, wskazał młodemu człowiekowi krzesło.

— Proszę siadać, panie Holbek — jeszcze raz go poprosił. — Proszę nie nazywać mnie ekscelencją, tylko panem doktorem.

— Tak jest, panie doktorze — odpowiedział Jegor i usiadł na

brzegu krzesła z szacunkiem i uroczyście.

Przez chwilę obaj milczeli. Jegor nie śmiał mówić. Nie była to klasa pana Barnetta Levy'ego, ani gabinet dyrektora Van-Lobena, gdzie go traktowano jak chłopca, wołano "synku", ujmowano pod podbródek i wypytywano o krępujące, tajemne, młodzieńcze sprawy. Tu panował respekt, dyscyplina, atmosfera powagi. Dr Zerbe nie chciał mówić, pragnął tylko patrzeć, obserwować niespokojnego młodzieńca. Jego zarumienienie, zakłopotanie nie budziły podejrzania o podstęp, widział przed sobą zagubionego chłopca, wstydliwego, a przede wszystkim obrażonego w ludzkiej godności. Dr Zerbe okazał łaskawość, aby go pozyskać.

— Wygląda pan bardzo młodo, panie Holbek — powiedział bacząc, by zwracać się do niego per pan.

— Och, już jestem dorosły, panie doktorze. Mam osiemnaście lat — odpowiedział Jegor.

Dr Zerbe uśmiechnął się po ojcowsku.

— Mój Boże, osiemnaście lat — mówił z zazdrością starego człowieka, który ma przed sobą kogoś młodego. — Na podstawie poważnego tonu pańskiego listu wyobrażałem sobie, że jest pan starszy. Pański list bardzo mnie wzruszył, panie Holbek, bardzo.

Jegor znów się zaczerwienił, tym razem wskutek komplementu doktora. Nabrał odwagi, zaczął mówić, zanim go zapytano.

— Czy mogę pana obarczać, panie doktorze, zabierać cenny czas moją skromną osobą? — pytał uroczyście.

— Cenię pańskie zaufanie do mnie, drogi panie Holbek — dr Zerbe

kontynuował rozmowę w uprzejmym tonie. — Gotów jestem pana wysłuchać.

Jegor zaczął mówić urywanymi zdaniami, nie zachowując chronologii, o swych cierpieniach, zagubieniu, o przekleństwie, które ciąży na nim z winy rodziców. Im dłużej mówił, tym bardziej się plątał, coraz częściej się powtarzał, przeskakiwał — bez przestrzegania kolejności — z jednego wydarzenia do drugiego. Potem wystąpił na czoło, lecz wciąż nie przestawał mówić, zbyt wiele bólu się w nim nagromadziło, aby mógł szybko dojść do sedna. Dr Zerbe go nie powstrzymywał. Znużony historią młodzieńca, którą znał już z listu, znużony jego plątaniem się i kręceniem w kółko, utrzymywał wyraz zainteresowania na twarzy, którą ze zmęczenia podpierał dłońmi, i ani przez chwilę nie wykazywał śladu zniecierpliwienia.

— Proszę kontynuować, panie Holbek — dodawał mu odwagi za każdym razem, gdy młodzieniec pytająco spoglądał na niego swymi błękitnymi oczami.

Dr Zerbe wiedział, że aby zdobyć skarb, trzeba długo grzebać się w śmieciach. Aby wydobyć z człowieka to, czego się pragnie, trzeba długo wysłuchiwać wszelkich głupstw i nonsensów i z lawiny słów wyłuskać jądro i rzeczy. Gdy Jegor doszedł do tego, że nazwisko Holbek jest ze strony matki i że z ojca jest Karnowskim, dr Zerbe nadstawił swe odstające uszy. Nazwisko było mu znane z czasów, gdy przychodził do salonu państwa Moserów.

— Karnowski, Karnowski — mruczał. — Czy ojciec pana jest

lekarzem?

— Tak jest, panie doktorze — odpowiedział Jegor. — Posiadał klinikę ginekologiczną na Kaiserallee, mieszkaliśmy w Grünewald.

Dr Zerbe nie miał już najmniejszej wątpliwości, że z tego syna lekarza będzie miał pożytek w swej służbie. Był zadowolony z tego, że wyczuł to natychmiast z listu, który zrazu miał ochotę rzucić do

kosza. Jegor wciąż

mówił. Gdy zmęczył się i siedział wyczerpany, patrząc błagalnie w wilgotne, wytrzeszczone oczy doktora, dr Zerbc kilkakrotnie wygładził swe szare, koloru popiołu włosy, a raczej ich resztkę, która mu pozostała na dużej głowie, i głęboko się zamyślił. W tym zamyśleniu kryła się rozwaga wielkiego profesora, który wysłuchał ciężko chorego i zastanawia się, jak go ratować. Po długim namyśle zaczął mówić — ostrożnie, powoli, ważąc każde słowo.

Jak zwykle przestrzegał pewnej kolejności, metody. Najpierw ubolewał nad młodzieńcem. Biedny chłopiec! Dr Zerbe wie, co to są cierpienia młodzieńcze, tęsknota za krajem. Zna te problemy, tak charakterystyczne dla niemieckiej młodzieży, pamięta to ze swej własnej młodości, choć od tego okresu w jego życiu upłynęło już sporo czasu. Zna te problemy z literatury niemieckiej, w której wiele z tych nastrojów można odnaleźć, zna je też osobiście, gdyż jako poeta nieraz te duchowe cierpienia młodzieży opiewał w swych skromnych wierszach. Całym sercem współczuje obolałej duszy okaleczonego młodego człowieka, rozumie tragedię kwiatu wyrwanego z rodzimej gleby i przeszczepionego na obcy grunt, gdzie

usycha i więdnie. Jegorowi pod wpływem słów dr. Zerbe łzy napłynęły do oczu, szczególnie wzruszył go podany przez niego przykład kwiatu.

— O to właśnie chodzi, pan doktor tak poetycko to wyraził — mówił roztkliwiony.

Doktor lekko skłonił głowę w uznaniu za komplement chłopca i znów przybrał poważny wyraz twarzy profesora, który ma przed sobą ciężko chorego i nie ma czasu na uśmieški. Uporawszy się ze stroną poetycką, dr Zerbe przeszedł do historycznej.

Oczywiście, jako poeta może zrozumieć cierpienia rośliny wyrwanej z rodzimej gleby, lecz jako uczony wie, że są w dziejach narodów okresy, gdy pewne rośliny muszą być wyrwane dla dobra ogrodu. Rośliny, które szkodzą ogrodowi, powodują nieporządek, zakłócają harmonię, a nawet niszczą owoce. Oczywiście, dr. Zerbe na-

wet przez myśl nie przeszło zwątpienie w prawość i czy-« ste serce Jegora, szlachetnego młodego człowieka, który Jzwierza mu swe tajemnice. Naturalnie, dr Zerbe mu [współczuje. Lecz istnieje dziejowa sprawiedliwość, która sprawia, że grzechy rodziców przechodzą na dzieci. Istnieje potrzeba wyplenienia dzikiego zielska z ogrodu. Jako syn chirurga, młody pan powinien o tym wiedzieć, dzikie mięso trzeba wycinać, jeżeli chce się ratować ciało.

Jegor przedtem wzruszony porównaniem do kwiatu spuścił głowę, gdy został porównany do dzikiego mięsa.

— Panie doktorze — wyszeptał.

Dr Zerbe pogłaskał go po ramieniu. Młody pan nie powinien tych słów traktować jako osobistej obrazy, gdyż nie zostały użyte w znaczeniu dosłownym, lecz symbolicznie. Oczywiście, istnieją ludzie prymitywni, głupcy, | pospólstwo, którzy wszystko pojmują dosłownie, lecz dr Zerbe daleki jest od wulgarnej interpretacji zawiłych problemów. Ujmuje je w wyższym sensie, konieczności-dziejowej, odrodzenia ducha narodu, jego geniuszu, co nakazuje przetrwanie narodu i czystość rasy. Dziejowa sprawiedliwość nie może jednak wnikać w każdy posz^ czególny przypadek, musi stwarzać ogólne prawa. I tu tkwi tragedia prawego człowieka, który pada ofiarą wyższej sprawiedliwości dziejowej. Tak już jest w życiu, że jednostka pada ofiarą ogółu, a dzieci cierpią za grzechy rodziców. Gdyby to był przynajmniej inny przypadek,] lżejszy, lecz tu, niestety, jest właśnie tak. Młody pan jest niekwestionowanym dziedzicem ojca Żyda. W tym wypadku dominującym czynnikiem jest krew nie ze strony matki, lecz ojca. Innymi słowy, Jegor jest stuprocentowym Żydem. Jegor wie zapewne, jak surowe są ustawy określające w takiej sytuacji możliwość uzyskania obywatelstwa w odrodzonym kraju. Przybity Jegor zaczął się jękać, r— To znaczy, panie doktorze, że nie ma dla mnie wyjścia? — zapytał zrozpaczony.

Dr Zerbe oparł łokcie na stole i przywołał na swą pomarszczoną twarz powagę profesora, który istotnie ma przed sobą ciężko chorego, lecz nie pozbawia go nadziei życia, gdyż szuka dla niego ratunku.

— Gdyby tak rzecz się miała, drogi młodzieńcze, nie wzywałbym

pana — powiedział. — Skoro pana poprosiłem do siebie, to dlatego, że zainteresował mnie pański list. Zainteresowanie to wzrosło po poznaniu pana. Mówię to otwarcie. Sprawia pan na mnie wrażenie głęboko cierpiącego młodego człowieka, rozumnego i wrażliwe-

Jegor dostał wypieków na twarzy pod wpływem tych serdecznych słów, jakich rzadko wysłuchiwał. Dr Zerbe przeniknął go swymi wytrzeszczonymi, wilgotnymi oczami, które wyglądały, jakby dopiero co płakały. Nie, młody pan nie powinien wątpić i sądzić, że nie ma dla niego wyjścia. Jest wyjście, bardzo dobre wyjście. Wiąże się ono jednak z ofiarnością, z cierpliwą pracą, z bezwzględnym posłuszeństwem.

— Och, nic nie będzie dla mnie ciężkie, panie doktorze — powiedział rozpogodzony Jegor.

Dr Zerbe dał mu znak, aby nie przerywał. Mówił ciepło, nawet z pewną uroczystą nutą w zmęczonym głosie. Odradzająca się ojczyzna wydaje twarde prawa przeciw wrogom. Ojczyzna jest twarda jak skała, lecz jednocześnie miękka jak łono matki dla tych, którzy się dla niej poświęcają, którzy służą jej duszą i ciałem. Co więcej, odradzająca się ojczyzna umożliwia odkupienie grzechów przez ofiarę. Odradzająca się ojczyzna wie, że krew jest silniejsza od atramentu i zawsze znajduje możliwości starcia atramentem pisanych praw, poprzez krew wniesioną na ołtarz ojczyzny.

Jegor aż podskoczył na krześle.

— Panie doktorze, jestem zawsze gotów oddać życie w obronie ojczyzny, krew swą przelać w walce z wrogami, bylebym mógł

wrócić do domu.

Dr Zerbe przerwał tę pełną uniesienia wypowiedź Jegora. Oczywiście, piękna i chwalebna jest gotowość walki dla ojczyzny, lecz to nie ofiara, a w nowym, odradzającym się kraju przywilej, który nie każdemu jest dany. Są inne pola bitwy — nie przeciw jawnemu wrogowi, lecz przeciw ukrytemu. Są żołnierze, którzy walczą na innych frontach, nie na polu bitwy. Zapewne walka ta nie jest tak spektakularna, nie toczy się jej w hełmie na głowie i ze szpadą w ręku, lecz takie ciche walki są często ważniejsze, bardziej bohaterskie i wymagające większego poświęcenia niż bitwy na froncie. Ojczyzna zaś potrafi nagrodzić tych ofiarnych żołnierzy.

Jegor nie bardzo rozumiał i wielkimi błękitnymi oczami patrzył na dr. Zerbe. Ten mu więc wyjaśnił, że ojczyzna musi toczyć ciężkie boje w świecie, w którym ma wielu wrogów. Są oni wszędzie, w redakcyjnych gabinetach, salonach liberałów i intelektualistów, w klubach robotniczych i kościelnych, w domach emigrantów i synagogach, w bankach, restauracjach, klubach, w prywatnych mieszkaniach. Zadaniem bohaterskich żołnierzy jest wysledzić tych wrogów, znać każdy ich krok, każdy plan i wszelką działalność. Tysiące takich bohaterskich żołnierzy służy ojczyźnie na tych innych polach bitew, są to najlepsi synowie ojczyzny. Czy Jegor chce dostąpić zaszczytu i być jednym z nich?

Jegor siedział i milczał. Choć słowa dr. Zerbe osłaniała wciąż mgła wysokiego patosu — bohaterska, zaszczytna służba, dzielni

żołnierze — Jegor nie widział w nich bohaterstwa, wojskowości, do czego czuł taki pociąg od dziecka. Żołnierzem w jego pojęciu był wuj Hugo i tacy jak on. Poza tym donoszenie tajemnic, oskarżanie kogoś było mu zawsze obce. Nawet gdy dr Kir-chenmajer tak ciężko go obraził w gimnazjum wobec wszystkich, nie opowiedział o tym w domu. Dlatego spuścił w milczeniu głowę. Dr Zerbe udał obrażonego. Jest zapewne bardziej romantyczne, piękne i bohaterskie paradować w mundurze, dzwonić ostrogami ku podziwowi młodych dam. Zapewne jest przyjemniej przebywać we własnym kraju, żyć w pełni normalnym życiem. Ale czyż Jegor nie sądzi, że również on, dr Zerbe, mógłby żyć wygodniej we własnym kraju, mając po temu wszelkie prawa jako Aryjczyk i patriota, zamiast służyć krajowi na obczyźnie? Czyż pan Karnowski sądzi, że jest lepszy od dr. Zerbe?

W jego głosie brzmiał udawany żal, nawet obraza. Z rozmysłem nazwał młodzieńca Karnowskim, aby mu przypomnieć, kim jest. Jegor przestraszył się gniewu dr. Zerbe.

— Tysiącrotnie przepraszam, panie doktorze, nic takiego nie powiedziałem — usprawiedliwiał się. — Gdzieżbym śmiał?

Dr Zerbe z zadowoleniem stwierdził, że jego metoda jest właściwa i utrzymał swój obrażony ton. Młody pan musi wziąć pod uwagę, że nie wezwał go po to, by spędzić z nim czas na pogawędce, gdyż każda jego chwila jest droga, bardzo droga. Jeżeli poświęcił mu tyle swego cennego czasu, to tylko dlatego, że chciał mu pomóc, dać możliwość poprzez wierną służbę odkupić grzech jego matki, która

wniosła obcą krew w żyły syna. Chciał mu pomóc zyskać łaskę ojczyzny, która za jego dzielną służbę uzna go za godnego być Aryjczykiem i z czasem obdarzy przywilejem powrotu do kraju przodków. Przywilej ten nie każdemu jest dany. Do niego należy wybór, czy rozpocząć nowy rozdział w życiu, czy pozostać przy starym.

Powiedziawszy to, dr Zerbe zaczął przerzucać papiery na biurku, aby pokazać, jak bardzo jest zapracowany.

— W każdym razie było mi miło pana poznać — powiedział zaabsorbowany. — Mam nadzieję, że pan rozumie, iż to, o czym rozmawialiśmy, winno absolutnie pozostać między nami.

Przenikliwie patrzył na zagubionego młodzieńca, aby się przekonać, czy jego ostre słowa wywarły jakiś wpływ, gotów w każdej chwili zatrzymać młodego Karnowskiego, gdyby jednak chciał on odejść. Lecz Jegor nie ruszał się z miejsca. Nogi miał ciężkie, jakby ołowiane, jak u ciężko chorego, któremu lekarz oznajmił, że jego życie się kończy i ten ciężki wyrok nie pozwala mu od razu opuścić gabinetu lekarskiego. Dr Zerbe puścił w niepamięć poprzednią obrazę, przestał być sztywny i znów stał się łaskawy i rozmowny, mimo że jego czas był tak drogi. W jego głosie zamiast poprzedniej powagi pojawiła się lekkość i dobrodusznazartobliwość.

— Ciężko pan wszystko przeżywa, panie Holbek — znów był ojcowski i zwrócił się do niego nazwiskiem matki — nieco zbyt ciężko, drogi młody przyjacielu.

Jegor sie usprawiedliwiał.

— Pan doktor nie powinien sie na mnie gniewać. Pan doktor zechce łaskawie zrozumieć, że niełatwo jest sie zdecydować na taką rzecz, jak...

Lękał sie nazwać te rzecz po imieniu, aby nie obrazić dr. Zerbe. Dr Zerbe sam ją nazwał.

— Chce pan powiedziec tajna służba?

Jegor sie zaczerwienił.

Dr Zerbe zaśmiał sie głośno.

— Po cóż ta pompatyczna nazwa? — zapytał śmiejąc się. — Nazywamy to po prostu informacją.

Urywając nagle, jakby nożem uciął swój śmiech, dr Zerbe zaczął pomniejszać problem. Młody pan nie zrozumiał go właściwie. W młodzieńczej fantazji wyobraził sobie górę, podczas gdy jest to tylko mysz, niewinna myszka. Młody pan myli się, grubo się myli, sądząc, że on, dr Zerbe, zajmuje się takimi sprawami. Winien wiedziec, że dr Zerbe jest poetą i uczonym, którego zadaniem jest szerzyc kulturę swego kraju, zdobywać przyjaciół dla nowej, odradzającej się ojczyzny. Lecz, niestety, otoczony jest wrogami, którzy rozsiewają kłamstwa, oszczerstwa, szerzą propagandę nienawiści. Najgorsza w tej wrogiej bandzie jest rudowłosa bestia, dr Elza Landau. Ta diabelska Żydówka miota się jak szatan po kraju, od Atlantyku do Pacyfiku, wszędzie wygłasza jadowite przemówienia, judzi, organizuje grupy, które mają dzialać przeciw ojczyźnie, na każdym kroku rozprzestrzenia swe oszczerstwa, uprawia propagandę

nienawiści. Wszędzie szczuje przeciw niemu, dr. Zerbe. To ona nazywa go agentem, szpiegiem i wszelkimi innymi ohydnyimi wyzwiskami. Dlatego właśnie dr Zerbe jest zainteresowany wiadomościami o tym, co się dzieje we wrogim obozie, winien znać jego szkodliwe plany i działania. Zgodnie z zasadą: kto chce poetę zrozumieć, niech do kraju poety się uda. Nie ma nic złego na myśli, chce mieć tylko informację, nieszkodliwą i łatwą do zdobycia dla tak młodego człowieka, który ma dostęp do tych kręgów, natomiast ogromnie ważną dla dr. Zerbe i jego patriotycznej służby.

Jegor próbował odwrócić tok rozumowania dr Zerbe.

— Lecz ja nie mam nic wspólnego z tymi kręgami! — powiedział z niechęcią. — Nie znam ich i nie chcę ich znać, są mi obcy, jestem ich przeciwnikiem, dlatego właśnie przyszedłem do pana doktorze prosić, aby mnie od nich oderwał...

Dr Zerbe znowu się zaśmiał.

— Nonsens, młodzieńcze, czysty nonsens.

Dlatego właśnie, że chce się oderwać od tego środowiska, musi jakiś czas w nim pozostać. Dzielny żołnierz nie ucieka od wroga, lecz wciska się w jego pozycje i przynosi informacje z przeciwnego obozu. Dzielny żołnierz często nawet przebiera się w mundur wroga, aby przeniknąć do jego obozu. Ojczyzna wie, jak nagradzać swych dzielnych żołnierzy.

Jegor wciąż milczał. Ciężkie to było milczenie, bolesne. Dr Zerbe pozwolił mu milczeć. Zamiast dalej nalegać, gwałtownie opuścił

pokrywę biurka i wyrównał resztę rzadkich włosów na głowie.

— Czy mogę pana prosić, drogi panie Holbek, na obiad do siebie?

— zapytał nagle z uprzejmym uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

Nagły zwrot oszołomił Jegora.

— Och, to jest... to zbyt wiele zaszczytu dla mnie, panie doktorze...

— wyszeptał niezdecydowanie.

Dr Zerbe włożył powoli plik papierów do skórzanego żółtego portfela z zamkami i pasami, założył elegancki twardy kapelusz, nieodpowiedni do jego dużej, śmiesznie ukształtowanej głowy, na szyję biały jedwabny szalik i niezręcznie próbował włożyć porządny, czarny płaszcz. Jegor pomógł mu wsunąć ręce w rękawy.

— Bardzo uprzejmie, bardzo — powiedział dr Zerbe promieniejąc i wziął w rękę portfel, a w drugą hebanową laskę. W płaszczu z aksamitnym kołnierzem i w białych getrach na lakierowanych butach wyglądał jeszcze żałośniej. Bładością przypominał trupa, którego do pogrzebu zbyt upiększono. Przed gmachem stała taksówka. Dr Zerbe wsiadł do niej i polecił milczącemu młodzieńcowi usiąść obok. Nie wspominał o poprzedniej rozmowie, rozmawiał o pogodzie, o pięknie świecącym słońcu.

Wiedział z doświadczenia, że czego nie da się osiągnąć, zwłaszcza u wrażliwego młodzieńca, w nieprzytulnych ścianach biura, można łatwo uzyskać w kameralnej domowej atmosferze, przy nakrytym stole i kieliszku wina. Dr Zerbe zatrzymał się przed kwiaciarnią i kupił róże.

— Moja stara służąca nigdy nie stawia mi kwiatów na stole —

poskarżył się Jegorowi jak bliskiej osobie. — Muszę sam o tym pamiętać.

Po dłuższej jeździe dotarli do cichej dzielnicy, rzadko zabudowanej jednopiętrowymi domkami z ogródkami od frontu. Z napisów rozrzuconych tu i ówdzie na stacjach benzynowych i aptekach Jegor zorientował się, że znajdują się na Long Island. Okolica przypominała mu Griinewald.

Przy końcu ulicy, z dala od okolicznych budynków znajdował się dom ze spuszczoneymi zasłonami na weneckich oknach, otoczony ogródkiem z zielonymi sztachetami. Taksówka zatrzymała się. Dr Zerbe poprosił Jegora, aby potrzywał żółty portfel i laskę i małym kluczykiem otworzył frontowe drzwi.

— Nie, jest pan moim gościem i powinien pan wejść pierwszy IgJ powiedział, gdy młody Karnowski wzbraniał się przed zaszczyceniem siebie w ten sposób.

Jegora ogarnął przede wszystkim mrok. Po słonecznej jasności na zewnątrz, mroczny pokój oślepił. W tej mrocznej ciszy rozległ się nagle świergot.

— Posiłek, pppanie doktorze, ppposiłek.

Jegor rozejrzał się i zobaczył papugę, której zieleń odcinała się od ciemności. Po zieleni ptaka inne kolory

mmm

wyłaniały się z ciemności, czerwień dywanu, czerń pianina, plamy obrazów na ścianach. W panującym w ciągu dnia mroku Jegor poczuł niepokój i zarazem ciekawość. Dr Zerbe zostawił go samego na

dłuższą chwilę. Papuga darła się bez przerwy: "Posiłek, panie doktorze..."

Cicho weszła starsza kobieta i odsłoniła jedno okno. • ~ Dzień dobry — powiedział Jegor i lekko się uklonił.

Stara gniewnie odburknęła i wyszła tak cicho, jak weszła. Przy odsłoniętym oknie zajaśniał najpierw jaskrawy obraz nagiej kobiety. Jegor się zaczerwienił. Obraz, który wydawał się być dziełem artysty, przywodził raczej na myśl pornografię niż dzieło sztuki. Nikt nie przychodził. Jegor obserwował inne przedmioty w obszernym pokoju. Był on zastawiony rzeźbionymi meblami, ozdobiony różnymi dzbankami, brązowymi talerzami na ścianach, japońskimi parawanami, wazonami, miedziorytami. W rzeźbionych szafach stały różnorodny książki ze złoconymi grzbietami — obok dzieł filozoficznych i klasycznych, powieści obyczajowe i ilustrowane księgi o podejrzanej treści. Kącik, w którym wisiała klatka zielonej papugi, zastawiony był drewnianymi, prymitywnymi czarnymi figurami afrykańskich bożków, nagich mężczyzn i kobiet o przesadnie zarysowanych cechach płciowych. Jegor jak zwykle się zarumienił, gdy nagle poczuł rękę na ramieniu.

— Jak się panu tu podoba, młodzieńcze? — zapytał dr Zerbe.

Nosił jedwabny szlafrok i domowe pantofle. Wyglądał w nich jeszcze bardziej pokracznie niż przedtem. Jednocześnie był mniej sztywny i przystępniejszy. Objął Jegora w pół na modłę niemiecką i doprowadził do stołu, zastawionego butelkami wina, koniaku i likieru. — Co pan woli, wino czy wódkę?

— Mnie jest wszystko jedno, panie doktorze — odpowiedział zawstydzony Jegor.

— Jeżeli tak, napijemy się wina — powiedział dr Zerbe i wziął się do jedzenia raków i różnych mięsów, które przyniosła stara kobieta.

Dr Zerbe zdejmował palcami

skórę z mięsa, cmokając wargami jak starsi ludzie, którzy mają słabe zęby. Powoli przeżuwał jedzenie. Miał wygląd słabego zwierzęcia,

które gryzie stworzenie jeszcze słabsze od siebie. Jegor wstydził się jeść. Dr Zerbe go zachęcał. Choć niezręcznie jadł, bardzo zręcznie mówił. Ani na chwilę nie przestawał wyrzucać z siebie potoku słów.

— Zamknij dziób, głupia papugo! — złościł się na papugę, która nie przestawała wołać: "Posiłek, panie doktorze". — Pozwól mówić panu doktorowi.

Nalał ponownie dwa kielichy wina — dla siebie i dla Jegora — podziwiał ładną czerwień napoju, która odbijała się w kryształach i wszystkie jego zmarszczki roześmiały się.

— Mogę zwracać się do pana po imieniu, młody przyjacielu? — zapytał.

— Będzie to dla mnie zaszczytem, panie doktorze

— odparł Jegor. — Nazywam się Georg.

— Dlaczego nie pije pan wina, Georg? — zapytał dr Zerbe.

— Och, nie jestem przyzwyczajony do picia, panie - doktorze — usprawiedliwiał się Jegor.

— Wino to napój szlachetny, napój myślicieli

— powiedział dr Zerbe i stuknął o kielich Jegora.

— Piwo zaś jest napojem pospolitym, czyż nie sądzi pan, Georg?

— Nie wiem, ale skoro pan doktor tak mówi, to zapewne tak jest

— cicho powiedział Jegor.

Dr Zerbe dowodził, że nie mówi bezpodstawnie, lecz że opiera swą myśl na faktach historycznych. Należy się przyjrzeć kulturze świata, by się przekonać, że stare kultury wyrosły w krajach, których ludy piły wino. Tak było w Grecji, Rzymie, Egipcie, Babilonii, Palestynie. Już starzy Hebrajczycy mawiali, że wino raduje serce człowieka.

Czyż nie? |i|yHH

— Nie wiem — odpowiedział Jegor niechętnie, gdyż rozmowa zesłała na Hebrajczków, o których nie chciał nic wiedzieć. — Nie interesują mnie te sprawy.

— Szkoda, drogi Georgu — strofował go dr Zerbe. — Wielka jest kultura hebrajska. I mimo że jestem zwolennikiem Aten i Rzymu, nie można machnąć ręką na Jerozolimę, co chcą czynić wulgarni ignoranci w swej ciemnocie.

Wino, które dr Zerbe wciąż dolewał gościowi, rozweseliło Jegora, uderzyło mu do głowy zamiast iść do żołądka. Pod wpływem alkoholu, wraz z ociężałością w głowie, poczuł lekkość, jakby nagle opuściły go wszystkie troski. Dr Zerbe wciąż mówił, wykazywał swą wiedzę, uczoność, wielostronność. Gdy stara służąca podała czarną kawę, kazał ją postawić nie na stole, lecz na małym stoliku przy miękkiej kanapie, na której usiadł i poprosił Jegora, by usiadł obok niego. Gdy już siedzieli, zaczął nagle recytować swoje wiersze, które mu odrzucano w jego młodych latach, a które znał na pamięć.

— Jak się panu podobają, drogi Georgu? — pytał po każdym wierszu.

— Nie do mnie należy ocena — powiedział Jegor wzruszony zaszczytem, jakiego dostąpił — ale myślę, że są piękne.

Kolory wystąpiły na bladej twarzy dr. Zerbe, wytrzeszczone oczy iskrzyły się.

— Dziękuję, młody przyjacielu — wyszeptał, gwałtownie nachylił się do młodzieńca i ucałował go w policzek.

Po wstręcie, jaki odczuł wskutek dotknięcia oślizłych starych warg, Jegor wytarł ręką policzek. Dr Zerbe zauważył obrzydzenie młodzieńca i kolory znikły z jego twarzy.

— To był wyraz uczucia ojca do syna — mówił uniżenie. — Ojcowskie uczucie samotnego mężczyzny, którego los pozbawił szczęścia rodzinnego i ojcostwa. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe zażyłości, mój drogi przyjacielu.

Jegor uścisnął mu rękę.

Nie wspominając słowem o służbie, którą poprzednio proponował, dr Zerbe wsunął Jegorowi kilka banknotów do kieszeni kamizelki. Chłopiec oblał się rumieńcem.

— Panie doktorze, nie! — bronił się.

— Ani słowa! — nakazał dr Zerbe. — Rozumiem, że jest pan bez pieniędzy, obraziłby mnie pan, nie chcąc przyjąć małej pożyczki, młody przyjacielu.

Jegor wiedział, że istotnie tak jest. Miał zaledwie kilka pensów i już się nie bronił. Dr Zerbe odprowadził go do drzwi i prosił, aby

wstąpił do niego, kiedy tylko znajdzie się w biedzie i kłopotach. Dr Zerbe będzie szczęśliwy, mogąc mu pomóc materialnie i moralnie.

Jegor bardzo szybko znalazł się w biedzie. Czuł się źle psychicznie, miał kłopoty materialne. Nie wiedząc, jak do tego doszło, znalazł się w służbie pana doktora.

Przygotowując się do egzaminów, aby móc rozpocząć praktykę w nowym kraju, dr Karnowski niepokoił się tylko o jeden egzamin — z języka angielskiego. Nie myślał w ogóle o egzaminach z zakresu medycyny. Wydawało mu się śmieszne, że on, lekarz o jego pozycji i w jego wieku ma przystąpić do egzaminu jak student medycyny. Obok komizmu całej tej sprawy, czuł się urażony. Jak większość lekarzy europejskich nie miał zbyt wysokiego mniemania o amerykańskiej medycynie. Czuł się dotknięty tym, że on, znakomity lekarz po tamtej stronie oceanu, ma zaczynać od nowa, od abecadła. Nie znając żadnego z lekarzy, którzy mieli się wypowiedzieć na temat jego wiedzy medycznej, był przekonany, że żaden nie dorasta mu do pięt. Odczuwał sprzeciw i odrazę, że jest od nich zależny i że mają wyrokować o nim i jego lekarzu jego rangi.

Jeszcze większą niechęć niż dr Karnowski do egzaminatorów, oni odczuwali do niego i innych lekarzy, którzy zgłaszali się do składania egzaminów w nowym kraju.

W ciągu kilku lat, kiedy transatlantyckie statki przywoziły przybyszów z drugiej strony oceanu, było wśród nich więcej lekarzy niż specjalistów innych dziedzin. Początkowo miejscowi lekarze przyjmowali obcych z otwartymi ramionami, zwłaszcza znakomitych,

gdyż było zaszczytem mieć takich w swoim zawodzie. Lecz gdy przybywało zbyt wielu specjalistów i znakomitości, miejscowi zaczęli spoglądać na nich z zawiścią. Zawiść z czasem wzmagająca się i dochodziła nawet do nienawiści.

Po pierwsze, niektórzy przybysze afiszowali się zbyt swoją sławą i z góry spoglądali na miejscowych znakomitych lekarzy, których nie uznawali. Napsuło to sporo krwi w tym środowisku. Po drugie, przybysze z Europy przejmowali pacjentów swych zasiedziałyh kolegów. Wielu "nowych" wykorzystywało swoją obcość, podając się za wybitnych lekarzy, mimo że po tamtej stronie byli zaledwie przeciętnymi. Rozgoryczenie wzrastało więc z każdym dniem. W klubach, przy grze w brydża, przy golfie, gdziekolwiek spotykali się miejscowi lekarze, podkreślali ze złością zarozumiałstwo "nowych". Obok autentycznych faktów opowiadano różne wydumane historie, przesadne, oszczercze. Największą aktywność w tej mierze przejawiał dr Alberti. I choć w środowisku lekarskim dr Alberti miał opinię kłamcy i oszczercy, dawano mu posłuch, gdyż chciano wierzyć w to, co mówił.

Dr Alberti prowadził zacieklą walkę z przybyłymi konkurentami. Prześladował ich, jak tylko mógł.

Wysoki, kościsty, o zniszczonej twarzy, nieokreślonego wieku, czasem wyglądał bardzo staro, innym razem znacznie młodziej. Miał rzadkie włosy dziwnego koloru: ani jasne, ani rude, ani czarne, ani siwe — były mieszaniną wszystkich tych barw — oraz rysy twarzy, z

których nie można było się zorientować, do jakiej rasy należy, gdyż mógł być Słowianinem, Germanem, Latynosem, Semitą. Wyglądał raczej na mieszańca wszystkich tych ras. Dr Alberti był bardzo znaną postacią w świecie lekarskim Manhattanu. Nikt nie wiedział, kim jest, kiedy i skąd przybył. Tylko starzy ludzie pamiętali, że zjawił się w samym gąszczu Bowery w późnych latach dziewięćdziesiątych i od razu zaczął robić szum wokół siebie. We wszystkich brudnych kąpieliskach dla mężczyzn, restauracjach i szynkach wywieszał reklamy ze swymi zdjęciami, na których figurował z hiszpańską bródką i w binoklach, zawiadamiające, że leczy choroby weneryczne w ciągu niewielu tygodni i tanio, a honorarium pobiera na raty. Jego zdjęcia wisiały również w publicznych toaletach, w metrze, w kolejkach napowietrznych. Mimo że próżniacy i pijacy z szynków zasmarowując ściany ordynarnymi wyrazami i rysunkami, nie oszczędzali zdjęć dr. Albertiego, wypisując i mażąc na nich różne plugastwa, zwracali się jednak do brodatego lekarza w okularach, który leczy w ciągu kilku tygodni i pobiera honoraria w ratach. Wtórą częścią, prostytutki, marynarze, Włosi, Żydzi, Niemcy Irlandczycy, Chińczycy z pobliskiej dzielnicy chińskiej (Chinatown) — wszyscy oni zapełniali brudną poczekalnię dr. Albertiego, który, w pośpiechu, nawet nie gotował instrumentów po badaniu chorych i nie mył rąk. Zakrwawionymi i wysmarowanymi jodyną palcami szybko przyjmował dolary z rąk pacjentów i wrzucał je do kieszeni brudnego fartucha.

Gdy już mu było ciasno na Bowery, przeniósł się wyżej, do

pryzwoitszego mieszkania i zamiast w hotelach i w szynkach ogłaszał się w gazetach — zawsze ze zdjęciem z hiszpańską bródką i w binoklach. Leczył wszystko, lecz przede wszystkim schorzenia kobiece. Miał złą opinię, mawiano, że spędza płód ciężarnym, że jest agresywny wobec pacjentek, które zwierają mu się ze swych tajemnic. Nigdy jednak nie złapano go na gorącym uczynku, gdyż umiał chronić swą skórę. W późnych godzinach nocnych przesiadywał w szynkach i pił z okolicznymi politykierami, którzy starali się nie nadawać biegu sprawie i zacierali wszystkie skargi na dr. Albertiego.

Zdarzyło się raz, że pacjentka po usunięciu ciąży zmarła w jego gabinecie. Dr Alberti został aresztowany. Przyjaciele z szynków i z klubów nie byli w stanie zatuszować sprawy. Gazety po raz pierwszy zamieściły zdjęcie dr. Albertiego bezpłatnie i to nie wśród ogłoszeń, lecz na pierwszej stronie. Potem jego fotografia znikła z łamów prasy, lecz dr Alberti nie zaginął. Z więzienia został zwolniony przedterminowo i znów podjął praktykę. Jakiś czas był lekarzem na holowniku, który przemycał Chińczyków na wybrzeże amerykańskie, następnie przyjaciele z szynków załatwili mu posadę lekarza okrętowego. W kilka lat później zapomniano o skandalicznym procesie. Dr Alberti porzucił posady, które dawały niewielkie zarobki i założył gabinet w najbogatszej dzielnicy miasta. Nie miał już bródki, gdyż była zbyt skompromitowana w czasie procesu. Zaczął nosić bardzo sztywne, niemodne już wysokie kołnierze. W dni powszednie ubierał się odświętnie, zawsze nosił prążkowane spodnie, surdut z rozciętymi

połami, biały krawat

i jaskrawoczerwoną różę w klapie. Długie włosy zachodziły mu aż za kark, jak u muzykantów starej daty. Zamiast leczyć młode kobiety, z którymi mogą być kłopoty, leczył wyłącznie kobiety starsze, bogate stare panny cierpiące nie z powodu ciąży, ale dlatego, że nie mogą zajść w ciążę. Przestał też przychodzić do szynków, natomiast zaczął zachodzić do bogatych domów, działać w żeńskich komitetach, wykladać dla wybranych pań problemy medycyny, leczyć rozhisteryzowane kobiety nie przy pomocy uznanych metod, lecz przez stosowanie masażu, specyficznych pigułek i mikstur, które sam zestawiał. Jak niegdyś, gdy imponował szwaczkom i ludziom drobnych interesów hiszpańską bródką i binoklami, tak teraz cieszył się dużym rozgłosem wśród bogatych wdów i starych panien, dzięki przesadnej elegancji, oryginalnym, własnym metodom leczniczym, a przede wszystkim dzięki brytyjskiej angielszczyźnie, której zaczął używać, odkąd wszedł do wysoko postawionych kręgów.

Gdy po wojnie po drugiej stronie oceanu zyskały rozgłos psychoanalityczne metody w medycynie, dr Alberti pierwszy udał się do Europy, aby uszczknąć cokolwiek z tej dziedziny. Po spędzeniu kilku tygodni w najbardziej tajnych i kosztownych domach publicznych wrócił i pierwszy zaczął stosować nowe metody, dzięki którym pozyskał od razu bogate wdowy i stare panny. Jego urzędzoną bogato poczekalnię zapępniały rozhisteryzowane kobiety. Pobierał fantastyczne honoraria. Dzięki tej sławie i bogactwu lekarze zapomnieli o dawniejszej jego praktyce, o starych grzechach i

przyjmowali go w swych najbardziej znaczących kręgach. Zyskał też uznanie w działalności publicznej. Zapraszano go do udziału w ekspertyzach sądowych, do uczestnictwa w naradach dotyczących problemów zdrowotnych miasta. Poważane damy zaczęły go nawet tytułować profesorem, przeciwko czemu dr Alberti zbytnio nie protestował. Nawet starzy lekarze, którzy dawniej nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, gdyż uważali go za szarlatana, przynoszącego ujmę zawodowi, teraz go tolerowali, a nawet darzyli przyjaźnią. Obawiano się wszczynać z nim spory, drżano przed jego gadulstwem, oszczerstwami, ostrym językiem, plotkarstwem.

Najgorsze oszczerstwa, potwarze, złośliwości miotał dr Alberti na lekarzy przybywających zza oceanu na każdym nowym statku, zwłaszcza przeciw najwybitniejszym z nich. Dawał się też im we znaki, gdy go kiedyś powołano do egzaminowania ich.

Podobnie jak on postępowało wielu innych lekarzy, którzy, obawiając się konkurencji, żywili złość do obcych przedstawicieli tego zawodu.

Nie porozumiewawszy się między sobą, poczęli w trakcie egzaminów często odrzucać nowych lekarzy, którzy zamierzają im chleb odbierać. Spośród wielu przepuszczali zaledwie jednego. Poznawali tych zza oceanu, choć ich nie widzieli, po pisemnych odpowiedziach, po odmiennym wykroju liter, po obcej angielszczyźnie, mimo usilnych starań przybyszów o poprawność w używaniu tego języka. Odrzucano ich z powodu najmniejszego błędu,

nieznacznej pomyłki. Odpadali nie tylko przeciętni lekarze, lecz również znakomici, profesorowie. Przeciwnie, najślawniejsi odpadali częściej, gdyż mniej się przygotowywali. Dr Alberti czuł się podniesiony na duchu, gdy swymi pytaniami doprowadzał do odrzucenia starego profesora. Szczycił się tym wobec kolegów lekarzy. Inni, którzy wstydzili się otwarcie do tego przyznać, w głębi ducha byli zadowoleni. Głównie z tego, że był to skuteczny rodzaj samoobrony, a w jeszcze większym stopniu z możliwości wywarcia zemsty na kimś od siebie znaczniejszym.

Odrzuceni sławni lekarze burzyli się, irytowali, odsądzali od czci i wiary egzaminatorów, którzy ośmielili się dyskwalifikować ich, znakomitości i specjalistów, lecz nic to im nie pomagało. Musieli albo zrezygnować z medycyny i podejmować inne prace, albo jak w latach studenckich, o których już zapomnieli, rozpoczynać od nowa naukę.

Dr. Karnowskiemu również nie pomogły gniew i oburzenie, gdy ujrzał dwanaście pytań na arkuszu, który mu podano po zgłoszeniu się do egzaminu.

Nie były to przedmioty dla dr. Karnowskiego obce | Mimo że od kilku lat nie praktykował, znał elementarny zakres wiedzy, z którego wypytuje się studenta medycyny, jak własne dziesięć palców. Przez sen potrafiłby odpowiedzieć na wszystkie pytania z anatomii, patologii, chemii, biochemii, higieny, nie mówiąc o chirurgii. Zdeenerwowały go jednak bardzo śmieszne pytania, nie mające nic wspólnego z kwalifikacjami lekarza. Na domiar złego nie potrafił odpowiedzieć na wszystkie z nich. Na próżno wysilał mózg, aby

przypomnieć sobie procent białka i cukru w płynie kręgowym.

Dr Karnowski nie posiadał się ze złości. On, który przeprowadzał tyle operacji kręgosłupa na froncie, on, (najlepszy chirurg w klinice profesora Halewiego, nie umiał odpowiedzieć na pytania z zakresu medycyny. Nie była to złość na samego siebie. Dr Karnowski wiedział, że pytania te nie mają nic wspólnego z kwalifikacjami lekarza. Jest to tylko kwestia pamięci, młody lekarz często może takie rzeczy pamiętać, a stary praktyk nie. Był pewien, że profesor Halewi śmiałyby się, gdyby mu zadano takie pytanie. Kazałyby sobie podać podręcznik, aby do niego zajrzeć lub zapytałyby o to młodego lekarza, który dopiero co ukończył studia i pamięta takie szczegóły.

Najgorsze zaś było to, że nie można było zajrzeć do żadnych książek ani zapytać siedzącego obok kolegi.

Dr Karnowski pałał złością do lekarza, który zadał to pytanie. Plunąłby mu w twarz za głupotę lub złośliwość, wskutek której znalazł się w takiej sytuacji. Bardziej oburzające było to, że nie miał na kogo złorzeczyć, kogo nienawidzić, z kim się rozmówić, gdyż nie było przy nim nikogo, nie znał nawet nazwiska egzaminującego, miał przed sobą tylko papier, głupi, złośliwy papier, od którego zależał jego los.

Minuty biegły, a wraz z nimi narastał niepokój dr. Karnowskiego. Nie mogąc go opanować, zaczął się plątać w kwestiach, które były dla niego przedtem jasne, przytrafiły mu się więc błędy gramatyczne. Zdawał sobie z tego sprawę, chciał je poprawić, lecz popełniał nowe błędy, także w interpretacji, w czym

był zawsze bardzo dobry. Był nerwowy jak w latach studenckich, gdy przystępował do egzaminu u radcy tajnego Lentzbacha. Jego ręce, suche i ciepłe, wilgotniały. Pióro w nich drżało. Był świadomy, że popełnia błędy i to go całkowicie dobiło. Wskazówki zegarka, który położył na stole, posuwały się wciąż naprzód. Upływały dwie godziny przeznaczone na wypełnienie arkusza. Jak ktoś nie mający już nic do stracenia poddał się losowi, pisał cokolwiek przychodziło mu na myśl, byle tylko zapełnić arkusz egzaminacyjny i w porę go oddać. Nie kontrolował siebie, będąc pewnym, że zostanie odrzucony.

Nie mylił się. Nie zdał i musiał na nowo rozpocząć przygotowania do egzaminu.

Wiedząc, że nie było w tym jego winy, mimo to czuł się zażenowany. Wstydził się Teresy, znajomych, przyjaciół, nauczycielki, miss Doolittle, która tak wiele wysiłku włożyła w jego naukę angielskiego. Odczuwał wstyd przed samym sobą, tym większy, że inni lekarze — młodzi, nie znani, których po tamtej stronie niemal nie zauważał — przeszli pomyślnie przez egzamin i zakładali własne gabinety. Ze wstydem opowiedział o tym nonsensie Teresie, uśmiechając się zagubiony. Zona wysłuchała go, pocieszała. Dr Karnowski nie pozwalał się pocieszać.

Cała jego praca, siedzenie w ławce szkolnej w jego wieku, powtarzanie słówek, wszystkie przygotowania, trud i upokorzenie były daremne. Trzeba było zaczynać na nowo, od abecadła. Przy tym nie był pewien, czy następnym razem powiedzie mu się lepiej, gdyż nie była to już sprawa wiedzy, którą można opanować, była to gra,

kwestia szczęścia.

Najgorsze zaś było to, że ze wszystkich oszczędności, które udało mu się ocalić z tamtej strony oceanu, nic nie pozostało. Jakby Teresa nie skąpiła prowadząc gospodar-

stwo, nie było już z czego oszczędzać. Dr Karnowski zaczął oddawać w zastaw różne przedmioty, najpierw złoty zegarek, następnie pierścień z kamieniem, który otrzymał od Teresy w prezencie. Teresa zastawiła swoje pierścionki. Po biżuterii zaniósła do sklepów z antykami kryształy, wazony, ceramikę, kolorowe naczynia szklane, brukselskie koronki i dreздеńską porcelanę, za które kupcy handlujący antykami płacili nędznie.

Gdy nie było już nic do sprzedania, a pieniędzy zabrakło na utrzymanie, dr Karnowski zaczął sprowadzać kupców na swe aparaty rentgenowskie. Na jasną twarz Teresy wystąpiły krwawe plamy.

— Nie, Georg — protestowała. — Będę pracować, zostanę służącą albo praczką, tylko nie ruszaj lekarskich przyrządów.

Dr Karnowski zmroził ją spojrzeniem. Nie upadł jeszcze tak nisko, aby żona go utrzymywała. Poczł pustkę w sercu, gdy wynoszono instrumenty lekarskie. Doznał uczucia, jakby z mieszkania wyniesiono zmarłego. Teresa płakała. Dr Karnowski gniewał się na nią, aby stłumić łzy, które dławily go w gardle.

— Nie płakać, gojowska głowo, nie płakać! - upominał.

Jakiś czas utrzymywali się z pieniędzy za sprzedane instrumenty lekarskie. Żyli oszczędnie, z wyrachowaniem, w nowym, małym mieszkaniu. Dr Karnowski, jak poprzednio, powtarzał słówka ze

słownika, czytał głośno, aby się przyzwycząić do języka, przygotowywał się do następnego egzaminu, spacerował, uprawiał gimnastykę, byle utrzymać się w ryzach. Gdy wyczerpywały się ostatnie pieniądze i pojawiła się groźba pozostania bez środków do życia w obcym mieście, uświadomił sobie nagle cały bezsens swojej młodościowej bezczynności i odrzucił na bok książki. Po raz pierwszy w czasie pobytu w nowym kraju zaniechał porannej gimnastyki, nie poszedł na poranną przechadzkę, lecz z samego rana pojechał metrem do wuja Harry'ego, aby go zastać w domu i pomówić o swych perspektywach życiowych.

W zatłoczonym, trzęsącym się wagonie, pełnym zaspanych śpieszących do pracy ludzi, przytrzymując się ręką skórzanego uchwyty, gotów był podjąć jakąkolwiek pracę, byle zarobić na chleb dla siebie i rodziny.

Wuj Harry — jedząc szybko śniadanie, jak zwykł był robić wszystko — wyśmiał swojego siostrzeńca, proszącego go o pracę przy budowie i burzeniu domów. Wiedział, że dr Karnowski jest człowiekiem pełnym humoru, lekkomyślnym i mimo swego wieku lubuje się w głupstwach, pływaniu w morzu, bieganiu po plaży, stawaniu na głowie. Był pewny, że przyszedł tak wcześnie do jego jedynej córki, aby razem się wygłupiać i popróżniaczyć, i w przyływie dobrego humoru kpi z wuja, który buduje i burzy domy. Spiesząc się do pracy i nie będąc w nastroju, by zająć się siostrzeńcem, obudził córkę, by zajęła się wesołym doktorem, gdyż ona ma więcej czasu i ochoty do tego.

—Etel, włącz w spodnie — zawołał — twój kuzyn przyszedł pobaraszkować z tobą...

Śmiał się ze swego dowcipu, lecz dr. Karnowskiemu nie było do śmiechu. Spoglądając swymi wielkimi, czarnymi oczami na wuja, powiedział poważnie, że jest gotów podjąć każdą pracę, malować ściany, ciągnąć budulec, byle zarobić na chleb. Wuj Harry siedział nie przełknąwszy bułki i wytrzeszczał szybko latające oczy na swego krewnego.

— Ty? — nie rozumiał. — Lekarz? Żartujesz.

Dr Karnowski z trudem wbił mu w głowę, że mówi poważnie. Wuj Harry zmarszczył czoło.

— Łatwo mówić o malowaniu, jeżeli pozwalają — mrucał zatroskany. — Głowę mi urwą, jeżeli dopuszczę do pracy obcego. Dr Karnowski nie rozumiał.

— Nie jestem obcy, wuju!

— Gdyby nawet mój ojciec, niech spoczywa w spokoju, zmartwychwstał i chciał u mnie malować ściany, roznieśliby go! — powiedział wuj Harry z niezwykłą dla niego złością.

Aby złagodzić rozczarowanie krewnego, wuj Harry chciał go poczęstować kawą i ciastem. Dr Karnowski odmówił i wyszedł gwałtownie z pokoju. W przygnębieniu udał się do tego, o kim nawet by nigdy nie pomyślał

— do Salomona Buraka z alei Landsberskiej, by pomówić z nim o domokrąstwie, którym zamierza się zająć. Mimo że Salomon Burak przywykł już, że pyszałkowie "stamtąd" prosili go o podobną

przysługę, choć pamiętał, że tenże Karnowski wyniośle kiedyś zachowywał się wobec jego córki i przysporzył jej wiele cierpień, doznał uczucia wstydu wobec tego rosnącego, pięknego i sławnego lekarza, który zwrócił się do niego po worek domokrażczy,
—j Panie doktorze, to nie dla pana — odradzał mu.

— To upokarzająca praca. Pan nie zdoła jej sprostać. - i

— Będę musiał, panie Burak ® odpowiedział dr Karnowski z pełnym przygnębienia uśmiechem.

Salomon Burak się uparł.

— Panie doktorze, pożyczę panu pieniędzy do czasu, kiedy pan zacznie praktykować, byle tylko nie puścić pana z walizą.

— Nie, panie Burak, nie chcę pieniędzy, chcę towaru

— dr Karnowski nie ustępował.

Salomon Burak zdjął z górnej półki walizkę, jedną z tych, z którymi rozpoczął w nowym kraju walkę o byt i które przyniosły mu szczęście. Napełnił ją damskimi pończochami, krawatami, koszulami i bluzkami i przekazywał dr. Karnowskiemu umiejętność handlu i postępowania z kobietami.

iy^r- Najważniejsze w handlu, przyjacielu, to nie dać się zaskoczyć.

Gdy klient nie chce kupić, właśnie jemu należy sprzedać, gdy otwiera drzwi, trzeba wsunąć nogę, by nie pozwolić ich sobie zatrzaskać przed nosem.

Spojrzał na swego ucznia, by zorientować się, czy pojmuje lekcję i przerwał w pół słowa. W rosnącej postaci doktora, przy całym jego przygnębieniu, było wiele imponującego dostojeństwa, duma i

wielkość, które zupełnie nie licowały z nauką pokory Salomona Buraka. Kupiec odczuł bezsens swoich słów.

—Panie doktorze, proszę to dla mnie zrobić i nie rozpoczynać tej pracy — po raz ostatni próbował przekonać Karnowskiego. — Nie nadaje się pan do tego. Wiem, co mówię.

—Od pokoleń jest to nasze narodowe zajęcie, to nasz los — odpowiedział dr Karnowski z goryczą — a od losu uciec nie można. Dla Jegora Karnowskiego, który używał teraz wyłącznie nazwiska matki — Holbek, zaczęło się nowe życie — wolne, beztroskie.

W ciągu pierwszych kilku dni mieszkał w małym hotelu, za każdy nocleg płacił z góry. Potem wynajął pokój za dziesięć dolarów miesięcznie ||J mały i ciemny, trzeba było do niego schodzić kilka schodów, mieścił się niemal w piwnicy. Jegor jednak był uszczęśliwiony, że ma wreszcie własny kąt.

Spał rano, jak długo chciał, przesypiając godziny, w których kiedyś musiał wstawać do szkoły. Nikt go nie budził, nie poganiał, nie pytał, czy odrobił lekcje. Pani Kaiser, dozorczyńni, u której wynajął pokój, odnosiła się do niego z szacunkiem, pozdrawiała z rana, pytała, czy dobrze spał i nawet życzyła mu "na zdrowie" za każdym razem, gdy kichał.

Podobnie pozdrowiały go jasnowłose kelnerki z bawarskiej restauracji, gdzie zachodził na posiłki. Ich "wie- lekroć dziękuję" za niklową monetę, którą dostawały jako napiwek, brzmiało słodko, jak ciasto, które podawały do kawy. Najprzyjemniejsze było to, że nie miał żadnych obowiązków, żadnych nauczycieli, dyrektorów, nikt mu

nie wydawał poleceń.

Jegor miał dużo wolnego czasu i bez przerwy się tym delectował. Zamiast obciążać głowę historią, prawem cywilnym i przyrodoznawstwem, chodził codziennie na niemieckie filmy, czasem wpadał do teatru na burleski, gdzie dziewczęta rozbierały się wobec wszystkich i ochryplymi głosami śpiewały wyuzdane piosenki.

Początkowo wstydził się wejść do takiego lokalu, ale w końcu wkradł się doń, jak zakrada się po raz pierwszy do domu publicznego. W zgiełku muzyki, krzyków sprzedawców lodów, handlarzy obrazkami i sprzedawców orzeszków, śmiechów marynarzy, w zaduchu stłoczonych ludzkich ciał i potu, zatracił jednak poczucie wstydu i klaskał

wraz z innymi, gdy na scenie dziewczęta zrzucały z siebie całą odzież. Nie śmiał, jak marynarze, krzyczeć "baby" do dziewcząt na scenie i proponować im spotkania. Pieścił je w myśli, lecz śmiał się głośno z ich sprośnego języka po raz pierwszy od lat.

Jeszcze weselej było w Klubie Młodych Niemiec, dokąd Jegor zachodził wieczorami ze swym nowym przyjacielem, synem gospodyni.

Pierwszego dnia, gdy się wprowadził do sutereny pani Kaiser, ktoś zapukał mocno do drzwi. Zanim Jegor powiedział, że można wejść, do jego pokoju gwałtownie wkroczył krzepki chłopak o lnianej, opadającej na oczy czuprynie.

— Ernest Kaiser! — powiedział grzmiącym głosem i podał Jegorowi silną rękę, zbyt twardą i zbyt męską w zestawieniu z jego

młodą puciołową twarzą.

Podobnie jak szerokie ręce, z twarzą chłopca nie licowała również jego klatka piersiowa — tęga, wciśnięta w wypłowiałą koszulę nieokreślonego koloru, która równie dobrze mogła być koszulą harcerską, bluzą żołnierską bądź brązową koszulką. Jegor stuknął obcasami i przedstawił się:

— Georg Joachim Holbek. Miło mi pana poznać, panie Kaiser.

— Nazywaj mnie kolegą Ernestem — powiedział chłopak w wypłowiałej koszulce. — Mogę cię nazywać kolegą Georgiem?

— Oczywiście — powiedział Jegor rumieniąc się z powodu kłamstwa.

— Tak też myślałem — odparł chłopak. — Bądźmy przyjaciółmi.

Wyjął z kieszeni spodni paczkę najtańszych papierosów i poczęstował Jegora, przypieczętowując w ten sposób przyjaźń. Jegor wydmuchiwał przykry dym przez obie dziurki nosa, aby dowieść, że umie palić, co nie było prawdą i, uszczęśliwiony, przyglądał się swemu nowemu przyjacielowi — pierwszemu po latach samotności. Wszystko mu się w tym chłopcu podobało, począwszy od płowej, opadającej mu na oczy czupryny, aż do rozrośniętych dłoni, do szerokiej klatki piersiowej, do wypłowiałej koszuli, która mimo że nieokreślonego koloru i gatunku, miała w sobie coś wojskowego, wyglądała niemal jak mundur.

— Napijemy się piwa? — zapytał Jegor, udając dorosłego i piwosza.

— Chętnie — zgodził się chłopak w koszulce. — Chodźmy.

Mówił po niemiecku, wtrącając słowa angielskie. Na podwórzu pani Kaiser ciągnęła worek śmieci, próbując z ogromnym wysiłkiem zawiesić go na żelaznym płocie ogradzającym jej suterrenę.

— Ernest, wyrzuć śmieci! — powiedziała.

— Och, zostaw mnie, idziemy na piwo z przyjacielem

— odparł chłopak.

Pani Kaiser założyła obie ręce na wystającym brzuchu.

— Panie Holbek — ostrzegła swego lokatora

— niech pan nie chodzi z tym próżniakiem. To włóczęga, pociągnie pana za sobą.

..-irri Och, zamilcz — odpowiedział chłopak i wypluł resztę papierosa.

W piwiarni, obwieszanej plakatami przedstawiającymi tęgich, wesołych mężczyzn pijących piwo, wielki napis głosił, że nie udziela się kredytu. Rozmawiano, śmiano się.

— Prosit — pomrukiwali mężczyźni, stukając kufłami kufle.

— Prosit — chłopak w koszulce stukał za każdym razem o kufel Jegora.

— Prosit — odpowiadał radośnie i dumnie Jegor, zamawiając kolejne piwo, choć mu już ono nie wchodziło do gardła.

Palił papierosy, jednego za drugim, aby nie dać się wyprzedzić nowemu przyjacielowi. Płacił z góry za piwo

papierosy, stosownie do zalecającego to napisu na ścianie. Z piwiarni udali się do Klubu Młodych Niemiec.

Po piwnicznych schodach, krętych korytarzach, których ściany były pokryte swastykami, ordynarnymi wyrazami, datami spotkań dziewcząt i chłopców, wymalowanymi sercami przestrelonymi strzałami miłości i różnymi napisami o Fritzach i Karlach, którzy kochają Mitzis i Gretchens, przez pomieszczenie pełne rur, kotłów, instalacji elektrycznych, skrzyń z popiołem, różnych innych przedmiotów i odpadów, dotarli do drzwi, na których krzywymi gotyckimi literami napisano, że mieści się tu Klub Młodych Niemiec. W dużej piwnicznej izbie stały stare, połamane krzesła, wyrzucone kiedyś przez mieszkańców, a teraz ściągnięte z ulicy, brudny stół bilardowy z powyrywaniem kawałkami zielonego sukna, chwiejący się stół pingpongowy. Po kątach stały kanapy różnego koloru i wyglądu, przeważnie zapadnięte, z wystającymi sprężynami. Z lamp elektrycznych zwisały kolorowe papierowe łańcuchy i latarenki, pozostałość po jakiejś uroczystości. Na ścianach widniały hasła, fotografie generałów w pikielhaubach, zdjęcia maszerujących żołnierzy i szturmowców, wycięte z gazet fotografie pięściarzy i futbolistów, aktorek i tancerek. Przy rozstrojonym pianinie siedziała młoda dziewczyna i mocno wystukiwała walca. Ernest Kaiser położył rękę na jej okrągłym ramieniu.

— Kolega Georg — powiedział, wskazując na Jegora.

Dziewczyna wstała, uśmiechnęła się szeroko, ukazując mocne, białe zęby. Jej krótki, zadarty nos pokryty był piegami. Przez ciasno opięty, kanarkowego koloru sweter uwydatniały się sutki jej jędrnych piersi, które drżały, trzepotały jak jasne loki na głowie

dziewczyny. Jegor stuknął obcasami i wymienił swe imiona i nazwisko, starając się ukryć zażenowanie.

Dziewczyna w kanarkowym swetrze była niezwykle pewna siebie.

— Lota — przedstawiła się i ukazała w uśmiechu jeszcze więcej zębów.

Ernest Kaiser wystukiwał walca na zdewastowanym pianinie.

Biodra Loty zaczęły się kołysać w takt muzyki.

— Dlaczego nie tańczycie? — zapytał grający chłopak.

hJ Zanim Jegor poprosił dziewczynę, już położyła mu | rękę na ramieniu. Poczul dotknięcie jej piersi. Zrobiło ^^ mu się gorąco.

Ernest bębnił po klawiszach z całych sił. — Hej, hup, hej — śpiewał ochryple. Dziewczyna tańczyła namiętnie. Jej śmiejące się usta ukazywały tylne zęby. Wszystko w niej się śmiało

— zęby, jasne loki na głowie, biodra, drżące piersi, każda część ciała oddzielnie. Schodzili się chłopcy i wyondulowane, upudrowane i uszmkowane dziewczęta. Chłopcy zaś byli zaniedbani, przychodzili tu w starych swetrach i koszulach, a nawet kombinezonach. Ernest Kaiser, pałac bez przerwy swe kiepskie papierosy, przedstawiał wszystkim swego kolegę Georga. Jegor wciąż trzaskał obcasami. Rozmowy, śmiechy, dym, śpiew ^r wszystko to skłębiło się w wesoły gwar. Dziewczęta nieustannie śmiały się z każdego słowa chłopców, ich wzajemnego szturchania się. W klubie wciąż przybywało ludzi. Niektórzy próbowali toczyć bilardowe kule po podartym zielonym suknie, inni grali w karty, siłowali się ku uciesze i podziwowi dziewcząt. Najsilniejszy był Ernest Kaiser. Lota

w podziwie dla niego ukazywała wszystkie zęby.

Ktoś zagrał na zniszczonym pianinie i pary puściły się w taniec. Lota w tańcu zbliżyła się do Georga i położyła mu rękę na ramieniu. Poprzez ubranie czuł jej ciało, każdy narząd oddzielnie. Śmiała się radośnie, sama nie wiedząc, dlaczego. Jegor śmiał się wraz z nią, co mu się rzadko zdarzało. Gdy skończyły się tańce, chłopcy strzelali z karabinu do celu. Chodziło o trafienie w usta wyrzeźbionej postaci diabła, komicznej postaci o kędzierzawych czarnych włosach, dużym nosie i grubych wargach, którą nazywano wujem Mo. Przy każdym trafieniu zebrani ryczeli.

— Dołóż wujowi Mo! Prosto w usta!

Lota śmiejąc się odsłaniała wszystkie zęby. Trzymała w swej ręce wilgotną ręką Jegora.

— Komiczne, nieprawdaż? — pytała.

— Bardzo komiczne — odpowiedział Jegor, czując niepokój w sercu za każdym razem, gdy diabelski wuj Mo trząśł się po ugodzeniu go kulą. Czuł jakąś bliskość z tym śmiesznym diabelskim wujem, który mu przypominał wuja Harry'ego. Bliskość z tym, dla kogo nie chciał być krewnym, mimo panującej dokoła radosnej atmosfery, wzbudziła w nim niepokój. W obawie, aby nie rozpoznano w nim tej części wuja Harry'ego, stał się jeszcze bardziej niespokojny. Aby ukryć swój nastrój, śmiał się głośniejsz od innych z diabelskiego wuja Mo, przesadnie głośno i histerycznie. Uspokoił się, gdy chłopcy zostawili diabelskiego osobnika w spokoju i zabrali się do butelek wódki, które wyciągali z kieszeni swych

spodni. Ernest Kaiser podał butelkę Locie i Jegorowi. Lota mocno pociągnęła, zupełnie nie jak dziewczyna. Jegor próbował ją prześcignąć w picciu. Nagle ktoś zgasił światło, pozostawiając tylko małą, owiniętą czerwonym papierem lampkę. Pary rozeszły się po kątach, rozsiadając się na podartych krzesłach, kanapach, nawet na podłodze. Rozlegały się dziewczęce śmiechy, szepty i pocałunki. Nie wiedząc, jak to się stało, Jegor siedział w kącie z Lotą.

Niedoświadczony w kontaktach z dziewczętami, zawstydzony i szczęśliwy, tylko trzymał ją za rękę. Lota przytuliła się do niego.

— Bubi — mówiła — kochanie.

Jegor, który takie sprawy znał tylko z filmów, książek i snów, nie wierzył sam sobie, że zetknął się z nimi w życiu, on, którego nikt nigdy nie traktował poważnie, którego wszyscy obrażali. W swej wielkiej tęsknocie do kobiet, w wielkim pragnieniu miłości, nie śmiał z niej korzystać, gdy miał ją w rękach, podobnie jak ktoś bardzo wygłodzony nie może jeść, gdy dostaje jedzenie. Lota była śmiała, doświadczona i dominująca. Jej zęby śmiały się.

— Całuj mnie — dodawała mu odwagi i przytuliła się do Jegora swym ciepłym ciałem.

Z każdą pieszczotą, z każdym pocałunkiem Jegor czuł, że rośnie, że rozpierają go siły. Opanowała go pewność, duma z siebie samego, po raz pierwszy w jego życiu dziewczyna nazywała go najserdeczniejszymi, najbardziej śmiesznymi imionami. To jest miłość, myślał Jegor, patrząc na wygięcie dziewczęcej, zaostzonej w łokciu ręki Loty, gdy ta go

obejmowała. Nagle zagrano na pianinie i w piwnicy zajaśniało światło. Jegor odskoczył od Loty. Był już w niej do tego stopnia zakochany, że nie zauważył, jak Lota kładzie ręce na ramieniu młodzieńca, który wziął ją do tańca. Od tego dnia Jegor nie odstępował chłopaka w wyblakłej koszulce. Chodził z nim do piwiarni i do placów bilardowych, do kin i na spotkania w piwnicy Klubu Młodych Niemiec. Szła z nimi Lota. Jegor płacił za wszystkich.

Służba dla pana doktora nie była zbyt przyjemna. Choć dr Zerbe uczył go, jak należy wejść w środowisko imigrantów, wkręcać się na zebrania, do komitetu, do synagogi, wywąchiwać tajemnice i dowiadywać się wszystkiego, co tylko możliwe, Jegor tej roboty nie lubił. Podobnie jak kaleka, który unika spotkania z innym podobnym do siebie człowiekiem, aby nie widzieć swego inwalidztwa, tak Jegor nie chciał się spotkać z ludźmi ze znienawidzonego przez siebie środowiska, którzy by mu przypominali jego ułomność. W bawarskiej restauracji, w piwnicy Klubu Młodych Niemiec czuł się Holbekiem od stóp do głów. Tylko czasem zdarzało się, że ktoś zatrzymywał się na chwilę i rzucał na niego okiem ze zdziwieniem, gdy go przedstawiano, jakby wyczuwał pewną obcość. Na ogół przyjmowano go bez zdumienia, głównie gdy znajdował się w dobrym sąsiedztwie stuprocentowo aryjskich Ernesta Kaisera i Loty. Wśród czarnowłosych i czarnookich odczuwał natychmiast swe własne upośledzenie. Wypytywali go, kim jest, skąd przybywa, co robi, co zamierza robić. Musiał kłamać, kręcić, wymyślać różne historie, do

czego nie bardzo był zdolny. Nie lubił też wypytywania innych, wywąchiwania i wyciągania wiadomości, Nie miał nic ważnego do przekazania panu doktorowi, gdy miał mu dostarczać informacji.

Jegor się tego wstydził. Pan doktor nie czynił mu wyrzutów.

Przeciwnie, dodawał otuchy, ka-

zał wykonywać tę pracę, pocieszał, że się przyzwyczai. Za każdym razem dawał mu kilka banknotów.

Jegor nie wzbraniał się już przyjmować pieniędzy od pana doktora, jak przy pierwszym z nim zetknięciu. Wiedział już, czym są

pieniądze, co można za nie otrzymać i potrzebował ich coraz więcej.

Gdy nie miał autentycznych informacji, wymyślał je. Za pierwszym razem, gdy podawał zmyśloną informację, rumienił się, drżał, że zostanie przyłapany na kłamstwie. Lecz pan doktor się nie połapał.

Przeciwnie, uchwycił się kłamstwa bardziej niż prawdziwej

wiadomości. Ponieważ się udało, Jegor częściej zmyślał podawane przez siebie informacje. Wkrótce sam zaczął odczuwać satysfakcję ze

swych kłamstw. Nie będąc z natury kłamcą, zaczął smakować w

falszu, sprawiała mu przyjemność przygoda, jaką było czynienie

rzeczy zakazanych. Przy całej obawie, by się nie zdemaskować, by się

nie zapomnieć i nie wpaść we własną pułapkę, w tym właśnie

niepokoju, czujności, napięciu znajdował przyjemność. Podobnie jak

okłamywał pana doktora, zaczął mówić nieprawdę innym, zmyślał

kłamstwa o sobie i swych zajęciach. Okłamał panią Kai- ser, która

chciała się dowiedzieć, co robi i skąd pochodzi, okłamywał swego

przyjaciela Ernesta, Lotę, najwięcej nałgał zaś swej nlatce.

Odkąd ojciec podniósł na niego rękę, nie widział go, nie chciał widzieć. Lecz do matki pisywał liściki i nawet poprosił, aby się z nim kilkakrotnie spotkała na ulicy. Teresa przychodziła zadyszana, zarumieniona, jak dziewczyna na spotkania z ukochanym, którego nie wolno jej widywać. Na ulicy głaskała go po twarzy, trzymała za rękę, a nawet obmacywała jego ramiona, by sprawdzić, czy nie schudł.

— Dziecino — szeptała. — Niemądre dziecko.

— Matko, opanuj się, na litość boską, nie jestem już dzieckiem — mówił Jegor i opowiadał jej przeróżne niestworzone historie o sobie. Najpierw powiedział, że jest tłumaczem z niemieckiego w pewnym przedsiębiorstwie, innym razem, że jest związany z towarzystwem okręto-

wym, to znów, że wykonuje inne prace. Teresa nie wytykała mu sprzeczności, aby go nie zawstydzać, lecz czuła, że niezupełnie prosto przedstawia się sytuacja jej syna i nie przestawała go nakłaniać do powrotu do domu. Niechby nie chodził do szkoły, wykonywał nadal swoje prace, nic mu nie powie, nie będzie się wtrącać, postara się, aby ojciec pozwolił mu iść własną drogą, byle tylko jej jedynak wrócił do domu.

— Jegoreczku, zrób to dla Mutti — prosiła.

Jegor nie chciał jednak o tym słyszeć i coraz więcej cudów opowiadał o swych zajęciach i zarobkach.

Chcąc jej dowieść, jak dobrze mu się powodzi, wyjął z kieszeni kilka dolarów i wepchnął jej do ręki.

— Weź, Mutti, i kup sobie coś — mówił dumny, że może dawać

prezenty.

Teresa nie chciała przyjąć pieniędzy od swego dziecka i wróciła do domu zatroskana i pełna niepokoju.

Mimo że swemu przerośniętemu synowi ledwie sięgała do ramion i nie mogła za nim nadażyć, wciąż jeszcze uważała go za dziecko, za swego małego Jego- reczka, którego wychowywała zgodnie ze wszystkimi zasadami i wskazówkami z książek medycznych. Jej matczyne serce było niespokojne. Gdy wieczorami ścieliła łóżka, myślała, czy jego łóżko jest posłane tak wygodnie i dobrze, jak to robiła ona. Przy posiłkach zastanawiała się, czy jej syn jada regularnie, czy jego posiłki są dość świeże, odżywcze i zdrowe. Gdy padał deszcz, niepokoila się, czy nie wychodzi bez kaloszy, czy nie przeinacza nóg, czy zakłada płaszcz przeciwdeszczowy. W czasie bezsennych nocy martwiła się, czy nie popadł w złe towarzystwo, czy nie grożą mu niebezpieczne choroby.

Bardziej niż w ciągu dnia odczuwała tęsknotę nocami, gdy nie mogła pościelić trzeciego posłania. Gdy leżała, nie śpiąc, w swym łóżku obok łóżka męża, opadał ją smutek, jaki zwykle ogarnia małżeństwo bez dzieci, gdy już nie mają sobie nic do powiedzenia, a ich milczenie jest ciężkie.

— O niebios! — wzdychała cicho, aby mąż nie słyszał.

Dr Karnowski również nie spał i milczał trawiony niepokojem.

Nie troszczył się o jedzenie i posłanie chłopca, o jego tułanie się wśród obcych. Nie to niepokoiło dr. Karnowskiego. Jako lekarz nie widział w tym wielkiego nieszczęścia. Niepokoił się o los chłopca.

Mimo że był daleki od przesądów, przeczuć i przewidywań, dr. Karnowskiego zawsze nękał niepokój, ukryty lęk, obawa przyszłość swego dziecka. Niepokoiło go to już wtedy, gdy Jegor jako dziecko przeżywał lęki nocne. Odczuwał zaniepokojenie także później, gdy chłopiec wyrósł, był zbyt szczupły i zamknięty w sobie, jakby pogrążony w snach. Jeszcze większe obawy ogarnęły go, gdy Jegor ugodził pierwszy cios w jego młodzięcym życiu — po tamtej stronie oceanu w dniach grozy i szaleństwa. Zdawał sobie sprawę, że zło nadciąga, przybliża się do chłopca jak ciężka chmura, przeczuwał, że jego syn zmierza naprzeciw złu, leci ku nieszczęściu jak ku przeznaczeniu.

Dr Karnowski wiedział ze swej praktyki, że wraz z właściwym człowiekowi dążeniem do pełni życia i zadowolenia, istnieje też dążność do samounicestwienia, samoudręki. Widział to na polu bitwy, gdy ludzie, gnani nie patriotyzmem i dzielnością, jak interpretowali generałowie i duchowni, lecz pod presją instynktu samounicestwienia, pędzili na spotkanie śmierci. Stwierdzał to również u pacjentek, które nie pozwalały się ratować

podążały, jakby popychane olbrzymią siłą, w objęcia śmierci.

Koledzy lekarze zazwyczaj mieli definicję tego zjawiska, uważali takich ludzi za zbyt leniwych, by się utrzymać przy życiu lub za szaleńców. Dr Karnowski wiedział, że te określenia nic nie wyjaśniają. Jakaś dzika siła gnała dotkniętych nią ludzi do zagłady. Z czasem nawet rozpoznawał ich po spojrzeniach, ruchach, zachowaniu do tego stopnia, że nawet przewidywał, iż wszy- stkie jego lekarskie

wysiłki będą daremne, gdyż ludzie ci biegną ku nieszczęściu. Dostrzegał to u Jegora i był o niego pełen obaw i niepokoju. Za każdym razem, gdy wracał do domu, zatrzymywał się na chwilę przy drzwiach, bojąc się wejść do środka, targany lękiem, czy coś się nie stało.

Strofował się sam, gdyż tego rodzaju przeczucia są sprzeczne z wszelką logiką i rozsądkiem, nie mógł się jednak uwolnić od wiecznego lęku i oczekiwania złych wieści. Odkąd chłopiec opuścił dom, niepokój dr. Karnowskiego wzrastał. Każdy głośniejszy krok nocą przed domem napawał go strachem, że oto nadchodzi zła nowina. Przy całym swym niepokoju i lęku, nie ustąpił wobec nalegań Teresy, aby był mądrzejszy, szlachetniejszy, bardziej uступliwy i przeprosił tego, o kogo się niepokoi. Zdając sobie sprawę z bezsensu swego uporu, nie był w stanie się przełamać, podobnie jak na to nie mógł się zdobyć nikt z jego rodziny. Aby podważyć słuszne argumenty Teresy, mówił coś, w co sam nie wierzył.

— Trzeba pozwolić mu biegać, tylko go nie błagać, a wróci — rozumował. — Niech tylko poczuje głód i biedę, a przybiegnie.

Jegor nie przybiegł. Przeciwnie, z każdym dniem coraz bardziej pociągał go smak wolnego życia. Wkrótce zapomniał nie tylko o ojcu, lecz nawet o matce. Miał obecnie inną kobietę — Lotę.

Pewnego razu, gdy w piwnicy Klubu Młodych Niemiec było zbyt duszno i nawet Lota nie miała ochoty do tańca, gdyż wszystko się na niej lepilo, tak gorący i pozbawiony powietrza był nowojorski wieczór, wpadło na myśl Ernestowi Kaiserowi, że dobrze byłoby

wyruszyć w grupie po okolicy, gdyby znalazło się na to kilka dolarów. Lota z zachwytu klaskała w ręce.

— Pójdiesz przecież z nami, kochanie? — wdzięczyła się do Jegora.

— Ja zabiorę Rozalinę — powiedział Ernest. — We czworo spędzimy diabelnie dobrze kilka dni, nocować będziemy w obozie.

Lota śmiała się ze szczęścia, ukazując wszystkie zęby. Jegor, słysząc ten śmiech gotów był pędzić na koniec świata. Nazajutrz z rana wyruszyli we czworo za miasto. Ernest, w swej wypłowiałej koszulce, szedł wielkimi krokami, Rozalina wciąż pozostawała w tyle. Była to szczupła, bardzo wysoka, blada i mocno zgryźliwa młoda dziewczyna.

— Nie pędź tak, Erneście — strofowała go piskliwie. — Nie mogę za tobą nadążyć.

— Och, idź prędzej — odpowiedział Ernest, nie zwalniając kroku.

Ostra twarz Rozaliny wyostrzyła się jeszcze bardziej ze złości, lecz się nie zatrzymała i podążyła za Ernestem. Lota, jak zwykle, nie przestawała się śmiać. Przez cały dzień włóczyli się po drogach, trochę jeździli wozami, gdy ich zabierano. Gdy chciało im się jeść, zachodzili do małych restauracyjek, zjadali gorące kiełbaski z musztardą i popijali je piwem. Jegor płacił za wszystkich. Wieczorem doszli do obozu.

Bardziej niż w piwnicy Klubu Młodych Niemiec, na dużej przestrzeni ogrodzonej kolczastymi drutami powiało atmosferą "stamtąd". Na budynkach, namiotach, na każdym garażu i płocie

widniały niemieckie gotyckie napisy. Wszystkie informowały o zakazach. Obok swojsko brzmiących nazw alejek, ulic i placów, noszących imiona starych królów, generałów i admirałów, biegły aleje i ulice noszące imiona nowych władców i wodzów. Wokół płóciennych, ustawionych w porządku wojskowym namiotów krzatali się młodzi szturmowcy, śpieszyli z poleceniami, pozdrawiali się, wyrzucając w górę ramiona, salutowali, szli pewnymi, sprężystymi krokami. Przy niektórych straganach stały nawet straże — wyprostowane, wyciągnięte, jakby pilnowały bardzo ważnych obiektów. Z domków wypoczynkowych wychodzili na przechadzkę wraz ze swymi tęgimi małżonkami tłuści mieszczanie z cygarami w ustach. W ogródkach na zewnątrz piwiarni siedzieli piwosze i popijali powoli swój ulubiony napój | dużych kufli, które podawały kelnerki w strojach ba-

p

warskich. Mężczyźni śmiali się gromko, kobiety jak zwykle robiły na drutach. Sprzedawcy gazet wykrzykiwali tytuły gazet i czasopism “stamtąd”. Ernest Kaiser wciąż witał się ze znajomymi, przedstawiał Jegora, który wymieniał swe imiona i nazwisko — Georg Joachim Holbek — i trząsał obcasami. Choć w środku podwórza z wysokiego masztu zwisała flaga w pasy, Jegor w tym wielkim obozie, otoczonym drutami kolczastymi, czuł się jak w domu.

Gdy chłopiec w mundurze bohatersko odegrał na trąbce wieczorny apel, a starszy szturmowiec wciągnął na maszt inną flagę — tę ze swastyką — Jegor odczuł pewien niepokój, jak w podobnych

sytuacjach. Niepokój z powodu tej części swej istoty, której nie wolno mieć styczności z tym symbolem. Wyciągnął jednak ramię w górę wraz z innymi, gdy flaga osiągnęła wierzchołek masztu i śpiewał razem ze wszystkimi. Gdy doszło do zwrotki o krwi żydowskiej, która będzie tryskać spod noża, język mu się na chwilę zaciął, słowa uwięzły w gardle, poczuł dławienie, jak człowiek, który nagle znajduje w napoju zdechłą muchę. Lecz przełknął i te słowa. Fakt, że nikt nie rozpoznał w nim "obcego", że uznawano go za Niemca w tym środowisku, tuszował jego przynależność do obcych. Gzuł się od stóp do głów Holbekiem. Po latach tęsknoty do tego środowiska, z którego został wygnany jak trędowaty, znów się w nim znalazł. Z obawą, a jednocześnie z uczuciem radości uczestniczył w ceremonii. Odetchnął jednak swobodniej po jej zakończeniu i wraz ze wszystkimi zasiadł do obfitej kolacji, do której wzywał drugi sygnał. Mięso było tłuste, kapusta kwaśna, piwo chłodne, uśmiechy jasnowłosych kelnerek przyjemne. Nigdy jeszcze Jegor tyle nie jadł, nie pił i nie śmiał się jak tego wieczoru w towarzystwie Ernesta Kaisera i rozplomienionej Loty, która ciągle śmiejąc się sprawiała, że oschła Rozalina zaraziła się jej radością. W tańcu po kolacji Lota położyła rękę nie tylko na ramieniu Jegora, lecz na jego karku, jak większość tancerek swoim partnerom.

— Piękny, słodki Bubi — szeptała mu do ucha.

Jegor nie wierzył własnym uszom, że te słowa odnoszą się do niego — człowieka, który nienawidził własnego wyglądu, uważał się za najbrzydszego i najbardziej odpychającego.

Poczuł, że jego życie ma sens. Jeszcze bardziej sens swego życia poczuł później, gdy wszyscy rozeszli się po wielkim obozie na nocny spoczynek.

Czarna i miękka jak aksamit była ta noc w górach, rozjaśniana od czasu do czasu przez skrzące się robaczki świętojańskie. Domy, stragany, namioty, szczyty górskie odcinały się w ciemności jak tłuste plamy. Śpiewy, śmiechy, dziewczęce piski, bzykanie nocnych robaczków, szczekanie psów — wszystko odbijało się w ciemnej górskiej okolicy wielokrotnymi echami. Gdziekolwiek stąpnąć, natrafiano na niewidoczne w mroku pary, szukające po nocy miłości. Ernest Kaiser rżał w ciemności, w którą wprowadził Jegora i dziewczęta.

—i Nie pędź tak, Erneście — prosiła Rozalina. — Nie mogę nadążyć.

— Idź i nie depcz po parach — odpowiedział Ernest.

Lota, uwieszona na ramieniu Jegora, zginała się w pół ze śmiechu. Wszystko ją wprawiało w dobry humor — natknięcie się na kochającą się parę, zawadzenie nogą o krzak, potknięcie o kamień, a nawet to, że dokładnie nie wiedzieli, gdzie przenocują. Nie było żadnego wolnego kąta w wielkim obozie, nie tylko w domkach letniskowych, remizach, garażach i namiotach. Za parę dolarów, które Jegor zapłacił za wszystkich, dano im tylko podarty kawał płótna do pokrycia namiotu w miejscu, gdzie się uda go rozbić i kilka żołnierskich koców. Ernest Kaiser, obładowany tym płótnem i kocami, szedł w ciemności wciąż dalej i dalej.

— Dokąd idziemy? — pytała Rozalina z troską.

— Co za różnica — odpowiadał Ernest i szedł dalej.

Nagle się zatrzymał i zrzucił z siebie niesiony ciężar.

— Myślę, że tu dobrze będzie przenocować — powiedział.

Ze zręcznością żołnierza rozciągnął w ciemności płótno i umocował namiot, następnie rozłożył na ziemi koce.

— Odrzuć kamyki i włącz pod koc, Rozalino — polecił swej dziewczynie. Rozalina w milczeniu wykonała polecenie. Lota wsunęła się pod drugi koc i dziko się roześmiała.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał zaniepokojony Jegor.

— Z niczego. Zdejm mi buty, Bubi — powiedziała wciąż się śmiejąc.

Nagle umilkła i zamiast się śmiać szeptała coś cicho Jegorowi do ucha. — Przykryj mnie, zimno mi.

W otaczającej kamiennej samotności górskiej unosił się odwieczny nocny śpiew robaczek świętojańskich. Sowa wszczęła swój nocny lament, przerywała go i znów rozpoczynała.

— Dlaczego milczysz, Bubi, czyż nie jesteś szczęśliwy? — szeptała Lota zdławionym głosem.

Jegor odczuł największą wartość życia, najgłębszy jego sens. Z wielkiego szczęścia, które go rozpierało, nie był w stanie mówić.

Poprzez rozdarte płótno spoglądały z nieba wielkie, jasne gwiazdy. Dr Zygfyrd Zerbe nie wynagrodził Jegora Karnowskiego za jego służbę, jak mu to uroczyście przyrzekał.

Nie tylko nie uczynił go autentycznym Aryjczykiem, aby swe

pochodzenie mógł wywodzić od Holbeków, lecz nawet nie określił, kiedy wyjedna dla Jegora to wielkie zadośćuczynienie. Nie wypłacał mu też hojnie papierowych banknotów, jak to czynił w początkowym okresie. Płacił tylko za poszczególne informacje i to bardzo skąpo.

Po pierwsze, metoda, jaką dr Zerbe stosował w służbie zagranicznej, polegała na tym, aby bez zbytnich ceregieli obchodzić się z informatorami, zwłaszcza z drobnymi płótkami. Wiedział, że agentów tajnej służby można przyrównać do uwiedzionych kobiet. Trudno sprowadzić ich na grzeszną drogę za pierwszym razem. Trzeba na to użyć wiele przymilnych słów, trudu i pieniędzy. Gdy zostają zwerbowani i nie mają drogi odwrotu, spadają coraz niżej, służąc za najmniejszą opłatą. Przeciwnie, im brutalniejszy, surowszy i bardziej wymagający jest szef, ten, kto ich zwerbował, tym bardziej są wobec niego ulegli. Metodę tę, jaką z powodzeniem stosował wobec innych agentów, przeniósł również na Jegora Karnowskiego. W "miodowym miesiącu" ich znajomości był dla Jegora bardzo łaskawy, uśmiechał się, obiecywał gwiazdki z nieba, opłacał hojnie za każdym razem, gdy Jegor przychodził do niego. Gdy minął miesiąc, dr Zerbe stał się twardy, wymagający, surowy i skąpy.

Po drugie, nie był zadowolony ze swego nowego agenta, zwłaszcza że wiele sobie po nim obiecywał właśnie z racji tego, iż był on pół-Żydem.

Dr Zerbe zawsze wysoko oceniał ludzi tej rasy. Nie lubił ich, ale zawsze podziwiał. Już w latach studenckich niewiele miał wspólnego ze studentami z korporacji, żło- piącymi piwo, uganiającymi się za

kobietami, uprawiającymi szermierkę. Przyjaźnił się z żydowskimi studentami, głównie z wytrwałymi molami książkowymi, ludźmi pióra. Również później ocierał się o żydowskie salony. Zazdrościł ludziom tej rasy, niekiedy nawet ich nienawidził, zwłaszcza gdy wybitni Żydzi nie akceptowali jego wierszy i dramatów. Mimo zazdrości i nienawiści nie przestawał podziwiać ich zręczności, ruchliwości, ambicji, energii. Przeciwnie, im bardziej im zazdrościł, a co za tym idzie, nienawidził, tym wyżej ich cenił. W konsekwencji przecenił ich siły, wierzył w najbardziej niemożliwe ich osiągnięcia i możliwości, podobnie jak ufa się nadprzyrodzonym mocom czarownika. Mimo wykształcenia nigdy nie były obce dr. Zerbe przesady, ukryte lęki, głęboko w nim zakorzenione od dzieciństwa, wdrożone przez wychowanie ojca, pastora w wiejskim kościółku. Takim przesądem była, połączona z przesadną wiarą, skryta obawa przed czarnowłosymi i czarnookimi dziećmi Izraela. Hellenista, uznający jako filozofów i myślicieli tylko starożytnych Greków, we współczesnych im Hebrajczykach widział jedynie proroków, kaznodziei i moralistów, którzy nie wnieśli żadnego wkładu do świata czystej myśli. W głębi serca jednak ich się lękał. To ich religia, nie grecka, zawładnęła narodami Ziemi, to oni swymi żarliwymi pustynnymi naukami zapłodnili cały świat. W każdym Żydzie widział dziedzica patriarchów, następcę proroków, wiecznie wędrującego Ahaswerusa, który w swym tułaczym worku nosi starą żydowską mądrość i perfidię, złoto i proroctwa, magiczną moc wyniesioną z Egiptu i skarb wiedzy o życiu nagromadzony w ciągu wieków

wędrowania. Przebywając zawsze ze współczesnymi Żydami, którzy ze swymi przodkami nie mieli nic wspólnego, a nawet się od nich odżegnywali i starali się być stuprocentowymi Germanami, dr Zerbe widział jednak w każdym z nich spadkobiercę starożytnych Hebrajczyków. Takim widział każdego żydowskiego profesora i bankiera, dyrektora teatru i komedianta, nawet satyryka dr. Kleina, czy wy- chrzczonego wydawcę Rudolfa Mosera, który był wzorcem europejskości. Im dalej był teraz od nich, im bardziej w swej służbie walczył przeciwko nim, tym większy odczuwał dla nich podziw, ale także strach, tęsknotę. Brakowało mu tych ludzi Wschodu, których się bał, a którzy go tak pociągali.

Dlatego mocno uchwycił się żydowskiego wyrośniętego młodzieńca, który tyle żaru włożył w swoją spowiedź — list pisany do niego. To, czego nie było w liście, dr Zerbe wyczytał między wierszami. Zawsze interpretował cudze myśli po swojemu, czy to czytając książki, rękopisy, a nawet listy. Wnikliwiej niż zwykle przeanalizował każde słowo autora listu, który podpisał się Georg Joachim Holbek. Wystarczyło, że człowiek ten częściowo wywodził się od Hebrajczyków.

Dr Zerbe wiedział, że od dawien dawna ludzie ci, jeżeli chcieli, dobrze służyli swym władcom. Czy był to brodaty Icek w kapocie, czy Żyd chroniony przez elektora, czy ogolony Moriz we fraku, radca handlowy na dworze królewskim, czy wychrzczony dyrektor teatru, adwokat bądź agent, zawsze wnosili ze sobą we wszystko, do czego przykładali rękę ruchliwość, energię i inicjatywę. Najgorliwsi byli zaś

ci, którzy zdradzili własnych braci. Dr Zerbe również chciał mieć swego Żyda w służbie przeciw jego współbratymcom.

Lecz późniejsze rozczarowanie młodym Karnowskim było równie duże, jak związane z nim oczekiwania.

Jegor nie przejawiał inicjatywy w służbie dla pana doktora. Był żołnierzem jak jego wuj Hugo, umiał tylko odbierać rozkazy. Dr Zerbe wymagał zaś od niego rozumu i pomysłowości. Posłusznych żołnierzy miał dość wśród swoich.

— Nie, chłopcze — mówił zimno — oczekiwałem czegoś lepszego.

Jegor nie poznawał pana doktora, którego twarz z uosobienia dobroci i słodyczy przekształciła się w lód, w kamień.

— Ale przecież pan doktor cały czas był ze mnie zadowolony? — pytał zaskoczony, patrząc wielkimi błękitnymi oczami na zimną, bladą, pomiętą twarz dr. Zerbe. — Pan doktor mnie chwalił.

Dr Zerbe nie mógł słuchać tej głupiej gadaniny i dał mu do zrozumienia, co o tym myśli.

— Zbyt naiwnie, chłopcze albo lepiej mówiąc, głupio — zamruczał z pogardą.

Jegor nie wierzył własnym uszom, że te obelżywe słowa odnoszą się do niego. I mówił to człowiek, który obdarzał go największymi pochwałami. Dotknięty do żywego, chciał coś powiedzieć. Dr Zerbe jednak nie pozwolił mu mówić, kazał milczeć i słuchać. Jest zbyt naiwnie albo głupio sądzić, że dr Zerbe pozwoli sprzedać sobie kota w worku. Jeżeli okazywał Jegorowi przyjaźń i ojcowskie uczucia i płacił

mu, to nie dlatego, że pozwalał się oszukiwać, lecz dlatego, że chciał mu dodać odwagi, zachęcić. Lecz dr Zerbe nie ma zamiaru pozwalać się omamiać bzdurnymi informacjami. Nie będzie wyrzucał pieniędzy państwowych na marne, opłacać sownie młodemu człowiekowi tylko po to, aby mógł on latać po piwiarniach i włóczyć się z dziewczynami.

Jegor Karnowski zapłonął ze wstydu, próbował coś z siebie wyjąkać. Dr Zerbe nie pozwolił mu dojść do głosu.

— Nie, chłopcze, nie ma co kłamać, gdyż wiem wszystko, mnie oszukiwać nie można. Ję powiedział ostro, patrząc swymi wytrzeszczonymi wilgotnymi oczami, które jakby dopiero co płakały.

Jegor nic już nie odpowiedział, spuścił głowę. Nagle zorientował się, że znajduje się w rękach tego małego, pomarszczonego, bladego człowieka, który wie wszystko, przenika go na wskroś, a od którego nie ma ucieczki. Ogarnął go strach. To, że nawet nie wolno mu było odpowiedzieć, a tylko słuchać i milczeć, złamało jego dumę i upór. Zdał sobie sprawę ze swej małości, poniżenia i nienawidził się za to. Pogrzyżył się w swym upadku jeszcze głębiej, jak człowiek, który już nic nie ma do stracenia. Obiecywał, że się poprawi, będzie pracował jak najlepiej, prosi jedynie, aby jeszcze raz pan doktor okazał mu łaskę i dał trochę pieniędzy z góry. Przyrzekł odwdzińczyć się jak najrzetelniejszą pracą.

— Jestem załamany, panie doktorze — łamrotął ze wstydem.

Dr Zerbe pozostał nie wzruszony, zamiast pieniędzy, które błagał zawstydzony młody człowiek, opowiedział mu anegdotkę ze swego życia, kiedy był jeszcze młody

naiwny. Pisywał wiersze i chciał z góry otrzymać honorarium. Ale mądry redaktor, Żyd rzecz jasna, powiedział mu, że najlepszą pomocą dla artysty jest nie płacić mu z góry. Jest to dobra zasada we wszelkiej innej pracy.

Widząc, że nic nie wskóra u pana doktora ani uporem, ani błaganiami, zaczął Jegor dostarczać mu częściej informacji. Wrócił do swej dawnej metody zmyślania wiadomości. Jeżeli prawda nie zadowalała pana doktora, gdyż była zbyt szara, nieinteresująca, mógł, kłamiąc, przynosić barwniejsze informacje. Pan doktor jednak nie pozwalał się oszukiwać.

— Nie, chłopcze, ta sztuka udawała ci się tylko w pierwszych dniach — powiedział ironicznie. — Więcej żadnych kłamstw. Jegor oblał się rumieńcem.

— Nigdy nie przynosiłem kłamliwych informacji, panie doktorze — wymamrotał.

— To, co mówisz teraz, jest największym twoim kłamstwem, chłopcze — śmiał się dr Zerbe.

Jegor Karnowski był przybity.

— Cóż mam robić, panie doktorze? — zapytał w rozpaczy. — Niech pan doktor poleci, wykonam każdy rozkaz.

— To mnie właśnie nie zadowala, chłopcze — powiedział dr Zerbe. — W tej służbie nie chodzi o wykonywanie rozkazów, lecz o twórczość, jak w poezji, na przykład. Zrozumiano, chłopcze?

— Tak jest, panie doktorze — odpowiedział Jegor wyprostowując się, aby przebłagać zirytowanego szefa. Dr Zerbe nie zmiękł, jeszcze

bardziej się nachmurzył. Nigdy nie lubił żołnierskiej sztywności i trzaskania obcasami. U tego żydowskiego chłopaczka właśnie to najbardziej go irytowało.

— Zostaw to, chłopcze — powiedział rozdrażniony.

— Potrzebny jest mi mózg, głowa... żydowska głowa.

Jegor poczuł się obrażonym, jak zwykle, gdy mu przypominano to, o czym chciał zapomnieć.

— Nie jestem Żydem, panie doktorze — bronił się — i nie chce nim być.

— Byłoby lepiej, gdybyś nim był, chłopcze — powiedział dr Zerbe uśmiechając się ironicznie.

Jegor nie wiedział, co uczynić, aby pan doktor znów był dla niego łagodny i łaskawy. Jak zwykle, gdy nie wie się w życiu, zamiast szukać przyczyny we własnej złej pracy, zrzucał winę na okoliczności, na zły los, a przede wszystkim na to, że jest ofiarą swego szefa, który go źle opłaca. Był pewien, że pan doktor wysuwa wobec niego niesłuszne zarzuty, ma coś przeciwko niemu i chciał dociec przyczyny, lecz mu się to nie udawało. Myślał o tym nieustannie dniem i nocą.

Widział wciąż twarz pana doktora, jego wytrzeszczone oczy, ironiczny uśmiech. Najgorsze zaś było to, że nie miał się z kim podzielić swym zmartwieniem. Nie mając już żadnej nadziei wpadł na pomysł, aby grać rolę męczennika wobec dr. Zerbe. W swej służbie nieraz bał się aresztowania, uwięzienia. Ten ustawiczny niepokój z czasem tak go prześladował, że wydawało mu się ciągle, że ktoś go

obserwuje, że ktoś za nim chodzi. Pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby pan doktor o tym wiedział. Przecież sam nieraz mu mówił, że winien ponieść ofiary w służbie dla odradzającej się ojczyzny. Jeżeli mu opowie, że go obserwowano, a nawet aresztowano, przesłuchiowano, wykaże swą ofiarność, poniesie pierwszą ofiarę. Gdy do tego doda, że w żadnym razie nie chciał wydać pana doktora, dowiedzie swej odwagi, wierności, siły charakteru, co przywróci mu dobroć i łaskawość dr. Zerbe. Myśl ta do tego stopnia mu się spodobała, że coraz bardziej ją ugruntowywał, przydawał różne szczegóły, by ją uatrakcyjnić. Tak się zżył z tym kłamstwem, że sam zaczął w nie wierzyć. Z podniesioną głową udał się do pana doktora z opowieścią o swym męczeństwie. Lecz

ten, zamiast chwalić Jegora za ofiarność, wyrazić mu uznanie, współczucie i łaskę, ostro go przesłuchiwał, chciał znać każdą drobnostkę, każdy szczegół, przy tym nieustannie uśmiechał się ironicznie, co świadczyło, że nie wierzy w ani jedno słowo Jegora. Co gorsza, choć nie wierzył w prawdziwość jego opowieści, uchwycił się jej jednocześnie i wysnuł wniosek, że przez pewien czas nie będzie mógł korzystać z usług chłopaka, gdyż jest wbrew jego zasadzie zatrudniać ludzi podejrzanych u władz, a przeto skompromitowanych.

Jegor natychmiast zrozumiał, że swym kłamstwem wykopał dla siebie grób i chciał się wycofać. Pan doktor jednak obstawał przy swoim.

— Przykro mi chłopcze, lecz moją zasadą jest ostrożność, absolutna ostrożność.

Jegor zdawał sobie sprawę, że niczego więcej nie może się spodziewać i zaczął rozprawiać o wyjeździe. Jeżeli pan doktor więcej nie może korzystać z jego usług tu, w tym kraju, może go odesłać do domu, jak mu przyrzekł, gdzie całym swym jestestwem będzie służył odrodzonej ojczyźnie. Jest gotów żarliwie służyć krajowi swych przodków, a nawet przelać zad swą krew, byle uzyskać uprawnienia i zostać oficjalnie uznanym za Aryjczyka. Dr Zerbe, znudzony, ziewał wysłuchując nonsensów o oficjalnej aryjskości. Ani nie był w stanie wyjednać takiego przywileju, ani nie zadałby sobie trudu, by cokolwiek w tym kierunku zrobić, gdyby to nawet było w jego mocy. Lecz nie chcąc bardziej rozdrażniać śmiesznego chłopaczka, zaczął grać na zwłokę, jak zwykle, gdy nie miał zamiaru czegokolwiek dla kogoś uczynić.

— Zobaczymy — powiedział niedbale. — Należy uzbroić się w cierpliwość, chłopcze.

Ale Jegor nie pozwalał się zwodzić, upominał się o to, co mu przyrzeczono, żądał tego z uporem, zaciekle. Dr Zerbe znużony już był tym chłopaczkiem, który tak diabelnie poważnie traktuje każde słowo i tak uporczywie domaga się tego, co mu przyrzeczono. Jako filozof

wiedział, że na świecie w ogóle nie istnieje nic stałego, wszystko się zmienia, przemija, nawet tak zwane ciała stałe, nie mówiąc już o słowie wypowiedzianym przez człowieka, które jest kruche i elastyczne. Jedynie głupcy uważają je za wieczne i trwałe.

— Zbyt poważnie traktujesz wszystko, chłopcze H powiedział. —

Życie należy traktować lżej.

Jegor nie chciał tego słuchać. W sprawie jego aryjskości pozostała mu teraz wyłącznie obietnica pana doktora. Ostro, zajadle, uparcie żądał zapłaty. Odrzucił nawet kilka banknotów, które pan doktor mu wręczył, aby się go pozbyć.

Dr Żerbe zaczynał się niepokoić z powodu tego upartego, pełnego rozgoryczenia i fanatyzmu chłopaczka i zaczął go unikać, aby nie mieć z nim więcej nic wspólnego. Jegor wciąż przychodził, upominał się, pisał długie, pełne pretensji i goryczy listy. Dr Zerbe nie odpowiadał na nie, nie wpuszczał do swego gabinetu i zapowiedział sekretarce, aby tego natręta nie wpuszczała za próg.

Jegor w wielkim obcym mieście wielkiego obcego kraju pozostał sam, bez domu, bez pieniędzy i żadnej nadziei na rozpoczęcie nowego życia, którego tak pragnął. Nic nie wyszło z planów, jakie roztaczał przed Lotą, wspólnego powrotu "tam". Nie pozostało mu nic oprócz hańby, biedy i nienawiści do swego ciemieżcy — pana doktora. Jak wszyscy samotni i ogarnięci rozpaczą przemierzał ulice miasta, nie wiedząc, w jakim celu. Jak inni pogrążeni w biedzie, ustawiał się przed biurami pośrednictwa pracy.

— Georg Joachim Holbek, protestant — odpowiadał głośniejszym głosem niż należało.

Wiedział od ludzi stojących w kolejkach, że urzędnicy biur pośrednictwa pracy są bardzo pedantyczni na punkcie nazwisk i wyznania, choć oficjalnie o tym się nie mówi. Odczytywał to ze spojrzeń jasnowłosych dziewcząt, które każdego petenta mierzą

przenikliwie wzrokiem, jak też z zażenowanych oczu czarnookich i czarnowłosych poszukujących pracy, którzy swe żydowskie nazwiska wymawiają półgłosem, wiedząc z góry, że nic nie osiągną. Dziewczęta informowały, że dadzą mu znać, gdy będzie jakaś praca, uważając rozmowę za zakończoną. Nikt go jednak o niczym nie zawiadamiał. Omijał ludzi, nie chciał widzieć własnej matki, ani dziewcząt i chłopców z klubu, nawet Ernesta Kaisera i Loty. Pewnego późnego poranka, gdy Jegor długo spał, Ernest wyciągnął go z łóżka. — Pójdziemy na piwo? — zapytał.

Jegor pokazał mu pustą portmonetkę.

Ernest śmiał się, jak zwykle. Zapalił marnego papierosa, głęboko zaciągnął się smrodliwym dymem i oświadczył, że najlepiej dla nich obu byłoby wyjechać i szukać pracy na wsi, gdyż w tym piekielnym mieście nic nie można dostać. Jegor uchwycił się tej myśli. Szerokie plecy Ernesta, jego rozrośnięte ręce tchnęły siłą, pewnością siebie. Jegor w obecności kolegi poczuł się silniejszym, jakby przebywał pod opieką matki. Ernest odrzucił płowe włosy z czoła, jakby mu przeszkadzały w myśleniu.

— Gdybyśmy mogli złapać wóz i puścić się w drogę, nie byłoby kłopotu z pracą — mówił. — Na wsi zawsze można ją znaleźć.

Jegor potrząsnął pustą portmonetką, w której pozostało zaledwie kilka pensów. Ernest się tym nie przejął.

— A co z twoim aparatem? — zapytał.

— Och, nie chciałbym go sprzedawać — opierał się Jegor.

— Nie musisz tego robić. Możesz go zastawić w lombardzie —

poradził mu Ernest. — Gdy zarobimy pieniądze, wykupisz go.

Jegor milczał. Ernest Kaiser nie przestawał mówić.

— Za piętnaście dolarów można dostać wóz, a czasem nawet za mniej — mówił wesoło. — Popracujemy tydzień, zarobimy na benzynę i jedzenie i pojedziemy dalej. Nocować będziemy u farmera albo na polu przy ognisku. Zabierzemy też dziewczęta, ja Rozaline, ty Lote.

— Sądysz, że zechcą pojechać? — zapytał przygnębiony Jegor.

— Która dziewczyna by nie chciała? — rzekł Ernest z pewnością siebie. — Dziewczęta zawsze łatwo mogą znaleźć pracę domową.

Jegor już nie myślał o aparacie, gotów był nawet zastawić ostatnią koszulę.

Ernest Kaiser z energią zgoła nie licującą z jego lenistwem zaczął realizować swój plan. Zawiesił aparat na ramieniu, jakby już był on jego własnością, wszedł z Jegorem do lombardu w swej dzielnicy, by się zorientować, ile za niego można dostać. Właściciel lombardu, starszy, głuchawy mężczyzna z aparatem słuchowym w uchu, z rękawami obszytymi na łokciach skórą, ocenił go na dwadzieścia dolarów. Ernest ordynarnie zaklął, ale stary tego nie dosłyszał. Wyszli. W innym lombardzie oceniał młody człowiek z lupą przy oku.

— To aparat Leica — pochwalił się Jegor.

— Wiem — odpowiedział mężczyzna z lupą przy oku.

— Trzydzieści dolarów.

— Czterdzieści — targował się Ernest, jakby to on był

właścicielem zastawianej rzeczy.

— Nic, trzydzieści — młody człowiek obstawał przy swoim.

Nagle spojrzął na Ernesta i mrugnął do niego.

— Czy jesteś pewny, chłopcze, że aparat jest twój?

— zapytał. — Przywłaszczonych rzeczy nie przyjmujemy.

— Aparat jest mój — oznajmił Jegor obrażony.

Młody człowiek obejrzał Jegora i odliczył pieniądze.

Wprost z lombardu Ernest i Jegor udali się do punktów sprzedaży starych samochodów. Stały tu tysiące wozów — wyczyszczonych, umytych, wysmarowanych, z białymi cyframi na szybach, różnego wyglądu, odmiennych marek i dat produkcji.

Na jednym placu automobilowym łopotało wielkie płótno informujące czerwonymi, wesołymi literami, że kto chce skorzystać z niezwyklej okazji, niech wstąpi do wesołego Jimmie'ego a na pewno wyjedzie stąd uszczęśliwiony. Obok napisu wymalowany był wesoły Jimmie, promieniejący, wystrojony, sprzedający krwawoczerwone auto szczęśliwej parze. Ernest Kaiser poczuł od razu sympatie do wesołego Jimmie'ego na rysunku i wszedł do jego stoiska.

— Czym mogę was uszczęśliwić, młodzi przyjaciele? — zapytał wystrojony kamrat o wyglądzie i ubiorze komika kabaretowego, nieco podobny do wesołego Jimmie'ego wymalowanego na płótnie, lecz nie tak promienny i mniej wesoły.

Ernest Kaiser wypatrzył najtańsze wozy i kolejno je wypróbował.

— Szumią ohydnie i okropnie smrodzą — powiedział motorach, które uruchamiał.

— Gdy ty, bracie, przelecisz siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt tysięcy mil, jak te wozy, będzie można to samo powiedzieć o tobie — powiedział wesoły Jimmie.

Poklepał Ernesta po tęgich plecach i w ten braterski sposób załagodził zbyt ostry żart pod adresem klienta.

— Wiem, że nowy cadillac idzie ciszej i równiej — powiedział poważnie — ale za te pieniądze każdy z tych wozów przeleci tysiące mil. Słowo Jimmie'ego.

Po wielu targach, dowcipach, przechwałkach i porcji śmiechu Ernest kupił fordzika z rozsuwanym dachem za dwadzieścia dolarów. Wesoły Jimmie zawiesił na przodzie wozu lisi ogon, na szczęście.

Nazajutrz z rana puścili się w drogę. Dzień był słoneczny, niebo czyste, bez najmniejszego obłoczka. Ernest w swej wiecznie wyblakłej koszulce siedział na przednim siedzeniu z Jegorem. Na tylnym rozsiadły się Lota

Rozalina. Wiatr igrał włosami chłopców, kolorowymi chusteczkami dziewcząt, lisim ogonem na przodzie wozu. Lota za każdym razem, gdy podskakiwała na rozklekotanym tylnym siedzeniu, śmiała się. Jej dobry nastrój udzielał się chudej, oschłej Rozalinie, mimo że dotkliwiej od swej teźszej przyjaciółki odczuwała niewygodę zniszczonego siedzenia. Śmiały się j zachwycaly pięknym dniem, podróżą, szybką jazdą Ernesta.

Za miastem dziewczęta przesiadły się na przód wozu. Ernest

prowadził auto lewą ręką, a prawą obejmował swą chudą dziewczynę. Lota usiadła na kolanach Jegora. Z jedną ręką na kierownicy Ernest prowadził z takim hałasem, że nadjeżdżające z naprzeciwka samochody starały się jak najdalej omijać fordzika. Wiele razy omal nie zawadził o inne wozy, ale do kolizji nie doszło. Dziewczęta śmiały się ze strachu i poczucia swobody.

Gdy poczuli głód, zatrzymali się koło przydrożnej restauracji zbudowanej na kształt wagonu, zjedli dużo bułek z gorącymi kiełbaskami posmarowanymi grubo musztardą. Jegor zapłacił za wszystkich. Potem Ernest dopuścił Jegora do kierownicy. Jegor nie umiał prowadzić, lecz wstydził się wobec dziewcząt przyznać do tego.

— Nie mam prawa jazdy — próbował się wykręcić.

— ~Ja też nie — śmiał się Ernest. — Prowadź, bracie!

Buchała z niego beztroska. Dziewczęta śmiały się z każdego nieprawidłowego ruchu Georga. Potem znów prowadził Ernest, jakby go goniło dziesięć diabłów.

— Dokąd jedziemy? — pytał Jegor, patrząc z troską na licznik, który wskazywał coraz wyraźniej, że benzyna się kończy.

— Jaka różnica? — odparł Ernest, gnając naprzód.

— Czy nie zatrzymamy się, by pytać o pracę? — Jegor nic nie rozumiał.

— O pracę? — zapytał zdziwiony Ernest. — Oczywiście, ale dopiero jutro. Nieprawda, dziewczęta?

Dziewczęta śmiały się, same nie wiedząc dlaczego. Jegor już

więcej o nic nie pytał.

Wieczorem Ernest zatrzymał wóz nad brzegiem przepaści w górach i zaczął rozglądać się po okolicy. Zachodzące słońce jaskrawo oświetlało szczyty górskie i zwisające nad przepaścią, jakby miały zaraz runąć, skały. Na ziemi było pełno kamieni i sosnowych igieł. Przerazona wiewiórka spoglądała z drzewa ciekawymi oczkami. Ernest obwąchiwał okolicę jak pies, w końcu znalazł wydrążoną jamę pod zwisającym głazem. Były tu ślady ludzkiej obecności, puszki po konserwach, zeschnięte niedopałki papierosów, na dwóch kamieniach leżały nie dopalone kawałki drewna, węgiel, popiół. W dole strumyk z szumem wpadał do wijącej się wśród kamieni rzeczki. Ernest zszedł do niej w dół i obiema rękami zaczerpnął wody do picia.

— Tu przenocujemy — zarządził. — Dziewczęta, szykujcie jedzenie, ja rozpalę ogień.

Siedząc wokół dwóch obsypanych węglem drzewnym kamieni dziewczęta nie przestawały podawać puszek konserw, których zawartość błyskawicznie zjadali. Gdy się ściemniło, Rozalina i Lota oczyściły ziemię z kamyków, rozścieliły podarte koce, które zabrali ze sobą. Lota wciąż się śmiała.

— Dlaczego się nie śmiejesz, mrukliwy niedźwiedziu? — pytała milczącego Jegora. — Czy nie sądzisz, że to wszystko jest piekielnie piękne i śmieszne?

Radosny nastrój, który panował tuż po wyruszeniu z miasta, przekształcił się w smutek, gdy nazajutrz zaczęto rozglądać się za

pracą.

Ernest zajeżdżał do każdej stacji benzynowej z taką brawurą, że pracownicy wybiegali, aby napełnić bak benzyną. Uśmiechali się uprzejmie, rozpoznawszy swą pomyłkę, stawali się oziębli, gdy brał tylko wodę i pytał o pracę dla siebie i pozostałych pasażerów.

Może dalej — mruzcili niechętnie. — Tu my o niczym nie wiemy.

— So long — mówił Ernest wesoło i odjeżdżał tak samo szumnie, jak przyjeżdżał.

— fi long — odburkiwali pracownicy stacji benzynowej, zadowoleni z odjazdu osobników, do których poczuli nieufność, a najbardziej do rosłego mężczyzny w wyblakłej koszulce.

Jeszcze bardziej nieufnie na rozbawionych pasażerów, którzy zatrzymywali się przy ich fermach, by pytać o pracę, spoglądali farmerzy.

— Może w hotelach — radzili — tu nic nie ma.

— So long — mówił wesoło Ernest i pędził dalej.

Jegor często otwierał portmonetkę, regulując rachunki za benzynę, którą stara maszyna pożerała w dużych ilościach. Płacił też za paczki tanich papierosów, które Ernest palił bez przerwy, za gorące kiełbaski i zjadane z wielkim apetytem puszki konserw. Im lżejsza stawała się portmonetka, tym bardziej zmniejszało się jego zaufanie do obietnic Ernesta, który ani na chwilę nie tracił humoru. Lota mu wtórowała.

— Śmieszne — powtarzała ustawicznie, dławiąc się ze śmiechu.

Trzeciego dnia włóczenia się po drogach nastąpiła katastrofa.

Zaczęło się od wozu. Zatrzymał się nagle wieczorem i nie dał się uruchomić, nie można go też było wepchnąć na górę nad rzeką, gdzie Ernest wyszukał schronienie na nocleg. Ernest położył się pod maszyną, rozebrał silnik, wysmarował się olejem, pobrudził, pchał wóz ze wszystkich sił, kazał wszystkim sobie pomagać. Maszyna nie drgnęła. Ernest zostawił ją przy drodze na uboczu i dowlókl się z towarzystwem pod skałę, gdzie mieli nocować. Wieczór był duszny, ciężki. Ernest zrzucił z siebie odzież i nagi wszedł do rzeczki, by pozbyć się kurzu, gorąca i brudu od majsterkowania przy wozie.

— Hej, dziewczęta, chodźcie pływać — zawołał.

Rozalina się wstydziła, Lota się z niej śmiała.

— Nie ma nikogo poza nami — powiedziała, zrzucając odzież i wskakując nago do wody.

Rozalina poszła za jej przykładem. Jegor nie chciał się rozbierać. Lota go wołała, Rozalina i Ernest także. Jegor jednak nie chciał iść się kąpać. Ernest śmiał się z niego.

— Panno Gretel, czy jesteś ciężarna? — wykrzykiwał z wody.

Rozalina piskliwie się roześmiała. Lota jej wtórowała. Śmiech Loty wzburzył Jegora, lecz nie zdjął ubrania. Siedział milcząc na kamieniu, przygnębiony i obrażony rozglądał się wokoło. Nagle Ernest z Lotą zaczęli się oddalać, zostawiając za sobą Rozalinę, która bała się płynąć dalej.

— Ernest, nie mogę nadażyć! — krzyczała Rozalina. — Ernest!

Ernest nie odpowiadał, płynął dalej rozkładając w wodzie szeroko ręce, za nim Lota. Słysząc było tylko ich śmiech i uderzenia rąk o

wodę. Rozalina, sina ze złości, wyszła z wody.

— Nie patrz na mnie! — krzyczała piskliwie na Jegora i uciekła do miejsca ich schronienia.

Jegor wciąż siedział na kamieniu gorzko milcząc. Ernesta i Loty nie było widać. Chwilami dobiegał tylko plusk wody i daleki śmiech. Po jakimś czasie ujrzał ich przyplływających, najpierw Ernesta, potem Lotę. Jegor odszedł na ubocze, przez pewien czas włączył się po kamienistych drogach. Z daleka słyszał nawołującą go Lotę, ale się nie odzywał. Gdy wrócił, Rozalina siedziała z potarganymi włosami, płakała.

— Dość beczenia, głupia, popłynęliśmy tylko do krzaków.

Rozalina bez przerwy, piskliwie i głośno płakała. Nagle zerwała się z miejsca i z furią skoczyła do Loty.

— Dziwka — krzyczała histerycznie.

Lota się śmiała. Przyjęcie na wesoło tak haniebnej nazwy, która jak zardzewiała piła zazgrzytała po ciele Jegora, dotknęło go do żywego.

Dopiero, gdy Rozalina skoczyła na nią z ostrymi paznokciami i Lota poczuła, że jej gładka, pulchniutka twarz jest w niebezpieczeństwie, chwyciła Rozalinę za włosy. Ernest, o którego się ta wojna toczyła, z satysfakcją przyglądał się niewieściej bójce.

— Tak! Mocniej! Mocniej! — dodawał chęci rozczochranym dziewczętom, które skakały sobie do oczu jak dwie kury.

Jegor go zniecierliwił.

Nazajutrz rano słońce nie wzeszło, padał drobny deszcz, przestawał i znów padał. Nie można było zagrzeć kawy ani konserw.

Ernest, zachmurzony, zbierał z mokrej ziemi niedopałki papierosów, które wyrzucił wczoraj wieczorem, aby je wysuszyć i zwinąć z nich skręta. Rozalina

szła za nim i patrzyła mu w oczy pokornie jak pies, który zrobił coś złego i dostał za to lanie. W milczeniu wyszli wszyscy na drogę, gdzie stało mokre od deszczu auto. Ernest znów się położył na wilgotnej ziemi, majstrował, stukał, przeklinał wesołego Jimmie'ego, na czym świat stoi, ale maszyna nie drgnęła. Nagle Ernest splunął gwałtownie na rozgrzebany pod otwartą maską samochodu silnik.

— Pójdę szukać pracy w mieście — powiedział, wycierając wysmarowane rece o mokrą trawę. — Nie ma co robić w tych przeklętych górach. Rozalino, zbierz koce.

— Dobrze, Ernest — powiedziała Rozalina, patrząc mu pokornie w oczy.

Przez chwilę Lota stała, patrząc niezdecydowanie na obu chłopców. Nagle się roześmiała. ■ -jg; Pluń na tego zdechlaka i chodź z nami — powiedziała do Jegora. — Razem będzie weselej.

— Idź — kazał jej Jegor.

Lota usłuchała.

Jegor widział, jak oddalający się są coraz mniejsi. Mignęła mu jeszcze przed oczami jaskrawa chusteczka na głowie Loty i po chwili znikła. W żaden sposób nie mógł uwierzyć, że ta obca kobieta, która teraz odeszła, przed dwiema nocami była jego ukochaną, dzieliła z nim legowisko pod zwisającą skałą. Obok stał jego martwy, mokry i zbyteczny samochód, ruina jak on sam. Lisi ogon, przywiązany na

szczęście, zwisał mokry i zaniedbany jak u chorego psa. Od czasu do czasu drogą przejeżdżały inne wozy. Jegor w swym przygnębieniu nie miał dość odwagi, by kogoś zatrzymać i poprosić o pomoc. Wysoki, kościsty kierowca ciężarówki zatrzymał się sam.

— Co za kłopot, synku? — zapytał głosem ochrypłym od fajki, którą palił.

Nie czekając na odpowiedź, wetknął głowę pod maskę fordzika. Padał coraz większy deszcz. Wysoki mężczyzna nic sobie z tego nie robił. Nie złościł się, nie klął, nie pluł, ciepliwie oglądał każdą część, wytarł wilgoć, czyścił, odkręcał i zakręcał śrubki. Nagle silnik zaczął się krztusić, jęczeć i syczeć.

Mokra twarz kierowcy rozpogodziła się.

— Szczęśliwej drogi! — krzyknął ze swej ciężarówki.

Jegor usiadł przy kierownicy i speszony trzymał ją w ręce. Był sam, bez przyjaciół, pieniędzy, prawa jazdy, bez jakiegokolwiek celu. Nie wiedział, dokąd się udać, więc jechał naprzód po mokrej, krętej górskiej drodze.

Jak zbłąkany pies, biegnący niespokojnie z nastroszonymi uszami i węszący po drogach i ścieżkach, nie mogąc sobie znaleźć w swym twardym, samowolnym życiu bez pana, miejsca wśród starych doświadczonych psów ulicznych — tak błąkał się jegor Karnowski, samotny i zagubiony w pierwszym zetknięciu się z twardą rzeczywistością, do której nie był przygotowany.

Gdy pierwszy raz stanął mu wóz z powodu wyczerpania się paliwa,

a nie miał pieniędzy na choćby jeden galon najtańszej benzyny, próbował prosić sprzedawcę, aby mu jej trochę pożyczył i przyrzekał, że gdy tylko otrzyma pracę w tej okolicy, zwróci z podziękowaniem niewielką pożyczkę. Sprzedawca benzyny w czarnej skórzanej kurtce z wyszytym imieniem Johnny nie zadał sobie nawet trudu, by choćby słowem odpowiedzieć na tę prośbę chłopca. W milczeniu, drwiąco spoglądał na wyrośniętego młokosa, który chce pożyczyć benzynę, jak na obłąkanego i w dalszym ciągu czyścił zabłocony od deszczu wóz. To, że ten człowiek nawet mu nie odpowiedział, dotknęło Jegora do żywego. Od razu stał się śmiertelnym wrogiem sprzedawcy benzyny w skórzanej kurtce z wyszytym imieniem Johnny i z przystrzyżonymi, skręconymi wężykowato, zakrywającymi jego milczącą wargę, wąsikami. Zapragnął splunąć i czym prędzej odejść z tego miejsca, ale jego położenie sprawiło, że musiał przełknąć ślinę wraz ze wstydem.

— Wyczyszczę panu wóz, sir — powiedział przygnębiony.

Sprzedawca benzyny w skórzanej kurtce znów nie odpowiedział i dalej robił swoje. Jegor zdawał już sobie sprawę, że u tego człowieka może go spotkać tylko upokorzenie. Wyjął pióro, które otrzymał od matki w prezencie i zaproponował je w zamian za kilka galonów benzyny. Nie otrzymał odpowiedzi. Dopiero gdy zaproponował koło zapasowe — mocno już wytarte, przyskane i przymocowane z tyłu do wozu — sprzedawca wypowiedział dokładnie dwa słowa:

— Dwa galony.

Jegora ta zaniżona propozycja tak przygnębiła, że nawet nie prosił, jak zamierzał o napełnienie baku.

— Niech mi pan da choć pięć, sir — wymamrotał przybity.

Sprzedawca benzyny nie odezwał się więcej i wrócił do czyszczenia swego wozu. Jegor przystał więc na dwa galony.

— Weź tę szmatę i połóż ją w kącie — polecił mężczyzna.

Kolorowy licznik wybił dwa razy do taktu.

Upokorzenia powtarzały się co krok. Aż do wyczerpania się dwóch galonów benzyny Jegor zatrzymywał się często przed fermami i swą cudzoziemską angielszczyzną, często używając iir, bardzo delikatnie prosił o jakąkolwiek pracę. Ale podobnie jak sprzedawca benzyny, tak i równie małomówni farmerzy nie chcieli z nim nawet rozmawiać. Pałac fajki, spoglądali w milczeniu na wyrośniętego chłopczykę, który nie wyglądał na człowieka pracy, i kiwali przecząco głowami. Jedynie jeden farmer okazał się rozmowniejszym i kazał sobie pokazać ręce. Jegor nie chciał tego zrobić, więc farmer sam je ujął w swe obszerne dłonie i opuścił ostrożnie, jak odkłada się szklane przedmioty, aby się nie stukły.

— Potrzebne mi są ręce farmerskie, nie chłopca z college[^] — powiedział.

— Nie jestem chłopcem z college'u, sir — odrzekł Jegor.

— To właściwe miejsce dla ciebie, chłopcze — doradził mu farmer.

Jegor pojechał dalej. Pióro, którego nie chciał przyjąć sprzedawca benzyny, przydało mu się w "Chacie Wuja Toma", małej, pełnej

much restauracyjce, której właściciel, Grek z zakasanyimi rękawami i o rękach pokrytych czarnymi włosami, dał mu za nie dwa hamburgery z kawą. Jegor, najedzony, znów zatrzymywał się przy domach, lecz nadal nie mógł dostać pracy. Na następnej stacji benzynowej, do której dowlókł się z ostatnią kroplą paliwa, nie próbował już mówić o benzynie na kredyt. Znał już wartość tej cieczy. Nie miał już też nic do zdejmowania z wozu, zaproponował zatem jego kupno. Z początku właściciel nie chciał o tym słyszeć. Jego zakład zajmuje się sprzedażą benzyny, a nie skupowaniem wraków. Z tym należy się zwrócić do handlujących starym żelastwem domokrażców. Potem zmiękł i zgodził się przyjąć gruchot za pięć dolarów. Zawstydzony Jegor powiedział, że niedawno zapłacił za ten wóz dwadzieścia dolarów. Sprzedawca śmiał się.

— To dobrze dla kupca! — powiedział.

Jegor nie miał wyjścia, zostawił wóz z lisim ogonem, który miał mu przynieść szczęście i z plecakiem w ręce i pięcioma dolarami w kieszeni próbował autostopem wędrować po drogach.

— Uciekinier? — pytali kierowcy, którzy go podwozili kawałek drogi.

— Nie, sir — odpowiadał Jegor ze swym niemieckim akcentem, urażony, że rozpoznają w nim wygnańca.

Nie zdradził się też w żydowskich miejscowościach letniskowych, gdzie pytał o możliwość pracy, a ludzie odgadywali w nim tę jego stronę, od której uciekł. Jeździł wciąż dalej i dalej, było mu obojętne, dokąd, byle tylko zabierali go kierowcy. Podążała za nim jego bieda,

degradacja, hańba człowieka bez pieniędzy w kieszeni, bez sił w pięściach.

Jak długo było ciepło, włóczył się, znajdując wyżywienie i upokorzenie w różnych miejscach, w różnych okolicach. Czasem zmywał naczynia w miejscowości letniskowej, gdzie od świtu do późnej nocy grzązł w tłuszczu, śmieciach i zaduchu, aż dochodzono do wniosku, że jest zbyt powolny, tłucze zbyt wiele naczyń i kazano mu się zabierać. Za swą pracę jadł w ciągu dnia i otrzymywał dolara lub dwa, co umożliwiała mu dalszą kilkudniową wędrówkę. Czasem otrzymywał pracę na farmie przy zbiorce siana i pracował dopóty, dopóki farmer się nie zorientował, że Jegor nie wie, jak trzymać widły w ręce

i kazał mu wracać tam, skąd przyszedł. Lecz zanim do tego dochodziło, Jegor mógł przenocować w stodole i jadał trzy posiłki dziennie. Udało mu się raz otrzymać prace w sadzie przy zbiorze jabłek spadłych z drzew. Praca ta trwała cały tydzień. Jegor odczuwał silne bóle w kręgosłupie, gdyż nie był przyzwyczajony do schylania się. Nie zbierał jabłek zbyt szybko, mimo to pozwalano mu pracować. Za pracę otrzymywał wyżywienie, nocleg w stodole i dolara dziennie. Lecz inni robotnicy dokuczali mu, drwili z jego cudzoziemskiego akcentu, miejskiego wyglądu i z jego subtelności. W szczególności znęcał się nad nim starszy włóczęga, pijak i karciarz, który domagał się od niego pieniędzy na wódkę i traktował go jak posługacza. Jegor chciał się wkupić w jego łaski, grywał z nim, na jego żądanie, w karty. Przegrał połowę tygodniowego zarobku, lecz włóczęga nie

zmienił swego do niego stosunku i nadal mu dokuczał. Nawet sprowokował go do bójk pod zarzutem, że Jegor go obraził. Robotnikom bardzo się to podobało, ustawili się wokół, by obserwować walkę. Jegor nawet nie odważył się podejść blisko do starszego, rosłego zabijaki i odszedł, odprowadzany śmiechem i drwinami. Z kilkoma pozostałymi w kieszeni dolarami włóczył się później cały tydzień po drogach, jedząc najtańsze kielbaski w małych, przydrożnych kawiarenkach i śpiąc, gdzie tylko się dało. Leżąc samotnie, w nędzy, nieraz wyjmował z kieszeni fotografię matki, jedyną rzecz, która mu pozostała. Ciężkie myśli świdrowały mu mózg — jak ona się o niego zamartwia, poszukuje go. Powinien napisać do niej parę słów, lecz tego nie zrobił. Im więcej czasu upływało i Jegor nawet nie dawał znać o sobie, tym ciężiej przychodziło mu to uczynić. Ogarnęło go w tej biedzie jakieś zobojętnienie w stosunku do wszystkich i wszystkiego, a przede wszystkim do samego siebie. Zaniedbał się, był zawszony i mimo że na skutek tego cierpiał, to to zawszenie stało mu się jakieś bliskie i nie mógł się z nim rozstać. Włóczył się, wałęsał, nie nocował tam, gdzie przebywał w ciągu dnia, dachem było mu niebo, ścianami — góry.

W zielonych górach, mieniających się teraz wszelkimi kolorami — czerwonym, żółtym, złotym — dni stawały się krótsze, a noce dłuższe i zimne. Z letniskowych miejscowości ludzie śpieszyli do miast. Zamykano dom za domem. Jesienne babie lato unosiło się w powietrzu i przywierało do wszystkiego. W mniejszych fermach, leżących na kamienistej, górzystej ziemi stały ciche, zamglone domy i

stodoły. Sprawiały wrażenie jakby nikt w nich nie zamieszkiwał. Otaczały je ogrodzenia z zardzewiałych, kolczastych drutów. Wkrótce zaczęły padać deszcze, wichry strącały liście z gałęzi, drzewa zginały się we dwoje. Rozhukany jak wiatry górskie był też Jegor Karnowski. Buty miał podarte, podziurawione od wędrowania po kamienistych drogach, koszulę brudną, policzki nie ogolone, włosy nie ostrzyżone, spodnie postrzępione. Farmerzy nic wpuszczali go do mieszkań, gdy pytał o pracę. Ich żony bały się go. Psy, odwieczni wrogowie biedaków i obdartusów, ujadły na niego. Szyderycy śmiali się z jego nędznego ubioru. Widząc go włóczącego się w przykrótkim zagranicznym przeciwdeszczowym płaszczu, z walizką w ręce, mrugali do niego i gwizdali.

— Hej, deszczowiec! Kup sobie limuzynę, wygodniej ci będzie w drodze.

Kierowcy lepszych wozów obawiali się go zabierać, kiedy dawał znać, wyciągając rękę, że chciałby się udać w kierunku Nowego Jorku. Jedynie kierowcy ciężarówek podwozili go trochę, a nawet częstowali cygarami. Jeden z nich podwiózł go do samego miasta i wysadził przy targowisku rybnym w porcie, gdzie się zatrzymał.

W ciągu tych kilku dni i nocy, gdy Jegor wałęsał się w porcie, starał się zrzucić z siebie ślady minionego życia i o nim zapomnieć. Sprzedał swój zegarek za dwadzieścia pięć centów. Straszliwie wygłodzony wydał całą tę sumę we włoskiej restauracyjce, pełnej tragarzy, marynarzy i pijaków. Następnie przehandlował kilka brudnych koszul, które miał jeszcze w walizce. Handlarz starą odzieżą

zapłacił mu za nie po pięć centów. Jegor już nie potrzebował zniszczonej walizki i dodał ją do koszul, za co otrzymał dziesięć centów. W samym tylko zagranicznym deszczowcu, z którego dawno wyrósł, wałęsał się w gąszczu tragarzy, marynarzy, włóczęgów, kierowców ciężarówek, wchłaniając zapachy nieświeżych ryb, przegniłych owoców, dymu i benzyny.

— Może ma pan dla mnie jakąś pracę na statku, sir' } pytał ludzi morza.

Ludzie morza w milczeniu palili fajki i nawet się na niego nie oglądali. Szedł z miejsca na miejsce. Gnała go nędza. Nocą wynajmował łóżko w jednym z hoteli dla ubogich marynarzy i włóczęgów, gdzie nocował za dziesięć centów. Gdy nie miał już nawet co zdjąć z siebie i pozostało mu tylko wychudłe ciało i nędza, opuścił port i włóczył się po innych dzielnicach miasta.

Jesienne miasto było zatłoczone i hałaśliwe. Po ulicach dzielnic handlowych, wokół domów towarowych przesuwwały się fale ludzi, przeważnie kobiet robiących zakupy na nowy sezon. Jasnowłose, ciemne, czarne, młode, stare, w drogich futrach i lekkich jesiennych okryciach, w wozach ciężarowych prowadzonych przez kierowców, w zatłoczonych autobusach, w tanich samochodach, pieszo — wszystkie zapełniały ulice. Oblegały sklepy, oglądały wystawy, pożerały oczami widniejące na nich atrakcyjne kobiece artykuły — suknie, biżuterię, kapelusze, pończochy, jedwabną bieliznę, gorsety — wszystko, co zostało przygotowane na sezon jesienny z myślą o kobietach. Z banków, fabryk, urzędów, domów handlowych wycho-

dzili mężczyźni, śpiesząc do restauracji, kawiarni, cukierni. Manekiny z okien wystawowych wykrzywiały twarze w odwiecznym, drewnianym uśmiechu. Nad budynkami, w których mieściły się kina, na olbrzymich, barwnych plakatach figurowały uśmiechające się szeroko gwiazdy filmowe. Z bram, drzwi i okien dochodziły hałaśliwe dźwięki radia, wokół krążyli pikietujący ludzie z plakatami. Policja przepuszczała korowody hałaśliwych aut, które za pomocą napisów i przez głośniki nawoływały do głosowania na Patricka Taylora, Charleya Goldberga i Antony'ego Roso — najbardziej oddanych ojców miasta.

Portrety tych trzech działaczy, uśmiechających się, miłych, podobnych do siebie, jakby ich rodziła jedna matka, spoglądały z samochodów, okien oraz zajmujących całą szerokość ulicy plakatów i transparentów. Sprzedawcy gazet w śpiewnej tonacji podawali wiadomości o ciągłych konfliktach między narodami i krajami po drugiej stronie oceanu. Rozwieszane w oknach redakcji doniesienia finansowe informowały o wzroście cen akcji, o dobrym sezonie jesiennym, o zmniejszeniu bezrobocia, wzroście dochodu narodowego, który w przeliczeniu na głowę wynosi o sto dolarów więcej niż w latach ubiegłych. Tymczasem Jegor nie miał ani jednego centa w kieszeni swego przy-krótkiego płaszcza przeciwdeszczowego. Manekiny z okien wystawowych, na które nałożono nowe suknie, kapelusze i buty, śmiały się serdecznie z Jegora. Smakowite zapachy z otwartych cukierni drażniły jego pusty żołądek aż do omdlenia. Jegor wciąż szedł z ulicy na ulicę, nie

wiedząc dokąd i w jakim celu. Coś go gnało po wielkim mieście, które wydawało mu się bardziej obce niż kiedykolwiek. Wszystko — domy, śpieszący się ludzie, pędzące wozy, policjanci regulujący ruch uliczny — było dziwnie obce, nierealne jak wystrojone manekiny w oknach wystawowych. To uczucie obcości, krążenia w świecie chaosu wzmagало się z każdą upływającą godziną i osiągnęło najwyższe natężenie wieczorem, gdy różnobarwne światła rozjaśniały ulice.

Ludzie tego wieczoru śpieszyli się bardziej niż zazwyczaj. Byli podnieceni jakby w przeddzień wybuchu wojny. Po długich letnich miesiącach upałów i rozleniwienia oczekiwano tego wieczoru pierwszej wielkiej jesiennej walki pięściarzy, ulubieńców publiczności. Wokół Madison Square Garden gęszcz samochodów był tak wielki, że nie mogły się one poruszać. Piesi szli falami, popychali się, tłoczyli, stali w kolejkach, oblegali tramwaje, krzyczeli, irytowali się. Policja, piesza i konna, utrzymywała porządek, odpychała napierające masy. Sprzedawcy uliczni zagłuszali hałas, bardzo żarliwie reklamując zdjęcia zapaśników. Kierowcy jeździli szybciej niż zwykle, aby się nie spóźnić i>a odbiór transmisji radiowej z bokerskiego pojedynku. Ci, którzy w swoich wozach nie mieli zainstalowanych aparatów radiowych, jechali obok wyposażonych w nie aut, aby nie uronić ani jednego słowa z gromkim głosem wypowiedzianych relacji. Przy kawiarniach, restauracjach, cukierniach, straganach z lodami, na każdym rogu ulicy stały grupki ludzi — zakładali się, wymachiwali rękami, rozmawiali, spierali, słuchali głośników radiowych z otwartych sklepów. Gdy hałaśliwe

sprawozdania entuzjastycznie obwieszczały zapowiedź pierwszego starcia, nawet policjanci zaniedbywali swe ulice i słuchali, jaki jest przebieg walki. Chłopcy krzyczeli, skakali, tańczyli w takt głośnych sprawozdań. Mimo że ludzie byli pełni życia, hałaśliwi, Jegorowi wydawało się, że są nierealni jak skupisko marionetek poruszanych niewidzialną siecią drutów sterowanych wielką tajemniczą ręką. Nie miał nic wspólnego z ogromnym, obcym, gwarnym, kamiennym miastem, tak jak to miasto nie miało nic wspólnego z nim. Tumult towarzyszący przebiegowi walki ucichł, gdy pojedynek się zakończył. Ulice prędko opustoszały, pozostały na nich łupiny orzeszków, papierki po cukierkach i wyrzucone gazety. Deszcz, który zaczął padać, zatarł ostatnie ślady poprzedniego podniecenia, ludzie a nawet psy śpieszyły się do domów. Lśniły gumowe policyjne płaszcze z podniesionymi kapturami. Jegor krążył po mokrych ulicach. Woda, przeciekająca przez dziurawe buty, moczyła mu nogi. Deszcz wymył jego odkrytą, nie ostrzyżoną głowę, przenikał za kołnierz, oblewał ciało, które z głodu, zmęczenia, brudu i wycieńczenia jednocześnie okrywało się potem. Jegor szedł moknąc w deszczu, choć mógł się schronić w wejściu do stacji metra. To chodzenie, gnanie bez celu, podtrzymywało go w nędznym bytowaniu. Uzmysłowił sobie głębię swego upadku, gdy nogi zaczęły mu już odmawiać posłuszeństwa i musiał się zatrzymać. Noc się dopiero rozpoczynała i szykowała do długiej, dwunastogodzinnej egzystencji. Nad głową Jegora wisiało niebo mające kształt czarnej, olbrzymiej

mokrej szmaty, pełnej wody, której starczy na kilka dni, aż się

wyczerpie. Długa deszczowa jesienna noc nie zapowiadała nic dobrego. Przez mrok często przedzierały się zgrzytliwe sygnały karetek pogotowia ratunkowego, mknących do samochodów, które się zderzyły i do innych nieszczęść, które niosą deszcz i noc.

Jegorowi przemknęła przez głowę myśl, że należy się ugiąć i wrócić do domu. Kiedy przystanął, odczuł całe swe zmęczenie, nędzę, beznadziejność. Głód był nie do zniesienia, mokra odzież przylegała do ciała i mroziła je. Przenikająca wszędzie wilgoć na chwilę osłabiła jego upór i dumę, nawet nienawiść. Lodowaciejące młodzieńcze ciało opanowało jedno przemożne pragnienie — zrzucenia lepiącej się do ciała odzieży, mokrych butów, zwilżenia szklanką ciepłego napoju wysuszonego, zachrypłego gardła, położenia się do łóżka, wyciągnięcia mokrych i zmęczonych nóg. To pragnienie było tak silne, że gotów był nawet wyciągnąć rękę i prosić o pięć centów, by mieć za co pojechać do domu. Podszedł do kasjera metra i ze spuszczoną głową poprosił, aby mu pożyczył pięć centów.

— Sir, zgubiłem pieniądze — zebrał. — Muszę daleko jechać do domu.

— Nic nie mogę pomóc — odrzekł kasjer, licząc pięciocentówki, dużo pięciocentówek.

— Zwrócę, sir, słowo honoru — błagał nadal, upokorzony.

jp Mówią to wszyscy włóczędzy, lecz nikt nie zwraca — powiedział kasjer i jeszcze prędzej wyrzucał monety z worka.

Jegor poczuł żar w ciele, palił go wstyd i gniew. Rozgrzało to jego marznącą krew. Gwałtowny impuls, nowa siła wstąpiła w niego.

Ogarnął go gniew na siebie samego za to, że pomyślał o ugięciu się. Wszystko, tylko się nie cofnąć, myślał w przypiływie uporu. Wszystko, tylko nie pokazać swego upadku, nędzy, upokorzenia. Chodząc wzdłuż stacji metra odzyskał równowagę. Nagle, gdy kasjer był zaabsorbowany liczeniem monet, Jegor zakradł się przez drzwiczki, na których wisiał napis głoszący, że wejście tędy jest wzbronione, gdyż jest ono przeznaczone wyłącznie dla wychodzących. Jegorowi było teraz obojętne, czy go zatrzymają. Nikt go nie widział. Ten mały, śmiały, zakazany krok przewyciężył uczucie upokorzenia, dodał Jegorowi śmiałości. Wpadł do nadjeżdżającego pociągu, nie do tego jednak, który prowadził do domu, lecz w przeciwnym kierunku — na Long Island.

W ponurym osamotnieniu Jegor przypomniał sobie o dr. Zerbie.

To on jest winien jego nędzy i osamotnieniu. To on go oszukał, wykorzystał, a potem wyrzucił, jak wytartą miotłę, szmatę. Nawet nie chciał go widzieć, zapowiedział pracownikom w biurze, aby go nie wpuszczano, przez niego Jegor zerwał z domem i jest teraz taki biedny, osamotniony i zbędny na tym świecie. To przez niego, gdyż mu ufał, popełniał czyny, które uważał za odrażające. W tym osamotnieniu zaczął nawet sam wierzyć w wymyślone przez siebie kłamstwo, że został aresztowany, że był przesłuchiwany. Pójdzie do niego żądać swych praw, upominać się o to, co mu przyrzekł. Nie ma bowiem teraz więcej nikogo, do kogo mógłby się udać. Ma prawo zwrócić się do tego, komu służył i który za służbę mu nie zapłacił. Ten mały nędznik myślał, że go wyrzuci, jak wyrzuca się starą

szmatę, że się przed nim ukryje. Lecz myli się. Jegor mu dowiedzie, że Georga Joachima Holbeka nie można wykorzystać, kiedy się chce i wyrzucić, kiedy się komuś spodoba. Uda się do niego zaraz, by upomnieć się o swoje, żądać swych praw.

Zegary na stacjach wskazywały późną godzinę. Jegor tego nie zauważał. Jego zamglone, niebieskie oczy widziały teraz jedyny punkt, ostami w jego życiu. Im dalej jechał, tym bardziej w jego lodowaciejącym ciele rozżarzała się ta iskra.

Na cichych, słabo oświetlonych ulicach Long Island, gdzie Jegor wysiadł, ulewny deszcz ochłodził go nieco. Przez zasłonięte okna jednopiętrowych, rzadko stojących domów, przebłyskiwało przyćmione światło świadczące

E_H

mjjM o ciepłe i szczęściu. Cichą ulicą szybko przejechał samochód i obryzgał błotem samotnego przechodnia. Przez monotony szum poruszanych wiatrem gałęzi przebijały się łagodne dźwięki pianina. Wtem z jednych drzwi wyszła nagle służąca, Murzynka z psem, złościła się, gdy zwierze opieszale załatwiało swą potrzebę.

— Zrób już to, ty paskudziarzu jj| denerwowała się na psa, który nie chciał wyjść na deszcz. — Ja moknę.

Nagle zobaczyła Jegora i wytrzeszczyła na niego pełne przerażenia oczy.

— Jezu Chryste! — krzyknęła i roześmiała się. Przestрах i śmiech Murzynki znów napełniły Jegora uczuciem upokorzenia z powodu swego wyglądu, który napawa

strachem nawet Murzynów. Trwało to tylko chwile. Jegor zagwizdał, aby dodać sobie odwagi. Głośnymi krokami, aby zagłuszyć w sobie wszelką słabość, szedł w kierunku domu stojącego na uboczu, który rozpoznał, choć był pogrążony w ciemności i ukryty wśród drzew i krzewów. Jegor wszedł po schodach i dwukrotnie nacisnął dzwonek u drzwi. Z dachu spłynął mu za kołnierz strumyk wody. Jegor wzdrygnął się i gotów był już odejść. Przemógł się jednak i jeszcze raz mocniej nacisnął dzwonek. Sam się przestraszył dźwięku, który rozległ się po drugiej stronie drzwi. Napięty, skostniały z zimna, czekał. Po kilku minutach, które wydały mu się wiecznością, usłyszał znajome człapanie i starczy kaszel. Napęczniałe od wilgoci drzwi ciężko się otworzyły. Dr Zerbe w szlafroku i rannych pantoflach wyciągnął rękę.

— Cóż to, chłopcze, depesza,-list polecony? — zapytał ostro z cudzoziemskim akcentem.

— Nie, to jestem ja odpowiedział Jegor po niemiecku. •—
Ja, panie doktorze.

Dr Zerbe wyteńczył w ciemność wytrzeszczone oczy. Przez chwilę nie rozpoznawał stojącego w drzwiach człowieka, widział tylko bryłę błyszczącej wilgoci. Poznał jednak Jegora i taki ogarnął go gniew na tego natręta, który ośmielił się niespodzianie przyjść do jego domu

tak późnej godzinie, że nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Obaj mężczyźni — jeden w mokrym płaszczu przeciwdeszczowym, drugi w jedwabnym szlafroku i domowych pantoflach — spoglądali na siebie w milczeniu. Zaczął dr Zerbe.

— To pan? — zapytał ze złością, choć go poznał.

Jegor się jękał.

— Musiałem się widzieć z panem doktorem... W bardzo naglącej sprawie... Musiałem.

Wytrzeszczone oczy dr. Zerbe były pełne gniewu.

— Do tego jest moje biuro — powiedział w drzwiach. — Mój dom to mój zamek.

W zdenerwowaniu miał ochotę zatrzęsnać drzwi przed nosem tego, który ośmielił się przyjść do jego domu. Lecz Jegor już stał w półotwartych drzwiach, stał nieruchomo, skamieniały w swym przeciwdeszczowym płaszczu, jak skondensowana bryła deszczu, której nie można ruszyć z miejsca. Biło od niego zimno, wilgoć, wiatr upór. Dr Zerbe poczuł w kościach chłód i strach przed tym mokrym, milczącym mężczyzną, spoglądającym na niego z nienawiścią w oczach i nie zdobył się na odwagę, by go z półotwartych drzwi wyrzucić.

— Proszę zamknąć drzwi — burknął. — Wieje.

Jegor zdjął płaszcz i położył go za drzwiami, na zewnątrz. Potem wytarł mokre buty o włochatą wycieraczkę, na której widniał sporządzony gotyckimi literami napis: Willkommen. Im dłużej wycierał buty, tym więcej, wszystkimi dziurami, lało się z nich wody. Wyciekała ona też ze spodni, które chronione przez płaszcz do kolan były suche i wygniecione, lecz poniżej mokre, lepiące się i ociekające błotem. Jegor czuł się zażenowany, że nanosi brud na czerwoną cegłę werandy i próbował się uśmiechać do pana doktora.

— Przez cały czas wędrowałem B usprawiedliwiał się. — Deszcz przemoczył mnie na wskroś.

Wyjął z marynarki wymiętą gazetę, którą zabrał gdzieś z kosza na śmieci na ulicy i próbował wytrzeć strużkę brudnej wody, spływającą wężykowato na czystą cegłę. Lecz nim zdążył to zrobić, wytwarzała się następna. Z poczuciem winy patrzył na pana doktora, uśmiechając się zawstydzony, aby w jego oczach znaleźć zrozumienie dla swej nędzy i brudu. Ale wytrzeszczone oczy dr. Zerbe pełne były gniewu i obrzydzenia, jak na widok mokrego psa, który zakradł się do domu. Nie tylko te oczy nie odpowiedziały uśmiechem, o co intruz prosił, lecz nie ominęły żadnej plamy na wybrukowanej werandzie. Jegor w tym milczącym, czystym, suchym człowieku wyraziściej ujrzał swą nędzę i wzrosła jego nienawiść. Przestał wycierać buty i milczał twardo, uparcie. Dr Zerbe wszedł do gabinetu, Jegor podążył za nim, choć go nie zaproszono. W obszernym gabinecie na kominku płonął ogień. Na stoliku stał talerz z owocami, kilka butelek. Obraz nagiej kobiety na ścianie był na pół oświetlony. W kącie gardłowym głosem skrzeczała papuga.

— Posiłek, paanniie doktorze, posiłek.

Dr Zerbe uciszył ją.

— Zamknij dziób, pleciugo.

Usiadł na niskim fotelu i milcząc obserwował mokrego, zawszonego, stojącego przy drzwiach młodego człowieka — od potarganej głowy po czubki podartych butów.

— Co cię sprowadziło o tak późnej porze? H§|zapytał cicho, przechodząc na "ty".

— Przyszedłem upomnieć się u pana doktora o to, co mi przyrzekł — odpowiedział Jegor, ochrypli od wilgoci i głodu.

Początkowo dr Zerbe ze złością traktował tego, który zjawił się o późnej wieczornej godzinie z tak bezsensownymi żądaniem. Poza tym, pałając gniewem do tego natręta, który ośmielił się wtargnąć do jego "zamku", chciał go złością zastraszyć za naruszenie spokoju w tę deszczową noc. Oczy zawszonego człowieka spoglądały jednak niepi zyjaznie. W swej słabości dr Zerbe chciał zastraszyć tego, kogo się lękał, dobić go złością i gniewem. Zawsze wyznawał zasadę, że najskuteczniejszą obroną przed napastnikiem jest uprzedzenie ataku. Zwłaszcza, gdy ma się do czynienia z kimś, kto jest silniejszy fizycznie, lecz ma słabszy charakter.

— Sprawy urzędowe załatwiam w biurze, nie w domu — krzyczał — nie w domu, nie w domu!

— Chodziłem do pana doktora wiele razy, ale mnie nie dopuszczano do pana — powiedział Jegor, przestę- pując z jednej nogi na drugą.

— To nie usprawiedliwia wtargnięcia nocą do mojego domu — atakował dr Zerbe. — Nie życzę sobie, aby mnie nachodzono. Chcę być sam, zupełnie sam.

Czekał, aby ten człowiek odszedł, ale Jegor tego nie zrobił, powtórzył żądanie dotrzymania danego mu przyrzeczenia. Domaga się swego. Sucho, chrypliwie, urywanymi słowami, które się z sobą

nie wiązały, mówił wciąż i wciąż o swej służbie, o zapewnieniach dr. Zerbe, o nie dotrzymanej obietnicy, o swych prawach, których respektowania się domagał za swą ofiarną służbę. Dr Zerbp stracił cierpliwość.

— Bzdura — krzyczał. — Nic nie obiecywałem i o niczym nie chcę słyszeć.

— Nie, obiecywał pan doktor, domagam się swego
— powiedział Jegor z uporem.

Dr Zerbe podniósł głos.

— Posłuchaj, ty — pienieł się. — Jeżeli nie masz na nocleg, mogę ci dać parę centów i idź. To jest mój dom, wyłącznie mój, a nie schronisko dla włóczęgów.

Uderzył pięścią w stół, aby zatrwożyć mokrego osobnika stojącego przy drzwiach. Lecz Jegor się nie cofnął, a nawet zbliżył się o krok i trwał w uporze, patrząc wprost przed siebie wrogimi, błękitnymi oczami. Dr Zerbe poważnie zaniepokoił się milczącym uporem młodego człowieka, jego napiętym spojrzeniem. Zrozumiał, że nic nie wskóra z tym zawszonym chłopakiem, którego nieopatrznie wpuścił do domu i próbował ująć dobrocią. Przestał krzyzczeć, podszedł do okna, wyjrzał pizez nie i zaczął mówić o pogodzie.

— Przeklęta noc — powiedział, wsuwając ręce w rękawy jedwabnego szlafroka. — Nie zanosi się, aby deszcz przestał padać.

Jegor nie odpowiedział. Dr Zerbe podszedł do kominka, usiadł przy ogniu i kiwnął palcem, aby milczący człowiek się przybliżył.

— Dlaczego stoisz? — zapytał nagle, mimo że przez cały czas nie

zapraszał go do siedzenia. — Usiądź przy kominku, rozgrzejesz się.

Jegor, milcząc, zbliżył się do kominka ale nadal stał. Z jego mokrej odzieży unosiła się para. Dr Zerbe spostrzegł to i pokiwał głową.

— Kto to wychodzi w taką przeklętą pogodę. Nawet psa nie powinno się wypuszczać z domu.

Jegor milczał. Przy ogniu kominka coraz gęstsza para unosiła się z jego odzieży. Dr Zerbe wstał, podszedł do stolika w kącie i przyniósł dwie butelki i kieliszki. BreglCó chcesz, chłopcze, wino czy wódkę? — zapytał z uśmiechem.

Jegor milczał, dr Zerbe z wahaniem napełnił kieliszki.

— Ja, jak zwykle, będę pił wino — mówił. Myślę, że dla ciebie lepsza będzie wódka, rozgrzejesz się.

Wpychał mu w rękę kieliszek.

— No, pić, pić! — zalecił i patrzył na Jegora przenikliwymi, niespokojnymi oczami. Weźmie kieliszek, czy nie? Spoglądał na niego jak na złego psa, którego chce się jedzeniem ugłaskać i uczynić uległym.

Jegor w końcu wziął kieliszek z wódką i jednym haustem wypił. Dr Zerbe doznał ulgi.

— Jesteś głodny? — zapytał.

— Nie — odpowiedział Jegor, mimo że głód skręcał mu wnętrzności.

— O, jesteś — dr Zerbe podsunął mu talerz z ciastem.

Jegor nie mógł oprzeć się zapachowi jedzenia. Wódka wypita na pusty żołądek uderzyła mu do głowy, otumaniła go. Wziął

z talerza kawałek ciasta do brudnej ręki i połknął go jednym kęsem, po czym sięgał po następne. Zdawał sobie sprawę, że poniża się w oczach tego, wobec którego nie powinien tego robić, a mimo to zjadł całe ciasto z talerza. Dr Zerbe odczuwał coraz większą ulgę i, jednocześnie, coraz większy wstręt — wstręt jak do bezpańskiego, brudnego psa, któremu rzuca się kość. Był przekonany, że ma tego osobnika całkowicie w swoich rekach. Dla pewności jednak chciał go rozbroić do końca, lecz nie gniewem, jak początkowo zamierzał, a okazując mu wzgardę.

— Boże, jaki jesteś zawszony — powiedział krzywiąc się.

— Cały czas wędrowałem — tłumaczył się Jegor

— tygodniami.

— Dlaczego nie poszedłeś do domu, głupi chłopcze? •— Nie mogłem wrócić do domu po tym, co zrobiłem dla pana doktora.

— Zbyt poważnie traktujesz tę sprawę — odpowiedział dr Zerbe ^
Chyba zbyt poważnie.

Jegor znów powtarzał swoje racje, wciąż mówił o danej mu przez pana doktora obietnicy, o tym, że nic mu

— oprócz powrotu "tam", do ojczyzny — nie pozostało, ani dom, ani przyjaciele. Dr Zerbe przerwał mu.

— Dołóż drzewa do kominka, ogień wygasa. Jegor dołożył drzewa do kominka. Dr Zerbe z przyjemnością słuchał trzasku drewna i powoli popijał wino. Nagle wstał z miejsca, wszedł do sypialni i przyniósł parę starych, zniszczonych lakierów.

— Moja stara służąca będzie jutro ryczeć jak krowa, gdy zobaczy, ile brudu naniosłeś na dywany mokrymi butami — śmiał się. — Załóż moje stare buty, jeżeli nie będą za ciasne.

Nie postawił ich, lecz ze wstrętem rzucił na podłogę. Jegor ponownie poczuł, że się poniża, jednak znów poddał się upokorzeniu, ściągając przy kominku przemoczone buty i wkładając podarowane na mokre, brudne nogi.

— Czy nie za ciasne? — zapytał dr Zerbe.

— Nie — odrzekł Jegor, mimo że go uwierały.

Dr Zerbe przeglądał się w skrzącym się w kieliszku winie i dołał wódki do kieliszka Jegora.

— Nie chcę więcej — odmówił Jegor.

— Pij, dobrze ci to zrobi — zalecił dr Zerbe. Jegor pił, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie powinien. Ogień z kominka suszył coraz bardziej jego wil-

go tną odzież. Parowała ona wraz z jego zawszonym ciałem. Nagle dr Zerbe pociągnął nosem.

— Jesteś brudny, chłopcze? — zapytał.

Jegor odczuł palący wstyd i zaczął znów się jąkać. To z powodu wędrowania, z powodu ciężkich czasów, które przeżył, gdy go pan doktor oddalił. Dr Zerbe nie słuchał go.

— Wejdz na pierwsze piętro do łazienki i umyj się porządnie — powiedział — a ja wyszukam ci starą bieliznę do przebrania.

Jegor znów uświadomił sobie, że nie powinien tego robić, nie po jałmużnę tu przyszedł, lecz po to, by się upomnieć o swoje i żądać.

Mimo to uczynił, co mu zlecono, zdając sobie sprawę, że jest to hańbiące.

Dr Zerbe ze swego gabinetu dorzucił ostatnią zniewagę.

— Umyj dobrze wannę po sobie wykrzyknął U- i nie skąp wody.

Gdy Jegor wrócił, dr Zerbe nie usiłował już nawet ukrywać swej pogardy.

Nie czuł już ani krzty strachu przed tym młodym człowiekiem, który tak gwałtownie wdarł się do jego domu. Jego umyta twarz była zmęczona i zarumieniona, błękitne oczy łagodne i niewinne.

Darowana odzież była nie dopasowana, krótka i śmieszna. Biała, uprasowana koszula, przykrótkie spodnie w paski, znoszone, ciasne, błyszczące buty — wyglądały bardzo komicznie na wychudzłym, wyrośniętym chłopcu. Dr Zerbe nie powstrzymał się od śmiechu.

— Pan doktor się śmieje ze mnie? — zapytał Jegor, choć nie miał co do tego wątpliwości.

Dr Zerbe nie uważał za stosowne wypierać się.

— Dołóż drzewa do kominka — zalecił. Jegor usłuchał.

— Teraz nalej mi wina do kieliszka, sobie też.

— Nie chcę więcej pić — wzbraniał się Jegor.

— Pij, gdy ci każę — polecił dr Zerbe. — To dobre. Jegor wypił.

Nagle dr Zerbe nachylił się do Jegora i uszczypnął go w policzek.

— Dobry z ciebie chłopak — powiedział — lecz głupi.

Jegor czuł wstręt, zarówno do kościstych, śliskich palców, którymi dr Zerbe go dotknął, jak też do traktowania go jak smarkatego chłopca i na chwilę przyszedł do siebie.

— Jestem piekielnie dorosły i żądam tego, co mi przy-
ręczono mm, powtórzył to, co już wielokrotnie przypominał.

Dr Zerbe nie pozwolił mu mówić i powtórzył swoją
nim opinię. Jest szlachetny, ale głupi. Dr Zerbe sądził, że będzie
mógł z Jegorem pracować, gdyż wierzył w niego i jego rasę, dlatego
właśnie obiecał hojnie go wynagrodzić, lecz omylił się, gorzko
omylił, a teraz wszystko skończone.

— Zrozum, chłopcze, nie nadajesz się i mówię ci to szczerze — | dr
Zerbe rzucił mu te słowa ze wzgardą w twarz, patrząc na niego
ironicznie, upojony sukcesem. — Co ty na to?

Jegor nie miał nic do powiedzenia i tylko patrzył zdumionymi
oczami na tego, który go znieważył. Błada, pomarszczona twarz dr.
Zerbe nagle przestała wyrażać złośliwość. Przysunął krzesło bliżej
Jegara i zaczął mówić cicho i łagodnie, jak ojciec do dziecka po
ostrym skarceniu go.

Jegor nie powinien sądzić, że on, dr Zerbe, obszedł się z nim
surowo. Dr Zerbe nie jest jego wrogiem. To nonsens! Zawsze uważał
go za szlachetnego chłopca, współczuł mu. Jeżeli go oddalił, to
jedynie dlatego, że Jegor plótł głupstwa, żądał rzeczy niemożliwych,
na skutek których dr Zerbe tracił cierpliwość. Jest jednak gotów
zapomnieć o wszystkim, wybaczyć wszystko i dać pracę Jegorowi. Z
pewnością nie może go zatrudnić w służbie zagranicznej jak
poprzednio, gdyż do tego konieczna jest inicjatywa, energia, a nawet
fantazja, jednym słowem cechy, których on, Jegor Karnowski,
niestety nie posiada

nie może ich osiąść. Dr Zerbe może znaleźć dla niego inne, łatwe zajęcie, odpowiednie dla takiego szlachetnego chłopca. Od pewnego już czasu dr Zerbe pragnie się pozbyć starej służącej, gdyż jest diabelską ryczącą krową, wszędzie wtyka nos, poucza go i w ogóle jest natrętna, jak większość kobiet, z którymi rozumny mężczyzna nie może mieć nic wspólnego. Już nieraz myślał o tym, a jeżeli Jegor byłby uległy, posłuszny i grzeczny, dr Zerbe chętnie by go zaangażował jako swego służącego, za co otrzymywałby wyżywienie, pokój do zamieszkania, ubranie, a nawet trochę kieszonkowego, gdyż chłopiec w jego wieku potrzebuje pieniędzy.

— Co o tym myślisz, chłopcze? — zapytał dr Zerbe.

Jegor wciąż nie odpowiadał, tylko patrzył na niego błękitnymi oczami, zamglonymi i nieruchomymi. Dr Zerbe mówił ciszej i łagodniej.

Jegor nie powinien sądzić, że dr Zerbe chce go w ten sposób poniżyć. Trzeba życie ujmować filozoficznie, jak to czyni dr Zerbe, nie buntować się przeciw losowi, lecz mu się poddać. Jegor musi wiedzieć, że odkąd świat istnieje, ludzie dzielą się na dwie kategorie: panów i sługi. Jedynie płytki moralisci sądzą, że można to zmienić, lecz mędrzy i myśliciele wiedzą, że jest to prawidłowość, bezdyskusyjny los. Jegor nie należy do kategorii panów, gdyż los nie obdarzył go odpowiednimi przymiotami. Prawdopodobnie bogowie nie byli dlań zbyt łaskawi. Mu- żi się pogodzić z losem. Nie buntować się, lecz być uległym i posłusznym, a będzie mu w życiu dobrze.

— Co o tym myślisz, chłopcze? — ponownie zapytał dr Zerbe.

Jegor wciąż nie odpowiadał. Dr Zerbe posunął się dalej. Uważał zawsze za oznakę złego smaku zatrudniać kobiety jako służące, jest to zwyczaj praktykowany przez mężów pantoflarzy i katolickich księży, lecz nie do przyjęcia przez ludzi myślących i subtelnych. Starożytni Grecy, mędrzy i filozofowie, lepiej rozumieli życie. Nigdy nie otaczali się kobietami, jako służących raczej mieli chłopców, niewolników wywodzących się z najznakomitszych rodzin podbitych ludów — dzieci szlachty, książąt.

Również z pokonanej Jerozolimy sprowadzano młode żydowskie książęta i sprzedawano bogatym arystokratom i filozofom dla dostarczenia im rozkoszy. Podobnie on, dr Zerbe, Grek z ducha i subtelny filozof, chętnie miałby w swym domu szlachetnego chłopca, uległego i posłusznego. ■

— Co o tym myślisz? — po raz trzeci zapytał Jegora.

Jegor wciąż nie odpowiadał, patrzył błękitnymi, nieruchomymi oczami na tego, który z nim rozmawiał. Dr Zerbe uznał sprawę za załatwioną i napełnił kieliszki winem.

— Pijemy bruderszaft — powiedział, wypijając kielich wina jednym haustem, nachylił się do Jegora i ucałował go w usta.

Jegor odczuł taki wstręt od dotknięcia śliskich warg, że cofnął się pod ścianę. Dr Zerbe poszedł za nim.

— Bubi — szeptał, przysuwając się do Jegora.

Błada, pomarszczona twarz doktora była brunatnosina, oczy wytrzeszczone i matowe jak przybrudzone szkło. Jego słabe ręce wylazły pożądliwie z jedwabnych rękawów i zrywały z Jegora

ubranie.

Zamglone oczy Jegora rozszerzyły się, zbłękitniały, widziały dwie postaci jednocześnie — raz był to dr Zerbe, za chwilę — dr Kirchenmajer, dyrektor gimnazjum im. Goethego, który go upokorzył, ukazał wobec wszystkich w hańbie. Nie tylko starość, brunatna siność, zamglenie oczu i łysiny były te same, lecz również starczy głos. Jegor odczuł nieprzeparty wstręt, gniew i siłę w rękach, jak na widok wstrętnego, pełzającego płaza czy atakującego szczura. Z półki na książki, o którą się oparł, wystawała hebanowa, prymitywna figurka afrykańskiego bożka z przesadnie wyolbrzymionymi narządami płciowymi. Jegor wziął ją do ręki i z całych sił spuścił na wilgotną łysinę niskiego mężczyzny w jedwabnym szlafroku.

Papuga zaczęła wrzeszczeć.

— Posiłek, pannie doktorrrze — darła się chrapliwie. — Posiłek. ■ Jednocześnie ptak zaczął się śmiać — wrzaskliwie, histerycznie jak szalona kobieta. Wzmogło to gniew, wstręt i siłę Jegora. Nie przestawał bić drewnianym bożkiem po łysinie, aż doktor upadł na podłogę. Jegor nachylił się i wciąż tłukł go w głowę. Gdy ptak przestał się śmiać, Jegor się zatrzymał.

Patrzyły na niego wytrzeszczone oczy skurczonej na podłodze postaci. Były otwarte, ale nieruchome. Mimo że Jegor nigdy jeszcze nie widział zmarłego, wiedział, że dr Zerbe nie żyje. Połą jedwabnego szlafroka zakrył mu twarz. Nagle spostrzegł na sobie ubranie dr. Zerbe. Ogarnął go strach, prędko zrzucił z siebie przykrótkie spodnie

w paski, sztywną, uprasowaną koszule, ciasne lakierki. Pośpiesznie założył własne ubranie — podarte, wilgotne i zniszczone — oraz mokre buty na gołe nogi. Wyszedł, wdział pozostawiony za drzwiami mokry płaszcz. Deszcz ustał, nad światem wisiała ciężka, gęsta mgła. Od strony oceanu wyły syreny okrętowe, ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Mgła była tak gęsta, że nie było widać, ani drzew i krzewów, żadnego światła. Jedyne, jakie widział, przyćmione i żółte, padało z okien domu, przy którym stał. Nie zdając sobie sprawy po co, Jegor jeszcze raz wszedł przez półotwarte drzwi, aby zgasić pozostawione światła. Papuga znów zaczęła się śmiać. Jegor zaczął gasić wszystkie światła. Gdy pod- s.-a.dł do zielonej lampy nad biurkiem, zauważył na pół wysuniętą szufladę, zajrzał do środka, jakby czegoś zapomniał. W szufladzie leżały listy, papiery, znaczki pocztowe, kilka wyuzdanych obrazków, mostek sztucznych zębów, złote spinki do mankietów, pieniądze i mały rewolwer z rękojeścią z perłowej masy. Jegor wziął pięć- ciocentową monetę i włożył ją do kieszeni. Do drugiej kieszeni włożył rewolwer. Broń pociągała go zawsze, jeszcze od dzieciństwa, gdy wuj Hugo dawał mu pistolet do zabawy. Zgasiwszy ostatnią lampę, cicho wyszedł i ostrożnie zamknął ciężkie, spaczone drzwi, jakby się bał kogoś w domu obudzić. W pustej, zamglonej ulicy doszedł go śmiech papugi.

— Posiłek, pannie doktorrze — wrzeszczał i śmiał się ptak — posiłek...

Jegor szedł śpiesznie, aby nie słyszeć tego skrzekli- wego głosu. Odgłos własnych kroków napawał go lękiem, jakby ktoś szedł za nim.

Wkrótce zaczął biec, a za nim biegł strach.

Mimo że była głęboka noc, pora, gdy sen jest najprzyjemniejszy i najtwardszy, dr Georg Karnowski usłyszał natychmiast głuchy odgłos strzału, który dotarł do jego uszu zza drzwi mieszkania.

Od miesięcy oczekiwał czujnie złej nowiny, która winna nadejść, musiała nadejść. Był na to przygotowany w każdej godzinie dnia i nocy. Pierwszy odgłos zastał go gotowym, czujnym i trzeźwym.

Jegor ścisnął jeszcze w ręce rękojeść z perłowej masy małego rewolweru, gdy ojciec, w nocnej bieliźnie zbiegł do niego. Oparty plecami o ścianę, na pół leżąc, spoglądał wielkimi błękitnymi oczami, pełnymi poczucia winy, a zarazem uśmiechającymi się, na ciemną, rosłą postać, nachylającą się nad nim.

Dr Karnowski siłą rozwarł zaciśniętą rękę syna, odrzucił rewolwer.

— Otwórz rękę, synu — powiedział cicho — w ten sposób.

Jegor wciąż uśmiechał się swym pełnym winy uśmiechem.

— To jestem ja, ojciec powiedział zawstydzony. Był to wstyd marnotrawnego syna wracającego do domu, z którego uciekł.

Mimo że mówił urywanie, ciężko i ochryple, jego słowa były łagodne i ciepłe, pełne miłości, jakich ojciec od kilku lat od swego syna nie słyszał.

Dr Karnowski natychmiast zorientował się, po urywanym oddechu, gorączkowym chwytności powietrza, że jest to strzał w serce. Jedną ręką zdierał ubranie z piersi chłopca, drugą chwycił za puls. Bił mocno. §J| Oddychaj głęboko — powiedział cicho.

— Nie mogę, ojciec, boli — odparł Jegor urywanym głosem,

chwytając łapczywie powietrze.

Dr Karnowski nie miał już wątpliwości. Znał takie przypadki z kilkuletniej praktyki na froncie. Dobrał się zaraz do wychudłej klatki piersiowej syna. Ciemny punkcik, mały i zadymiony czerniał obok różowego sutka. Dr Karnowski zorientował się po wejściu kuli, w którym kierunku poszła.

— Obejmij mój kark rekami, dziecko — powiedział, chwytając prędko syna za ramiona i niosąc go do łóżka.

— O, w ten sposób.

Przytulony obiema rekami do mocnego, ciepłego karku, Jegor zaczął drżeć.

— Biłem go, ojczy — mówił ciężko i urywanie — na śmierć biłem... obraził mnie, ciężko obraził... boję się...

— Nie drzyj, dziecko — uspokajał dr Karnowski.

— Spokojnie, synu, spokojnie.

Przygotowany był na wszelkie złe nowiny. Nic nie mogło go zaskoczyć.

Jegor wpił się rękami w kark ojca. Jak wtedy, gdy będąc dzieckiem miewał nocą w ciemnym dzieciennym pokoju złe sny.

— Tak się boję, ojczy — mówił urywanym głosem.

— Jestem z tobą, dziecko — uspokajał go dr Karnowski. Jak niegdyś, w dzieciństwie, gdy Jegora nawiedzały lęki nocne, tulił go do siebie.

Teresa Karnowska siedziała w nocnej koszuli jak skamieniała, odkąd zerwała się z ciężkiego snu i ujrzała męża niosącego na rękach Jegora

i kładącego go na swoim łóżku. Krótki, urywany oddech syna wyrwał ją z tego stanu.

— Jegoreczku! — krzyczała i w nocnej koszuli rzuciła się do drzwi, by wzywać pomocy.

Dr Karnowski ostro ją powstrzymał.

— Nie krzyczeć! — polecił. — Rozbierz go, szybko!

Jego słowa, spokojne i rozkazujące, przywiodły ją do przytomności, jak dawniej gdy była pielęgniarką w klinice profesora Halewiego, a on, dr Karnowski, zaczął tam praktykować.

— Dziecko, coś ty zrobił? — szeptała, ściągając wilgotne ubranie ze swego chłopca.

Mimo że mówienie sprawiało mu ból i z trudem łapał powietrze, Jegor mówił i uśmiechał się zawstydzony, z poczuciem winy.

— Musiałem to zrobić, Mutti — mówił urywanym głosem. Obraził mnie, Mutti, ciężko obraził.

Dr Karnowski zapalił wszystkie lampy w mieszkaniu, zestawiał ze sobą stoły i wydawał polecenia.

— Wode i mydło! — zalecił ostro. — Rozłóż prześcieradło na stole, przygotuj spirytus, jodynę i eter.

Teresa dokładnie wypełniała polecenia męża. Przy rozścielaniu prześcieradła na stole znów ogarnął ją lek.

— Georg, wezwę karetkę pogotowia — powiedziała bezradna, pamiętając, że mąż nie ma prawa praktyki w nowym kraju.

— Rób, co każe — przerwał jej dr Karnowski. — Każda chwila jest droga.

Nie mówiła już nic więcej, wypełniała polecenia męża tak dokładnie, jakby nie była żoną i matką, lecz dawną pielęgniarzką, panną Teresą Holbek, asystującą skrupulatnemu i surowemu dr. Karnowskiemu w jego pracy w klinice profesora Halewiego. W szafce męża, w której przechowywał swoje narzędzia i instrumenty, wszystko było na swoim miejscu. W takim samym porządku jak po tamtej stronie oceanu, gdzie miał rozległą praktykę. Nawet gumowe rękawiczki i biały, uprasowany fartuch lekarski leżały gotowe, aby je mógł założyć w razie potrzeby. Dr Karnowski kazał Teresie podać najpotrzebniejsze przedmioty. Nie pozwolił nawet wyjąć rękawic i fartucha. Nie było na to czasu.

Szybko i zręcznie, jak zwykł był pracować na polu bitwy, w każdej sytuacji, każdym miejscu i czasie, w stajni czy w stodole, na polu, czy w mokrej lepiance — późną nocą ratował syna. Nie było czasu na kosmetykę operacyjną, na białe fartuchy i chustki ochronne. Nie pozwolił Teresie nawet na stratę choćby jednej minuty na sterylizowanie instrumentów i bandaży, na zagotowanie wody. Bał się wylewu krwi. Szybko umył zimną wodą i mydłem chudą klatkę piersiową syna, oblał ją alkoholem i wysuszył jodyną.

— Odwagi, synu — powiedział do Jegora, który patrzył na niego szeroko otwartymi, błękitnymi oczami.

Jegor ujął rękę ojca i ucałował ją. Dr Karnowski poczuł takie ojcowskie ciepło w sercu od pierwszego od lat pocałunku syna, że stracił cenną sekundę czasu i pocałował go w usta. Natychmiast potem znów był spokojny, szybki i zdecydowany — był chirurgiem w

każdym calu. Położywszy ręcznik na spoconej twarzy ciężko od-
dychającego chorego, sączył na niego eter, kroplę po kropli. y

— Spij, synu — mówił łagodnie, jak do usypianego w kołysce
dziecka.

Szybko umył ręce, kazał Teresie polać je alkoholem, po raz ostatni
rzucił okiem na zasypiającego Jegora, który uśmiechał się z wyrazem
winy na twarzy. Był to uśmiech powracającego do domu syna, który
prosi o przebaczenie i wyrozumiałość. Teresa, blada, stała w
czerwonym blasku rzęsiście oświetlonego pokoju. Wszelkimi siłami
powstrzymywała się, by nie szlochać. Jej białe ręce trzęsły się. Ręce
dr. Karnowskiego, silne i owłosione, były pewne i opanowane.
Podobnie spokojne było jego ojcowskie serce. Rzucił ostatnie
spojrzenie na upadłego, lecz dźwigniętego z upadku syna. Był dumny
ze swego Jegora, nawróconego, odzyskanego.

— Spokojnie i uważnie — polecił Teresie, która stała gotowa
wypełnić każde jego polecenie. Wziął nóż chirurgiczny, który
podarował mu profesor Halewi, a który w ciągu długich lat praktyki
przyniósł mu tyle szczęścia.

Wśród nocnej ciszy rozległ się tupot końskich kopyt po bruku.
Znajomy ochrypły głos mleczarza nakazał koniowi zatrzymać się.

— Prr, Mary, prr...

Poprzez ciężką mgłę przedzierały się pierwsze poranne promienie i
oświetlały okna zielonkawym światłem wschodzącego słońca.